

KATARZYNA SZATKO



PAMIĘTNIKI

PAWĘZÓW – STASZKÓWKA – GORLICE

Katarzyna Szatko

PAMIĘTNIKI

Gdynia 2025

**PAMIĘTNIKI, Katarzyna Szatko
z komentarzami Janusza Zauchy**

Skanowanie i korekta z maszynopisu:
Magdalena Batko

Skanowanie zdjęć:
Stanisław Zaucha, Irena Gładka-Zaucha, Jacek Zaucha

Redakcja:
Iza Dawidowicz

Szata graficzna i skład:
Magdalena Batko – Tak się składa

Wydawca:
Jacek Zaucha

ISBN 978-83-945644-1-4

Nakład: 50 egz.

GDYNIA 2025

Część I

MOJE GNIAZDKO RODZINNE

Wspomnienia z lat osiemdziesiątych XIX wieku
spisane na początku
lat sześćdziesiątych XX wieku
dla ukochanego prawnuka Jacka



Jacek z prababcią, 1960 r.

WSTĘP

Zdarzyło mi się raz, przy jakiejś sposobności, usłyszeć takie oto zdanie, że człowiek przed śmiercią, często nawet dużo wcześniej, kiedy czuje się jeszcze zdrowy, pragnie zobaczyć ponownie swoje miejsce rodzinne.

Nie przykładałam wagi do takiej mowy, nie myślałam nigdy o tym, a po części i nie wierzyłam w to, i wreszcie zapomniałam o tym.

Żyliśmy bardzo dobrze z kolegami, nauczycielami ze Stróżówki – państwem Skwarami – i przyjacielskie nasze życie trwało aż do ich śmierci. On był zawsze wesoły, figle go się trzymały i – choć czasem dokuczały mu bóle wątroby czy też kamienie żółciowe – humoru nigdy nie tracił. Raz rzekła do nas jego żona: „Nie wiem co się memu staremu ubzdurało, nigdy nie miał ochoty jeździć do swej rodziny, aż tu kiedyś mi powiedział: »Janka, coś mnie ciągnie, by pojechać do Targowisk, tęsknota dziwna. Chce mi się koniecznie zobaczyć te moje strony rodzinne, stanąć nad grobami ojców na cmentarzu, objąć wzrokiem te pola, po których ganiałem za lat dziecinnych, pogłaskać te dęby w naszym lasku i poszukać żołądźdi pod nimi. Jedźmy Janko!«. »Ależ jedź, mój kochany, któż ci broni, ja z tobą nie mogę – przecież nie mogę zostawić dzieci. Muszę ich wyprawiać codziennie do szkoły«”. Wspominał jeszcze czasem o tym pragnieniu, był niekiedy

zamysłony, ale o wyjeździe już nie mówił, tym bardziej że ataki żółciowe powtarzały się coraz częściej. Wreszcie lekarz zaczął go odwiedzać systematycznie, skierował do Krakowa na rentgen, skąd pan Skwara przyjechał z gotowym, nieodwracalnym wyrokiem. Umarł na raka żołądka w 1941 roku. Wtedy przyszły mi na myśl słowa, które umieściłam na samym wstępie tych wspomnień, że przed śmiercią chce się jeszcze raz zobaczyć miejsce rodzinne.

A oto drugi przykład tej dziwnej tęsknoty, jeszcze bliżej mnie obchodzący i utwierdzający w przekonaniu o pojawianiu się w duszy ludzkiej takiej potrzeby.

Mąż mój po ślubie i w pierwszych latach naszego pożycia jeździł ze mną do swej rodziny na wakacje, a nawet dwa razy pojechalśmy z dziećmi. Po przyjeździe jednak do domu mąż czuł się w nim o wiele lepiej i zwykle mawiał: „Przecież najlepiej czuję się u siebie, w domu, i tu dopiero prawdziwie odpoczywam”. W dalszych latach w ogóle nie lubił nigdzie z domu wyjeżdżać, a o wyjeździe do rodziny nie chciał nawet słyszeć – więc też nie wyjeżdżaliśmy. I płynęły lata, nie tęskniliśmy za rodzinnymi spotkaniami, a porozumiewaliśmy się listownie i nikt z nas nie czuł ochoty do odwiedzin, jedynie wyjeżdżaliśmy na pogrzeb naprzód jego matki, a potem ojca.

Minęło mężowi siedemdziesiąt lat, czasem odzywały się już różne starcze dolegliwości. W 1947 roku ni stąd, ni zowąd powiedział do mnie: „Mamuś, mam ochotę jechać do Lisiej Góry, zobaczyć jeszcze raz naszą rzeczkę Czarną, jak wygląda po uregulowaniu, a może, przypominając sobie lata dziecięce, ukąpię się w niej i spróbuję jeszcze zanurkować. Taka mnie opanowała jakaś tęsknota, aby zobaczyć te miejsca, gdzie spędziłem lata dziecięce. Pojadę i posiedzę u siostry z tydzień”. Nie odradzałam, ale coś mnie – jak to się mówi – piknęło. Przecież to coś dziwnego, że on chce wyjechać. Czyżby to przedśmiertna zachcianka – przecież on jest właściwie zdrowy. Nie pojechał, ale zaledwie minęło kilka miesięcy, a on zmarł na atak serca.

I cóż tu mówić! Na tych przykładach widać wyraźnie, że to przeczucie, że ta chęć zobaczenia miejsc „dziecięcych radości” istnieje u ludzi. Nie jest to przeczucie śmierci, tylko niejako sygnał, że się coś zbliża do człowieka. Nieraz się zastanawiałam, kto ten sygnał wysyła, czy to duch, czy jakiś instynkt ukryty w organizmie człowieka. W każdym razie jest to ciekawe i godne zastanowienia, dlaczego człowiek chce się właśnie w chwili przed śmiercią znaleźć w miejscu rodzinnym i niejako z tym obrazem przejść w wieczność.

Lubiłam wakacje spędzać w swym miejscu rodzinnym, lecz od momentu, kiedy wyszłam za mąż, nie miałam czasu nawet myśleć o nim ani go wspominać. Nowe bowiem obowiązki: szkoła, dom, dzieci zupełnie mi go przesłoniły. Odkąd jestem na emeryturze, mam więcej czasu i często, zwłaszcza w godzinach szarówki, w godzinach samotności kieruję swą myśl w czasy mego dzieciństwa.

Myślę jednak, że u mnie w godzinach, a właściwie miesiącach przed śmiercią nie odezwie się chęć powrotu w rodzinne strony z tej przyczyny, że moje miejsce rodzinne prawie nie istnieje. Kiedy bowiem w czasie tej ostatniej wojny zaglądnęłam do miejsca mego urodzenia, nie poznałam go. Nie ma już mego domu rodzinnego, nie ma mego podwórza, nie ma i ogrodów. Zniknęły nawet miejsca po nich, gdyż nie mogłam znaleźć ich wśród nowych zabudowań. Stałam po prostu w obcym miejscu, a dawnym moim miejscom dzieciństwa poświęciłam jeno smutne westchnienie i łzę pogrzebową, żegnając nią coś bardzo dla mnie drogiego, co już przestało dla mnie istnieć.

Kiedy dziś wracam myślą do tych drogich mi miejsc, chcę je wskrzesić i uchronić od niebytu, aby odzyskały dawny blask i urok. Pragnę, by ożyły one pod moim piórem i w tej postaci zostały poznane przez mego prawnuka Jacusia. Chciałabym, kochany Jacusiu, wziąć cię za maleńką rączkę i zaprowadzić do mego gniazdko rodzinnego, pokazać jego blaski i cienie,

a ty, który jesteś moim największym szczęściem ofiarowanym mi przez Boga na końcu mej ziemskiej wędrówki, będziesz mi wiernie towarzyszył, pytając stale „A co to?”, „A po co to?”, „A jakie to śliczne”. Tak oto zaczynam pisać wspomnienia z moich lat dziecinnych.

Urodziłam się w 1880 roku, we wsi Pawężów, która jest oddalona o sześć kilometrów od Tarnowa. Co do wielkości musi być dzisiaj duża, bo nawet jest cała zelektryfikowana, ale za moich dziecięcych lat należała do małych wsi, lecz miłych dla oka. Środkiem wsi prowadziła droga gminna, dość starannie utrzymana, gdyż mieszkańcy każdej wiosny pracowali koło niej, aby utrzymać ją w dobrym stanie. Po obu stronach tej drogi ciągnęło się tak zwane nawsie. Nawsie to trawniki zajmujące dość duże obszary, we wsiach nad Dunajcem są to obszary duże jak łąki i nazywają je tam błoniami. Na tych błoniach, tak, jak i na nawsiu, pasą się gęsi, zobaczy się tam konie i krowy, zwłaszcza jak deszcz pada i nikomu nie chce się pędzić bydła w pole, a tu można z domu mieć oko na swój dobytek i doglądać go. Na nawsie mogli sobie gospodarze bez skrupułów i bez szkody wypędzać swoją trzodę, bo te trawniki koło ich domów były ich własnością. Droga była z jednej i z drugiej strony obsadzona wierzbami celem orientacji dla furmanek podczas zawiei śnieżnej. Dopiero poza nawsiem, nieco wyżej z jednej i z drugiej strony ciągnęły się szeregi domów zwróconych oknami w stronę południową, ku słońcu. Domy te szły w jednym rzędzie tak równo, jak w mieście wzdłuż ulicy, nie będąc porozrzucane po polach, jak to bywa w niektórych wsiach.

Wioskę naszą ochrzczono w okolicy nazwą „pańska wieś” nie tylko z powodu miejskiego ułożenia domów, ale przede wszystkim dlatego, że miała wielu wykształconych ludzi. Wykształcenie to pociągało za sobą większe wymagania w życiu, ubraniu i innych potrzebach. Zaspokajanie tych potrzeb wymagało sporych pieniędzy, a w braku tychże zaciągano

pożyczki, co było przyczyną ironicznych i wyśmiewnych powiedzeń, takich jak: „W Pawężowie samo państwo, lecz co dom, to dług”.

Taka to była moja wieś rodzinna, a mniej więcej pośrodku niej stał mój dom rodzinny. Dom ten był niejako wzorem dla całej wsi, bo gospodynią jego była moja matka Tekla z rodu Flisów. Matka moja była w oczach gospodarzy „panną z folwarku”, gdyż ojciec jej miał taki majątek, takie gospodarstwo, że można je było nazwać folwarkiem. Brano więc z niej przykład nie tylko z powodu bogactwa, ale i z powodu jej wrodzonej inteligencji i rozumu nabytego od brata, który uczęszczał do gimnazjum w Tarnowie. Uczył on swą siostrzyczkę różnych przedmiotów szkolnych, a obojścia i godnego zachowania nauczyła się w czasie wizyt u brata i jego rodziny. Za przykładem mojej matki, która kształciła swoje dzieci, starali się i inni posyłać swe dzieci do szkół, stąd nasza wioska miała panów, jak w żadnej innej wsi, i dlatego nazywano ją pańską.

O domku swym rodzinnym myślałam dużo w ostatnich czasach, kiedy przeżywałam ciężkie kłopoty mieszkaniowe, kiedy właściciel domu dręczył nas w niemożliwy sposób i kiedy wreszcie właśnie z powodów mieszkaniowych odszedł nagle mój mąż. Wtedy właśnie moja myśl zwracała się do mego domku, powtarzając: „Och, mieć taki swój domek, być w nim niezależną od nikogo, być swobodną! Ileż bym dała za to, aby mieć go na własność!”.

A oto ten mój DOMEK RODZINNY. Niewielki on, ale taki, żebym się go nie powstydziała umieścić na przedmiesciu Gorlic, bo przecież gorsze i brzydsze są domki wojenne po pierwszej wojnie światowej, a przecież istnieją jeszcze do tego czasu i spełniają zadania, do jakich były przeznaczone. Mój domek bieluchny stoi wśród zieleni jako ta panna młoda w białej sukni i zielonym wieńcu mirtowym. Swą schludnością zwraca uwagę obcego przechodnia, który pyta ludzi miejscowych: „Czyj to taki miły domek?”. Odpowiadają mu:

„To Flisionki” jakby to słowo „Flisionki”, wszystko mówiło. Tak się przyjęła ta nazwa mojej mateczki, jakby ojciec mój nic nie znaczył. A przecież ten mój kochany ojcuś był ogólnie lubiany – bo to dobry i usłużny sąsiad, grzeczny dla wszystkich – służył chętnie pomocą i poradą. Lubiano go, bo był przystojny, wesoły, na weselach wodzirej w tańcu i pierwszy śpiewak, a zawsze trzeźwy, bo wódki nigdy do ust nie wziął.

Mateńka piękna, ojcuś przystojny. Jak to małżeństwo sta-
nęło koło siebie, to tworzyło piękną parę i taką właśnie opinię
mieli w całej parafii. Takie piękne, zgodne i miłujące się mał-
żeństwo zamieszkiwało mój biały, rodzinny domek.

Przypatrzmy mu się bliżej. Od bieli ścian dobrze odbija-
ły się duże okna pomalowane na brązowo, a w nich firaneczki,
czasem wycinane z bibulek, czasem – na zmianę – tiulowe.
Wieczorem zasuwano się je przed okiem kogoś ciekawskie-
go czerwoną, nieprzejrzystą franką. Na oknie stały kwitnące
kwiaty. Miał kto o nie dbać i w ogóle o czystość i porządek, bo
w domu były dorastające dziewczęta, Teofila i Anielka, córki
mamy z pierwszego małżeństwa. Dach był kryty słomą, ale
tak gładko, iż wyglądał jak kryty blachą. Jedyne po dwóch
rzędach z góry i z dołu można było poznać, że to w rzeczy-
wistości dach słomiany. Pod okapem i pod oknami gnieździ-
ły się jaskółki i swym szczebiotem ptaszcym umilały życie
mieszkańcom.

Dołem domku, wzdłuż ściany południowej i wzdłuż dru-
giej ściany od nawsia, ciągnęły się pogródkie. Ciekawys, Jacusiu,
co to jest pogródka? Słusznie, trzeba ci ten wyraz wyjaśnić, bo
na pewno obecnie z nim się nie spotkasz. Otóż pogródka to
było coś niby ławeczka do siedzenia, usypana z ziemi. Aby się
ziemia nie usuwała, była ona podgrodzona płociczkiem z ło-
ziny, a wierzchem pokryta zieloną darnią. Wyglądała całkiem
miło, niby kanapka wyściełona zielonym pluszem. Znacze-
nie tej pogródkie dla domowników było duże. Spełniała ona

niejako rolę tarasu dla mieszkańców. Tu bowiem siadywano wieczorem dla wytchnięcia po pracy i dla pogawędki, tu także w niedziele siadał gość, sąsiad czy sąsiadka i zabawiano się rozmową, i opowiadano ciekawostki tygodnia. My zaś, najmłodsze, urządzałyśmy tu sobie zgaduj-zgadulę. Dzieci siadały rzędem na zielonej kanapce, układały nieco rozchylone rączki na podołku, aby złota kula mogła się w nich łatwo ukryć, a poważny rozdawca złotej kuli pochylał się nad każdym dzieckiem, udając, że mu wkłada ją do rączek. A potem stawał przed nimi i mówił do swego towarzysza w tej zabawie: „Zgaduj-zgadula, gdzie złota kula?”. A ten szukał i szukał, przechodząc do kolejnych rączek, zanim ją wreszcie znalazł. A ile przy tym było śmiechu i wesołości!

Pogródka ma też i czysto gospodarskie znaczenie, bo otula dołem ścianę i chroni dom przed zimnem.

A teraz wejdźmy do mego domku. Ubożuchno tu, nie po miejsku, ale czysto, porządnie i wygodnie. Przez główne drzwi rzeźbione, przez wiejskiego rzeźbiarza i nabijane dla wzmocnienia i dla parady główkami jakichś wymyślnych gwoździ, wchodzi się do sieni. Po prawej stronie jest oddzielna część domu, gdzie są chlewy dla świń i gęsi, a nad nimi kurnik dla drobiu z drabinką do wejścia dla kur i dla gospodyni. Naprzeciwko drzwi wejściowych są drzwi do komórki, zwanej letnią kuchnią. Są w niej przechowywane zapasy żywnościowe, bo jest w niej chłodniej, okno jest tu zwrócone na północ, a do tego zacienione drzewami owocowymi. Słońce tu nigdy nie zagląda i muchy tu się nie garną. W dnie upalne jest tu przyjemniej gotować, a pokarmy nie ulegają tak prędko zepsuciu. Pod kuchnią znajduje się piwnica, której chłód znakomicie konserwuje różne pokarmy, a w szczególności mleko przed szybkim zepsuciem. Do piwnicy wchodzi się po kilku stopniach w głąb ziemi. Panuje tam taki chłód jak w lodowni, stąd mleko kwaśne przyniesione z tej piwnicy było bardzo zimne, a przez to wyjątkowo smaczne.

Po lewej stronie sieni są drzwi do izby mieszkalnej. Zwra-
ca ona ogólną uwagę swą wielkością – to nie izba, ale po pro-
stu sala. Toteż o tę salę prosili nieraz gospodarze na tańce
weselne. Pozwolenia na nie udzielało się tylko w ważnych
przypadkach, przy tańcu bowiem chłopcy tak ostro krzesali
ognia podkówkami, że drzazgi leciały z podłogi, a potem trze-
ba było wyrównywać heblem. Mateńka wykorzystała tę wiel-
kość w ten sposób, że urządziła sobie poszczególne części tej
izby według własnych upodobań. I tak w zetknięciu się ściany
północnej i zachodniej urządziła sobie sypialnię: łóżka, mały
stolik na świece, latarkę i książkę, gdyż czasem wieczorem lu-
biła sobie poczytać, i wreszcie krzeselko na zdjęte ubranie.
Ot i cała sypialnia, a do tego obraz nad łóżkiem, a dalej zegar,
a pod nim skrzynia na bieliznę. W środku ściany zachodniej
kanapa – w onych czasach sprzed ponad osiemdziesięciu laty
nigdzie jeszcze na wsi nie spotykana – nad nią obraz, a przed
nią stolik nakryty serwetą z dużym flakonem na kwiaty, obok
trzy stołki do siedzenia i krzesło w rodzaju kołyski, w którym
ojciec lubił siadać. Często brał mnie na kolana i kołysał się ze
mną, co przeogromnie lubiłam. Obejmowałam go wówczas
za szyję i pieściłam się z nim, choć byłam już dużą i rozumną
dziewczynką, ale najmłodszą, a przy tym ulubienicą ojca. Tę
część izby mama nazwała salonem, czyli pokojem dla gości.

W kącie, w zetknięciu się ściany zachodniej z południową,
stał malowany na brązowo kredensik na białe naczynia. Dalej
pod ścianą południową była długa biała ława, przed nią duży
stół, a z drugiej jego strony druga długa ława. Muszę tutaj dodać,
że te ławy to nie były takie proste ławki z czterema nogami. To
były ławy heblowane, szerokie, wygodne do siedzenia, a wspie-
rały się na nogach z takiej samej deski jak ława, pięknie wy-
krojonych dołem, nie zbijanych gwoźdźmi, tylko łączonych na
wpuś i zdobionych deseczkami z odmiennego drewna. Był to
wykwit zdolności artystycznych najlepszego stolarza z naszej
wioski. Już wiem Jacusiu, że jak to przeczytasz, to na pewno się

domyślisz, że to była jadalnia w domku prababuni. Dalej pod ścianą południową stała drewniana kanapka z ozdobnym oparciem i z szerokim siedzeniem. Kanapkę tę można było rozsuwać na noc i mogły się na niej wygodnie przespąć dwie osoby. W samym kącie ściany południowej stał stolik z różnymi narzędziami. Był to warsztatik potrzebny do przeprowadzania różnych naprawek, jakich nie brakuje w każdym gospodarstwie.

Po drugiej stronie od drzwi wejściowych stał kominek z murkiem ozdobnym od góry. Naturalnie, że na kominku palił się ogień, zwłaszcza w zimowe wieczory, a palił się dla ciepła i oświetlenia. Obsiadaliśmy kominek; cienie od ognia pełgały po ścianach, rumieniły twarze, ciepło ożywcze płynęło na izbę i ogrzewało zgromadzonych. Każdy miał w ręku jakąś robotę, a to wyplatanie koszyków, a to różne naprawy, a opowiadaniom i śpiewom nie było końca. Z kominkiem łączył się piec chlebowy, piec ogromny, na tuzin dużych bochnów chleba, oddzielony od kominka drzwiczkami blaszanymi, zawsze oczyszczonymi czarną pastą. Pod kominkiem była półka na naczynia codziennego użytku, a pod nią jeszcze miejsce wybielone na biało służące jako schowek na potrzebne rzeczy do kuchni i do gotowania. Kominek na dzień zakrywało się firaneczką marszczoną i rozsuwaną na tasie, druga taka firanka zakrywała półki pod kominkiem. Wyglądało to bardzo porządnie i stanowiło ozdobę całego mieszkania. Z kominkiem łączyła się kuchnia zimowa. Był to duży prostokąt z ozdobną galeryjką połączoną z murkiem kominka. W środku tego prostokąta była kuchenka do gotowania, dość obszerna, gdyż zmieściło się na niej kilka garnków, bo przy gospodarstwie musi się dużo gotować: dla ludzi, dla trzody chlewnej, dla gęsi i innego drobiu. Kuchenkę tę zamykały drzwiczki blaszane tak, że nie było jej widać. Otwierało się drzwiczki tylko podczas gotowania, a potem je zamykano tak, że i jedzenie i woda były gorące do wieczora. Niżej palenisko zakryte było takimi drzwiczkami jak kuchenka. Z wyglądu nie poznałby nikt, że to

kuchnia, nie widać było koło niej garnków – jednym słowem wyglądała ona o wiele porządniej niż obecne nasze kuchnie kaflowe, stanowiąc jakoby zamkniętą szafkę. Poza tą kuchnią, od ściany północnej był mały korytarzyk, którym schodziło się do piwnicy na ziemniaki, zasłoniętej drewnianymi drzwiczkami. Tu stały też schodki, którymi wchodziło się na piec (zapiecek). Stanowił on przykrycie pieca chlebowego. Wyglądał jak mały pokoiczek, a mama urządziła go dla nas do spania. Tu były nasze lalki i całe nasze dziecinne bogactwo, nikt nam nie przeszkadzał i my nikomu. Lubiliśmy to miejsce, gdyż było bardzo wygodne i ciężko nam było rozstać się z nim, gdyśmy podrosły i zaczęły chodzić do szkoły.

Z izby mieszkalnej prowadziły drzwi do alkierza. Była to druga, mniejsza izba, ale z wielkim oknem i z piękniejszą w nim franeczką. Tu było łóżko gościnne, a jak zaczęliśmy chodzić do szkoły w Tarnowie, to alkierz ten stał się naszym panińskim pokojem. Na jego środku stał stolik przykryty serwetką, na nim klosz na kwiaty, a obok trzy krzeselka. Dalej szafa na ubranie, wieszadła na ścianie i skrzynie malowane na ubrania i bieliznę oraz lustro ze stoliczkiem. Niewielkie ono było, ale wystarczało na nasze potrzeby. Pod nim stała jakaś szafka, niby komódka. Miły był to pokój, zawsze chłodny. Jak na dawne czasy to tylko Flisówna mogła się takim mieszkaniem pochwalić.

Z alkierza osobnymi drzwiami można było po dwóch schodkach zejść na podwórze i zobaczyć, że do alkierza przytykała komora wypełniona sásiekami ze zbożem i inną żywnością. Stało tam też i łóżko – ktoś bowiem zawsze musiał czuwać nad tym bogactwem żywności. Najczęściej sypiał tam parobek. To już całe mieszkanie w moim rodzinnym domku.

Od strony północnej, wzdłuż całego budynku mieszkalnego, a nawet i poza nim, ciągnął się sad, co było także jakby przywilejem Flisówny, bo w tej mojej „pańskiej” wiosce nie było koło domów sadów – dopiero zaczęto brać przykład od

Flisionki. Cóż było w naszym sadzie? Około płotu od nawsia rosły duże krzewy babskiego głogu, którego czerwone jagody zrywaliśmy do jedzenia. Pięknie on zakwitał na wiosnę, a że obok niego były inne krzewy kwitnące, np. dzikie różyczki, to całość wyglądała miło i sympatycznie tak, że zwracali na to uwagę ludzie przejeżdżający gościńcem. Nieco głębiej rosły drzewa owocowe: dwie grusze bery, jedna już była nieco leciwa, a druga – młodsza – szykowała się do zastąpienia jej na starość. A miały one wspaniałe, duże owoce i to bardzo smakowite. Sąsiadowały z nimi grusze panny: starsza i młodsza. Ojciec bowiem zawsze trzymał się zasady, że zastępstwo jest koniecznie potrzebne. Zwłaszcza w przypadku takich dobrych owoców nie można dopuścić do powstania braków. Gruszki panny miały również duże, soczyste, dobre owoce, a rodziły się obficie. Gruszki bery i panny były nowymi, szlachetnymi odmianami, które się dopiero ukazały w sadach dobrze prowadzonych. Resztę tej części sadu, która się ciągnęła wzdłuż domu mieszkalnego, wypełniały śliwy, tak zwane dymki. Mają one drobne owoce, ciemnoróżowe, osnute farbą niby dymkiem – stąd ich nazwa. Najważniejszym ich walorem było to, że dojrzewały najwcześniej.

Do sadu wchodziło się bramką, tuż koło komory. Zaraz na wstępie była grządka z kwiatkami, jakie wtedy były obowiązkowe tam wszędzie, gdzie były dziewczęta, a więc: ruta, nagietka, malwa, rezeda, słonecznik, róża i pachnąca lewko-
nia. Za nimi rosły jabłonie ze słodkimi jabłkami, które cieszyły się powodzeniem u dzieci. Środek ogrodu zajmowała gospocha sadu – grusza muszlotarnia – rodząca drobne, ale jakże smaczne i pachnące gruszcзки. Była ona tak rozłożysta, że swymi gałęziami ocieniała i zajmowała znaczną część ogrodu, a pod nią już nic nie rosło, co najwyżej zielona trawa. Pod nią dobrze było siedzieć, bawić się i zbierać gruszcзки, które co chwilę spadały z niej na ziemię. A miała tych gruszczek na swych gałęziach mnogość niezliczoną – więcej było widać

żółtych owoców niż zielonych liści, a gosposia, siedząc pod parasolem swych gałęzi, pyszniła się nimi, sypiąc gospodarzowi już nie ćwierci, ale korce swych owoców. Grusza robiła wrażenie bogatej pani siedzącej pod parasolem, zwłaszcza jak mateńka usiadła sobie w jej cieniu z robótką w ręce, a my ustawiliśmy nasze lalki i z siostrą uganiałyśmy się pod jej gałęziami, szukając spuszcanych nam przez nią gruszek. Rosła też i druga jej imienniczka, by ją kiedyś godnie zastąpić, chociaż ta duża wcale się do starości nie poczuwała, rodząc ciągle swe dzieci wprost w niebywalej obfitości. Dalszą część ogrodu wypełniały śliwy węgierki. Było ich tyle, że dostarczały wystarczającą ilość powideł i suszonych śliwek na coroczny post.

Wyprowadzę cię teraz, mój Jacku, przed domek od strony południowej, gdzie rozścieliło się obszerne podwórze. Było ono wysypane piaskiem, zawsze czysto umiecione, a jedynie na Zielone Świątki obsypane pachnącym tatarakiem, który był wszędzie: i na podwórzu, i w izbie mieszkalnej. Ściany domu, a nawet stajnie, były w tym czasie przybrane zielenią tak, że całe obejście wyglądało odświeżenie i zielono, udowadniając swym przybraniem nazwę Zielonych Świąt. Podwórze tylko w jednej swej części, przytykającej do innego ogrodu, było pokryte zieloną trawą, nad którą pochylała się korona drzewa jaworowego. Na tej zielonej trawce, jak ją nazywaliśmy murawą, lubili odpoczywać i swoi domownicy, i pracownicy polni podczas poobiedniej przerwy. Mama niekiedy podawała tam obiady pracownikom polnym, a i my lubiliśmy je spożywać pod jaworem. Wynoszenie jednak jedzenia w garnkach czy miskach było dla mamy dosyć uciążliwe, dlatego często pomagały jej w tym starsze siostry, o ile były w domu, lub babulka – nasza komornica.

Podwórze to bardzo ważna rzecz dla gospodarstwa, a i dla nas, dzieci, miało ono nie małe znaczenie. Dla nas, młodych, był to stadion, który odgrywał taką samą rolę, jaką obecnie spełniają terazniejsze boiska dla młodzieży – tu bowiem

odbywały się wszelkie nasze zabawy. Do tych zabaw matenka pozwalała nam zapraszać tylko dzieci dobre i grzeczne. Były bowiem i dzieci niedobre, które przezywały nas „paniczki”, a czasem były różgami. Matka nie pozwalała nam wychodzić na wieś i bawić się z nimi, gdyż po powrocie powtarzałyśmy brzydkie wyrazy, które usłyszałyśmy od nich.

Na naszym podwórzu bawiliśmy się w wyścigi. A były one różnego rodzaju, np. wyścigi „zwykłe”, to znaczy, że goniliśmy do celu. Kto pierwszy dobiegł, ten dostawał w nagrodę jabłko lub gruszkę. Były też wyścigi „pieskowe” to znaczy goniliśmy na czworakach. Ponieważ były one trudniejsze, zwycięzca dostawał i jabłko, i gruszkę. Wyścigi „kuczące” – te były już najtrudniejsze. Trzeba było bowiem kucnąć i w tej postawie posuwać się naprzód. Nagroda była o dwie śliwki bogatsza. Wreszcie najmilsze były wyścigi „konne”. Odbywały się w następujący sposób. Grubszą gałąź ucinano w miejscu, w którym z obu jej stron wyrastały mniejsze gałązki. Gałązki te przycinano w odległości około dziesięciu centymetrów od grubszej gałęzi tak, że wyglądały one jak dwa rożki. Wszystkie trzy razem wzięte stanowiły głowę naszego konia. Konie nasze po ostruganiu ich z kory były żółte, a więc były bułankami. Na głowę takiego konia zakładało się sznurki jako uzdę, siadało się jak na konia, cmokało się, jak to robi furman, i wio, bułanku, wio! To ci, Jacku, była rozkoszna jazda. Nawet popędzało się konie bacikiem, a co gwaru i „wiowania”. Zwycięzca dostawał nagrodę przeważnie w owocach. Muszę ci się, Jacku, przyznać, że rzadko zdobywałam nagrodę, bo byłam najmłodsza, ale czasem mi się trafiała, gdyż byłam żwawa i przedsiębiorcza, i uparta w postanowieniach.

Oprócz wyścigów odbywały się tu i inne zabawy, jak np. ojciec Werginiusz, pytką, kukuleczką, jawor – jawor, ptaszek itd. W ptaszka bawiliśmy się tak, że robiliśmy koło – w środku stawał ptaszek. Koło się kręciło wokół niego i śpiewano: „Lata

ptaszek po ulicy, zbiera sobie groch z pszenicy, co uzbiera dziobkiem kole, a ja sobie Jacka wolę”. Wtedy wybrany wchodził do środka koła i zwalniał poprzedniego. Zabawa jawor-jawor: dzieci ustawiały się jedno za drugim, kładąc ręce na ramiona poprzednika. Dwoje najwyższych dzieci, biorąc się za ręce, podnosili je w górę i korowód przemaszerowywał pod tą „bramą”, mówiąc przy tym: „Jawor, jawor, jaworowe liście, gdzie to wy, dzieci, byliście? My was wprawdzie przepuścimy, lecz jedno z was zostawimy”. Wówczas ostatnie dziecko z szeregu oddzielały ręce „bramkarzy”. Trwało to dotąd, aż wszystkie dzieci zostały oddzielone. Były i inne zabawy. Przecież i między dziećmi trafiali się wynalazcy, którzy poddawali myśli do nowych zabaw. Były to zabawy dziecięce, samowymyślne lub gdzieś u kogoś podpatrzone.

Kiedy my, podwórzowcy, zaczęliśmy chodzić do szkoły, nauczyliśmy się tam innych zabaw, wierszyków i piosenek. Wtedy najczęściej bawiliśmy się w szkołę. Dzieci siadały na pogródcie, a nauczyciel stał z kijem na środku i pytał o różne mądre rzeczy. Kazał wygłaszać wierszyki, były śpiewy pojedynczych dzieci, śpiewaliśmy wszyscy razem, była i gimnastyka. Nauczycielką lubiłam być, bo nie brakło mi nigdy pomysłów na ciekawe pytania, byłam wygadana, rezolutna i dzieci same mnie powoływały na nauczycielkę i najlepiej mnie słuchały, a gdy „łapę” czasem ode mnie oberwały, to się nie gniewały, bo to w szkole było „musowe”. Nauczyciel nasz nie żałował nam „łap” i stania na środku klasy, to i w zabawie nie mogło tego braknąć.

I przyszedł czas, że dziecinne zabawy się skończyły, kiedy zaczęliśmy chodzić do szkoły wydziałowej w Tarnowie. Ale i wtedy podwórze oddawało wielkie usługi. Tu się zbierali szkolarze¹ z naszej wsi i z Krzyża, i z Lisiej Góry, a nawet i z Tarnowa czasem znajomi studenci zachodzili.

¹ Szkolarze – uczniowie.

Wówczas prowadziliśmy poważne rozmowy o Sienkiewiczu i Mickiewiczu, wygłaszaliśmy wiersze wieszczą, sypały się dowcipy Zagłoby – i czas nam, szkolarzom, upływał bardzo pożytecznie. Przy takich zebraniach nie obeszło się nigdy bez koncertów, śpiewu i muzyki. Uczestnicy obsiadali wtedy zieloną, darniową kanapkę i koncert śpiewu zaczynał się od piosenek Moniuszki, a dalej następowały śpiewy patriotyczne i powstańcze.

Wieczorami, kiedy już ludzie po pracach codziennych obsiedli dla wypoczynku progi swego domu lub wyniesione ławki, rozpoczynaliśmy nasz koncert pieśnią:

*Po nocnej rosie, płyn wdzięczny głosie,
niech się twe echo rozszerzy,
Gdzie nasza chatka, gdzie stara matka
krząta się koło wieczerzy.*

I płynęły nasze głosy po nocnej rosie, a echo ich rozchodziło się po polach, wsi i całej naszej parafii, a słuchali ich ludzie z przyjemnością, szepcząc zdrowaśki wieczornego pacierza. Z początku pytano: „Gdzie tak pięknie śpiewają?”. Odpowiadano: „A to w Pawężowie, u Flisionki. Tam się zbierają wszystkie szkolniki. Śpiewają i grają, i to bez żadnej hulatyki, bez obrazy Boga, tylko dla przyjemności. Ot, widzicie, przecie i my, i po innych wsiach, słuchamy z uciechą tych śpiewów. Nasz pan nauczyciel Banek, kierownik szkoły z Lisiej Góry, który pierwszy uczył nas poznawać abc, mawiał do nas: „Piękne są te wasze śpiewy. Słuchamy ich na ganku, a chłopców moich nie mogę utrzymać w domu. Biegną do was, by wziąć udział w tym śpiewie. Piękne to i pożyteczne. Ludziom się podoba i przyswajają sobie melodie i słowa, a jak czego nie rozumieją, to się mnie pytają. Nawet już pastuszkowie na polach nuć te melodie, gwizdają lub wygrywają na piszczałkach. A jak jeszcze zagra wasza muzyka, to ludzie słów nie mają na wyrażenie swej radości”.

A nasza muzyka składała się z kilku muzykantów. Jasiu Grabczyński, uczeń siódmej klasy gimnazjalnej, grał na harmonii wprawnie i pięknie. Kazio Wilczyński – na okarynie. Grały też mandolina i zwyczajne bandurki, były i pokrywki do taktu, a taka ta muzyka była rytmiczna, tak zgrana, że całość wypadła pięknie. A jak dla słuchaczy zagrali krakowiaka czy mazura, to oklaski słyszeć było można nawet z dalszych wsi. Jasio Grabczyński, który przyrzekł umierającej matce, że pójdzie na księdza – i poszedł, ale nie mógł żyć w seminarium i wystąpił – opowiadał później, już jako profesor, nam, nauczycielkom: „Wierzcie mi, wieczory wasze nie dały mi wytrwać w seminarium. Na wspomnienie ich czułem dziwną tęsknotę, a nawet dziś ją jeszcze czuję i zdaje mi się, że do śmierci będą dla mnie najmielszym wspomnieniem. Tam poznałem najpiękniejsze porywy młodzieńcze. Wieczory te, zwane inaczej »pod jaworem«, nauczyły kochać mnie to wszystko, co piękne, wzniosłe i szlachetne”.

Zatrzymałam się dłużej nad moim rodzinnym podwórkim, bo na nim spędziłam wiele chwil szczęśliwego mego dzieciństwa.

Za podwórzem, nieco wyżej, stały zabudowania gospodarskie i tam cię teraz, Jacusiu, zaprowadzę, gdyż one też należały do mego domku rodzinnego, a zacznę od pierwszego z brzegu, to jest od stajni. Stajnia ta to też wielka izba. Dawniej bowiem o drzewo było łatwo, nikt ich nie wycinał, jak to się teraz robi. Rosły sobie jodły, dęby, mężniały i śmigały w górę, a kiedy kto potrzebował drzewa na dom, to sobie wybierał w lesie takie, jakie mu były potrzebne, płacił właścicielowi i rąbał. Nie wносиło się wtedy prośby do urzędu o pozwolenie, jako się teraz robi, nie było żadnych utrudnień. Właściciel mógł sprzedać, nie pytając nikogo o pozwolenie. Nam było tym łatwiej, że mieliśmy po dziadkach swój las, nie liczyliśmy się z nikim i wybieraliśmy drzewa, jakie nam odpowiadały. Toteż nasze budynki były obszerne i z mocnego, zdrowego drzewa. Stajnia była więc wielka.

Od miejsca, gdzie stało bydło, była ona podzielona na dwie części, a przedzielał je ściek, którym spływały nieczystości od bydła, a następnie odpływały otworem pod przyciesią do beczki z gnojówką. Przy myciu stajni tą samą drogą odpływały brudy. Po jednej stronie ścieku stały zwykle cztery krowy i jałówka, a dalej była klatka na cielęta i druga klatka na barany. Niewieleśmy ich chowali, zwykle dwa barany i dwie lub trzy owieczki. Dawały nam one wełnę na sukno i skóry na kozuchy. Po drugiej stronie ścieku stała para koni i klatka na żrebaka. Przy nich sypiał zwykle parobek. Wzdłuż tej samej ściany stały żarna, a pod nimi, a właściwie obok nich, stała krótka ława na nieckę, do której sypała się mąka podczas mielenia. A męło się tu zboże prawie codziennie w porze zimowej, aby starczyło mąki na chleb na całe lato. W lecie bowiem nie ma czasu na mielenie.

Pod przeciwną ścianą, pod okienkiem stało łóżko naszej komornicy, nazywanej przez nas babulką, a koło łóżka ławka. Ta nasza babulka miała pieczone nad stajnią, a ponieważ w niej mieszkała, dbała o jej czystość i porządek. Bydło i konie to były jej dzieci, szła między nie, rozmawiała z nimi jak z ludźmi, pieściła i dawała im chleb. Stworzenia ją rozumiały i ona je też. Gdy była między nimi, pytała np.: „Łysula, a cóże się ty ze mną tak pieścisz, chcesz czego?”. Krowa zamruczała. „Chleba ci dać? No już ci daję. A ty, zbytnico, siano masz i jeszcze ci się chleba zachciewa. No zjedz se ta, zjedz, ale mleka dasz mi więcej”. I tak z każdą krówką porozmawiała, one ją rozumiały, lizały szorstkimi językami, głowy do niej przytulały, a ona je głaskała jak dobra wróżka. Czyściła je tak, że się sierść na nich świeciła i nawet na chwilę nie przestawała z nimi rozmawiać. Gdy weszła między konie, też ją witały radosnym rzeniem. Wolały ją niż parobka. Pogadala z nimi, zbadała obrok, pogłaskała, a czasem i na parobka pokrzyczała. Taki to był człowiek z tej babulki, pracowita jak mrówka, chwili

nie zmitrężyła. Poza stajnią pomagała mateńce i była jej dużą wyręką, a w czasie pilnych robót to i w pole szła pomagać. O nas, dzieci, dbała jak o własne. Pomagała nam w naszych zabawach, a nawet broniła przed gniewem mamy i ojca.

A miała ona męża, chłopca zdrowego i mocnego. A o ile ona była pracowita, o tyle on był leniem. Pracy się nigdy nie miał, zasmakował we włóczędze i miesiącami chodził od jednej do drugiej wsi, i to nawet do tych dalekich. Na włóczęgę wybierał się, wdzierając dość przyzwoite ubranie, na plecy brał worek na sznurkach jak plecak, w pasie wiązał się sznurkiem, z którego po obu bokach zwisały sakwy, czyli woreczki, jakby duże kieszenie. Na to przywdziewał, a właściwie na ramiona zakładał, płaszcz. Nie miał on ani jednej dziury, ale miał na sobie tyle łat, że trudno, by komuś udało się je policzyć. Do dobrego bowiem tonu dziadowskiego należało mieć coś na sobie połatanego. Więc kładł on te łaty na całkiem dobrym płaszczu i sam je przyszywał. Gdy brakło miejsca na płaszczu, to przyszywał na starych łatach. A lubił bardzo łaty krasne, kolorowe tak, że płaszcz jego pstrzył się różnymi barwami i był z daleka widoczny. Tych łat dostarczała mu mama. Szła nam ona różne ubranka, a ścinki materiałów chowała dla niego. Płaszcz ten był tak wytapetowany łatami, że one jak kozuch chroniły od zimna, a po kolorach poznawano go z daleka. Dzieci wybiegały na jego spotkanie i prowadziły do swoich domów. W owych czasach taki wędrowny dziadek był mile widziany, opowiadał bowiem wszystko, co się w której wsi działo, czyli był on dla ludzi jakby gazetą. Zwiedzał liczne wsie okoliczne, bo jego włóczęgi trwały dwa a nawet i trzy miesiące. Przynosił z nich worek i sakwy wyładowane do pełna chlebem, którego u nas nikt nie potrzebował, więc babulka używała go do karmienia swych ulubienic – krów, koni i cieląt. Dostawało się i pieskowi Wiernusiuowi, a także kurom i gąskom.

Obok stajni biegła ścieżka prowadząca wokół gnojowni, oddzielonej płocikiem, za stajnię, gdzie stał – ku podziwowi mieszkańców „pańskiej” wsi – wychodek. Wychodek w tych czasach to był prawdziwy luksus. Wychodzono po prostu za zwykłą, naturalną potrzebą za stodołę. Określenie to „za stodołę” używane jest jeszcze do dziś w słowniku polskim, a przede wszystkim wiejskim. A na taki luksus któż mógł sobie pozwolić? No naturalnie – Flisówna! Sąsiedzi z przekąsem mówili, zwłaszcza kobiety: „Kumo, kumo – słyszeliście ostatnią nowinę? Nie? Toć Flisionka zrobiła sobie pałac... na sranie. Nie wierzycie? Idźcież się przypatrzeć!”

Niewiele kuma przesadziła, mówiąc, że to pałac. Wuj Maciej bowiem, majster cieśla i stolarz, zrobił naprawdę – na przekór babskim językom – porządną budkę, porządniejszą niż niejedna budka na wodę sodową i lody w Gorlicach, i to jeszcze na samym rynku. Stryj Maciej zrobił naszą budkę z porządnych, nowych desek, a w niej dwa pawilony, w tym jeden gościnny. Pokrył ją gontami, a wchodziło się do niej po trzech schodkach. Cieszył się krotochwilny staruszek Maciej, że baby będą miały na czym strzępić sobie języki. Co strzępić, to strzępić, ale zaczęła ich zaraz dręczyć zazdrość i w sekrecie przed innymi, gdzieś za stodołą zaczęła niektóra majstrować jakiś taki skromny, wstydlivy, nieznaczný pawilonik, a potem po cichu naśladowały ją inne. Tak więc nasz pałac stał się dobrym przykładem i nasza „pańska” wieś była jedyną w powiecie, w której mieszkańcy wprawdzie chodzili za stodołę, ale kryli się w choćby najnędzniejszej budce. Nauka więc nie poszła w las!

Tu wspomnę jeszcze i o tym, że z intymnymi pawilonkami na wsi nie było wcale tak łatwo. Byłam raz, jako mężatka, w 1937 roku na leczeniu w Morszynie. W tym czasie przyjechał tam znany pisarz Wiktor. Miejsca w willach były już zajęte, więc ulokował się w domu gospodarza, aby dokładniej móc się przypatrzeć życiu tamtejszych mieszkańców i coś

o nim napisać. W cztery dni po jego przybyciu ukazał się artykuł, w którym z wielkim humorem opisał, jak z braku wychodka musiał po dawnemu, jako nasi dziadowie, chodzić za stodołę. Artykuł ten wydzierano sobie z rąk do rąk, a co śmiechu i uciechy mieli kuracjusze. Jedna z kuracjuszek – jak wieść niosła – ofiarowała mu się nawet odstąpić trochę miejsca w swoim pokoju, byleby go uwolnić od chodzenia za stodołę. Może i przyjął taką ofertę od takiej, która przypadła mu do gustu, ale już o tym nie napisał.

Przekonałam się wtedy, że mój „pałac” pawężowski był w tych czasach wielkim kulturalnym ewenementem, tylko nikt o nim nie napisał, nikt nie podał do publicznej wiadomości tego kulturalnego wyczynu naszej „pańskiej” wsi.

Robiąc dygresję o Morszynie, chciałam pominąć moją w nim przygodę. Sądzę jednak, że należy ci się, mój praw-nusiu, wyznanie szczerzej prawdy, abyś całkiem źle nie pomyślał o bezbożności prababci. Idą jednak takie czasy, że to, co my, dziś starzy, uważamy za bezbożne, to młodzi wkrótce będą uważać za zaletę, przymiot i rozum. Zatem wyznaję bez ogródek swój grzech.

Morszyn leczy swych pacjentów przede wszystkim wodą, tak zwaną naftusią, po wypiciu której musi się wkrótce szukać wygodki. Dla kuracjuszy wybudowano pokaźną ilość wygodek w lesie przytykającym do źródła. Aby zaś nimi nie oszpecać lasu, pomalowano te pawiloniki na zielono i one niby altanki czy leśne domki, służąc potrzebie, przyozdabiały las, w którym kuracjusze zażywali spacerów i koniecznych przechadzek po wypiciu wody. A ciągnął się ten las daleko i sięgał hen aż na zbocza górskie. Postanowiłam jednak dotrzeć aż do jego granicy. Nie była to jednak zbyt bezpieczna wycieczka. Czytałam bowiem w tym czasie w gazecie, iż w Truskawcu, uzdrowisku położonym niedaleko Morszyna, pewną kuracjuszkę szukającą samotności w lesie napadł bandyta, obrabował i mocno poturbował. Lecz urok lasu zwyciężył wszelkie moje



*Katarzyna Szatko
w Morszynie i Truskawcu, 1937 r.*



*Katarzyna Szatko
w Morszynie, 1937 r.*

skrupuły. Idę więc coraz dalej i zachwycam się życiem leśnym. Szum lasu gra cichutko, kołysze i śpiewa kołysankę, dzięcioły jak kowale kują dziobkami, pukają w korę, wystraszając szkodniki drzew, które następnie zjadają ze smakiem, oczyszczając w ten sposób lasy. Inne ptaszęta świergołą przeziło, wilga gwiżdże niby krakowski antek², kukulka kuka, a ja sobie wróżę z jej kukania, ile lat będę jeszcze żyła. Wiewiórka wyprawia harce gimnastyczne, popisując się swymi skokami ponad drzewami. Mnie zaś zrobiło się tak miło, tak bardzo miło, że straciłam rachubę czasu i zapomniałam o niebezpieczeństwach, o bandytach. Już nie napotykam w lesie nikogo, żadnej żywej duszy, a końca jego nie widać. Wtem słyszę jakiś głos ludzki i nawoływanie – ocknęłam się z zachwytów leśnych i zwróciłam wzrok w stronę, skąd dochodził głos, i oto widzę mężczyznę w jakimś niby mundurze, który z góry

² Antek – wyrostek, ulicznik, łobuziak.

schodzi leśną drożyną w moją stronę. Zaniepokojona natychmiast zawróciłam. Obraz kuracjuszki z Truskawca stanął mi przed oczyma. Boczkiem spoglądałam w stronę nadchodzącego mężczyzny. A on idzie. Serce mi kołacze. Zaczynam iść coraz szybciej. On też przyspieszył. O ucieczce nie ma mowy – ludzi ani na lekarstwo! A on zaczyna gwizdać. „Coraz lepiej – myślę sobie – znikąd ratunku, tylko z lasu dobiega coraz wyraźniejszy szelest, jakby ktoś przedzierał się przez krzaki”. W tym strachu przyszły mi na myśl słowa wieszczki z wierszyka *Powrót taty*: „Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek”, a ja dodaję od siebie: „Bierz pieniądze, bierz cnotę, tylko puszczaj mnie zdrowo, nie róbże moich sierotami dziełtek i młodego męża wdowcem!”. Przy tych słowach – on już przy mnie! Uśmiechnął się łobuzersko, jak gdyby znał moje myśli, uklonił się szarmancko i nic! Przeszedł obok mnie grzecznie, a z lasu przybiegł do niego zapewne jego pies. Zrobiło mi się głupio. Tyle strachu i chęci ofiary, i to wszystko na darmo! Był to leśniczy tych lasów, młody i przystojny facet.

Po powrocie z Morszyna, kiedy Kazia Lewicka, nasza przyjaciółka, zrobiła przyjęcie na moje powitanie i sprosiła – jak to zwykle bywało – państwa Skwarów ze Stróżówki, państwa Augustynów z Glinika Mariampolskiego, państwa Janekowskich, nauczycieli ze szkoły żeńskiej w Gorlicach, a także księży katechetów: Teofila Górnickiego, Kreszkę i Franciszka Szatkę zdałam sobie sprawę, że wszyscy czekają na moje wrażenia z pobytu i kuracji w tym uzdrowisku, które dopiero w tym czasie zaczęło zdobywać popularność na polskiej ziemi. Dla każdego gościa miałam przygotowany właściwy upominek z tamtejszego regionu, jak makatki, serwetki, dywaniki, ceramiczne wazy itp. Najważniejszą jednak sprawą było dokładne zdanie relacji z pobytu i przeżyć w tym uzdrowisku, więc zaczęłam opowiadać wszystko, a na końcu moją leśną przygodę. Ależ to goście mieli uciechy – wprost się zaśmiewali i dokuczali mi tą moją wzgardzoną ofiarą, jednocześnie



Wojciech Szatko, Jakub Skwara, Józef Augustyn, 1938 r.



Ksiądz Górnicki i profesor Ginalski, Gorlice, 1942 r.

podziwiając mój humor, bo opowiadałam im to z takim przejęciem, minami i szykanami, jak gdybym odgrywała rolę przed publicznością w teatrze. Rozbawieni goście prosili też o inne wrażenia. Nie dałam się długo prosić i zaczęłam:

„Pewnego dnia, idąc do domu zdrojowego spotykam – czy możecie w to uwierzyć? – księdza katechetę Kreszkę, znanego przecież u nas, w Gorlicach, jako nieubłaganego i nieprzejednanego wroga niewiast. Stałam wielce zdumiona. »A to co? – myślę sobie – On tu, w samym gnieździe kobiet, boć przecież w każdym uzdrowisku jest przewaga kobiet i w każdym z nich panuje rozluźnienie obyczajów. To bardzo dziwne!«. A on tymczasem kłania się i z uśmiechem podaje mi rękę na powitanie. Pominę tę pierwszą z nim rozmowę i od razu powiem wam, że ten wróg niewiast na terenie uzdrowiska zaczyna się... puszczać”. (Zważ na to, że on jest wśród gości i słucha.) Roześmiani goście krzyczą: „No mów, kobieto, jak i naturalnie z kim!”. A ja skromnie spuszczam głowę i powiadam cicho, wskazując palcem na siebie: „Toć ze mną, a jak, to zaraz opowiem. Otóż w każdy dzień przed godziną ósmą rano spotykamy się w oznaczonym miejscu przed pijalnią. Gdy o ósmej zagra muzyka pieśni *Kiedy ranne wstają zorze*, stajemy na baczność, a po jej wysłuchaniu idziemy do pijalni. Napojeni wodą życia – naftusią – spacerujemy zgodnie z zaleceniem lekarza, ale tylko wokół i w pobliżu pijalni i na oczach kuracjuszy. A że taki spacer mi się znudził, więc pewnego dnia robię księdzu Kreszce taką propozycję: »Chodźmy dalej w las, tam jest tak pięknie, a kuracjusze również tam spacerują«. Zgorszony nasz ksiądz katecheta popatrzył na mnie wzrokiem, który mówił bez żadnej wątpliwości: »Idź precz, szatanie, ode mnie« – no i zaraz się pożegnał. Nie wzięłam sobie tego despektu do serca, znając siłę i charakter wody zdrojowej. Pomyślałam, że widocznie woda swoje zrobiła i on rad nierad musiał odejść”.

Tej całej mojej opowieści słucha sam katecheta we własnej osobie, kiwa z politowaniem głową i wreszcie rzecze: „No

patrzcie państwo, ta pani Szatkowa, którą miałem za wybraną i najrozumniejszą spośród rodu niewieściego, a to jest takie same niepocziwe i kłamliwe stworzenie jako wszystkie niewiasty”. „O, katecheto i kolego kochany za takie niepocziwe słowa o mnie muszę cię ukarać!”. A goście krzyczą: „Ukarz, ukarz go w imieniu nas wszystkich kobiet!”. „Tylko jak? Już wiem – obejmę jego szyję rękoma i ucałuję go. On tego nie cierpi, więc będzie to dla niego największą karą, tym bardziej że on boi się kobiet jak diabeł wody święconej”. Zerwał się przerażony katecheta i błaga: „Ratujcie mnie państwo kochani, bo ta szalona kobieta gotowa to zrobić”.

Ależ było śmiechu i wesołości, a pani Kazia, gospodyni, ściska mnie i dziękuje, że jej tak rozweseliłam gości.

Oдноśnie do wrogości wobec kobiet to katecheta miał w tym względzie poważne powody. Jako młody i bardzo przyzwoity wikary był narażony na uwielbienia kobiet, a nawet jedna całkiem za nim zbzikowała i miał z jej powodu wiele nieprzyjemności. Porzucił więc służbę parafialną, a został katechetą w męskiej szkole w Gorlicach.

Rozbawieni goście prosili jeszcze i o inne wspomnienia. A wesołych przeżyć było jeszcze sporo w Morszynie, boć przecież do uzdrowiska przyjeżdżało dużo różnych typów i typków różnych profesji i wyglądu. Nie mając nic do roboty, obserwowałam ich, robiłam różne uwagi, przy czym bawiłam się doskonale. W tej zabawie dopomagały mi dwie koleżanki po fachu – jedna starsza, ale pełna humoru, druga młoda, pełna powabu, która swym perlistym śmiechem zwabiała przechodzących, często nawet młodych mężczyzn, do stolika. Wesoło było w naszym towarzystwie. Często robiono nam zdjęcia i kilka takich amateerek przywiozłam do domu na pamiątkę z miłego pobytu w Morszynie i jako wspomnienie moich sympatycznych towarzyszek, których dotąd jeszcze nie mogę zapomnieć.

Pisząc o koleżankach, muszę wspomnieć tu także o towarzyszu przy stoliku obiadowym. Przysiadł się raz do mnie przy obiedzie pan około pięćdziesiątki, przystojny, inteligentny i pełen humoru. Godziny obiadowe w takim towarzystwie upływały przyjemnie i wesoło, nigdy nie brakło tematu do rozmowy. Uważałam tylko, że ten pan jest wielkim obzartuchem. Patrząc na jego porcje obiadowe, zdumiewałam się, gdzie on to pomieści. Raz przy takich obfitych daniach pytam go: „Właściwie na jaką chorobę pan się leczy?”. Odpowiada: „Na cukrzycę, dobrodziejko kochana”. „Co – pytam – na cukrzycę? Toż raczej się pan zabija, aniżeli leczy”. A on z humorem: „Dobrodziejko kochana, toć ja przed dietą, jakiej mi nie szczędzi żona, uciekłem tu, aby sobie porządnie podjeść i jeść to, na co mam ochotę, by później wytrzymać przez rok dietę, jaką mi żona serwuje, a ona ufa diecie morszynskiej”. „Ależ to z pana dzieciuch stary żeby tak psuć całoroczną pracę żony i swoje własne zdrowie. A jak ja żonie napiszę?”. „Nie zrobisz tego, dobrodziejko kochana, bobyś zepsuła nasze miłe obiady, a jesteś przecież takim dobrym, kochanym stworzeniem”. I nie napisałam, a on dalej się obżerał niedozwolonymi potrawami i popijał piwo, a ja jadłam tylko kaszki, jarzynki i lemoniadkę z połową cytryny.

W Morszynie urzekła mnie atmosfera poranku. Na godzinę przed otwarciem pijalni kuracjusze zażywają, zgodnie z zaleceniem lekarzy, porannego spaceru. Wraz z wybiciem ósmej godziny muzyka na deptaku zaczyna pieśń *Kiedy ranne wstają zorze* i wtedy jak na komendę staje każdy w miejscu, gdzie go pieśń zastaje, na baczność. Głowy mężczyzn się odkrywają, co bez sprzeciwu czynią i Żydzi, nawet ci z pejsami w czarnych chałatach, i tak stoją aż do ukończenia pieśni. Dopiero wesoła polka zwalnia ich z tej pełnej czci postawy i rozpoczyna się rozdawanie wody i życie towarzyskie. Chwycił mnie za serce ten pierwszy hołd złożony Bogu z rozpoczęciem dnia.

Dziś się takich rzeczy nie czyni, można Go raczej obrazić, niż uczcić, takie to teraz nastały zwyczaje.

A teraz, Jacusiu, wróćmy po tej przerwie w zwiedzaniu do naszego obejścia, w to miejsce, do którego razem doszliśmy. Spójrz, oto gnojownia. Musi być ona zawsze w pobliżu stajni, to i u nas tam była. Jak już wspomniałam, była ogrodzona niskim płocikiem, aby kury nie rozgrzebywały nawozu. W jednym miejscu był wolny odstęp do wynoszenia nawozu ze stajni, a następnie do wywożenia go w pole, ale zatykało się go deską. Gnojownia była przykryta ziemią lub słomą, by uchronić nawóz od wietrzenia, a tym samym i od nie milej woni w obejściu oraz od mnożenia się much, których rozrodczości sprzyjają wielce wszelkie nieczystości. Dookoła gnojowni posadzone były drzewa śliwkowe, a ich owoce nazywaliśmy gnojarkami. W rzeczywistości były to najzwyczajniejsze lubaszki. Nie pachniały one oczywiście gnojem i były nawet dosyć smaczne. Dzięki drzewom śliwkowym gnojownia nie robiła negatywnego wrażenia na podwórzowcach, przypominając raczej mały ogródek.

Do ściany stajni przytykała stodoła, zajmująca sobą dużą przestrzeń. Przeznaczona była w połowie na siano, a w połowie na wiązki słomy, z której robiło się sieczkę dla bydła. W środku stodoły, pomiędzy częścią, w której składowano siano, a tą, gdzie trzymano słomę, znajdowało się klepisko z ubitej, twardej gliny, na którym młócono zboże cepami. Do stodoły wchodziło się z boiska³ przez duży otwór wycięty w ścianie.

Siano w stodole miało powodzenie nie tylko u bydła, lecz u wszystkich domowników. Lubili oni bowiem sypiać na świeżym sianie, bo to było międko, a siano mile pachniało. Wszyscy więc woleli spanie w stodole aniżeli w domu.

³ Boisko – kryte pomieszczenie gospodarcze, rodzaj wielkiej sieni w ciągu pomieszczeń mieszkalnych i gospodarczych chaty, zadaszone klepisko, na które wjeżdżały wozy np. z sianem. Znaczenie tego słowa autorka wyjaśnia w dalszej części.

Widzisz, Jacku, że mimo braku pokoi gościnnych nie brakowało w mym domku miejsca do spania dla gości. Nie brakowało też i prześcieradeł. Były one nieco grube, ale takie właśnie były potrzebne do ścielenia na sianie. Na boisku było też łóżko gościnne, bo i siano tu pachniało i ściany były przewiewne, pował nie było, więc powietrze było świeże, chłodne i zdrowe.

Prześcieradeł, czyli tak zwanych łoktuszy, do ścielenia również nie brakowało, bo się u nas robiło płótno. Ten dział pracy należał do mamy i do komornicy – babulki. One len plewiły. Wymagał on wielkiej troski i delikatności we wszelkich robotach koło niego, a w szczególności w plewieniu. One też go przygotowywały do międlenia⁴, a wreszcie, po wyprodukowaniu płótna, one go bieliły. W miesiącu października odbywało się zwykle międlenie lnu. Wówczas nasze podwórze roilo się od ludzi. Sąsiadki przychodziły pomóc mamie. Ustawiało się więc kilka kobiet z międlicami i przez jakiś tydzień słyhać było charakterystyczne ciukanie⁵ międlic i wesoły śpiew. Taki był bowiem zwyczaj, że przy międleniu trzeba było śpiewać i cieszyć się, aby się później podobać w lnianych koszulkach.

Po wymiędleniu łodyg lnianych przygotowuje się z nich przedziwo na zimę, a wyrobione z niego płótno bieli się na trawie do słońca. Mateńka robiła trojaki płótno: najgrubsze, tak zwane zgrzebne, na worki i płachty, pacześne, znacznie cieńsze, które używano na bieliznę roboczą, a wreszcie najcieńsze na najlepszą i najdelikatniejszą bieliznę. Uprawa i obróbka lnu kosztowała dużo pracy, dlatego dzisiaj już mało kto uprawia len w swoim gospodarstwie. Len, jako roślinę przemysłową, uprawia się dzisiaj w niektórych regionach na wielką skalę. Po zebraniu z pola zawozi się do fabryk, a te przeraabiają go na różne materiały i tkaniny.

⁴ Międlenie – oczyszczanie włókien lnu z paździerzy.

⁵ Ciukać – lekko uderzać czymś ostrym, stukać.

Miesiąc październik dostał nazwę od paździerzy, które przy międleniu lnu z włókien odpadają. Lękam się, że ponieważ teraz już nie międlili się lnu, obecne władze zmieniają tę starą nazwę miesiąca. Przecież Polska Ludowa zmienia wszystko, co stare i co miało ugruntowaną i uzasadnioną nazwę na nową, związaną z Leninem lub jakimś innym wywrotowcem.

W naszym obejściu stała też i druga stodoła po drugiej stronie boiska, nie mniej duża i obszerna, przeznaczona na zboże zwożone z pola. Boisko między tymi dwoma stodołami zajmowało dużo miejsca tak, by mogła na nie wjeżdżać fura wysoko załadowana snopkami, naturalnie razem z końmi. Z wozu zrzucało się snopy do stodoły. Do sprawnego przeprowadzenia tej pracy potrzeba było troje, a nawet czworo ludzi. Jeden brał na żelazne widły snop i rzucał do stodoły, tu zabierał go ktoś z pomocników i podawał drugiemu, a ten trzeciemu, który je układał w porządku jeden obok drugiego. Można mniemać, że to była zabawa sportowa, bo jeden zawodnik podawał w powietrzu snopek drugiemu, a gdy byli wprawni to snopek lądował dopiero u trzeciego, czy czwartego, a w międzyczasie fruwał sobie z ręki do ręki. Nie dziw się więc, że tę część stodół nazywano boiskami, bo na nich wyczyniało się różne sportowe jakby ćwiczenia.

Ziemia na boisku była ubita równo i twardo. Nazywano tę podłogę klepiskiem. Była ona twarda tak, że niełatwo dawała się skruszyć. Była ona tak równa i gładka jak posadzka do tańca, bo też i w czasie wesel tańczono przeważnie na boisku. Tu też odbywał się największy wyczyn sportowy – młocka.

Ponieważ zapewne nigdy już nie będziesz miał sposobności zobaczenia najważniejszego narzędzia do młocki, to znaczy cepów – chyba że w jakimś muzeum starożytnych gratów – to ci je opiszę, byś mógł choć w przybliżeniu wyobrazić sobie to narzędzie, które setki lat kruszyło zboże ze snopków, oddając je do użytku człowiekowi, aż wreszcie zostało usunięte z gospodarstwa wiejskiego przez

maszynę – młockarnię. Cepy były bardzo prostym narzędziem, niewymyślnym, a przez setek lat służącym z powodzeniem człowiekowi. Składały się z dwóch drążków różnej długości. Zboże młócili zazwyczaj młodzi gospodarze, których przy tej pracy nazywano młockami lub młockarzami. Młócek dzierżył długi drążek cepa w ręce i dlatego tę część nazywano dzierzakiem. Powinien być on gładziutki, by nie ranił dłoni, bo przy pracy wciąż się przesuwiał po ręce. Krótszym drążkiem cepa bił młócek po kłosach, więc nazywała się ta część bijakiem, stosownie do wykonywanej przez siebie czynności. Obie części cepa połączone były ze sobą mocnym lecz miękkim kapturkiem skórzanym na takiej odległości, aby można było bijakiem swobodnie kręcić w górze i nim wywijać.

Do młocki przygotowywano zboże w ten sposób, że snopki wyrzucano ze stodoły na boisko, układając je w rząd kłosami do środka boiska. Z drugiej strony układano taki sam rząd także kłosami do środka. Snopki rozwiązywano i rozścielano do równa. Młócek bił cepem po kłosach i ziarno się z nich wysypywało. Rzadko jednak stawał jeden młócek do roboty, chyba tylko wówczas, kiedy miał bardzo mało do młócenia. Zazwyczaj nawet w takim przypadku pomagał mu syn, córka lub nawet sama gospodyni, bo i kobiety umiały posługiwać się tym narzędziem. Zdaniem moim młocka to piękny sport, piękniejszy niż piłka nożna, bo tutaj nigdy nie uderza jeden drugiego, a przy tym wspaniale ćwiczy się ciało. Wysiłek w tym sporcie nie jest daremny, jak w piłce nożnej, tylko służy ogólnemu pożytkowi.

Młócić można we dwójkę, trójkę, czwórkę a nawet i w piątkę. Dopiero wtedy widzi się, jakiej trzeba wprawy i zgrabności, aby nie uderzyć o cep drugiego, czy to w górze, czy na klepisku. Można podziwiać wprawnych młocków, że każdy z nich wie, kiedy ma kręcić młynka w górze, a kiedy i w którym miejscu ma uderzyć bijakiem po kłosach. Trzeba podkreślić, że wszystkie te ruchy jeden po drugim następują

niesamowicie szybko, wprost jak mgnienie oka i żaden z nich nie może być fałszywy. Już jako rozumna dziewczyna obserwowałam jak zauroczona tę niesamowitą zręczność i szczerze podziwiałam ten niezwykle sport. Po odgłosie uderzenia cepami ludzie z daleka poznawali ilu młocków młóci, a i ja też się na tym rozumiałam, wsłuchując się często w rytm tej pracy i obserwując tę czynność. Gdy młócił jeden słyszało się odgłos: łup-łup-łup! Gdy młóciło dwóch: łupu-cupu-cupu-łupu! Gdy trzech: łupu-capi-cup! A gdy młócili w czwórkę to tak jak w dwójkę, tylko bardzo szybko, bez przestanków: łupu-cupu, łupu-cupu, łupu-cupu, a gdy w piątkę to do tych szybkich uderzeń dodawano na końcu jeszcze łup! Młocków zgranych i wprawionych było zawsze we wsi kilku, można ich było nazwać ekipą młockarską. Ekipę tę wynajmowali sobie zamożniejsi gospodarze, zwłaszcza gdy mieli córki do wzięcia, gdyż często w takiej ekipie byli synowie lepszych gospodarzy. A chłopcy do takiego występu szykowali się jak do ślubu. Byli starannie wygoleni, w jednakowych spodniach i w koszulach bielutkich, związanych u szyi czerwoną wstążeczką, ściśniętych w talii paskiem. Aż łuna młodości, giętkości i zgrabności biła od nich i tak przygotowani stawali do pracy. Nic więc w tym dziwnego, że oczy dziewcząt biegały za nimi. Towarzyszyły temu uśmiechy i miłe słówka. Chłopcy czuli, że się podobają dziewczuskom i to dodawało im prężności i większej ochoty do pracy. Nic więc dziwnego, że przy takiej ekipie młockarskiej wyrzucone snopy prędko się wykruszały. Wówczas zbierali oni wymłóconą słomę, wytrzepywali z ziarna i wiązali ją w wiązki przydatne nie tylko na sieczkę dla bydła, ale także i na inne cele, np. na pokrycie dachu. Po każdym wytrzeptaniu słomy podmiatano wymłócone zboże pod ścianę, a kiedy młockę ukończono, wówczas młynkiem oczyszczano zboże i już czyste ziarno zanoszono w workach do komory, wysypując je do sąsieków. Po wymłócinach gospodarze robili dla młocków zabawę, podobnie jak

po żniwach robiono dożynki, naturalnie z muzyką i tańcami. Wszystkie te prace gospodarskie, jak żniwa, kośba, wymłociny, kopanie, mimo że takie ciężkie i mozolne, to jednak były radosne, miłe i wesoło obchodzone, i tak bardzo upragnione, że gospodarze i młodzież szykowali się do nich jak do wesela.

Kiedy próbowałam porównywać prace ręczne z pracami maszynowymi doszłam do wniosku: o ileż piękniejsze i radośniejsze były prace ręczne. Weź choćby taką młóckę na maszynie. Kręci się przy niej dziewięciu–dziesięciu czy nawet więcej ludzi, zmachanych, spoconych, zakurzonych do cna. W dymie i w nieustannym huku posuwają się udręczeni ludzie, a maszyna ich pędzi, nie da wytchnąć, ni słowa zamienić, ni pożartować, jak to się robi przy ręcznych robotach. A gdy maszyna stanie, ludzie są już tak zmęczeni, tak wyprani z sił, że nie są zdolni do jakichkolwiek żartów i figlów, jak to zwykle bywało przy robotach ręcznych. Powiesz mi na to: „No tak, ale o ileż szybciej tę czynność wykonają z pomocą maszyny? Raz się zmęczą – to prawda, ale zaoszczędzą sobie i innym wielu dni roboczych”. Odpowiem na to: maszyn nie było, a wszystko na czas było zrobione, nie brakowało nam z tego powodu chleba, a roboty odbywały się w swoim czasie. Jeśli się dawniej trafiały czasem głody, to jedynie z powodu klęsk żywiołowych lub gorszej uprawy roli. Mnie, co się wychowałam wśród dawnych, bezmaszynowych robót, tęskno dziś za nimi, tęskno za ich pięknem i zwyczajami, za tym polskim ich kolorytem. Szkoda tego czasu, który minął bezpowrotnie i który już nigdy nie powróci.

Wróćmy jednak, Jacku, do naszego obejścia. Do budynków gospodarskich należała także przytykająca do drugiej stodoły szopa zwana wozownią. W niej chowano wszystkie narzędzia gospodarskie, a przede wszystkim wozy, sanki, pługi, brony i inne. Wozownia stała właściwie już w ogrodzie, a koło niej na straży tych budynków stało kilka drzew, głównie liściastych: dwa jesiony, dwa klony, jeden dąb, cztery jawory. Tworzyły

one jakby mały park przy moim domku rodzinnym. A były tam także i drzewa szpilkowe oraz krzaki.

Do ogrodu wchodziło się bramką. Tuż za nią były trzy grządki z warzywami: marchewką, pietruszką, cebulą i koperkiem. Dawniej jarzyny nie miały takiego znaczenia jak dziś, nikt nie doceniał ich wartości dla zdrowia. Również lekarze milczeli na ten temat, widocznie i oni o tym nie wiedzieli. Cebuli nikt nie chciał jeść – żeby żydem nie śmierdzieć. Wawer, chcąc uniknąć drwin i prześmiejów, posadził zagony ogórków w polu, a nie w ogrodzie. Sałata była rzadkością. Mówiono bowiem: „Przecież nie jestem krową, żebym jadł surową trawę”. A dzisiaj na jarzynach podmiejscy gospodarze robią złote interesy. Nie było i u nas wiele jarzyn, ale coś tam zawsze było. Za grządkami jarzynowymi rosło kilka jabłoni, które miały kwaśne jabłka, wartościowsze niż te słodkie w sadzie, gdyż można je było przechować przez zimę. Należały do nich przede wszystkim szare renety, które nazywałyśmy zgrzebnymi jabłkami, bo z wyglądu były podobne do zgrzebnego płótka. Wzdłuż płotu rosły drzewa śliwkowe, same węgierki, a dalej i dalej, na dużej przestrzeni rozciągała się łąka – dlatego ten ogród nazywaliśmy ogrodem łąką w odróżnieniu od ogrodu sadu. Kończył się on ziemnym wałem, który sięgał do płotu rozdzielającego nasz ogród łąkę od dworskiej łąki ogrodu.

Ten wał ziemny w kwietniu i maju przywdziewał na siebie wiosenny płaszcz, utkany z zielonych traw i kwiatków, zwłaszcza z fiołków, od których przybierał odcień liliowo-fioletowy. Pod krzewami zdobiącymi brzeg uwiły sobie gniazda słowiki i w maju wyśpiewywały nam swymi pięknymi głosikami codzienną serenadę. Czasem i który z naszych muzyków podwórzowców chciał z nimi rywalizować, a nam zrobić niespodziankę. Spod krzaczka więc odzywała się smętna kołysanka, którą my, dziewczęta, odczuwałyśmy rzewnie i głęboko, każda w swym sercu po swojemu. W podzięce za tę miłą kołysankę mówiłyśmy w myśli: „Okarynko, mandolinko, harmonijko

Jaśkowa – tęsknota waszej muzyki odpowiada naszej tęsknocie, więc ślemy wam słowa: »Śpij i ty, chłopczyku, śpij, słodko sobie o miłości śnij, a wspomnienie o mnie zawsze w sercu miej! Jako i ja je w swym sercu zachowam i wierności dziecinnyom wspomnieniom dochowam, po wszystkie moje lata.«” I dochowałam, bo oto w ostatnich dniach mego życia wspominam je serdecznie jako jedne z najmilszych chwil.

*Nie wiem, czy który z muzykantów po tej wojnie jeszcze żyje,
Pewno każdego już grób kryje, lecz pamięć o was ożyje
Na kartkach tej książki dla mego prawnuka,
A kto ciekawy – niech się jej w niej doszuka.*

Podwórze w jednym miejscu wydłużało się w pełną drogę. Pierwsza część tej drogi tworzyła jakby aleję między ogrodem sadem, a ogrodem łąką. Droga ta robiła tym więcej wrażenie alei, że koło płotów obu ogrodów rosły drzewa śliwkowe. Aleja ta biegła wzdłuż sadu i kończyła się wrotami. Poza wrotami był trawnik, kończący się równo z ogrodem łąką. Był on przeznaczony dla gęsi i baranów, a oddany nam pod opiekę.

Bawiłyśmy się tu z baranami. Widziałyśmy nieraz, jak barany trącały się w złości rogami, czyli bodły się. Próbowaliśmy je naśladować. Rozpędziłam się i biegłam do barana, wołając: „Baran buc!”, i uderzałam głową o jego głowę. To samo robiła siostra Werka z drugim baranem. Zobaczył to raz ojciec i skrzyczał nas, mówiąc: „Nauczycie go bóść, a potem będzie każdego bódł i was też. Nie wolno się tak bawić!”. Bawiłyśmy się więc inaczej. Próbowaliśmy jeździć na baranach jak na koniach – to dopiero była miła zabawa. Weruśka siadała na białego, a ja na czarnego. Przekonałyśmy się wtedy, że nie tylko ludzie, ale i zwierzęta mają zupełnie różne usposobienia. Baran biały był powolny i flegmatyczny. Kiedy siostra wsiadała na niego, poruszał się powoli i wioził ją na sobie z powagą, jakby to było jego obowiązkiem. Natomiast czarny baran to istny narwaniec, pomyleniec. Nazwałam go czarnym diabłem. Kiedy chciałam wsiąść na niego, to drżał i nie chciał

spokojnie stać, ale kiedy go wreszcie dosiadłam, zaczął biec jak szalencie i to biegł zwykle koło płotu, ocierając się o niego. Łatwo więc było o płot zahaczyć, a wtedy mnie zrzucił, zrywał się i uciekał. Ta jazda koło płotu miała jeszcze i inne złe następstwa, gdyż o płot czasami rozdarła się sukienka, a wtedy był poważny kłopot z mamą. Gniewała się na mnie i dając mi igłę z nitką, mówiła: „Rozdarłaś przez swawolę, teraz się pomęcz i napraw”. Ja zaś muszę się przyznać, że nie chciałam mieć nic z igłą do czynienia. Szycie było dla mnie wielką karą. Czasem uprosiłam Werkę, żeby mnie wyręczyła, ale mateńka była pod tym względem nieubłagana. Podarłaś, to szuj sama!

Na zakończenie dodam jeszcze, że całe to nasze wielkie obejście gospodarskie z ogrodami było otoczone płotem drankowym, to znaczy wykonanym ze sztachet i okrągłaków, ściętych u góry na ostrosłup. Od nawsia i gościńca wyglądało to ogrodzenie ładnie i bogato, i zwracało na siebie uwagę. Na wsiach bowiem były płoty grodzone z gałęzi. Z gościńca wjeżdżało się do nas przez most, trochę pod górę. Otwierało się bramę drankową na dwie strony i wjeżdżało na podwórze przed dom. Obok bramy wjazdowej była mniejsza bramka dla pojedynczych ludzi. Co do naszego ogrodzenia, mawiały sąsiadki: „Aaa... ogrodziła se gospodarstwo jak folwark. A no Fliszonka, panna z folwarku, to musi się czymś od nas różnić”.

Na tym kończę opis mego domku rodzinnego. Opisywałam go prawdziwie, z umiłowaniem zagłębiałam w każdy kąt, gdyż opisując go, przeżywałam równocześnie całe moje szczęśliwe i pogodne dzieciństwo. Wiedziałam, że jest to ostatnie o nim wspomnienie, dlatego w tym opisie przebiegała się moja tęsknota za tym, co było dobre, a co minęło bezpowrotnie. Myśl moja nie może nawet powrócić w te miejsca, bo z mego domku nie zostało ani śladu, zatem myśl wysłana w te miejsca musiała wycofać się ze smutkiem i przykrością.

Ty, Jacku, nie będziesz przeżywał takich wzruszeń, bo nie miałeś w dzieciństwie swego domku rodzinnego. Ty

natomiast będziesz przeżywał podobne tęsknoty, w których wezmą udział miejsca i mieszkania, w jakich przebywałeś w dzieciństwie z rodzicami. One otoczą cię rojem niezatar-tych wspomnień i przeżyć przywartych do tych ścian i mebli, które cię otaczały. Będą one dla ciebie zapewne miłe, rzewne i przetkane nostalgiczną tęsknotą.

Poznałeś, mój Jacku, rodzinny domek prababci. Teraz pragnę ci opowiedzieć, jak mi w tym domku przebiega-ło życie. A było ono inne w dni letnie, a inaczej układało się w dni zimowe.



*Prababcia i prawnuk Jacek,
cmentarz gorlicki, 1962 r.*

DNIE LETNIE

Ojcowie moi wstawali wcześniej rano. Godzina czwarta zastawała już ojca w polu przy pracy. Wolał on pracować przy rannym i wieczornym chłódzie, natomiast dłużej odpoczywać w porze największego upału, to jest w południe. Najęci pracownicy zgadzali się z tym najzupełniej. Do pracy wychodzili z domu, żegnając się, a i potem nie nakrywali głów, tylko każdy coś szeptał, oddając w ten sposób cześć Bogu i zanosząc do Niego jakąś prośbę.

Nieraz miałam ochotę pójść z nimi i zobaczyć, jak tam wówczas wygląda pole i w ogóle cały świat o tej wczesnej godzinie, lecz ojciec nie chciał mnie zabrać, mówiąc, że mu będę tylko przeszkodą w pracy. Dopiero kiedy już byłam uczennicą szkoły wydziałowej w Tarnowie, zrealizowałam swoją zachciankę i znalazłam się w polu o tej wymarzonej przeze mnie, wczesnej, rannej godzinie. Nareszcie zobaczę na własne oczy wschód słońca! Usiadłam sobie na wzgórzu, rozglądając się po otaczającym mnie świecie. Pierwsze, co odczułam, to dziwną rzeźkość i zadowolenie z oddychania czystym, ożywczym powietrzem, nieskażonym brudem, prochem, dymem i innymi szkodliwymi wyziewami. Tak mi było miło i dobrze. Pomyślałam więc: „Ojciec ma rację, że woli pracować w takim czystym powietrzu, niż w południowej spiekocie i wie, że praca ranna jest o wiele wydajniejsza”.

W toku dalszej obserwacji zauważyłam, że wschodni pas nieba staje się nieco jaśniejszy i że gwiazdy nocne, srebrno świecące, gdzieś zniknęły – pozostała tylko jedna, promienna złotym blaskiem na wschodniej stronie tam, gdzie niebo jaśniejsze. Tam to ona roztacza cudne blaski i swą pięknoscią zwraca na siebie uwagę widza. Wiedziałam od ojca, że ta śliczna gwiazda to jutrzienka – wierna towarzyszka królewicza słońca. Ona go wita we wczesnym poranku, ona wieczorem swego kochanka układa do snu, a on w zamian za to udziela swej towarzyszce złotych promieni światła. Zauważyłam dalej, że na jasnym pasie nieba zaczynają kłaść się kolorowe, jaśniejsze smugi i przystrajają niebo w złotoczerwone wstążki tak, jak to czynią dziewczęta, strojąc się w krasne, czerwone wstążki na powitanie swego ulubieńca. Jasność nieba z wolna się powiększa, wreszcie występuje w całej swej okazałości w purpurze i złocie. To zorza poranna, która zalewa swym blaskiem świat.

I oto zaczyna się coś dziać wokół mnie. Delikatny zefirek owiał mi twarz, wsunął się cichutko między gałęzie drzew i zbudził je ze snu. Zaczęła się ich pierwsza poranna modlitwa delikatnym szmerem przebudzonych gałązek. Wkrótce zefirek zniża swe loty do ziemi i budzi trawki, zioła i kwiaty, a te, pochylając się w pokłonie, zrzucają swe perły i brylanty rosy na ziemię, bo taki jest rozkaz Boży. A mówi on: „Podzielcie się swym dobrem z ziemią, waszą żywicielką!”. A kiedy złotopurpurowe promienie zaczęły się przeglądać w kroplach rosy, to cała ziemia i pola zaśnią tęczowymi kolorami. Wkrótce jednak promyki słoneczne spijają całą tę piękność, oddając w zamian ciepło potrzebne im do życia.

Wkrótce przebudziły się i ptaszki w gniazdkach, strząsnęły ze skrzydełek kropelczki rosy i zaczęły powitalną, ptaszczą serenadę.

Ja słucham i słucham, patrzę i napatrzeć się nie mogę. Zapomniałam, gdzie jestem, miałam wrażenie, że jestem

w wielkiej świątyni Bożej, gdzie odbywa się cudowne misterium światła, złota i purpury – dobra i miłości.

W tym przepychu światła ukazuje się nareszcie rąbek króla – słońca. Wznosi się ono szybko w górę, już połowa, już się całe ukazuje. W tej chwili zaczął być słyszalny głośny śpiew wszystkich ptaków, a potem i innych stworzeń leśnych. Zdawało mi się, że wszyscy krzyczą: „Hurra!”. A to był tylko ich hymn powitalny. Do tego hymnu dołączyły się wkrótce i głosy ludzkie. Robotnicy ojca zaśpiewali całą piersią:

*Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon, Boże wielki!*

Jakież to wspaniale i prawdziwe słowa dobrał nasz poeta Franciszek Karpiński w tym hymnie ludzkim do Boga. Musiał on obserwować wschód słońca i patrzył nań własnymi oczyma, a Bóg kreślił w jego sercu i umyśle słowa wyrażające pełnię prawdy i dlatego przetrwają one wiele wieków.

Wracalam do domu wzruszona, oszołomiona i przejęta do głębi wspaniałością i wielkością tego, co widziałam. Nie mogłam ocknąć się z tego wrażenia przez dłuższy czas. A przecież ja wtedy byłam jeszcze głupiutką dziewczyną i nie mogłam wówczas tak głęboko przeżyć swym sercem i rozumem tego zjawiska, jak je zapewne odczuł poeta Karpiński, jak odczuwają i opisują wschód słońca inni poeci i ludzie uczeni.

Wracam po tej słonecznej dygresji do mego dziecięcego życia w moim rodzinnym domku. Ojciec poszedł w pole, a matenka z babulką obrządały dom i stajnię. Po wydojeniu krów wyprawiano bydło i konie z pastuchem w pole. Wstajemy wreszcie i my, najmłodsze. Bez nawoływania myjemy się i kłękamy do pacierza. Odmawiamy go obie z siostrą wspólnie i głośno. Najpierw zwykły paciorek: *Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo, Wierzę w Boga Ojca* i dziesięć przykazań Bożych. Na

zakończenie mama nauczyła nas takiej modlitwy: „Boże, proszę Cię pokornie, racz dać mi zdrowie, dobrą pamięć, dobrą naukę, Boską miłość, ludzką przyjaźń, dobre imię, lekkie skonanie, a po śmierci duszy zbawienie i racz, kochany Boże, dać rodzicom zdrowie, by mnie mogli wychować na rozumnego i uczciwego człowieka”. Paciorek zwyczajny kończył się zawsze przykazaniem miłości Bożej i bliźniego: „Miłuj Pana Boga swego ze wszystkiego serca swego, ze wszystkiej duszy swojej, ze wszystkich sił swoich – a bliźniego swego jak siebie samego!”.

Po odmówieniu zwykłego paciorka odmawiałyśmy jeszcze pacierz „naukowy”, na który składało się: pięć przykazań kościelnych, sześć prawd wiary, siedem sakramentów świętych, pięć warunków dobrej spowiedzi, cztery rzeczy ostateczne i osiem błogosławieństw. Już widzę i czuję to, mój Jacku, że ci się ten nasz pacierz nie podoba. Powiesz: „Po co tak męczyć dziecko!”. Powiem ci szczerze, że nas to nie męczyło. Umiałyśmy pacierz doskonale, a powtarzałyśmy go, aby nie zapomnieć. Za tę umiejętność ksiądz katecheta uważał nas za nadzwyczajne, wręcz cudowne dzieci. A ile uzbierałyśmy pochwał, a nawet prezentów: to wielkie czerwone jabłko, to piękny obrazek. Czyż nie warto było poświęcić na to zaledwie dwie minuty dziennie?

Po odmówieniu jeszcze godzinek następowało śniadanie. Po śniadaniu wybiegałam w podskokach tanecznych na podwórze, wolna jak ptak wypuszczony z klatki, szczęśliwa po wypełnieniu wszystkich obowiązków. Na podwórzu witają mnie radośnie kurki, gąski gęgają, indyki bulgotają, rozpuszczając swe czerwone korale, gołąbki fruwią nad głową i basem gruchają, czasem przysiadają na głowie i ramieniu. Wszystko, co żyje, dopomina się o śniadanie! Nawet Wiernuś merda ogonkiem i cieszy się z całą zgrają. Matka bowiem zezwalała nam urządzać śniadanie dla drobiu. Szły więc w ruch przetaki, koszyczki i podolki z fartuszków. Ziarno się sypało,

a ptactwo się biło, czubiło, wyrywało sobie ziarnka. To nie tylko ludzie kradną sobie jedzenie, ale stworzenia nierozumne też. Widać z tego, że jedzenie jest najważniejsze w życiu ludzi i zwierząt i całe życie – a właściwie wszystko – kręci się koło tego. Bawiłam się zawsze bardzo dobrze przy śniadaniu drobiu. Nie opisuję ci dokładnie ani o Czubatce – baletnicy, ani o kogutku – Bielachu, ani o mądrej Isi – gąsce i o innych śmiesznych uczestnikach tego gwarne go śniadania. Radzę ci jednak przeczytać sobie w *Panu Tadeuszu* Mickiewicza fragment o śniadaniu dla drobiu jakie wyczyniała bohaterka eposu, Zosia. Wówczas będziesz miał wyobrażenie, co się przy tym dzieje. Sądzę, że śniadania dla drobiu są wszystkie mniej więcej podobne do siebie.

Dalsza część dnia to opieka nad baranami i gąskami, czemu towarzyszyła często zabawa w pieczenie chleba z piasku i gliny, lepienie z niej pierścionków, kolczyków, ptaszków i innych ludzików. Mateńka tymczasem szykowała śniadanie dla robotników i obie z babulką zanosily je w pole, a po powrocie z pola trzeba już było myśleć o obiedzie. Po obiedzie robotnicy zażywali dobrze zasłużonego odpoczynku, którego nie mogła jednak zaznać gospodyni. Musiała ona bowiem posprzątać po obiedzie, pomyc naczyńia i myśleć już o podwieczorku i o kolacji. Po kolacji następowała wspólna modlitwa wieczorna i odśpiewanie pieśni *Wszystkie nasze dzienne sprawy*, a potem spoczynek po pracy. Tak mniej więcej wyglądały nasze letnie dni powszednie.

Dla nas, dzieci, wielką rozrywką i uciechą były żniwa, a przede wszystkim następująca po nich zwózka zboża do stodoły. Szykowano do niej długie, drabiniaste wozy. My wsuwałyśmy się między szczeble tej jakby drabiny, chwytaliśmy się rękami za jej szczeble i w ten sposób ze śpiewem jeździło się w pole. W polu układano snopy na wozie we właściwym porządku. Robił to tylko ten, kto tę sztukę opanował, gdyż inaczej snopy mogłyby powypadać z wozu w czasie

zwózki, a układano je wysoko, ponad drabiny. Dobry układacz szczyił się tym więcej, im wyższą furę ułożył, a żaden snopek podczas jazdy nie wypadł. Ojciec robił nam na szczycie takiej wysokiej fury jakby bezpieczne gniazdko i wsadzał nas do niego. A jaka to była dla nas radość i duma, kiedy spoglądałyśmy na inne dzieci, które z tej wysokości wyglądały jak malutkie karzelki. Wóz zajeżdżał z nami na boisko, a parobek zrzucał z niego snopy do stodoły. Taka zabawa trwała często przez kilka tygodni. Zwożono bowiem żyto, pszenicę, jęczmień, owies, proso, a później koniczynę i potraw, czyli siano jesienne.

Inną, następną po żniwach, rozrywką w życiu dziecięcym było kopanie ziemniaków. Tutaj także woziłyśmy się na pole, ale innym wozem. Miał on jakby wielkie pudło wykonane z oddzielnych desek, jednak tak dopasowanych, aby ziemniaki nie wypadały w czasie transportu. Wśród wielu rozrywek, jakie nas czekały przy kopaniu ziemniaków, najmilszą niewątpliwie było pieczenie ziemniaków.

Wyobraź sobie duże stajanie⁶ ziemniaczanego pola, a na nim pochyleni ludzie kopią rzędy ziemniaczane. Są zapracowani, ale jednak weseli. Robią różne figle, żarty, śmieją się głośno i serdecznie. Śpiewy, gwar i śmiechy rozlegają się daleko, jakby to nie była praca, lecz wesele. Wykopkom ziemniaków obowiązkowo towarzyszy ich pieczenie.

Toteż płoną po polach ogniska wszędzie tam, gdzie trwa zbiór ziemniaków. Płoną ogniska, pastuszkowie śpiewają i grają na fujarkach, a kopiarze także wesoło śpiewają o wszystkim. Wesoły jest świat jesienny.

Zwykle sami kopiarze rozpalają ognisko. Znoszą naczynia, czyli wysuszone już o tej porze roku łęty ziemniaczane. Układają z nich wysoką kopę i podpalają. Płomień wznosi się tak wysoko, iż równa się niekiedy z koronami drzew, snują się

⁶ Staje, stajanie – dawna jednostka pomiaru powierzchni gruntu, także rolna i drogowa miara długości.

gęste dymy, a wśród wielu z nich przebijają się niekiedy czerwone płomyki ognia. Trzeba było tylko stale dokładać byliny i gałązki. Razem z siostrą chętnie to robiłyśmy, uwijając się po ziemniaczysku. Kiedy się już upaliło⁷ wystarczającą ilość łętów, rozgrzebywało się popiół, wsypywało się doń ziemniaki, przykrywało je tym gorącym popiołem i na wierzchu znów się zapalało ogień. Po około pół godzinie zaglądało się do ziemniaków i o ile były już upieczone, wybierało się je na miskę i ludzie w tym stanie ze smakiem je zjadali. Powiadano z przekonaniem, że tak smakowitych ziemniaków, jak pieczonych w polu nigdy się nie je w domu. Dlatego też pieczenie ziemniaków należało do swoistego sportu. Inteligenci z miast zabierali często ze sobą masło i sól i robili specjalne wycieczki, urządzając sobie takie sportowe, niecodzienne wyprawy. Nawet herbata w takim prymitywie, bez spodeczków i obrusów, popijana przy ognisku, jak w czasach ludzi jaskiniowych, właśnie ich najwięcej cieszyła. A jak się wyglądało przy tym paleniu i jedzeniu: buzia umorusana, ręce brudne, osmolone, ale to nie psuło apetytu. Rozkosze takie trwały nawet do dwóch tygodni, bo kopanie ziemniaków należało do prac powolnych i mozolnych, a przecież i inne jarzyny były do zbierania z pola. Wracalam z pola cała umorusana, ale wesoła i radosna. Te bowiem prace i rozrywki były dla nas, dzieci, prawie ostatnimi przed zimą. Zbliżała się ona bowiem dużymi krokami. Coraz chłodniej było na polu, zaczynały się sloty jesienne, aż wreszcie spadł śnieg, z nim w parze nastał mróz. Ot i zaczęła się zima!

⁷ Upaliło – spaliło.

DNIE ZIMOWE

Dni zimowe inaczej się przeżywało niż dni letnie, gdyż zabaw na podwórzu już nie było, więc całe życie skupiało się w mieszkaniu. Poranki były przeważnie takie, jak zwykle bywały, dopiero po śniadaniu następowały istotne różnice. Zamiast wybiegać na pole, teraz zasiadało się koło dużego stołu i wykonywało robotę wyznaczoną przez mamę. Do tych robót należało między innymi skubanie piórek. Była to nudna robota i mama wyznaczała, ile piórek ma się wyskubać, gdyż bez wyznaczenia ilości rezultat tej pracy byłby bardzo nikły. Wyznaczenie to dotyczyło tylko nas, dzieci, bo starsi, którzy brali udział w tej pracy, spełniali ją normalnie, bez wyznaczania żadnych norm.

Po tych nudach, o ile było na polu śnieżno, wybiegało się na podwórze, aby kości rozprostować i użyć trochę ruchu. Robiło się kulki śnieżne i rzucało się nimi do celu. Trzeba się przyznać, że tym celem byłyśmy nieraz i my same, lub pastuch i ktoś z domowników. Przy dobrym śniegu było i sankowanie. Ojciec miał różne sanie: duże, zwane smykami, do wożenia wielkich ciężarów, np. drzewa z lasu, a także sanki średnie, ładnie wykonane i malowane, służące do wyjazdu poza wieś, i sanki małe do domowego użytku, które my właśnie wykorzystywałyśmy do zabawy.

Skubanie piórek z gęsi trwało czasem i parę tygodni. Po ukończeniu tej porannej pracy następowała inna, nie mniej nudna, a mianowicie przebieranie ziarna na mąkę i do siewu.

Ta poranna praca ciągnęła się prawie przez całą zimę. Dzień więc ciągnął się nam długo, mimo że to były krótkie dni zimowe. Czekałam z utęsknieniem na wieczór, albowiem wówczas odbywały się u nas tak zwane prządkki, czyli przędzenie lnu, na które schodziło się do nas więcej ludzi. Przędzenie lnu wieczorami należało do zajęć szlachetnych, któremu oddawano się w Polsce od najdawniejszych czasów, zarówno na zamku królewskim, jak i w dworach magnackich, a także w dworach szlacheckich i chatach wiejskich. Przodowały w tych zajęciach królowe i księżniczki, magnatki i szlachcianki, a także wiejskie gospodynie.

Był taki zwyczaj w tych czasach, że dwór królewski zapraszał do siebie córki i synów z najlepszych rodzin, aby na nim nabywali potrzebne nauki, ogłade, dobre zachowanie i różne inne umiejętności. Chłopcy uczyli się również sztuki rycerskiej, a dziewczęta haftu, roboty na krosnach. A jeśli chłopcy czy dziewczęta wykazywali jakieś większe zdolności, to starano się je wyżej kształcić, stosownie do wykazywanych zdolności. Każdy z tej młodzieży miał wyznaczoną służbę przy królu, a dziewczęta przy królowej, co było dla nich najwyższym wyróżnieniem i zaszczytem. Dwór królowej nazywał się fraucymerem i właśnie ten cały dwór wieczorami oddawał się przędzeniu lnu.

W naszym domu przodowała prządkom moja matka. Używane wówczas przybory do przędzenia można zapewne zobaczyć już tylko w muzeach. Spróbuję ci, Jacku, opisać je choćby tylko w przybliżeniu.

Do przędzenia używana była kądziel i wrzeciono. Kądziel składała się z przysiadki, na której się siadało, jak to zresztą sama nazwa mówi, i ze słupka zwanego krążelem. Przysiadkę stanowiła niezbyt gruba, wydłużona w owal deska, przy końcu której umocowany był okrągły słupek, tj. krążel. Wokół środkowej części krążela owijano przędzywo, czyli włosy⁸

8 Włosy – włókna.

lniane używane do przędzenia. Przędziwo było starannie przygotowane, dobrze wyczesane. Wrzeciono, przypominające swym kształtem najprostszy dziecinny bączek, wprowadzono w ruch wirowy, dzięki czemu wkręcało się ono w przędziwo, podbierając z niego lniane włosy. Palcami formowało się nitkę, ciągnąc ją najdłużej, jak tylko było można. Równocześnie przy tym kręceno wrzecionem, żeby się nić mocno skręciła. Przy tym kręceniu wrzecionem słyszeć było nieznaczny furkot, lecz już przy kilku prządkach ten furkot był dość znaczny. Mówi o tym pewna piosenka, w której się śpiewa: „...słyszeć furkot wrzecion”. Prządki kładły swoje kądziele na ławie, siadały na nie, czekając na sygnał mamy. A matenka zaczynała pracę od przeżegnania się. Wówczas wszyscy wstawali, a ona mówiła: „Ofiarowujemy Ci, Panie, tę naszą pracę ku Twej chwale a naszemu pożytkowi” i zaczynała nucić pobożną pieśń. Wszyscy siadali na przysiadkach i wraz ze śpiewem wprowadzali w ruch wrzeciona, które zaczynały swoją furkoczącą melodię. W trakcie śpiewu różnych pieśni podejmowanych przez poszczególne prządki mama nigdy nie zapominała o pieśni specjalnie dedykowanej do prządniczek, którą śpiewano po wszystkich dworach w czasie przędzenia lnu. Mama ją umiała, bo się jej nauczyła od profesora – wuja Józia. A oto jej pierwsza zwrotka:

*U prząśniczki siedzą jak anioł dziewczeczki,
Przędą sobie przędą jedwabne niteczki.
Kręć się kręć wrzeciono, wij się tobie nić,
Kto pamięta lepiej, czyja dłuższa nić?*

Po tej piosence zaczynają się pogaduszki. A więc najprzód „gazeta wiejska”. Zaczyna najstarsza prządka, mówiąc, co u niej w domu zaszło ciekawego, a co u najbliższych sąsiadów. To samo robią po kolei i inne, i w ten sposób zostaje zrelacjonowana aktualna kronika naszej wsi. Jeśli ktoś coś wie z innych wsi, to podaje to także do wiadomości. Później

następują opowieści o boginkach leśnych (tego najbardziej lubiłam słuchać), o karzelkach, o różnych leśnych zwidach, o cudownym kwiecie paproci, o leśnych duszkach i duchach, o zaklętych rycerzach i królewnach. Wkrótce też szły opowieści o zwierzętach leśnych i ich życiu, o napadach wilków. Wydawało się, jakby to była lekcja przyrody. Było i wiele innych opowiadań o ciekawych zdarzeniach, o zbójcach i złodziejach i o innych przykładach łamania Bożych przykazań: nie zabijaj, nie kradnij!

Była także i godzina geografii. Przychodził do nas na prądku stary Szczepan – żołnierz ze straży przybocznej cesarza Franciszka Józefa z Wiednia. Był on na wielu wojnach, we Włoszech i w innych krajach. Ten miał co opowiadać. A były to ciekawe rzeczy i budziły zachwyt i zdumienie, że są gdzieś indziej takie dziwne i bogate światy poza naszą wsią i poza naszym Tarnowem, który wobec Wiednia i innych wielkich i bogatych miast wygląda ubożuchno jak chata wobec pałacu.

W czasie zimy przybywał do nas jeszcze inny geograf – wędrowny rymarz. W Polsce był taki zwyczaj, że czeladnik wyzwolony w rzemiośle u polskiego majstra wybierał się w podróż do obcych krajów i tam doskonalił się w swoim rzemiośle u różnych majstrów, a nieraz nabywał umiejętności i w innych dziedzinach. Otóż do takich właśnie rzemieślników należał nasz rymarz, który obok swego rymarstwa nauczył się innych rzemiosł. I choć miał on taki skarb w swoich rękach, niewiele miał z tego korzyści. Rozmawiał się on bowiem we włóczędze, a po części i w kieliszku. Nigdzie on nie zagrzał miejsca, stale go pędziło w świat. Doznał on nieraz głodu i różnorakiej biedy, lecz z wiosną, jak ptak wędrowny wracał do miejsc, które dobrze znał. A znał już prawie wszystkie kraje Europy, a w wielu z nich pozostawił jakieś miłe wspomnienia. Przez tę włóczęgę nie ożenił się, nie miał swego domu ani żadnej rodziny, do której by go ciągnęło, ani żadnej życzliwej duszy. Był samotny, szukał więc pociechy

w samotnych podróżach. Upodobał on sobie nasz dom i prawie w każdą zimę wracał do nas. Zasiadał w kącie przy warsztaciku ojca i pracował. Znosili mu wiele robót nie tylko z naszej wsi, ale i z dalszych. Były to roboty rymarskie, siodlarskie, uprząż i wiele innych, a on podejmował się każdej z nich, bo na każdej się dobrze znał. Zepsuł się nam zegar ścienny – rozebrał go i naprawił. Doradzał w sprawach gospodarskich i naprawiał narzędzia rolnicze. Przesiedział u nas nieraz całą zimę, wyżywił się, a nawet zarobił sobie sporo grosza na dalsze wędrówki. Wieczorami bawił nas opowiadaniem o zagranicznych krajach i miastach, o ich mieszkańcach i o ich różnorodnych zwyczajach. Opowieściami tymi rozweselał nasze wieczory prządkowe, zaciekał nas, a my słuchaliśmy jego opowiadań z zapartym tchem.

Jak sam widzisz, kochany prawnusiu, obszerny był zakres wiedzy prezentowany na naszych wieczorach prządkowych, a przecież należy dodać, że był on urozmaicany ponadto śpiewem i głośnym czytaniem. Była u nas Biblia, której zawsze z chęcią słuchano. Były też żywoty świętych, a każda prządka chciała znać żywot swego patrona. Czytano i powiastki, np. *O nieszczęśliwej księżniczce Genowefie*, nad której cierpieniami i ja, choć mała i niewiele rozumiejąca, wylewałam łzy dziecięce. Innym razem była to wesoła historia pt. *Wyrwij dąb* i wiele innych. Wieczory po Bożym Narodzeniu były też bardzo ciekawe, a może nawet jeszcze weselsze. Wszyscy ludzie śpiewali kolędy, bo melodie ich były wesołe, a i treść ich dziwnie radosna. Toteż po święcie Bożego Narodzenia mniej bajano na prządkach, a więcej śpiewano – przede wszystkim kolędy. Ich śpiew rozlegał się wokoło, niemal wszędzie.

Była u nas kantyczka, gruba, a w niej dużo kolęd kościelnych, a także pastorałek, czyli kolęd domowych. Mówiły one o narodzeniu Dzieciątka Jezus, ale w formie swobodnej i wesołej, choć nie tak pięknie ułożonej jak w kolędach kościelnych. Przy pastorałkach można się było nieraz pośmiać, a w kościele

śmiać się przecież nie wypada. Nasz rymarz śmiał się nieraz przy tych kolędach i w ręce klaskał. Niektórych uczył się nawet na pamięć, żeby je kiedyś u znajomych w innych miejscowościach, a może i w innych krajach zaśpiewać.

Po Bożym Narodzeniu obchodziło się różne zwyczaje związane z tym świętem. Była więc szopka, gwiazda, trzej królowie, turoń, noworoczne dziady – wszystkie objęte jednym mianem – „kolędniki”, a to dlatego, że przy każdym tym obchodzie śpiewano kolędy.

Napiszę ci, jak się odbywały niektóre z tych obchodów w naszej wsi, gdyż w innych okolicach przebiegają nieco odmiennie. Odbywają się one w całej Polsce, zatem na takiej dużej przestrzeni muszą występować różne odmiany tych obchodów. Jeden tylko punkt w szopce jest niezmienny – to przedstawienie Bożego Narodzenia.

Szopki wykonywano w Polsce w różny sposób. Były szopki bardzo prymitywne, były też wysoce artystyczne. W naszej wsi i w okolicznych wioskach pokazywano szopki prymitywne. Stajenka zrobiona była, zwykle z tektury oblepionej kolorowymi papierami, a w niej tekturowy żłobek, Dzieciątko Boże w nim ułożone, Matka Boża, św. Józef, wół i osioł. Przy tej szopce śpiewało się kolędy o narodzeniu Dzieciątka Jezus. Jeśli szopkarze byli zręczni i pomysłowi, to zrobili więcej figurek, a przede wszystkim pasterzy, żyda, króla Heroda, diabła i śmierci, a wszystko w stosownych kostiumach z bibuły, a nieraz nawet z materiałów. Przy prezentacji każdej figury wygłaszało się stosowne słowa lub wierszyk, niekiedy śpiewano, a czasem odbywała się fujarka pastusza, gra na skrzypcach lub chociażby na bandurce. Przy tych figurach można się było uśmieć, jeśli szopkarze byli sprytni i mieli dużo dobrego humoru. Od ich zdolności zależało powodzenie szopki.

Do nas niekiedy przychodzili kolędnicy aż gdzieś spod Krakowa. Byli to już nie mali chłopcy, ale dorosłe parobczaki, a było ich chyba z dziesięciu. W porównaniu z naszą wiejską

szopką to była wspaniała szopa, z pięknymi, dużymi postaciami i z odpowiednimi, dostosowanymi do nich słowami i wierszami. Odgrywanie tej szopki stanowiło całą, niemal teatralną sztukę, którą ułożyli tamtejsi: nauczyciel, ksiądz i organista. A było co widzieć i słyszeć!

Pamiętam do dziś cokolwiek pierwszą scenę: pasterze w strojach pastuszych z tych czasów, ze stosownymi laskami pasterskimi poukładali się u nas na podłodze – sapią, chrapią, przewracają się, mamrocą coś niewyraźnie, jak to zwykle się dzieje w czasie snu. Nareszcie jeden wstaje, przeciera oczy i zdziwiony patrzy na oświetloną szopkę. Nagle zaczyna krzyczeć i budzić innych. Następuje przy tym ogólny hałas, rozgardiasz i krzyki. Wreszcie każdy spieszy z podarkami do szopki. Jeden z nich niesie jagniątką zrobione z wełny, a wszyscy spieszą do Betlejem, by powitać Pana. Następuje piękna scena powitania Pana przez pasterzy i trzech króli, którym towarzyszy wielka betlejemska gwiazda. Potem następuje ucieczka z Betlejem do Egiptu, mordowanie dzieci przez króla Heroda, a dalej kara i śmierć Heroda. Wszystko to zostało przedstawione pięknie, plastycznie i zrozumiale. Po przedstawieniu matka pasterzy ugościła, zapłaciła za piękne przedstawienie, a potem muzyka rznąła głośno, a pasterze stanęli do tańca z prządkami. Co to była za radość i wesołość! Po zabawie prządkę pięknie matce dziękowały za taki wspa-
niały wieczór.

Pamiętam też sławną *Szopkę Krakowską*. Urządzali ją artyści, rzeźbiarze i malarze, a tekst, czyli słowa, wiersze oraz pieśni z muzyką dorabiali⁹ znani poeci, pisarze i muzycy. Oj, kochanie ty moje, ty nawet wyobrazić sobie nie możesz, ile w związku z tą szopką było wyrażonych głębokich myśli, mądrości i oczekiwań narodu. Do żłóbka przychodzili bowiem złożyć Panu hołd i powitanie przedstawiciele różnych warstw społecznych w Polsce, przedstawiając Mu swe bóle

⁹ Dorabiali – tworzyli.

i zanosząc prośby i błagania. Przychodzili tu więc przedstawiciele Polaków z Niemiec i z Rosji, i z Galicji, czyli z trzech zaborów. Skarżyli się oni na krzywdy, jakich im zaborcy nie szczędzą, a przede wszystkim wnosili prośbę do stóp Bożej Dzieciny o wolność i niepodległość ojczyzny. Wszyscy śpiewali wspólnie:

*Podnieś rękę, Boże Dziecię!
Błogosław ojczyznę miłą!
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę swą siłą.
Dom nasz i posiadłość całą,
I wszystkie wioski z miastami,
A Słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami.*

Przy każdej takiej *Szopce* była i część polityczna, to znaczy w formie wesołej, słowami pełnymi humoru wyśmiewano niektóre zarządzenia rządu, ludzi kierujących rządem i w ogóle ludzi sławnych i ważnych w kraju. Wyśmiewano ich subtelnie, ale tak, że się można było domyśleć, do kogo się odnosiła dana kolęda. Cięty humor tryskał z każdego słowa, toteż ludzie na widowni zaśmiewali się do łez. Szopkę tę zwykle odgrywali aktorzy w teatrze. Żaden jednak z tych wyśmiewanych ludzi nie obrażał się, lecz śmiał się z innymi, a nawet podobno niejednokrotnie starał się poprawić z tego, co mu zarzucano i za co z niego kpiono. Niektóre te kolędy krakowskie andrusy gwizdały na ulicy i śpiewały, zwłaszcza gdy spotkali tego, do którego się odnosiły, nie mogąc sobie odmówić tej przyjemności, żeby mu nie zaśpiewać lub przynajmniej zagwizdać.

Na takie figle pozwalano sobie tylko w Krakowie i we Lwowie, gdyż w Warszawie nie zawsze przeszłyby takie śpiewki

przez cenzurę. Zważ, mój Jacku, że i teraz, choć mamy niby wolność, nie pozwalają nam na kpiny z „ludzi rządowych”, chociażby się im należała nieraz spora doza kpin. A już nie można nawet tknąć naszych wschodnich „przyjaciół”. A tak się pióro do tych kpin naprasza – tyle by było do wykpienia z tej przyjaźni bolszewików do nas. Niestety musimy powiedzieć po rusku „*Nie nada*”.

Z innych obchodów bożonarodzeniowych wspomnę o gwieździe. To taka spokojna tradycja kultowa Trzech Króli spieszących do Betlejem z darami dla dzieciątka Jezus. Chłopcy robią wówczas wielką gwiazdę, oświetlają ją od środka i kręcąc nią, kołędują: *Mędracy świata* lub *Jakaż to gwiazda*.

Tak samo niewiele mogę powiedzieć o drabach noworocznych zwanych też dziadami noworocznymi. W Nowy Rok chłopcy, czasami nawet dorośli parobcy, ubierali się po cudacku. Wkładali na głowy kapelusze strojne w pióra i skrawki papieru, które wiatr rozwiewał. Takimi samymi skrawkami przystrajali też piersi, plecy i rękawy. Prócz pasków papieru stroili się i w inne różności, co miało wzbudzić w ludziach śmiech i wesołość. Tak wystrojeni wchodzili do domów i koładowali:

*Nowy Rok bieży, w jasełkach leży, a kto, kto?
Dzieciątko małe, dajcież Mu chwałę, na ziemi!*

Tym, którzy wynieśli im poczęstunek, recytowali życzenia:

*Za kolędę dziękujemy, życzenia noworoczne wyśpiewujemy.
Niech w tym nowym roku szczęście od was nie odchodzi,
Niech żadna klęska w polach wam nie szkodzi,
Niech się obficie rodzi pszeniczka, groch, kapusta
I znajdzie się do niej w chlewie świnka tłusta.
A teraz już idziemy i jeszcze raz dziękujemy.
Zdrowia dobrego i wszystkiego najlepszego w nowym roku życzymy!*

Kiedy byliśmy nieco starsze, bardzo podobały się nam obchody i zabawy kołédników z turoniem. Tradycja ta wywodzi się jeszcze z czasów pogańskich. Wspominają o niej kroniki z czasów piastowskich. Nie wyczytałam jednak w opowiadaniach historycznych, jaki cel miała ta zabawa, na jaką pamiątkę ją obchodzono i jak się ona odbywała. Wiadomo tylko, że młodzież z radością się do niej szykowała, z niecierpliwością jej oczekiwała, bo kończyła się płasami i tańcami. Kościół tę tradycję postanowił utrzymać, nadając jej jednocześnie wydźwięk chrześcijański.

Jak głosi tradycja, w stajence betlejemskiej był wół i osioł, które swym oddechem grzały Bożą Dziecinę. Otóż do tej zabawy uczestnicy wybierali jako symbol dobra i wesołości właśnie jedno z tych zwierząt. Jakiś więc spryciarz robił głowę woła lub osła, która od dołu kończyła się zwykłymi drewnianymi nogami. Głowa była tak urządzona, że się dawała podnosić, schylać, mogła też wystawiać czerwony język. Wszystko to działo się za pociągnięciem sznurków. W ten sam sposób poruszały się dzwonki i brzękadła ukryte w głowie. Do szyi było przyćepione jakieś okrycie, które przykrywało całą postać, bo i wzdłuż tułowia była jakaś wygięta deseczka zakończona ogonem. Najbardziej widoczną częścią turonia była niewątpliwie głowa. Pod okrycie, które miało imitować skórę zwierzęcia, wchodził chłopiec czy parobek, ujmował w ręce nogi turonia i zaczynał wyczyniać różne skoki, hopki i płasy. Efekt zachowania się turonia zależał od dowcipu i figlarności tego, kto go udawał. Gdy muzyka zagrała, turoń rozpoczynał swoje tany, dzwonki i brzękadła brzęczały, turoń, pobekując, doskakiwał do dziewcząt, a nawet i do dzieci, choć te bały się go bardzo. Dziewczynki i starsze dzieci piszczały, krzyczały i uciekały, a turoń biegł za nimi, pochylając srogie rogi – słowem, była to rozkoszna zabawa, która jak zwykle kończyła się tańcami. Zabawa kończyła się po katolicku, to jest kołędą,

w której śpiewa się o wole i ośle. Towarzyszyła temu wesoła rozmowa o świętym bydlątku, które było bardzo zmęczone długą drogą z Betlejem, a przy tym mocno zziębnięte. Prosił więc kołędnicy o przygarnięcie, odżywienie i napojenie bydlątka, czego im w żadnym domu nie skąpiono, bo turo-
nia wszyscy bardzo lubili. Nie częstowano ich wódką, jakby to teraz robili, bo w tamtych czasach nie przepadano za wódką ani za innymi napojami alkoholowymi. Zaczęto wprowadzić popijać piwo, ale miód cieszył się największą sławą, jak u Zagłoby w *Trylogii*. Miód zawsze znalazł się w każdym domu, bo jeśli nie było uli przy domu, to zawsze można go było poszukać w pniach wypróchniałych drzew w lesie.

Do miłych dla mnie wspomnień z lat dziecięcych zaliczam także czas adwentu. Wówczas chodziliśmy na nabożeństwa wczesnym rankiem. Były to roraty. Ojciec owijał nas w kożuchy, wsadzał z matёнką do sanek i zawoził nas do kościoła parafialnego w Lisiej Górze. Wchodzenie do kościoła robiło zawsze na mnie ogromne wrażenie. W czasie jazdy otaczały nas wszędzie ciemności i z tych ciemności rozjaśnionych jedynie migotliwym blaskiem gwiazd i złotopurpurowym światłem jutrzeńki nagle wchodziłam do kościoła rzęsiście oświetlonego światłem świec na ołtarzach i światłem świeczników, czyli pajaków zawieszonych u stropu sufitu kościoła wymalowanego wewnątrz na kolor nieba, częściowo nawet z gwiazdami. Pajaków dużych było trzy. Całe zrobione były z paciorków ze szkła czeskiego, w których promienie świetlne łamały się i rzucały na kościół wspaniałe brylantowe błyski. Boże, co za morze blasków i kolorowych świateł. Gdy pierwszy raz stanęłam zdumiona, bałam się postąpić dalej – miałam wrażenie, że jestem w niebie. Te ранne nabożeństwa wywoływały i wzmacniały we mnie skłonność do mistycyzmu i pragnienie znalezienia się w niebie, gdzie jest tak pięknie, jasno i cudownie.

Muszę ci, Jacku, wspomnieć jeszcze o jednej wielkiej przyjemności, jaką nam ojciec nieraz sprawił. Niedaleko Tarnowa, a więc i naszej wsi, leży miejscowość odpustowa Odporyszów. Urządzono w niej miejsce odpustowe na wzór kalwarii, to znaczy została tam zobrazowana Męka Pańska, której najważniejsze fragmenty przedstawione zostały w oddzielnych kaplicach w postaci rzeźbionych figur naturalnej wielkości. Kalwaria ta zaczynała się od kaplicy pod nazwą Wieczera Pańska. Stałam przed nią jak urzeczona i do dziś mam ją przed oczami. Duży stół, a na nim chleb, wino i jakieś rybki. Dookoła stołu siedzi dwunastu apostołów, naturalnej wielkości. Ich twarze – każda inna – podobne były do opisanych przez ewangelistów. W środku stoi Chrystus. Trzyma w ręce chleb, a drugą ręką go błogosławi. Twarz Chrystusa młoda, piękna, pełna dobroci i świętości. Stałam i czekałam – rychło odezwie się słowami: „A czegoś to chcesz, moje dziecko, ode mnie?”. Inne kaplice Męki Pańskiej tak samo przemawiały do człowieka. Wydaje mi się, że było ich dwanaście. Wszystkie je wyrzeźbił ten sam miejscowy rzeźbiarz, samouk, ale można rzec, że był prawdziwym artystą, choć nie uczony. Ileż w tych jego rzeźbach było zawartego uczucia i artyzmu. Na twarzach apostołów malowały się wyraźnie doznane przeżycia, po których można było od razu poznać, który to Judasz, a który Jan czy św. Piotr. Wracaliśmy z kalwarii wozem wszyscy bardzo poważni i przejęci Męką Pańską. Nie cieszyły nas ani różańce z ciasta zawieszane na szyjach, w które przystroili nas rodzice, ani nawet piękne serca z miłosnymi wierszykami, które wiozłyśmy dla babulki i naszych domowników. Po prawdzie to one nas cieszyły, tylko tej radości nie okazywaliśmy tak hałaśliwie, jak jadąc na odpust.

Chcę ci jeszcze, mój prawnusiu, powiedzieć, jak nas matka przyuczała do szanowania starszych i biednych osób i nie okazywania im nigdy wyższości lub wzgardy.

Pewna stara babka z sąsiedniej wsi, kiedy chodziła po prośbie w naszej, to, co uprosiła, to składała u nas, bo nie miała siły, aby to nosić ze sobą. W końcu trzeba było się z tym wybrać do swojej wsi. Wtedy nasza mateńka mówiła do nas: „Bierzcie te węzélki i pomóźcie babce zanieść je do domu”. Robiliśmy to bez dásów i żadnego sprzeciwu.

Była także inna babka, która nie widziała na oczy, a mieszkała na skraju wsi. Czasem wychodziła przed swą chałupinę i głośnie wołała: „Niech się ktoś zlituje i zaprowadzi mnie do wsi”. Wówczas jedna z nas albo i obie bieglyśmy do niej i prowadziłyśmy ją do wsi, a ona, biedula, błogosławiła nas, prosząc Boga o łaski dla nas. Po takim uczynku odczuwałam w sercu ogromne zadowolenie i wielką szczęśliwość, co stanowiło dla mnie najlepszą zapłatę. A dzisiejsze dzieci zamiast pomóc, wykrzywają się, wyzywają brzydko, a czasem nawet rzucają za nieszczęśliwym, starym człowiekiem kamieniem. Jakież to dla mnie przykre! Dlatego też jestem matce wdzięczna, że mnie nauczyła szanować starość i myślę, że może za te dobre uczynki w młodości dał mi Bóg taką szczęśliwą starość, że mnie wszyscy szanują, dzieci i wnuki kochają i starają się odsunąć ode mnie wszelkie przykrości i troski. A i ty, mój maleńki prawnucusiu, tak serdecznie obejmujesz czasem swoją prababcie i mówisz do niej słodko: „Babu, babu, dzidzia lubi babu!”.

Jestem wdzięczna mojej mateńce za głębokie religijne wychowanie, bo ono mi było w życiu zawsze ostoją i najwyższym prawem. Uchroniło mnie ono od wielu błędów, mnie, młodą, niedoświadczoną dziewczynę wchodzącą w życie często między złych ludzi.

Na tych słowach muszę kończyć moje wspomnienia, bo i dzieciństwo moje się skończyło. Siostra Wera, towarzyszka lat dziecięcych, poszła w siódmym roku życia do szkoły, a ja nie miałam się z kim bawić, więc po jej przyjeździe ze szkoły uczyłam się razem z nią i nie wiedziałam nawet, kiedy przy niej nauczyłam się czytać.

Kiedy miałam pięć i pół lat, poszłam do szkoły i byłam prymusem. Po dwóch latach nauki na wsi odwieziono nas do szkoły w Tarnowie. Po ciężkiej chorobie – tyfusie – wróciłam do domu, bo potrzebna mi była opieka matki. Aby nie tracić roku, nauczycielka dawała mi lekcje z języka niemieckiego i z innych przedmiotów. Trzecią klasę zdałam cudownie, nie przyjęli mnie jednak do czwartej, bo byłam za młoda.

Jeszcze rok posiedziałam w trzeciej klasie i ratowałam nieraz naszą nauczycielkę podczas wizytacji inspektorskich, albowiem pan inspektor był człowiekiem bardziej cesarskim niż sam cesarz.

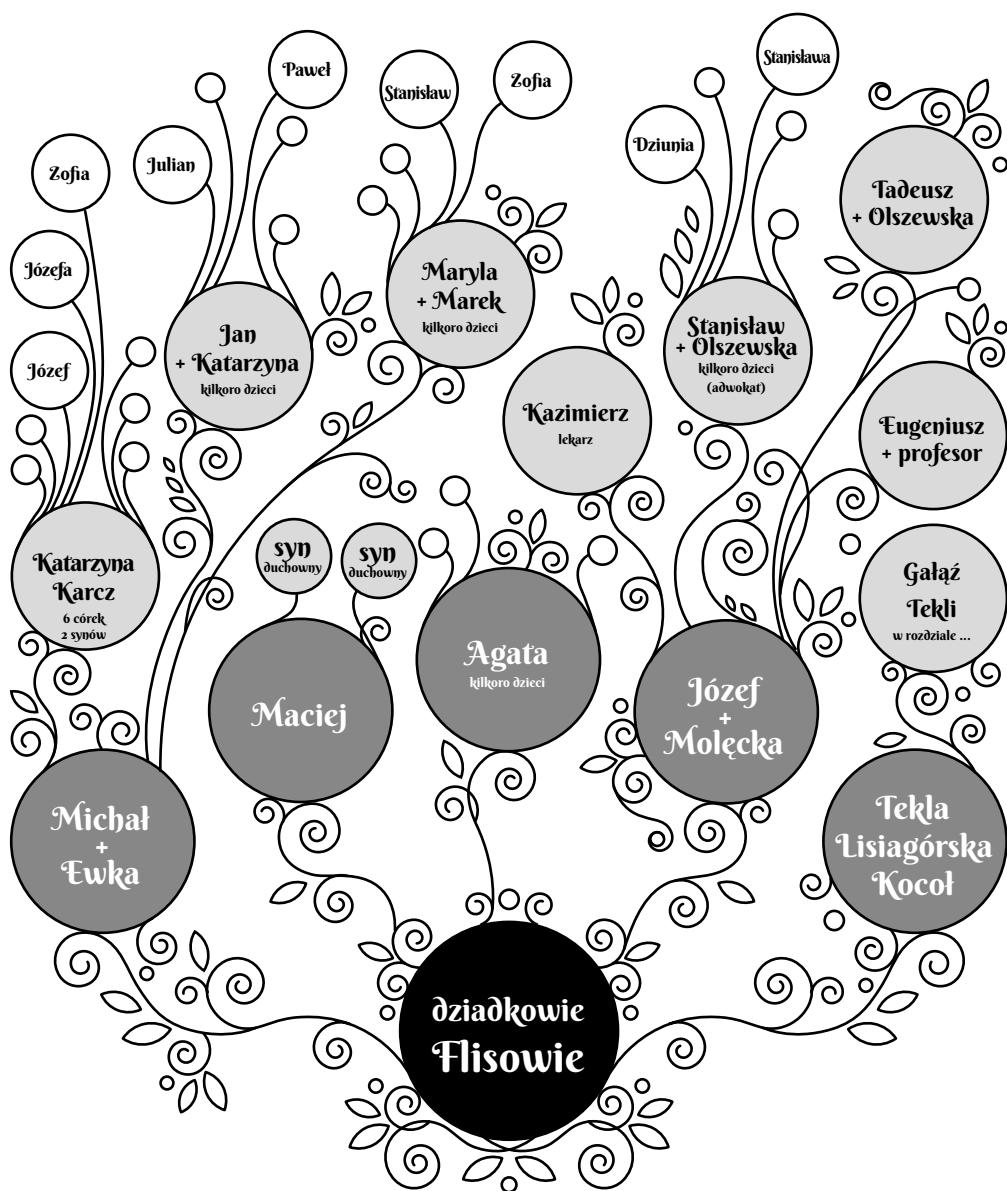
Wyznam ci, prawnuczku, że żal mi utraconej młodości. Żal mi wieczorów prządkowych, które muszę pożegnać na zawsze. Żegnaj, nasze podwórko pełne zabaw i koncertów. Żegnaj, mój najmiłszy domku rodzinny. Żegnajcie, pod okapem jaskółcze szczebioty, które radościom dziecięcym dodawały ochoty. Żegnaj, brzegu łąkowy, z wiosną zielony lub też fioletowy wieczorem, spowity upojnym śpiewem słowikowym.

Żegnajcie, żegnajcie szczęśliwe lata dziecięce, lata radosne i beztroskie – dalsze były już latami pracy, trudu i wielu udręków życiowych, od których żadne życie nie jest przecież wolne.

Część II

Moje dziewiętnastowieczne drzewo genealogiczne

Mojemu kochanemu prawnukowi Jackowi
i obu wnukom przekazuję te wspomnienia,
by uświadomili sobie na przykładach swoich przodków,
że zawsze w życiu powinna zwyciężyć szlachetność, miłość
i ukochanie ojczyzny.



Drzewo genealogiczne rodu Flisów

DZIADKOWIE FLISOWIE

Dziadków moich nie znałam, mogę więc tylko napisać o nich to, co od matki swej słyszałam.

Dziadek nazywał się Flis. Dlaczego Flis, tego mi matka nie umiała wyjaśnić. Zwróciło to nazwisko moją uwagę, bo zwykle nazwiska w poszczególnych wsiach powtarzają się, jak np. w Staszkówce nazwisko Dylów, Szczerbów, a nazwisko Flis było tylko jedno nie tylko w miejscu ich zamieszkania, ale i w całej parafii, na którą się przecież składało czternaście wsi. Wyobrażam więc sobie, że ojciec dziadka musiał spławiać Wisłą zboże do Gdańska, a będąc zapewne oszczędny, pracowity i uczciwy kupił za zaoszczędzone pieniądze ten szmat ziemi, na którym żył. Mógł też otrzymać ją w formie nadania za wieloletnią pracę i położone zasługi od swego pracodawcy, którym był zazwyczaj książę lub jakiś państwowy urząd ziemski.

Gospodarstwo dziadków leżało w środku między granicami Pawężowa i Śmigna, dotykając z jednej strony pól pawężowskich, a z drugiej strony śmigieńskich. Był to okazały szmat ziemi, bo obejmował więcej niż pięćdziesiąt morgów gruntów ornych, a oprócz tego łąki, jakiś niewielki las, krzaki i różne nieużytki. Muszę tu powiedzieć, że cały ród Flisów był uważany przez społeczność miejscową za kogoś wyższego

i cieszył się szczególnym poważaniem w całej parafii. Uznanie to przetrwało aż do moich czasów. Powodu zaś tego szacunku upatruję przede wszystkim w bogactwie, uczciwości i piastowanym stanowisku urzędowym. Dziadek był bowiem sołtysem. Matka nieraz mówiła, że przyjeżdżali do nich księża, dzierżawcy i zarządcy folwarków księcia Sanguszki. A to robiło na ludziach wrażenie.

Opowiadania matki w pełni potwierdzały zamożność jej rodziców. Gospodarstwo tworzyły duże zabudowania, a wszystkie były ogrodzone solidnymi i mocnymi płotami tak, że bardzo trudno było dostać się złodziejom do zagrody i coś z niej ukraść. A w tym czasie grasowały liczne bandy złodziei. Według opowiadań matki już po zachodzie słońca nieraz słychać było z lasu grzmotanie pałkami – wymowny znak zbierania się band. Wówczas czym prędzej zamykano budynki i zaryglowywano bramę. W okienku bramy był nieduży otwór, przez który często babcia wyrzucała złodziejom pieniądze w szmatce, aby się okupić, zwłaszcza jeśli sprzedało się coś znaczniejszego, jak np. konia. Wówczas złodzieje wprost, bez żadnej żenady wołali: „Daj pieniądze, boś sprzedał”, a zawsze było im mało, więc odgrążali się: „Ty nam kiedy za to słono zapłacisz!”. Raz się złodzieje podkopali pod chlewy i wypuścili świnię i maciorę z prosiętami. Kiedy je zaganiiali, to matka wyszła i zaczęła wołać: „Aj, luty, luty gud”. Świnki poznały matkę po głosie i wszystkie popędziły do niej zamiast w podkop.

Do złodziei należeli także niektórzy gospodarze. Kiedy byłam już dużą dziewczynką, matka pokazała mi nawet dosyć bogatego gospodarza i powiedziała: „Ten też chodził na kradzieże i nieraz wołał o pieniądze, ale mimo tego jego gospodarstwo zeszło na psy”. Córka tego gospodarza już jako mężatka niemal codziennie latała do matki o pożyczenie wszystkiego, a nigdy niczego nie oddawała. Nie dziw więc,

że jej dzieci i wnuki do niczego nie doszły. A jednak ta złodziejska banda pogroźek dotrzymała. Pewnej nocy podpaliła z różnych stron gospodarstwo dziadka i gdyby nie to, że wuj Józef uczył się długo w nocy, byliby się wszyscy spalili. On to podniósł alarm, zbudził matkę i innych, ale nic uratować już nie mogli. Moja matka opowiadała, że kiedy jej matka usłyszała ryk bydła, a miała tam jakieś ukochane jałówki, wskoczyła do stajni i zaczęła je spuszczać z łańcucha, ale nie chciały wychodzić. W tym momencie dach się zawalił. Po jakimś czasie usłyszano jęczenie. Babcia na kolanach zdołała się jeszcze wysunąć spod zwalisk, ale była tak popalona, że w trzecim dniu umarła. W miejscu, gdzie był spichlerz na zboże pozostała tylko duża kupa spalonego ziarna, a dzieci i biedaki grzebali w niej patykami i wybierali co mniej spalone ziarno, i piekli z tego placki. Wtedy bowiem panował na wsi głód i ludzie gotowali z ziół jakąś zupę, którą nazywali „pachlidą”. Matka raz ją skosztowała, ale wydała się jej bardzo niesmaczną. Dlatego też często dawała biednym dzieciom chleb. Po tych ciężkich przejściach dziadek żył już niedługo. Po jego śmierci – jak nakazywał ówczesny zwyczaj – objął gospodarstwo i opiekę nad resztą rodzeństwa najstarszy syn – Michał.

Dziadkowie Flisowie mieli pięcioro dzieci – trzech synów i dwie córki. Najstarszy syn, Michał, objął całe gospodarstwo. Drugi syn, Maciej, jako młody chłopak wyjechał z domu i nie wrócił, przepadł na wiele lat.

Najmłodszy syn, Józef, uczył się u księży w Lisiej Górze, bo wówczas żadnej innej szkoły w pobliżu nie było. Jeździł do nich w zimie na sankach, a w lecie na koniku lub piechotą, chociaż było daleko – około trzech i pół kilometra. Następnie uczęszczał do gimnazjum w Tarnowie, a ostateczne wykształcenie zakończył w Krakowie na uniwersytecie. Starsza córka, Agata, wyszła za mąż gdzieś daleko, bo jej nigdy nie

widziałam, a matka rzadko o niej wspominała. Najmłodszą latoroślą tego rodu była moja matka – Tekla.

Matka moja z wujkiem Józiem bardzo się kochali. Kiedy on się uczył w nocy, przesiadywała z nim i przyswajała sobie coś niecoś z jego nauki. Przede wszystkim nauczyła się czytać, więc później mogła czytać liczne książki. Potrafiła także pisać, ale nie nabrała w tym wprawy i z czasem przestała, bo sprawiało to jej dużą trudność. Za to różnych innych wiadomości nabyła wiele, zarówno ze słuchania, jak też czytania książek. Zadziwiała nas wszystkich wiadomościami o Kochanowskim, recytowała z pamięci jego wiersze, w tym także *Treny* o Urszulce. Moja córka Dziunia mogłaby na ten temat coś więcej powiedzieć. Kiedy pewnego razu moja matka przyjechała do mnie do Staszkówki, siadywała przy Dziuni i opowiadała jej różne historyjki i opowieści. Córka była tak zasłuchana i zauroczona, że nie można jej było od babci oderwać.

Matka pozbierała u mnie całą starą i podniszczoną odzież, wyniosła się z tym na strych, aby nam mieszkania nie zaśmiecać, i tam wszystko naprawiała, przeszywała, a potem to zawoziła swoim biednym, którym nakazywała się modlić za nas. Przy tej pracy stale się modliła, a jednocześnie żaliła się Dziuni na mnie, że nie jestem oszczędną, gdyż wiele z tych rzeczy było jeszcze w bardzo dobrym stanie. Matka moja zawsze była spragniona wiedzy i dlatego wszystkie swe dzieci kształciła wedle możliwości. Ponieważ była Flisówną z domu, więc nieraz myślę sobie, że flisy, czyli flisaki pędzili inny żywot, aniżeli gospodarze przywiązani do ziemi. Pędzili oni żywot wolny, a nie niewolniczy, wśród przyrody, może czasem nawet groźnej, ale zawsze pięknej. Nieraz walczyli z nią podczas burz, ale ją miłowali. Dlatego myśli, pragnienia i ideały tej rodziny były inne, jakby wyższe od pragnień innych wiejskich ludzi. Sądzę, że oni tę wyższość dostrzegali i ją w pełni uznawali.

WUJ MICHAŁ FLIS I JEGO DZIECI

Wuj Michał, objąwszy po śmierci ojca całe gospodarstwo, stał się najważniejszym protoplastą rodu. Wujka Michała znałam już osobiście, bo w dzień jego imienin matka kazała nam składać mu życzenia i wysyłała nas obie, pięknie wystrojone, do niego. Wuj Michał ożenił się z młodziutką dziewczyną, czternastoletnią, piękną Ewką, która na gospodarstwie zupełnie się nie znała. Dlatego też moja matka ujęła je w swoje ręce, a żona Michała, Ewka, dopiero się przy niej do tej pracy przyuczała. Dzieci mieli troje: syna Jana i dwie córki, Kasię i Marylę.

KATARZYNA KARZOWA, z domu FLIS córka wujka Michała i cioci Ewy

Warto na wstępie podkreślić, że rodzina Flisów słynęła z urody tak mężczyzn, jak i kobiet. Nic więc dziwnego, że najstarsza ich córka Katarzyna, nazywana Piękną Kasią, słynęła z urody w całej okolicy, co mogę zresztą osobiście potwierdzić. Zjeżdżali się liczni kandydaci do jej ręki, ale żaden się jej nie podobał. Niebawem zrobiło się koło niej pusto, ponieważ przestano posyłać do niej swaty – nikt nie chciał narażać się na odprawę. Wtedy Kasia ze strachu przed staropanieństwem wybrała sobie wcale niepokąźnego męża o nazwisku Karcz.

Karcz był człowiekiem niepozornym i dlatego dziwiono się, że Kasia wybrała go sobie za męża, ale był to człowiek przewidujący, wyrachowany i przebiegły. Pierwszym jego krokiem po śmierci wujka Michała było wniesienie do

sądu o zmianę testamentu według nowej ustawy, że nie jedno dziecko wskazane przez właściciela dziedziczy cały majątek, ale wszystkie dzieci w równej części. Wujenka Ewka prosiła go, aby ten wniosek wycofał, nawet klękła przed swoim zięciem i wołała: „Uszanuj wolę i testament ojca, bo ci to nie wyjdzie na pożytek”. Trzeba podkreślić, że Karcz dobrze by wyszedł na zmianie testamentu, bo swego czasu ojciec, urażony jakimś postępkami Kasi, chciał ją całkiem wydziedziczyć. Dopiero na prośbę mojej matki, kiedy Kasia wychodziła za męża, dał jej kawałek pola jako posag. Mąż jej zaraz go zaintabulował na nią. Dlatego też po śmierci wuja Michała, gdyby nastąpił podział według „równości” to Karczowie wzięliby jakby drugą, nową część, bo to, co uprzednio otrzymali, nie wchodziło do podziału. Całe szczęście, że się ugodzili i do procesu nie doszło. Dostali jeszcze coś z łąk i pola uprawnego w zamian za odstąpienie od równego podziału. Pamiętam do dziś, że kiedy matka zdjęła z Kasi perspektywę wydziedziczenia, ojciec jej powiedział: „Pamiętaj, zawdzięczasz to ciotce, powinnaś jej za to nogi myć i brud pić”.

Przewidując Karcz za jakiś czas wydzierżawił ten rodzinny majątek żony w Śmignie, a kupił w Tarnowie na ul. Klikowskiej murowany dom piętrowy i dziewięć morgów ziemi. Jako majster murarski miał łatwość zdobycia pracy w mieście, a i dzieciom potrzebne były szkoły. W tym to domu mieszkałam u nich, kiedy uczęszczałam do ósmej klasy. Po kilku latach, kiedy Tarnów zaczął się rozbudowywać w kierunku Klikowej, wykorzystał Karcz tę korzystną dla niego koniunkturę, sprzedał drogo swoje grunta na parcele budowlane oraz także dom i wrócił na ojcowiznę do Śmigna.

Karczowie mieli sześć córek i dwóch synów. Najmłodszego Józia to już ja trzymałam do chrztu. Józiu po ukończeniu gimnazjum wstąpił do szkoły podchorążych, a później służył jako kawalerzysta. Awansował bardzo szybko, tak że Staś

Zaucha bardzo się dziwił, że tak prędko został rotmistrzem, co było czymś niebywałym i nadzwyczajnym w służbie wojskowej. Koledzy podśmiewali się z niego, że ponieważ nadinspektorem policji w Warszawie był Karcz, więc żołnierz o tym samym nazwisku nie mógł zajmować niskiego stanowiska. Ja zaś powiem, że dlatego szybko awansował, bo krótkie miało być jego życie. Zginął w Katyniu w 1940 roku.

Jedna z córek Karcza, o imieniu Józia, była nauczycielką. Wyszła za urzędnika kolejowego w Tarnowie. Miała dwóch synów. Jeden zginął w czasie ostatniej wojny, a drugi jako oficer został zwolniony z wojska, jak i wielu innych oficerów po wejściu bolszewików do Polski. Staś Zaucha dobrze go znał, bo służył na Pomorzu przed wojną.

Inna córka Karcza, Zosia, wyszła za mąż za kolejarza w Dębicy. Miała tam swój ładny dom, ale nie miała dzieci. Kiedy Rysia Sartorius ukończyła szkołę podstawową w Nowym Sączu, chciałam wziąć ją na stałe do siebie w celu dalszego kształcenia. Zosia mnie bardzo prosiła, żebym jej Rysię zostawiła, a ona zajmie się jej dalszym losem, bo nie ma własnych dzieci. Zgotuje jej taki los, jakiego ja bym jej nie mogła stworzyć. Zgodziłam się na to, ponieważ Zosia zobowiązała się solennie dalej kształcić Rysię i wychowywać ją w pełnej moralności. Wiadomo jak wywiązała się z tego zobowiązania.

Inne córki Karczów powychodziły za mąż, lecz los ich jest mi mało znany, gdyż się z nimi nigdy bliżej nie stykałam.

JAN FLIS

syn wujka Michała i cioci Ewy

Po śmierci wujka Michała całe gospodarstwo objął syn Jan, z tym że zobowiązał się posłacać ciężące na gospodarstwie

udziały dla mojej matki, wujka Józefa i młodszej siostry Agaty. Wujek Michał nie wypłacił nigdy mojej matce i wujowi Józefowi należących się im części majątku, bo po pożarze zabudowań musiał dźwigać gospodarstwo z ruin, co wymagało od niego wielu nakładów. W testamencie zaznaczył jednak, że ciotce Tekluni należy się wypłacić dwie części, albowiem wujek Józef zrzekł się swej części na rzecz kochanej swej siostry Tekluni. Pamiętał bowiem, jak się ona troszczyła o niego, gdy uczęszczał do gimnazjum w Tarnowie. Żywiła go nawet wówczas, kiedy był już na posadzie w Bochni. Jeździła tam do niego końmi z parobkiem i zaopatrywała go we wszystko, czego potrzebował. Poza tym przeznaczył jej testamentem drzewo z lasu na opał i siano z łąk dla bydła. Sama widziałam, że ojciec przywoził czasem siano, ale pieniędzy i drzewa nigdy matka nie dostała. Procesować się z synem brata, który był jej przecież opiekunem, uważała za ciężki grzech.

Tymczasem Janek bawił się w pana. Przystojny był bardzo, bo to przecież Flis. Ubrany elegancko raz lub dwa razy na tydzień jechał sobie powozem do Tarnowa i spędzał czas w eleganckich i drogich lokalach. Śniadańka i obiedziki „U Leszczyńskiego” lub „U Kempfa”, przy stole razem z panami, którym zresztą często fundował, uważał za sprawy tak ważne, że odmówić ich sobie nie mógł. Gospodarstwo zaś zostawiał pod opieką matki, służby i komorników, którym rozdawał po kawałku pola, by pomagali w robotach polnych. Sam od czasu do czasu poobchodził pola, zarządził, co ma być zrobione, i na tym koniec.

Nic dziwnego, że gospodarstwo zaczęło upadać. Śniadania i obiady kosztowały, zatem i długi trzeba było zaciągać. Wtedy Janek zaczął myśleć o ożenku, ale zrazu nie widział stosownej dla siebie dziewczyny. Jednakże o takiej partii przebąkiwano coraz częściej i to nawet w odległych wsiach. Przysłano wreszcie swaty aż ze wsi Rutki nad Dunajcem,

gdzieś między Brzeskiem a Bochnią. Przyrzeczono wraz z dziewczyną piękny posag. Chociaż, prawdę mówiąc, uroda dziewczyny nie była w guście Janka, ale za to podobał mu się jej posag, więc sposobiono się do wesela. Sposobiono się i w naszym domu do tego wesela, bo mój ojciec został wybrany starostą weselnym. Była to osoba bardzo ważna na weselu, gdyż starosta przestrzegał wszystkich tradycji weselnych obowiązujących w każdym dniu i nocy tej uroczystości. Miał on dwie drużyny, które zrobiły mu wspaniałe weselne różgi, bez których starosta nie mógł się obejść w swym urzędzie weselnym, gdyż wydawał wszystkie zarządzenia, trzymając je w ręce. Teraz już takich obrzędów, moje dzieci, nigdzie nie zobaczycie, a to były takie piękne zwyczaje. Tańczono przez całą noc, a ja z zachwytem patrzyłam na te zwyczaje weselne z dawnych lat, a dzisiaj ich piękno mogę jeszcze lepiej ocenić.

Wesele rozpoczynało się od wyjazdu do panny młodej. Na sygnał starosty o czwartej rano wszyscy wstawali, czemu towarzyszył turkot wozów, trzaskanie z bicia, a wreszcie muzyka. Wychodzimy na podwórze, muzyka rżnie głośno, a z drzwi domu wychodzi mój ojciec – starosta z różgami w dłoniach, i śpiewa przed muzyką. Zdumiona patrzę na jego strój. Kierezja brązowa, czerwono wyszywana, czerwona czapka z pawim piórem i szeroki pas grubo i we wzory nabijany, a do tego buty z cholewami i szerokie spodnie w nie wpuszczane. Tupnął mocno podkówkami, zakręcił w górze różgą, jeno złote i kolorowe papiery zafruwały, i zaśpiewał. Ale jak zaśpiewał. Wprost zacudowana patrzyłam na ojca, bo go nigdy takim nie widziałam. Zawsze poważny, czymś zajęty, a teraz nie ten sam. Rozbawiona zaczęłam i ja do taktu podrygiwać, śmiać się i klaskać. Wreszcie wsiadamy na fury przybrane zielenią i kwiatami. Konie ruszają. Na drodze słysząc śpiew i muzykę. Pełni radości i wesela dojeżdżamy wkrótce do przeprawy promowej przez Dunajec. Na drugim brzegu wita

nas muzyką orszak weselny z Rutek. Czy wy sobie wyobrażacie moje uczucia? Wschód słońca, mijane wioski, pierwsza duża rzeka w moim życiu i przeprawa promem. A to wszystko jakieś takie inne, pełne ludzkiej radości. Zdawało mi się, że śnię, lub jestem zaczarowana.

Po przywitaniu i krótkim śniadaniu w domu panny młodej następuje wyjazd do kościoła. Jazda do kościoła odbywała się podobnie jak nasza eskapada do Rutek. Konie i wozy przybrane były zielenią, a orszakowi towarzyszyła muzyka. Jazda ta odróżniała się od poprzedniej strzelaniem na wiwat i banderią. Drużbowie przybrani po krakowsku towarzyszyli weselu na koniach. Przed wyjazdem nastąpiło błogosławieństwo ojców, mowy pożegnalne, życzenia i podziękowania rodzicom. Wszystko to było takie miłe, rzewne i sympatyczne, a dzisiaj prawie nikt do tej tradycji nie nawraca.

Po powrocie z kościoła do domu panny młodej następowało bardzo wesołe i dowcipne okupywanie się brąmom wstrzymującym pochód młodożeńców. Po przybyciu do domu panny młodej następowała główna część uroczystości weselnych. A były one huczne i bardzo bogate. Ojciec panny młodej, prócz pięknego gospodarstwa, prowadził roboty rzeczno-meliorycyjne, a także angażował się we wszystko, na czym można było zarobić, np. parcelował dwór. Na czysto po tej działalności pozostało mu dwadzieścia pięć morgów pola ornego i dworek mieszkalny. Osadził w nim później swego pierwszego wnuka, jak dorósł. Powodziło się mu dobrze, a nawet bardzo dobrze. Miał tylko dwoje dzieci, syna nauczyciela, bardzo wesołego i dowcipnego, oraz córkę, której wesele wyprawiał, a chciał, by było ono naprawdę wspaniałe. Dlatego niczego nie żałował. Do ciast sprowadził specjalną kucharkę. A jakie tam były placki i torty – takich nikt nigdy nie widział i ja jeden raz tylko w życiu takie jadłam. Do gotowania też sprowadzono specjalną kucharkę z Tarnowa. Jedzenia było

w bród i picia wszelakich trunków też, ale przez dwa dni wesela nie widziałam ani jednego pijanego człowieka.

Po dwóch dniach nastąpił powrót do domu pana młodego w ten sam sposób co przedtem. Towarzyszyły nam jednakże fury z wianem i wszelakim dobrem panny młodej. W Śmignie u matki były jeszcze ze dwa dni wesela.

Zatrzymam się jeszcze nad tańcami, które przecież były jedną z najważniejszych części wesela. Ojciec jako starosta wesela pilnował porządku. On to właśnie z różgą w ręce rozpoczynał tany. Wyprowadzał kolejno wszystkie poważniejsze gospodynie do tańca, a przy nim tańczyli i inni. Ojciec tańczył tak wspaniale, że Rutkowiczanie z podziwem patrzyli na niego i mówili: „Ale sobie wyszukali starostę, któremu nikt w tańcu nie dorówna”. A ja roślam w dumę, że tak chwałą mojego ojca. Po obtańczeniu przez ojca ważniejszych gospodyń wydawał on rozkaz: „A teraz wy, chłopcy, pokażcie, co potraficie!”. Więc rzucili się do dziewcząt i zaczęły się śpiewy, przytupywanie i wywijanie pannami w prawo i w lewo, w tył i w przód. Ojciec stał z ręką za pasem jak gospodarz i patrzył, czy dobrze pracują. Po przetańczeniu tańca chłopcy pytali: „Podoba się nasz taniec, panie starosto?”, „Podoba, podoba, ale jeszcze więcej, z życiem!”. A i mnie spotkało niewymowne szczęście, bo ten figlarz nauczyciel, brat panny młodej, zaprosił mnie do tańca. A co on ze mną wyprawiał: ludzie się śmiali, ale mnie chwalili, że jako córka takiego tancerza – ojca – daję sobie doskonale radę w najtrudniejszych figurach tanecznych. A potem brali mnie do tańca jego koledzy, nauczyciele, których przywiózł ze sobą na wesele. To był mój pierwszy występ na arenie tanecznej.

Po tej dygresji powracam do domu weselnego w Śmignie. Tutaj zasługują na uwagę oczepiny panny młodej. Co ten figlarz – brat panny – wyprawiał, to trudno wprost spać. Przebierał się za Żyda, za Tatara, za kupca i złodzieja.

Nawet ukradł pannę młodą z tańca samemu małżonkowi. Był taki wielki śmiech, że nawet zagłuszył on muzykę. Tancerze na podłodze siadali i tarzali się ze śmiechu. Rozpisałam się o tym weselu, bo ono mnie urzekło i było w moim młodocianym życiu niezapomnianym fragmentem, najmielszym przeżyciem. Wspominam je dotąd jako coś, co wywarło na mnie wielkie i miłe wrażenie, zajmując szmat miejsca w moich wspomnieniach.

Po weselu zaczęło się już normalne życie młodej pary, życie twarde, bo takie jest ono zawsze. Po weselach i radościach dosyć trudno przychodzi w nie wejść. Ojciec panny młodej wypłacił wiano, a było tego podobno sześć tysięcy reńskich¹⁰, co w tych czasach było czymś niezwykłym i godnym podziwu. Zaraz też ojciec panny młodej zabrał się do budowy gniazdka dla młodych. Usłał je pięknie i zaopatrzył we wszystko, co potrzebne jest do życia, a więc kupił sprzęty, krówkę, konia, świnie, choć to Janek przecież miał, ale ojciec chciał, żeby jego córka zaczynała od swojego i nie prosiła o nic matki mężowskiej. Komora jej była więc bogato zaopatrzona we wszystko, co było potrzebne do życia i kuchni.

Z początku Janek pilnował domu, ale wkrótce zatęsknił za knajpkami „U Leszczyńskiego” i „U Kempfa”. Popłacił długi posagiem żony i wrócił do beztroskiego życia, a żona jego, miłutka Kasia, niezbyt piękna, ale gospodarna, wzięła w swoje drobne ręce gospodarstwo i rządziła, harowała, rodziła dzieci i dawała sobie radę, a ojciec swej jedynaczce we wszystkim dopomagał.

Najstarszego syna Julka wziął do siebie, chował, uczył, a potem osadził we własnym dworku na dwudziestu pięciu morgach ziemi. Drugi z rzędu był Pawełek, studencik,

¹⁰ O wielkości posagu niech świadczy wysokość pensji nauczyciela, która wynosiła w tym czasie ok. 25 reńskich miesięcznie, zapewniając rodzinie nauczycielskiej w miarę godne życie.

chłopiec cacuszko, z którym grywaliśmy razem na przedstawieniach w szkole w Lisiej Górze. W czasie wielu naszych imprez kulturalnych nieraz ojciec Janek towarzyszył nam przez całą noc na tańcach, fundował ćwiarteczki piwa i jedzenie i sam się dobrze bawił z nami. I ten Pawełek, chłopczyk malowanie, za którym dziewczęta goniły i nie dawały mu przejść spokojnie w ósmej klasie, tuż przed maturą nagle zmarł. Nie mogłam pogodzić się z tą śmiercią. Zdaje mi się, że śmierć ta była jakąś rodzinną tragedią, którą pokryła tajemnica wiecznego milczenia. Poza Pawelkiem było tam jeszcze kilkoro dzieci, których nie poznałam, bo rzadko tam bywałam. Wiem tylko, że się kształcili. W czasie wojennym, kiedy byłam w moich ojczystych stronach, poznałam jedną ładniutką nauczycielkę, Flisównę. Córkę Janka powychodziły za męża i dobrze się im powodziło. Kiedy spotkałam Wawera, to mi powiedział, że cała rodzina Flisów, a także i jego Jadźka, zajmują parę domów w jednej dzielnicy Krakowa. Janek późnej starości nie doczekał, żona przeżyła go o parę lat, a jeden z synów objął gospodarstwo na starej placówce Flisów.

MARYLA MAREK

córka wujka Michała i cioci Ewy

Trzecie dziecko wujka Michała – Maryla – była również bardzo ładna, a według mnie nawet ładniejsza niż jej siostra Kasia. Wprawdzie obie miały czarne włosy i oczy, a także czarną ich oprawę i długie rzęsy, obie miały także równy, długi nos – jak to się zwykło mówić w rodzinie – „nos flisowski”, ale Maryla była szczupła, gibka i zgrabna, czego brakowało Kasi. Jej uroda była, jakby to powiedzieć, subtelna, skromna, a przy

tym jednak porywająca. Z natury wybredna, trzymała chłopców przez dłuższy czas z daleka od siebie. W końcu wyszła za mąż za Marka. Mieli syna Stanisława, który był oficerem Wojska Polskiego przed wojną. Moja córka Dziunia poznała go, kiedy chodziła jeszcze do gimnazjum w Tarnowie. Poznał go też mąż Dziuni, Stanisław Zaucha, na kursie oficerskim przed drugą wojną światową. Otóż on jako były oficer polski po drugiej wojnie nie zgłosił swej obecności ówczesnym władzom PRL, nie zameldował się, tylko się ukrywał. Ktoś go jednak zdradził i biedak dostał pięć lat więzienia. Po czterech latach schorowanego puścili na chwilowy odpoczynek celem poratowania zdrowia. W tym czasie nastąpiła „odwilż październikowa” i już nie wrócił do więzienia ku uciechu swej żony i dwojga dzieci. Młodszy Stanisław – studiował w 1939 roku na uniwersytecie – poszedł na wojnę i tam zginął. Znałam jeszcze dwie dziewczyny: jedna z nich, Zosia, umarła, a druga gospodarzyła na całym majątku. Na tym kończę dzieje rodu Marków. Nie utrzymywałam z nimi bliższych kontaktów, więc losy ich nie są mi bliżej znane.

WUJ MACIEJ FLIS i jego DZIECI

Drugi z kolei syn, Maciej, już jako młody chłopiec wraz z młodszym od siebie bratem Józefem początkowo uczył się u księży w Lisiej Górze, a potem zaczął uczęszczać do gimnazjum w Tarnowie. Maciej naukę w szkole przerwał i nagle zniknął z rodzinnej wsi. O tym, gdzie się udał i w jakim celu,

wiedział tylko ojciec i on mu w tym wyborze walcie dopomógł. Jak się można dzisiaj domyślać wuj Maciej wziął udział w powstaniu styczniowym w 1863 roku. Ponieważ – jak po cichu mówiono – wstąpił się kilkoma bardzo udanymi potyczkami, dowodząc wcale dużym oddziałem powstańczym, nie powrócił początkowo do domu rodzinnego, nie chcąc nikogo narażać na nieprzyjemności, a majątek na konfiskatę. Zamieszkał w Krakowie i tam się ożenił. Jeden z jego synów był kanonikiem i kustoszem w katedrze wawelskiej w Krakowie i ja się z nim kilkakrotnie spotkałam osobiście w czasie mego pobytu w tym mieście. Najstarszy syn został proboszczem w Skawinie.

Na starość wuj Maciej powrócił w rodzinne pielesze. Jako bardzo dobry stolarz i cieśla był wielce pożądaną osobą we wsi. Pamiętam, że wiele sprzętów w naszym domu osobiście naprawiał i to w taki sposób, że po tej naprawie wydawały się, jakby były całkiem nowe, ładniejsze i piękniejsze, a przy tym bardziej nowoczesne.

CIOCIA AGATA z FLISÓW

Ciocia Agata była czwartą latoroślą Flisów. Była piękną i przystojną panną, która stosunkowo szybko wyszła za mąż wyjeżdżając daleko poza naszą wieś. Jej dzieje są mi w zasadzie nieznane, więc nie mogę niczego bliższego o niej ani o jej rodzinie napisać.

WUJ JÓZEF FLIS i jego DZIECI

Najmłodszy z braci mojej matki, wuj Józef, po ukończeniu szkoły w Lisiej Górze zdał egzamin do gimnazjum w Tarnowie, a edukację ukończył na uniwersytecie w Krakowie. Był profesorem gimnazjalnym naprzód w Bochni, a potem długie lata w Nowym Sączu. Mateńka nasza jeździła wiele razy do brata, gdy się on ożenił ze szlachcianką Małęką. Tam miała okazję poznać życie na wyższym poziomie, życie wyższej sfery. Stąd później u siebie w domu starała się urządzić choć w jednej, dużej swojej izbie pokoje, jakie widziała u swego brata. Żona wujka Józefa – Małęcka z domu – ceniła tak wysoko swoje szlacheckie pochodzenie, że nie mogła mi wybaczyć mezaliansu, jakim było wyjście za mąż za wiejskiego nauczyciela. O mój Boże, co by ona robiła w obecnych czasach, jak by się czuła teraz?

Kiedy wuj Józef był już na emeryturze, wybrał się do nas w odwiedziny do Staszkówki. O jakże się cieszyłam, że ja tego kochanego człowieka będę mogła gościć u siebie. Był u mnie cały miesiąc i nie nudził się. Poznał się z naszym zawnym kanonikiem i proboszczem księdzem Tęczarem, który był prawdziwym ludowcem, więc się zgadzali w swych zapatrywaniach. Chodzili wspólnie w pola na spacer, czasem zagrali sobie w preferans przy współudziale mego męża i dziedzica lub ojca jego żony, z domu Maziarskiej. Czasem brał za rączkę Dziunię, swoją chrzestną córkę, i chodził z nią po polach. Z każdą spotkaną kobietą porozmawiał, a ona się pytała: „A gdzież też pan profesor idzie z naszą Dziunią?!”. Bo o Dziuni staszkowscy ludzie mówili: „nasza Dziunia”. A jak był jej ślub w Gorlicach, to też mówili: „To nasze dziecko, jej

ślub powinien być tu, w Staszkówce”. Zdarzało się, że gdy wuj Józef napotkał w polu pastuszkę, to kazał mu śpiewać i dawał mu za to grosze. Wkrótce tak się nauczyli, że jak go zobaczyli, to wołali: „Proszę pana, ja już umię nową śpiwkę”. A wuj na to: „No to śpiewaj”. Z gospodarzami w polu też porozmawiał o ich pracy, a naszej Marysi narąbał tyle drewnienek na podpałkę, że jej to starczyło na cały rok.

W czasie pobytu wuja Józefa u mnie miała się odbyć wizytacja biskupa w parafii. Wuj pomagał ludziom w przygotowaniach do niej, doradzając strojenie przydrożnych kapliczek, urządzenie paradnych bram, słowem wszędzie był, wszędzie doradzał, a nawet sam pomagał. W rozochoceniu mówił do mego męża: „To bardzo miła praca, a ile tam błysków kolan dziewiczych, co tam można jeszcze zobaczyć. Idź, Wojtusi, zobacz, a co sobie przy tym pomyślisz, to żona nie musi wiedzieć”. Wtedy ja w lament: „To rodzony wujek psuje mi męża!”, „Ależ dziecko kochane, przecież jemu się też coś nowego należy, a ty sobie przy okazji też pozwól na rewanż”.

Na obiad biskupi prosił go kanonik. Wymówił się, że nie ma tutaj wizytowego ubrania, a nie chce się w takim szanownym gronie przedstawić jako pacholek. Panowie ze dworu chcieli go ubrać w swoje ubrania, ale powiedział: „Cudze nie pasuje do obcej skóry”. Do nas zaś rzekł: „Grunt, żeby się uwolnić od całowania biskupiego pierścienia, bom na to już za stary”. Z żalem go żegnaliśmy, a on ze wzruszeniem dziękował, mówiąc: „Dobrze mi było u was, moje dzieci. Odmłodziłem u was, poweselałem, zdawało mi się, że jestem w swej rodzinnej Flisówce”.

Kochałam wujka Józefa i on mnie kochał. Wujenka i ich synowie mówili, że całą miłość do siostry Tekluni przelał na mnie, jej najmłodszą córkę. Kiedy przebywałam w Krakowie, posyłał mi w każdym miesiącu po parę reńskich na drobne wydatki. Kiedy starałam się o posadę, oprócz wszystkich papierów zażądano dodatkowo fotografii, którą im zresztą doślałam. Wówczas wuj oświadczył: „Nie pojedziesz, bo na co im

była potrzebna twoja fotografia – wystarczyć powinny złożone przez ciebie świadectwa”. Poprosił o zwrot fotografii i wytłumaczył moją odmowę tym, że otrzymałam inną posadę. Wujek był honorowym dyrektorem spółdzielni kółek rolniczych na powiat sądecki, a jego uczeń – właściciel wsi – był dyrektorem czynnym. Nic więc dziwnego, że otrzymałam posadę i to na bardzo dobrych warunkach. Rano przyjeżdżałam z głównej stacji na przystanek i szłam do pracy. Na obiedzie byłam u wujka, a po pracy i po podwieczorku, wuj brał mnie pod rękę i odprowadzał na przystanek. Na przystanku dawał mi pieniądze na bilet, nawet więcej niż potrzeba, a ja biletu nie kupowałam, gdyż wszyscy mnie znali, że mam brata kolejarza. Na pożegnanie pięknie mnie całował. Tak było codziennie. W ten sposób uskładałam sobie paręnaście reńskich. Byłam pierwszą kobietą, która pracowała z mężczyznami, więc miałam z tego powodu różne przykrości, zwłaszcza od dewotek. Kiedy wuj się o tym dowiedział, wzięła go złość, więc porozumiał się z inspektorem szkolnym, który żalił się na brak nauczycieli, i w ten sposób znalazłam się na posadzie nauczycielskiej. Kochany wujek wyprawił mnie i zaopatrzył na drogę mojego życia tak, jak tylko może to uczynić kochające serce.

Może wam to dziwne się wydaje, że tak mało piszę o miłości wujka do mojej siostry Wery. Przyczyną tego było to, że ona była na posadzie nauczycielki dość daleko od nas i nieczęsto przyjeżdżała do Nowego Sącza. Dopiero kiedy udało jej się przenieść do Woli Łużańskiej, mogła nas częściej odwiedzać.

Wujek Józef dożył sędziwej starości. Umierał jak dobry katolik. W czasie okupacji niemieckiej były takie okresy, że nie można było chodzić po mieście bez przepustki. Gdy więc przyszedł do niego w odwiedziny jego przyjaciel, dziekan rzekł do niego: „Przyjacielu, przyszedłeś dać mi na tę nieznaną drogę przepustkę. Dziękuję ci za to, bo widzisz – filozofia szuka Boga od setek lat i nie może go znaleźć. Nie może też

ona udowodnić, że Go nie ma. Przyroda natomiast swą mądrością, swymi rozwiązaniami pokazuje każdemu, kto szuka, a przy tym myśli, że On jest i ja w to głęboko wierzę, i chcę trafić do Niego”.

Wuj Józef miał czterech synów. Najstarszym był Kazimierz.

KAZIMIERZ FLIS

syn wujka Józefa

Kazimierz po ukończeniu medycyny studiował przez pewien czas w domu patomorfologicznym, przeprowadzając doświadczenia na królikach. Następnie daleko na wschodzie studiował medycynę wschodnią, a po jej ukończeniu przyjął jego hr. Skarbek zaproponował mu objęcie stanowiska dyrektora i lekarza w sierocińcu im. Skarbków pod Lwowem. Właśnie tam przebywał, kiedy moja siostra Weronika umarła. Wówczas chciał on zabrać do siebie Józia i Rysię – sieroty po siostrze. Jednak dzieci były tak małe, że bałam się je powierzyć obcym i obojętnym rękom. Nie oddałam Józia do zakładu, a za moim przykładem brat Wojtuś nie oddał także Rysi.

STANISŁAW FLIS

drugi syn wujka Józefa

Stanisław ukończył w Krakowie studia prawnicze i otworzył w Nowym Sączu kancelarię adwokacką. Ożenił się z panną Olszewską, córką właściciela Sitnicy – dużej i bogatej wsi pod Gorlicami. Kancelaria adwokacka przynosiła tak duże zyski,

że Stanisław stał się wkrótce właścicielem dwóch dużych kamienic w Nowym Sączu. W pobliżu jednej z nich kupił nie-duży domek z ogródkiem, w którym do późnej starości żył i gospodarzył wujek Józef, kiedy przeszedł na emeryturę. Stanisław, choć był bardzo bogatym człowiekiem, zawsze serdecznie odnosił się do całej rodziny ojca. On np. prowadził sprawy mego przyrodniego brata Wojciecha. Kiedy urodziłam pierwszą córkę Dziunię przyszedł mi złożyć życzenia. Wziął dziecko na ręce, położył na poduszce garść złotych talarów Marii Teresy i powiedział: „Niech ci się ta córa chowa tak, jak to złoto”. Na mój ślub jego żona dała mi dwanaście najmodniejszych filizanek, piękny lniany obrus na dwanaście osób i tort – kunszt sztuki cukierniczej z naszymi imionami. Tort był ogromny – nie przesadzam – większy niż koło u wozu. Staś się nieraz zwracał do mnie i do Wery: „Dziewczęta, nie potrzeba wam ta czego, może pieniędzy, mówcie śmiało!”. Jeden jedyny raz Wera skorzystała z tej grzeczności.

Stanisław pod koniec swego niedługiego życia miał honorową sprawę, która zakończyła się pojedyńkiem. O co chodziło i z kim, tego jego rodzina nigdy nikomu nie powiedziała. Pojedynek zakończył się poważnym zranieniem Stanisława. Po tym wypadku przez długi czas nie mógł się wykaraskać i dojść do zdrowia. Należy sądzić, że to było przyczyną jego wczesnej śmierci.

Stasiowie mieli kilkoro dzieci, córki i synów. Najstarsza Dziunia otrzymała niestety po babce niemiłą pamiątkę. Mimo że jej rodzice byli całkiem zdrowi, ona urodziła się z jedną krótszą nóżką. Wszyscy krakowscy chirurdzy robili, co mogli, i rzeczywiście coś tam poprawili. Ojciec pojechał z nią do Wiednia. Tamtejsze sławy lekarskie wzięły ją pod opiekę i dużo jej pomogły, ale wraz z jej wzrostem noga nie bardzo nadążała. W każdym razie już jako dorosła panna swym chodem nie bardzo raziała i nie zwracała na siebie specjalnej

uwagi. Ukończyła filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim i była mądrą i szanowaną profesorką.

Druga córka Stanisława miała na imię Stanisława. Była portretem ojca. Uroda flisowska, buzia cacana, ale nóżki – istne wałki. Nie mogliśmy się temu wydziwić, bo przecież jej matka miała całkiem przyzwoite nogi. Mimo tego humor jej nigdy nie odstępował, tak że miała powodzenie, tym bardziej że była przecież panną bardzo majątną. Ukończyła studia prawnicze i jako adwokat objęła po ojcu kancelarię w Nowym Sączu. Wyszła za mąż za adwokata, ale mówiąc po teraźniejszemu, przepędziła go na cztery wiatry i to nie dla innego mężczyzny, tylko z powodu jego pijaństwa.

Znałam jeszcze inne dzieci Stasiów. Jeden z jego synów już jako dorosły chłopiec zmarł ku rozpaczy ojców.

TADEUSZ FLIS

trzeci syn wujka Józefa

Tadeusz był wysokim, dobrze zbudowanym i przystojnym mężczyzną. Został naczelnikiem sądu w Jaśle. Był on drużbą na moim ślubie, jego zaś drużką miała być moja koleżanka z Krakowa, nie odznaczająca się jakąś specjalną urodą. Kiedy więc drużbowie ustawiali się w pary, Tadek wziął pod rękę Weruskę, moją siostrę, bo była bardzo ładna, i wręczył jej wspaniały bukiet kwiatów. O mało z tego powodu nie wyniknęła tragedia, bo drużba Weruski, który się w niej kochał, natychmiast zareagował na taki despekt i targnął się na siebie nożem. Innym razem na zabawę przyjechała pewna nauczycielka ze Śmigna. Kiedy się witała z Tadkiem, popatrzyli się na siebie tak znacząco, że zrozumieli się bez słów, a on już tylko

z nią tańczył do końca zabawy, a potem odwiózł ją w nocy do domu. Później jeszcze kilka razy przyjeżdżał do niej ze Sącza.

Tadeusz ożenił się w końcu z drugą panną Olszewską, także przystojną i bogatą panienką. Kazio kiedy raz przyjechał do mnie, tak mi rzekł: „Widzisz, jak nasza rodzina wsiąka w Olszewskich. Trzeciej córki nie mieli, to mnie chcieli ożenić z wdową Olszewską, ale powiedziałem stop! Trzech Flisów w jednej Olszynie byłoby za dużo!”.

EUGENIUSZ FLIS

czwarty syn wujka Józefa

Ostatni syn wujka Józefa – Eugeniusz – odrodził się nieco od Flisów. Nie był już taki przystojny jak bracia. Był wprawdzie ładnie zbudowany, rosły i zdrowy, tylko twarz miał jakby mniej ładną, a na niej malował się często wyraz powagi i skupienia. Miał ostre rysy i mało kiedy się śmiał, z czego podobny był do swego ojca. Bracia skakali, zbytkowali, tańczyli, a on – najmłodszy – patrzył na nich z grymasem i politowaniem. Był on jednak z nich najzdolniejszy. Wszystkie egzaminy, począwszy od matury, zdawał z postępem celującym i otrzymał nawet jakąś odznakę, którą uwidoczniał na dyplomie. Za czasów austriackich najzdolniejsi otrzymywali specjalne odznaki z łacińskim napisem. W czasie pierwszej wojny światowej był dyrektorem gimnazjum w Jarosławiu, a potem w Poznaniu, bo czytałam coś o nim w gazecie. Ojca bardzo kochał, ze szlacheckich herbów kpił, za co miały do niego urazę szwagierka i matka Małęcka. Drwił też ze swatania go ze szlachciankami, które sprowadzały w tym celu do siebie matka i szwagierka. Nie lubił Olszewskich i nie bywał u nich, a więc nazwano go dziwakiem. Był on po prostu demokratą, trochę nawet

socjalistą, a że i ja miałam poglądy lewicowe, więc zgadzaliśmy się we wszystkim, a w szczególności w miłości do ojca Józefa, więc mnie lubił i nazywał swoim druhem.

Ostatni raz widzieliśmy się na pogrzebie jego ojca. Szliśmy wówczas pod rękę jako najbliższa rodzina i on mówił do mnie: „Myślę, że widzimy się ostatni raz, bo już nie ma tego, który nas łączył i którego obojeśmy kochali, ja i ty. Nie mamy już tu do kogo przyjechać”. Po pogrzebie Staś (syn wujka Józefa) nas wszystkich zabrał do siebie i żegnając, powiedział: „Do tego czasu ojciec był tym łącznikiem rodzinnym, u którego się gromadziliśmy, a teraz proszę was serdecznie o to, by mój dom zastąpił dom ojca i niech on stanie się łącznikiem całej rodziny”. Genio odprowadził mnie do brata, u którego mieszkalam, i po drodze zwrócił się do mnie: „Już jego dom nie będzie nigdy domem ojca i ani ja, ani ty zapewne nie zagłędiesz, bo brat to dobry chłop, ale Olszewscy działają mi na nerwy”. Jak powiedział, tak też się stało.

TEKLA primo voto LISIAGÓRSKA, secundo voto KOCOŁ, z domu FLIS

Po ożenku wujka Michała moja matka Tekla musiała zajmować się gospodarstwem wuja, bo jego żona, młodziutka dziewczyna, nie znała się na nim zupełnie. Nie mogło to jednak trwać długo, bo matka moja była młoda i podobno bardzo przystojna, o czym nieraz wspominał wujek Józef. Raz wujenka i babcia Małęcka, patrząc na nas obie siostry, powiedziały: „Ależ te twoje siostrzenice, Józiu, są przystojne, nawet bardzo”. Dodały: „A jak dobrze ułożone, jak ładnie przy stole siedzą i jedzą, jakby były wychowane w jakimś szlacheckim domu”. „No bo widzicie – Józiu odpowiedział – i w nieszlacheckim domu można się nauczyć przyzwoitości i grzeczności, a co do ich urody, to gdybyście znały ich matkę, to dopiero byłybyście zdziwione jej urodą, bo i w szlacheckich domach rzadko można spotkać taką urodziwą i piękną dziewczynę jak Teklunia”. Nic więc dziwnego, że przy takiej urodzie kawalerów jej nie brakło. Wujek Michał przeszkadzał w ożenku, zapowiadał nawet, że nie da jej posagu, ale i to nie zniechęcało chłopców. Wreszcie, mimo że i matka była wybredna, i żaden ze starających się jej nie dorównywał ogładą i wiadomościami jakich czerpała z książek, w końcu wybrała jednego ze swych adoratorów. Był nim Andrzej Lisiagórski. Z zawodu był stolarzem i cieślą. Pracował u księcia Sanguszki, do którego należały prawie wszystkie dwory w powiecie tarnowskim, więc zatrudniał w nich wszystkich lepszych rzemieślników. Jako podarek ślubny dostał od księcia sześć morgów ziemi ornej i drzewo na budowę domu. Wybudował więc bardzo

porządny, jak na owe czasy, dom, w którym później i ja się wychowałam. Wuj Michał, jak zapowiedział, tak posagu nie dał, więc ciężkie były początki zagospodarowywania się na swoim, ale przy pracowitości i oszczędności pokonali wszystkie trudności. Matka szyła i troszczyła się o dom, a mąż zarabiał swym rzemiosłem i wszystko ułożyłoby się dobrze i pomyślnie, gdyby matka była mniej przystojna i uczciwa. Brat jej męża, Maciej, zakochał się w niej bez pamięci i prześladował ją swą miłością, z czego wynikały kłótnie rodzinne, a nawet bójki między braćmi. Podczas jednej takiej bójki Maciej mocno poturbował Andrzeja, który przez dłuższy czas potem ciężko chorował. W końcu podniósł się z tej choroby, ale już nie miał takiej jak dawniej siły i chęci do pracy, aż wreszcie zmarł w sile wieku.

Teraz dopiero nastało dla mej matki smutne i bardzo przykre życie. Za Macieja nie chciała wyjść za mąż. Zaczął więc jej dokuczać i wprost znęcać się nad nią. Raz nawet wyprowadził jej krowę ze stajni i sprzedał na wódkę, bo się na dobre rozpił. Innym razem wykradł jej ubrania tak, że została tylko w codziennym stroju. Jeszcze wiele innych przykrości musiała znosić od niego.

Najbliższym sąsiadem matki za miedzą był Józef Kocoł, mój ojciec, któremu matka się bardzo podobała jeszcze z czasów pańskich. Litował się on bardzo nad jej dolą i bronił jej, ile tylko było to w jego mocy, a po śmierci swej żony zajmował się nią tak troskliwie, że wreszcie się z nią ożenił. Teraz połączyły się w jego rękach dwa sąsiadujące z sobą gospodarstwa rolne. W rękach mego rozumnego i trzeźwego ojca było to prawdziwe bogactwo i stanowiło pierwsze w gminie gospodarstwo. Przyjęto do pomocy komornicę z mężem i dziećmi, parobka i pastucha. Dom nasz był zamożny i cieszył się powszechnym szacunkiem i poważaniem. W domu było rojno i gwarno, bo matka po pierwszym mężu miała czworo dzieci, a ojciec jedną córkę.

WOJCIECH LISIAGÓRSKI

najstarszy syn Tekli i Andrzeja

Kiedy matka była jeszcze wdową, wziął Wojtkę do siebie właściciel, a w rzeczywistości dzierżawca Lisiej Góry – pan Artwiński. Matka bowiem jako wdowa po księżącym rzemieślniku była niejako pod opieką księcia. Pan Artwiński wziął Wojtkę, aby go uczyć, bo wtedy jeszcze nie było publicznej szkoły. Wojtek uczył się więc we dworcu grzeczności, dobrego obejścia i zachowania, a po części czytania i pisania. Z chwilą jednak, gdy otworzono szkołę w Lisiej Górze, matka zabrała chłopca i zapisała do szkoły. Po ukończeniu tej szkoły, zaopatrzona w listy polecające księdza proboszcza i pana Artwińskiego wyjechała z Wojtkiem do Krakowa. Tu załatwiła sprawę dalszej przyszłości syna w ten sposób, że umieściła go w firmie Sataleckiego, który posiadał dwa wytworne sklepy masarskie. Pan Satalecki był kapitalistą z iluś tam kamienicami i w owym czasie prosperował świetnie. Wojtuś jako praktykant sklepowy czuł się doskonale. Uczęszczał do szkoły rzemieślniczej, którą wskazał mu pan Satalecki. Grzeczność Wojtkę, jego obejście i wrodzona kultura bardzo się podobała klienteli, jak i samemu szefowi. Z czasem szef brał Wojtkę do kancelarii, zaznajamiał go z rachunkowością i prowadzeniem sklepu i wtajemniczał go w swoje sprawy handlowe. W końcu tak go wysoko cenił, że chciał mu powierzyć swój największy skarb – córkę – a z nią duży majątek. Ale w naszej rodzinie nikt nigdy nie był łasy na majątek. Panna była starsza i podobno niezbyt urodziwa, toteż Wojtuś się nie spieszył. Wkrótce doczekał się powołania do wojska. Tu również się spodobał i przeznaczono go do *Bildungschule*, z której wyszedł jako *Zugsführer*¹¹ mając otwartą drogę do wyższych

11 *Zugsführer* – plutonowy w armii Austro-Węgier.

stopni wojskowych, o ile zechce pozostać we wojsku. Wojtuś nie został, bo mu się spodobała służba przy kolei. Po odbyciu przeszkolenia i zdaniu kilku egzaminów otrzymał świadectwo uprawniające go do prowadzenia pociągów, czyli znów *Zugsführer*¹². W końcu dojrzał już, by się zadomowić, i zaczął oglądać się za żoną. W tym czasie ja byłam w Krakowie i on co miesiąc przysyłał mi po kilka reńskich na szkolne wydatki. Kochał on nas obydwie więcej niż rodzone swe siostry i zasięgał rady odnośnie do swego ożenku.

W klasztorze klarysek w Starym Sączu uczyło się kilka Żydóweczek, które postanowiły się wychrzcić. Dzień chrztu był publicznie ogłoszony w Nowym Sączu. Wybrało się więc kilku kolejarzy kawalerów i dwóch z nich z miejsca się zakochało. Jednym z nich był Wojtuś. Chrzest był wspaniały, całe miasto brało w nim udział, a chrzestnymi rodzicami byli ludzie na najwyższych stanowiskach, a do tego bogaci. Chrzestniaczkom ofiarowano bogate prezenty, urządzono im bogate chrzciny i zabawę, nic więc dziwnego, że młodym zawróciło się w głowie. Wojtuś zaprosił nas, obie siostry, zawiózł nas do klasztoru. Gdy nam się spodobała Gabriela-Maria, poszliśmy z nią do jej chrzestnego ojca na wizytę. Omówiono wszystkie najważniejsze szczegóły dotyczące ślubu. Ojcowie chrzestni sprawili huczne wesele. Przyjęcie było w refektarzu. W taki oto sposób zyskaliśmy biedulkę bratową Elę. Żyli bardzo dobrze ze sobą, ale braciszek był o nią trochę zazdrosny, bo się wszystkim bardzo podobala. Była brunetką z piękną oprawą czarnych oczu i piękną, białą cerą z naturalnymi rumieńcami, i ustami, które nie potrzebowały kredki. Kiedy brat wyjeżdżał w drogę, to ją zostawiał niby pod moją opieką, bo byłam wtedy u nich, pracując w związku kółek rolniczych. Hamowałam, jak tylko umiałam jego zazdrość o cnotę żony, bo naprawdę była kobietą uczciwą i dobrą gospodynią. A jak

¹² *Zugsführer* – tutaj w znaczeniu kierownik pociągu.

urodziła dzieci, to naprawdę była wspaniałą, można powiedzieć, najlepszą matką.

Mieli dwoje ładniutkich dzieci: Karolka, czyli Lolka, i Zosię, matkę Witka Fąfrowicza. Po ożenku brat sprzedał część pola przypadającego na niego, kupił w Nowym Sączu piękny kawałeczek ziemi tuż przy kolei i wybudował sobie domek rodzinny, założył sad i ogród warzywny. Został jeszcze spory kawałek ziemi pod ziemniaki. Teraz podobno zabrali mu część z tego ogrodu na przeprowadzenie ulicy. Majątek ten pozostaje – jak mi mówiono – pod opieką naszego adwokata rodzinnego, Stasi z Flisów, nazwiska po mężu zupełnie zapomniałam.

KAROL LISIAGÓRSKI

syn Wojciecha i Elżbiety

Karol Lisiagórski, zwany Lolkiem, był ładnym i dobrym chłopcem. Uczył się nieźle, lecz z ósmej klasy gimnazjalnej zwał i zgłosił się we Lwowie, by bronić tego polskiego miasta przed Ukraińcami. Ileż to dziecko, wychuchane w domu, wycierpiało pode Lwowem, tego się nie da wprost opowiedzieć. Walczył dzielnie, jak zresztą wszystkie dzieci lwowskie. Kiedy wybuchła epidemia tyfusu, Lolek spał z ciężko chorym kolegą, którego ratował i pielęgnował, a później sam zachorował na tę chorobę. Po ukończeniu kampani lwowskiej, która w historii zapisana została złotymi głoskami, powrócił jako żołnierz, który dobrze spełnił swój obowiązek wojskowy. Po powrocie uczył się pilnie po nocach do matury, którą zdał i został oficerem w służbie czynnej. Jakim był dobrym chłopcem, niech posłuży następujący przykład: pewnego

razu matka jego rozczyliła chleb w dzieżce, mimo że już cały dzień czuła się trochę niezdrowo. Lolek zwrócił się do niej z prośbą: „Mamo, obudź mnie jutro rano, to ja ci chleb wyrobię, nie męcz się sama!”. Akurat byłam tam w ten dzień i wszystko słyszałam na własne uszy. Chłopiec całą noc się uczył, więc Ela postanowiła go nie budzić. On się jednak zerwał i rzekł: „Mamusiu już wstaję, zaraz wyrobię ciasto!”. Boże mój, gdzież są teraz takie dzieci? Do drugiej wojny światowej dosłużył się rangi majora. Służył dalej w armii radzieckiej, ale jego dowódca bolszewik – notoryczny pijak – tak go rozpił, że jest już straconym człowiekiem. Ja i jego matka chcieliśmy go ożenić, bo to mogło by go uratować, gdyż on bardzo lubił dzieci, ale nie dałyśmy rady. Bardzo tego chłopca lubiłam, bo był naprawdę bardzo dobrym synem dla ojców. Jako dziecko przyjeżdżał nieraz wraz z siostrą do Staszkówki. Oboje bardzo dobrze czuli się u mnie, a z nimi i moje dzieci. Robili różne psikusy, że i pośmiać się z nich było można. Pamiętam, że pewnego razu Dziunia i jej gość – Zosia – urządzały w klasie salon dla lalek. Zosia, zamiatając, rozbiła butlę z nalewką wiśniową o pojemności dziesięciu litrów. Rozplakało się dziecko rzewnie, a ja nie tylko że się nie gniewałam, ale ją nawet pocieszałam.

ZOFIA FAŃROWICZOWA,
z domu LISIAGÓRSKA
córką Wojciecha i Elżbiety

Zosia była ładną, można powiedzieć nawet bardzo ładną panną. Dzisiaj nie znać na niej tej piękności, bo się roztyła. Po ukończeniu szkoły powszechnej poszła do trzyletniego

gimnazjum handlowego, cieszącego się w Nowym Sączu bardzo dobrą opinią. Zaraz po ukończeniu tej szkoły otrzymała bardzo atrakcyjną pracę, lecz w wojskowości. Na wiadomość o tym pojechałam do Sącza i powiedziałam rodzicom: „Jak można było taką ładną dziewczynę oddać do wojskowości? Wygląda to tak, jakbyście jagnię włożyli w paszczę lwa. Czy wy, ojcowie, nie widzicie w tym niebezpieczeństwa, a przecież bieda was nie zmusza, żeby musiała iść na taką posadę?”. No i rozpoczęło się to wojskowe życie. Zabawy, przedstawienia, koncerty wojskowej muzyki, rauty i inne imprezy. Pewnego dnia napisała do mnie Zosia: „Ciociu, przyjeżdżaj i bądź moją opieką”. Przyjechałam, chodziłam z nią na bale, byłam nawet na balu maskowym. Przyznam się, że z nią byłam na większej liczbie balów niż z własnymi córkami. Po zabawach odprowadzali lub odwozili nas oficerowie. Wkrótce wszyscy już znali ciotkę Zosi, która jej matkowała i strzegła jej cnoty. Kiedy pewnego razu wracałam z Krakowa, przysiadł się do mnie piękny oficer i powitał jako ciotkę pięknej Zosi. Zaczęliśmy rozmawiać i niebawem oficer ten dowiedział się, że te wszystkie zabawy wcale nie są mi w smak. Na to tak on rzekł do mnie: „Niech się pani o Zosię nie obawia. Ja jestem też w niej zakochany po uszy, ale Zosia potrafi wszystkich trzymać z daleka, żaden nie może pochwalić się większymi względami”. Na to mu odpowiedziałam: „Nie chciałabym doczekać i patrzeć na tę chwilę »większych względów« od jednego z was”.

Podczas manewrów ułanów w okolicy Sącza oficerzy mieszkali prywatnie po domach i u brata oficer też zajmował jeden pokój. Najpierw był to pan Sewerynek – przemiły chłopczyk i w Zosi zadurzony do niemożliwości. Oj, nakpiłam się z biedaka, choć był takim porządnym chłopakiem, że aż nie przystoiło to ułańskiemu oficerowi. Raz go zastałam na klęczkach i spytałam: „Cóż to się stało?”, a on odrzekł: „Modłę się o Zosię”. To znów w jedną niedzielę siedzi samotnie w domu,

a ja mu mówię: „Czemu pan nie idzie z dziewczynami na spacer? To wstyd, by oficer siedział w domu jak safandula”. „Nie mam z kimś pójść, bo Zosi nie ma”. Żalił się do mnie na obojętność Zosi i prosił mnie o nią, ale jej nie wzruszała jego miłość. Odjechał bez żadnej nadziei.

Po nim przyjechała inna rota i u brata zamieszkał rotmistrz pan Potoczek, syn bogatego gospodarza spod Sącza i posła na sejm. Chłopak jak malowanie pod każdym względem. Mógł zadowolić najwybredniejszy gust. Zaczęły się sypać podarki, nawet od Potoczaków spod Sącza przywożono na wozach różne produkty z gospodarstwa. W końcu kawaler został przyjęty. Sądziłam, że nareszcie będzie z Zosią spokój. Aż tu napisano mi, że Zosia awansowała, lecz przenoszą ją do Białegostoku. Zezłościło mnie to, więc jadę natychmiast do nich. Wchodzę do mieszkania i zastaję płaczącą Elę, która na mój widok zerwała się i krzyknęła: „Chyba Bóg nam cię zsyła, może ty jeszcze coś poradzisz!”. W pokoju Zosia rzuca mi się na szyję i woła: „Ciotuś, jak to dobrze żeś przyjechała!”. „Co się u was dzieje?”, pytam. „Zerwałam z Potoczkiem”. „Z jakiego powodu, co to ma znaczyć, mów zaraz!”. I oto co usłyszałam. Aby wyjaśnić tę sprawę, muszę powiedzieć, że w Sączu pracował pewien młody człowiek na marnej posadzie. Ukończył zaledwie sześć klas gimnazjalnych. Był brzydki, rudy, niepokazny, ale od dłuższego już czasu latał ustawicznie za Zosią i stale się jej narzucał. Nazywał się Stanisław Fąfrowicz. Miał on rodzinę w Krakowie. Otóż kiedy Zosia, mimo perswazji rodziców, wybrała się na tę posadę do Białegostoku, w Krakowie, gdzie musiała się przesiadać do innego pociągu, czekał na nią na peronie Staszek Fąfrowicz. Wziął ją pod rękę i zaprowadził do zacisznego lokalu, wyjął nabity rewolwer, położył go na stole i rzekł: „Dalej już nie pojedziesz, bo ja ci nie pozwolę. Mam już dosyć twojej wojskowości. Postanowiłem dziś skończyć z tobą i z sobą. Podaję ci warunki, na jakich możemy zostać przy życiu: po pierwsze nie pojedziesz dalej,

po drugie zerwiesz z Potoczkiem i po trzecie weźmiesz ślub ze mną. Pamiętaj, od żadnego z tych warunków odwrotu nie ma”. „Ciociu, pomyśl sama, co ja mogłam wtedy innego zrobić pod grozą rewolweru. Zgodziłam się. Do Potoczka musiałam zaraz przy nim napisać, że zrywam i on sam ten list zaniósł na pocztę. Dzisiaj otrzymałam list od Potoczka” i podała mi go ze łzami w oczach.

List był piękny. Potoczek przedstawił w nim swą gorącą miłość. Powiedział, że dla tej miłości zerwał ze swoją dziewczyną, piękną i szlachetną, której zdobycie kosztowało go wiele trudu i zachodu, „Moje i jej uczucie rzuciłem ci pod nogi, a tyś je haniebnie podeptała. Jeśli nie cofniesz tego, to pamiętaj, że złamanie dwóch serc zemści się na tobie, nie przyniesie ci szczęścia” itp. „A ty co zrobisz?”, zapytałam ze smutkiem. „Staszek wszędzie mnie znajdzie i zabije. Nie mam innego wyjścia” i wkrótce wyszła za Fąfrowicza.

Dla zobiektywizowania tej sytuacji należy stwierdzić, że Zosia w przeciwieństwie do swego brata Lolka była dziewczyną złą, samolubną. Matka ją rozpieszczała na każdym kroku, wszystko było dla niej, wszyscy mieli być jej podnóżkiem. Ojciec się na takie wychowanie w zasadzie nie zgadzał, ale w praktyce wpływu na nie nie miał, bo ciągle służbowo przebywał poza domem. Ojciec mocno sercem przylgnął do syna, a syn do ojca, i w wychowanie Zosi przestał się mieszać. Chciałam jeszcze podkreślić, że mi nieraz dziwnem się wydawało, w jaki sposób Zosia zdobywa mężczyzn. Twarz wprawdzie miała ładną, ale nigdy nie słyszałam i nie dostrzegałam takich wesołych, pięknych i zdobywczych rozmów, którymi nawet mniej piękne niewiasty zdobywają miłość mężczyzn. Ona rzadko mówiła, tylko wierciła i świdrowała swymi czarnymi oczami tak jak Anusia Bożobohata oficerów księcia Wiśniowieckiego, a wśród nich samego Michała Wołodyjowskiego.

Tuż po ślubie klątwa Potoczka przyoblekła się w prawdziwą karę. Staś Fąfrowicz zaczął pić. Kiedy przychodził pijany, często robił awantury tak, że Zosia musiała uciekać z mieszkania, a nieraz ją nawet bił. I tu Zosia pokazała, co potrafi kobieta, która rzeczywiście kocha. Z podziwem patrzyłam, że ta kobieta samolubna, przyzwyczajona do hołdów, wyrzekła się samej siebie dla męża. Dzielna, sprytna, zręczna do szycia i do różnych robótek ręcznych, i zabawek, potrafiła zarabiać na życie dla całej trójki – bo już Witek przyszedł na świat – a Staś przepijał wszystko, co zarabiał. Po przepitej nocy Zosia rano podawała mu do łóżka kawę, a przy filiżance kładła mu drugie śniadanie do biura i papierosy, na które sama zapracowała. Matka zaś wspomagała ich paczkami. Prosiła mnie Zosia, abym pozwoliła zamieszkać u niej mym dzieciom – Adamowi i Zosi. Myślała, że Staszek będzie się ich wstydził i nie będzie tak się upijał. Zgodziłam się na to, ale później tego żałowałam, bo to kosztowało wiele zdrowia moją Zosię, która nieraz mówiła: „Nie wyszłabym nigdy za mąż za żadne skarby świata, bo się dostatecznie napatrzyłam katordze pięknej i porządnej żony”. Adam zaś nieraz musiał po nocach szukać Staszka i pijanego na plecach targać do domu. Nie pozwoliłam im dłużej niż jeden rok mieszkać u nich. Kiedy Staszek stracił posadę, Zosia mnie prosiła, abyśmy mu w Gliniku Mariampolskim wyszukali zajęcie. Powiedziałam do Zosi, że jeśli zaręczy, że mąż nie będzie więcej pił, to możemy podjąć się wystarania się dla niego pracy. „My tutaj mamy powszechne poważanie i nie chcemy go stracić przez twego męża”. Odpowiedziała, że ręczyć nie może, więc nie staraliśmy się o posadę dla niego i z tego powodu miał on do nas żal. Po jednym nieporozumieniu Zosia opuściła Stacha i przyjechała do matki do Sącza, gdzie zamieszkała. Tak się złożyło, że byłam u Eli w Sączu, kiedy Stach przyjechał przeprosić żonę i ojców. Nie mieszałam się w to. Zosia wróciła do niego. Otrzymał potem posadę w Pruszkowie pod Warszawą,

gdzie się przenieśli, i tam ich zastała ostatnia wojna. Zosia zarabiała na życie pieczeniem ciast i, jak sama do mnie mówiła, zarabiała dobrze, i starczało im wszystkim na dobre życie. Staszek co zarabiał, to przepijał, nieraz nawet cały zarobek Zosi poszedł na wódkę. Aż pewnego razu przy rozsznurowywaniu bucika Stach padł i uwolnił Zosię na zawsze od siebie. W złą godzinę przepowiedział jej Potoczek tę karę, jaką cierpiała przez całe życie. Po wojnie Zosia była u mnie w Gorlicach dwa razy. Powiedziała, że z dużego mieszkania odnajęła dwa pokoje, ma stałych stołowników i dobrze daje sobie radę. Witek jest bardzo dobrym synem, pomaga jej, bo sam dobrze zarabia i nie pozwala już matce ciężko pracować. Matka Zosi – Ela – uchowała się u niej przed Niemcami i zmarła na jej rękach.

TEOFILA, z domu LISIAGÓRSKA

córka Tekli i Andrzeja

Teofila była drugim dzieckiem mojej matki z pierwszego małżeństwa. Była to dziewczyna brzydka. Nie dość, że głowę miała wydłużoną, to jeszcze nosiła na twarzy wyraźne ślady po ospie. Było w niej jednak tyle humoru, wesołości, a przy tym dobroci, że nie zwracano uwagi na jej urodę, lecz wszyscy ją serdecznie lubili i w jej towarzystwie dobrze się bawili. Zgrabna kibić i zręczność ujawniająca się na każdym kroku dodawały jej wiele wdzięku i powabu. Ojciec mój, chociaż był dla niej ojczymem, więcej ją lubił niż nawet swą rodzoną córkę. Pomagała mu w każdej robocie i mówiła do niego: „Tatusieńku kochany”. Po ukończeniu szkoły wiejskiej matka posłała ją do nauki kroju i szycia, do czego miała zdolności i zamiłowanie, toteż tę naukę w lot pojmowała. W czasie tej nauki

w Tarnowie tyle sobie przyswoiła innych rzeczy, że wygląd jej i obejście wiele zyskały. Rozpoczęła też zaraz po powrocie z Tarnowa krawiecczyznę w domu, co było wielką nowością na wsi. Reklamą dla niej byłyśmy obie z siostrą, bo nas bardzo ładnie ubierała w jednakowe sukienki, za co bardzo kochałyśmy tę przyrodną siostrę.

O jej dobrym i czułym sercu niechaj zaświadczy taki fakt. Przyszła raz do naszego domu po prośbie stareńka babka. Tosia, dając jej jałmużnę, zauważyła, że głowa babki rusza się od robactwa. Wyprowadziła ją na podwórze, posadziła na stołku koło gnojowni i ostrzygła głowę do goła, potem ją umyła i dała jej do przewdziania koszulę i spódnicę, a jej brudne rzeczy wyprała w stawie, wysuszyła na krzaku i już czystą wyprawiła na dalsze żebry. Za to dobre serce Bóg jej pobłogosławił i wynagrodził. Niedługo po tym zaofiarowano jej posadę mleczarki we dworze w Krzyżu, największym dworze w majątku książąt Sanguszków obejmującym ponadto jeszcze dwa duże folwarki. Być może, że o wyborze Teosi na mleczarkę zdecydował także fakt, że była ona córką dawniejszego majstra książęcego. Praca Teosi polegała na tym, że rano fornał wioził ją na wozie wyładowanym baniami mleka i śmietany do Tarnowa, do lokalu pod szyldem „Mleczarnia ks. Sanguszki”. Lokal ten składał się z dwóch pokoi: w jednym Teofila sprzedawała, a drugi, skromnie umeblowany był do jej użytku – nawet maszynę do szycia jej tam wstawiono. Sprzedaż trwała zwykle dwie–trzy godziny, ale fornał przyjeżdżał po nią dopiero po dwunastej i zabierał ją z wszystkimi baniami z powrotem do Krzyża. Zawsze więc miała kilka godzin czasu do swego użytku. Po powrocie do dworu robiła obrachunek ze sprzedanego mleka i była wolna od pracy do następnego dnia. Z własnej jednak woli pomagała, komu miała ochotę, a najczęściej szyła pani i żonom oficjalistów. Przebywając w Tarnowie, nabrała szyku, pięknie się ubierała, fryzurę miała odpowiednią do swej głowy i wyglądała bardzo

porządnie, tak, że gorzelnik urzeczony jej wesołością i dowcipem ożenił się z nią, a następnie wyjechał na posadę gdzieś daleko na wschód, za Lwów.

Mieli troje dzieci – dwóch synów i córkę. Starszy Tadeusz odbył praktykę u ojca i dostał posadę gorzelnika. Młodszy Wojtek był u nas w Staszkówce, uczył się do egzaminu i pilnował Dziuni w wózku, kiedy my i Marysia – nasza służąca – byliśmy zajęte. Po zdaniu egzaminu wyjechał na praktykę gorzelnianą do ojca, ale jej nie ukończył, bo zaczęła się wojna światowa (pierwsza) i on jako żołnierz zginął przy wysadzaniu mostu pod Bochnią. Podczas zawieruchy wojennej Tadeusz zmarł, a męża Teofili zastrzelili Moskale. Teofila wraz z córką Stachą przyjechała do Nowego Sącza i zamieszkała u brata.

Mimo swej niepociągającej urody miała ona dużo szczęścia, bo niedługo po przyjeździe do Sącza wyszła za mąż za kolegę brata – urzędnika, wdowca z jedną córką Junką. Córka Teofili – Stacha – była dziewczyną niebrzydką, ale ogromną egoistką i próżniakiem – ani do nauki, ani do żadnej pracy zabrać się jej nie chciało. Natomiast Junka była ładną i zgrabną dziewczynką, a przy tym zdolną, pilną i pracowitą uczennicą. Łatwo więc było można sobie wyobrazić pożycie takich dwóch przeciwności. Widzieliśmy krzywdy, jakie dotykały Junkę, więc staraliśmy się wynagrodzić jej to gościnnością i serdecznością. Zapraszaliśmy ją do Gorlic i staraliśmy się otoczyć ją rodzinną miłością, co spotkało się z pełnym zrozumieniem i wzajemnością. Wkrótce została ona sierotą bez ojca i matki, więc widziała w nas rodzinę, wśród której żyło się dobrze i nie odczuwała już tej pustki po stracie najbliższych. Teofila po śmierci swego męża zajęła się gospodarstwem staruszka wujka Józefa, zaś Junka zamieszkała do matury gimnazjalnej u swej ciotki, a po maturze studiowała w Krakowie filozofię, gdyż jako skautka otrzymała stypendium. W Krakowie spotykali się z moim Adamem i bardzo się nawzajem sobie podobali. Ja się z tego bardzo cieszyłam, że będę miała z niej

synową, ale nie było widać takiego przeznaczenia. Junka po skończeniu studiów otrzymała posadę profesora gimnazjalnego w Jarosławiu i wyszła tam za mąż za profesora – swego kolegę. Zajmowała wysokie stanowiska w harcerstwie i jeździła na lustracje placówek i obozów harcerskich. Wizytowała też i naszą panią Kankofer, nauczycielkę w Gorlicach, kiedy ja jeszcze uczyłam. Wszystkie nauczycielki były zachwycone jej rozumem, wyglądem i sposobem obejścia i gratulowały mi takiej przemilej kuzynki. Jeszcze raz miałam sposobność usłyszeć o niej, bo jej mąż przyjechał jako wizytator gorlickiego gimnazjum i był u mnie w domu. Ścisnął i pozdrowiał nas od Junki, przekazując nam z dumą fotografię swego pierworodnego synka. Wybuch drugiej wojny światowej przerwał zupełnie naszą łączność i od tego czasu niczego o sobie nie wiemy.

Teofila po śmierci wujka Józefa wyjechała ze Staszką na wschód, bo tam wiele swych rzeczy pozostawiła u znajomych i sądziła, że jeszcze coś z tego odbierze, lecz wybuch wojny w 1939 roku spowodował zerwanie z nimi kontaktu. Ktoś dał mi znać, że Teofila umarła, a Staszka wyszła tam za kogoś za mąż.

ANIELA, z domu LISIAGÓRSKA

córka Tekli i Andrzeja

Anielka, młodsza córka Tekli z pierwszego małżeństwa, była przystojną dziewczyną, ale za mąż iść nie chciała, choć ją bardzo dobrze chciał wyswatać brat Wojtuś. Była pobożna, więc przystąpiła do tyłu bractw, że od nich aż zdziwaczała. Wyjeżdżała nawet do Krakowa na jakieś tam zebrania. Trzeba jednak powiedzieć, że mimo tyłu bractw była osobą niedobłą, złośliwą, dokuczliwą i leniwą, do żadnej pracy nie miała ochoty, nikt też jej w domu nie lubił. Na koniec tak zdziwaczała,

że sobie z matki zrobiła niby dziecko. Trzymała ją w łóżku, karmiła łyżeczką, naturalnie kleikami. Biedne matczysko żaliło się raz do mnie, mówiąc: „Zabierz mnie, moje dziecko, do siebie. Jestem zdrowa, jeść mi się chce, a ona mnie jak dziecko żywi”. Niestety było to niemożliwe, bo Anielka na żadną zmianę nigdy się nie godziła. Aż pewnego razu – nikt nie wie, jak to się stało – Anielka przyszła do domu cała mokra, mówiąc, że jej chustka wpadła do stawu i ona, chcąc ją wydostać grabiami, sama wpadła do stawu. Po tym wypadku zachorowała na zapalenie płuc. Odwieziono ją do szpitala, bo w domu nie miał kto się nią opiekować, i tam po kilku dniach umarła.

Natomiast moją matkę Teklę zaczęła rodzina odwiedzać, bo przedtem Anielka na to nie pozwalała. Znoszono jej różne smakowite jedzenia. Żołądek jednak matki wydelikacyony kleikami nie mógł poradzić sobie z cięższymi potrawami. Matka tak się wkrótce rozchorowała, że w kilka dni po śmierci Anielki i ona umarła. Ponieważ ojciec jeszcze wcześniej umarł, Teofila zlikwidowała gospodarstwo, a dom sprzedała. Tak więc nasz dom rodzinny przestał istnieć, ten dom pamiątka, z którego tak wiele wspomnień przyłgnęło mi do duszy i serca, i które nie opuszczają mnie aż do końca i jeszcze przed śmiercią wrócą z ostatnim wspomnieniem i ostatnią tęsknicą za nim i za przeżyciami w nim doznanymi.

ANTONI LISIAGÓRSKI

syn Tekli i Andrzeja

Antoni był najmłodszym synem Tekli z pierwszego małżeństwa. Antoś był ładnym chłopcem, który bardzo dbał o swój zewnętrzny wygląd, o swoją czystość osobistą i ubrania. Wujek Józef powiedział matce, że zajmie się jego wykształceniem. Kiedy więc ukończył sześć lat, zabrał go do siebie, do

Sącza. Wyobraźcie więc sobie, moi ukochani, że w mieszkaniu wujka znalazło się pięciu chłopców różnego wieku i różnego temperamentu. Mieli oni swój własny pokój. Co się w nim działo, to łatwo było sobie wyobrazić. Żaden z nich aniołem nie był, ale Antoś przodował we wszystkich zbytkach, a jako gościa zwykle omijała go kara, a spadała na własnych synów wujka. Antoś rozzuchwalał się coraz bardziej, co doprowadzało biedną matkę wujenkę do rozpacz. Gehennę tę znośiła przez cztery lata. Antoś ukończył w tym czasie czwartą klasę, co upoważniało go do pójścia do szkoły rzemieślniczej lub do jakiegoś terminu, względnie do handlu. Wtedy wujenka napisała rozpaczliwy list do mojej matki: „Tekluniu, ty jesteś matka, to zrozumiesz serce drugiej matki. Józef nie chce nawet słyszeć o odesłaniu ci Antosia, a ja bardzo cierpię jako żona, a przede wszystkim jako matka. Uwolnij mnie od Antosia, gdyż tylko w ten sposób można zapewnić spokój memu domowi”. Matka moja zabrała Antosia i zrezygnowała przez to z wypieszczonej przez siebie nadziei, że będzie miała syna księdza. Nie zrezygnowała jednak od razu. Zapisała go do pierwszej klasy gimnazjum w Tarnowie. W pierwszej klasie żył wiadomościami nabytymi jeszcze w Sączu i przeszedł do następnej klasy. W drugiej przesiedział jednak dwa lata, a w trzeciej nawet po dwóch latach przyniósł same dwóje. Świadectwo włożył do buta, rzucił przez okno, a sam uciekł w pole, bo matka nie żartowała, lecz karała solidnie. Karała za zbytki i lenistwo, bo one były powodem tych podłych wyników w nauce.

Antoś był wielkim zbytnikiem. Robił burdy w szkole, robił je także po drodze, bo z Tarnowa chodził piechotą, albowiem nikt go na stacji nie chciał trzymać. Z powodu różnych wybryków był postrachem dla dzieci i gospodarzy, przez których wieś przechodził (Krzyż). Każdy pytał ze zdumieniem, jak to

mogło dojść do tego, żeby chłopiec z porządnego domu, dobrze wychowywany, mógł zachowywać się jak ostatni urwis. Otóż jego złym duchem był stryj Maciej, którym matka wzgardziła, a on się w ten sposób na niej mścił. Nie odstępował Antosia na krok, odprowadzał go do szkoły i wychodził po niego. Odwodził go od nauki i namawiał do różnych wybryków. Do matki zaś mówił: „Nie będziesz miała z niego księdza – moja w tym głowa”. Stryj Maciej nie ożenił się, lecz się rozpił. Winę za to przypisywał matce i mścił się. Ileż to matka napłakała się z tego powodu. My obie, najmłodsze siostry, bardzo lubiłyśmy Antosia, więc prosiłyśmy za nim, a i ojciec nasz, chociaż ojczym, prosił również matki, by mu przebaczyła. Kiedy więc jej ból i żal się nieco uspokoił, sprowadziłyśmy go do domu. Ukląkł przed matką, rozpłakał się, i my obie z nim, i wyszlochał: „Przebacz mi, ale już do szkoły nie posyłaj”. „A co chcesz robić?”. „Wszystko, najcięższą pracę, tylko nie naukę”.

Matka podjęła już chyba ostatnią próbę przełamania oporu psychicznego Antosia. Jak wiadomo był on przewrażliwiony na punkcie czystości. Matka poszła do dworu, porozumiała się z rządcą i poprosiła go, aby gdy jej syn przyjdzie do pracy dał mu takie zajęcie, które budziłoby w nim uczucie wstrętu. Rządca przeznaczył go więc do nakładania nawozu w gnojowni. Jak on się czuł w czasie tej pracy można to było sobie bez trudu wyobrazić. A ile musiał znieść dokuczania od towarzyszy pracy, którzy się naśmiewali z panicza studenta. Wieczorem wrócił zły i smutny. Mył się i mył, czyścił bardzo długo ubranie, a nam go było serdecznie żal. Na drugi dzień kazano mu rozrzucać nawóz po zagonach. Nie wytrzymał, rzucił widły, wrócił do domu, płakał i wołał: „Nie mogę, nie mogę!”.

Niebawem matka wybrała się z Antosiem do Tarnowa. Był tam człowiek bogaty, inteligentny, o nazwisku Pisz. Miał on księgarnię, sklep z przyborami do pisania i drukarnię. Matka wszystko mu opowiedziała o swoim synu. Pan Pisz zgodził się przyjąć go na praktykę do drukarni. Praca wcale mu dobrze szła. Jednego tylko nie lubił. Kiedy musiał odnosić gazety i dawano mu centy jako napiwek, mawiał: „Nie lubię tego – jam nie dziad!”. Podobno do ukończenia terminu brakowało mu zaledwie trzech miesięcy i właśnie wówczas jakiś pan nagadał mu głupstw, a on mu rzucił pod nogi napiwek. Rozżalony przyszedł do szefa i podziękował mu za pracę. Mimo perswazji szefa, że już wkrótce będzie wyzwolonym czeladnikiem – odszedł.

Kiedy wrócił do domu, zastał tylko nas dwie siostrzyczki, bo wszyscy byli zajęci w polu. Poszedł do stawu, wykąpał się, wyczyścił ubranie i buty, spakował w węzełek, co miał swojego, i rozplakał się. Zaczął nas ścisnąć i całować i mówił: „Dziewczynki kochane, bardzo was kocham, ale muszę was pożegnać i to może już na zawsze. Znowu zrobiłem głupstwo i mamusia będzie się gniewać. Przepróście ją ode mnie i powiedzcie, że już ją więcej dręczył nie będę. Idę w świat, nie wiem, co się ze mną stanie, ale jaki los sobie zgotowałem, taki będę miał. Do domu już nie wrócę, raczej zemrę z głodu, bom nie wart czego innego, ale nie wrócę!”. Płakałyśmy rzewnie, prosiłyśmy, żeby został. Kiedy to nie skutkowało, włożyłyśmy mu do węzełka chleb, który miałyśmy na kolację, a potem na śniadanie, i z płaczem odprowadziłyśmy go na drogę w stronę Tarnowa. Kiedy przyszli rodzice, opowiedziałyśmy, co się stało z Antosiem. Matka chwyciła się za głowę i głucho jęknęła: „Boże mój, co ja z tym chłopcem mam?”. Odczekała dwa dni, bo sądziła, że się opamięta i powróci,

a potem opisała to wszystko synowi Wojtusiowi i powiedziała: „Bierz urlop i szukaj go!”. Upłynęło parę dni nim się wybrał. Naprzód pojechał do Krakowa, do dawnego swego szefa pana Sataleckiego. Dowiedział się od niego, że był u niego ten chłopiec, że chciał go nawet zatrzymać na stałe u siebie, ale on po kilku dniach podziękował, pożegnał się i poszedł, nie mówiąc dokąd. „Ja jednak kazałem swoim mieć go na oku i wiem, że obecnie jest na Piaskach – dzielnicy Krakowa położonej daleko poza miastem”. Zapytacie pewnie, jak on te dni przeżył, nie mając pieniędzy poza paroma centami, które wyniósł z drukarni Pisha. Otóż spał na plantach – tam go znaleźli antki krakowskie. Kiedy poznali jego życie, zaopiekowali się nim i oni mu znaleźli to miejsce na Piaskach u wdowy, zamożnej rzeźniczki. Tam go wreszcie Wojtuś odnalazł, ale o powrocie to on nawet słyszeć nie chciał. Wojtuś opowiedział tej pani koleje życia swojego brata, oddał jej go w opiekę i prosił, żeby uważała na niego, by nie wpadł w jakieś złe ręce, aby się nie zmanierował i nie zrobił czegoś takiego, co by okryło wstydem całą rodzinę. Pozostawił jej swój adres i Kazia Flisa, który jako lekarz robił w tym czasie badania w domu patomorfologicznym w Krakowie, aby ich mogła natychmiast zawiadomić, gdyby zaistniała taka potrzeba. Niedługo wybrał się tam też i Kazio i prosił go na pamięć tych lat, jakie razem spędzili w Sączu u wujka Józia, ucząc się i zbytkując, aby porzucił obecne zajęcie, a on mu się wystara o inne, bardziej rozsądniejsze. Nie zgodził się. Przyjechał do niego sam wujek Józef, który robił sobie ciężkie wyrzuty, że pozwolił go zabrać ze swego domu i przez to dopuścił do zwichnięcia jego losu i stał się powodem zgryzoty swej siostry Tekluni. Prosił i zachęcał go do powrotu, a rodzina zajmie się jego dalszą karierą, ale nie dał się nakłonić. Przyjmował tylko chętnie

dary, jakie mu rodzina składała w postaci pieniędzy, ubrań i bielizny. Twierdził, że on tu ma już swoją rodzinę. A byli nią antki krakowskie, którzy go na wstępie jego niedoli poratowali, a z którymi on teraz się ze wszystkim dzieli. I taką sobie u nich miłość zjednał, że go okrzyknęli swoim niekoronowanym królem. Władzy swej nad nimi używał tylko do dobrego: robili wycieczki, ćwiczyli się w strzelaniu, odbywali jakieś posiedzenia, a nieraz urządzali zabawy w sali, którą im właściciel jakiegoś zakładu użyczał na ten cel. Wolał bowiem mieć ich za przyjaciół niż za wrogów. Na taką zabawę zaprosił raz Antoś brata Wojtusia, który im zafundował kolację z napitkiem. Nie kradli, nie robili nikomu krzywdy – a owszem pomagali za wynagrodzeniem. Czasem tylko z nienawiści do Austriaków robili psikusy policji lub żandarmerii.

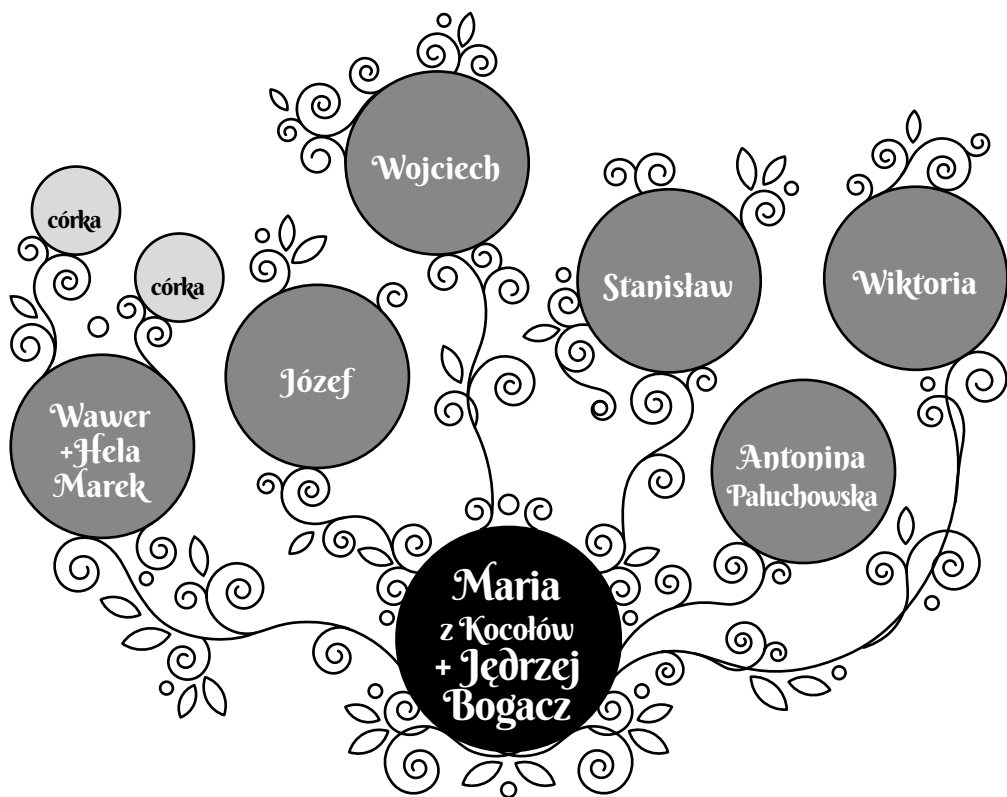
Antoś u swej szefowej miał dobrą opinię. Prowadził handel bydlęm i zarabiał dla niej i dla siebie bardzo rzetelnie. Mówiła do mnie, że w sprawach handlowych był bardzo uczciwy i nigdy go nie przyłapała na kłamstwie czy oszustwie. Co do pijaństwa, to twierdziła, że się czasem napije, ale się nie upija i nigdy w picciu miarki nie przekracza, a także nie pozwala na to swoim antkom.

Kiedy uczyłam się w Krakowie, odwiedzałam go i zapraszałam, żeby mnie odwiedził. Odrzekł mi wówczas: „Dziecko kochane, co ci w towarzystwie po takim bracie, tyś panienka wykształcona, a ja co, wstydzić się powinnaś takiego Antka, a nie zapraszać”. Raz nawet na moje nieustępliwe prośby przyszedł, ale gdy zobaczył, że nas było trzy panienki przy stole z jakimś kawalerem, zawrócił ze schodów i się nie pokazał. Taki był ambitny. Kiedy to piszę o krakowskich antkach, to mimowoli myślę, że dzisiaj w czasie chuliganerii taki uczciwy organizator byłby bardzo pożądanym. Uniknęłoby się wielu kradzieży i rozbojów, jakie teraz tak często się trafiają.

Po moim wyjeździe z Krakowa spotkałam się jeszcze raz z Antosiem. Byłam w domu na wakacjach i bawiłam dziecko Marysi. Dziewczynka była czarna jak boróweczka, a tu zbliża się jakiś elegancki pan, otwiera bramkę od podwórza i zbliża się do mnie. Ba, nie tylko, że zbliża, ale mnie kordialnie obejmuje w pół i serdecznie całuje, mówiąc: „Kochana siostrzyczko, nie poznajesz antka Antosia?”. Następnie łapie dziecko, całuje, huśta i mówi: „Jakie ładne, czarne maleństwo, takie jak moja Czarna Mańka”. Opowiada mi, że ma ładną Czarną Mańkę i chce już raz nareszcie zostać porządnym człowiekiem, i myśli się ożenić. Matkę przeprosił, a zarazem prosił, żeby mu pozwoliła sprzedać część majątku, jaka na niego przypada, bo chce kupić jatkę¹³ na ul. Siennej, ożenić się i prowadzić żywot porządnego człowieka. Matka naturalnie się zgodziła i pobłogosławiła dziecko, które jej tyle sprawiło zawodów i przykrości, ale które kochała i cieszyła się, że jednak dobił do spokojnego portu życiowego.

Czarna Mańka osiadła jak królowa w bajce na tronie sklepowym. Piękna, wesoła, elegancko ubrana sprawowała rządy jak prawdziwa pani. Jedną jednak z naszych kuzynek napisała do nas, że jak takie rządy dłużej potrwać, to wkrótce braknie jatki, bo dzieci już troje, a do nich najmuje się niańki i folguje się różnym pańskim zachciankom. Takiej kalkulacji żaden interes nie wytrzyma. Wkrótce wybuchła pierwsza wojna światowa. Antoś jako żołnierz poszedł do wojska. Niebawem zachorował na tyfus i zmarł w szpitalu. Mańka napisała o tym do nas po jego śmierci. Myśmy ją obie zapraszały z dziećmi, ale nie przyjechała i nie wiemy jak się potoczyły dalsze jej losy. Tak to zakończył życie człowiek nieokiełzany, nieujarzmiony, silny wolą i ciałem, ambitny i uczciwy, a przy tym wszystkim bardzo sympatyczny.

¹³ Jatka – dawniej sklep z mięsem.



Drzewo genealogiczne Marii Bogaczowej, z domu Kocol

MARIA BOGACZ, z domu KOCOL córka Józefa Kocola z pierwszego małżeństwa

Mój ojciec, Józef Kocol, kiedy żenił się z matką, był wdowcem i miał jedną córkę Marysię. Marysia była czarnulką, nie piękną, ale i niebrzydką – takiej sobie przeciętnej urody. Była wyjątkowo miła i mogła się podobać.

Wyszła za mąż za kmieciego syna Jędrzeja Bogacza. Jego nazwisko było adekwatne do majątku, który jego ojciec posiadał. Wówczas jednak, kiedy Jędrzej chciał się żenić

z Marysią, ojciec już nie żył. O Marysię przyszła prosić jego matka i przy tej prośbie jako mała dziewczynka byłam obecna i zapamiętałam sobie dobrze jej przebieg. Matka moja oświadczyła, że majątek, jaki ma Marysia, jest dobrze znany i zaraz go można zapisać u notariusza na nią, a zapytała, co oni zapiszą swemu synowi. Matka Jędrusia rzekła na to: „Oj moiściewy, a dlaczegoż to ja mam zapisać, skoro to prawie wszystko jemu przypadnie – szkoda więc tracić pieniądze na notariusza”.

A z tą rodziną to było tak, że najstarsza córka nie chciała iść za męża, natomiast młodsza Hanusia została już wywianowana. Była ona ładną dziewczyną, umiała szyć i różne piękne robić robótki, a także ładnie śpiewać i to nie tylko w chórze, ale nawet solo. Zdarzyło się, że mój brat Wojtuś nawet do niej trochę się zalecał, a ona się w nim bardzo zadurzyła. Kiedy brat się ożenił z Elą, ona z rozpaczy poszła do klasztoru w Krakowie, do którego wniosła swój majątek w gotówce, szatach, a nawet w postaci bydłatka. Dlatego też nie partycypowała w dalszym podziale majątku. Młodszy brat też poszedł do klasztoru, więc spadkobiercą całego majątku został Jędrzek i jego starsza siostra Agata. A majątek ten był duży. Ile morgów ornej ziemi było, tego nie wiem, ale jeszcze mam przed oczyma ten długi i szeroki pas ziemi, i ten duży las, i łąki, co wszystko wydawało mi się bardzo wielkie. Można też było to bogactwo poznać po liczbie inwentarza: bydła tam było tyle, co na dużym folwarku, nie brakowało koni i żrebaków. Koło tego całego majątku chodziły stara matka i córka Agata. Żyły one chlebem i mlekiem, obiadów nie gotowały, a masło, zboże, sery, drób i inne dostatki wynosiły na sprzedaż. Sąsiedzi oceniali majątek na grube tysiące reńskich. Jędrus pomagał im jak najlepszy syn, bo sądził, tak jak i wszyscy, że pracuje dla siebie. U matki pracował, a do żony przychodził jeść. Ojciec mój pomagał Marysi w gospodarstwie też w tej myśli, że zięć robi na swoim i dla siebie.

Kiedy matka zachorowała, Jędrus zapytał jej: „Mamusi, a co będzie ze mną?”. A matka, leżąc już na łożu śmierci, odrzekła: „No jakże, przecieżeś ty mój syn, to cię nie ukrzywdzę”. Matka wkrótce umarła i po pogrzebie bomba pękła. Na pogrzeb mamy przyjechały z Hanusią, siostrą Jędrusia, dwie inne zakonnice, w tym przełożona klasztoru. Wyciągają testament i odczytują, że cały majątek z gotówką i dobytkiem jest zapisany klasztorowi. Zrobiła to, a właściwie wymogła na staruszce matce najstarsza córka i ta zakonnica, która przyjechała na pogrzeb. Z zapisu testamentowego wynikało, że zakonnice zabierają ze sobą Agatę – najstarszą córkę – i zapewniają jej w klasztorze mieszkanie i utrzymanie do śmierci, a synowi Jędrusiowi nie zapisano ani złamanego szeląga. Nawet jak chciał odkupić plac i ogrody koło domu, to musiał podstawić obcego człowieka, bo się zakonnice bały, że im Jędrus wszystkiego nie zapłaci.

Sądziły zakonnice, że ta stara Agata wnet im umrze i uwolni je od siebie. Tymczasem Jagusia, nie harując tak jak dawniej, wydobrzała, odmłodziła i nie miała zamiaru umierać. Dlatego też po kilku latach zakonnice kazały jej opuścić klasztor, bo najlepszą opiekę może zapewnić rodzina. Po dawnym domu Agaty pozostał tylko pusty plac kupiony przez Jędrusia, tak że teraz nie miała nawet gdzie skłonić głowy. Z płaczem więc przyszła do brata, żeby ją przygarnął do siebie. Na to brat odrzekł: „Obecnie ja nie mam nic, bo wszystko to jest Marysine”. Cała rodzina i wszyscy sąsiedzi byli oburzeni na Agatę i jednomyślnie orzeczono, że powinna ponieść zasłużoną karę. Każdy jej mówił, że wydziedziczyła brata, więc nie powinna oczekiwać od niego żadnej pomocy. Ostatecznie Marysia zgodziła się przyjąć ją jako komornicę, która nie mając żadnych pieniędzy, będzie codzienną ciężką pracą odslugiwac pobyty i jedzenie. Do zakonnicy parę razy się pisało, ale nie

raczyły ani razu odpowiedzieć, a procesować się z klasztorem nikt by się nie odważył, a zresztą byłoby to daremne. Wtedy zbrzydły mi zakonnice do reszty i przestałam je szanować.

Kiedy Agata zaczęła tracić zdrowie i nie mogła już pracować, Marysia i Jędrus wzięli ją jednak do siebie i opiekowali się nią aż do śmierci, i pochowali ją na cmentarzu na własny koszt.

Jędrusiowie przy swej pracowitości i oszczędności mieli się dobrze. Zwłaszcza że Marek, mąż Maryli Flisówniej, wyszkolił Jędrka na dozorcę melioracyjnego i używał go jako zastępcy przy drenowaniu w terenie, na czym Jędrzej dobrze zarabiał.

Jędrzejowie mieli kilkoro dzieci.

WAWER BOGACZ

syn Marii i Jędrzeja Bogaczów

Najstarszym synem Jędrzejów był Wawer, który ukończył seminarium nauczycielskie i podjął pracę w szkole. Był chłopcem niegłupim, inteligentnym i miał zamiar dalej się kształcić, by móc uzyskiwać wyższe stopnie w karierze nauczycielskiej. Niestety, przeszkodziła temu pierwsza wojna światowa. W pierwszych latach pracy nauczycielskiej bardzo podobał się i władzom, i kolegom, a zwłaszcza koleżankom, był bowiem przystojnym, eleganckim, wymownym, czyli wygadany, facetem. Ładnie tańczył i flirtował znakomicie. Interesował się głębiej przyrodoznawstwem i sportem. W domu, u ojców, sam uprawiał różne, dotąd mało znane, jarzyny, jak np. ogórki, których w tym czasie na wsi nie uprawiano i właściwie to on był pionierem uprawy tych jarzyn na naszym terenie. Jako sportowiec nie czuł się szczęśliwy, bo

nie mógł zdobyć się na kupno turystycznego roweru. Rowery w tym czasie jak na pensję nauczyciela były bardzo drogie. Zdarzyło się jednak, że mój mąż, wracając w nocy z Gorlic do Staszkówki, najechał rowerem na kupę kamieni i porządnie się potłukł, tak że musiał poddać się operacji w szpitalu, gdyż stwierdzono złamanie żebra. W tych okolicznościach mąż podarował Wawrowi swój piękny, nowiuteńki, a przy tym bardzo drogi rower. Ileż radości miał ten chłopak z tego prezentu, wprost trudno to wypowiedzieć. Jeździł on tym rowerem po całej okolicy i nieraz spod Bochni, gdzie był na posadzie, przyjeżdżał do nas, do Staszkówki. Niedługo to jednak trwało, gdyż wkrótce wybuchła pierwsza wojna światowa, a Wawra wcielono do armii austriackiej.

Pierwszą bitwę z Moskalami stoczył pod Kraśnikiem, gdzie Austria poniosła klęskę. Niedługo potem otrzymaliśmy zawiadomienie, że Wawer zginął śmiercią bohaterską, co potwierdził także znajomy żołnierz spod Kraśnika, widząc osobiście, jak on padł po potężnym wybuchu. Upłynął rok, a może i dwa, i w czasie którejś niedzieli ksiądz z ambony, od czytując adresy listów i kartek od żołnierzy do swych rodzin, o dziwo, wymienił także Wawra Bogacza. Niedługo otrzymaliśmy list od niego, w którym opisał, że był poważnie zraniony i zasypany ziemią. Moskale odgrzebali go i przyprowadzili do przytomności, a po wyzdrowieniu odesłali do obozu jenieckiego gdzieś aż na Kaukaz. Nawet mu tam źle nie było, bo kobiety otoczyły jeńców opieką, a nawet jakaś inteligentna i bogata Polka wzięła Wawra do swojego domu. Wkrótce jednak wybuchła rewolucja i walki wojsk białych z czerwonymi. Jeńcy Polacy i Czesi walczyli po stronie białych pod dowództwem Kiereńskiego przeciw bolszewikom, ale ludzie wszędzie powstawali przeciw carskim wojskom, więc te musiały się cofać. W czasie jednej z takich operacji wojsko Kiereńskiego pozostawiło czeskim i polskim jeńcom jeden pociąg, którym

mogli pojechać na zachód, a sami cofali się w przeciwną stronę. Tu znów powtórzyło się to, co zawsze miało miejsce w historii wojsk polskich: Czesi uciekali, a Polacy zasłaniali tyły. Kiedy więc Czesi pierwsi dopadli pociągu i wsiedli do niego, wówczas, mimo że mieli czekać na Polaków, szybko odjechali. Z ust tysięcy Polaków odezwał się jeden wielki krzyk przekleństw i złorzeczeń na zdrajców czeskich. Niedługo zagarnęli ich bolszewicy. Tutaj rozgrywały się straszliwe sceny. To prawdziwy cud, że ten chłopak wytrzymał tę straszną niewolę bolszewicką.

Pewnego dnia, już po wojnie, kiedy byliśmy w Gorlicach, przyszedł do nas człowiek zbiedzony, obtargany wierutny dziad, do połowy wojskowy, do połowy cywilny – człowiek nie do poznania. Był to Wawer. Spłakaliśmy się jak bobry. Zaczęły się opowiadania. W końcu dowiedzieliśmy się, że był już we własnym domu, u matki, która za pieniądze pobierane za niego wystawiła nowy dom. Jego ubrania nowe i stare zużyli młodsi bracia, a rower popsuli. Nawet nie ma w czym zgłosić się do inspektora z prośbą o posadę. I cóż było robić. Kupiliśmy ubranie, bieliznę, kapelusz i daliśmy na pierwsze potrzeby milion marek, za który w tym czasie coś jeszcze można było kupić. Matkę jego zgadałam jak się patrzy, że jest taka niesprawiedliwa, młodsze dzieci faworyzuje, a tego męczennika obrała ze wszystkiego i jeszcze nie chce mu w niczym pomóc.

Wawer dostał posadę nauczyciela, ale z inspektorem się pokłócił i przeniósł się do powiatu tarnowskiego. Ożenił się z Helą Markówną, nauczycielką, naszą kuzynką z rodziny Flisów, która razem z nim była na posadzie. Wkrótce kupili działkę budowlaną i na niej osiedli. Wspominałam o nich przy opowiadaniu o rodzinie Flisów. Żyją do tej pory w spokoju w swoim mająteczku, córki wykształcili, a one założyły swoje rodziny.

O innych dzieciach Jędrzejów wspomnę tylko bardzo krótko.

JÓZEF BOGACZ

syn Marii i Jędrzeja Bogaczów

Józef po ukończeniu praktyki w warsztatach kolejowych w Tarnowie został tam kowalem. Ożenił się i dobrze mu się powodziło. Zasłynął w powiecie z następującego epizodu. Został napadnięty w lesie przez wilka. Bronił się łagą, którą udało mu się zabić napastnika. Myśliwi i przyrodnicy zjeżdżali się i oglądali martwe zwierzę, bo wilk koło Tarnowa był zjawiskiem nader rzadkim.

WOJCIECH BOGACZ

syn Marii i Jędrzeja Bogaczów

Wojtuś ukończył szkołę kołodziejską w Grybowie i został tam nauczycielem, a następnie kierownikiem.

STANISŁAWA z domu BOGACZ

córka Marii i Jędrzeja Bogaczów

Była ładną dziewczynką. Gdy dorosła, uparła się, aby wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Pragnienie swoje zrealizowała. W Ameryce dobrze wyszła za mąż i życie jej ułożyło się bardzo pomyślnie.

ANTONINA PALUCHOWSKA z domu BOGACZ

córka Marii i Jędrzeja Bogaczów

Antosia była bardzo powabną dziewczyną. Miała regularne rysy, smagłą cerę, oczy czarne z czarną oprawą, włosy kruczkie, usta czerwone i naturalne rumieńce na twarzy. Dziunia poznała ją osobiście, bo przyjeżdżała do niej, kiedy przebywała na stacji w Tarnowie. Wówczas to właśnie Antosia zaznałomiła się i zaprzyjaźniła z panią nauczycielką, u której Dziunia mieszkała. Nieraz ona się dziwiła, mówiąc: „Skądżeś ty się wzięła taka ładna?”. Otóż trzeba tutaj zaznaczyć, że jej matka, Marysia, była zacudowana w swojej Tosi. Nie pozwalała jej nic cięższego robić, boby sobie rączki zniszczyła. Szyła więc tylko na maszynie i robiła różne ręczne robótki. Kiedy ktoś z rodziny poprosił ją na chrzestną matkę, to matka z córką przygotowały dla chrzestnego taką bogatą wyprawkę, że kiedy ją zobaczyłam, musiałam im powiedzieć: „Chyba obie na tym punkcie dostałyście potężnego bzika”.

Antosia szyla sobie w swojej izdebce, ładnie urządzonej, i nikt jej tam nie przeszkadzał. Prawie w każdy dzień, pod wieczór, przychodził do niej chłopiec, przynosił książki i czytał jej głośno, a ona pracowała przy maszynie. Tak przeczytali *Trylogię* i inne wartościowe książki. Ten Staś podobał mi się! Był przystojnym chłopcem. Wydawał się być inteligentem, mimo że nie był wykształcony. Widać, te przeczytane książki, ogólne odczytanie i nabyte w trakcie tego wiadomości, uewnętrzniły się na jego twarzy i nadały mu wygląd myślący, a także wyrobiły w nim grzeczne zachowanie i lepsze manierę. Naprawdę podobał mi się. Młodzi pokochali się, ale tylko platonicznie. On ją czcił jak bóstwo, miał ją za coś wyższego od siebie. Patrzył na nią z pokorą i uwielbieniem. Myślę, że na powstanie tak delikatnej i subtelnej miłości wpłynęły książki idealizujące to uczucie. Ale ojcu Antosi ta miłość nie podobała się, bo chłopiec był biedny.

W tym czasie zaczęli się zgłaszać inni kawalerowie i starać o rękę pięknej córki. Jako jeden z pierwszych oświadczył się komendant posterunku żandarmerii. Była to wcale niezła partia, lecz ojciec Antosi zapytał go: „A jak z pana zdej-
mą mundur, to co pan wtedy będzie znaczył? Przyjdiesz pan do mnie z żoną, a może i z dziećmi, żebyśmy was cho-
wał?”. Zgłosił się też restaurator z Grybowa. Ojciec mu po-
dobnie powiedział: „A jak pan zbankrutuje, to przyjdiesz do
ojca i powiesz: »Tato, daj jeść!«. Tylko ziemia stanowi pod-
stawę utrzymania i ja chcę dla córki ziemi, bo tylko ona daje
pewność i stabilizację w życiu”. I znalazł tę ziemię dla córki.
Wydał ją za gospodarza z Lisiej Góry, który miał dwadzieścia
mórg ziemi ornej, piękne konie, dom i całe gospodarstwo bez
żadnych spląt finansowych. Zapytałam raz Antosi: „No cóż,
zadowolonaś z męża?”. A ona na to: „Cóż mam powiedzieć
cioci. Kiedy jadę bryczką, a konie ziemi prawie nie dotykają
i jak lalki idą, to mi się wydaje, że jadę jak dziedziczka. Wtedy
mnie duma i radość ponosi z bogactwa. Mąż też okazały,
przystojny i dobry, ale jak wspomnę sobie Stasia, to mi żal
tych chwil, tego pierwszego prawdziwego uczucia, które tylko
pewno raz w życiu się zdarza, i czuję smutek i żal, że mnie coś
pięknego ominęło, co mi się należało, a co już nigdy nie wróci
i czego w życiu już nie spotkam”. Mąż jej – Paluchowski – po
kilku latach zaczął chorować i wreszcie młodo zmarł. Antosia
została z tą niezaspokojoną tęsknotą, lecz ziemia nie dała jej
tęsknić, bo ją wzięła całkowicie w swoje posiadanie i wymaga-
ła od niej bezustannej pracy.

WIKTORIA, z domu BOGACZ córka Marii i Jędrzeja Bogaczów

Całą gospodarkę po ojcach objęła najmłodsza córka Wik-
tuscia ze swoim mężem – elegantem spod Tarnowa. Duża to
była gospodarka i piękne domostwo. Mąż – elegant dobrze

gospodarzył, więc dobrobyt był duży. Mimo wielu zaprosin nigdy nie byłam u nich. Trochę tego żałuję, bo gospodarstwo było pięknie położone i miało znakomite powietrze. Obowiązki rodzinne nie pozwoliły mi nigdy na takie wakacyjne wczasy.

WERONIKA I KATARZYNA, z domu KOCOŁ

Zanim scharakteryzuję dwie najmłodsze latorośle tej rodziny, tj. moją siostrę Weronikę i Katarzynę, twoją, Jacusiu, prababcię, zatrzymam się chwilę jeszcze nad naszymi rodzicami, a właściwie nad atmosferą rodzinną, w jakiej żyłyśmy i wzrastały. Wydawać by się mogło, że nasza rodzina była taka, jakich tysiące czy miliony bywają na świecie. A mnie się wydaje, że była to jedyna i niepowtarzalna rodzina, mimo że ani moja matka, ani tym bardziej ojciec niczym specjalnym się nie wyróżniali, nie byli ani lepsi, ani gorsi od innych, nie mieli żadnych talentów ani jakichś specyficznych upodobań. A jednak tworzyli oni małżeństwo, jakiego podobnego w swoim długim życiu jeszcze nie spotkałam. Nie widziałam w ich życiu kłótni ani nawet chwilowej waśni lub niezgody. Natomiast na każdym kroku dostrzegałam serdeczne przywiązanie, jednomyślność i zgodę we wszystkich zarządzeniach i poczynaniach. Ojciec patrzył na matkę jak na jakąś wyższą istotę, otaczał ją troskliwą opieką, nie pozwalał na cięższą pracę, odsuwał od niej, na ile to tylko było możliwe, troski i zmęczenie, lecz mimo tego matka zapadała na zapalenie płuc. Wtedy ojciec zaraz sprowadzał lekarza, który

mawiał o sobie, że jest naszym domowym, czy jak w żarcie mówił, nadwornym lekarzem. Pan Walczyński był dobrym lekarzem, bo cztery zapalenia przeszły matce bez pozostałości, tak że dożyła osiemdziesięciu kilku lat. Ojciec był dobrym mężem i porządnym człowiekiem, nie palił, nie pił żadnego trunku, czasem tylko szklankę piwa, po której zaraz zawracało mu się w głowie, a my żartowałyśmy z takiego „pijaka”. Nigdy też nie słyszałyśmy w domu przekleństw i wyzwisk, bo te nie wyszłyby z ust nikogo, nawet z ust starszych dzieci w obecności ojców.

Dzień mijał nam w ten sposób: rano modlitwa – *Kiedy ranne wstają zorze* i godzinki. Potem śniadanie, a następnie praca. W południe obiad z takim spożywany nabożeństwem, jakby się celebrowało coś świętego, bo ojciec utrzymywał, że spożywanie darów Bożych powinno następować z wdzięcznością dla Boga, że je dał i dozwolił nam spożywać. Obiad zawsze był poprzedzony przeżegnaniem i głośną modlitwą, a zakończenie obiadu przebiegało tak samo. Wieczorem śpiewano *Wszystkie nasze codzienne sprawy* i głośno odmawiano wspólny pacierz. W okresie kolęd śpiewano wieczorem kolędy, a w poście – pieśni postne.

Nie tylko moi rodzice tworzyli wspaniałą rodzinę, wśród której miałam szczęście się urodzić i wychować, ale również otoczenie domu, gospodarstwo, a nawet okolica wytwarzały specyficzną atmosferę swego rodzaju romantyzmu, który kładł się całą swą mocą, pięknem i radością na rwące się do życia młode, dziewczęce dusze.

Podwórze w naszym gospodarstwie wydłużało się w drogę prowadzącą w pole. Droga ta okryta z jednej i drugiej strony zielenią dochodziła do grobli dużego i dość głębokiego stawu, pełnego srebrzystych ryb – miejsca naszych letnich kąpiei. Z tego stawu przez coś w rodzaju drewnianego namiocika zwanego przepławką, wypływał bezustannie strumyczek wody do drugiego stawu, a stąd w taki sam sposób do

trzeciego stawu. Ustawicznie było słycać szmer wody niby płynącego strumyka. Przybrzeżna okolica tych stawów była zarośnięta olszyną, a dołem ziemię pokryły zawilce, pierwiosnki i złote kaczeńce, nie wyliczając innych kwiatów, jak np. sasanek, śnieżynek i innych. Górą zaś roiło się na gałęziach od ptaków. Ileż tam było słycać rozmaitych ptasich ciurkań, kwileń i świergotów. Najgłośniejsze rozmowy prowadziły z sobą wilgi i kukułki, przedrzeźniały się, robiły sobie zarzuty i wyrzuty, a może tylko umizgi. Całość zaś była taka uroczą, że prosiło się, by nagrać ich na taśmę, lecz niestety była ona wówczas jeszcze nieznana. Kiedy w czasie pogodnej nocy księżyc odbijał się w tych trzech stawach, to te trzy wielkie, świetlane, błyszczące oczy stwarzały widok niesamowity i tak uroczy, że odejść się stamtąd nie chciało. Przyroda święciła w tym zakątku triumfy swego piękna i niepowtarzalności. Nieraz, patrząc na to i słuchając ptasich szczebiotów, myślałam, że już chyba i w rajy nie mogłoby być piękniej.

Po minięciu tego cudownego zakątka droga wyprowadzała nas na otwarte pola. Gdybyś stanął wśród nich, objąłbyś swym wzrokiem rozległy widnokrąg nie zasłonięty żadnymi wzgórzami. Jest to równina, na której rozłożyła się szachownica pól pokrytych łanami zbóż i innych roślin oraz zielonych łąk, pełnych różnego kwiecia, przybranych w różnych miejscach kępami drzew. Były to gaiki brzozowe, których pnie drzew ustrojone były w białe szaty, a głowy spowite zielenią. W innej stronie krajobrazu widać było gaiczek świerkowy, woniejący zdrowym zapachem żywicznym, a dalej dużą dąbrowę, w której rozpierały się wiekowe dęby i inne drzewa liściaste, na które dęby z wysokości swych ogromnych koron patrzyły jakby z politowaniem na cherlactwo ścielące się w pokorze u ich stóp. Wśród całego tego krajobrazu przewijała się rzeczka Żabnica, która się kręciła niby wąż i swymi srebrnymi skrętami błyskała to tu, to tam, i szmerem swym szła w zawody ze śpiewem ptasząt i graniem fujarek.

Na krańcu widnokregu widać było wieże kościoła w Żabnie, które to miasteczko rozsiadło się na granicy widnokregu niby straż zabraniająca wejścia na dalsze rozłogi. Na jego dachach i wieżach wsparł się nieboskłon. Ktokolwiek by stanął w środku tego krajobrazu i rozglądał się wokół, musiałby wyrazić swój zachwyt dla jego piękności i oddać cześć i uwielbienie dla jego Twórcy, dla Twórcy tej całej pięknej przyrody.

Pole nasze kończyło się łąką, która znów łączyła się z drugą wielką kwietną łąką, sięgającą aż po dużą dąbrowę, którą przed chwilą wspominałam. Na tej łące zbierałam nieraz całe snopy kwiatów i wieńczyłam nimi figurę Matki Boskiej i kapliczkę. Do dębiny przytykał gęsty zagajnik, w którym królowały storczyki i konwalie oprócz innych kwiatów. Kiedy już chodziłam do szkoły, nosiłam bukiety tych pachnących kwiatów swojej nauczycielce. O jakże się ona nimi cieszyła! Po drugiej stronie tej łąki był drugi duży zagajnik, w którym żyły sarenki. Nieraz przechodziły z jednego zagajnika do drugiego, czasem hasały po łące lub po polach i upiększały swoją obecnością nasze łąki i pola. Nikt im krzywdy nie robił. Tak ja, jak i inne dzieci czasem goniłyśmy za nimi, ale one się nie bały, przyzwyczajone do ludzi tak bardzo, że zachowywały się tak, jakby były oswojone. Dzisiaj, po wojnie, ani śladu z nich nie pozostało.

Lubiłam bardzo siadać sobie czasem wśród zbóż, które usypiały mnie swym szumem kłosów jakby najpiękniejszą muzyką. Leżąc, patrzyłam w błękit nieba, liczyłam płynące po nim chmurki i porównywałam je ze smokami i innymi strasznymi stworami ze znanych mi bajek. Nieraz w takich chwilach szukałam dziecięcą myślą Tego, który to wszystko stworzył i tak wysoko zawiesił. Raz podczas takiego rozmyślenia przeraziłam się, bo przede mną stanął niespodziewanie chłopczyk. Przesunął się niewidocznie wśród zbóż tak, że zobaczyłam go dopiero tuż koło siebie. Przemówił do mnie tymi słowami: „Przyszedłem ci powiedzieć, że cię kocham, i jak zostanę lekarzem, jak mój tatuś, to się z tobą ożenię.

Pamiętaj, musisz być moją żoną, więc nie waż się brać innego męża”. A miał on wtedy zaledwie dwanaście lat. Nazywał się Zygmunt Karaś.

Smutna jest historia tego chłopca. Ojciec był lekarzem w Tarnowie. Kobieta z naszej wsi nosiła do jego domu nabiał przez kilka lat. Lekarz ten – człowiek młody – nagle zmarł, zostawiając dwóch chłopców. Żona jego z rozpaczyny dostała pomieszaną zmysłów. Kobieta, która nosiła do nich mleko, zabrała ją z dziećmi do siebie, a razem z nimi prawie wszystko, co było w ich domu, likwidując całe mieszkanie. Chłopcy pasali bydło, a biedną wariatkę zamknięto w stajni. Pamiętam tę nieszczęśliwą kobietę i te dwie sierotki. Ludzie we wsi ubolewali nad krzywdą tych ludzi. W końcu poruszyli kogoś, kto się ulitował nad dolą tych nieszczęśliwców, zabrał ich i gdzieś wywiózł tak, że słuch o nich zaginął, a Zygmunt Karaś już się do mnie nie zgłosił i musiałam sobie wziąć innego męża.

Kiedy byłam starsza, to wśród łanów tych zbóż gubiłam się z książkami do czytania, zwłaszcza z Sienkiewiczem, nie przychodziłam nawet na obiad, miałam spokój i mogłam czytać aż do wieczora. Wierście mi, moje kochane dzieci, że kiedy dziś wracam myślą w te moje dziecięce lata, to tyle widzę w nich szczęścia i piękna, że wydaje mi się jakbym przeżyła już niebo tu, na ziemi.

Ale teraz czas mi było już zacząć naukę, czas iść do szkoły. Moja siostra, starsza ode mnie o dwa i pół roku, już uczęszczała do wiejskiej szkoły w Lisiej Górze. Kiedy ona wybierała się rano do szkoły, ja rzewnie płakałam i robiłam matce wyrzuty, dlaczego mnie jednocześnie z siostrą nie zapisała do szkoły. Matka nieraz powtarzała moje słowa: „Czy to ja nie jestem tego samego Pana Jezusa, że Werkę mamusia zapisała, a mnie nie?”. Kilka razy, kiedy na mnie nie zwrócono większej uwagi, wybrałam się do szkoły tak, jak stałam, bez lepszego ubrania, i szłam, szłam, aż doszłam. Kierownik, który znał matkę, witał

mnie serdecznie, sadzał w ławkę i mówił: „Ciekawy jestem, czy cię ta pilność nie opuści, gdy przyjdzie czas na ciebie”. Byłam nieraz zmęczona, bo do szkoły było więcej niż trzy kilometry. W zimie woził nas ojciec na sankach, a w deszcz lub podczas błota na koniu. W następnym roku, mimo nieodpowiedniego wieku, bo w marcu ukończyłam zaledwie pięć lat, kierownik przyjął mnie już jako zwyczajną uczennicę. Jaką byłam mądrą i zdyscyplinowaną uczennicą niechaj świadczy takie oto zdarzenie. Pewnego razu ojciec odwiózł mnie do szkoły na koniu z powodu niemożliwego wprost błota. Ja, już siedząc w ławce, wyjęłam nawet tabliczkę do pisania, a tu jeszcze nie przyszła na lekcję koleżanka, z którą zwykle siedziałam w ławce i z którą wspólnie się uczyłyśmy. Denerwowałam się i ciągle tylko patrzyłam na drzwi, czy nie nadchodzi oczekiwana koleżanka. Kiedy zbliżył się czas rozpoczęcia nauki, a ona nie nadeszła, złożyłam moje rzeczy do koszyczka i wróciłam piechotą do domu, cała obłożona po pas, bo przecież nie miałam w szkole swej pary. Ojcowie na mój widok ręce załamali. Na drugi dzień w szkole wiele uciechy mieli ze mnie i dzieci, i kierownik. Koniec roku jednak pokazał, że nie byłam głuptaskiem, lecz najlepszą uczennicą. Jako taka dostałam specjalną nagrodę, którą mi wręczył sam przewodniczący egzaminu. W czasie tej uroczystości goście oglądali mnie jako jakieś dziwko. Po dwóch latach nauki w tej szkole rodzice odwieźli nas obie do szkoły w Tarnowie i umieścili nas na stacji. Była to szkoła czteroklasowa w dzielnicy Grabówka. W szkole tej już niedługo zdobyłam sobie sympatię i uznanie jako najlepsza uczennica. Dowodem tego może być wizytacja inspektora szkolnego Nowickiego. Był on postrachem całego nauczycielstwa, a także i dzieci szkolnych. Kłął je jak szewc, gdy które dawało złe odpowiedzi. Często wówczas ze strachu myliły się, w końcu przestawały mówić, a niekiedy odpowiedź kończyła się wybuchem płaczu. Byłam w trzeciej klasie, kiedy nas ten potwór, zwany smokiem wawelskim, zaszczycił swoją

wizytacją. Rozpoczęła się lekcja języka niemieckiego. Lekcja szła naturalnie jak pod psem – a więc diabły i szlaki fruwały po całej klasie. Nauczycielka pobladła trzęsła się ze strachu. Wreszcie wywołała mnie jako ostatnią deskę ratunku. Przedtem sam inspektor wzywał do odpowiedzi, wskazując palcem wybraną uczennicę. Nauczycielka kazała mi odmieniać czasownik *werden*. Wstałam i zaczęłam odmieniać szybko, ale nie głośno. Inspektor pochylił się nade mną i pilnie słuchał. Gdy skończyłam, jak nie krzyknął: „Czemuż, do cholery, nie mówisz głośno, kiedy mówisz dobrze!”. Po jego wyjściu nauczycielka wyściskała mnie i wycałowała, mówiąc: „Uratowałeś mnie i honor całej klasy”.

Po ukończeniu czwartej klasy przeszliśmy razem z siostrą do szkoły wydziałowej. Była to tak zwana pańska szkoła, bo tam uczęszczały przeważnie dzieci inteligentów. Szkoła ta stała na wysokim poziomie, miała mądre profesorki i cieszyła się powszechnym uznaniem. Początkowo patrzono na mnie krytycznie i to zarówno ze strony grona profesorskiego, jak i samych koleżanek. Natomiast już w drugim kwartale zainteresowanie mną było znacznie serdeczniejsze. Zaczęto powierzać mi pewne funkcje w klasie, jak np. polecono mi zwracać uwagę na zachowanie całej klasy podczas niektórych lekcji, na których uczennice zachowywały się zbyt głośno i swobodnie. Z każdej takiej godziny miałam oddać spis niegrzecznych uczniów pani wychowawczyni klasy. Nigdy jednak tego nie zrobiłam. Z kolei profesorka od przyrody ustanowiła mnie gospodynią odpowiedzialną za wszystkie okazy przyrodnicze. Po skończonej godzinie przyrody towarzyszyłam pani profesorze z okazami do innej klasy, w której przedstawiała mnie jako najlepszą uczennicę. W klasie, w której była moja siostra Werka, mawiała nieraz do niej: „Czemu ty się tak dobrze nie uczysz jak twoja młodsza siostra?”.

Siostra moja – Werka – była dobrą uczennicą. Wyróżniała się zwłaszcza w matematyce, ale innymi przedmiotami

zbytńio się nie interesowała. Nikt jej natomiast nie dorównał w robotach ręcznych. Jej piękne hafty podziwiano na wystawach szkolnych. Otrzymywała za nie nagrody i odznaczenia, co nieraz było podkreślane w gazetkach szkolnych.

Moją wychowawczynią w tej szkole była pani Adela Jahn, pochodząca z rodziny niemieckiej i ucząca naturalnie języka niemieckiego. Zdumiewała się moim opanowaniem gramatyki niemieckiej. Żadna koleżanka w klasie nie dorównywała mi pod tym względem. Niejednokrotnie wstydziła te uczennice, u których w domu mówiono po niemiecku, że mają opanowany język niemiecki o wiele gorzej ode mnie. W ósmej klasie chciała dokładniej zbadać moją wiedzę w zakresie języka niemieckiego. W tym celu przyniosła do klasy dużą książkę jak mszał i kazała mi czytać. Był to życiorys Goethego. Po przeczytaniu bez trudu streściłam go. Następnie pani profesorka wyszukała balladę Friedricha Schillera. Poleciła mi ją przeczytać i streścić. Wywiązałam się z tego zadania znakomicie ku zdumieniu pani profesorki, która rzekła: „Żadna z was z tego tekstu wiele by nie zrozumiała, a cóż dopiero mówić o tym, żeby móc opowiedzieć treść własnymi słowami. Właściwie to tylko ona jedna w klasie zasługuje na notę bardzo dobrze”.

Profesorka języka polskiego mawiała nieraz do moich koleżanek: „Jak chcecie coś głębiej zrozumieć z literatury, to poproście Kasię, by z wami trudniejszy tekst przerobiła”.

Wielkie trudności w szkole sprawiała wszystkim historia austriacka, którą każdy powinien dobrze znać, mimo że była ona bardzo trudna i poplątana wśród tych wszystkich arcyksiążąt austriackich, tak że nikt jej nigdy nie mógł się dobrze nauczyć. W mojej klasie pytano raz na lekcji podczas wizytacji piętnaście uczennic na środku klasy, lecz wszystkie wróciły do ławek z notami niedostatecznymi. Wówczas dyrektor Ruszczyński wywołał mnie przed katedrę, a ja wyrecytowałam tę historyczną łamigłówkę bez zajknięcia. Dyrektor zerwał się

wtedy ze stołka i rzekł: „Tego jeszcze nigdy nie było – co za nadzwyczajna pamięć u ciebie!”

Zanim opowiem nieco więcej o sposobie prowadzenia lekcji przez dyrektora Ruszczyńskiego, który uczył fizyki w naszej ósmej klasie, wspomnę na wstępie w paru słowach coś nieco o naszej klasie i o samej szkole. Była to szkoła państwowa, tj. bezpłatna, przeznaczona dla wszystkich, przede wszystkim dla dzieci mieszczańskich i wiejskich. Dzieci bowiem ludzi bogatych uczyły się przeważnie w gimnazjum u urszulanek, za co jednak trzeba było немало płacić. W naszej klasie jedną z moich koleżanek była prawdziwa baronówna włoska – Beatricze Bataglia – której ojciec z powodu swego pijaństwa przenoszony był na coraz niższe stanowiska w administracji państwowej, a w końcu zdymisjonowany klepał wręcz biedę w Tarnowie. Otóż pewnego razu wszedł on w konflikt z dyrektorem szkoły, gdy ten realizując nakaz Szkolnej Rady Krajowej dotyczący właściwej pisowni nazwisk, dodał na świadectwie szkolnym koleżance Beatricze do nazwiska końcówkę *-anka*, ponieważ jej nazwisko kończyło się na literę *a*. Oburzony do głębi baron oświadczył, że dyrektor może w ten sposób zmieniać nazwiska dzieciom mieszczańskim i wiejskim, nazwiska jednak prawdziwego włoskiego barona niech się nie waży nawet tykać ani tym bardziej zmieniać, bo pozycja społeczna barona jest poza jego zasięgiem, a nawet zasięgiem jakiejkolwiek komisji.

Dyrektor Ruszczyński, wykładając fizykę w naszej klasie, miał taką metodę, że w czasie jednej godziny przeprowadzał niemal jak na wyższej uczelni wykład, a na następnej godzinie sprawdzał przyswojenie wyłożonej wiedzy wśród uczniów. To sprawdzanie następowało w ten sposób, że jedna uczennica zadawała drugiej pytania z wyłożonego materiału, a ta miała nie tylko na nie odpowiedzieć, ale je w miarę możliwości pogłębić. W wyniku takiej dyskusji starano się dotknąć

istoty problemu, który w podsumowaniu tej dyskusji pan dyrektor jeszcze raz starał się klasie przedstawić. Dyrektor na pewnej lekcji wywołał Beatricze, aby to ona zadawała pytania, gdyż nie wypadałoby, aby baronówna była przez byle mieszczkę lub wieśniaczkę pytana. Lecz ani baronówna, ani zresztą żadna inna pytać nie chciały, bo po prostu nie potrafiły posługiwać się nowymi pojęciami i faktami. Dyrektor zatem chcąc nie chcąc musiał wybierać inne uczennice. Często wybór padał na mnie. Radziłam sobie bardzo dobrze, zaś dyrektor dziwił się głośno, że to baronówna nie może sprostać wiejskiej koleżance. Lekcje takie wyrabiały samodzielność, pewność i zaufanie do swej wiedzy i przekonań. Moim zdaniem takie postępowanie pedagogiczne ukształtowało ze mnie nauczycielkę o wybitnych zdolnościach pod względem metody nauczania. Pominę inne ciekawe momenty z mojego życia szkolnego w szkole wydziałowej im. Cesarza Franciszka Józefa I w Tarnowie, a zakończę opisem ostatniego mojego popisu, czyli końcowego egzaminu w tej szkole.

Szkoła ta ulokowana była w dużym budynku oddzielnym od ulicy pięknym ogrodem kwiatowym, zwracającym często na siebie uwagę przechodniów. Z tyłu był ogród warzywno-przyrodniczy, w którym uprawiano rośliny potrzebne do nauki przyrody. Budynek otoczony był wysoką siatką. Między grządkami, na podwyższeniu, były ścieżki do spacerowania, a niżej podwórze do ćwiczeń i zabaw. Tu też odbywały się zakończenia roku szkolnego i tu też odbyło się moje pożegnanie z tą szkołą, która rozwinęła mój umysł, rozbudziła ochotę do nauki i dała mi wiele, bardzo wiele, bo ukształtowała całe moje dalsze życie.

W oznaczony dzień ściany budynku szkolnego od podwórka były udekorowane zielenią i chorągwiami o barwach narodowych. Na wzniesieniu przybranym dywanami i kwiatami zajęli miejsce: prezydium, władze i zaproszeni goście.

Uroczystość rozpoczęła się odśpiewaniem pieśni *Kiedy ranne wstają zorze*, któremu towarzyszyła muzyka orkiestry. Następnie maszerowałyśmy przy śpiewie marszów polskich i przy muzyce po ścieżkach ogrodu. Potem klasy utworzyły szpaler, w środku którego odbywały się popisy i deklamacje. Wreszcie następowało odczytanie klasyfikacji i rozdzielenie nagród. Kiedy przyszła kolej na moją klasę wywołano mnie i kazano mi się zatrzymać w środku szpaleru. Muzycy zagrali hymn, po czym ksiądz Depowski miał do mnie przemowę, wychwalając moje zalety jako uczennicy. Następnie przemawiała moja wychowawczyni profesor Adela Jahn, a na ostatku zabrał głos dyrektor Ruszczyński, który bardzo mnie lubił, bo właściwie często „dyskusyjne” lekcje na jego godzinach prowadziłam osobiście, a on słuchał, a czasem nawet zdarzało się, że po nieprzespanej nocy to się zdrzemnął. On mi też nie szczędził wielu pochwał, a ja stałam w środku jak na cenzurowanym i tylko łzy szczęścia spływały mi po twarzy. Wezwano mnie potem przed trybunę i uroczyście wręczono mi nagrodę: dwa tomy pism Mickiewicza w pięknej oprawie z napisem na tytułowej stronie: „W dowód niezwykłych zdolności i pilności ofiaruje uczennicy Katarzynie Kocoł Grono Nauczycielskie Szkoły Wydziałowej w Tarnowie jako pamiątkę”. Wszyscy nauczyciele składali mi życzenia, a następnie winszowali matce, którą usadowili na honorowym miejscu, takiej córki będącej nie tylko jej chlubą, ale i chlubą całej szkoły. Matczyńsko zalewało się łzami dumy i radości. Kiedy później mnie ścisnęła, to mi powiedziała: „Bóg mi w tobie wynagrodził wszystkie zgryzoty, jakich doznałam z powodu Antosia”. Wybaczcie, dzieci i wnuki, że piszę tyle pochwał o sobie, ale chcę, byście wiedzieli, jaką była wasza matka i babcia, byście się jej nie wstydzili, kiedy ją będziecie wspominać. Zaręczam wam, że w tych pochwałach w niczym nie przesadziłam.

WERONIKA SARTORIUS, z domu KOCOŁ córka Tekli i Józefa

Moja siostra Weronika była dla mnie w czasie pobytu szkolnego w Tarnowie nie tylko towarzyszką, ale jako starsza siostra, a do tego bardzo poważna, opiekowała się mną prawie jak matka. Weronika o rok wcześniej opuściła tę naszą kochaną szkołę. W czasie uczęszczania do niej zaprzyjaźniła się z siostrzenicą księdza Kopycińskiego, posła do Rady Państwa w Wiedniu. Pomagała jej w matematyce, robiła za nią wszystkie robótki ręczne, jednym słowem pokochały się i jako koleżanki były nierozłączne, toteż i po ukończeniu szkoły wyjechały razem do Przemyśla. Zamieszkały w konwikcie w klasztorze zakonnic bernardynek na Zasaniu i tam zostały przyjęte na pierwszy kurs seminarium nauczycielskiego. Tam też otwarto szkołę freblowską – kształcącą przedszkolanki. Freblówki dopiero zaczęto u nas zaprowadzać. Zajęcia w tej szkole bardzo się podobały mojej Weronce, bo uczono tam wielu robótek, które były jej życiową pasją. Każdą wolną chwilę spędzała we freblówce i każda lekcja była przez nią dokładnie przerobiona. Z końcem roku zakonnice orzekły, że jest ona wprost stworzona na nauczycielkę freblankę i dały jej świadectwo ukończenia freblówki. Chciały nawet dać jej posadę w swojej szkółce, ale ona w czasie swego pobytu w klasztorze tak się zdołała zniechęcić do zakonnic, że napisała do matki, aby mnie przypadkiem na dalsze kształcenie nie umieściła w jakimś klasztorze, tylko na prywatnej stancji, i starała się o przyjęcie do rządowego seminarium. Zniechęciła ją zaś do zakonnic niesprawiedliwość w odnoszeniu się do uczennic. W konwikcie były bowiem uczennice różnych stanów i płacące różne opłaty. Były córki obywateli ziemskich, wysokich urzędników i bogatych

kupców i te były inaczej traktowane. Im było wolno wszystko. A tym, co mniej płaciły, to zaraz im to wypominano: „Ty nie możesz grymasić, ani zbyt kować, ty nie możesz sobie na to pozwalać”. Tego Weronka nie mogła znieść, chociaż płaciło się za nią średnią cenę, wcale nie najniższą. Dlatego też ze świadectwem freblowskim opuściła klasztor, a ksiądz poseł wystarał się dla niej o posadę w Gawłuszowicach, w swojej parafii.

W szkole czteroklasowej uczyła trzy lata i dopiero kiedy ja dostałam posadę w powiecie gorlickim, przeniosła się tu, aby być bliżej mnie, by móc się ze mną widywać. Pierwsza jej posada w powiecie gorlickim była w Bystrej, skąd przeniosła się do Woli Łużańskiej. Posada w Woli Łużańskiej była posadą samodzielną. Zazdroszczono jej tej posady i dziwiono się, że otrzymała ją kobieta i do tego młoda, mimo że starało się o nią kilku mężczyzn z większą liczbą lat służby w zawodzie nauczycielskim. Była to posada naprawdę godna zazdrości, bo stacja kolejowa na miejscu, budynek szkolny nowy, duży ogród, a do tego kawałek (jedna morga) ziemi, dzieci mało, a ona sama była sobie kierowniczką. Oceniała to wszystko Weronka i zabrała się z całym zapalem do pracy. Uporządkowała ogród szkolny i przy pomocy swego byłego kierownika szkoły z Bystrej – działacza spółdzielczego na terenie kółek rolniczych – założyła sad, o którym jej następcy mówili, że tak doborowych i wartościowych drzew owocowych, jakich jej dostarczył kierownik z Bystrej, nie było w całym powiecie. Starła się też, by ogród warzywny i kwiatowy nie pozostawiał nic do życzenia i mógł być wzorem dla całej wsi. Pilnie śledziła warunki życia swoich uczniów, ich potrzeby, poznawała ich rodziny i zdobywała sobie w czasie tych odwiedzin ich przyjaźń i uznanie. Kupiła sobie książkę lekarską i doraadzała w chorobach skuteczne, a przy tym nieszkodliwe lekarstwa. Jedną uczennicę swoim kosztem kształciła na nauczycielkę i umieściła ją na stancji u mego brata w Nowym Sączu,

inną sama uczyła, a potem wydała za mąż za nauczyciela. Kochali ją też wszyscy. Byłam świadkiem, jak po jej śmierci chłop płakał, bił głową o mur szkoły i mówił do mnie: „Pani straciła siostrę, a my nauczycielkę, opiekunkę, przewodniczkę, prawie naszą matkę”. Jej następczynie mówiły do mnie: „Co ta siostra wyprawiała z tymi ludźmi”. Mówili o niej, że był to anioł, i domagają się od każdej nauczycielki tego samego. Trudno po niej pracować, bo przecież nikt z nas nie będzie tak postępować jak ona.

„Powiecie, że to było życie dla drugih. A jakież było jej życie dla siebie, co uczyniła dla własnego życia? To jest przecież nawet nienormalne, żeby się poświęcać dla drugih, kiedy jest się młodą. Przecież młodość domaga się czegoś i dla siebie. Werka była nie tylko młodą dziewczyną i zdrową, ale i ładną, nawet bardzo ładną. Inspektor szkolny mówił o niej, że jest najpiękniejszą nauczycielką w całym powiecie. Będąc najpiękniejszą, była i najpoważniejszą i z powodu tej powagi nikt nie miał śmiałości wdzięczyć się do niej jak do każdej innej dziewczyny. Chłopcy mówili, że ją na kolanach trzeba wielbić i modlić się do niej jak do madonny. Pewnego razu, kiedy ja się wzbraniałam, żeby iść na jakąś zabawę, bo nie miałam z kim, to mi mówiono: „No przecież masz siostrę, z którą możesz iść, bo ona jest co najmniej dwa razy tak poważna, jak być powinna. Jej opieka z nawiązką pokryje twoje roztrzepanie i gadulstwo”. Toteż korzystałam nieraz z tej opieki.

A przecież i ona – tak poważna – nie oparła się miłości. Miała swoją wielką miłość, lecz ukryła ją głęboko w sercu, nie popisывała się nią, nie zwierzała się przyjaciółkom. To było jej wewnętrzne przeżycie. Osoby z takim usposobieniem kochają tylko raz w życiu i tak było w jej przypadku. Przedmiotem jej miłości był student z siódmej klasy gimnazjalnej. Wówczas ona była uczennicą ósmej klasy. Był to Józef, brat szwagra Marka ożenionego z naszą Marylką Flisówną. Chłopiec ten

przystojny, mądry, poeta umiał tak pięknie mówić, że słowa jego chwytaly za serce i wzięły Werkę w niewolę na zawsze. Pisał też wiersze – nawet ja mam jeszcze do tej pory trzy jego wiersze w swoim pamiętniku. Osobiście go nie lubiłam, coś mnie od niego odrzucało i miałam dobre w tym względzie wyczucie. Moi kochani, mogłabym o tej miłości i jej kolejach napisać całą książkę, ale za późno się wzięłam do pisania tego rodzinnego pamiętnika, więc przytoczę tylko kilka etapów tego uczucia, które udręczyło serce mojej siostry, a mnie na-poilo wstrętem do tego człowieka.

Chłopiec ten podczas roku szkolnego mieszkał w Tarnowie u kobiety, która miała męża w Ameryce. Była to kobieta niemłoda i brzydka, a on został jej kochankiem. Były to inne czasy niż obecne, dlatego też wypędzono go za niemoralne życie z ósmej klasy gimnazjalnej, tak że dopiero za rok zdawał maturę jako eksternista. Od czasu relegowania go z gimnazjum nikt nie wiedział, co się z nim stało. Zniknął dla swoich najbliższych i znajomych, nie wiedziała też nic o nim i moja siostra, nie wspominała o nim ani słowem nawet przede mną – najbliższą jej sercu – mimo że znałam tę jej wielką tajemnicę.

Minęły dwa lata. Werka była już na swej pierwszej posiadzie nauczycielskiej. Podczas Świąt Wielkanocnych odwiedziłyśmy naszą Marylkę Markową i spotkałyśmy tam ku naszemu pełnemu zaskoczeniu brata jej męża, owego uciekiniera, ukochanego niegdyś przez Werkę. Na widok tego człowieka Werka zbladła, a we mnie wszystko się wzburzyło. Witałam się więc głośno ze wszystkimi – rzec można hałaśliwie – nie widząc tylko jego, lecz on podszedł do mnie poważnie i przywitał się z szacunkiem. Pewna konsternacja i spory przymus dały się zauważyć na mej twarzy, ale tyle było we mnie radości życia, tyle humoru, że wkrótce zapanowałam nad sytuacją i w towarzystwie zagościła ogólna wesołość. Jedną tylko Werka była poważna i nie brała udziału w tej wesołości,

podobnie jak i jej ukochany Józiu. Moja siostrzyczka wyglądała ślicznie, a on z niej oka ani na chwilę nie spuszczał! Po wizycie prosił o pozwolenie, by nas mógł odprowadzić. Po chwili poprosił mnie, bym ich zostawiła samych, bo muszą porozmawiać z sobą bez świadków w bardzo ważnej sprawie. Długo trwała ta rozmowa. Przepraszał gorąco Werkę za grzech względem niej popełniony, a karą za niego był wstyd, jaki mu żyć nie daje. Dlatego też postanowił ukryć się u ojców misjonarzy i poświęcić resztę życia pracy misyjnej w Afryce lub na jakichś dalekich wyspach. Przeszedł już rok próby i miał rozpocząć nowicjat, lecz przed jego rozpoczęciem przeor mu powiedział, że jeśli ma niezalatwione jakiekolwiek rachunki życiowe, to należy je bezwzględnie uregulować i dlatego właśnie tu przyjechał. Prawdziwość swych słów potwierdził piśmem przeora. „Jestem więc tutaj, by cię przeprosić i uzyskać twoje przebaczenie. Pragnę ci powiedzieć, że nie przestałem cię miłować, a teraz na widok twojej cudnej twarzy miłość moja rozgorzała jeszcze więcej, ale wiem, że ty, choć taka święta i anielska, nie przebaczysz mi, lecz każesz pokutować, i słusznie!”. A ona przebaczyła i wszystko zaczęło się od nowa.

On zapisał się do jakiejś szkoły drogomistrzów we Lwowie. Zaczęła się więc przykładowa korespondencja zakochanych, która trwała do zakończenia jego studiów i uzyskania posady. Wówczas to nadszedł pożegnalny list do Werki. Napisał: „Ponieważ jesteś aniołem, nie jestem ciebie godzien ja, który tyle razy zgrzeszyłem wobec najpiękniejszej miłości, jaka istnieje na świecie i którą tobie zawdzięczam, tej miłości, która była pierwszym przebudzeniem naszych młodzięńczych serc, a której to miłości ja nigdy nie zapomnę i wdzięczność w moim sercu zachowam po wsze czasy dla ciebie. Jako jednak uczciwy człowiek, muszę się ciebie wyrzec, więc żegnam cię...” itp. głupstewka, które były w rzeczywistości obrazą tej miłości. Odszedł i wkrótce ożenił się z córką swego profesora, bo po prostu musiał się z nią ożenić...

I taki był finał tej wielkiej miłości, którą zamknęła w swym sercu Werka. Jak się to serce z nią zmagало, któż to może wiedzieć, jeśli nigdy najmniejsza nawet skarga nie wyszła z niego na zewnątrz, jeno postanowienie, że nigdy już za mąż nie wyjdzie. Żaden mężczyzna dla niej nie istniał. Okryła się nieprzeniknionym płaszczem powagi i nieprzystępności wobec płci męskiej. Trzech jeszcze mężczyzn ubiegało się o jej rękę, lecz był to trud daremny. Nieraz mówiła do mnie: „Ja nie wyjdę już za mąż, ale ty wyjdź. Będę żyła twymi dziećmi i twoją rodziną”. Kochała też moją Dziunię niby swoją córuchnę, a Dziunia odpłacała jej wzajemnością. Pieściła ciotkę i ścisła, mówiąc: „Moje miliony”.

A jednak tylko Bóg kieruje losami człowieka – na nic są ludzkie postanowienia. Prawda ta w pełni potwierdziła się w życiu mojej siostry. Żyła ona bowiem na swej posadzie poczciwie, zużywając wszystkie swoje siły na prace społeczne. Oddawała się tej pracy bez reszty, lecz organizm zaczął jej wypowiadać swoje posłuszeństwo. Zaczęła cierpieć na bóle głowy, takie niezwykajne bóle, lecz jakieś inne, bardzo bolesne i męczące. Kiedy zbliżał się wieczór często doznawała uczucia lęku, męczyła ją nerwowa febra i wówczas służąca musiała siadywać przy jej łóżku, trzymać ją za rękę, dopóki nie zasnęła. Postanowiła więc zasięgnąć porady lekarskiej.

Dwór w Woli Łużańskiej należał do lekarza, niejakiego pana Kalisza. Zasłynął on jako bardzo dobry lekarz, stąd też nie brakowało mu pacjentów. Chorzy przyjeżdżali do niego z innych nawet miejscowości, a połączenie kolejowe z Wolą Łużańską bardzo im to ułatwiało. Do tego to właśnie lekarza wybrała się moja siostra. W bólach głowy potrafił przynieść jej ulgę, a po dokładnym zapoznaniu się z jej chorobą powiedział: „Pani jest osobą młodą, zdrową i dobrze zbudowaną i żyje bardzo uczciwie, lecz organizm domaga się tego, czego wymaga prawo natury i jeżeli chce być pani zdrową, musi się pani poddać temu prawu. Doświadczyła pani już

pierwszych sygnałów organizmu. Jeśli je pani zlekceważy, mogą przyjść gorsze następstwa. Innymi słowy – musi pani wyjść za mąż”. „Dobrze panu tak mówić, a skądże ja wezmę sobie męża, przecież nie wytrzęsę go sobie z rękawa”. A na to lekarz: „Więc nie zna pani takiego mężczyzny, który by sobie uważał za szczęście wziąć panią za żonę? Jeśli tak, to ja mógłbym pani coś poradzić. Wie pani, że ja z żoną nie mieszkam, gdyż ona żyje z innym mężczyzną. Ja jestem samotny i pani też. Mnie się pani bardzo podoba, obserwuję czyste, uczciwe i pracowite pani życie, podziwiam panią i nieraz myślę, żeby taką osobę mieć przy sobie, czcić i miłować ją całym sercem – to byłoby prawdziwe szczęście. Jestem bogaty i mogę pani tak zabezpieczyć przyszłość, że się pani o nic nie potrzebuje lękać. Proszę się więc zastanowić nad moją propozycją”. Na to Werka po dłuższym zastanowieniu odrzekła: „Wdzięczna jestem za wszystkie słowa pochlebne, jakie z ust pana o sobie usłyszałam, i muszę powiedzieć, że jest mi pan miły i szczerze pana lubię. Ponieważ jednak pan ma żonę, mogłabym być tylko pana kochanką. Gdybym się na to zgodziła, dałabym zgorszenie całej wsi, w której mnie kochają i szanują. Zgorszyłabym również nauczycielstwo w całym powiecie i zepsułabym sobie swoją nienaganną dotychczasową opinię”. Pochylił głowę i powiedział: „Rozumiem panią. Na taki postępek zdobyć się może tylko wielka miłość, która się z niczym nie liczy, a ja na taką niczym sobie u pani nie zasłużyłem. Na pożegnanie chciałbym pani jeszcze powiedzieć, że była pani dla mnie tym jasnym promykiem, który błysnął spod chmury, zajaśniał jasnym blaskiem i znów skrył się pod jej szarością. Rozstajemy się jako przyjaciele, proszę więc pamiętać, że może pani liczyć na mnie zawsze i w każdej potrzebie”. Jeszcze raz tę sprawę przedstawił naszej matce, kiedy była u niego na badaniach lekarskich. Zrelacjonował ją z punktu widzenia lekarskiego i matka, mimo swej religijności, przyznała mu rację, ale Werka nie zgodziła się na

takie rozwiązanie. Niedługo potem lekarz sprzedał swój dworek w Woli, bo jak powiadał, ciężko mu żyć obok Weroniki, a nie z nią. Przeniósł się do Tarnowa, gdzie kupił kamienicę i w niej otworzył gabinet lekarski. Sława lekarska Kalisza jako jednego z najlepszych lekarzy w Tarnowie była głośna w całej okolicy i Werka nieraz zasięgała u niego porady lekarskiej dla siebie i dla swoich pacjentów z Woli, z którymi go w Tarnowie odwiedzała. A może sądził on, że tam na obcym terenie prędzej da się nakłonić Werkę do jego propozycji?

Tymczasem znalazły się przyjaciółki, które postanowiły wyszukać Werze męża i wyszukały w osobie Sartoriusa. Był to urzędnik, który miał pod opieką pewien odcinek drogi kolejowej. Miał on swoich robotników i czuwał, aby nie było uszkodzeń torów kolejowych, a przez to chronił pociągi od katastrof. Był on wdowcem, bezdzietnym, w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, mężczyzną przystojnym, prezentującym się wspaniale. Pracował w Czudcu i dlatego był przez nas zupełnie nieznany. Werka zdecydowała się wyjść za niego za mąż ze względów przede wszystkim lekarskich. Ślub wzięli w roku 1909. Aby zakończyć ten etap drogi życiowej mojej kochanej siostrzyczki wspomnę, że wkrótce po ślubie urodziła w 1910 roku córkę Marysię, a w dwa lata później synka Józia. Już w czasie ciąży z synkiem ujawniły się poważne trudności związane z postępującą chorobą nerek. Dlatego też lekarz ostrzegał Weronikę, aby absolutnie nie dopuściła do ponownego zajścia w ciążę. Ja również nieraz ostrzegałam męża Werki przed wystawieniem swej żony na próbę kolejnego macierzyństwa, która mogłaby się skończyć katastrofą. Wkrótce jednak, kiedy mały synek Józiu zaczął ledwo stawiać pierwsze swe kroki, dowiedzieliśmy się o tym, że Wera jest brzemienna. Byłam u niej by sprawdzić, czy nie jest to tylko plotka. Niestety lekarz potwierdził ten stan, jednocześnie sugerując, że jedynym wyjściem z obecnej sytuacji jest usunięcie płodu, gdyż organizm Wery nie jest w stanie sprostać wymaganiom

jednocześnie matki i dziecka. Wera jako głęboko wierząca udała się do spowiednika, który powiedział jej, że w wielu przypadkach lekarze się mylą, że nie zawsze usunięcie dziecka i jego zabicie jest rzeczywiście konieczne, że często lekarz liczy tylko na swą osobistą korzyść i że wreszcie wszystko leży w rękach Boga i On może, jeśli taka będzie Jego wola, zapewnić życie zarówno matce, jak i dziecku. Dlatego usunięcie dziecka w takiej sytuacji będzie grzechem. Wera przyjęła z pokorą stanowisko księdza jako własne i cały swój los złożyła w ręce Wszechmocnego. Cięża rozwijała się wprawdzie normalnie, lecz nerki coraz słabiej pracowały, a żadne leki, które zastosowano, nie pomagały. Pod koniec siódmego miesiąca stan Wery pogarszał się z dnia na dzień, aż przysła zapowiadana przez lekarza katastrofa. Wera w ósmym miesiącu ciąży zmarła ze swym dzieckiem, w 1914 roku. Została pochowana na cmentarzu w Łużnej, najbliższym cmentarzu od Woli Łużańskiej, w której pracowała do końca jako nauczycielka. Wolę Łużańską ogarnęła w tym czasie powszechna żałoba, jak gdyby umarł ktoś bardzo bliski i kochany.



Grób Weroniki Sartorius 1879–1913, Łużna 1955 r.

Część III

STASZKÓWKA

w pierwszych latach

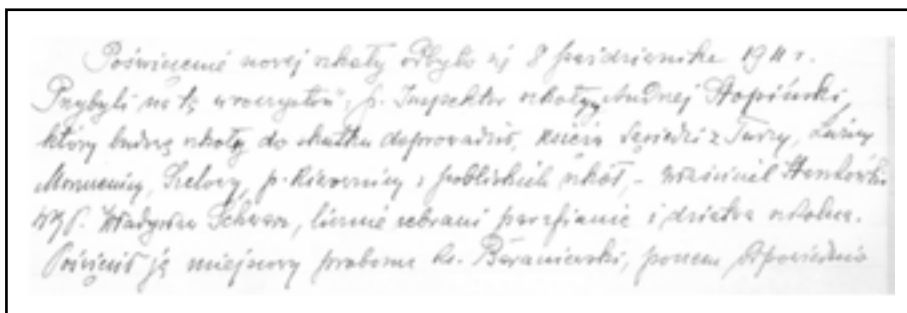
XX wieku



*Budynek szkoły zniszczony podczas działań wojennych I wojny światowej „Bitwy Gorlickiej” – maj 1915
(z kroniki (Szkoły w Staszkówce)*



*Odbudowana
szkoła
w Staszkówce –
rok 1929
(z kroniki (Szkoły
w Staszkówce)*



WSTĘP¹⁴

do pierwszego wydania tomu *Staszkówka* wydanego w setną rocznicę założenia szkoły w tej miejscowości

Dawniej i dziś – perspektywa stu lat edukacji w naszej miejscowości. Tyle zawirowań politycznych, społecznych i ekonomicznych. Zastanawiając się nad tym, myślę o ludziach, którzy przed stu laty przybyli do Staszkówki, aby podjąć obowiązki nauczyciela i kierownika szkoły. Były to trudne, ale i zapewne niezwykle czasy, stawiające przed ówczesnymi nauczycielami wielkie wyzwania.

Podejmowali je nie tylko z poczucia obowiązku zawodowego, ale przede wszystkim z troski o powierzone im młode pokolenie oraz społeczność lokalną, w której im przyszło mieszkać i pracować. Wojciech i Katarzyna Szatkowie zajmowali się nie tylko edukowaniem naszych pradiadków, lecz także dokładali wielu starań, aby ulżyć w codziennym życiu ówczesnym mieszkańcom Staszkówki. Wprowadzali nowe sposoby gospodarowania i aktywizowali społeczność lokalną. Wszyscy mogli liczyć na ich pomoc w razie najtrudniejszych momentów, jakimi były działania wojenne i w ich konsekwencji zniszczenia. Potwierdzają to niezwykle wspomnienia i opisy zamieszczone w niniejszej publikacji. W ciekawy,

¹⁴ *Staszkówka w pierwszych latach dwudziestego wieku*, Katarzyna Szatko, Janusz Zaucha, Wydawca: Drukarnia Glinik Robert Huk (2011), ISBN: 9788361207610.

a jednocześnie osobisty sposób Autorka *Pamiętnika* przekazała nam bardzo ważne informacje o wydarzeniach, jakich była świadkiem na terenie Staszkówki na początku XX wieku. Pierwsza wojna światowa zostawiła tu do dzisiaj niezatarte ślady w postaci czterech cmentarzy wojennych jako milczących świadków tamtych wydarzeń. Każda dodatkowa informacja wzbogaca naszą wiedzę o historii, o ludziach, którzy wówczas w Staszkówce żyli i pracowali. Mimo trudnych i skomplikowanych sytuacji życiowych potrafili odnaleźć się i być wiernymi swoim zasadom. W tym kontekście nasuwa się refleksja nad rangą i pozycją kierownika szkoły – dyrektora i nauczyciela dawniej i obecnie. Współcześnie, w dobie komputerów i Internetu, wyzwania, jakie stoją przed nauczycielami, zapewne są inne, ale oczekiwania społeczne – podobne. Dzisiaj także zależy nam na tym, aby naszych uczniów jak najlepiej przygotować do odpowiedzialnego pełnienia ról społecznych w przyszłości. Wspólnie podejmujemy wiele działań mających na celu poszerzenie oferty edukacyjnej naszej szkoły i integracji społeczności szkolnej oraz lokalnej.

W ciągu stu lat zmieniały się uwarunkowania pracy nauczyciela, ale nigdy nie straciła na ważności rola, jaką pełnił i pełni w społeczeństwie. Dlatego osobowości Wojciecha i Katarzyny Szatków mogą być dla nas, nauczycieli początku XXI wieku, wzorem do naśladowania.

Dziękuję Januszowi i Jackowi Zauchom za przekazanie kopii Pamiętnika. Dziękuję ks. dr. Stanisławowi Gąsiorowi za pomoc finansową.



*Halina Łaś,
obecny dyrektor Zespołu
Szkoł im. Jana Pawła II
w Staszkówce*

Staszkówka 2011

Szkoła w Staszkówce, stan obecny (2024 r.)



Jedyne co się zachowało w dawnym mieszkaniu Szatków w Staszkówce to drzwi między kuchnią i pokojem. Na ich tle stoją: Justyna Zaucha, Halina Łaś i Jacek Zaucha



W dawnej izbie nieszkania Katarzyny i Wojciecha Szatków w Szkole w Staszkówce stoją od lewej: Stanisław Zaucha, Halina Łaś dyrektorka szkoły, Justyna Zaucha, i Jacek Zaucha



Szkoła w Staszówce, stan obecny (2024 r.). Budynek zastłonięty drzewami to dawna szkoła w której uczyli Wojciech i Katarzyna Szatko, po prawej część zbudowana w latach 2000.



Szkoła w Staszówce, w której uczyli Katarzyna i Wojciech Szatko, stan obecny (2024 r.)

WPROWADZENIE

Janusz Zaucha

Studiując pamiętnik babusi – Katarzyny Szatko – dotyczący pierwszej wojny światowej w Staszkówce, przez którą przechodził front rosyjsko-austriacki w roku 1914 i 1915, zeknąłem się z pięknym określeniem „nasi staszkowscy nauczyciele”. Dotyczyło to w gruncie rzeczy ludzi obcych, nie staszkowski, mianowanych przez inspektorat do staszkowskiej szkoły, by uczyć tutejsze dzieci.

Taki sposób postępowania dotyczył każdej wiejskiej szkoły. Ale małżeństwo nauczycielskie Szatków, a zwłaszcza Wojciech, w ciągu swej niemal dwudziestoletniej pracy w tej wsi zdobył taki szacunek, uznanie i – nie waham się powiedzieć – miłość wśród tamtejszej społeczności, że przetrwała ona po jego odejściu jeszcze przynajmniej dwadzieścia lat. O tym człowieku, jego charakterze, moralności, etyce, a przede wszystkim o szacunku dla przyrzeczonego słowa i obietnicy warto nieco więcej powiedzieć, aby pełniej móc zrozumieć i docenić to wszystko, co stanowiło istotny motor jego działania w czasie swej pracy w Staszkówce w ciągu dwóch pierwszych dekad XX wieku. Dlatego też pamiętnik mojej babusi, Katarzyny Szatkowej, postanowiłem poprzedzić kilkoma refleksjami związanymi z pracą dziadka Wojtusia w Staszkówce.

O szczegółach tej pracy usłyszałem wiele w latach okupacji hitlerowskiej od gospodarzy, którzy bezpośrednio współpracowali z dziadkiem jeszcze przez pierwszą wojnę światową.. Refleksje te dotyczyły także ujawnianych wyraziście w tamtych czasach rysach jego charakteru i poglądach, mimo że niekiedy sama przedstawiona ilustracja dotyczyła już późniejszego okresu. Ponieważ autorzy obu tych wspomnień są różni, przeto należy zwrócić uwagę na to, że w drugiej części tych wspomnień Wojciech Szatko i jego dzieci: Dziunia, Adam i Zosia będą nazywani mężem i dziećmi, zaś ci sami ludzie w pierwszej części odpowiednio: dziadziusem, mamą, wujkiem, ciocią i babusią.

Dziadziusiowie Wojciech i Katarzyna, z domu Kocoł, Szatkowie pochodzili spod Tarnowa, z parafii Lisia Góra: on ze wsi Lisia Góra, w której jego ojciec miał gospodarstwo rolne i w której przez szereg lat był sołtysem, a ona z Pawężowa – wsi należącej do tej samej parafii. Oboje po ukończeniu szkoły powszechnej uczyli się dalej w Tarnowie: on w seminarium nauczycielskim, które ukończył w 1898 roku, a babusia w ośmioletniej szkole wydziałowej, którą ukończyła z wynikiem celującym. Dziadziuś – urodzony w 1877 roku, a zmarły w 1948 – od początku pragnął być nauczycielem i rzeczywiście przez trzydzieści pięć lat pracował w tym zawodzie, początkowo w szkołach położonych niedaleko Nowego Sącza, od 1902 roku w Staszkówce koło Gorlic, a następnie w Gorlicach. Babusia początkowo pracowała w kółkach rolniczych w Nowym Sączu jako kasjerka. Ponieważ spotykała się często z dezaprobatą wielu kobiet, nieprzyzwyczajonych do tego rodzaju pracy, po krótkim przeszkoleniu została zatrudniona jako nauczycielka i od 1902 roku pracowała w Staszkówce razem ze swoim mężem. Jej talent pedagogiczny ujawnił się dopiero w całej pełni w czasie pracy w szkole powszechnej w Gorlicach w latach dwudziestych i trzydziestych, kiedy to wdrażano nowe metody nauczania w szkołach. Lekcje babusi były często uznawane przez inspektorów szkolnych jako wzorowe i jako takie były pokazowymi dla innych nauczycieli.

NASZ STASZKOWSKI NAUCZYCIEL – WOJCIECH SZATKO

Janusz Zaucha

Dziadziusia Wojtusia już dobrze pamiętam z tego okresu, kiedy jeszcze nie chodziłem do szkoły i przebywałem u dziadziusiów w Gorlicach. Był zawsze bardzo poważny, stale smutny, mało mówny, rzadko przebywający w domu, stale pracujący w ogródku. Już wówczas wszyscy uważali dziadziusia za człowieka starego, za kogoś, kto został jakby wymieciony z domu do ogrodu. A nie miał on jeszcze sześćdziesięciu lat. Wstawał zwykle o czwartej lub piątej rano, jadł na śniadanie tradycyjny żur z mąki owsianej i wychodził do ogrodu, który opuszczał tylko na krótką przerwę obiadową. Rzadko zabierał głos w jakichkolwiek sprawach, zdając całe gospodarstwo rodzinne na ręce swej żony Katarzyny. A ona, a zwłaszcza jej córka Zosia, dobrze znały się przede wszystkim na aktualnej modzie i stale sprawiały sobie coś nowego ku przerażeniu dziadka, który zdawał sobie sprawę z tego, że te wszelkie nowości wiążą się z zaciąganiem długów.



Wojciech Szatko



*Zjazd absolwentów seminarium nauczycielskiego w 20 rocznicę matury
w 1928 r., Wojciech Szatko siedzi pierwszy z prawej*



Zjazd absolwentów seminarium nauczycielskiego w 40 rocznicę matury w 1938 r., Wojciech Szatko siedzi pierwszy od lewej

Byłem raz świadkiem takiego oto zdarzenia. Przez okno pokoju, już po obiedzie, dziadziś dostrzegł kupców Litmanów – właścicieli bogatego, żydowskiego sklepu położonego w rynku gorlickim. Prowadzili oni damską konfekcję, ubiory, galanterię – słowem wszystko na użytek modnych niewiast. Kiedy dziadziś, patrząc nadal, nagle zorientował się, że oboje Litmanowie zmierzają do naszego domu, przeraził się, że idą oni po to, aby upomnieć się o ratę, której babusia być może nie zapłaciła w tym miesiącu. Zdążył jeszcze zapytać, czy jesteśmy im coś winni. Otrzymał od babusi potwierdzenie, że sporo zalegamy, gdyż niedawno została zakupiona dla Zosi jakaś modna kreacja. Przerażony dziadziś nie mógł uciec niepostrzeżenie z domu, więc zniknął przynajmniej z pokoju jadalnego, do którego zaproszeni zostali właściciele sklepu. Wkrótce okazało się, że przyszli oni specjalnie do babusi, by powiedzieć, że w Krakowie pojawił się po raz pierwszy w Polsce srebrny lis i że panna Zosia powinna mieć takiego właśnie lisa. „Zresztą niech pani sama, własnymi oczami

popatrzy na to nowe cudo”, rzekł pan Litman i wyłożył na stół wspinały kołnierz ze srebrnego lisa. Babusi aż oczy zabłyśły, lecz szybko się zreflektowała i odrzekła, że wprawdzie jest piękny, ale jeszcze ostatnie zakupy nie zostały spłacone, więc o nowych nie można nawet marzyć. Pan Litman uśmiechnął się serdecznie i rzekł: „A czy ja przychodzę, aby pani lub pani Zosia robiła zakupy? Ja tylko pragnę, by pani

Zosia nosiła pierwszego srebrnego lisa w Gorlicach. A co do zapłaty, to o tym proszę nawet nie myśleć, bo mnie, a przed wszystkim żonie wstyd będzie, że pani może myśleć, że ją namawiam na nowy wydatek. Wcale nie”. Okazało się, że państwo Litmanowie przynieśli także drugiego lisa, nie srebrnego, lecz srebrzystego, gdyż przecież matka nie może być gorsza od córki. Rozmowa zakończyła się uroczystym stwierdzeniem, że o pieniądzach to nawet mowy być nie może, choć w rzeczywistości lisy te do tanich nie należą, ale dla nich jako kupców ubranie się ich najważniejszych klientów w Gorlicach w te lisy będzie stanowić największą reklamę tej nowości. „Inni pójdą za panią i pani córką”. W taki to sposób z mnóstwem jeszcze grzeczności państwo Litmanowie, żegnając się serdecznie, pozostawili oba lisy u babusi. Po ochłonięciu babusia przymierzyła oba lisy przed lustrem – były



Zofia Szatkówna, studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego 1933–39 r.

rzeczywiście wspaniałe. Chciała je pokazać dziadziusiowi, lecz on zniknął, przepadł z kretelem. Zaczęto szukać go w całym domu. Zniknął jak kamfora, a przecież nigdzie nie wyszedł. Wreszcie Nana – moja piastunka – wszedłszy do sypialni, zobaczyła, że mimo iż łóżka były równo zasłane, to jednak na jednym z nich brakowało ozdobnych poduszek. Zerwała więc kapę i pierzynę, pod którą skrył się dziadek przed potencjalnymi wierzycielami. Dopiero babusia uspokoiła go, że państwo Litmanowie nie tylko nie przyszli upomnieć się o pieniądze, lecz także pozostawili dwa piękne lisy do ewentualnego kupna. Dziadzius spojrzał na swą żonę prawie półprzymkniętymi oczami i powiedział: „Mamuś, ty się opamiętaj, takie lisy to kilkaset złotych, a my jeszcze ostatnich zakupów nie spłaciлиśmy. Chyba więc nie zdecydujesz się na taki zbytek”. „Może masz i rację, ale Zosia pięknie by w tym wyglądała i byłaby pierwszą damą w Gorlicach w takim srebrnym lisie”, odpowiedziała. Dziadzius nic się nie odezwał, tylko szybko się ubrał i zniknął w ogródku.

Dziadzius, kiedy przeszedł na emeryturę, miał zaledwie pięćdziesiąt siedem lat, a wszyscy znajomi uważali go za zupełnie starego człowieka, z czym on sam jakby się zupełnie zgadzał, jakby uważał ten osąd za w pełni zasłużony. I chyba w pewnym stopniu było to uzasadnione. Tę postawę psychiczną potwierdza choćby taki następujący fakt. Otóż kiedy tylko zaczynały się wakacje szkolne, zarówno ja, jak i mój braciszek niemal w dniu rozdania świadectw jechaliśmy do dziadziusia na wakacje, bo tylko tam były one w rzeczywistości przez nas uznawane. Tylko tam bowiem można było dowolnie biegać, a takiego kółka, które można było popędzać do szybkiego toczenia się zarówno przez pobijanie kijem, jak i specjalnie zmyślnie wygiętym haczykiem, to nigdzie poza Gorlicami nie było. Tam wreszcie u stóp wysoczyzny – Magdaleny – w głębokiej dolinie wiała się wspaniała, czysta rzeka

Ropa, w której kąpiele należały do najważniejszych atrakcji wakacyjnych. Babusia często wyganiała dziadka z wnukami nad Ropę, chociaż dziadzius miał zawsze liczne opory i kłopoty, aby pójść z nami nad rzekę. W końcu ulegał naszym prośbom i szedł. A po drodze spotykała nas wspaniała atrakcja. Aby dostać się od strony Magdaleny, w pobliżu której wówczas mieszkaliśmy, do rzeki, trzeba było pokonać wysoki klif porośnięty wprawdzie trawą, ale dosyć stromy. My kładliśmy się po prostu na bok i jak bałwanki staczaliśmy się w dół. Dziadzius wolno schodził stromizną, zawsze narzekając na tę drogę. Pewnego razu, a było to w czasie wakacji w 1935 roku, poślizgnął się i stoczył, podobnie jak my, na sam dół. Jaką mieliśmy uciechę, ile radości – lecz nagle zobaczyliśmy minę dźwigającego się z upadku dziadziusia. Wyczytaliśmy na niej przerażenie, pełną dezaprobatę, słowem totalne niezadowolenie. Dziadzius obmacał się dokładnie, odetchnął głęboko i wolno poszedł z nami nad rzekę – niby jak zwykle. Ale wyraźnie odczuliśmy, że stało się coś bardzo ważnego i niezwykłego. Faktycznie, dziadzius po powrocie oświadczył, że ten jego wypad nad Ropę był ostatnim w jego życiu, bo on się do niczego już nie nadaje.

I rzeczywiście dotrzymał słowa w stu procentach. Od tego czasu chodziliśmy nad Ropę tylko z wujkiem, jeśli przebywał on w tym czasie w domu, czasem z ciocią, co jednak należało do rzadkości.

I jeszcze jeden rys charakteru mojego dziadka. Otóż kiedy dziadziusiowie przenieśli się do Gorlic ze Staszkówki, w której dziadzius razem z babcią byli nauczycielami w tamtejszej czteroklasowej szkole powszechnej, inspektor szkolny początkowo nie mógł dziadziusiowi zaoferować kierownictwa żadnej ze szkół podstawowych, gdyż wszystkie stanowiska były już zajęte. Jednak niebawem zwolniło się miejsce i dziadzius otrzymał nominację na kierownika męskiej szkoły powszechnej. Szkolnictwo w latach dwudziestych

i trzydziestych podlegało licznym reformom. Dotyczyły one programów szkolnych, metod nauczania, organizacji szkół, a także i samych nauczycieli, których zachęcano w różny sposób do uzupełniania swego wykształcenia poprzez podejmowanie zaocznych, specjalistycznych studiów, tak zwanych SN (studium nauczycielskie) na wybranym uniwersytecie. Łączyło się to jednak z dużym nakładem własnej pracy. Babusia namawiała dziadka do podjęcia wysiłku w celu uzyskania studium nauczycielskiego, jednak dziadzius nie palił się do dodatkowych studiów, marząc w duchu o emeryturze, tak że nigdy ich nie uzupełnił. Kiedy więc w pewnym roku zreorganizowano męską szkołę w Gorlicach, scalając dwie szkoły, wówczas ogłoszono konkurs na kierownika. Dziadzius jako wieloletni nauczyciel, z długim już stażem, miał największe szanse uzyskać to stanowisko, tym bardziej że niemal wszyscy nauczyciele popierali jego kandydaturę. W czasie trwania tego konkursu zgłosił się na rozmowę z dziadziusem stosunkowo młody nauczyciel, niejaki pan Pachulski, o niezbyt długim stażu, który tak powiedział dziadziusiowi: „Czy nie sądzi pan, że to zakrawa na duży wstyd, że w obecnym czasie o stanowisko kierownika szkoły ubiega się nauczyciel bez właściwych kwalifikacji? Przecież pan nie ma studium nauczycielskiego, więc to będzie wstyd dla całych Gorlic, gdyby pan otrzymał nominację na to stanowisko, a nie ktoś właściwy. Radzę panu wycofać się samemu z tego konkursu, a będzie to najlepszym, honorowym wyjściem w pana sytuacji”. I cóż, jak przypuszczać, uczynił dziadzius? Jeszcze tego samego dnia napisał rezygnację i przesłał ją inspektorowi szkolnemu. Babusia nie mogła tej decyzji nigdy do końca zrozumieć. Ten dziwny brak wiary w siebie, ten kompleks niższości mego dziadziusia zaczął mi się powoli wyjaśniać dopiero wówczas, kiedy babcia na początku okupacji hitlerowskiej zaproponowała mi, żebym pojechał na rowerze do Staszkówki i tam odwiedził dobrych jej znajomych – rodzinę Szczerbów – i powiedział

im, w jakich obecnie warunkach żyją ich dawni nauczyciele, którzy spędzili w tej wsi niemal dwadzieścia lat na posadzie nauczycielskiej.

Pojechałem do Staszkówki z wyraźnym niepokojem. Myślałem sobie: „Któż może po dwudziestu latach pamiętać kogoś, kto pracował w tej wsi i przeniósł się potem z własnej woli do miasta. A jednak myliłem się i to myliłem się gruntownie, gdyż wielu gospodarzy bardzo dobrze pamiętało rodzinę Szatków, a zwłaszcza młodego, pełnego życia, niepospolitej energii i pomysłowości nauczyciela, który sam pochodząc ze wsi, znał na wylot jej problemy i który postawił sobie za cel życia zreformować życie na tej wsi, wprowadzić postęp techniczny i uczynić osadę bogatszą zarówno kulturalnie, jak i materialnie.

Pracę młodzi państwo Szatkowie, Wojciech i Katarzyna, rozpoczęli na tej wsi w 1902 roku w nowej, niedawno zbudowanej szkole. Do szkoły należał też wcale niemały kawałek ziemi ornej i łąka, słowem coś, co mogło być podstawą wzorcowego gospodarstwa rolnego. Wojciech w lot zrozumiał, że tylko przykład może być jedynym argumentem przekonującym, że postęp techniczny na wsi jest możliwy. Pierwszą akcją było sprowadzenie do Staszkówki wielu szlachetnych odmian drzew owocowych. Wojciech założył piękny i nowoczesny sad wokół szkoły. Wkrótce co światlejsi chłopcy zaczęli przychodzić do szkoły i obserwować, a następnie pytać i dyskutować na temat rodzajów, gatunków drzew owocowych, które w konkretnych warunkach klimatycznych i glebowych zapewniają najlepsze plony. Dziadziuś nie tylko wszystko pokazywał, ale szedł do poszczególnych gospodarzy, wybierał miejsce pod sady, doradzał rodzaje gatunków drzew, służył adresami szkółek owocowych, słowem był duszą uczynienia ze Staszkówki jednego dorodnego sadu owocowego.

W ciągu paru lat dotychczas nagie chałupy skryły się w liściu dobrych drzew owocowych: wiśni, jabłoni i śliw.

Zachęcony dobrą współpracą z coraz większą liczbą gospodarzy przystąpił dziadzius do największego dzieła w swym życiu – do mechanizacji wsi, zastąpienia najcięższych prac polowych wykonywanych do tego czasu ręcznie pracą mechaniczną. Energią wykorzystywaną w tym celu miały być konie, gdyż oczywiście prądu elektrycznego nie było jeszcze we wsi przez następne pięćdziesiąt lat. Sierp jako ręczne narzędzie do koszenia zboża zniknęło zupełnie, a na to miejsce pojawiła się coraz to bardziej unowocześniana kosa. Celem ostatecznym było jednak wprowadzenie narzędzi do obróbki gleby i zbierania plonów, jak np. kosiarki napędzane siłą mięśni koni. Na pierwszy ogień poszły młockarnie, sieczkarnie, a także młynki do mielenia zboża na mąkę. Podstawowym urządzeniem napędowym tych maszyn był tak zwany kierat. Istotą tego urządzenia był zestaw kół zębatach, które zamieniały ruch pociągowy konia obracającego kierat dookoła osi w ruch obrotowy dużego koła napędowego (zamaczowego), które poprzez transmisję pasową uruchamiało poszczególne urządzenia współpracujące z tym kołem. Sam osobiście widziałem niektóre z tych oryginalnych kieratów sprowadzanych przez dziadziusia z Czech i Austrii, które po ponad dwudziestu latach pracy funkcjonowały nadal bez zarzutu, dostarczając gospodarzom mąkę – i to wcale niezłej jakości – młóciły zboże, oddzielały plewy od ziaren i które wreszcie przygotowywały sieczkę jako paszę dla krów. Nikt w owym czasie nie słyszał o kolektywizacji, a przecież dzięki dziadziusiowi poszczególni gospodarze łączyli się w zespoły, których wszystkie formalne i finansowe sprawy załatwiał osobiście z producentem dziadzius. Następnie gospodarz, który miał największy udział w tym przedsięwzięciu spłacał stopniowo innych udziałowców, aż urządzenie stawało się jego własnością.

Po zrealizowaniu zakupów specjaliści wysłani przez producentów instalowali urządzenie w wybranym gospodarstwie

i czuwali nad ich właściwym rozruchem. Resztę spraw formalno-rachunkowych załatwiał dziadzius, który wkrótce takim cieszył się zaufaniem u producentów, że niektóre urządzenia przywozili oni na próbę na wieś i dopiero po roku trzeba było podejmować decyzję odnośnie ich zakupu. Również gospodarze obdarowywali dziadka ogromnym zaufaniem godząc się z góry na takie warunki spłat i kredytowania, jakie dziadek wynegocjował z producentem. W ciągu kilku lat Staszkówka ze wsi o samowystarczalnej gospodarce w tym najprymitywniejszym znaczeniu przeobraziła się w wieś bardziej postępową, a więc bogatszą.

Jeszcze o jednej ogólnowiejskiej akcji dziadziusia warto szerzej wspomnieć. Otóż w tym czasie w Staszówce stroje wiejskie były szyte ręcznie – maszyn krawieckich nie znano. Dziadzius postanowił przełamać nieufność wiejskich kobiet do posługiwania się w szyciu maszyną. W tym celu dziadzius sprowadził instruktora, który na specjalnych pokazowych spotkaniach przekazywał wiedzę na temat kroju i szycia tym niewiastom, które były najbardziej utalentowane w tej dziedzinie. Ukoronowaniem tej działalności trwającej w sumie kilka lat było sprowadzenie przez dziadziusia do Staszówki kilkunastu nowoczesnych maszyn do szycia wprost z firmy Singer w Wiedniu. Wraz z maszynami producent zorganizował na swój koszt przeszkolenie kilku młodych niewiast w zakresie projektowania ubrań i ich szycia przy użyciu najnowocześniejszych w tym czasie maszyn Singera. Jak dobre były te maszyny niechaj świadczy fakt, że kilka z tych maszyn w tamtym czasie sprowadzonych przez dziadka jeszcze w latach czterdziestych znakomicie funkcjonowało i żadna z używających je niewiast nie skarżyła się na złą ich jakość. O nowoczesności ich świadczyło to, że główki maszyn były chowane w specjalne szafki, że miały bębrenki pionowo zakładane – słowem były udanym owocem ówczesnej technologii. Firma w zakresie konstrukcji

i doboru materiałów kierowała się zasadą, aby zapewnić tym maszynom najdłuższą żywotność. I sędzę, że rezultat ten osiągnęła w znakomitym zakresie.

Z przytoczonych faktów wynika, że Wojciech Szatko był wyjątkowo aktywnym człowiekiem, pełnym energii, który lubił swoją wiedzę i doświadczeniem dzielić się ze wszystkimi, którzy swe życie chciał wykorzystać w celu ulżenia pracy innym w wyniku wdrażania postępu technologicznego tam wszędzie, gdzie rzeczywiście służył on ludziom i gdzie go ludzie w pełni akceptowali. Działalność Wojciecha w Staszówce przerwała pierwsza wojna światowa, ale wszystko wskazywało na to, że po jej zakończeniu powróci znowu do pracy na wsi i dla wsi, dla dobra jej obywateli. Tymczasem życie rodzinne brutalnie postawiło swoje nieubłagane weto.

Starsza córka Dziunia po zakończeniu wojny chodziła do gimnazjum w Tarnowie. Również syn Adam zaczął uczęszczać do tego samego gimnazjum, mieszkając ze swą siostrą na tej samej stancji. O ile jednak Dziunia uczyła się znakomicie, to Adamowi roily się w głowie różne rzeczy – o nauce nawet nie myślał. Pewnego razu, jako czternastoletni chłopiec pobiegł do komendy wojskowej, która werbowała ochotników do obrony Lwowa, i prosił, aby go przyjęto do wojska na jakiegokolwiek stanowisko. Oficer spojrzał na niego poważnie i pokazując mu wiszący obraz białego orła, rzekł: „Czy ty wiesz, co przedstawia ten obraz?”. Adam wyrecytował: „To biały orzeł – godło Polski”. „A ty kim jesteś?”. „Jestem Polak mały”. „Więc na razie ucz się i pamiętaj, że całe swe życie masz poświęcić temu orłowi, bo on oznacza wszystko: Ojczyznę i Polskę, dom twój i szkołę. Polska potrzebować będzie już wkrótce mądrych ludzi, więc wracaj i ucz się, a inni obronią naszą ukochaną, odrodzoną Ojczyznę”. Adaś wrócił do domu, lecz słów tych nie wziął zbyt na serio do serca i nauka szła mu coraz bardziej opornie. Pewnego razu Dziunia, jego siostra, tłumaczyła mu jakąś kwestię szkolną z całym zaangażowaniem,

wkładając w to wszystkie swoje siły i całe serce. Powtórzyła wszystko jeszcze raz i nagle zorientowała się, że Adam po prostu nie słucha tego, co mu mówi, gdyż jego myśli krążą zupełnie gdzie indziej. Krzyknęła więc z całą mocą: „Powtórz, co ci teraz powiedziałam”. Adam odrzekł szczerze: „Nie mogę, bo nie słuchałem”. W odruchu wściekłości Dziunia tak machnęła piórem, które trzymała w ręku, że wbiła mu stalówkę w policzek. Adam przeląkł się i zaczął krzyczeć więcej ze strachu niż z bólu: „Ona mnie zabije”. Pani ze stacji pospieszyła Adamowi z pomocą, wyjęła stalówkę z twarzy Adama, opatrzyła go i powiedziała, żeby Dziunia więcej swego brata nie uczyła. W rezultacie ten rok szkolny zakończył się dwóją na świadectwie Adama. Ten właśnie incydent ostatecznie zadecydował o tym, że babusia definitywnie postanowiła opuścić Staszkówkę i przenieść się do Gorlic, gdzie jej dzieci mogłyby już pod jej opieką uczęszczać do gimnazjum. Dziadzius i Marysia – Nana – opuszczali Staszkówkę z bolesnym skurczem serca, rozumiejąc jakby podświadomie, że zostali wyrwani z dobrej, urodzajnej ziemi i przesadzeni do gruntu skalistego, jałowego, gdzie przyjąć im się będzie trudno, a zwłaszcza gdzie już nigdy nie odnajdą utraconego na zawsze celu, gdzie już nigdy nie będą rzeczywiście szczęśliwi.

Kiedy więc zupełnie niespodziewanie po rozmowach ze światłymi gospodarzami staszkowskimi odsłoniła mi się zupełnie inna strona charakteru dziadka – pełna życia, werwy i optymizmu – pewnego dnia, korzystając z lepszego humoru starzejącego się dziadziusia, zapytałem go, jaki moment w swym życiu zaliczyłby on do najszcześniejszych. Popatrzył na mnie z zadumą i rzekł: „A chcesz poznać całą prawdę? To ci powiem”.



Adam Szatko, uczeń, 1913 r.



*Adam Szatko na ćwiczeniach
wojskowych, 1927 r.*



Adam Szatko, podchorąży, 1929 r.

Wojciech Szatko w relacji Janusza Zauchy

Dzień ten był zupełnie wyjątkowy. Była to już wczesna jesień. Udało mi się po wielu trudach zakupić w dobrej firmie austriackiej (a może czeskiej) pierwszy kierat dla zespołu gospodarzy staszkowych. Kierat ten został przez specjalistów z tamtejszych zakładów zamontowany na podwórzu i miał być wypróbowany jako napęd mechaniczny do częściowo zakupionej, a częściowo wypożyczonej z firmy młockarni. Wszyscy z ogromnym zainteresowaniem, wręcz z nabożeństwem oglądali w stodole ogromne koło zamachowe kieratu będące kołem napędowym układu transmisji pasowych, które miały przenosić ruch koła zamachowego o średnicy niemal dwóch metrów na koło napędowe młockarni. Mało kto rozumiał, a nawet wierzył w to, że takie jakieś dziwne pasy, koła i potężna skrzynia – młockarnia – mogłaby zastąpić pracę dobrej, zgranej ekipy młockarskiej. Ale wszystko do próby było przygotowane. Konie przybrane wstęgami stały przy dyszlu kieratu, zboże w luźnych snopkach leżało przed maszyną młockarnią, dwaj Niemiec majstrowie czekali na sygnał rozpoczęcia próby. Wreszcie nadszedł ksiądz. Odmówił modlitwę, poświęcił kierat, koło zamachowe, transmisję i samą młockarnię. Dałem upragniony sygnał, sam mając serce ściśnięte pod samym gardłem. Konie wolno ruszyły. Koło zamachowe zaczęło się kręcić i poruszać tak zwane wolne koło przy młockarni. Kiedy już ruch koła zamachowego osiągnął właściwą prędkość, jeden z majstrów niemieckich specjalnymi widelkami przerzucił pas transmisyjny z wolnego koła na koło napędowe młockarni. Maszyna z grzmotem zaczęła pracować. W środku jej zaczął się obracać potężny bęben z dużą liczbą kłoców. W tym momencie drugi mistrz niemiecki popchnął ku maszynie pierwszą porcję zboża przygotowanego do młócki. Maszyna pochłonęła ją z hukiem i zgrzytem, a wkrótce wyrzuciła słomę i plewy w postaci potężnego słupa powietrza daleko poza maszynę z drugiej jej strony.

Ku pełnemu zdziwieniu wszystkich z boku maszyny zaczynały wysypywać się piękne, złociste ziarna pszeniczne wprost do podstawionej kobiałki. Mistrz niemiecki podsunął maszynie następną porcję zboża, którą młockarnia wchłonęła w siebie i niebawem wyrzuciła na zewnątrz. Teraz ja sam podsunąłem młockarni wiązkę zboża i tylko znowu huk i łomot towarzyszył tej czynności, a strumień złotych ziaren zasilił kobiałkę. W końcu sami gospodarze zaczęli obsługiwać młockarnię, aż wkrótce z kupy przygotowanego zboża nic nie zostało. Wówczas majster przerzucił pas transmisyjny na wolne koło i młockarnia stanęła.

Co to było za święto, jak się wszyscy cieszyli, tego wprost opisać nie było można. Początkowo sceptyczni gospodarze oświadczyli, że młockarni za żadną cenę już nie oddadzą. Na końcu jeden stary gospodarz tak powiedział: „A czy wy wszyscy wiecie komu zawdzięczamy, że już od tej pory zniknie u nas zmora ręcznej młócki cepami? To wszystko uczynił dla nas nasz kochany nauczyciel, który nie tylko uczy nasze dzieci, ale przede wszystkim nas starych. Niech nam on żyje jeszcze wiele, wiele lat i czyni naszą pracę z dnia na dzień coraz lżejszą. Na zdrowie!”

Wzruszony tym opowiadaniem rzekłem: „Dziękuję ci, dziadziusiu, za to zwierzenie, gdyż dopiero teraz zrozumiałem, co rzeczywiście w życiu ma prawdziwe znaczenie dla człowieka i czemu warto poświęcić swoje życie. Dzięki tobie zrozumiałem także, co znaczy określenie: „To byli NASI STASZKOWSCY NAUCZYCIELE, których nigdy zapomnieć nie wolno i z którymi chciało się żyć na dołę i niedolę, na dobre i na złe”.

Po wielu, wielu dalszych latach, już po śmierci dziadka zapytałem raz babci, dożywającej osiemdziesiątego piątego roku życia i od niemal dwudziestu lat będącej wdową, jaki jest jej rzeczywisty stosunek do roli miłości w życiu człowieka.

Czy można przeżyć dobrze życie bez wzruszeń miłosnych, bez tego wszystkiego, co do rangi bezwzględnej konieczności podnosił zwłaszcza poeci i pisarze romantyczni? Babcia z wielką prostotą odpowiedziała mi, że ona przeżyła życie bez uniesień i wzruszeń miłosnych i nie czuje się przez los ani pokrzywdzona, ani tym bardziej upokorzona, chociaż niewątpliwie, zwłaszcza dla kobiety, uczucie to jest nader ważne i może być twórcze i pomocne w życiu.

„Ale kochana babciu – powiedziałem – przecież byłaś ładną dziewczyną, miałaś powodzenie, zwłaszcza u studentów, których pełen był dom twojego kochanego wuja Józefa. Tymczasem wyszłaś za mąż za człowieka niepozornego, który nie wyróżniał się ani intelektem, ani urodą”. Babcia tak mi odpowiedziała:

Katarzyna Szatko w relacji Janusza Zauchy

Otóż było to tak. Faktycznie, miałam powodzenie, ale adoratorzy moi woleliby widzieć mnie w swych ramionach jako kochankę, a nie nosić w swej duszy mego obrazu jako uosobienie swych platonicznych tylko marzeń, jako wspańskiego celu w swoim życiu. Intuicyjnie czułam, że żaden z nich przez całe życie nie dotrzymałby mi swego towarzysztwa w dobrej i złej doli. Tymczasem Wojtuś był rzeczywiście zakochany i to w taki sposób, jaki wydawał mi się najlepszy i najpiękniejszy. Mój obraz nosił stale w swej duszy, modlił się do mnie. Swemu spowiednikowi powiedział, że jest tak zakochany, że się zatraci, jeśli tej dziewczyny nie poślubi. Mądry i doświadczony ksiądz dał mu taką radę: „Bądź stale jej opiekunem, chroń ją przed deszczem i słońcem, podawaj jej płaszcz na każdej zabawie, dbaj o nią jak najszybciej, staraj się zgadywać jej myśli i bądź cierpliwy”. Wojtuś od tego czasu towarzyszył stale swej Kasi. Był zawsze do jej dyspozycji. Studenci

zmieniali się często – on był wierny. Bez słowa usługiwał mi we wszystkim. I tak upłynęły nam razem niemal trzy lata.

W pewnym dniu uświadomiłam sobie, że jest mi dobrze z nim, że on wcale, wcale jest przystojnym, że nikt do tego czasu tak się o mnie nie troszczył. A że organizm coraz mocniej upominał się o swoje, a żadnego księcia nie było na horyzoncie, w pewnym dniu podjęłam decyzję. Rzekłam: „Wiesz, Wojtusiu, dobrze mi z tobą, może chciałbyś do końca o mnie tak dbać, jak obecnie?”. Wojtuś obsunął się na oba kolana i złożył na mych obu dłoniach serdeczny, długi pocałunek. W taki oto sposób zostałam wkrótce mężatką, a inspektor szkolny zaproponował świeżo upieczonemu małżeństwu nauczycielskiemu posadę w nowej, czteroklasowej szkole w Staszówce. W szkole tej po drugiej stronie domu znajdowało się przygotowane mieszkanie dla rodziny nauczycielskiej. I tak to rozpoczął się mój nowy etap drogi życiowej, zakończony przeniesieniem ze względów rodzinnych do Gorlic. Mimo tego że zdawałam sobie dobrze sprawę z trudności jakie piętrzyć się będą na tej nowej drodze, począwszy od problemu braku mieszkania, po trudności, wynikające z szalejącej inflacji i wielu, wielu innych.

Po tej krótkiej charakterystyce pracy młodych nauczycieli w Staszówce należało by tylko dodać, że w wyniku ich pracy, a zwłaszcza babci, poziom nauczania był bardzo wysoki i uczniowie z tej szkoły byli mile widziani we wszystkich gorlickich szkołach mechanicznych, rzemieślniczych, a nawet podobno i w gimnazjum.

Sama zaś babusia w międzyczasie urodziła w 1903 roku córkę Jadwigę, zwaną w rodzinie Dziunią, syna Adama w 1906 roku i córkę Zosię w 1912 roku. Do pomocy już od początku pobytu w Staszówce dziadziuś Wojtuś przywiózł z Pawężowa

młoda dziewczynę, Marysię Bogacz, która stała się w tej rodzinie z czasem pełnym jej przyjacielem, traktując jej problemy jako własne, tym bardziej że próby jej wydania za mąż spełzły na niczym, mimo że była to ładna i bardzo wesoła dziewczyna. Okazało się, że po prostu złąkała się obowiązków, jakich by musiała się podjąć, gdyż gospodarze, którzy chcieli ją poślubić, byli wprawdzie zamożni, lecz mieli stosunkowo dużo ziemi i wiele inwentarza. Dotychczasowa praca u nauczycieli, aczkolwiek wcale nielekka, w gruncie rzeczy sprowadzała się w dużej części do bawienia dzieci, a tę czynność Marysia wykonywała z dużą chęcią i zadowoleniem. Jej ulubienicą była Zosia – dziewczynka słabowita niemal od urodzenia. Zajmowała się nią z energią chyba większą niż rodzona matka. Drugim dzieckiem, za którym przepadała i którego od małego na rękach wynosiła, byłem ja, tj. Januszek, wnuk Katarzyny. Nazywałem swą opiekunkę ukochaną Naną. Innych członków rodziny traktowała znacznie bardziej surowo, dostrzegając i krytykując ich wady. Dotyczyło to szczególnie Adama, któremu zresztą słusznie zarzucała lekkomyślność, bawidamkostwo, brak pilności i wytrwałości w studiach oraz zbyt duży pociąg do napojów alkoholowych. Nie zmienia to w niczym tego, że rodzinie Szatków była oddana bez reszty i to, co dotyczyło tej rodziny, obchodziło ją w całej pełni.

We wspomnieniach tych, jak sądzę, warto podkreślić to, co mnie mocno obeszło w trakcie rozmów z gospodarzami staszkowskimi w czasie mych bytności u nich podczas okupacji. Otóż będąc pewnego razu w Staszkówce w latach czterdziestych, zetknąłem się z dziwnym dla mnie przejawem mentalności tamtejszych ludzi, w gruncie rzeczy dobrych, czułych i otwartych na potrzeby innych. Pewnego razu zauważyłem u gospodarzy mocno chore dziecko. Podawano mu jakieś herbatki ziołowe, sok i miód, a kiedy stan dziecka się pogarszał, wezwano miejscowego znachora, ale nie lekarza. Kiedy się spytałem, dlaczego nikt nie pojechał po doktora, odrzekli, że najbliższy jest aż w Gorlicach, a to daleko, a przy tym wiele

kosztuje, gdyż lekarz każe sobie drogo płacić za przybycie. Nie wytrzymałem i rzekłem: „A gdyby zachorował koń lub krowa, czy też nikt by nie pojechał po weterynarza?”. Z całą otwartością i szczerością oświadczono, że natychmiast, gdyż koń lub krowa to fundament gospodarstwa i zdechnięcie zwierzęcia może być równoznaczne z katastrofą całej rodziny. Natomiast nawet gdyby stało się nieszczęście i któreś tam z rzędu dziecko umarło, to nic by się nie stało, po prostu przybyłby jeden więcej aniołek w niebie, który by się modlił za nas. Zresztą co Bóg dał, to może wziąć – to Jego przecież dobra wola.

Opowiedziałem to wszystkim dziadziusiom, którzy przyznali sporo racji gospodarzom, dla których dziecko, a zwłaszcza chłopiec, choć jest wielkim skarbem – może być przecież pastuchem, a potem parobkiem – to jednak podstawą wszystkiego w gospodarstwie pozostaje ziemia i najważniejszy inwentarz: koń i krowa. Liczba tych zwierząt wyznaczała bogactwo, znaczenie i uznanie gospodarza w całej wsi. Dlatego dziecko ratowano tak, jak się umiało, co najwyżej proszono o radę i pomoc znachora, do konia i krowy z reguły wzywano weterynarza. Dziadziś opowiedział mi przy tym, że niejednokrotnie dobry i mądry znachor był we wsi postacią bardzo szanowaną i wysoko cenioną. Kiedy dziadziś przyjechał na początku XX wieku do staszkowskiej szkoły jako młody nauczyciel, na peryferiach tej wsi mieszkał już od lat stary człowiek o nazwisku Grzyb, który był znachorem. Nie miał ani pola, ani inwentarza, jeno małą chałupinę pod lasem, lecz żyło mu się dobrze, miał wszystko, czego potrzebował, a przy tym był szanowany i ceniony przez społeczność wiejską. Wzywany był do wszelkich ludzkich chorób, które dzielił na dwie grupy: choroby „do życia” i choroby „do śmierci”. Ważne było jednak to, że gdy dostrzegał, iż zaaplikowane przez niego środki nie skutkują, a chory ma się coraz gorzej, sam zachęcał, aby wezwać lub jechać do lekarza w mieście. Gdy jednak ktoś zachorował na chorobę „do śmierci”, wysyłał go zaraz do księdza.

Otóż pewnego razu przyjechali do Staszkówki na wakacje studenci z uniwersytetu krakowskiego – koledzy syna dziedzica dworu staszковского. Postanowili oni ośmieszyć znachora w oczach całej wsi, by w ten sposób utorować drogę do prawdziwego lekarza. Przyszli więc ubrani po wiejsku do Grzyba po poradę. Zapytali go, czy leczy on wszystkie choroby. „Oj panoczkowie – odrzekł znachor – niestety nie, tylko choroby »do życia«”. „A skąd wy wiecie, która choroba jest »do życia«, a która choroba »do śmierci«?” „Wystarczy mi spojrzeć głęboko w oczy chorego i już wiem”. „To spróbujcie na mnie – rzekł jeden ze studentów – i powiedzcie, czy możecie mi pomóc”. „A co wam dolega?” „Oj to ciężka choroba, po prostu straciłem zupełnie smak, a co powiem, to żelgam”. Spojrzał Grzyb na młodego człowieka i powiedział: „Synu mój, to ciężka choroba, ale »do życia«”. „Czy możecie mnie z niej uleczyć?”, zapytał student. Grzyb zastanowił się chwilę, popatrzył na studenta i powiedział: „Mogę spróbować. Przyjdźcie jutro tuż przed zachodem słońca, nic nie jedząc ani pijąc od południa”.

Na drugi dzień przed wieczorem obaj studenci przyszli do znachora i zapytali, czy ma przygotowane lekarstwo. Grzyb kiwnął głową i zapytał: „A żegnać się umiecie?”. „Oczywiście”. „A więc wolno obejśćcie moją chałupę dokoła i przy każdym węglu przeżegnajcie się, trzymając lekarstwo w drugiej ręce. Jak obejdziecie chałupę, spójrzcie na zachodzące słońce i wówczas weźmijcie lekarstwo do gęby i wolno je pożujcie. Czy zrozumieliście wszystko?” Rozbawieni, ale i zaciekawieni studenci wzięli przygotowane spore kulki do jednej ręki i zaczęli obchód chałupy z żegnaniem się. Grzyb pilnie obserwował, czy wszystko robią tak, jak im nakazał. Wreszcie zwrócili się do słońca i popatrzywszy na nie przez chwilę, wzięli lecznicze kulki do ust i zaczęli je żuć. Nagle jeden, a potem drugi z oburzeniem i ze wstrętem krzyknęli: „Toż to przecież żywe gówno!”. „A widzicie panoczki – odrzekł wolno i uroczyście Grzyb – i smak się znalazł i nie żelgaliście. Bądźcie zdrowi!”.

Skonfundowani pobiegli do dworu i już więcej akcji oświatowych na wsi nie przeprowadzali, a Grzyb cieszył się do swej śmierci u wszystkich dużym szacunkiem tak na dworze, jak i w szkole, na plebanii i w całej wsi.

Minęła okupacja – czas sponiewierania psychicznego, lęku, strachu, głodu i bezprawia. Nastął rok 1948. Dziadziusiowie mieszkali nadal w willi państwa Karpińskich, chociaż już nie w tym samym mieszkaniu. W wyniku bowiem zarządzenia nowych władz polskich musieli oni opuścić dotychczasowe mieszkanie na piętrze i przenieść się na gorsze, mniejsze, leżące właściwie w suterenie. Zgodnie z dekretem tych władz właściciele własnych domów zostali usunięci z mieszkań służbowych, które przed laty otrzymali od Fabryki Maszyn i Narzędzi Wiertniczych w Gliniku Mariampolskim, jeśli w międzyczasie, pracując w fabryce, wybudowali sobie własny dom, lecz wynajmowali go, aby w ten łatwy i bezbolesny sposób móc z najmu spłacić kredyt bankowy zaciągnięty na budowę. Nowe władze, oferując jedno małe i mizerne mieszkanie zastępcze, nakazywały właścicielowi lub któremuś z lokatorów przenieść się do niego, by zwolnić dotychczasowe mieszkanie fabryczne. Nikomu z lokatorów nie przyszło nawet do głowy, by właściciel mógł nie zająć najlepszego mieszkania we własnym domu. A więc jedna z rodzin lokatorskich musiała opuścić mieszkanie. W tych więc okolicznościach górę willi przekazano właścicielom, a dziadziusiowie przeszli na znacznie gorsze mieszkanie w suterenie, zaś dotychczasowi jej mieszkańcy, państwo Gnatowie, zgodzili się na mieszkanie wskazane przez urząd kwaterunkowy.

Dziadziusiowie robili jednak stałe wysiłki, aby uzyskać lepsze mieszkanie. I oto właśnie w połowie roku 1948 właścicielka kamienicy na ulicy Zamkowej – pani Muszyńska, powiadomiła dziadziusia, że zwalnia się u nich mieszkanie, w którym przed kilkunastu laty dziadziusiowie mieszkali. Dodała jednak, że trzeba w nowych czasach otrzymać na nie przydział kwaterunkowy w urzędzie miejskim – sama zgoda

właściciela domu już nie wystarcza. Dziadziś napisał podanie, zaniósł je do urzędu i po kilkunastu dniach otrzymał przydział na to mieszkanie. Dziadziusiowie przystąpili bezwzględnie do przeprowadzki, pakowania się i innych związanych z tym przygotowań. Aż tu nagle przyszło z urzędu pismo, że przydział został cofnięty, ponieważ mieszkanie to zostało przydzielone nauczycielowi w służbie czynnej, który kiedy otrzyma w późniejszym terminie nowe mieszkanie i przeprowadzi się do niego, wówczas dopiero dziadziusiowie będą mogli ponownie starać się o przydział mieszkania, na które niniejszym pismem przydział cofnięto. Dziadziś czytał i czytał, i przez dłuższy czas nie mógł niczego zrozumieć. „Jak to jest – mówił – przecież to ja otrzymałem przydział, mnie dano słowo, mnie przyrzeczono to mieszkanie i nagle wszystko zmieniono, bez uzasadnienia, bez wezwania mnie, bez rozmowy, bez wyjaśnienia. Przecież nawet psa się lepiej traktuje. A może to tylko pomyłka?” Babusia uspokajała dziadka, jak mogła i umiała. Wreszcie powiedziała: „Idź do urzędu, bo to może jest pomyłka”. Dziadziś ubrał się w najlepszy garnitur i poszedł do urzędu, do władzy, dla której miał zawsze respekt i szacunek.

W urzędzie, w którym był już przecież wielokrotnie, nawet nie zauważył, że zawieszony na ścianie orzeł – symbol narodowy – został pozbawiony korony. Był to widoczny znak nowego porządku politycznego. Za biurkiem siedział jakiś młody, zalatany człowiek, który powiedział, że o żadnej pomyłce nie ma mowy. Wyjaśnił dziadkowi tymi słowy: „Czy pan, przecież już nie taki młody, nie może zrozumieć tego, że my, nowa władza, nie mamy obecnie mieszkań, a musimy dbać o oświatę? Zatrudnienie więc nauczyciela i danie mu mieszkania uważamy za sprawę priorytetową”. – „Ale przecież ja dostałem od was wcześniej przydział – to on obowiązuje”. „Myli się pan, gdyż obowiązuje to, co ma późniejszą datę, a przydział na to mieszkanie z późniejszą datą ma nowy nauczyciel, a nie pan”. Dziadziś odrzekł: „Czy zatem

przysiężenie władzy nic się nie liczy, czy słowo urzędnika nie ma żadnego znaczenia?”. Zirytowany urzędnik, niemal wyrzucając dziadka, powiedział: „Proszę pana, tu jest urząd, a nie filozofia. Na dysputy niech pan jedzie do Krakowa na uniwersytet, tu są Gorlice. I niech pan wreszcie wraca do domu, bo sprawa ta jest już ostatecznie załatwiona i nie ma od niej odwołania”.

Dziadziuś wrócił do domu zupełnie załamany. Zbity na kość pies lepiej by nie wyglądał. Powtarzał w kółko: „Nie rozumiem, co się stało. Mam ważny dokument, lecz on nic nie znaczy, a urzędnik mówi, że wszystko w porządku. Czyż ważne decyzje życiowe można tak od ręki zmieniać i wszystko jest nadal w porządku? To tak ma wyglądać dalsze nasze życie?”. Babusia, ja i Nana robiliśmy wszystko, co możliwe, aby ten tragiczny stan ducha dziadka jakoś poprawić i choć w części zmienić na lepszy, ale bez skutku. Szok psychiczny był potężny i objął dziadka w całości. Człowiek ten bowiem zawsze uważał, że przysiężone słowo obowiązuje, że jest święte, tym świętsze, im bardziej jest publiczne, a więc jeśli pochodzi od władzy. A to okazało się nieprawdą, pełną beznadzieją, w konsekwencji wierutnym fałszem. Wyglądało to, jakby nastąpiło potężne trzęsienie ziemi i jej zwały przygniotły nieszczęśliwego człowieka, który żadną miarą spod tych zwałów wyjść nie może.

Nastała noc. Gdzieś nad ranem rozległ się głęboki jęk. Dziadek trzymał się za brzuch i jęcząc, szeptał rozpaczliwie: „Och, jak mnie boli brzuch, dobrze, że to nie serce, choć czuję się fatalnie, coraz gorzej”. Ubrałem się błyskawicznie i pobiegłem szukać doktora. Dzwonek u lekarza Otęskiego nie działał, więc pobiegłem do pobliskiego doktora Michalskiego. Żona jego powiedziała mi, że mąż jest w szpitalu na dyżurze, może tam udzieli mi pomocy. Kiedy chciałem udać się do szpitala, moja niania dogoniła mnie i powiedziała, że już niczego nie potrzeba i na lekarza jest za późno. Dziadziuś zmarł. Na następny dzień zaproszony lekarz stwierdził

potężny, rozległy zawał serca. Powiedział, że w tym przypadku żadna pomoc lekarska na nic by się już nie zdała.

Pan Augustyn, nauczyciel i przyjaciel dziadziusiów – przemawiając nad trumną – powiedział znamienne zdanie: „Nasz kochany przyjaciel, którego dzisiaj żegnamy, jest jedną z pierwszych ofiar nowego spojrzenia na ludzkie życie i zmiany moralności, w której przyrzeczenia, dotrzymywanie zobowiązań, respektowanie podstawowych praw ludzkich coraz mniej się liczą. A tych negatywnych zmian człowiek prawdziwie wartościowy i moralny nie jest w stanie ani zrozumieć, ani tym bardziej akceptować, a czasem nawet i przeżyć”.



*Szkoła w Staszówce – rok 1929
(z kroniki Szkoły w Staszówce)*



*Budynek szkoły w Staszówce – rok 1949
(z kroniki Szkoły w Staszówce)*

PIERWSZA WOJNA ŚWIATOWA W STASZKÓWCE

Katarzyna Szatko

W roku 1914 wybuchła pierwsza wojna światowa. Rok ten zapisał się nie tylko na kartach historii Polski, ale także w sercach i pamięci całego narodu ogromnymi wydarzeniami, lecz i również wieloma tragediami pojedynczych rodzin. Pisano o nim dużo i przez wiele lat ojcowie opowiadali swoje przeżycia z tej wojny swym dzieciom, a dziadkowie wnukom. I ja chciałabym wspomnienia swoich przeżyć z tych ciężkich lat przekazać swoim wnukom i prawnukom. Chociaż bowiem jest wiele opisów tej wojny, to w każdej wiosce czy miasteczku przeżywano ją odmiennie i w innych okolicznościach, co dopiero razem wzięwszy stanowi swoistą całość.

Rok ten był dla mnie ciężki i smutny ze względów rodzinnych, bo właśnie w tym roku umarła mi kochana siostra. Powiecie może, że są jeszcze większe nieszczęścia – to prawda – ale ta siostra wyjątkowo silnie wiązała się z moją osobą. Była moją towarzyszką od lat dziecięcych i chociaż niewiele ode mnie starsza, przecież spełniała już od pierwszych lat rolę mojej opiekunki. Dawało się to jeszcze więcej odczuć w czasie

lat szkolnych, kiedy nas, małe dziewczynki, odwieziono do szkół do miasta i umieszczono na stacji u jednej pani. Odtąd zastępowała mi prawie matkę. Ten opiekuńczy stosunek do mnie przetrwał całe lata, nawet po moim zamążpójściu. Mogę śmiało powiedzieć, że prawie do swej śmierci troszczyła się o mnie i o moje dzieci. Nic więc dziwnego, że rozstanie się z nią było dla mnie takie bolesne, a smutek i przygnębienie po jej odejściu przesłoniły mi wszystko, co się działo na świecie, a więc i tak ważne sprawy, jak wybuch pierwszej wojny światowej.

Coś mi się wprawdzie obilo o uszy, że w Serbii zginął następca cesarza austriackiego arcyksiążę Ferdynand z żoną Zofią w wyniku terrorystycznego zamachu, czym okazano niechęć do niego jako następcy tronu, a przyszłego ich pana. W ten sposób zginęli niewinni ludzie, którzy jeszcze nie dali się poznać, czy będą źli czy dobrzy, a śmierć ta rozpętała wojnę, która pochłonęła całą masę istnień ludzkich. Straty te opłakiwały matki i żony, pogrążyły one całe rodziny w nieutulonym smutku. Wojna ta zniszczyła bardzo Polskę, bo toczyła się na jej ziemiach, zostawiając po sobie gruzy, spalone domy i osmalone, szerniałe sady.

Wojny tej stary cesarz austriacki Franciszek nie chciał, miał bowiem pojęcie o wojnie, gdyż sam brał udział w działaniach wojennych w pierwszych latach swego panowania i widział straty i nieszczęścia, jakie ona po sobie zostawia. Obawiał się też tego, że jego państwo – zlepek różnych narodowości, często niezadowolonych i nie mających żadnego interesu, by się bić w obronie cesarskiej korony – może się rozsprzęgnąć i wypowiedzieć mu posłuszeństwo, a następnie oderwać się od jego państwa. I tak się stało, jak przypuszczał. Państwo jego rozpadło się całkowicie. Staruszek nie doczekał tej przykrych dla siebie chwili, gdyż umarł przed końcem wojny, a ten rozpad państwa przeżył dopiero jego następca, Karol.

Wojny tej natomiast chciał cesarz pruski Wilhelm. On to zmusił cesarza Franciszka do jej wypowiedzenia. Spodziewał się on po niej wiele korzyści dla siebie, lecz niestety skończyła się ona dla niego niepomysłnie i jego państwo zmieniło formę rządów z cesarstwa w republikę. Sam zaś cesarz musiał uchodzić z kraju i pędzić na obczyźnie żywot zwykłego, przeciętnego człowieka.

A więc wojna się zaczęła. Ten wyraz „wojna” rozbrzmiewał wśród domów rodzinnych po wsiach i miastach, krzyczał z gazet i plakatów i obnosił się po wszystkich krajach. Ponieważ wojna odbywała się na naszych ziemiach, toteż wśród nas, Polaków, panował największy strach, największy lament i największe zniszczenie. Już w sierpniu tego roku ogłoszono u nas pierwsze powołania do wojska. Przechodziły więc koło naszej szkoły gromadki ludzi ze Staszkówki i z Turzy smutnych, zapłakanych, ocierających łzy z oczu. To rodzice odprowadzali swych synów, żony swych mężów, siostry swych braci na stację kolejową w Ciężkowicach. Towarzyszyły temu rozdzierające sceny pożegnania – płacze, krzyki, lamenty. Nie można się było temu dziwić, gdyż dla wielu z odjeżdżających było to ostatnie pożegnanie z rodziną.

Jeden z pierwszych biuletynów z placu bojów dotknął i mnie boleśnie. W czasie bowiem wysadzania mostu kolejowego pod Bochnią zginęło czterech żołnierzy, którzy trzymali przy nim wartę. Jedno z nazwisk tych żołnierzy było nazwiskiem mojego siostrzeńca. Był to Wojtuś, syn mojej przyrodniej siostry Teofili. Przez dłuższy czas mieszkał i uczył się u mnie. W 1914 roku odsługiwał pierwszy rok swojej służby wojskowej i zginął jako jedna z pierwszych ofiar wojny.

Inny komunikat wojenny dotyczył bitwy pod Kraśnikiem. O miejscowość tą toczyły się krwawe walki rosyjskich wojsk z wojskami austriackimi, a Kraśnik przechodził kilka razy z rąk do rąk. Jeden z rannych żołnierzy z naszego szpitala doniósł nam, że widział, jak pod Kraśnikiem został

zasypany ziemią po wybuchu granatu mój siostrzeniec, nauczyciel Wawer Bogacz. Opłakiwaliśmy go serdecznie, zostało odprawione nabożeństwo żałobne, a rodzina otrzymywała wsparcie materialne z rządu austriackiego. Dopiero z końcem wojny otrzymaliśmy od niego kartkę z wiadomością, że jest w niewoli rosyjskiej.

Wojna wrzała coraz intensywniej, a front w Galicji przesunął się stopniowo na zachód. Niebawem i do Staszkówki zaczęły dochodzić odgłosy dudnień, huków wystrzałów i wybuchów granatów. Wybrało się kilka osób, a między nimi na koniu ksiądz kanonik Kędra z Łużny, ażeby zobaczyć wojnę z bliska. Stanęli na wzgórzu poza wsią Ostrusza, lecz dojrzelili tylko dymy i błyski armatnie, ale jeszcze w dużym oddaleniu. Dowiedziawszy się o tym, zaczęliśmy i my poważnie rozmyślać, co nam wypada robić ze sobą.

Ksiądz proboszcz staszkowski Jan Baraniewski powiedział: „Mój obowiązek każe mi pozostać z parafianami. Nie wolno mi ich opuścić, kiedy mogę im być potrzebny jako kapłan podczas działań wojennych”.

Ja rzekłam: „Zosia chora, nie mogę więc jej narażać na niewygody, na zmienne, jesienne powietrze i też zostaję”. A państwo Schwarzwowie, właściciele dworu, odpowiedzieli: „My pojedziemy nie za granicę, lecz w okolicę górską, gdzieś pod Tatry, wynajmiemy izbę w chacie góralskiej i tam może przetrwamy biedę wojenną”. Wkrótce zamieszkali we wsi Białka, na granicy węgierskiej, prawie u stóp Tatr. Do nas jednak zwrócili się z propozycją: „Państwo powinniście wyjechać ze względu na te troje waszych małych dzieci”. Po pożegnaniu się z nami i nic nam nie mówiąc, przysłali nam swojego fornała z długim wozem drabiniastym, wyłożonym półkoszkami. Fornal powtórzył propozycję dziedziców, mówiąc: „Pakujcie się państwo, ja z wami pojadę. Nie ma się co namyślać, jakoś damy sobie radę, byle nam kule nad głową nie gwizdały”. Posłuchaliśmy starego poczciewca i zaczęliśmy się

pakować. Wóz był długi, pakowny, trzy wygodne siedzenia, miejsca było dość. Zapakowaliśmy przede wszystkim żywność, a potem pościel, bieliznę, ubranie i w ogóle to, co było najpotrzebniejsze. Kiedy już było wszystko gotowe, furman (czyli fernal – przyp. red.) zwrócił się w stronę kościoła, zdjął czapkę, przeżegnał się, mówiąc: „Matko Boska Staszowska, opiekuj się nami i zaprowadź nas szczęśliwie w bezpieczne miejsce”. Potem wykonał znak krzyża świętego nad głowami wszystkich nas, podróżnych, batem zrobił krzyż przed końmi i ruszyliśmy, żegnając wieś serdecznym płaczem.

Podczas tej pierwszej wojny nie było wiele uciekających. Nikomu nie chciało się opuszczać swych domów, dobytku i zostawiać wszystkiego na łaskę ludzi i wojska. Do wyjazdu zmuszeni byli tylko urzędnicy i państwowi funkcjonariusze, więc ruch kolejowy i kołowy był tylko nieco większy niż zwykle. Dlatego też bez większych przygód dojechaliśmy do Nowego Sącza. W Sączu miałam rodzinę – wujka, braci ciotecznych – rodzinę bliskich nam i serdecznych Flisów. Zajechaliśmy jednak do mojego brata przyrodniego Wojciecha Lisiągórskiego. Brat miał swój domek z dużym sadem i ogrodem warzywnym na ulicy Nawojowskiej, niedaleko kolei. Całe to obejście ze studnią i dużym podwórzem było otoczone drankowym płotem. Już przy wjeździe przez bramę na podwórze zauważyłam jakiś niezwykle ruch, a po wejściu do domu stanęłam zdumiona. Całe mieszkanie było wypełnione ludźmi, którzy się nerwowo kręcili. Jedni pakowali walizy, inni je rozpakowywali. Kuchnia była oblężona – gotowano, odgrzewano i zaspakajano głód lub popijano herbatę. Stanęłam bezradna, bo nie było nawet gdzie usiąść ni na czym spocząć – wszystkie miejsca były zajęte.

Wreszcie w tym ścisku zobaczyła mnie bratowa i wciąż gnąwszy do swego pokoju, umieściła nas jako tako. „Co się tu u was dzieje?”, zapytałam. „Ano wojna”, odpowiedziała. „Władze powołują swoich i wiozą ich do Wiednia i innych miast

austriackich. Ci, których widzisz, to urzędnicy i kolejarze ze Lwowa. Jedni odjeżdżają dalej następnym pociągiem, inni tym pociągiem przyjadą. Jedni przyjeżdżają w dzień, inni w nocy i tak już jest prawie od tygodnia. A jak to długo potrwa, nie mam pojęcia. Przyjezdnych, zwłaszcza kolejowych, kierują do nas jako do kolegi i trudno im nie pomóc. Niedługo i nasz Wojtuś jako kolejarz musi wyjechać. Czy mu też tam kto ułatwi życie, jak my im tu ułatwiamy? Spać to śpią pokodem, gdzie kto znajdzie wolny kawałek miejsca. Trochę mam słomy, to im ścielę, lecz dla wszystkich nie starczy”.

W tej ciasnocie dała nam jedno łóżko. A ileż to innych niewygód było z jedzeniem, myciem itd., to wprost trudno opisać i wtedy pomyślałam po raz pierwszy: „Trzeba było siedzieć w domu, a nie jechać w świat”. Powoli zaczęło się przemieszczać w domu brata, a wreszcie i on wyjechał. Było teraz nieco swobodniej i wygodniej, ale nigdy nie było pusto. Wojska gdzieś się jednak zatrzymały i nie posuwały się dalej. Minął jeden tydzień, minął drugi i już miesiąc dochodził, a z frontu nie było żadnych wiadomości. Zjedliśmy wszystkie nasze zapasy i dalsze siedzenie – jak to się mówi – komu na karku nie miało większego sensu. Zaczęliśmy więc myśleć o powrocie. Furmanowi, co nas przywiózł do Sącza, kazaliśmy zaraz powrócić i szczęśliwie udało mu się dotrzeć do Staszkówki. Nam rodzina odradzała wlec się dalej. Ponieważ pociągi kursowały jeszcze dosyć regularnie, postanowiliśmy wrócić koleją.

I oto znów znaleźliśmy się u siebie, w Staszówce. Powrót nasz odbył się bez specjalnych wypadków, chyba żeby tylko wspomnieć o takim małym epizodziku. Wsiadłszy na stacji w Ciężkowicach, biegłam szybko na plac przed stacją, by zawołać naszego woźnicę do zabrania pakunków wyniesionych z pociągu, i oto runęłam jak długa na szyny kolejowe i nie mogłam się z tego upadku od razu pozbierać, bo potłukłam się solidnie. Podbiegli do mnie pracownicy kolejowi i dźwigając mnie, jeden rzekł: „To te cholerne wąskie suknie są temu

winne, bo spinają nogi jak spinaczki, co się krowom nogi pęta, żeby nie latały do szkody”. Bardzo mi się to porównanie spodobało i w pełni zaaprobowałam jego oburzenie na te wąskie, modne suknie, bo rzeczywiście to one były powodem mego upadku. Troszkę mnie tam kości potem bolały i sińce ubarwiły moje ciało w różnych miejscach, ale to był drobiazg w porównaniu ze zbliżającym się frontem i tym wszystkim, co było z nim związane.

Wytchnęliśmy troszkę po podróży, a potem zaczęłam badać szkody, jakie wynikły w domu z powodu naszego wyjazdu. W całym mieszkaniu zapanował niesamowity brud, błoto na podłogach, dawniej pastowanych i błyszczących, teraz będących istną śmieciarnią pełną papierów i różnych odpadów. W spiżarni obraz nędzy i rozpaczy. Z beczki ogórków kiszonych nie pozostał ani jeden, taka sama pustka była w beczce z kiszoną kapustą. Otworzyłam ścienną szafkę, którą zostawiłam pełną słoików z konfiturami i butelek z sokami – ręce załamalam. Ani śladu z moich słodkich zapasów. A tyle tego nasmażyłam, jak może nigdy przedtem. I co jeszcze warto podkreślić. Otóż w tym właśnie roku postanowiłam zaopatrzyć się w najpiękniejsze słoiki na konfitury i zachciankę swoją zrealizowałam. A tu nie ma ani jednego słoja. W przerażeniu wyszeptalam: „No dobrze, konfitury zjedli, ale gdzież te słoje? Przecież nie zabrali ich ze sobą, a szkła potłuczonego nigdzie nie widać”. Dopiero za jakiś czas słoje się znalazły. Przed naszym bowiem wyjazdem został wybrany z grządek wczesny bób i ułożony łodygami w kępkach wzdłuż ścian budynku do wyschnięcia. Kiedy je uprzątno zauważono, że w strączkach ziaren już nie ma – wyluskano je całkowicie – a pod kępami łodyg były ustawione rzędem wzdłuż ściany puste słoiki. Wódki nie zostawiliśmy – a mieliśmy wspaniałe nalewki wiśniowe i tarniowe – część flaszek zabraliśmy ze sobą, większą jednak część daliśmy na przechowanie porządnym i życzliwym gospodarzom. Niestety okazało się,

że przechowali ją, ale we własnych żołądkach. Przekonaliśmy się, że w takich sprawach nie można liczyć na uczciwość chłopów. Zapytałam gospodarzy, co to było za wojsko, które zrobiło u mnie takie spustoszenie, przecież linia bojowa jest jeszcze daleko, skąd się oni tutaj wzięli. Gospodarze wyjaśnili nam, że to byli Czesi lub Madziarzy, którzy siedzieli w szkole kilka dni. Jak później dowiedzieliśmy się, były to oddziały, które nie chciały bardzo wojować. Robiły więc sobie wypadki na własną rękę i można powiedzieć, że dobrze się im działo. Wszystko, czego im było potrzeba, sami brali, nie pytając nikogo o pozwolenie.

Po stwierdzeniu tych szkód siedzieliśmy bezradni, pytając się siebie, co będziemy jeść, bośmy dużo mąki i innych zapasów wywieźli do Sącza. Dla dzieci nie ma już soków – w chorobie nie będzie czym dziecka poratować i czymś lepszym ich odżywić. Opanowała mnie troska, smutek i żal: po co było wyjeżdżać? Do pustego domu wejdzie każda świnia. Była to dla nas bolesna nauka, żeby się z domu nie ruszać. Lecz darmo już było teraz ręce łamać, trzeba się natomiast było starać, aby braki uzupełnić i zdobyć jeszcze, co się da, póki jeszcze wieś nie wyniszczona i póki jeszcze u kupców w Ciężkowicach można coś kupić. Zabraliśmy się z całym zapalem do uzupełniania zapasów. Gdzieś tam, jakby dalej w Polsce, grały armaty, pękały szrapnele i granaty, a my spędzaliśmy jeszcze dni w zupełnym spokoju. Upojona tą ciszą i spokojem pewnego dnia nawet tak powiedziałam: „A może jednak nas wojna ominie i jakoś wyżyjemy w spokoju z dziećmi w tym naszym mieszkaniu?”

W STASZKÓWCE

Katarzyna Szatko

Zaledwie te słowa wypowiedziałam, a tu, przed szkołą pojawili się Kozacy. Z przerażeniem patrzyłam, jak dwóch z nich zsiadło z koni, a inni je trzymali. Chodnikiem zbliżyli się wprost do werandy, zataczając się po drodze. „Pijani – pomyślałam – to jeszcze gorzej, bo pijany nie wie co robi”. Otworzyłam drzwi werandy, skąd wchodziło się do mieszkania. Jeden Kozak przystąpił wprost do męża i zaczął przeszukiwać go dokumentnie. Zosia na moich rękach zaczęła krzyczeć w przerażeniu: „Ciałego tatusia mi koziak zabierze”, a ten zamamrotał: „Nie krzycz!”. Znalazł zegarek i portmonetkę z kilku reńskimi i to go zaspokoilo.

A z tym zegarkiem to była taka sprawa. Rano mąż zwrócił się do stróża szkolnego: „Hieronimie, może macie jaki kiepski zegarek, przemieńcie się ze mną, bo nużby Kozacy się zjawili, to by szkoda było mojego”. I dał mu swoją dobrą srebrną omegę, a wziął od niego stary, zepsuty grat – jak go Hieronim nazywał: „kośpigac” uwiązany na sznurówce od buta – a omega była na porządnym srebrnym łańcuszku. „Proszę – pomyślałam sobie – czy to nie było dziwne przeczucie i można rzec, zrządzenie Boże?”.

Drugi Kozak myszkował po kątach. Z szafki podręcznej wziął rozpoczętą flaszkę wódki, którąś my jeszcze uchronili,

flaszkę spirytusu denaturowanego do palenia i lekarstwo dla dziadka. Na ścianie wisiała torebka Dziuni wypchana nowymi pończochami. Była to wyprawka Dziuni na wyjazd jej do gimnazjum do Tarnowa. Nie pomógł jej płacz. Założył na ramię i zabrał. W zabawkach Adasia wyszukał dziecienny rewolwer. Krzyczał, strzelał z niego, wygrażał nim i schował do kieszeni. Przestraszona, wskazując na chłopca, powiedziałam, że to zabawka *ditoczka*, by go udobruchać. No jakoś to przeszło.

Następnie obydwaj przystąpili do przeszukania domu. Jeden poszedł na strych, a drugi do piwnicy. Lękałam się, że na krętych schodach pijani skręcą kark, a winy nam przypiszą, zaś towarzysze czekający na nich przed szkołą za to nas zastrzelą. Jak przewidywałam, rymnął jeden na schodach, a niebawem i drugi, klęli po swojemu, ale nam to nie szkodziło. Na ostatku zabrali się do szaf. Chociaż klucz był w szafach, oderwali przemocą drzwi i jeden zgarnął z półek na podłogę bieliznę, w trakcie czego rozłożyła się wówczas jedna męska koszula. Zarechotał z radości i wybrał sobie jeszcze kilka innych koszul. Drugi powyrzucał z innej szafy moje sukienki, rzucał je aż pod sufit, fruwały w powietrzu i zaścieliły cały pokój. Stałam pełna trwogi i myślałam, co to będzie dalej. Ale na szczęście towarzysze z drogi krzyczeli na nich tak, że skończyli plądrowanie, prędko pobiegli do nich, dosiedli koni i odjechali. Wyczerpani nerwowo usiedliśmy bez siły, w milczeniu, bez słów.

Przy tej sposobności warto opowiedzieć o tym, jak to moskiewskie bractwo potrafiło się upijać. W Staszkówce była duża gorzelnia. Kiedy wojska rosyjskie zbliżały się, rządca obawiając się następstw pijackich, wypuścił wszystek spirytus z kadzi na zewnątrz, a tych kadzi i to dużych było kilka. Spirytus rozpływał się wtedy po ziemi, wpływał do pobliskiego stawu i zatrzymywał się w każdym dołeczku, nawet w zagłębieniach kopyt końskich. Kiedy nadciągnęło wojsko rosyjskie, żołnierze pili ze stawu, kładli się na ziemię, lizali ją i żłopali

spirytus, gdzie tylko on się zatrzymał. Nie trzeba było zamiać placu koło gorzelni, tak go pięknie językami wyczyścili.

Po odejściu Kozaków zastanawialiśmy się, czy wytrzymamy dużo takich dni. Mąż poszedł na plebanie i opowiedział proboszczowi naszą przygodę. A na to proboszcz: „Przenieście się państwo na plebanie. Plebania stoi na uboczu, ukryta wśród drzew, mała, drewniana, nie rzuca się w oczy. Odstąpię wam pokój od ogrodu, będziecie swobodni z dziećmi, a zawsze jest tu nas na plebani więcej ludzi i chłopów, to nam wszystkim będzie śmielej. I co powiecie, moi mili?”. Mimo postanowień, że się nigdzie nie ruszamy z domu, wyprowadziliśmy się na plebanie, a dozór szkoły zleciło się stróżowi.

W drugim dniu naszego zamieszkania na plebanii wjechał do Staszkówki jakiś większy oddział rosyjskiego wojska, które – jak mówili – udaje się do Krakowa. Generalicja zajęła na plebanie. Ciekawość nie dawała mi spokoju, kto zajął szkołę, więc nie pomna na nic, poszłam tam. Dowiedziałam się, że szkołę zajął ambulans wojskowy. Chwała Bogu, że nie jakaś dzicz, lecz ci, którzy leczą rannych i chorych i dlatego są szanowani przez żołnierzy.

Przedstawiłam się głównemu lekarzowi. Był to Polak z Warszawy, człowiek kulturalny, mądry i grzeczny. Opowiedziałam mu nasze przeżycia. Odrzekł, że co do Kozaków, to oni sami ich się boją, ale doradzał, abyśmy nie zostawiali mieszkania bez opieki. Za dzisiejszą noc i za porządek on bierze odpowiedzialność, ale któż wie, kto po nich zajmie mieszkanie. Zaraz więc nazajutrz, po odejściu wojska, zamieszkaliśmy z powrotem. „Nie obawiajcie się dzikich napadów. Teraz bowiem idzie wojsko liniowe, więc zawsze żołnierze będą pod opieką oficerów”.

Na plebanii przygotowano kolację dla generalicji. Przy kolacji opowiedzieliśmy nasze przygody i związane z nimi przykrości. Oficerowie rosyjscy przyznali nam rację, mówiąc, że Kozacy nie należą do nich, do wojska liniowego, lecz

tworzą luźne watachy, nad którymi nie mają władzy. Propozycję zaś lekarza odnośnie do zamieszkania we własnym mieszkaniu uznali za dobrą i radzili nam jej usłuchać. Rano poszłam z pułkownikiem pod szkołę i dopilnowałam, żeby mi nic nie zabrali. Uratowałam nawet nowe story z klas, bo już je żołnierze ściągali z okien, ale i tak dokumentnie zniszczyli bibliotekę szkolną. Po wymarszu wróciłam na plebanię i zaczęłam znów wiązać węzłki i pakunki, by je z powrotem przenieść do szkoły. Odtąd z okien szkolnych obserwowałam przeciąganie wojsk. Odbywał się ten przemarsz dość spokojnie. Żołnierze prosili tylko o coś do zjedzenia, co się uwzględniało wedle możliwości. Wreszcie skończył się ten przemarsz, wlokły się tylko ostatnie niedobitki, łązęgi, którym nie spieszyło się do okopów, a na końcu maruderzy.

Powoli utworzyły się dwie linie na wzgórzach staszkowych: od północy Moskale, a od południa Austriacy. Oba wojska zaczęły się okopywać na leże zimowe. Wyobraźcie sobie, że okopy szły jedną i drugą stroną wzgórz aż po Gorlice, tworząc zgięcie koło Staszkówki od południa, które nazywano kolanem. Strzelano na nie ze wszystkich stron. Na wzgórzach były okopy, a w środku doliną ciągnęła się wioska, a w najmniejbezpiecznym miejscu stały: szkoła, kościół i dwór. Później, gdy już byli u nas Moskale, pytano nas nieraz: „Jak wy tu możecie żyć? To jest najgorsze miejsce na całej linii frontowej. Kiedy tu idziemy, to idziemy jak na śmierć, a każdy inny odcinek jest dla nas wypoczynkiem”.

Nastały ostatnie dni listopada. Rozpoczęły się codzienne strzelania armatnie, a kulki karabinowe fruwały jak motylki w powietrzu. Życie nasze dzieliło się na życie w piwnicy podczas strzałów armatnich i w domu podczas odpoczynku, czyli – jak mówiono – podczas wydechu przed kulkami. Strzelano w naszym kierunku i z jednej, i z drugiej strony. Na herbatę stawiało się samowar, a jedzenie gotowało się wieczorem, aby nie widać było dymu, bo zaraz na miejsce

skąd dym wychodził padały szrapnele. Piwnicę wyścieliliśmy słomą, jeden kącik był przygotowany do leżenia dla małej i chorej Zosi. Piwnice były płytkie, niezbyt bezpieczne, ale i tak szukali w nich schronienia ksiądz proboszcz i ludzie z najbliższych domów. Modliliśmy się wszyscy gorąco i śpiewaliśmy: „Kto się w opiekę podda Panu swemu” i ufaliśmy Mu bezgranicznie.

W jeden taki dzień, podczas ostrzeliwania naszej szkoły, siedzieliśmy jak zwykle w piwnicy, a z nami ksiądz proboszcz, i modliliśmy się gorąco. W czasie największego nasilenia strzałów z krzykiem i płaczem wpadła do nas dziesięcioletnia dziewczynka, córka stróża szkolnego. Rzuciła się księdzu proboszczowi do rąk, prosząc: „Księżu proboszczu, moja matka zabita, może jeszcze oddycha, to ją ksiądz jeszcze wypowiada”. Następnie rzuciła mi się na szyję, błagając: „Pani kierowniczo, daruj mojej mamie wszystkie krzywdy, bo ona już umiera”. Ksiądz zerwał się z ziemi, stułę miał w kieszeni, i pobiegł wśród padających szrapneli, i wypowiadał ją. Ja się popłakałam, dziewczynkę przytuliłam do siebie, zapewniając ją, że wszystko przebaczyłam mamie, a Bóg jej też na pewno przebaczy. Ksiądz wrócił i powiedział, że kula urwała jej nogę, krew tryskała z rany, gdyż nie miał jej kto tej rany zawiązać. Właśnie w tej chwili przyjechał sanitariusz, nogę zabandażował, zabrał ją na wóz i pojechał z nią do Turzy, do szpitala wojkowego. Niestety, jak nam powiedział ten sam sanitariusz, w drodze do szpitala zmarła z upływu krwi. Takich tragedii było więcej, bo przecież to była linia bojowa. Wstrząsnęła mną jednak ona więcej, bo przecież dotyczyła bezpośrednio mojej sąsiadki, z którą miałam ciągle do czynienia. Przede wszystkim jednak wstrząsnął mną postępek dziecka, które znało nasze stosunki sąsiedzkie i tak pięknie zareagowało w tej ciężkiej dla niego chwili, w chwili śmierci matki.

Przeżywaliśmy też różne inne alarmy i ataki, czyli jak rosyjscy żołnierze mówili: *nastuplenia*. Były to bardzo ciężkie

chwile: strzelanina była potężna, szrapnele wybuchały, karabiny maszynowe trąkotały, kulki siekły gradem. Żołnierze w takich chwilach byli przygotowani do ucieczki, wszystko pakowali, nie wiadomo bowiem która strona zwycięży przełamując front. Po nieudanym przerwaniu linii bojowej wszystko wracało do poprzedniego stanu. Nam było wszystko jedno.

Austriaków się nie baliśmy, a nawet ich oczekiwaliśmy, spodziewając się, że nas z tego piekła uwolnią. Stało się jednak inaczej.

W ogniu tym doczekaliśmy się świąt Bożego Narodzenia. Na święta – jak wiadomo – wysyłano żołnierzom paczki, zwłaszcza dużo przysyłano ich z krajów zachodnich monarchii austro-węgierskiej nie tylko dlatego, że Czechy, Austria i inne kraje nie były naruszone i zniszczone wojną, lecz i dlatego, że miały łatwy dostęp do Polski i dobre połączenia kolejowe, czego nie miała Rosja. Nie było chyba ani jednego żołnierza austriackiego, który by nie dostał paczki, a czasem i więcej niż jedną. Toteż w okopach austriackich było gwaro, panowała radość i śpiewy jakby podczas wigilii w domu rodzinnym. Nie brakowało im trunków wszelakiego rodzaju, więc się nimi pocieszali w swej niedoli i biedzie żołnierskiej, tak jak umieli. Często więc popili się i posnęli. Spodziewali się tego Moskałe, a utwierdził ich w tym szpieg i to nie jeden. Zapewne Czesi z obozu austriackiego musieli ich powiadomić, jaka sytuacja aktualnie panuje w okopach austriackich, bo Czesi zawsze byli skłonni do zdrady. Na ich zdradę patrzyłam nieraz własnymi oczyma i słuchałam ich donosów, jakie składali pułkownikowi rosyjskiemu w naszym pokoju. Kiedy przy zmianie obsługi przy armatach kilku Czechom udało się zbiec, natychmiast zdradzali, gdzie stoją armaty, w którym okopie żołnierze czuwają, a w którym śpią, o której godzinie przywożą menaż – słowem zdradzali wszystko, co wrogów interesowało. Rosjanie zaraz na drugi dzień kierowali w te punkty ogień armatni, a przecież wówczas ginęli tam

ich koledzy. Nie robili tego bynajmniej z pobudek patriotycznych czy narodowych, lecz z pobudek czysto egoistycznych. Mój siostrzeniec Wawer Bogacz, który wraz z oddziałem polskim został w czasie rewolucji bolszewickiej zdradzony przez Czechów, opowiadał nam, jak się nad nimi znęcali bolszewicy, w których ręce wpadł w wyniku tej zdrady. A kiedy wreszcie wrócił po zawartym pokoju do Polski, tak mówił do nas: „Jestem chory, wycieńczony, lecz gdyby ogłosili wojnę przeciw Czechom, tobym poszedł choćby na kolanach, aby chociaż kilku tych psubratów ubić, tych zdrajców, co na ustach mają słowa „bracia Polacy”, a w zanadrzu pieśczęcią zdradę”. Od czasu jak sama poznałam ich ewidentne zdrady, nigdy nie użyję wobec Czecha określenia „brat Czech”, „brat Słowianin”, ale raczej „psubrat”, „zdrajca”.

Wracając do wojennych świąt Bożego Narodzenia, warto podkreślić, że wielu żołnierzy austriackich po radościach wigilijnych, po wspominkach o wiliach w domach rodzinnych, rozrzewnieni i nieco trunkiem zamroczeni posnęli w okopach snem sprawiedliwego człowieka. Dla wielu tych biedaków była to już ostatnia wilia w życiu, a rodziny tych żołnierzy wspominały ich jako żywych przy choinkach już ostatni raz. Bo oto nieprzyjaciel niepomny na ten dzień, tak radosny dla wszystkich ludzi, skradał się nie jak zwykle wśród grzmotu kul, armat i granatów, lecz bezszelestnie i cichutko i napadał znienacka na śpiących. Wywiązywała się krótka, rozpaczliwa walka. Wielu Austriaków poległo, tylko nielicznym udało się uciec, pozostawiając wszystkie dary od swoich dla wrogów, którzy się później tym zażerali i upijali. Jakież to wszystko było dla mnie okrutne – a jeszcze straszniejsze to obdzieranie trupów. Patrząc na to, myślałam sobie, że gdyby ten chłopiec umarł w domu, matka była by go jeszcze po śmierci utuliła, łzami oblała, ubrała w najlepszy garnitur i ułożyła na wieczny spoczynek, a tu tłuką nim, podrzucają, obdzierają, biją głową o ziemię, nogi fruwają raz do góry, raz na dół,

a wreszcie rzucają nagie ciało jak bezużyteczne drewno na pastwę mrozu. Dobrze, że to się działo we wsi, boby w polu, pod lasem wilki zrobiły sobie z nich w zimie wspaniałą ucztę.

Straszny to był widok. Ja jako matka, lejąc gorzkie łzy, patrzyłam na swego małego synka, który pewnego razu, tłukąc w piwnicy młotkiem orzechy, powiedział odważnie: „Żeby mi tu szrapnel wpadł do czapki, toby mi zaraz stłukł wszystkie orzechy”. Czy i ciebie, mój synu, czeka taki los? Minęło zaledwie ćwierć wieku i przyszedł na ciebie, mój synu, podobny los. Szrapnele wprawdzie nie wpadły do czapki i nie stłukły orzechów, ale wokół ciebie rozrywały się kule i szrapnele, a granaty waliły w twoją pancerkę. Dlatego ja, mój synu, podczas ostatniej wojny ciągle miałam przed oczyma ten obraz i błagałam Boga: „O Boże mój, tylko nie to, daj mu inną, żołnierską śmierć. Jeśli mu ją przeznaczyłeś, tylko nie taką”. Na widok tego makabrycznego obrazu powiedziałam już wówczas: „Straszna jest wojna – oby jej nigdy nie było!”.

A jakżeż ja przeżyłam z rodziną to świąteczne natarcie? Nie mieliśmy choinki, nie jedliśmy uczyty wigilijnej. Ksiądz proboszcz przyniósł nam opłatek, połamaliśmy się nim, prosząc Boga, by zachował nas przy życiu i uchronił od kalectwa. Po tych życzeniach położyliśmy się spać w pokoju w swoich łóżkach, spodziewając się, że ten wieczór Narodzenia Bożego Dziecięcia będzie dla nas spokojny. Aż tu naraz zbudził nas zgiełk i strzelanina. Działo się to na naszym podwórku, przed oknami, a kulki waliły w ściany pokoju. Każde z nas okryło się czymś z pościeli i naprzód dzieci, a za nimi my na klęczkach, pochyleni do ziemi, przeszliśmy do kuchni. Tu, mając za plecami kuchnię kaflową, pokładliśmy się na podłodze i w tej pozycji przetrwaliliśmy cały atak. Naraz usłyszeliśmy wrzask, klnięcie, bicie kolbami do drzwi i krzyk: „*Otfiery, otfiery!*” Mąż otworzył drzwi. Weszło kilku żołnierzy z karabinami, a na nich bagnety wymierzone prosto w nas. „Austriacy są?”, krzyknęli. „Nie ma”, odpowiedzieliśmy. Przeszukali całe mieszkanie

i wrócili do kuchni. „*Daj kuszaty*”, zawołali. Pokrajałam ostatni bochenek, zostawiając sobie tylko mały kawałeczek i rzekłam: „To dla *ditoczek*”. W tym momencie jeden z żołnierzy podszedł i wydarł mi z ręki trzymany kawałek chleba. Dzieci uderzyły w płacz. I co powiecie? Znalazł się taki żołnierz, który wyrwał koledze ten chleb i podał go dzieciom.

Mieliśmy jeszcze kilka takich wizyt i wreszcie pozostawiono nas w spokoju. Patrzyliśmy jeszcze na pobojuwisko przed naszą szkołą, widzieliśmy obdzieranie trupów, przeszukiwanie placu boju i wreszcie nastał spokój. Czy przez ten atak zmieniło się coś dla nas na lepsze?

Nic a nic, a może nawet na gorsze. Niemcy cofnęli się bowiem do dalszych zapasowych okopów. Moskale zaś przybliżyli się do wsi i tu się okopali. Wieś stała się od tego czasu ich domem. Zajęli ją na stałe i umieszcowali się w szkole, na plebani i we dworze, o czym Niemcy wiedząc, wzięli te obiekty pod najsilniejszy ostrzał. Zaczęło się dla nas jeszcze większe piekło niż było przedtem. Życie układało się nam tak samo jak poprzednio. W kuchni mojej stale pichcili i gotowali rosyjscy żołnierze, nieraz nawet i na dym nie uważali i przez to ścigali na siebie strzały. W jednym pokoju urzędował stale przy telefonie pułkownik. Jeśli się dostatecznie zmęczył, siedł na odpoczynek, lecz zaraz go zastępował inny pułkownik przy telefonie i tak się ciągnęło aż do końca.

W tym czasie Zosia z niewygód, złego odżywiania, ze strachu i ze złych warunków sanitarnych zachorowała na czerwonkę. To biedactwo nawet nie płakało, nie grymasiło wyczuwając nasze nieszczęście. Leżała cichutko, tylko tymi swoimi wielkimi oczami patrzyła na mnie tak smutno, że serce moje ból ściszał potwornie, że nic, nic jej pomóc nie mogę. Raz stojąc nad jej wózkiem pochyłona i zapatrzona w smutne jej oczęta, prosiłam Boga o pomoc, a łzy moje spadały na jej twarzyczkę, podczas gdy ona głaskała mnie swą szczupłą rączką. Nie zauważyłam, że pułkownik rosyjski

wszedł do pokoju i patrzył na mnie. Rzekł: „Barynia, mnie bardzo *skuczno* (smutno), gdy patrzę na panią. Jeśli się pani nie obawia rosyjskiego *wracza* (doktora), to ja go sprowadzę”. Poprosiłam go o to. Był akurat na linii, więc się z nim rozmówił telefonicznie. Wieczorem – bo za dnia było niebezpiecznie od kul – przyszedł i stanął nad wózkiem w takiej wielkiej, jakby kozackiej czapie. Zosia wrzasnęła przeraźliwie, skuliła się ze strachu i schowała główkę pod pierzynę. Oddalił się od wózka, a ja mu wyjaśniłam, dlaczego dziecko krzyknęło: „Koziak”. Zdjął więc czapkę i przybliżył się do wózka. Wówczas dziecko popatrzyło na niego i leciutko się uśmiechnęło. Jakże go ten uśmiech ucieszył! Wypytał mnie o oznaki choroby, a potem dał jej zażyć lekarstwo – przypuszczam, że opium. Od tego dnia odwiedzał niemal codziennie – jak sam mówił – swoją małą pacjentkę i przynosił jej czekoladę, cukierki, ciastka, a nawet zabawki. Inni oficerzy przysyłali dla małej różne podarunki. Po kilku dniach Zosia była wyleczona z czerwonki, a pułkownik bardzo się cieszył, że dopomógł w jej wyleczeniu. Mówił, że to jest nasze dziecko z okopów i będziemy się nim opiekować. Ten sam pułkownik, widząc nasze braki w odżywianiu, prosił nas: „Nie wstydźcie się i przyjmijcie ode mnie pomoc”. Przyjęłam, bo przecież nie miałam innego wyjścia. Raz dał nam wielką szynkę z dzika. Nauczył nas, jak ją należy upiec. Trzeba oblepić ją ciastem z mąki i włożyć ją do pieca chlebowego, bo była tak ogromna, że się nie zmieściła w zwyczajnej bratrurze¹⁵ kuchennej.

W czasie pierwszej wojny światowej wszyscy żołnierze byli bardzo zawszeni, bo ta plaga robactwa była od setek lat przywiązana do każdej wojny. Kiedy żołnierze poprali sobie jakieś swoje rzeczy, wieszali je nad kuchnią. Jeśli na kuchni stał mój garnek, to go pilnie nakrywałam pokrywką, aby coś nie wpadło z ich szmat. Raz przyszedł do kuchni z frontu młody oficer. Dostał bieliznę z domu i nawet nowy mundur.

¹⁵ Bratrura – tak w Galicji nazywano piekarnik.

Zrzucił z siebie wszystko, wszedł do balii, żołnierze go wyszorowali szczotką dokumentnie, a po wymyciu poprosili mnie o ręcznik do obtarcia. Pożyczyłam im swój nowy ręcznik, który po obtarciu zawiesiłam obok mojego ręcznika. Rano wzięwszy swój ręcznik, zobaczyłam na nim wszy. Spojrzałam na ręcznik, którym się wczoraj oficer obcierał. Wprost nie do wiary, ale na tym ręczniku było tyle robactwa, że można je było drewniakiem zgarniać. Zwinęłam ręcznik pospiesznie i wrzuciłam go w ogień. Nietrudno sobie wyobrazić, jak ta plaga musiała męczyć żołnierzy, bo jeżeli po umyciu wytierając się ręcznikiem, tyle on jeszcze zgarnął robactwa, to świadczyło to o tym, że pasożyty te musiały tkwić niemal w każdym porze skóry i ssać nieszczęśliwego człowieka. Trudno je nawet splukać wodą, tak się wczepiają w ciało. Ta plaga robactwa stanowiła zawsze wielką udrękę żołnierzy. Na usta cisną się słowa: za czyje grzechy cierpi ten żołnierz? Jakim strasznym nieszczęściem jest wojna. Trzeba więc z nią skończyć raz na zawsze.

Pewnego razu podczas strzelania na szkołę zauważyliśmy, że ziemia jęczy pod granatami jakoś więcej i wyraźniej niż zwyczajnie. Po ucichnięciu strzałów wszedł do piwnicy pułkownik i powiedział: „Państwo tu się już nie ostoicie. Strzelają *bolszymi* (większymi) granatami, radzę więc przenieść się do dworu. Tam są bowiem głębokie piwnice i zrobione z mocnych kamieni, więc są wytrzymalsze”. Na drugi dzień przeniosłam się z dziećmi do dworu, a mąż z Marysią pozostali w szkole, aby jeszcze pilnować tych gratów, jakie nam zostały. Po przeniesieniu się do dworu oficerowie postanowili mnie rozerwać, pocieszyć i, jak mówili, poznać swoją pacjentkę Zosię. Urządzili wspaniałe przyjęcie. Jakie tam były smakołyki: kawior, ostrygi i inne różności, czego ani nigdy nie jadłam, ani nawet nie widziałam. Nie chciałam brać udziału w tym wojennym balu, lecz rządca rzekł: „Pani musi, nie trzeba ich

rozdrażniać, oni są tak dla państwa życzliwi, a ta życzliwość może nam wszystkim być bardzo potrzebna”. Mąż również poparł słowa rządcy, więc zgodziłam się. Pouczyłam tylko Dziunię i poprosiłam córkę rządcy, która miała się opiekować dziećmi, aby mniej więcej po godzinie przysłała moją Dziunię po mnie, że Zosia płacze.

Na salę wprowadził mnie rządcą Kijak – mój kum (trzymaliśmy razem dziecko kowala do chrztu) – i przedstawił wszystkim oficerom – a było ich coś piętnastu. Zerwali się wszyscy jak na komendę i witali z takim szacunkiem, jakbym była przynajmniej carową. Byłam bowiem jedyną kobietą w tym towarzystwie. Rządcą nie chciał im przed oczy stawiać swej młodej, ładnej córki Marysi, bojąc się rozpasania żołnierskiego po przepiciu. Została więc jako chora w domu. Posadzili mnie na honorowym miejscu i służyli z taką grzecznością i elegancją jak na dworskich salonach, bo to byli oficerowie carscy, a nie hołota bolszewicka. Ubrana byłam skromnie, w czarnej sukni. Rządcą mówił, że wyglądam tak dostojnie, a przy tym tak miło i pociągająco, że wszystkie chłopaczki oczu ze mnie nie spuszczały. Mnie zaś było tak smutno, taka byłam udręczona w tym towarzystwie, taki lęk mnie ogarniał, bo przecież wokół długiego stołu siedzieli wszyscy oficerowie z frontowej linii z doktorem swym na czele. Pomyślałam sobie: „Gdyby jakiś szpieg doniósł o tym, gdzie należy, to jedna bomba czy granat zrobiłyby z nas gulasz”. Myśl ta nie odstępowała mnie ani na chwilę i odbierała mi spokój.

Stół był zastawiony bogato. Najpierw podano wódkę i kanapki z kawiozem. Jedną wódkę wypiłam i coś przegryzłam. A tu oficerowie proszą i namawiają: „Barynia, uśmiechnij się do nas. Taka smutna, że nas serce boli. My chcemy widzieć twój uśmiech, bo będziemy sądzili, że nami gardzisz, a my dobrzy ludzie i wojny nie chcieliśmy. Uśmiechnij się, my tak jesteśmy spragnieni uśmiechu, a wy wszyscy ponuro

patrzycie na nas, jak na zbójców”. Mimo woli się uśmiechałam, a oni się wszyscy poderwali i krzyknęli: „Jaka barynia śliczna z tym uśmiechem. Uczcijmy ten uśmiech i naszą radość spełnieniem toastu – do dna!”. Ale ja na to rzekłam: „Proszę o *czaj*”. Przyniesiono mi herbatę z cytryną i dopiero wówczas szturknęłam się z nimi. Wszyscy podchodzili do mnie z kieliszkami i całowali po polsku w rękę. Dopilałam herbatę do połowy szklanki, zjadłam ciastko. W tym momencie przybiegła Dziunia i powiedziała: „Mamusiu, Zosia płacze!”. Oficerowie zerwali się z krzeseł i błagali, żebym nie szła, żebym jeszcze powróciła do nich. Nie przyrzekłam – podziękowałam za gościnność, grzeczność i dobre serce dla nas i pożegnałam ich.

I znów upłynęło kilka dni bez ważniejszych wydarzeń. Pewnego dnia między piątą, a szóstą godziną po południu Niemcy znów rozpoczęli silny ostrzał szkoły. Zeszłam z dziećmi do piwnicy dworskiej, a mąż ze służącą nadal zostali w szkolnej piwnicy, by nie opuszczać mieszkania. Wraz z nami w piwnicy dworskiej było kilkoro ludzi ze służby dworskiej i ksiądz proboszcz. Modliliśmy się jak zawsze, wspólnie i głośno, by mniej było słyszeć strzelaniny. A bili tak mocno, że aż ziemia jęczała, piwnica drżała w posadach, a płomyki świec pochylały się jak od wiatru. Wśród tego huku i kanonady wszedł do piwnicy komendant tej placówki, powstał chwilę na schodach i patrzył na nas ze współczuciem, i wreszcie odszedł. Wkrótce potem przysłał nam świece i pudełko czekolady. Opowiedział nam później rządca, czego się dowiedział od niego. Któryś z żołnierzy podejrzewał nas, że może mamy telefon i dajemy Niemcom jakieś znaki. Zszedł więc na dół, by zbadać tę sprawę. Kiedy zobaczył te przerażone, wybladłe i rozmodlone twarze, takie ogarnęło go rozrzewnienie, że ze łzami w oczach zawrócił i przesłał świece i coś do zjedzenia.

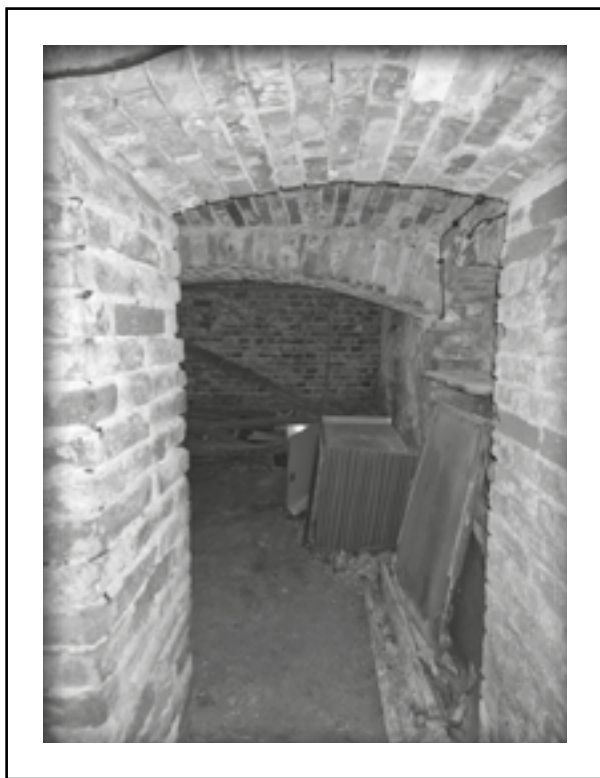
W piwnicy miało się wrażenie, że pociski spadają na sam dwór i że lada chwila budynek się zawali i nas zasypie w piwnicy. Wreszcie strzelanie ustało. Do piwnicy weszła żona rządcy, którą zapytałam, co się stało ze szkołą, czy wytrzymała ten ostrzał. Odpowiedziała mi, że szkołę nam zburzono. Krzyknęłam: „Jezus, Maria! Mąż i Marysia byli w szkole, co się z nimi stało?”. Zaczęłam głośno płakać, a kobiety i ksiądz krzyknęli na mnie: „Niech pani przestanie płakać – proszę się przypatrzeć, co się z Dziunią dzieje”. Uciszyłam się natychmiast i spojrzałam na dziecko. Dziunia na myśl o ojcu dostała ataku nerwowego – nie wiedziałam co się z nią dzieje, trzęsła się i jęczała: „Tatuś zabity”. Wybiegli wszyscy z piwnicy na poszukiwanie ojca. Tuliłam Dziunię do siebie, uspokajałam ją jak umiałam. Wreszcie przyprowadzili ojca. Wziął córkę na ręce, głaskał, przytulał i pocieszał: „Dziuniu, widzisz, że tatuś jest, że żyje, że trzyma cię na rękach”. Dopiero po dłuższej chwili Dziunia oprzytomniała, a wtedy on nam opowiedział, jak to się stało.

Oboje z Marysią siedzieli w piwnicy wraz z żołnierzami. Granaty waliły w mur i robiły wyrwy i dziury. Słysząc było, jak się sypał tynk i cegły – wreszcie nastąpił niesamowity huk i walenie się muru ze strony, gdzie były klasy. Schody ze strychu zaczęły osuwać się na nich. Nie było ani jednej chwili do stracenia. Wybiegli i skierowali się wprost ku dworowi, nie bacząc na to, że za nimi wałęszapnele, granaty i kule karabinowe. Dopadli ogrodu dworskiego i tu ich złapali żołnierze i wciągnęli do pierwszej z brzegu piwnicy. A teraz, mimo przebytego strachu, musi pójść do szkoły, aby zbadać jej zniszczenia. Kiedy mąż wszedł do naszego mieszkania, zobaczył grasujących po nim żołnierzy. Wszystko, co było do zjedzenia nie uszło ich uwagi. Zabrali nawet garnki do gotowania, otomanę i stołki do okopów. Wtedy też zniknęła ta wspaniała szynka z dzika, o której już wspominałam, i pudło czekolady, którą nam przyniósł doktor od oficerów

dla swej pacjentki, a ja tę czekoladę troskliwie schowałam na czarną godzinę.

Po tym, co się stało tego wieczora, rządca oświadczył, że do tego czasu wstrzymywał nas, gdyż myślał, że razem do-
trwamy do końca, a zwłaszcza żeśmy tutaj mieli opiekę tych
zacznych żołnierzy, ale wobec tego, co się działo, dziś z dziec-
kiem należy wyjechać.

Razem z pułkownikiem i kwatermistrzem postanowili-
śmy wyjechać, ale nie do Rosji, jak nam oni radzili, tylko do
następnej wsi oddalonej od Staszkówki o cztery kilometry –
do Turzy.



*piwnica szkoły w której ostrzał artyleryjski prze-
czekiwali Wojciech Szatko i Maria Bogacz*

W TURZY

Katarzyna Szatko

Po rozmowie i naszej zgodzie na wyjazd kwatermistrz zatelefonował do swojej kwatery w Turzy, prosząc o przysłanie dla nas koni i wozu.

Niedługo przysłany po mnie ekwipaż stał przed gankiem dworskim. Przygotowana do wyjazdu wyszłam na ganek i widząc wóz z gnojnicami, bez namysłu powiedziałam: „Ja tym wozem nie pojadę”. Dziwiłam się potem sobie, dlaczego tak powiedziałam. Przecież już przeszłam tyle strasznych rzeczy, a ten wóz miał mnie uwolnić od strzałów. Nie zastanowiłam się nad tym, że ten Rosjanin, nieprzyjaciel, mógł powiedzieć: „Co za grymasy – nie chcesz, no to siedź w piwnicy, aż się zawali i pogrzebie cię w rumowisku z dziećmi”. Pierwsza myśl moja na widok tego płytkiego wozu była taka, że mi z niego w czasie jazdy dzieci powypadają. Może to był najważniejszy powód. Lecz przez myśl mignęło mi wspomnienie jak to Reymont w *Chłopach* wywiózł Jagusię na wieś właśnie w gnojnicach jako kobietę upadłą – dość, że powiedziałam stanowczo „Nie pojadę!”. Kwatermistrz zamiast wymówek wziął do ręki słuchawkę i zatelefonował: „Barynia tym wozem nie pojedzie, przysłać zaraz sanki”. Aż się zawstydziłam tych

swoich wymagań, a jednocześnie podziwiałam grzeczność i kulturę tego nieprzyjacielskiego żołnierza. Inna rzecz, że w tym przypadku – być może – wchodziła w grę nie tylko inteligencja, kultura i dobre wychowanie carskiego oficera, ale i rozkaz samego cara, żeby z ludnością polską obchodzić się jak najgrzeczniej i nie niszczyć jej, o ile nie wymaga tego potrzeba wojny.

Niedługo potem sanki zostały przysłane. Usiedliśmy wygodnie, a z nami kwatermistrz. Kwatermistrz w randze pułkownika był odpowiedzialny za aprowizację wojska. Taki zawsze urzędował za frontem, przyjeżdżał tylko na linię wieczorem, przywożąc, co potrzeba dla wojska, i badał, jakie będzie nowe zapotrzebowanie. Wszystko, co potrzebne było wojsku, wysyłał furami.

Pojechaliśmy zatem do Turzy nie wprost drogą, gdyż reflektory nieprzyjaciela stale przeszukiwały teren i natychmiast naprowadzały karabiny lub działa na cel. Z dworu wyjechaliśmy, trzymając się budynków, aby być mniej widocznymi, dalej przesuwaliśmy się wśród wiejskich budynków, dopiero koło cmentarza, który był zadrzewiony, wyjechaliśmy na otwarte pola. Naraz sanki utknęły. Wjechaliśmy w zaspę i ani rusz dalej!

Mężczyźni, a nawet i ja, wyszliśmy z sanek i pchaliśmy je z całych sił, aż wreszcie konie ruszyły i wyciągnęły nas z zasy. Mąż wsiadł, a furman i kwatermistrz szli obok sanek i uważali, aby nie wpaść w zaspę. Pan kwatermistrz trzymał stale rękę na sankach, by nie dopuścić do ich wywrotu. Tak dojechaliśmy do szkoły w Turzy.

Koledzy nasi, z którymi łączyły nas od dawna stosunki koleżeńskie, a nawet wydawało się, że i przyjacielskie powitali nas bardzo niechętnie i nie dziwię się temu. W takiej ciasnocie żyć w jednym pokoju to się nikomu nie uśmiechało. Do tego pani Jędrusiakowa była niepomrotnie zazdrosna o swego

męża. A był on rzeczywiście bardzo przystojny, a w pożyciu z nią nieszczęśliwy. Robiła mu przy każdej sposobności sceny zazdrości. Dla mnie to obcowanie z nimi w jednym pokoju było nadzwyczaj przykre. Kwatermistrz ich uspokoił, że tylko chwilowo się u nich zatrzymamy, dopóki nie wyszuka dla nas porządnego pomieszczenia, a prowiant dla nas będzie on dostarczał. Po tych słowach wypogodziło się oblicze mojej koleżanki. Po herbatce, nie rozbierając się, przytuliłam głowę do dzieci i zmożona świeżym powietrzem wkrótce zasnęłam.

Ksiądz Majewicz – proboszcz z Turzy – gdyśmy go odwiedzili, a żyliśmy z nim bardzo serdecznie, opowiedział nam, jak on ciągle bał się o nas, jak prosił państwa Jędrusiaków, żeby nas wzięli do siebie, bo to jest straszne żyć na linii bojowej i w każdej chwili czekać na śmierć, lecz ona się wzbraniała. Ksiądz chciał nas nawet sprowadzić do siebie, choć mieszkał tylko w jednym pokoju. Było to nie na rękę państwu Jędrusiakom, gdyby nauczycieli z sąsiedniej wsi przyjął ksiądz, a nie koledzy. „Chwała Bogu – cieszył się ksiądz proboszcz – żeście już tu przyjechali cali i zdrowi, a o żywieniu was to już plebania pomyśli”. Popłakaliśmy się wszyscy, mając nadzieję, że może jakoś w tych nowych warunkach przeżyjemy okres wojny. Nie przeczuwaliśmy wtedy, że to nie koniec naszych udręk, że i tego miłosiernego księdza, za jego dobre serce dla nas, czeka nieszczęście.

Pierwszy dzień rano u obcych i niezbyt życzliwych ludzi rozpoczął się od wizyty kwatermistrza, który przyszedł z żołnierzem i przyniósł nam na śniadanie: biały, piękny chleb, masło, ser, cukier, czaj, i pytał, czy to mają gotować żołnierze, bo prócz tego mają coś z mięsa i coś do obiadu. Oddałam to w ręce koleżanki do wspólnego użytku, bo przecież nie miałam żadnego naczynia ni garnka do gotowania, więc głupio mi było pętać się po cudzej kuchni i rządzić się jej naczyniami. Natomiast Marysia, która była także z nami, pomogła jej gotować.

Ponieważ przyjechałam tylko w jednym śniegowcu, a wyjechałam w dwóch zapytałam pana kwatermistrza, czy przypadkiem w sankach nie został mój kalosz. Jeśli go tam nie będzie, to pewnie został w tej zaspie, kiedy zesłam z sanek. Na to pan pułkownik powiedział, że żołnierz pójdzie i poszuka. Prosiłam, żeby tego nie robił, gdyż on może to przypłacić życiem, a to przecież taka drobna rzecz. Nie rzekł na to nic, ale w południe żołnierz przyniósł mi śniegowiec. Znalazł go w zaspie w biały dzień. Naturalnie nagrodziłam żołnierza, ale panu kwatermistrzowi pogroziłam palcem, dziękując mu za to. Widzicie kochani, że w armii carskiej panował posłuch dla oficerów, a w Czerwonej Armii żołnierze bili ich „*po mordu*” jak swych towarzyszy. Widziałam to na własne oczy w czasie drugiej wojny światowej w 1945 roku.

Zdarzyło się, że czerwonoarmijec wyrwał mi raz teczkę z ręki. Poskarżyłam się przechodzącemu oficerowi, który siłą odebrał teczkę żołnierzowi, bo ten nie chciał jej oddać, a wtedy żołnierz uderzył oficera w twarz i zwymyślał go rodzieskimi przekleństwami i wyzwiskami od „takich” synów, a oficer nawet się nie odezwał, tylko szybko się oddalił. Takie wojsko nie może się podobać – ani rygoru wojskowego, ani szacunku dla przełożonych.

Ten pierwszy dzień mego przyjazdu do szkoły w Turzy upamiętnił się jeszcze takim ważnym dla mnie epizodem. Po obiedzie moja córka Dziunia stanęła w zamkniętym oknie, plecami do okna i oparła się o jego futrynę, słuchając rozmów, jakie prowadziliśmy. Wtem nastąpił huk. Zobaczyłam pękający szrapnel przed oknem i usłyszałam dźwięk tłuczonej szyby. Dostrzegłam z przerażeniem, że jedna okrągła kula ze szrapnela przebiła szybę i sunęła wzdłuż głowy mego dziecka, poruszając jej włosy, aż wreszcie już nieszkodliwa upadła na podłogę.

Wystarczyłby jeden centymetr niżej, a przejechałaby cały mózg mego dziecka przyprowadzając je o niechybną śmierć. Zaniemówiliśmy ze zgrozy! Byłam blada, a całą mą postać

trzęśla nerwowa febra. Widziałam w tym wypadku miłosierdzie, niemal cud Boży, i westchnęłam z ogromną podzięką ku Bogu za tę wyraźną łaskę. Natomiast pani Jędrusiakowa powiedziała do nas, że to za nami idą kule, bo dotąd nie widziano ani jednego szrapnela w Turzy, ani żadnego wybuchu.

Od tego wypadku upłynęło nam w spokoju zaledwie trzy dni. W czwartym dniu po naszym przybyciu ubrałam rano siebie i dzieci i po porannej modlitwie zabraliśmy się do śniadania, gdy wtem usłyszeliśmy niesamowity szum, gwizd i straszliwy huk. W tejże chwili wpadli do naszego pokoju, do którego drzwi się same otworzyły, żołnierze przeżeni i okrwawieni i natychmiast wypadli z niego na podwórze. My wszyscy poszliśmy za ich przykładem. Chwyciłam tylko na ręce Zosię i jej płaszcz i zaczęłam biec przed siebie w pole. Pędziłam z mężem i dzieckiem, nie wiedząc, gdzie pozostałe dwoje dzieci. Widzieliśmy uciekających ludzi, za którymi goniły szrapnele i kulki z karabinów maszynowych. Po drodze przyłączył się do nas przerażony Adaś, ale o Dziuni dalej nic nie wiedzieliśmy. Dobiegliśmy tak do granicy Rzepiennika i tu stanęliśmy bezradnie – trzeba szukać Dziuni, ale gdzie? Czy należy wracać z powrotem do szkoły? I tu znów objawiła się w pełni opieka Boża nad nami. Patrzymy, a tu drogą jedzie na koniu ksiądz z Rzepiennika od chorego. Widząc nas takich stroskanych, zapytał, czy kogoś nie szukamy, bo tam u chorego, od którego jedzie jest dziewczynka. Ona rzewnie płacze, gdyż zgubiła tatusiów. Towarzyszy jej siostrzeniec księdza Baraniewskiego, Wiktorrek. Zawołaliśmy z radością: „To nasze dziecko, gdzie możemy je znaleźć?”. Pokazał nam ten dom i rzekł: „Spieszcie się państwo, bo ten dom obstawiony jest rosyjskimi armatami, które ciągle strzelają. Jak te armaty Niemcy wymacają, to w tej chałupie zginą

wszyscy. Dziewczynka zaś od tych strzałów płacze i drży ze strachu”. Pospieszyliśmy w tę stronę, lecz nie uszliśmy daleko, a tu rzuca się nam z płaczem na szyję Dziunia prowadzona przez Wiktorka, siostrzeńca księdza Baraniewskiego. Wyjaśnił on, że prowadził Dziunię na plebanię w Rzepienniku, by się nią tam zaopiekowali, ale kiedy już się rodzice odnaleźli, to ją oddaje w najwłaściwsze ręce.

Muszę wyjaśnić, że ten wspomniany Wiktor był kucharzem-cukiernikiem na dworze króla bułgarskiego. Przyjechał na urlop do Polski, odwiedził swego wujka w Staszkówce i tu go wojna zastała. On to właśnie u swego wujka w Staszkówce przygotował wystawną kolację dla generalicji rosyjskiej. Goście ucztę tę nazwali królewską. Było to wtedy, kiedy ja wyprowadziłam się ze szkoły na plebanię w obawie przed Kozakami.

Po tym wypadku w szkole w Turzy poszliśmy na dalszą tułaczkę. Szliśmy granicą między Turzą, a Rzepiennikiem. Drogę zastąpił nam niespodziewanie wąwóz ukryty wśród drzew i krzaków i w nim mogliśmy odpocząć. Jakaż tu panowała cisza. Pierwsze kwiaty wiosenne ustroiły bogato ściany wąwozu, a ptaszki świergoliły, boć to przecież był już marzec – wiosna kalendarzowa – a przyroda nic się wojną nie przejmowała, wszystko w niej przebiegało według stałych planów Bożych. Taka w tym wąwozie była cisza, takie bezpieczeństwo, że się tu chciało zamieszkać, sklecić jakiś szałas i w nim przebywać. Później zbudowaliśmy sobie w jednej ścianie wąwozu mocną ziemiankę na słupach i kryliśmy się w niej nieraz podczas niebezpieczeństw.

Ale dzieci po tej ucieczce były bardzo głodne. Nie mieliśmy bowiem wszyscy od samego rana niczego w ustach, więc nie czas było roztkliwiać się nad pięknnością przyrody – trzeba było poszukać ludzi i pożywienia. Tylko myśl rozbudzona pięknem przyrody krzyczała wprost do rozumu: Czemu się

mordujecie, po co się zabijacie? Czemu tylu młodych ludzi zamiast cieszyć się pięknem świata, ginie poszarpanych granatami, z dala od swoich ukochanych? O jakże straszna i niepotrzebna jest ta wojna, każda wojna!

Odpocząwszy chwilę, dźwignęliśmy się i wyszliśmy na pagórek. Przed naszymi oczyma roztaczała się nieduża równinka, skąpana w słońcu, a na niej kilka domów. Zbliżyliśmy się do jednego z nich, weszliśmy do wnętrza, prosząc o przytułek lub chociażby o kęs chleba i garnuszek mleka dla dzieci. Opowiedzieliśmy im swoją dolę, a gospodyni ze łzami w oczach zaczęła krzątać się koło śniadania dla nas. Byli to Kamykowie.



Katarzyna Szatko, nauczycielka w Staszówce

W RODZINIE U KAMYKÓW

Katarzyna Szatko

Kamykowie to skromna, niebogata rodzina składająca się z pięciu osób: córki i dwóch nieletnich synów. Przyjęto nas serdecznie, bez słowa sprzeciwu i niechęci. O nauczycielach staszkowych słyszeli – jak mówili – z opowiadania ludzi staszkowych, którzy bardzo chwalili swoich kierowników i z szacunkiem się o nich wyrażali. „Cieszymy się więc, że będziemy państwu mogli w czymś dopomóc i oddajemy wam naszą izbę za mieszkanie”, mówili. Izba była duża, niezagracona. Dwa łóżka stały pod jedną i pod drugą ścianą, w środku stolik pod oknem. Jedno łóżko zajął mąż z Adasiem, a drugie ja z dziewczynkami. Marysia spała w kuchni z kobietami, a gospodarz z chłopcami w stajni. Co do wyżywienia, to prosiłam o mleko dla dzieci, a także o ziemniaki, chleb i kapustę dla nas. Powiedziałam przy tym, że: „Na razie jednak musicie nas, niestety, zacni gospodarze, żywić na kredyt”.

Dowiedzieliśmy się, że kwatermistrz nas poszukiwał, więc mój mąż zgłosił się do niego. Ucieszył się, żeśmy ocalili i oświadczył, że zaprowiantowanie nasze bierze na siebie. Zaraz więc mężowi załadował teczkę żywnością. Odtąd mąż miał się do niego zgłaszać po wszystko, czego nam potrzebna. Byliśmy zatem spokojni, że nie zabraknie nam cukru, chleba

i masła. Nierzadko na stole biednych wysiedleńców znalazło się mięso i ryby.

Kiedy mąż był u kwatermistrza, postanowił odwiedzić proboszcza z Turzy, księdza Majewicza. Na plebanii dowiedział się od jego siostry bardzo przykrej wieści. W ów dzień po ostrzelaniu Turzy z najcięższych dział, kiedy przerażeni uciekliśmy ze szkoły, pocziwy nasz przyjaciel, widząc żeśmy wyszli bez śniadania, wziął do teczki chleb i masło, pytając ludzi po drodze, czy nie widzieli gdzieś nas, bo niesie nam śniadanie. Chciał nas pożywić, a dzieciom dać mleko, które miał w butelce. Rosjanom się to łożenie po polach nie spodobało, uznali go za szpiega, który Niemcom daje znaki, gdzie mają strzelać, i biedaka zaaresztowali. O jakże nam było przykro, że to nieszczęście stało się z naszego powodu, z życzliwości dla nas. Wyprawiono go wraz z jeńcami do Rosji. Od tego czasu wszelki słuch o nim zaginął. Upłynęło kilka miesięcy i dopiero na święta Bożego Narodzenia przyszedł zbiedzony na plebanie i opowiedział nam swoje przeżycia. Szedł z żołnierzami wziętymi do niewoli, głodny, zmęczony, gdyż o jeńców nikt się specjalnie nie troszczył.

W Lubaczowie, gdzieś koło Lwowa, z wycieńczenia i choroby upadł na rynku zemdlony. Tamtejszy proboszcz zabrakł chorego do siebie, lecz niczego nie mógł się od niego dowiedzieć, bo ten z gorączki stracił przytomność. Ksiądz i tamtejszy lekarz opiekowali się nim nadzwyczajnie, choć nie sądzili, że zdołają go utrzymać przy życiu. Przychodził jednak z wolna do zdrowia i dopiero po dziewięciu miesiącach przyszedł do swojej parafii. Nie mogliśmy mu wrócić cierpień, jakie poniósł z naszego powodu, ale jakże nam ulżyło, gdyśmy go żywego zobaczyli. Cieszyliśmy się bardzo, że nie utracił życia za ten piękny i szlachetny uczynek względem swych przyjaciół. Wtedy też dowiedział się, co było powodem tego niesamowitego huku i wstrząsu powietrza w Turzy. W dzień ten bowiem Niemcy po raz pierwszy wystrzelili bertę na froncie wschodnim – największy pocisk, jakim dysponowała armia

niemiecka. Widziałam tego „gada” niewystrzelonego, na którym jakiś Niemiec napisał: *schoenes, kleine Dingerchen* (piękna, mała zabawka). Pocisk miał długość chyba jednego metra. Otóż tę „zabawkę” Niemcy wystrzelili na Turzę. Pocisk, lecąc, samym tylko podmuchem wyrывał drzewa. Przelatując nad turzańskim kościołem wyrwał drzewo z korzeniami, przerzucił je ponad kościołem, a następnie przeleciawszy nad nim upadł na gościniec w odległości kilkunastu metrów od szkoły i eksplodował. Wybuch zerwał kawał dachu, wyszklilił wszystkie okna, zburzył część szkoły i przeraził swą siłą, grzmotem i podmuchem żołnierzy, osłabiając w nich ducha bojowego. „Nie ostoimy – mówili – przed takim gadem”.

Z takimi to wiadomościami powrócił mąż z terenu, który do tego czasu był wolny od strzałów. Przyniósł ze sobą pełną teczkę żywności. Tak więc uwzględniając regularne nasze zaopatrzenie, życie zaczęło się nam układać coraz znośniej, a najważniejsze było to, że byliśmy wolni od strzałów. Gospodarze byli tacy grzeczni i mili, że czuliśmy się jak w rodzinie, jak u siebie. Nic nas nie krępowało i trzymało w napięciu. Lecz, niestety, niedługo trwało to nasze dobre samopoczucie. Oto bowiem, gdy pewnego dnia stałam na wzgórzu, obserwując, co się dzieje na froncie, zauważyłam zbliżających się do naszego domu państwa Jędrusiaków – nauczycieli z Turzy. „Pocziwi – pomyślałam – chcą się pewnie dowiedzieć, jak żyjemy i zapytać w czym nam mogą pomóc”. Byli to bowiem ludzie bezdzietni, dobrze zagospodarowani i dobrze się mający. Śmiało można było powiedzieć, że byli to ludzie zamożni. On pochodził z Turzy, miał tu swoją rodzinę i z ojcowizny należała mu się jakaś część majątku.

Nic więc dziwnego, że pierwszą moją myślą na ich widok było to, że spieszą nam z pomocą. Tymczasem – proszę sobie wyobrazić – przyszli po to, aby z nami zamieszkać u Kamyków. Zatrzęsły się pode mną nogi ze strachu i ze zdziwienia. Jakże to, ludzie mający takie dobre warunki do życia, a w szkole do tego wcale porządne mieszkanie, bo tylko klasy zostały

uszkodzone, godzą się na mieszkanie w jednej izbie z drugą obcą rodziną, która do tego ma dzieci, a one nie zawsze są przecież aniołami i często płaczą z braków i niewygód – to wprost wydawało mi się nie do uwierzenia. Nie mówiąc nic, bo to nie my tutaj byliśmy gospodarzami, Kamykowie, którzy ich nie lubili – o czym nam nieraz wspominali – oniemieli też ze zdziwienia. Kamyk rzekł: „Państwo do nas na mieszkanie? Przecież macie szkołę, macie brata i inną rodzinę. To jest bardzo dziwne! Gdzież ja was umieszczę, przecież izba jest już zajęta przez państwa ze Staszkówki”. Odpowiedzieli: „A jednak tutaj zamieszkamy, tu nam będzie bezpieczniej”. Kamyk robiąc szeroki gest ręką powiedział: „Ale miejsca u mnie nie ma, może państwo pójdą do sąsiedniego domu, tam mają większe mieszkanie i więcej miejsca”. Pani Jędrusiakowa nie pomna ani na zazdrość o męża, ani na skrępowanie siebie i nas odrzekła zdecydowanie, że się stąd nie ruszy i basta! Cóż było robić? Mąż z naszym chłopcem usunął się im na noc z łóżka i oni oboje je zajęli. A my – mój Boże – gospodyni postawiła przy naszym łóżku z jednej i z drugiej strony ławki. Dziewczynki spały na poduszce z jednej strony, a chłopiec w ich nogach. Ja spałam na gołej ławce od ściany mając głowę wspartą na poduszce przy dziewczynkach. Mąż ułożył się na drugiej ławce. Miałam zabezpieczenie ścianą, a mąż mógł w każdej chwili przy obracaniu się na drugi bok spaść na ziemię. Spać, tośmy w tych warunkach prawie że nie spali. Wstawaliśmy połamani, kości bolały, że i ruszać się, i chodzić nie mogliśmy.

Gospodarze litowali się nad nami i na drugą noc podłożyli nam na ławki trochę słomy, a męża zabezpieczyli przed upadkiem stołkami z oparciem. I zaczęło się znów życie nieskończenie przykre. Skrępowanie było zupełne – ani się rozebrać, ani ubrać, bo obce oczy stale na ciebie patrzyły, a takie były one przy tym złośliwe, krytyczne, a język tak dokuczliwy. Do tego ci dwoje na łóżku klęli, kłócili się, wymyślali sobie. Często po kłótni on wychodził ze złością w pole.

A dzieci to wszystko obserwowały i nasłuchiwały się przy tym wielu nieprzyzwoitych i ordynarnych wyrazów. Co to było za życie. To nie życie, lecz piekło małżeńskie.

Raz mała Zosia, patrząc przez okno dostrzegła powracającego z pola Jędrusiaka. Zawołała więc do jego żony: „Pani, pani, idzie panin wąż”. U niej mąż i wąż miały to samo brzmienie. Żona z satysfakcją i zadowoleniem odrzekła: „Dobrze mówisz dziecko, bo to jest prawdziwy wąż, a nie mąż”.

Dopiero później zrozumieliśmy, dlaczego nas męczyli swoją obecnością. Nam, jako wysiedlonym z frontu bojowego, należała się opieka wojska, a oni tej opiece nie podlegali, więc postanowili z niej niejako nielegalnie korzystać. Mąż przynosił żywność, Marysia gotowała, myła naczynia, a ona raczyła jej rozkazywać, czego sobie życzy, co chce mieć na obiad itp. A teraz podziwiajcie naszą moc i siłę. Ani raz nie pokłóciliśmy się, w ich kłótniach nie braliśmy nigdy udziału, ani słowem nie mieszaaliśmy się do ich spraw, choć nas ciągle wciągali, pytając, które z nich ma rację. Kamykowie pluli na ich zachowanie, a nas coraz więcej szanowali. Marysia przy gotowaniu też się z gospodynią zgadzały, pomagały sobie nawzajem i ustępowały, gdy tego wymagała potrzeba. Marysia gotowała najprostsze potrawy jak rosół, zupę, ewentualnie pieczeń, jeśli było mięso, ziemniaki, kapustę lub podawała kwaśne mleko. Kamykowa natomiast gotowała paciarkę na mleku, ziemniaki i śliwiankę, i co się jeszcze znalazło w gospodarstwie.

Obiad u Kamyków wyglądał odmiennie aniżeli u nas. Na środku kuchni stawiano krótką, ale dosyć szeroką ławę. To był stół. Dokoła niego, na małych stołkach siadało ich pięcioro. Na środku tego niby stołu stawiano miskę z jedzeniem, a zebrani do obiadu uzbrojeni w duże drewniane łyżki sięgali nimi do miski, niosąc później jedzenie do ust. Rzecz ciekawa, mimo oddalenia od miski nie rozlewali jedzenia z łyżki – tak byli wyrobieni w kunszcie tej czynności.

Piszę to dlatego, ponieważ moja Zosia, która nie miała apetytu i z nami przy stole prawie nic nie jadła, podczas ich obiadu stała i jak zauroczona patrzyła na nich. Wzrok jej szedł za każdą łyżką jakby pragnęła, żeby ona mogła tak samo jeść. Widzieliśmy to i my, i Kamykowie, więc dawano jej z ich jedzenia do garnuszka wszystko to, co oni jedli, ale to było dla niej bez znaczenia. Ona chciała jeść razem z nimi i tak nieść na łyżce jedzenie daleko, jak oni to robili. Kamykowie położyli dla niej mniejszą drewnianą łyżkę przy misce i jak my nie widzieliśmy, ona próbowała tak samo jeść. Aż raz gospodyni powiedziała do mnie: „Niech pani pozwoli dziecku jeść z nami, przecież mamy gęby zdrowe, nie owrzodzone, to się nie zaraz, a może przyjdzie jej apetyt”. I pozwoliłam, a oni uważali, aby przy jej łyżce nie ruszać jedzenia, a dziecko naprawdę chętniej jadło zdrowsze jedzenie niż mięso i bardzo słone ryby. Zwłaszcza ich śliwianka ze suszonych śliwek wszystkim nam smakowała, a także karpie na mleku. Do wspólnego ich stołu przysiadła się niekiedy Marysia. Wtedy Zosia czuła się jeszcze lepiej i swobodniej i lepszy miała apetyt.

Jeszcze przed zadomowieniem się Jędrusiaków u nas, mąż z Kamykiem i chłopcami pomyśleli o zrobieniu w wąwozie mocnej ziemianki, by w razie niebezpieczeństwa można się było w niej ukryć. Wykopano wielką jamę w ścianie wąwozu, która chroniła przed strzałami od strony frontu. Nad głowami podparto ziemię mocnymi słupami i zrobiono dach z desek wysunięty ponad ziemiankę. W środku była ławeczka i stołeczki, a sama ziemianka była wyścielona suchymi liśćmi i sianem, natomiast boki i drzwi zrobione zostały z żołnierskich nieprzemakalnych derek. Był to po prostu domek i kiedy pokazaliśmy tę naszą ziemiankę lekarzowi rosyjskiemu i kwatermistrzowi, unosili się nad rozumną robotą i kunsztem budowlanym. Powiedzieli, że tu nas żadna kula nie dosięgnie bez względu na to, z której strony by strzelali. Wyjaśnili, że kula przeleci nad wąwozem, nigdy nie zboczy do środka i udowadniali to naukowo. Tu już możecie przeżyć

najcięższą wojnę. Na końcu pogratulowali wykonawcom, to jest mężowi i Kamykowi ich zdolności inżynierskich.

Pewnego dnia stanął przed oknami naszego domu żołnierz na koniu. Wyglądał na Kozaka. Akurat rano śpiewaliśmy wszyscy godzinki. Kozak kazał przytrzymać chłopcu Michałowi swego konia, a sam wszedł do mieszkania i słuchał. Nikt się do niego nie odzywał, a Kamyk pokazał nawet wymownym gestem na kapelusz – czapkę wojskową. Kozak zrozumiał i obnażył głowę. My zaś dalej ciągnęliśmy nasz śpiew. Po pewnym czasie Kozak zaczął się niepokoić i złościć, a my nic, jakby go nie było. Klękamy i dalej śpiewamy: *Z pokłonem Panno święta*, a Kozak zaczął już coraz głośniej mruczeć. Wreszcie skończyliśmy i powstali. Wtedy Kozak krzyknął na Kamyka: „Dawaj *nuże sieno!*”. Wtedy ja stanęłam przed nim i rzekłam stanowczo: „Nie dostaniesz siana. Nas tu *naczelstwo* przywiozło i kazało im żywić nas i dawać mleko nam i *ditoczkom* – jak ty weźmiesz siano to krowy nie dadzą mleka”. Kozak na to: „*Nie bres*” i wyciągnął jakąś pistolecinę, grożąc mi nią. „Schowaj, bo ja się ciebie nie boję”. A on na to: „Ja cię do generała zawiozę – on ciebie *skażu!*”. Stanęłam przed nim i powiedziałam: „No bierz, ja idę z tobą do generała, on mnie ugości, napije się ze mną *czaj*, a ty dostaniesz po *mordu!*”. Chłop zupełnie zgłupiał i zapytał Kamyka: „Kto to jest?”. A gospodarz rzekł mu: „To wielka dama i *naczelstwo* ją szanuje”. Chłop spuścił z tonu, jeszcze chwilę postął i wreszcie odszedł spokojnie. Tak więc swoim zuchwałym wystąpieniem uratowałam gospodarzowi siano. Kiedy się sąsiedzi o tym dowiedzieli, wzywali mnie na pomoc w razie najazdu na ich paszę. Trzeba po prawdzie powiedzieć, że generała znałam osobiście, bo musieliśmy się stawić do niego w Rozenbarku do podpisu jakiegoś papieru i on rzeczywiście ugościł nas herbatą.

Muszę wyznać szczerze, że ciężko mi było w tych dniach dlatego także, że w tych upiornych czasach nie miałam właściwie żadnego zajęcia. Z naszą miłą koleżanką nie miałam żadnych tematów do dyskusji, a plotkować nigdy nie lubiłam.

O jakże zdałaby mi się wtedy gazeta lub książka do czytania, lecz o tym nie mogłam nawet marzyć. Moja biblioteka została rozniesiona po całym świecie. Marysia przekradała się wprawdzie do Staszkówki dwa razy. Uzbierała tam trochę potrzebnych rzeczy i wieczorem razem z Wiktorkiem fosami przenosili te rzeczy w węzełkach. Ale była to droga bardzo niebezpieczna, zabierała więc tylko to, co najpotrzebniejsze, a o książce nawet nie pomyślała. Wychodziłam więc na górę z różańcem i przeważnie patrzyłam na świat. A było na co patrzeć. Z góry roztaczał się olbrzymi widnokrąg, a na nim przyroda malowała cudowne krajobrazy, z każdej strony tego koła inne. Oczu oderwać nie było można, a tylko trzeba było się zachwycać patrząc na te widoki. W którą stronę byś okiem nie rzucił widziałeś wszędzie kwitnące sady, a przede wszystkim kwitnące wiśnie. W tej okolicy, a zwłaszcza w Staszkówce, całe zbocza wzgórz obsadzone były wiśniami. Można było śmiało powiedzieć – kwitnące wiśnie jak w Japonii.

Nie dziwię się, że jeden z żołnierzy niemieckich, który z okopów patrzył na staszkowski wzgórze, pełne kwitnących wiśni, tak napisał do swych ojców: „O jak tu pięknie! Przed oczyma mam jeden biały bukiet kwiatów. Wobec tego widoku niczym wydaje się Szwajcaria – a ja wśród takiego przepychu i piękna idę prosto w objęcia śmierci”. I rzeczywiście padł on w czasie przełamywania frontu. Ten list pokazywał nam jego ojciec – radca Krüger – gdy później przyjechał z Berlina na jego grób. Mieszkał tydzień u mnie. Przyjechał umyślnie w czasie kwitnienia wiśni, bo chciał widzieć to, na co jego syn patrzył w godzinę swej śmierci. Znalazł jego grób. Przyjechał z żoną i córką, wysiadali przy grobie całe dni. Przychodzili spłakani i mówili: „Ten widok, na który spoglądał nasz syn, jest tak cudowny, że niczego piękniejszego nie widzieliśmy w życiu, przeto czujemy, jak mu było ciężko umierać”. Próbowaliśmy ich pocieszyć słowami, że powinni być dumni, że mają syna bohatera. Na to ojciec Krüger mi odpowiedział: „Co mi z bohaterstwa, kiedy syna nie ma. Chociażby Niemcy cały

świat zawojuwały, to mi nie wrócą mego szczęścia, nie wrócą mi jedynaka, takiego utalentowanego młodzieńca. Miał zdolności muzyczne, grał pięknie na fortepianie. Rozmawiał się w polskich pieśniach i grywał je najczęściej, jak gdyby przeżywał, że w polskiej ziemi będzie jego grób”. Po tej wizycie w Staszówce pan Krüger przysyłał mi co roku świąteczne życzenia, które mu serdecznie odwzajemniałam. Kiedy jednak otrzymałam od niego życzenia w 1939 roku z komentarzem, że dopiero teraz będzie na polskich ziemiach należyty porządek, że dopiero pod administracją niemiecką będzie stworzony prawdziwy dobrobyt, postanowiłam ostatecznie przerwać tę znajomość. Doszłam bowiem do wniosku, że nawet najtragiczniejsze osobiste doświadczenie i nieszczęście nie potrafi niemieckiej duszy przeobrazić w sposób rzeczywiście chrześcijański.

Charakterystycznym wyzwaniem tego czasu była śmierć pana Krügera na grobie swego jedyne wnuka, który poległ na froncie wschodnim w 1943 roku. Pan Krüger nie został o tej śmierci powiadomiony. Dopiero przypadkiem odczytał on tabliczkę na mogile sąsiedniego grobu, na której wyryte było imię i nazwisko jego wnuka. Serce jego nie wytrzymało tego potężnego szoku i jak wynikało z przesłanej mi klepsydry żałobnej, zmarł na atak serca na mogile swego jedyne wnuka.

Pewnego dnia moja koleżanka poszła „na bajki” do pobliskich domów, mąż z trójką starszych dzieci na pole z Kamykiem, przy mnie Zosia bawiła się, zbierając kwiatki, a ja tak zapatrzyłam się w piękny krajobraz, że całkowicie utonęłam w moich myślach i zapomniałam o całym świecie. Z tego zamyślenia zbudził mnie głos: „Barynia, ty żyjesz i jesteś tu, niedaleko frontu, o jakże się cieszę! Ja cię tak *iskałem* (szukałem), tak *iskałem*, wiele razy pytałem żołnierzy i oni tu mnie wreszcie skierowali. Widać, żeś wiele przecierpiała, liczko ci zbledło, rumieńce zniknęły, ale zawsze jesteś krasna i słodka, choć nieczuła dla Rosjan, których nienawidzisz”. „Doktorze – odparłam – to prawda, że nienawidziłam Rosjan, ale kiedy

poznałam ciebie i kwatermistrza, widzę, że i u was są dobre i szlachetne serca. Lubię was obu i bardzo szanuję”. „To dobrze, że barynia mnie lubi i szanuje, a ja ją kocham. Ja tobie prawdę powiem o sobie. Jestem starym kawalerem. Brałem kobiety, panny i mężatki, ale żadnej nie kochałem. Dlatego nie wziąłem żonki, bo mi nie była potrzebna i sądziłem, że wszystkie kobiety są takie zdraadne jak te, które brałem. Aż wzięła mnie i moje serce nieszczęśliwa Polka, ale ja jej wziąć nie mogę, bo ona prawa żona, prawa matka, prawa Polka, a ja dla niej wróg Rosjanin. Mogę tylko na nią patrzeć i do niej się modlić jak do ikony. A mnie smutno, bo poznałem rozkosz wzniosłej i czystej miłości, jakiej uczył nasz Puszkina i wasz Mickiewicz, a także gorycz miłości nieodwzajemnionej. Pozwól mi, barynia, swój smutek i gorycz wypowiedzieć w dumce rosyjskiej”. I zanucił dwie dumki: jedna pod tytułem *Pożegnanie*, a druga *Żołnierz na warcie*. Obie były pełne takiego smutku i tęsknoty, że – ja zawsze wrażliwa na takie uczucia – bałam się, że się rozplaczę. Zamknęłam więc oczy, przycisnęłam je powiekami, lecz spod nich wypłynęły wolno dwie strugi łez i sznureczkiem zsuwały się po twarzy. On nic nie mówiąc, chwycił te łzy na swoją chusteczkę i rzekł: „Te twoje, barynia, łzy, to dla mnie brylanty, to twój dar na moje pożegnanie”. Potem się uśmiechnął i rzekł: „Nie zdzierzę, tylko je scałuję – ja żołnierz, powinienem brać bez pozwolenia. Jej, *Bohu*, zrobię to! Oj, gdybym ja cię mniej szanował i nie bał się, że cię obrażę, zrobiłbym to, bom żołnierz, rosyjska *sobaka*, w której coś także z Kozaka pokutuje. Wybacz mi te słowa!”.

Te dwie piosenki, już po wojnie śpiewała mi pani Luba, Rosjanka. Grała je u mnie na pianinie i nauczyła się je grać i moja Zosia. Słuchając ich, zawsze płakałam. Umiałam je na pamięć. Tęskna ich melodia jeszcze mi dźwięczy w uszach, tylko słów już nie pamiętam, jedynie dwa wyrazy „*skaży mene*” uczeły się mej pamięci.

Rosyjski wracz zaczął mi potem opowiadać o swej siostrze w Kijowie. „Barynia, ja o tobie pisałem do swej siostry,

jaka jesteś biedna i nieszczęśliwa, jakie jest ciężkie twoje życie i jak ja ciebie polubił. A ona mi napisała, żebym cię przysłał do niej. Będzie ci u niej dobrze, a ona będzie ci siostrą. Lecz ja jej tak odpisałem: »Nie znasz Polki, moja siostró, ona ma ciągle żal do Rosji, za krzywdy, jakie ona wyrządziła Polsce i jej narodowi i nigdy by się nie zgodziła jechać i szukać u nas opieki«. Czy dobrze napisałem?”, zapytał. „No dobrze, ale należy wziąć jeszcze pod uwagę i to, że jechać z dziećmi w tak niepewny, wojenny czas to jest niemożliwe. Należy także nie zapominać o tym, że my tu z mężem mamy posady i gdy wojna się oddali, to je musimy zaraz objąć. Jechać zaś do was i być na łaskawym chlebie, to lepiej tu cierpieć lub nawet zginać”. „Tak i ja dumał, że Polka nie przyjmie żebraczego chleba, ale napisałem siostrze, żeby przysłała bogatą paczkę dla mojej pacjentki, to barynia bez upokorzenia ją przyjmie”. „Przyjmę oczywiście – rzekłam – i będę bardzo wdzięczna”. I paczka przyszła, wielka i bogata. Dużo w niej było żywności, słodczy i delikatesów, a nawet coś do ubrania dla dzieci i dla nas. Cóż, kiedy musiałam się tym wszystkim podzielić. Z gospodarzami dzieliłam się chętnie, ale z tymi naszymi kolegami to powiem szczerze, że niechętnie i każdego drobiazgu dla nich było mi żal. Mieli bowiem oni dosyć wszystkiego, a wcale nie dzielili się z nami, tylko żyli naszym kosztem.

Później przyszedł do nas mąż z dziećmi. Obdarował je wracz słodyczami, a następnie cała nasza gromadka odprowadziła go do gaiku. W drodze pytał się mnie, kiedy obchodzę imieniny. Bardzo ucieszył się, że nas tak niewiele dni dzieli od tego święta. „Zapraszam się – powiedział – na tę uroczystość razem z kwatermistrzem i tymi dwoma pułkownikami, co się barynią opiekowali. Kwatermistrz pojedzie do Tarnowa po upominki, kupi dobre wino, wódkę i powiedz, co więcej, czym by można było cię ucieszyć, co by ci zrobiło przyjemność – nie dostanie tego w Tarnowie, to pojedzie to Krakowa”. Trochę się tą zapowiedzią przestraszyłam. Nie w głowie mi były przyjęcia, radości, bałam się, że mnie z tego

powodu może spotkać jakaś przykrość, chociażby od złego języka koleżanki. Proszę więc go serdecznie, aby tego nie robił. „W takim nieszczęściu jak wojna nie można się weselić. Ja zapraszam was panowie na szklankę czaju i na przyjacielską pogawędkę i pragnę, byśmy ten dzień spędzili szczęśliwie”. „No dobrze, dobrze. Barynia znów nie chce niczego od Rosjan, ale oni robią wszystko, byś nas wspominała jako dobrych ludzi i przekonała się, że i między Rosjanami są również szlachetni i dobrzy, a nie tylko sami krzywdziciele i *soba-ki*”. Po tych słowach rozstaliśmy się.

W innym dniu, z mojej górkі miałam sposobność obserwować atak Niemców na okopy rosyjskie. Słyszałam większą niż zwykle kanonadę. Widziałam błyski strzelających armat, pękające szrapnele i granaty, a dymy przysłaniały okopy. Z drżeniem czekałam na wynik tego natarcia. Bitwa trwała około trzy godziny. Nareszcie ucichła. Nie wiedziałam komu przypisać zwycięstwo. Wkrótce zaczęli wlec się zmęczeni i obłoceni Rosjanie. Zapytałam więc: „*Szczo takoje*”. Odpowiedzieli, że „Zdzierżyli, ale zginęło ich *mnoho, mnoho – ruki i nohy furkały* w powietrzu – został tylko ten, kogo sam *Boh* wybrał. Idziemy teraz na odpoczynek i dopełnienie kompanii, bo dużo z niej ubyło. Takie jest dzieło wojny”.

Innym razem z tego punktu obserwacyjnego dostrzegłam, jak zaczęło się ostrzeliwanie kościoła staszковского. W rezultacie tej kanonady zobaczyłam coraz większą chmurę czarnego dymu. Za chwilę wśród tego dymu widać było języki płomieni, zrazu niewielkie, a potem sięgające już ponad dym i wreszcie prześwieciły go tak, że widać było olbrzymie płomienie wystrzelające w niebo. „Pali się nasz kościół”, powiedziała sobie ze smutkiem. Ludzie wybiegali z domów i krzyczeli: „Jezus, Maryja, pali się kościół staszkowski!”. Zapłakałam serdecznie jak za kimś bardzo drogim. Bo i drogim był mi ten kościółek drewniany, zabytkowy, podobno z XII wieku, jak donosiła o tym kościelna kronika. Był to kościół pod wezwaniem św. Wojciecha, który w tych czasach

miął wielką sławę i wzięcie jako pierwszy polski męczennik i – jak donosi legenda – osobiście przebywał w tym miejscu. W wielkim ołtarzu była Matka Boska, którą nazywano Matką Boską Staszowską. Miała ona pogodną i roześmianą twarz. Wzrokiem swym zwracała się za człowiekiem, jakby go szukała i chciała go mieć zawsze przed oczyma. Świece Jej nieraz ubierałam kwiatami, które sprowadzałam aż z Krakowa i miło mi było patrzeć na to przybranie. Mówiłam do Niej: „To ja Cię, Matko, tak ubrałam, a za to proszę Cię miej opiekę nad moimi dziećmi”. Zapewne moje prośby przyjęła życzliwie, bośmy podczas tej wojny ze wszystkich niebezpieczeństw wychodzili cało, i czuwała, aby nam nigdy nie zabrakło dobrych ludzi do pomocy. Cóż ty teraz zrobisz, biedny ludu staszkowski? Zniszczyli ci kościół, spalili go, kiedyż ty biedoto zdobędziesz się na nowy Dom Pański?

A jednak staszkowscy zdobyli się na ogromny wysiłek i jeszcze przed drugą wojną światową stanął w tym samym miejscu niewielki murowany kościółek. Z wielkiego ołtarza tego kościółka znowu patrzy na swoich ludzi taka sama Matka Boska, którą malarz krakowski z fotografii odmalował. Ale stary kościółek lud opłakiwał serdecznymi łzami. Oprócz żalu za kościółkiem miałam jeszcze inny powód do smutku. Otóż i my, i ksiądz proboszcz staszkowski byliśmy tak srodze naiwni, iż sądziliśmy, że do kościoła strzelać nie będą, bo są to przecież wojska chrześcijańskie. O naiwności ludzka! Czy kościół może mieć jakiegokolwiek znaczenie w kampanii wojennej jako obiekt szczególnej wartości? Trzeba się więc przyznać, że spakowaliśmy do kuferków to, co mieliśmy najlepszego i najcenniejszego, a więc futra, lepsze ubrania, bieliznę stołową i pościelową z pięknego lnianego płótna zwanego dębowieckim. Miałam też w kufrze całą sztukę tego płótna dębowieckiego. Wszystkie te nasze skarby schowaliśmy w jakiejś skrytce na chórze kościelnym. No cóż, jak się kościół spalił to i w nim nasze skarby. Pomyślałam, że najważniejszą sprawą jest to, że żyjemy – wszystko inne można jeszcze zdobyć. I wyobrażcie

sobie, że kiedy kwatermistrz dowiedział się, że nasze rzeczy ocalały z pożaru zorganizował transport i odesłał je nam na górkę do Kamyków.

Ocalenie zaś tych rzeczy przebiegło w następujący sposób. Jeden z pierwszych strzałów armatnich urwał kawałek dachu kościelnego i w odsłoniętym otworze widać było spakowane kufry. Wiktorek, siostrzeniec księdza, wraz z parobkiem plebańskim, nie zważając na zagrożenie własnego życia, wyciągnęli kufry proboszczowe i moje i wśród gradu kul zawlekli je na plebanię. Ostatni kufer wyciągnęli już z płonącego kościoła. Po otrzymaniu tych wiadomości pomyślałam, że jednak i w tym wypadku doznaliśmy opieki Matki Bożej. Za marne usługi moje dla Niej oddała mi moje najcenniejsze rzeczy.



*Drewniany kościół w Staszówce – spalony w czasie działań wojennych I wojny światowej w marcu 1915 r.
(z kroniki Szkoły w Staszówce)*

WIELKANOC

Katarzyna Szatko

Na Święta Wielkanocne obie wojujące strony zgodziły się na dwudniowy rozejm. Staszkówka nie miała kościoła. Turza zaś nie miała księdza, dlatego też proboszcz staszkowski przyjechał do Turzy odprawić nabożeństwo. Naturalnie, nie było rezurekcji i procesji, była tylko zwyczajna msza święta, w której powtarzało się słowo „Alleluja”.

Nie mogliśmy bowiem śpiewać pieśni *Wesoły nam dziś dzień nastał*, bo nam na froncie nie było wcale wesoło. Dzieci zostawiłam w domu, a tylko oboje z mężem poszliśmy do kościoła. Kiedy weszłam, pełno było w nim ludzi w postaci pochylonej do samej ziemi. Musiałam sobie powoli torować drogę wśród tego tłumu. Kto z dotkniętych ręką podnosił głowę, ten zwykle wołał szeptem: „Boże – to nasze państwo, nasi kierownicy. Nie pojechali do Rosji, lecz są w Turzy” i zaraz szlochali. Niedługo w całym kościele słyhać było cichy szloch i ja też z nimi płakałam, bo to byli przecież ludzie ze Staszówki, ludzie nam dobrze znani, niemal przyjaciele. Po mszy św. obstąpili nas na placu kościelnym i płacząc i żaląc się, mówili do nas: „My teraz jesteśmy sierotami, nie mamy szkoły, nie mamy kościoła”. Ksiądz jednak nadal przebywał na plebanii, która ostała się mimo pożaru kościoła, chociaż była drewniana. Trzeba było

przecież zaopatrywać chorych i grzebać umarłych. Niebawem podszedł do nas proboszcz wymizerowany, nerwowy, ledwie trzymający się na nogach. Powiedział, że żołnierze rosyjscy mówili, że nas wywieziono do Rosji. Tyle mieliśmy do opowiadania, że zebrała się koło nas spora kupka staszковиaków, aż tu naraz rozległ się gwizd i trach, a nad naszymi głowami rozpruł się szrapnel. Rozbiegliśmy się wszyscy momentalnie. Na szczęście nie było ani rannych, ani zabitych. Po tej salwie każdy czym prędzej spieszył do własnego domu. My na górkę do siebie, do Kamiaków. Rosjanie dziwili się, że mimo rozejmu Niemcy strzelili. Sądził jednak, że to był wybryk kanoniera, który zobaczywszy dużo ludzi w kupie, postanowił sprawdzić swoje umiejętności strzeleckie. W te dwa dni bowiem rozejmu obie strony spotykały się ze sobą między okopami – żołnierze pili i gościli się wzajemnie. My jednak pospiesznie skierowaliśmy się w stronę naszej góry, gdyż nad naszymi głowami szrapnele rozpoczęły swój złowieszczy taniec.

W strachu dobiegliśmy do gaiku. Gaikiem nazwaliśmy mały las, który się pięknie przybrał na powitanie Zmarłychwstania Pańskiego. Drzewa zakwitły – każde stosownie do swojego gatunku. Wierzby zażółciły się i wysrebrzyły bażkami, wiśnie i tarnina witały uroczyście Święto Pańskie przybrane na białe, a kalina przybrała się w szkarłat królewski. Dołem, u stóp drzew, przyroda rozłożyła łąkę królewską, wiosenny dywan, cały zielony, a na nim wyhaftowała przeróżne wiosenne kwiaty. W kącie na tym dywanie spod ostatniej garstki śniegu wychylały się przebiśniegi i urocze śnieżyczki. Cieszyły się one wielkim uznaniem z tego powodu, że jako pierwsze startowały do słońca i za tę szybkość należało im przyznać nagrodę. Pierwiosnki w swej kremowej szacie wystawiły nachalnie na widok publiczny swe urocze kwiatki. Zachowywały się one jak wielkie zalotnice, starając się zwrócić na siebie uwagę pszczołek, które zwabione ich barwami szukały w urodnych kielichach pierwszej wiosennej słodyczy.

Krążyły więc nad nimi i z wdzięczności za tę słodycz grały im swymi skrzydełkami miłosną i wdzięczną piosenkę: sum–sum–sum. Na brzeżku tego gaiku ukryły się w trawie skromne fiołki. Fiolet ich sukienek przeglądał przez trawki, a woń cudowna kusila ku sobie. Zawilce jakby trochę zastrachane wysuwały ze swych zielonych sukienek białe główki z zapytaniem, czy wypada już je wystawiać do słońca. Biedne stokrotki, zawsze takie pokorne, nie wznosiły się zbyt w górę, raczej ścieliły się po ziemi, pozwalając po sobie bezkarnie deptać. W wilgotnym miejscu rozsiadły się jak kumochy grube kaczeńce, wystawiając złote swe kielichy na światło słoneczne. Grube, pyzate rozsiadły szeroko, a przy tym butne jak przekupki na Placu Szczepańskiego, chciały zapewne zwracać na siebie uwagę i zapraszać do ich zerwania. A ile jeszcze innych nieznanych mi wiośniaków usadowiło się na tym dywanie i przybrało go, i ustroiło w piękne, różnobarwne kolory. Czyż który milioner może poszczycić się takim bogatym dywanem? Nie kupi go za żadne miliony i nie pokryje nim podłogi w swoich salonach. Ten dywan i jego piękno darował Pan człowiekowi nie za gotówkę, lecz z miłości do niego, pragnąc tylko za to od niego wdzięczności. A wy jakoby najmądrzejsi uczeni wykradliście przyrodzie atom i cóż jej za to daliście poza morderstwami i zbrodniami popełnianymi na ludziach? A wy, co się tak spieszycie na księżyc, czy wiecie, czymże on was przyjmie i ugości, jakie piękno wam ukaże?

Badacze mówią, że tam panuje absolutna pustka i monotonna szarość. Nasza więc stara ziemia może poszczycić się bogactwem swego piękna, więc do niej zapewne wkrótce zwrócą się oczy emigrantów księżycowych, jeśli tam się osiedlą, i za nią będą bezgranicznie tęsknić.

Wróćmy jeszcze do naszego gaiku. Nie tylko szczycić się on może najwspanialszym żywym dywanem kwietnym – on ma także swoich stałych mieszkańców, którzy jako ptasia orkiestra powitali święto Zmartwychwstania Pańskiego

wszystkimi ptasimi głosami, świergocąc, gwizdając i gruchając po swojemu: „Alleluja”.

*Alleluja ptaszków
Dzień Bożego Zmartwychwstania
Ptaszki do śpiewu nagania
Więc też w górę podlatują
Jezusowi przyśpiewują
Alleluja!*

*Słownik zaczyna dyskantem,
Wróbel mu pomaga altem,
Szpak tenorem krzyknie czasem
A gołąbek gruchnie basem
Alleluja!*

*Wróbel szary nieboraczek
Wesoły, śpiewa jak żaczek
Dziw-dziw, dziw-dziw, dziw nad dziwy
Powstał z martwych Bóg prawdziwy
Alleluja!*

*Sikoreczka mu pomaga
Choć po zimie nie domaga.
Widzisz – z grobu Pan nasz wstaje
Głos i nowe obyczaje.
Alleluja!*

*Sikoreczka nie ustaje
Wciąż radości nam dodaje.
Widzisz, widzisz, Pan nasz żyje
Już go więcej grób nie skryje.
Alleluja!*

*Skowroneczek wzbił się w górę
Aż piórkami musnął chmurę
I rolnika stamtąd wzywa
Niech i on Panu zaśpiewa.
Alleluja!*

*Dzięcioł także Pana szuka
Gdzie Ty jesteś? W drzewo puka
Żyjesz, żyjesz miły Panie
Niech Cię chwali me pukanie
Alleluja!*

*Bocian stoi już na dachu
I tak bez żadnego strachu
Woła: wszystkie ptaszki Pana chwalcie
Wesoło Mu zaśpiewajcie
Alleluja!*

*Cóż ty boćku powiesz Panu
W twoim dziwnym klekotaniu?
Powiem: chwałę Twoje Zmartwychwstanie
Przyjmij me kle-kle-klekotanie.
Alleluja!*

Przestraszeni, dopiero kiedy dobiegliśmy do tego uroczego zadrzewionego zakątka, mogliśmy spokojnie odetchnąć. W środku tego jakby raju zamożny gospodarz, niejaki Kawa, zbudował sobie ładny domek i czuł się tutaj naprawdę jak w raju. Poradziłam mu, żeby zmienił imiona swoje i żony na Adama i Ewę i zaprosił niedowiarków, którzy w raj nie wierzą do siebie, by się mogli naocznie przekonać, że raj jest już tu, na ziemi, i to w Turzy, w tym uroczym gaiku.

Zapatrzeni w uroki tego gaiku nie zauważyliśmy, że z rajskiego pałacu Adama i Ewy Kawów wyszło czterech rosyjskich oficerów. Rozłożonymi rękami zagrodzili nam dalszy pochód na naszą górkę. Powitali nas słowami: „*Christos woskrest*”. Zrozumielśmy, co to oznacza. Tymi słowami witają się w Rosji wszyscy, nawet na ulicy, w święta Wielkanocne. To powitanie zgodnie z tradycją połączone jest z obejmowaniem się, ściskaniem i całowaniem. Dlatego bez dalszego sprzeciwu weszliśmy do domku rajskiego Adama i Ewy Kawów. Tu rozpoczął się obrzęd wielkanocny w rosyjskim wydaniu, a więc ściskanie, obejmowanie i całowanie. Bóg mi świadkiem, że dopiero co mocno wystraszona szrapnelami nie miałam najmniejszej ochoty do całowania, ale uchylenie się od tego zwyczaju byłoby uważane za osobistą obrazę oraz za brak poszanowania kultury zwyczajowej i religijnej. Natomiast wielką ochotę do całowania mieli oficerzy, wyposzczeni od uścisków i pocałunków kobiet. Toteż nadużywali tego zwyczaju, powtarzając co chwilę: „Chrystus zmartwychwstał”. Ściskana i całowana wołałam w desperacji: „Oficery – chłopcy, bo mi kości połamiecie, głębę rozbierzecie i dla moich dzieci nic nie zostanie”. Śmiali się serdecznie, lecz z ochoty do tych wyczynów bynajmniej nie rezygnowali. A wiecie, moi kochani, o czym ja przy tych pocałunkach myślałam? Jaka to szkoda, że zamiast tych czterech zupełnie mi nieznanych oficerów nie było moich czterech dobroczyńców: wracza, kwatermistrza i dwóch pułkowników – tego ze szkoły i tego z dworu. Toż bym ich ściskała i całowała prawdziwie i z serca. Jakże żałowałam, że nic mogłam im w ten sposób okazać swojej wdzięczności, bo nie uważałam tego za grzeszne i podpadające pod obmowę. Niestety, taka jedyna i wspaniała okazja minęła bezpowrotnie. Całe szczęście, że gęby tych oficerów były czyste, młode i wcale przystojne, więc poddawałam się temu obowiązкови bez wstrętu. *Nie daj Boh*, aby coś podobnego miało mnie spotkać od oficerów radzieckich, którzy z daleka cuchnęli brudem, a na ich gębach malowała się głupota i chamstwo.

Dalej zgodnie z tradycją musiało się popić i pokropić wódką tę uroczystość. Wódki nigdy nie lubiłam i mąż też nie, jeden zatem kieliszek wystarczał mi w zupełności, lecz odmowa groziła obrazą. Mimo więc wzbraniania się dociągnęliśmy z mężem do trzech kieliszków, a przy każdym z nich była znów okazja do całowania się. „Brrr – rzekłam – już dość tego, wódki nie lubię, ona mi po prostu szkodzi”. Potem ugościli nas bogato. Na święta podostawali paczki, a w nich mnóstwo specjałów mięsnych, rybnych i słodczy.

I tu znów muszę powiedzieć na korzyść Rosjan, że byli bardzo gościnni, mieli dobre serca i wszystkim, co mieli, to się dzielili z ludźmi. O tej ich zalecie mówili też znajomi z Gorlic, którzy podczas oblężenia miasta żyli skazani na współżycie z nimi, a w zakresie wyżywienia byli prawie całkowicie od nich uzależnieni. Trzeba zatem powiedzieć, że jak byli głodni, to rabowali, wrodzona była też im kradzież, lecz jak coś mieli, to się tym dzielili.

Po skończonej uczcie obdarowali nas żywnością i odprowadzili na naszą górkę. Obiadu w domu już nie potrzebowaliśmy robić. Dzieciom sporo się dostało z tego, co przynieśliśmy. Tym też można było obdzielić Kamyków, a nawet i współtowarzyszy.

Od Świąt Wielkanocnych i od tej naszej bezbożnej zabawy *Chrystos wskres* z Rosjanami upłynęło kilka dni. Zbliżały się moje imieniny, a mnie zaczął dręczyć strach przed tym, co zapowiedział doktor w związku z tą moją uroczystością. Na trzy dni przed trzydziestym kwietnia z miejsca mojej obserwacji zauważyłam, że nad okopami wisi w powietrzu ogromny balon na uwięzi. Czułam, że coś w tym musi być, bo do tego czasu jeszcze tego nie było. W przededniu moich imienin zauważyłam, że się w naszą stronę zbliżyło dwóch wojskowych na koniach. Podeszłam bliżej i poznałam doktora i jednego z pułkowników. Serce ścisnęło mi się niepokojem i jakbym przeczuwała, że będzie to już ostatnia wizyta doktora u nas.

Doktór, zszedłszy z konia, zwrócił się do mnie ze słowami: „Barynia, przyszliśmy złożyć ci życzenia w moim i kolegi imieniu oraz w imieniu tych, co przyjść nie mogli – kwatermistrza i pułkownika z twojej szkoły. Zarazem przyszedłem cię przeprosić, że tego, co przyrzekałem, nie mogę dotrzymać. Kwatermistrz wrócił z Tarnowa, ale nie przywiózł nic z tego, co pragnąłem ci w tym dniu złożyć w upominku. Jesteśmy bowiem w pełnym pogotowiu. Widzisz ten balon na uwięzi? On bada okopy i całą okolicę. Nasi szpiedzy donieśli nam, że na front niemiecki przyszło wiele wojska, sprzętu wojennego i amunicji. Przed tą siłą my się pewnie nie obronimy. Przyszliśmy ci więc życzyć wszystkiego najlepszego, a zarazem pożegnać ciebie”. Zaczęłam żartować: „Czemu wy, kochane chłopcy i moi dobrodzieje, nie przyszliście do nas na *Chrystos woskres*? Oj wtedy byłabym was tak ścisnęła, całowała i dziękowała za dobroć, jaką mi okazywaliście, bo wtedy wolno i nie krępowałabym się. A teraz?”. „Zrób to teraz, barynia, zrób to, prosimy. Wszak *woskres* jeszcze trwa”. Lecz ja na to: „Patrzcie, zobaczy to ten balon na uwięzi, sfotografuje, a potem fotografię rozrzuci po kraju z podpisem: »Patrzcie, jak to Polka całuje się z Rosjanami«”. „*Od takiej nie mogą tego zrobić, jej Bohu, nie mogą*”. Poweselało nam po tym żarcie. Doktor się cieszył, że barynia, choć *nie mnoho*, ale już, już prawie mówi po rosyjsku. Zaczęły się życzenia i pożegnania. „Barynia, żyj zdrowo *mного, mnogo* lat. Niech *krasa* twoja szybko nie minie, niech zniknie z twojej twarzy cierpienie, a zagości na niej to, co porywa, a równocześnie karci drzemiące w człowieku zwierzę. Niech twarz twą zdobi zawsze uśmiech, dobroć i słodycz. Wszyscy ciebie prosimy: wspomnij czasem Rosjan z frontu, którzy cię szanowali, bardzo lubili i pragnęli ci pomóc w przykrych dla ciebie chwilach”. Mówiąc to, złożyli przede mną upominki: kompoty w puszkach z owoców z ciepłych krajów, słodycze i bukieciki pachnących fiołków. „Skromne to dary, barynia, ale nie gardź nimi, bo pochodzą ze szczerzego serca”. Rozrzewniona dziękowałam serdecznie tak im, jak i tym, którzy chcieli mi życzyć, ale nie mogli przyjść.

Zosia kręciła się koło nas, więc powiedziałam jej: „Podziękuj panu doktorowi, że cię wyleczył i tyle ci zawsze przynosił słodczy”. Wyciągnęła do niego obie rączki. Podniósł ją, a ona objęła go za szyję, uścisnęła i ucałowała. „Soni – zawołał uradowany doktor – doniu moja kochana, ja ten twój pocałunek pojednawczy zaniosę do Rosji jako pocałunek przyjaźni polsko-rosyjskiej”. Trzymając ją na rękach, mówił: „Barynia, ja ciebie po raz pierwszy zobaczył przy jej łóżeczku. Łzy twoje spadały na jej twarzyczkę, a w twojej twarzy malowało się takie cierpienie i troska, że szczerze zapragnąłem ją wyleczyć i ciebie pocieszyć. Patrząc na ciebie, tak ja wtedy dumiał: gdyby malarz namalował cię z tym cierpieniem na twarzy i z tą małą dońką, to można by ten obraz zawiesić w cerkwi jako ikonę pt. *Matka*”. „Doktorze, a ja, patrząc w tej chwili na ciebie z polskim dzieckiem na ręku, które cię ściska i całuje, dumam: aby malarz uwiecznił was na obrazie zatytułowanym *Pojednanie*. Stanowiłby on symbol widocznego pojednania i zgody między dwoma narodami, które się przez tyle wieków nienawidziły, a powinny się ze sobą przyjaźnić, bo są przecież Słowianami i mają wiele wspólnych cech i upodobań”. A potem: „Żegnaj barynia, żegnaj miła rodzinie!”. Na pożegnanie zaśpiewali na dwa głosy dumkę *Pożegnanie* i *Żołnierz na warcie*. Z pieśni tych powiała taka tęsknota i taki smutek, że ja – jak zwykle – popłakałam się. Kiedy jednak spojrzałam w oczy doktora, by mu wzrokiem okazać swą wdzięczność, zobaczyłam, że i jego oczy zaszkliły się łzami. Ze słowami: „Żegnajcie wy, a także pożegnajcie tamtych dobrych opiekunów i wracajcie wszyscy zdrowi do swych rodzin” odprowadziliśmy ich przez rajski gaik. Tu nastąpiło podanie rąk i przyjacielski uścisk dłoni. Wsiedli na konie i oddalili się w dół, ku frontowi. Żegnaliśmy ich rękami, dopóki nam nie zniknęli z oczu.

Taki smutek i pustka ogarnęła mnie po ich odjeździe, że aż mi było dziwno. Zdawało mi się, że straciliśmy opiekuna, że teraz pograżyliśmy się w tej topieli rosyjskiej. Aby

otrząsnąć się z przygnębienia, zaczęłam sobie przypominać wszystkie krzywdy, jakie nas, Polaków, od tego narodu spotkały. Smutek z wolna się uciszał, a wzrastało obrzydzenie do tego narodu morderców, a właściwie do ich władców. Doktor powiedział: „Jeśli ocaleję i po wojnie znajdę się w Kijowie, to się do was odezwę”. Niestety, nigdy się nie odezwał. Po wojnie była bowiem u nich rewolucja, co oznaczało mordowanie inteligencji. Stalin mordował inteligencję polską i rosyjską, a Chruszczow inteligencję kijowską. Na pewno więc i moi staszkowscy opiekunowie jako przedstawiciele inteligentów musieli zginąć z ich ręki. Została mi po nich w pamięci dumka *Pożegnanie* i dumka żołnierska. Obie te pieśni wzruszały mnie zawsze swoją melodią i tęsknotą.

W dzień moich imienin, trzydziestego kwietnia, zaczęło się piekło. Ze strony niemieckiej szykowano się do przełamania frontu. W dzień pierwszego maja w ruch poszły przede wszystkim grube berty. Niesamowity szum, świst i przeciąg powietrza wyrывał drzewa z korzeniami i niósł je w powietrzu, rzucając po drodze. Ziemia jęczała od ciężaru i wybuchów. Ludzie mówili: „To koniec świata – chyba nawet tam nie będzie gorzej. Chyba trąby archaniołów nie będą robiły większego huk i grzmotu”. Przerazenie ludzi ogarnęło od tej kanonady i na to ona była przeznaczona, aby budzić grozę i osłabić ducha w wojsku przeciwnika. Sądzę, że cel ten w pełni osiągnęła. Cały dzień siedzieliśmy w naszej ziemiance. Wieczorem dopiero ucichło. U Rosjan widać było niepokój i pakowanie. Przygotowywano wszystkich do odejścia. Jedynie wojsko trwało w okopach.

Dnia drugiego maja nastąpił ogólny atak na okopy. Po raz pierwszy Niemcy zastosowali na froncie wschodnim ogień huraganowy, znany do tego czasu jedynie na froncie francuskim. Wyglądał on mniej więcej tak. Od godziny siódmej zaczęło się strzelanie. Użyto w tym celu wszelkiej broni, jaką dysponowano, a więc szrapneli, armat, granatów, karabinów maszynowych i ręcznych. Huki i wybuchy poszczególnych rodzajów

broni zlały się w jeden potężny, złowrogi dźwięk. Słyszeliśmy bez przerwy przez całe godziny jedno tylko głośnie i potężne brzmienie, jeden jakby diabelski huk i dudnienie: bu, buuu, buuu, buuuuuuu, z rzadka tylko przerywany jękiem berty. Kanonada ta przypominała silny grzmot w przyrodzie, tylko tutaj trwał on bez przerwy godzinami, a w przyrodzie zaledwie parę sekund, a i tak ludzie drżeli przed tym grzmotem i piorunem, a nerwowi zasłaniali uszy i kryli się byle gdzie, byle go nie słyszeć. Tu piekło to trwało kilka godzin i dopiero przed wieczorem się uciszyło. Cały ten dzień przetrwaliliśmy w naszej ziemiance. Wieczorem wojsko rosyjskie w odwrocie przechodziło naszym wąwozem w kierunku Sietnicy. W nocy na wzgórzu sietnickim podpalono ogromny stos złożony z tego, czego nie mogli zabrać ze sobą Rosjanie. Był to przede wszystkim sprzęt zbrojeniowy i amunicja. Płomień z tego stosu wznosił się wysoko aż do rana, a kule ciągle pękały i wybuchały. Rano w dniu trzeciego maja dostrzegliśmy, że od Staszkówki posuwała się w naszą stronę tyraliera niemiecka w dwóch szeregach. Żołnierze w odległości mniej więcej co jeden metr od siebie zataczali ogromne półkole, raz przykłękali, to znów wstawali i strzelali z ręcznych karabinów. Kiedy już na nasze podwórko zaczęły spadać kulki karabinowe, położyliśmy się z drugiej strony domu, by się ukryć przed nimi. Wreszcie Niemcy dotarli do naszego domu, zajęli go, przeszukali i odeszli. A więc nareszcie byliśmy wolni.

W następnym dniu zrobiliśmy rachunek z Kamykami za mieszkanie i żywność. Nie chcieli od nas nic brać, ale się na to nie zgodziliśmy, gdyż nie byli to ludzie bogaci. Wyciągnęliśmy z naszego kufra sztukę lnianego płótna dębowskiego i dla rodziny Kamyków odcięliśmy tyle płótna, ile było potrzeba dla pięciu osób. Och, cóż to była za wielka radość. Nie chcieli wziąć innego wynagrodzenia, mówiąc, że do tego płótna to oni jeszcze powinni coś dodać. Odrzekłam na to, że to, co oni dla nas zrobili, to nie jest do opłacenia – jedynie Bóg może

im to wynagrodzić. Prosiłiśmy ich także, ażeby nam odwieźli kufry, kiedy już zamieszkamy w szkole. Resztę potrzebnych nam rzeczy zapakowaliśmy w węzłki i zeszliśmy do wsi. U siostry księdza Majewicza zostawiliśmy dzieci, a my oboje poszliśmy zbadać, jakie są widoki, by zamieszkać w szkole w Staszkówce. W drodze natknęliśmy się na Niemców, którzy podążali za armią, wioząc za nią zaopatrzenie we wszystko, co dla armii jest potrzebne. Zatrzymali nas, więc wyjaśniliśmy im, gdzie i po co idziemy. Widząc nas z węzłkami, machnęli ręką i przepuścili. Jeden tylko powiedział, że za maruderstwo to kula w łeb. Doszliśmy jednak szczęśliwie do Staszówki.

Zatrzymaliśmy się przy kościele. No i coś zobaczyłam? Popiół i zgliszcza. We wsi dogorywały domy, które już podczas ucieczki ruscy podpalali. Zdążyli podpalić sześćdziesiąt domów mimo błagań ludzi. Nie mogłam tego zrozumieć – przecież żołnierze z tymi ludźmi żyli, chlebem się z nimi dzielili, a na ostatku puścili ich z dymem. Powiedzieli: „Wojna – rozkaz!”. W ten sposób spalił się i nasz nowy komplet mebli pluszowych, który daliśmy do stróża na przechowanie. Ze smutkiem patrzyliśmy na miejsce, gdzie stał kościółek. Otaczały go bardzo stare lipy, które górą koronami swymi złączyły się, tworząc jednolitą ścianę. Były one ozdobą placu kościelnego i przedmiotem podziwu obcych. Teraz pozostały tylko kikuty osmalone od ognia.

Między starym cmentarzem a parkiem dworskim prowadziła droga ku okopom. Z jednej i drugiej strony tej drogi były głębokie fosy. Bezpiecznie tutaj mogli kryć się żołnierze, gdyż z jednej strony wznosił się wał ziemi i cmentarz porośnięty drzewami, a z drugiej strony podobny wał ziemny i drzewa parku dworskiego. Tędy właśnie musieli uciekać żołnierze spod huraganowego ognia niemieckiego, gdyż fosy te były wyścielone trupami rosyjskimi.

Również park dworski przedstawiał makabryczny widok. Niektóre czerepy czaszek były puste, a ich wnętrza rozniesione po świecie, u innych puste klatki piersiowe, to znów dla

odmiany puste jamy brzuszne. Oczy nasze, przesuwając się dalej, dostrzegły inne budzące grozę postacie bez rąk i nóg. I tak sobie leżeli pomasakrowani, nikomu już niepotrzebni, spokojni, bez jednej wylanej łzy nad nimi przez osoby przez nich ukochane. Głęboki szloch wyrwał się z mojej piersi i rzewnie zapłakałam nad nimi. Przyjdźcie wy, którzy chcielibście tej wojny, i popatrzcie na jej żniwo! A serce moje w tej chwili, w paroksyzmie rozpaczy krzyczy: „Synu mój, czy i ciebie czeka taki los, czy ja ciebie chowam na żer armatni?”.

Zwróciliśmy się w stronę szkoły. Między cmentarzem a szkołą była przestrzeń niezabudowana, odsłonięta. Stąd widoczne było jak na dłoni płaskowzgórze z niemieckimi okopami, przed którymi rozciągał się obszerny plac – niby wielkie stajanie zboża – a na nim powiązane i równo poukładane snopy. Takie było moje pierwsze wrażenie na widok poboju niemieckiego. Na aksamitnym, zielonym kobiercu trawy leżały ciała żołnierzy niemieckich. Niedaleko uszli od okopów, lecz ta mała chwila zupełnie wystarczyła, żeby spojrzeć na wzgórze kwitnących wiśni i pomyśleć: „Jaki piękny jest świat, a my, młodzi, idziemy na śmierć”. Takie to bowiem słowa w ostatnim swym liście napisał jedyny syn Krügera – generalnego sekretarza poczty i telegrafu w Berlinie. Należał on do ludzi młodych, stanowiących kwiat inteligencji berlińskiej, kwiat młodzieży uniwersyteckiej. Zostali powołani do wyborowej kompanii cesarzowej niemieckiej Elisabeth – żony Wilhelma pruskiego. Rodzice tych poległych młodych inteligentów zjeżdżali się na groby swych synów i często przebywali u mnie, wypłakując swój ból. Patrząc na poboju niemieckie, przychodziły mi na myśl takie oto refleksje. Tu wzgórze kwitnących wiśni, które Gospodarz Niebieski dał ku pożytkowi człowieka i ku ucieście jego oczu, a tuż obok pole żniwne, które urządziła gospodyni wojna ku rozpaczy rodziców i ku zadowoleniu własnej pychy doczesnych władców po to chyba tylko, aby zniszczyć wszelkie dobra człowiecze

i piękno, którym Bóg obdarzył przyrodę dla szczęścia i przyjemności ludzkiej.

Po zwiedzeniu pobożowiska i zbadaniu możliwości naszego zamieszkania w szkole wróciliśmy na plebanie w Turzy. Mąż postanowił przygotować choćby najprymitywniejsze pomieszczenie dla nas w szkole, nie myśląc o wygodzie, lecz o wyswobodzeniu rodziny spod obcej opieki i niechętniej w gruncie rzeczy życzliwości. Na razie zabrał tylko Adasia i Marysię, a także stróża szkolnego. Starali się oni naprzód z kawałków dachówek ułożyć dach, by zabezpieczyć się przed deszczem, następnie posztukować kawałki szyb i zasklić okna, a także poskładać podziurawione łóżka, by można było na nich spać. Kiedy skończyli, co najważniejsze, i wybierali się po nas, naraz huk i wstrząs powietrza popsuł ich żmudną pracę, którą trzeba było zaczynać od nowa. To żołnierze niemieccy, którzy się za armią posuwali, napotkali na polach między Turzą a Staszkówką niewypał berty. Ulitowali się nad jej bezbronnością i wypróżnili brzuszek, a ona, uwalniając się z reszty zawartości, tak sobie odetchnęła, że podmuch jej wyszklili okna pobliskich domów w Turzy i Staszówce.



Budynek szkoły w Staszówce oddany do użytkowania w 1911 r., zniszczony w wyniku bombardowań podczas działań wojennych I wojny światowej „Bitwy Gorlickiej” na początku maja 1915 r. (z kroniki Szkoły w Staszówce)

W STASZKÓWCE

Katarzyna Szatko

Wreszcie znaleźliśmy się na swoich śmieciach. Zaczęło się meblowanie. Ze stołu dębowego pozostał tylko sam blat. Ułożyliśmy z cegieł trzy podpórki i na nich ułożyło się blat stołu. Dookoła niego, również z cegieł, stołeczki i ławka. Ot i gotowa jadalnia. Sienniki z łóżek poszły do okopów, a więc do łóżek włożyło się samą słomę, lecz i tak było nam wygodniej niż na ławce u Kamyków. Przyniesiono z okopów naszą otomanę, a choć sterczały z niej sprężyny, okazała się bardzo przydatna i ozdobiła pokój. Z każdym dniem przybywało coś zreperowanego naprędce ku naszej wygodzie. Przede wszystkim czuliśmy się dobrze, że jesteśmy sami, a nie pod ostrzałem cudzych oczu. Jakąż radość i zadowolenie dawało nam przekonanie, że już nam nie grożą kule, że swobodnie możemy chodzić po polu, że nie słyszymy huku armat i bzykania kul koło uszu. Jedno nas jeszcze dręczyło, a mianowicie to, że podczas deszczu i burzy do pokoju wlewało się tyle wody, iż dzieci mogłyby się w niej kąpać, a taki stan trwający dłuższy czas groził bardzo poważnymi, negatywnymi konsekwencjami. Nie można było jednak w kilku dniach naprawić szkód, które wojna wyrządziła w ciągu kilku miesięcy.

Z żywnością było też nie szczególnie. Mleko dawała nam plebania. Ocalała ona od ognia, mimo że była drewniana, a z nią ocalała żywność, więc się nią z nami dzielił proboszcz. Wprawdzie wysmażył się on w tym ogniu wojennym, ale posterunku nie opuścił, choć wybladł, wynędzniał i nerwy stargał do reszty.

Po tym przystosowaniu się do takiego marnego życia mąż zaczął robić wycieczki do Gorlic w celu uzyskania pomocy dla zniszczonej Staszkówki. Gorlice, leżące na tej samej linii bojowej co i Staszkówka, przedstawiały obraz takiego zniszczenia, że z zagranicy przyjeżdżali ludzie i ze zdumieniem mówili, iż dotychczas w ostatnich wojnach żadne miasto nie uległo takiej dewastacji jak właśnie Gorlice.

Wiedeńczycy na widok ruin powiadali: „*Wunder schon*”, co słysząc, bezdomny obywatel gorlicki rzekł: „Oby wam z Wiednia zrobili taki piękny widok”.

Otóż do Gorlic przysyłano pomoc z różnych krajów. Mąż więc jeździł, a nawet nieraz piechotą szedł dwie mile i przychodził zmęczony, niejednokrotnie nawet z gorączką, jeśli koni nie można było dostać, ale uzyskiwał pomoc w postaci: zboża, słoniny, mąki, pęczaków, a nawet ryżu, więc i ja swą spiżarnię mogłam uzupełnić. Udało mu się dostać coś dla koni i krów, a także drzewo na budowę domów, bo wiele jeszcze ludzi mieszkło w ziemiankach, okopach lub na prędcie skleconych szopach. Pierwsza nauka szkolna odbywała się na placu kościelnym, pod osmalonymi od ognia lipami. Tablice znaleziono w okopach, podobnie jak i drzwi szkolne. Zabrał się mąż także do spisywania szkód wojennych celem uzyskania odszkodowania. Do spisywania tych szkód zgłaszali się pisarze z Ciężkowic, ale kazali sobie za to dużo płacić, więc mąż sam się do tego zabrał i od nikogo nie wziął ani grosza, wiedząc jak każdemu trudno było cokolwiek zarobić. Toteż ludzie nie mieli słów dla wyrażania swojej wdzięczności, gdyż im często pomoc sprowadzał, radą służył i załatwiał wiele spraw urzędowych.



Zgliszcza kościoła w Staszkówce spalonego w 1915 r., miejsce w którym odbywała się nauka „pod lipami” (z kroniki szkoły w Staszkówce)

Gospodarze byli głęboko przekonani, że gdyby on nie opiekował się gminą, to by ich krzywdzono i oszukiwano. W mleczarni gminnej, jako stosunkowo najmniej zniszczonej, przygotowano na zimę izbę szkolną. W mieszkaniu naszym założone zostały oszklone okna i zamontowane drzwi wydobyte z okopów. W okopach znalazły się także deski z ławek szkolnych, więc porobiono z nich ławki do izby szkolnej. A ileż takie życie kosztowało zdrowia i nerwów, ile wyrzeczeń i zaparcia? Żadnej radości, lecz tylko mozolna praca wśród samych niewygód, a przecież lata idą jedno po drugim, młodość ucieka, a dzieci trzeba posłać do szkół. Mimo tych wielu trudności, życie nasze coraz bardziej się normowało. W każdym razie było nam w naszej rozbitej szkole o wiele lepiej niż w chałupie u Kamyków razem z kolegami Jędrusiakami, gdyż nie podlegaliśmy niczyjej kontroli, byliśmy sami i czuliśmy się szczęśliwi w odosobnieniu od złych oczu koleżanki. Szczęście to zwiększało bezpieczeństwo przed kulami. Trwająca cisza i spokój wydawały się nam aż dziwne po huku wystrzałów armatnich i gwizdzie kul karabinowych. Czasem łapałam się na tym, że przy przejściu przez podwórko pochylałam się nisko, by się ukryć przed pociskiem.

Pewnego pogodnego dnia, w którym w pełni odczuwałam zadowolenie ze spokoju i oddzielenia się od ludzi, zbudziło mnie z rozmyślań pukanie do drzwi. Otwieram, a tu do pokoju wchodzi... kolega Jędrusiak. Wygląd jego był dziwny i niepokojący – bez marynarki, z koszulą rozpiętą, wzrokiem nieprzytomnym – przywitał się z nami. Mąż go poprosił o zajęcie miejsca, lecz on dziwnie niespokojny i roztargniony zaczął mówić: „Nie usiądę, przyszedłem się tylko pożegnać”. „Kolega jedzie, a dokąd, mogę zapytać?” „Nie, ja nigdzie niejadę, ja tylko idę do Ciężkowic, by rzucić się pod pociąg. Nie widzę bowiem sensu życia dalej w tym piekle małżeńskim. Państwo macie wyobrażenie o moim życiu, ale nie macie pojęcia, jak mnie teraz ta kobieta udręczyła. Opętała ją wściekła zazdrość o twoją żonę, drogi kolego. Znęca się nade mną w dzień i w nocy. Dziś rano zrobiła mi taką awanturę, że wybiegłem jak szalony i postanowiłem raz na zawsze się od niej uwolnić”.

Mąż go zaczął uspokajać, pocieszać i przemawiać do rozumu, a ja podałam mu obiad. Przyznał się biedak, że był bez śniadania, zjadł więc obiad ze smakiem i wreszcie się uspokoił. Mąż wtedy powiedział mu, że do Gorlic przyszły jakieś dary dla Staszkówki zniszczonej wojną i że po obiedzie wybiera się po nie. „Może i wy pojedziecie ze mną, to i coś dla Turzy spróbujemy wytargować”. „Ale jak ja pojedę, skoro nie jestem ubrany?”. Mąż ubrał go więc w swoją marynarkę i dał mu do zawiązania swój najlepszy krawat. Pojechali razem. Mąż uzyskał dla Staszkówki dużo żywności, paszę dla bydła a nawet owce zarodowe. Kolega dostał też dla Turzy sporo ryżu i słoniny, czym najpierw zabezpieczył siebie i swoją spiżarnię. Po pewnym czasie zwrócił mężowi samą tylko marynarkę ze słowami: „Udało mi się uratować ją przed wściekłością żony, ale krawat pocięła w drobne strzępy”.

Dziunia zaczęła uczęszczać do gimnazjum w Tarnowie, a Adaś też miał iść do Tarnowa od nowego roku szkolnego. Zaczęliśmy się coraz częściej zastanawiać, czy my tak długo wytrzymamy. Mieszkanie zostało już wprawdzie pokryte nową

dachówką, ale było zawilgocone i niezdrowe. Żał mi było ludzi, z którymi przeżyliśmy tyle nieszczęść, z którymi związała nas dola wojenna, ale trzeba było myśleć przede wszystkim o przyszłości dzieci, a tym samym o opuszczeniu Staszówki.

W gazetach były ogłoszenia o wakujących posadach nauczycielskich. Nauczycieli było brak. Niektórzy jeszcze walczyli w polskim wojsku, inni przebywali w niewoli rosyjskiej, a wielu poległo na różnych frontach wojennych. Z różnych ogłoszeń wybraliśmy posadę kierownika szkoły w Jędrzejowie, niedaleko Krakowa, we wsi wojną niezniszczoną. Gdy się o tym ludzie dowiedzieli, sam wójt przyszedł do nas z radnymi i powiedział: „Pan chce od nas odejść, więc chyba pójdzie pan po naszych trupach. Cóż byśmy, biedne sieroty, bez pana robili?”. Mąż mocno wzruszony odparł: „Spójrzcie, wziąłem do pracy gminnej Ludwika Dyla. Jest to mądry chłop, ma kilka klas. Nauczył się on przy mnie wiele jako pisarz gminny i on sobie dobrze radzi. Wójta też poduczyłem, więc we dwójkę we wszystkim sobie poradzą. Ja zaś muszę pomyśleć o swych dzieciach. Już dwoje z nich uczy się w Tarnowie i nam ciężko opłacać ludzką opiekę nad dziećmi, tym bardziej że choć jest opłacona, to niewiele warta”.

Niedługo i my mogliśmy się o tym przekonać. Zapewniliśmy dzieciom na stacji w Tarnowie – jak się nam wydawało – bardzo dobrych opiekunów. On był urzędnikiem w banku, a ona nauczycielką. Oni jednakże pilnowali przede wszystkim swych obowiązków służbowych, a nie moich dzieci, choć oprócz opłaty byli do tego moralnie zobowiązani, tym bardziej, że doznali dużo dobrego ode mnie. I oto czegośmy się dowiedzieli. W tej samej kamienicy, w której była stacja mieszkał prokurator, który miał syna w piątej klasie gimnazjalnej. Chłopak ten zebrał koło siebie kilku malców z pierwszej i drugiej klasy i zrobił z nich bandę złodziejską, której był szefem z nieograniczoną władzą. Uczył ich kraść

i bić żydów, którzy mścili się na nich. Doszło do tego, że mój syn nie mógł spokojnie przejść przez miasto, gdyż groziło mu pobicie przez żydów. Opiekunowie na stacji niczego nie zauważyli, ani o niczym nie wiedzieli.

Gdy to doszło do naszych uszu, mąż natychmiast pognaglony przeze mnie wniósł podanie o przeniesienie do Jędrzejowa. Niestety zaszły nowe trudności. Podanie musiało przejść przez powiatowy inspektorat szkolny, który ten wniosek opiniował. Inspektor wezwał męża do siebie i powiedział mu, że na przeniesienie się poza powiat nie wyrazi zgody. „W powiecie gorlickim brak jest nauczycieli, więc ja nie mogę tak dobrych nauczycieli jak wy oboje z powiatu wypuścić”. Zapytał, o co właściwie chodzi. Mąż wyłuszczył mu swoje powody w tym najważniejszy: dzieci muszą chodzić do gimnazjum i być jednocześnie pod opieką ojców. Na to mu inspektor tak odpowiedział: „Gimnazjum w Gorlicach jest. Jest ono już w większej części uporządkowane, tylko jedno skrzydło jest zniszczone. Klasy od pierwszej do piątej są już czynne, a na drugi rok będzie funkcjonować gimnazjum w pełnym zakresie. Syn zatem może uczęszczać do tego gimnazjum. Niestety, nie mogę na razie zaoferować panu stanowiska kierowniczego, bo kierownicy szkół gorlickich uchowali się podczas wojny i już zajęli swoje dawne stanowiska”. Otrzymał więc mąż przydział do jednej ze szkół z przyrzeczeniem, że w miarę możliwości otrzyma nominację na stanowisko, które mu się należy. Byliśmy oboje z tego niezadowoleni. Jędrzejów bowiem zapewniał piękną i całą szkołę, miasteczko było niezniszczone, a kierownictwo szkoły zapewnione. Gorlice oferowały tylko tymczasową posadę i to w mieście tak zniszczonym, że trudno w nim będzie znaleźć porządne mieszkanie. Do tego ja miałam zostać nadal w Staszówce, gdyż nie znalazł się taki odważny, by zająć zniszczoną szkołę w zniszczonej wsi. Mieliśmy więc wielki żal do inspektora, który nam przeszkodził w osiągnięciu lepszych warunków życiowych.



Gorlice, 1938 r.

W GORLICACH

Katarzyna Szatko

W nowym roku szkolnym, mimo starań gminy i płaczu obywateli staszkowski przeciwnych wyjazdowi męża, musiał on objąć posadę w Gorlicach. Po znajomości odstąpiono mu pokój, w którym zamieszkał mąż ze swym synem Adamem jako uczniem III klasy gimnazjalnej, zaś właścicielki tego mieszkania, panie Rumińskie, córka z matką w podeszłym wieku, miały się nimi opiekować. Tak więc my, wyniszczeni podczas wojny pod każdym względem, byliśmy zmuszeni prowadzić potrójny dom: córka Dziunia w Tarnowie, mąż z synem w Gorlicach, a ja z Zosią i Józiem w Staszówce. Zrozumiał to inspektor. Wyrzuty sumienia z powodu tego potrójnego domu nie dawały mu – jak sam to powiedział – spać spokojnie po nocach i wreszcie ściągnął mnie do Gorlic. Zaczęłam więc powoli likwidować swoje gospodarstwo. Robiłam to z ciężkim sercem. Jakkolwiek by bądź na to patrzeć, przeżyłam

z tymi ludźmi kilkanaście lat, a liczne osiągnięcia pierwszych lat, potem wspólne cierpienia wojenne zespoliły i związały nas jeszcze więcej. Nic dziwnego, że wyjazd mój był oblany rzęsydami łzami. Staszakowacy otoczyli mój wóz dookoła, płakali, a ja z nimi. Żegnali i odprowadzili mnie aż do samej granicy wsi. Mówiłam do nich: „Moi kochani ludzie, nie płaczcie – przecież do grobu mnie nie odprowadzacie, tylko do miasta, do którego jeździcie w różnych sprawach, to mnie będziecie odwiedzać. Przyszedźcie do nas z każdą troską, a my nie poskąpimy rady. Każda wasza sprawa będzie naszą sprawą”.

Zamieszkałam, niby tylko na razie, w tym jednym pokoju wraz z mężem, Adasiem i Zosią, bo starsza córka była nadal w Tarnowie. Weszłam znów do wspólnej kuchni pod badawczą obserwację osób, o których głośzono, iż przed ich wzrokiem i językiem nic się nie ukryje. Pomyślałam jednak, że przeżyłam zapewne gorsze sprawy z koleżanką Jędrusiakową, to już nauczyłam się obchodzić z ludźmi.

Janusz Zaucha

Pożegnanie ze Staszówką wiązało się z jeszcze jednym epizodem opowiedzianym mi przez Nanę, a w pełni potwierdzonym przez dziadziusia. Otóż – jak to już uprzednio wspomniano – zaraz po wojnie wsparciem materialnym były objęte te wsie i miejscowości, które najbardziej ucierpiały w czasie działań wojennych. Dziadzius włączył się bardzo w tę akcję, więc też i Staszówka otrzymywała różnorodną pomoc. Pewnego razu dziadzius otrzymał dla Staszówki zarodowe stado rasowych jałówek – holenderskich i czerwonych. Gospodarze chętnie przyjmowali czerwone krowy, polskie, bo te były podobne do łaciatych, pospolitych od lat we wsi, w stosunku do czarno-białych zachowywali pewną rezerwę, tym bardziej że byli od razu uświadamiani, że te krowy są wprawdzie znacznie bardziej mleczne, lecz jako delikatne wymagają znacznie

więcej troski i dbałości. Z całego przywiezionego stada pozostała w końcu jedna jałówka, czarna jak atrament, z dwoma białymi plamkami na głowie. Była bardzo nerwowa, nieprzystępna i prawie na każdego wystawiała groźnie rogi. Jakoś nikt jej nie chciał wziąć do swej stajni, tak że w końcu dziadziusz z Marysią zdecydowali, że będzie ona szkolną krówką, w szkolnym gospodarstwie. Marysia nazwała tę jałówkę Borówka. Była to krówka z wyjątkowym charakterem. Marysię pokochała bez reszty. Tylko Nana mogła ją głaskać i czyścić, tylko ona mogła ją doić. Dziadziusia tolerowała, lecz babcię traktowała jako wręcz obcą osobę, patrzyła na nią spode łba i kiedy babcia chciała do niej podejść, nastawiała groźnie rogi. Na pastwisku, kiedy zbliżył się obcy, nie żartowała, tylko od razu nastawiała rogi i jeśli tylko ktoś znalazł się w jej zasięgu, bodła go boleśnie.

Kiedy dziadziusz otrzymał posadę w Gorlicach i przeniósł się do miasta, babcia z najmłodszą córką pozostała w Staszówce. Dziadziusz nie bardzo radził sobie z synem, więc babcia robiła wszystko, co mogła, aby również przenieść się do Gorlic, co zresztą nastąpiło w nowym roku szkolnym. Te wszystkie zmiany instynktownie wyczuwała Borówka. Tuliła się do Marysi i ryczała boleśnie, jakby bez żadnego powodu. Nadszedł wreszcie dzień, kiedy babcia z córką i Marysią wsiadły na furmankę i wyjechały do Gorlic na stałe. Jakież było zdumienie wszystkich, kiedy następnego dnia przybiegła zdyszana młoda dziewczyna staszowska ze szkoły z ogromnym strachem, że coś się dzieje złego z Borówką. Wymiona ma spuchnięte, oczy zaczerwienione, jęczy boleśnie, piana toczy się jej z pyska. Co należy robić? Posłali ją po Marysię, bo tylko ona potrafi uratować Borówkę. Babcia od razu oświadczyła, że od początku była przeciwna wzięciu tej krowy do szkoły, a teraz są tego przykre konsekwencje. W tym momencie dziadziusz, choć zwykle nigdy tego nie czynił, zajął zdecydowane stanowisko. Powiedział: „Idź czym prędzej do Borówki i zobacz, co się dzieje”. Marysia

jak stała, tak od razu udała się do Staszkówki – nie bacząc na odległość siedemnastu kilometrów. Szła tak prędko, że młoda staszkowianka nie mogła za nią zdążyć. Wreszcie dotarli do stajni. Borówka była w fatalnym stanie, niemal wściekła, nikomu zbliżyć się nie dała, częstując każdego rogami. Nawet widel się nie bała, tylko boleśnie jęczała. Marysia krzyknęła „Kochana Borówko!”. Krowa jakby ozdrowiała. Przytuliła się, przestała jęczeć, wstała i pozwoliła się wydoić. A mleko poszło z krwią. Wreszcie krowa uspokoiła się zupełnie. Kiedy Marysia chciała się oddalić i pójść spać, nic z tego nie wyszło, gdyż Borówka tak boleśnie ryczała, że Marysia usnęła obok Borówki ukojona jej ciepłem i pieczyotą. Została wylizana przez nią za wsze czasy.

Na drugi dzień Borówka odzyskała siły, lecz za nic w świecie nie chciała rozstać się z Marysią. Po wielkiej debacie z gospodarzami na następny dzień, ku przerażeniu babuni, pod oknem pokoju, w którym mieszkała, zjawiała się głowa Borówki. Marysia przyprowadziła ją do Gorlic, gdyż Borówka nie chciała odejść od Marysi, a i gospodarze nie chcieli takiej krowy dalej trzymać. Dziadziuś znów stanął na wysokości zadania. Gdzieś niedaleko wynalazł coś w rodzaju stajni i tam umieścił Borówkę, która była od tego czasu obsługiwana przez Marysię, mimo pełnego niezadowolenia babusi, na którą spadły obecnie liczne obowiązki domowe. Jediną korzyścią – jak mówiła – było to, że można było mieć stale świeże mleko dla Zosi. Tyle że tego mleka było za wiele i można by było w nim kąpać małą Zosię, gdyby zaszła taka potrzeba.

Na szczęście dla babci, a na nieszczęście dla Borówki, pewnego dnia obcy ludzie napadli na pastwisku Borówkę, która broniąc się, podobno bardzo boleśnie pobodła wandalów, lecz sama została tak mocno zbita, że wezwany weterynarz nie mógł już nic poradzić. Przytulona do Marysi, liżąc ją, oddała ostatnie tchnienie. Marysia płakała po niej wiele jeszcze dni, stale powtarzając, że to nie była zwykła krowa, lecz całkiem inna, mająca ludzki rozum i serce.

Katarzyna Szatko

Marysia przejęła na siebie obowiązki domowe, a więc gotowała razem z gospodarzami na jednej kuchni, a że dzieliłam się z nimi zapasami przywiezionymi ze Staszkówki, co w owym czasie było bardzo ważne, to panie owe miło na nas patrzyły i zgoda nasza innym mogła służyć za przykład. Jeden tylko raz zrobiono nam wielką przykrość. W mieszkaniu u syna, z którym te panie dzieliły mieszkanie, dzieci zachorowały na szkarlatynę. Prosiłam więc, aby się wstrzymały z odwiedzinami chorych dzieci u nas, bo lekarz nakazał przestrzegać zetknięcia się z chorymi, gdyż mogą w ten sposób przenieść zarazę na moje dzieci. A miałam ich wówczas troje, gdyż już i Józiu, sierota po siostrze, był pod moją opieką. Nie zastosowały się do tego, a nawet pozwoliły dzieciom podczas naszej nieobecności wchodzić do naszego pokoju, gdzie otrzepywały łuszczyzny po przebytej szkarlatynie z życzeniem, by się i moje dzieci nią zaraziły. O jakże pragnęłam jak najprędzej wynieść się z tego domu do chociażby najnędzniejszego, byle nie zależeć od nikogo i być tylko ze swoją rodziną.

Wreszcie trafiło się nam dostać taki mały, wojenny domek, jakie zaraz po wojnie budowano z funduszu państwowego dla ludzi bezdomnych. Domki te były prymitywne, ale dla ludzi niemających żadnego mieszkania były bardzo pożądane. Domek taki mieścił w sobie dosyć spory pokój, kuchnię i spiżarkę oraz przedsionek. Panie Rumińskie odradzały nam zajęcie takiego domku, dowodząc, że nas tam pluskwy zjedzą, ale to nas nie wstrzymało. Został on gruntownie oczyszczony z brudu i wybielony tak, że wyglądał na oko czysto i schludnie. Zapewniał nam znacznie większe pomieszczenie, a przede wszystkim swobodę i niezależność, uwalniając od cudzych grymasów i podpatrywań życia codziennego. Przy przeprowadzce płakały za nami obie panie, ja zaś czułam ogromne zadowolenie. Rzeczy nasze zabraliśmy

z warsztatu pań Rumińskich, gdzie do tego czasu były składowane, i umieściliśmy je w pustej stodole, która należała do byłej właścicielki domku. Pluskiew było wprawdzie dość dużo w tym domku, ale po zastosowaniu różnych środków po jakimś czasie uwolniliśmy się zupełnie od tego plugastwa. Życie jednak w tym domku było nam o wiele miłsze i wygodniejsze niż w poprzednim pokoju. Wokół domku było dużo wolnej przestrzeni z widokiem na pola, a więc i powietrze lepsze i zdrowsze dla dzieci. Mieszkaliśmy tam prawie dwa lata, aż wreszcie dostaliśmy odpowiednie mieszkanie na ulicy Zamkowej w domu pana Wygrzywalskiego.

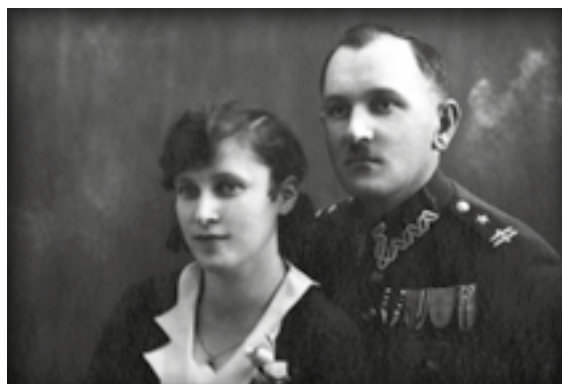
Był to dom duży, murowany i dobrze prezentujący się dla oka. Zajęliśmy w nim duże trzy pokoje z kuchnią i balkonem, a od podwórza z długim gankiem biegnącym wzdłuż całej ściany.

I tu stoczyliśmy walkę z plagą różnego uprzykrzonego robactwa, w które obfitowały niemal wszystkie mieszkania po wojnie, aż wreszcie zaczęliśmy żyć normalnie, życiem ludzi z czasów przedwojennych. Jeszcze raz byliśmy zmuszeni do przeprowadzki. Po śmierci bowiem państwa Wygrzywalskich spadkobiercy, państwo Muszyńscy, postanowili sprowadzić się do odziedziczonej kamienicy i zająć mieszkanie na piętrze przez nas zamieszkane. Przeprowadziliśmy się wówczas do mieszkania mniejszego, położonego w tej samej kamienicy na parterze, składającego się również z trzech pokoi i maleńkiej kuchni.

Dzieci zaczęły uczęszczać do szkoły, Adaś i Zosia do gimnazjum, a Józio do VII klasy szkoły powszechnej. Dziunia niebawem zdała maturę, a w kilka miesięcy potem wyszła za mąż, za kapitana Wojsk Polskich i wyjechała z nim do Suwałk. Tak więc już jedno, najstarsze dziecko opuściło rodzinę, zostawiając po sobie niczym niezastąpioną pustkę. Wiedziałam, że jest to zwykła kolej życiowa młodej dziewczyny, a jednak upłynęło sporo czasu, nim przestałam za nią tęsknić, zanim jej miejsce w rodzinie przesłoniła mgła oddalenia.



Ślub Jadwigi Szatko i Stanisława Zauchy, Gorlice 1923 r.



*Jadwiga z domu Szatko (Dziunia)
z mężem Stanisławem Zauchą, Wilno 1932 r.*

Janusz Zaucha

Nauka dzieci stanowiła dla babusi najważniejsze przesłanie życiowe, któremu podporządkowała całą swoją rodzinę, całą swoją energię życiową. Największy kłopot sprawiał Adam, chłopiec zdolny, lecz bardzo leniwy i lekkomyślny. Jego marzeniem była służba wojskowa i dlatego, chcąc być oficerem, musiał zdać maturę. Babusia bazowała na tej jego chęci i mimo wręcz niewiarygodnych trudności przepychała syna z klasy do klasy. Jedy- nym stałym zainteresowaniem Adama były dzieje wojenne. Intere- sował się nimi tak da- lece, że nie tylko trylo- gię Sienkiewicza znał niemal na pamięć, ale nawet zgwałcił¹⁶ oryginalny tekst Juliusza Cezara *De bello Gallico*.

Babusia przeży- wała maturę Adama w najwyższym napię- ciu nerwowym, gdyż losy jej były nader nie- pewne. Matura odby- wała się w ten sposób, że abiturient po zaliczeniu części pisemnej zdawał egzamin ustny przed komisją składającą się zazwyczaj z sześciu osób, w tym trzy były z danego gimnazjum, a trzy obce – często



Starszy Szeregowy Adam Szatko, 1927 r.

¹⁶ Zgwałcił – tutaj w znaczeniu „przeczytał z wielkim zainteresowaniem”, „po- chłoniął”.



*Od lewej stoją: Jadwiga Zaucha, Adam Szatko, Zofia Szatkówna,
siedzą: Bogusław Zaucha, Stanisław Zaucha, Katarzyna Szatko (autorka),
Wojciech Szatko i Janusz Zaucha, Gorlice, 1930 r.*

z kuratorium lub innego gimnazjum. W czasie matury Adama przewodniczącym komisji był radca z kuratorium przemyskiego – starszy pan, znudzony koniecznością wysłuchiwania zaleźnionych, często spanikowanych abiturientów. Najchętniej jeszcze słuchał zdających z języka polskiego, jako że sam był polonistą. Adam wylosował zestaw pytań, wśród których jedno brzmiało: „Humor w literaturze polskiej na podstawie wybranych dzieł literackich”. Adam poproszony do odpowiedzi zaczął ze swadą przypominać krotkowile i dowcipy pana Zagłoby z Trylogii Sienkiewicza, którą znał znakomicie. Temat leżał mu w stu procentach. Wkrótce pan radca, a niebawem cała komisja zaczęli się śmiać do rozpuku z jego opowiadań, a pan radca nie mógł utrzymać w spokoju trzęsącego się brzucha. Wreszcie jeden z członków komisji spojrzał na zegarek i powiedział: „Panowie, musimy przerwać abiturientowi wypowiedź, gdyż trwa już ona ponad trzy

kwadranse. Przystąpmy więc do następnych pytań”. Na to radca, jako przewodniczący komisji zwracając się do Adama, rzekł: „Młody człowieku, jesteśmy w pełni usatysfakcjonowani tymi wiadomościami i serdecznie dziękujemy”. Adam skłonił się i wyszedł. Wówczas radca zwrócił się do komisji pełen jeszcze wrażeń z oświadczeniem: „Szanowni państwo, matura zbliża się do końca, a my dopiero teraz usłyszeliśmy celującą odpowiedź na zadane pytanie. Czy zgadzacie się, koledzy, na postawienie stopnia celującego?”. Wówczas członek komisji z gimnazjum gorlickiego oświadczył, że sama wypowiedź była wprawdzie dobra, ale cała dotychczasowa nauka tego młodego człowieka nie zasługuje na więcej niż dostatecznie, a nawet minus dostatecznie. Przewodniczący zaprzeczył się, stwierdzając, że jest to wręcz niemożliwe. Ponieważ jednak profesorowie z tego gimnazjum znali abiturienta dobrze, to on jako przewodniczący może zgodzić się na postawienie stopnia bardzo dobrego, no w ostateczności dobrego. Pomimo perswazji członków komisji przewodniczący ze stopnia niższego niż dobrze nie ustąpił i Adam zaliczył maturę na dobrze ku pełnemu zaskoczeniu wszystkich, w tym nawet rodzonej jego matki.

Babcia miała także ogromne kłopoty z Zosią. Była to wprawdzie dziewczynka pracowita, obowiązkowa, lecz mniej zdolna, a przy tym chorowita. Jednak dzięki pracowitości i pomocy swej matki, a właściwie tylko dzięki niej, przechodziła kolejno do następnych klas i w końcu uzyskała świadectwo dojrzałości w tymże gimnazjum.

Zarówno Adam, jak i Zosia kontynuowali dalszą naukę na studiach. Adam początkowo studiował na Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu, geografię we Lwowie i w końcu historię w Krakowie. Zosia zaś botanikę w Krakowie. Józiu wyjechał do Nowego Sącza do warsztatów kolejowych na naukę ślusarstwa i tokarstwa, do czego miał ochotę. W związku z tą nauką ukończył w Sączu trzyletnią szkołę przemysłową



*Janusz i Bogusław Zaucha
w gorlickim parku, 1932 r.*



*W parku gorlickim Wojciech Szatko
z wnukiem Januszem, 1930 r.*



Adam Szatko, Zosia Szatkówna, Janusz i Bogusław Zaucha, Gorlice, 1932 r.



*Janusz Zaucha, wnuk Katarzyny Szatko,
z tatą Stanisławem, Wilno 1931 r.*



*Janusz Zaucha,
ul. Zamkowa 4,
Gorlice, 1934 r.*



*Janusz i Bogusław
Zaucha w parku
gorlickim, 1932 r.*



*Wojciech Szatko
z córką Zosią,
Gorlice, 1938 r.*

i podjął pracę w kolejowych zakładach naprawczych taboru kolejowego w Nowym Sączu.

Katarzyna Szatko

Zostaliśmy sami. W domu zapanowała cisza i spokój. Cały wolny czas wypełniała nam praca zawodowa, której szczególnie ja oddawałam się z całym zamięłowaniem. Pracy szkolnej było bardzo dużo. Mąż jako już kierownik szkoły miał do załatwienia kancelarię szkolną, a ponadto był kasjerem kasy szkolnej, którą sam założył, a następnie prowadził. Jako znawcę spraw kasowych wybrano go na dyrektora Miejskiej Kasy Zaliczkowej w Gorlicach, a także dyrektora Księgarni Nauczycielskiej, w której prowadził sprawy kasowe.

Różne stowarzyszenia społeczne wciągały go do siebie i powierzały mu skarbnikostwo. Dużo pracował społecznie, gdyż tego rodzaju praca szczególnie leżała mu na sercu. Za tę jego pracę państwo przyznało mu srebrny Krzyż Zasługi. Cieszył się nim bardzo i mawiał: „Zostawię go dzieciom i wnukom jako dowód, że ich ojciec i dziadek spędził życie w uczciwej służbie dla ojczyzny i narodu”. A ja, oprócz zwykłej pracy szkolnej, brałam udział w pracach kulturalnych z młodzieżą pozaszkolną. Przygotowywałam różne odczyty i pogadanki. Z moimi uczennicami urządzałam przedstawienia w sali Sokoła związane z różnymi ważnymi dla Polski rocznicami. Sama często układałam sztuczki stosowne do okoliczności, a także odpowiednie śpiewy. Za tę moją pracę nie brakło mi pochwał i uznania, ale nie dla nich pracowałam,



Katarzyna Szatko, Gdynia 1938 r.



*Zofia Szatkówna
na wycieczce przed
dworcem w Gdyni,
1929 r.*



*Rodzeństwo Zofia
i Adam Szatko oraz
Jadwiga Zaucha
z domu Szatko,
Gorlice, 1938 r.*



*Zosia, Dziunia, Staś
i Katarzyna Szatko na tle m/s
Piłsudski w Gdyni, 1938 r.*



*Janusz i Bogusław Za-
ucha oraz NN, Gorlice,
1938 r.*

lecz dla pożytku swojego narodu. W pracy tej odpoczynkiem, szczęściem i radością były przyjazdy naszych dzieci, a potem wnuków na święta i wakacje. Wśród tej pracy szybko mijał rok za rokiem, a tymczasem dzieci ukończyły studia. Adaś uzyskał w 1939 roku dyplom magistra filozofii z historii i od września miał objąć posadę profesora w nowo zorganizowanym gimnazjum żeńskim w Gorlicach. Zosia kończyła przyrodę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Studiowała także jeden rok ogrodnictwo. Ukończyła też pedagogikę w celu lepszego przygotowania się do zawodu nauczycielskiego. Na praktycznych ćwiczeniach w szkole, a potem na praktycznych lekcjach przekonała się, jak ciężką i niewdzięczną jest praca w zawodzie nauczycielskim, i uznała, że ta praca jest zbyt ciężka na jej siły i zdrowie.

*Zofia Szatkówna,
studentka Uniwersytetu
Jagiellońskiego w latach
1933-39*



Postanowiła więc wybrać sobie lżejszy zawód. Mając przygotowanie przyrodnicze ukończyła w Krakowie Instytut Piękności, w którym prowadzili wykłady profesorowie z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po ukończeniu rocznego studium otrzymała dyplom w trzech językach: polskim, francuskim i niemieckim, co upoważniało absolwenta do prowadzenia salonu piękności w każdym z tych krajów. Jak się później okazało, salony takie były przysłowiową kopalnią złota. Jednocześnie Instytut Piękności w Krakowie powołał ją na wykładowcę w randze profesora instytutu. Trzeba jeszcze dodać, że w następnym roku akademickim Zosia miała zdawać magisterium, do którego miała już zaliczone wszystkie egzaminy i daleko zaawansowaną pracę magisterską zatwierdzoną przez profesora Szafera na temat wpływu wypasu owiec na stan i zasięg kosodrzewiny w Tatrach. Profesor Szafer z konspektu pracy i dotychczasowego jej przebiegu był bardzo zadowolony.

Wszystkie jednak te plany i zamierzenia przekreślił wybuch drugiej wojny światowej.

*Zofia Szatkówna,
studentka
Uniwersytetu
Jagiellońskiego
w latach 1933-39*



Janusz Zaucha

Babusia wielokrotnie zwracała uwagę w swoich wspomnieniach na okropności wojny, zniszczenia i spustoszenia nie tylko materialne, ale przede wszystkim tragedie poszczególnych rodzin. Pisała, że nikt nie ma prawa szafować ludzkim życiem. Tak głęboko przeżywała okropności wojny, że prosiła swego prawnuka Jacka o to, by on podjął jej przewodnią myśl: „Nigdy nigdzie na świecie więcej wojny” i tę myśl wcielał w czyn na każdym kroku swego życia.

I rzecz znamienna. Ten właśnie prawnuk, jakby intuicyjnie odbierając przesłanie swej prababuni, mając czternaście lat, wypowiedział się głęboko i wymownie w tej właśnie sprawie w formie poetyckiej. Wiersz ten pt. *Ludzkość* zamieszczam dla potwierdzenia, że dusze ludzkie bez względu na wiek i zdobyte doświadczenie mogą nosić to samo przesłanie, wzajemnie się przenikać i mieć ten sam cel w życiu.

Ludzkość

Czym że jest człowiek tutaj na ziemi?

Rozumną istotą? – a może nie.

Czy są mu znane uczucia wznioste?

Kto na pytania odpowie mi te?

Bo jeśli kocha piękno i muzy

Miłuje także bliźniego swego,

To czemuż wojny, zniszczenia, gruzy,

Wojska i czołgi – ciernie serca mego!

Czyż ludzkość pokój chcąc utrzymać

Robić to musi siłą i strachem?

Czyż trzeba zbroić państwa i ludzi,

Polak Niemcowi nie może być bratem?

Po cóż zbrojenia i po cóż armie?

Niech ludzkość kocha siebie nawzajem.

*Inaczej ciemność ziemię ogarnie,
Będzie moc wojny nad każdym krajem!
Ach ty ludzkości, po cóż frazesy
I puste słowa i zapewnienia?
Choć każdy pragnie pokój umacniać,
To na tej ziemi nic się nie zmienia!
A więc do czynu ludzkości cała
Padnijcie bracia sobie w ramiona,
Znieście granice, rozwiążcie armie
Niech cała ludzkość będzie złączona!
Niechaj szczęśliwy, spokojny naród
Na świecie mieszka, żyje i tworzy
I niechaj ludzi przyjaźń połączy
Widmo zaś wojny nigdy nie grozi!*



*Katarzyna Szatko, nauczycielka
w Gorlicach*



*Katarzyna Szatko, wychowawczyni klasy III A
po pierwszej komunii św. przed farą w Gorlicach*

Część IV

REFLEKSJE NAD WOLNĄ POLSKĄ, OKUPACJA GORLIC W CZASIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ I ŻYCIE EMERYTKI W POLSCE LUDOWEJ

Pamiętnik ten ofiaruję
prawnukowi Jackowi
autorka K. Szatkowa



Katarzyna Szatko, 1935 r.

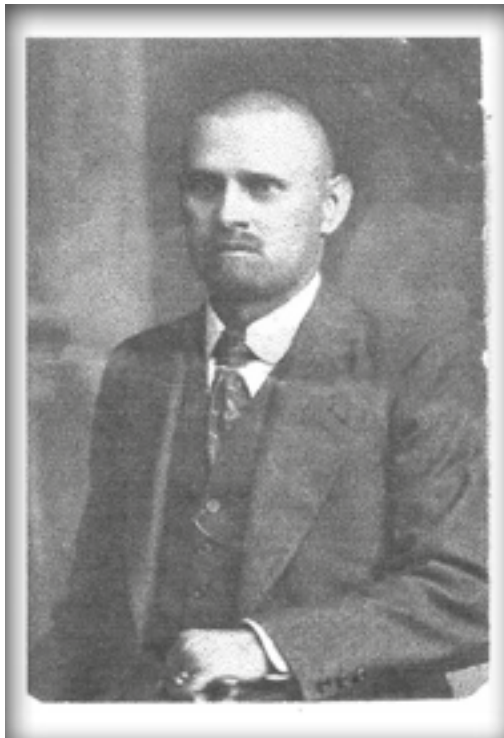
KILKA SŁÓW NA WSTĘPIE

Autorka całego cyklu wspomnień obejmujących okres około stu lat prosiła mnie jeszcze za życia, a potem również w samym tekście pamiętnika, o to, abym rękopis przejrzał i poprawił, gdyż jej wiek i pamięć nie pozwalały już na przeprowadzenie gruntownej korekty.

Postanowiłem to zrobić. Czy wywiązałem się dobrze lub choćby dostatecznie z tego polecenia? Mam wątpliwości, chociaż starałem się zrobić to rzetelnie w zakresie przynajmniej najważniejszych spraw. Dlatego pewne fragmenty pamiętnika, zwłaszcza czwartego tomu, uzupełniłem, aby dokładniej przedstawić atmosferę zdarzeń, które zostały opisane. Niektóre zaś fragmenty pominąłem, głównie te, które były swego rodzaju powtórzeniami, inne zaś ująłem na nowo, kiedy pamięć autorki odnośnie do danego szczegółu zawiodła, a ja byłem świadkiem lub uczestnikiem danego zdarzenia.

Gdy przeglądam ponownie czwarty tom wspomnień, wydaje mi się, że byłoby jeszcze wiele do poprawienia i prze-redagowania, ale ponieważ wiadomo, że „największym wrogiem dobrego jest lepsze” – niechże więc w tej postaci ten tom dotrze do rąk łaskawego czytelnika.

wnuk Janusz Zaucha



*Wojciech Szatko,
kierownik szkoły w Staszkówce*



*Maszyna Singera
sprowadzona do
Staszówki*

REFLEKSJE NAD DRUGĄ RZECZPOSPOLITĄ POLSKĄ 1918–1939

Po zaprzestaniu wojny w 1918 roku, do której ukończenia walcnie przyczyniła się Ameryka swoim włączeniem się i pomocą, zebrali się mężowie stanu i politycy wszystkich krajów biorących udział w konflikcie, aby uporządkować Europę i nakreślić w niej nowe granice dla niektórych krajów. Odkonstytuowało się to zebranie w Wersalu, we Francji, i po uzgodnieniu różnych sprzeciwów podpisano pokój.

W wyniku podjętych decyzji Cesarstwo Austrowęgierskie rozpadło się na kilka państw: Austrię z Wiedniem, dziedziczny kraj Habsburgów, Jugosławię, kraj Południowych Słowian, Czechosłowację, Węgry i Polskę. Niemcy zmieniły formę rządu, przestając być cesarstwem – przeszły w formę republiki demokratycznej. Cesarz Wilhelm przestał być cesarzem i królem pruskim i musiał opuścić Niemcy z całą rodziną. Zamieszkał w Belgii i żył tam życiem zwyczajnego człowieka. Pisano, że nawet ćwiczył się w rąbaniu drzewa, naturalnie tylko dla sportu, aby utrzymać tężyznę fizyczną.

Na tym też kongresie pokojowym, mimo sprzeciwu Mołotowa, aby już nie wskrzeszać trupa Rzeczypospolitej,

na wyraźne żądanie prezydenta Ameryki utworzono Polskę z dostępem do morza i z Wolnym Miastem Gdańskiem. Niemcy musiały zwrócić Polsce poznańskie, Śląsk Cieszyński i niektóre ziemie Górnego Śląska z miastem Katowice. Na północy Polska uzyskała Pomorze z dostępem do morza. Wolne Miasto Gdańsk było praktycznie placówką niemiecką i przeszkodą w życiu państwowym, mimo że przyznano go Polsce jako wolny port i miasto. Powstała więc wolna Polska i spełniły się słowa Mickiewicza, który pisał: „Módlmy się o wojnę ludów, bo wtedy powstanie Polska”¹⁷.

Odzyskanie niepodległości wcale nie było takie łatwe. Przecież przy stole wersalskim, przy którym radzono o pokoju, zasiadały także kraje zaborcze Polski: Niemcy, Austria i Rosja. Kraje te niełatwo zgodziły się na oddanie tego, co już uważały za swoją własność, i mocno przeciwstawiały się utworzeniu niepodległej Polski.

Któż to zatem dopomógł nam w tej sprawie? Był to Polak, nie polityk, lecz Wirtuoz, który swą muzyką czarował serca i umysły ludzkie i budził w nich szlachetne uczucia. Otóż ten Polak – Ignacy Paderewski – przez całą wojnę przebywał w Ameryce, dawał tam koncerty, w których wygrywał całą swą miłość do własnej, nieszczęsnej ojczyzny, a po ukończonym koncercie mówił o niej tak gorąco do serc rozgrzanych i wzruszonych muzyką słuchaczy, że budził w nich entuzjazm do Polski. Wołano więc: „Polska musi powstać z tych ruin wojennych”. Wtórowała tym głosom cała Polonia amerykańska: „Żądamy Polski!”. I tak jeździł on i koncertował po całej Ameryce, i zjednywał wszystkie serca jej obywateli. Ci zaś żądali od prezydenta, aby w punktach pokojowych umieścił warunek stworzenia wolnej i niepodległej Polski. Wirtuoz zjednał sobie swą muzyką i serce prezydenta amerykańskiego Woodrowa Wilsona, który w warunkach pokojowych umieścił

¹⁷ Autorka cytuje fragment Litanii Pielgrzymskiej z utworu A. Mickiewicza *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego* (przyp. red.).

punkt, że Polska ma być niepodległa z dostępem do morza. Postulat ten poparła też i Francja, która przecież była winna Polsce wdzięczność za pomoc w wojnach napoleońskich. Inne kraje musiały poprzeć Amerykę, boć przecież to ona właściwie wygrała i zakończyła tę wojnę, więc mogła dyktować warunki pokojowe.

Ważną rolę w odzyskaniu niepodległości odegrały również Legiony Piłsudskiego. Była to jednostka bojowa czysto polska, od nikogo niezależna. Pozwoliły na jej utworzenie Austria i Niemcy, upatrując w niej pomoc dla siebie przeciwko Rosji. Wiedziały bowiem z wojen napoleońskich, do czego jest zdolny, na jakie bohaterstwo się waży Polak, gdy walczy o wolność swej ojczyzny. Obiecywano Legionom za ich pomoc stworzyć wolną Polskę, a nawet przeznaczono już na to skrawek naszego kraju w ramach pokoju brzeskiego¹⁸, znanego też jako pokój pruski. W Polsce uważano jednak to rozwiązanie za kpiny i sypały się protesty z całego kraju przeciw tak okrojonym granicom. Nie brakło wśród nich i protestu Staszkówki, który ja osobiście zredagowałam, pouczając gospodarzy, o co chodzi w tej sprawie, i zebrałam podpisy wszystkich mieszkańców wsi.

Dowódcą Legionów był Józef Piłsudski. Był on wielkim bohaterem i Polakiem, który niemal od ławy szkolnej cierpiał dla Polski. Syn obywatela polskiego z Wileńszczyzny, chłopiec o bardzo wrażliwym sercu patrzył z ogromnym żalem na krzywdy Polaków, na niedole biednych ludzi, jakie wyrządzała Rosja naszemu narodowi, i z tego powodu bardzo cierpiał. Widział, jak rząd rosyjski prześladował młodzież szkolną, w jaki perfidny sposób zabraniano tej młodzieży mówić jej ojczystym językiem. Za używanie polskiego języka w rozmowach z kolegami dotkliwie karano, więc chłopiec ten, a później student buntował się i nie chciał słuchać takich rozkazów, mimo że często za to przesiadywał w karcerze. Kiedy

¹⁸ Mowa o traktacie brzeskim z 1918 roku.

za Polski sanacyjnej¹⁹ zwiedzałam Wilno, pokazywano mi na uniwersytecie wileńskim pokój-karcer Piłsudskiego, w którym odsiadywał karę za używanie języka polskiego, a odsiadywał ją bardzo często. Swój ból z tego powodu wyrażał nie tylko między kolegami, ale także szedł między robotników, pokrzywdzonych, cierpiących. Uczył ich i przekonywał, że na krzywdy trzeba stosownie odpowiadać, trzeba potępiać krzywdzących i opierać się ich rozkazom. Był prześladowany i więziony. Nic go jednak z tej drogi nie cofnęło. Ukrywali go towarzysze i przestrzegali przed policją. Były okresy, że nie mógł przespać nawet dwóch nocy w tym samym pokoju, bo policja miała swoich szpiegów, którzy donosili o jego schronieniu. Poświęcił się całkowicie swemu narodowi, cierpiał niedostatek, żył życiem zaszczutego psa, ale zyskiwał sobie miłość towarzyszy, budząc w nich nienawiść do caratu. W sprawach swego narodu wyjeżdżał za granicę, bo i tam w różnych krajach szerzył się ruch socjalistyczny, i tam jednał sobie przyjaciół dla polskiej sprawy.

Nic więc dziwnego, że kiedy wojna wybuchła, Piłsudski mógł powiedzieć z głębokim przekonaniem, że nadeszła chwila, by upomnieć się o krzywdy Polski, i wezwał naród do zbrojnego czynu. Garnęli się pod jego dowództwo i robotnicy, i kwiat młodzieży inteligenckiej. Nawet żołnierze z wojsk regularnych, zwłaszcza austriackich, prosili o przeniesienie ich pod komendę Piłsudskiego. W ten sposób powstały Legiony Piłsudskiego. Legiony te dzięki swej dzielności i bohaterstwu okryły się nieprzemijającą sławą. Powstały o nich pieśni legionowe, które śpiewano w szkołach, na ulicy i w domach mieszczańskich i wieśniaczych. Natomiast Polska Ludowa nie pozwalała ich śpiewać, a imię Piłsudskiego starała

¹⁹ Autorka w swoich rękopisach stosowała zapis od wielkiej litery: „Polska Sanacyjna”, podobnie w określeniach wydarzeń historycznych, np. „Powstanie Warszawskie”. Jednak na potrzeby niniejszej publikacji w redakcji wspomnień autorki zastosowano zapis od małych liter, zgodnie z zasadami językowymi (przyp. red.).

się pokryć mgłą niepamięci. Zamiast tego męża stanu kazała w szkołach na porankach artystycznych czcić choćby takiego czerwonego rezaka, jakim był Dzierżyński, któremu stawiała nawet pomniki. Głosiła bohaterstwo Armii Czerwonej, która mordowała Polaków jak chociażby we Lwowie i w Katyniu, i tej armii stawiała też pomniki. Tylko Legiony Piłsudskiego przysypywano w umysłach teraźniejszej młodzieży popiołem niepamięci, bo Piłsudski bił bolszewików, kiedy się pchali do Polski, i odpędzał ich od polskich zagród. W młodości swojej bowiem dosyć się napatrzył na rządy rosyjskie i chciał swój naród na zawsze od nich uchronić. Niestety, Polska Ludowa podporządkowała się Kremlowi z pełną uległością.

Kiedy więc w 1918 roku powstała odrodzona do samodzielnego życia Polska, po tylu latach niewoli pierwsze w niej miejsce siłą faktów i sprawiedliwości dziejowej zajął Piłsudski ze swymi „Legunami” jako polskim wojskiem. Zaraz na wstępie swych rządów polecił swemu wojsku wyprawić się na Wilno. Wilno bowiem, to ukochane jego miasto, zostało w traktacie pokojowym wyłączone z Polski i przyznane Litwie, mimo że było ono pod względem etnicznym niemal rdennie polskie. Nie mógł się z tym pogodzić Piłsudski, który to miasto nade wszystko ukochał, bo wiele w nim przeżył i przecierpiał. Wprost nie wyobrażał sobie Polski bez Wilna, tym bardziej że mieszkało tam zaledwie trzy procent Litwinów. Polecił więc swemu generałowi wyprawienie się na to miasto, które zostało zajęte bez rozlewu krwi, i włączył je w granice Polski. Z tego tytułu nie było większego sprzeciwu zagranicy, boć to miasto było zamieszkałe w przeważającej liczbie przez Polaków – w ponad osiemdziesięciu procentach.

Drugim jego ważnym osiągnięciem było ukrócenie swawoli band bolszewickich, które hulały po terenach polskich, niszcząc i rabując spokojnych obywateli. Pognał ich aż na Ukrainę, aż pod Kijów. Mszcząc się za to, bolszewicy, zebrawszy wszystkie swe siły, zorganizowali w 1920 roku wyprawę na

Warszawę, Berlin i Paryż. Pragnęli podbić całą Europę i zaprowadzić w niej nowy, jedynie sprawiedliwy, komunistyczny ustrój.

Obronienie przed bolszewikami Warszawy i zadanie im totalnej klęski nazwano w światowej historii Cudem nad Wisłą. Warszawa była miastem bardzo zniszczonym w czasie dotychczasowej wojny i nie była przygotowana do obrony. Niemieckie władze Gdańska nie zezwoliły na wyładowanie przesłanej Polsce broni koniecznej do odparcia nieprzyjaciela. Wówczas taka rozpacz ośładnęła polskich żołnierzy i taka złość, że niektórzy z nich niemal z gołymi pięściami pędzili na wroga. Młodzież szkolna pod przewodnictwem księdza Skorupki stanęła ofiarnie do nierównej walki ze śmiertelnym wrogiem. Ogromne bohaterstwo i determinacja żołnierzy i młodzieży przeraziła bolszewików tak, że ulękli się tej zaciekleści i uchodzili w popłochu. Reszty dokonał Piłsudski przez swój atak znad Wieprza, w wyniku którego zostali bolszewicy wyparci poza granice Polski.

Po oczyszczeniu kraju z hord bolszewickich zaczęło się urządzanie i porządkowanie wewnątrz. Było to też bardzo ciężkie zadanie. Polska była bowiem biedna, wyniszczona przez wojnę i zaborców i odczuwała braki na każdym kroku i pod każdym względem. Skonsolidowanie i złączenie w jedną całość wszystkich Polaków z trzech zaborów sprawiało ogromne trudności. Każdy zaborca wychowywał ludzi po swojemu, według swych praw i zarządzeń, a te się wielce różniły między sobą. Każdemu Polakowi wydawało się, że to jest lepsze, w czym on się wychował i do czego się przyzwyczaił. Miłość jednak do ojczyzny i jej wolności z wolna wymuszały coraz to powszechniejszą zgodę w narodzie.

Kolejną przeszkodę w uporządkowaniu Polski stwarzały kraje zaborcze, które nie mogły przeboleć odebranego im łupu w postaci polskich ziem i starały się przeszkadzać we

wszystkim, coby Polsce na dobre wychodziło, tak jak to dawniej czyniły, przeszkadzając w Sejmie Czteroletnim i uchwaleniu Konstytucji 3 maja. Niemcy i Rosja rzuciły więc na Polskę całe sfory swoich szpiegów, które miały wicherzyć i podburzać polskie partie przeciwko sobie, siać niezgodę i niezadowolenie.

Bolszewicy nienawidzili Piłsudskiego za to, że wraz z przejęciem rządów w Polsce w swoje ręce nie ogłosił on jako socjalista komuny. Na ten ich zarzut Piłsudski odpowiedział, że jest naczelnikiem całego narodu polskiego, a nie tylko jednej, socjalistycznej partii. Buntowali więc przeciwko niemu polskich socjalistów, którzy głośno na swych zebraniach występowali przeciw Piłsudskiemu. Na niejednym takim zebraniu, zwłaszcza zagranicznym, wzywali pomocy innych państw, w tym także Niemiec i Rosji, nie bacząc na to, że byłaby to ponowna interwencja zbrojna niedawnych zaborców. Kiedy czytałam te zdradzieckie żądania własnych obywateli, ogarniała mnie taka zgroza i napełniał me serce taki żal i ból, że nie mogłam powstrzymać się od zawołania: „Na hak tych zdrajców!”. A kiedy wreszcie po dłuższym czasie rząd zaareztował niektórych najwstrętniejszych zaprzańców, pomyślałam z ulgą: „No nareszcie, przecież im się to dawno należało!”. Do najwstrętniejszych szpiclów, którzy się niejednokrotnie przekradali przez granicę do Związku Radzieckiego i przynosili im nowinki szpiegowskie, którzy szkalowali Polskę, a liźli tyłek Stalinowi, należał Bolesław Bierut. Z wdzięczności za tę służbę Stalin mianował go później prezydentem Polski. To wstyd i hańba, że taką kanalię kazano nam považać, że takiego zaprzańca postawiono na czele państwa. Nieraz myślę o tym, że po wyrzuceniu Stalina z mauzoleum na Placu Czerwonym w Rosji nasi powinni także wyrzucić Bieruta z grobów zasłużonych na cmentarzu w Warszawie.

A jednak mimo tylu przeszkód, mimo tak wielkiej złej woli swoich i obcych, Polska sanacyjna zrobiła bardzo dużo dobrego i pozostawiła po tym krótkim czasie swych rządów

pomniki, które nieprędko przeminą i które przypominać ją będą przez jeszcze wiele lat. Polska Ludowa z wielkim pożytkiem ich używa, chociaż nigdy nie wspomina, czym one były dziełem. Natomiast przy każdej sposobności opluwa Polskę sanacyjną niewybrednymi epitetami.

Do wielkich osiągnięć Polski sanacyjnej należało zbudowanie portu i miasta Gdyni. Stanowiło to największą chlubę ówczesnej administracji. Kiedy Gdańsk nam w tak ciężkiej chwili, jaką była nawała bolszewicka pod Warszawą, wstrzymał wyładunek broni, wówczas jeden z najmądrzejszych ministrów, inżynier Eugeniusz Kwiatkowski, oświadczył, że Polska musi mieć własny port, by uniezależnić się od Gdańska. To jego stanowisko znalazło pełne zrozumienie w rządzie i sejmie. Minister Kwiatkowski zainicjował w małej wiosce kaszubskiej – Gdyni – budowę portu. Projekty, które on zatwierdzał, opierały się na najnowszych osiągnięciach technicznych. Nic więc dziwnego, że port ten wzbudzał również podziw specjalistów z Zachodu. Polonia amerykańska nazywała go cudem polskiej myśli technologicznej, uważając, że wybudowanie go i wyposażenie w takich ciężkich warunkach, w jakich wtedy była Polska, należało do cudów. Port ten i dzisiaj jest chlubą Polski Ludowej, chociaż ona nigdy nie wspomniała, czyją był zasługą, a twórcy tego portu inżyniera Kwiatkowskiego nie powołała na dłuższy czas do swego rządu, jedynie nadała mu stanowisko profesora w Wyższej Szkole Handlu Morskiego, a niebawem nawet usunęła z Wybrzeża jako *persona non grata*.

Kolejnym ważnym osiągnięciem Polski sanacyjnej było utworzenie tak zwanego Centralnego Okręgu Przemysłowego w widłach Wisły i Sanu. W Stalowej Woli powstała pierwsza nowoczesna fabryka broni, a następnie inne fabryki przemysłu zbrojeniowego w pobliskich miastach. Prezydent Polski Ignacy Mościcki, człowiek nauki, uczony światowej sławy, którego wynalazek syntezy związków azotowych z powietrza był głośny na całym świecie, inicjował i ułatwiał budowę

zakładów i fabryk związków azotowych na Śląsku, a następnie w Centralnym Okręgu Przemysłowym. Koło Tarnowa zbudowano olbrzymie zakłady, wokół których powstało niebawem całe miasto, nazwane Mościcami. W fabrykach tych znalazło pracę tysiące ludzi. W całej okolicy wzrósł wyraźnie dobrobyt i znacząco polepszyła się stopa życiowa tamtejszych mieszkańców. Można by jeszcze wymienić wiele innych osiągnięć gospodarczych zrealizowanych w czasie dwudziestolecia niepodległej Polski, aby móc wyrobić sobie obiektywne spojrzenie na ten krótki okres w historii naszej ojczyzny.

Warto jeszcze wspomnieć o przywróceniu pełnego spokoju i porządku na długiej granicy ze Związkiem Sowieckim. Pobudowano tam porządne domki graniczne i wyposażono je w biblioteczki, świetlice, ogrzewanie i we wszystko, czego straż graniczna potrzebuje. Straż tę, zwaną Korpusem Ochrony Pogranicza, tak zwany KOP, umundurowano i należycie uzbrojono. W porównaniu z naszą strażą graniczną straż sowiecka była wyjątkowo biedna. Żołnierze rosyjscy, często zziębnięci, nędznie umundurowani i w podartych butach, źle uzbrojeni nieraz prosili naszych KOP-istów o papierosy lub zapalki.

A oto, co napisała na ten temat Polka, komunistka, Wanda Wasilewska w podręczniku dla polskiej szkoły w Polsce Ludowej. Otóż przedstawiła sytuację panującą na granicy polsko-sowieckiej dokładnie na opak. Pewnego razu zdarzyło się, że opracowywano tę czytankę w naszej szkole w Gorlicach. Młodzież przeczytała w niej, że te wszystkie udogodnienia, jakie posiadała polska straż graniczna, należały do straży sowieckiej, a dziadostwo i nędza cechowały straż polską. Wtedy wstał jeden z uczniów i powiedział: „Proszę pani profesorki, to nieprawda. Nasi mieli wszystko, a tamci nic, nasi ich wspierali, a tamci żebrali”. Przerażona profesorka zapytała: „Skąd to wiesz?”, a on odpowiedział, że „Od ojca, bo mój ojciec był żołnierzem w straży KOP”. Ohydna Polka, ładacznica, kochanica

wielu bolszewików chciała w oczach szkolnej młodzieży poniżyć naród, którego była córką. A tu znalazł się uczeń, który wykazał bezczelny fałsz autorki. Lecz w ilu szkołach młodzież uwierzyła kłamstwu i może do dziś wierzy, bo nie ma sposobności zweryfikować ówczesną rzeczywistość i przekonać się, jak wyglądała prawda.

Warto w tym miejscu podzielić się moimi osobistymi refleksjami w związku z artykułem pana Małcużyńskiego opublikowanym trzydziestego września 1962 roku, w którym przypominał on strajk nauczycielski zorganizowany przez ZNP w 1937 roku i stłumiony przez polskie władze w imię dobra Polski. Przeczytałam ten artykuł i przeniosłam się myślą w on czas – dwadzieścia pięć lat temu. Byłam wtedy w czynnej służbie i pracowałam jako nauczycielka, i byłam czynnym członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego. Było rzeczywiście tak, jak to redaktor Małcużyński napisał, a więc nałożenie pieczęci na księgi związkowe, rewizja lokalu ZNP i wyznaczenie kuratora rządowego w osobie kolegi Musiała. Nikt nie respektował zarządzeń kuratora, a więc tym samym zarządzeń rządu, a wkrótce zorganizowano strajk nauczycielski. Tak było! Lecz pan Małcużyński nie wyjaśnił dokładnie sprawy, nie naświetlił jej obiektywnie, przypisując tylko rządowi sanacyjnemu całe zło, a więc dążność do władztwa, faszyzmu i gnębienia wolności, a właściwie wolnych zapatrywań poszczególnych obywateli.

Sprawa ta była bardzo ważna dla Polski, bo tu przecież chodziło o wpływ szkoły na kształtowanie się uczuć patriotycznych młodzieży. Ja znam dobrze tę sprawę i mogę z całym przekonaniem powiedzieć, że rząd Polski sanacyjnej miał pełne prawo tak postąpić, jak to zrobił, wydając odpowiednie zarządzenie. Obwiniam go jedynie za zbyt delikatne postępowanie z buntownikami. Powinien od razu zrobić tak, jak to uczynił rząd ludowy z redaktorem pewnej gazety, któremu ułatwił skok z okna redakcji i dopomógł mu w samobójstwie

za to, że napisał on prawdę w gazecie, której to prawdy rząd nie życzył sobie nagłaśniać. Nietrudno sobie wyobrazić, jak postąpiłby obecny rząd ludowy, gdyby doszło do jawnego buntu nauczycieli. Na pewno by organizatorzy strajku nie zobaczyli światła dziennego do końca życia.

A dwadzieścia pięć lat temu Polska sanacyjna była wolna i od nikogo niezależna. Przeciw jej rządowi zbuntował się Związek Nauczycielstwa Polskiego. A czemu? Muszę wyjaśnić tę sprawę, bo znam ją doskonale. Otóż my, nauczyciele, sympatyzowaliśmy zawsze z lewicą, byliśmy narodowymi socjalistami w tym najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, po prostu socjalistami – patriotami. Związek Radziecki, jak to powszechnie wiadomo, rzucił na Polskę sanacyjną całe sfory bolszewickich szpiegów i prowokatorów, którzy różnymi sposobami podburzali i buntowali obywateli przeciw własnemu rządowi. Stało się, że i ZNP został opanowany przez bolszewickich nauczycieli z Wandą Wasilewską na czele. Zaczęła ona rządzić ZNP wbrew polskiej racji stanu. Była bowiem kobietą sprytną, inteligentną, a zaprzędaną w zupełności Sowietaom, którzy suto ją za taką działalność opłacali. W swych artykułach publikowanych w pismach związkowych przeznaczonych dla nauczycieli i młodzieży szkolnej szkalaowała polską rzeczywistość, poniżała Polskę w stosunku do Związku Radzieckiego i dopuszczała się wręcz zdrady narodu polskiego. Zbolszewizowany ZNP w swych pismach występował przeciwko Bogu i religii, wkroczył też na drogę sabotażu i nielegalnej względem Polski działalności. Rząd nie mógł dalej tolerować takiego postępowania. Wtedy to właśnie związek postanowił zorganizować strajk, a bolszewicy postarali się już o to, że do strajku przyłączyły się związki zawodowe różnych sympatyków lewicowych. Rząd Polski sanacyjnej zamiast ostro i natychmiast ukarać winnych, łagodził spory, aby nie dopuścić do rewolucji domowej, do której z wszystkich sił parł Związek Radziecki. „Płomyki”²⁰, które ZNP przysyłał

20 „Płomyk. Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży” – czasopismo dla

do rąk dzieci szkolnych, były oburzające i kłamliwe w treści. Wanda Wasilewska wysilała się w „Płomyku”, by poniżyć, podeptać, wyszydzić i wyśmiać wszystko, co polskie i patriotyczne. My, nauczyciele, staraliśmy się, jak tylko potrafiliśmy, przedstawiać treść „Płomyków” we właściwym świetle i zgodnie z prawdą, by w ten sposób zmniejszyć szkody w umysłach młodzieży, siane przez te jakoby polskie czasopisma.

Przypominam sobie dobrze, jakoby to było wczoraj, jeden „Płomyk” w mojej klasie. Na jednej stronie tego pisemka był obrazek przedstawiający obdarte, wynędzniałe i zapłakane dzieci. Pod nim umieszczony był podpis: „Takie biedne i nieszczęśliwe są polskie dzieci!”. Naprzeciw tego obrazka, po drugiej stronie widniał obrazek przedstawiający dzieci roześmiane, rumiane i pełne na buziach. Pod obrazkiem umieszczono podpis: „Tak wyglądają dzieci bolszewickie w ZSRR”. Czyż można było tolerować dalej takie władze związkowe ZNP, które przecież z dobrem Polski nie miały nic wspólnego? Było to niemożliwe.

Na marginesie tej sprawy mogę z własnego doświadczenia powiedzieć, że polskim dzieciom dobrze się działo w szkole. Mieliśmy tam sporo żywności nie tylko dla młodzieży, ale nawet i dla starszych. W naszej szkole gotowało się kakao dla nich, dzieci dostawały po dwie bułeczki, czasem nawet więcej, by móc zanieść do domu dla młodszego rodzeństwa. W Rosji zaś cierpiały głód, a i starszym działo się nie lepiej. Wandę Wasilewską – tę zdrajczynię – znienawidzono w Polsce, gardzono nią i układano o niej pogardliwe wierszyki, które śpiewano na nutę: „Wanda leży w polskiej ziemi, bo nie chciała Niemca, lepiej zawsze mieć swojego niżli cudzoziemca”. W treści piosenki śpiewano o księżniczce Wandzie, że naród usypał jej mogiłę bardzo wysoką, a na grób Wandy Wasilewskiej nawet kulawy pies nie siknie.

dzieci wydawane w latach 1917–1991 (przyp. red.).

Ciężkie były wysiłki Polski sanacyjnej ponoszone w związku ze zjednoczeniem narodu i budową nowoczesnego państwa, trudno też było o zgodę w sejmie. Padały od czasu do czasu rządowe gabinety, ale i we Francji padają teraz, chociaż ten kraj ma już dawno ustabilizowany status polityczny. W każdym bowiem państwie działa zorganizowana klika, która pracuje głównie dla siebie, a nie dla państwa, i jak może, tak przeszkadza rządowi. Była i taka w Polsce sanacyjnej. Piłsudski walczył z nią i raz zajął nawet tak radykalne względem niej stanowisko, że doszło do przewrotu rządowego. Niestety walki te ze swymi własnymi obywatelami mieniącymi się jakoby dobrymi Polakami podkopywały zdrowie marszałka i nadwyreżały jego siły.

Jako szlachetny rys charakteru marszałka Piłsudskiego przytoczę taki oto przykład. Na pewnym posiedzeniu klika rządząca przeforsowała raz w sejmie podwyżkę swych poborów rządowych. Kiedy taką podwyższoną pensję przyniesiono marszałkowi jako ministrowi sił zbrojnych, ten rzucił ją pod nogi adiutantowi, komentując to bardzo nieparlamentarnym wyrażeniem: „Mam ich w d... z tą pensją. Inni obywatele nie mają co jeść, a rząd podnosi dla siebie pobory”. Od tego czasu nie brał on żadnej pensji od rządu, utrzymując się wraz z rodziną z honorariów za swe publikacje.

Życie marszałka sterane wojną, ciężkimi przeżyciami, ciągłą pracą, tułaczką i poniewierką zbliżało się ku końcowi. W czasie wojny był przez Prusaków więziony w Magdeburgu. Więzienia, walki staczane w różnych miejscowościach, obozowanie w niekorzystnych warunkach naturalnych przyczyniły się walenie do osłabienia jego sił i zdrowia. Śmierć zbliżała się do niego nieubłaganie.

Przypomina mi się z tamtych czasów pewien opis wizyty wojennego korespondenta w obozie legionowym w czasie wojny. Najmocniej utkwiał mi w pamięci z tego sprawozdania

opis wypoczynku legionistów. Wyglądał on tak: „Wszyscy żołnierze byli zajęci, jedni naprawiali sobie buty, inni bieliznę, to znów inna grupka przepierała swą bieliznę. Byli tacy, co ją oczyszczali, powiedzmy po prostu, ze wszy, bo ten pasożyt trzymał się uporczywie żołnierza. A przy tych pracach śpiewali sobie pieśń legionową, w której były przyśpiewki do każdego dnia tygodnia. Właśnie przechodził przez obóz ich kapelan z którymś z dowódców, a oni śpiewali:

*Ksiądz mi zakazował,
żeby nie całował
dziewczątek, dziewczynek, dziewczynek!
A ja sobie muszę
rozradować duszę
choć w piątek, choć w piątek, choć w piątek!*

Dowódca uśmiechnął się i rzekł: »Słyszysz ksiądz, co oni śpiewają?«. Ksiądz popatrzył na nich serdecznie i powiedział: »Moje kochane biedaki, pozbawieni są wszelkich radości i uciech ludzkich, więc choć niech śpiewem przywołują je w swej pamięci«. Takie to przyjemności i rozkosze mieli legioniści w życiu obozowym.

Dla poratowania zdrowia wysłano w końcu marszałka na Azory, na Maderę, ale to na długo już nie pomogło i wreszcie nastąpiła śmierć.

Kiedy marszałek był jeszcze na kuracji, to w dzień jego imienin każda szkoła i każda klasa wysyłała mu listy z życzeniami, takie miłe i serdeczne jak do swego ojca. Podobno cały statek tych listów zawinął do miejsca jego pobytu, do „Dziadka”, jak go wojskowi i wszyscy w kraju nazywali. A „Dziadkowi” była miła ta pamięć dzieci szkolnych, miłsza niż inne zaszczyty. Dziękował też dzieciom bardzo serdecznie przesyłając pisma ze swej kancelarii prawie do każdej szkoły. I moja klasa IVa wysyłała mu życzenia, za które otrzymaliśmy serdeczne podziękowania, z czego byliśmy dumni ja i moje dzieci.

Pisząc to, przypominałam sobie, że Związek Radziecki w dalszym ciągu dekoruje swych obywateli krzyżami za zasługi noszącymi imiona najgorszych ciemżycieli Polski, ludzi caratu, których się teraz niby wypierają. Do odznaczeń takich należy np. noszące imię Suworowa. A był to przecież ten sam generał, który sprawił wiele udręk naszemu narodowi, który niepotrzebnie wymordował całą Pragę pod Warszawą za to tylko, że broniła swej wolności. A u nas obecnie nie można nawet wspomnieć imienia takiego wspaniałego bohatera narodowego jak Józef Piłsudski.

Naród polski pokochał go bardzo, zrobił mu majestatyczny pogrzeb i pochował go w królewskich grobach. Kiedy zwłoki jego jechały koleją z Warszawy do Krakowa, to wzdłuż całej trasy żegnali go ludzie, całymi procesjami ustawiając się z żałobnymi chorągwiami wzdłuż torów. Kościół Mariacki w Krakowie pożegnał go hejnałem, miasto przybrane w ciężką żałobę żegnało go dzwonami i serdeczną łzą. Spoczął na Wawelu w srebrnej trumnie jako ten, który szablą zdobywał wolność Polski. Leży tam także i Mickiewicz, który znów piórem swym uczył miłości dla swej ukochanej ojczyzny.

Nad grobem Marszałka zabrzmiał po raz ostatni hymn Legionów, który tak często śpiewaliśmy w szkole i na wszystkich uroczystościach patriotycznych, teraz go śpiewać niestety nie wolno.

Legiony to żołnierska nuta,

Legiony to nasz życia los,

Legiony to żołnierska buta,

Legiony to straceńców los!

*My, Pierwsza Brygada, strzelecka gromada,
na stos rzuciliśmy swój życia los, na stos, na stos!*

Poświęciłam parę słów temu mężowi stanu, który go-dzien jest najwyższego szacunku. Sądzę, że historia przyzna mu w końcu należyte miejsce wśród najbardziej zasłużonych

Polaków w historii tego narodu. Natomiast Polska Ludowa pokryła go zupełną ciszą, aby młodzież nie wiedziała, że taki mąż stanu żył i tyle dobrego i wspaniałego uczynił dla Polski. Ja zaś pragnę z całego serca, żeby mój prawnuk Jacuś wiedział o nim wiele i czcił jego pamięć jako i ja ją czczę.



Katarzyna Szatko, Gorlice, 1939 r.

WOJNA POLSKO-NIEMIECKA W 1939 ROKU

Od roku 1918 do 1939, kiedy Polska budowała i scalała swą ojczyznę, Niemcy uzbrajały się, marząc przede wszystkim o odwecie. I oto nie przebrzmiały jeszcze echa pierwszej wojny światowej, nie naprawiono jeszcze szkód, które ona wyrządziła, nie uprzątnięto gruzów i ruin, jakie po niej pozostały – chociażby w naszych Gorlicach – nie zabił rany po cierpieniach, jakie z sobą sprowadziła – zwłaszcza u nas, w Polsce – nie zasklepił się ból po zabitych lub zaginionych, drogich osobach, a już rozpętała się druga wojna światowa, straszniejsza i krwawsza od pierwszej. Doprowadzili do jej wybuchu Niemcy z Hitlerem na czele.

Wybuch pierwszej wojny światowej stwarzał przynajmniej pozory, że nastąpił z ważnego powodu, boć przecież zamordowanie dwóch członków rodziny cesarskiej, z których jeden był następcą tronu, było czynem karygodnym i taka zbrodnia domagała się surowego osądu winowajców i ich mocodawców. Cesarz Franciszek uważał się za pana i władcę swoich poddanych i miał prawo karania za krzywdę wyrządzoną swemu domowi, za poniżenie swej władzy. Wahał się jednak dość długo z wypowiedzeniem Serbii wojny. Kiedy podjął w końcu taką decyzję, wojna rozpoczęła się według

wszelkich praw międzynarodowych przy ogłoszeniu obszernego jej uzasadnienia.

Ta druga wojna rozpoczęła się według zwyczajów dawnych, dzikich, barbarzyńskich ludów, jak na przykład Tatałów czy Teutonów. To był istny krwiożerczy napad dziczy, bez żadnego powodu, to była po prostu czysta agresja według zasady: napaść, zabrać, podeptać i podporządkować sobie ziemię innych narodów, a mieszkańców ich – jak to napisał Hitler w swej książce *Mein kampf* – zamienić w niewolników.

Kiedy Niemcy w wyniku odbudowy przemysłu zbrojeniowego w latach trzydziestych poczuli się silni militarnie, przystąpili do działań. Najprzód, bardzo skromnie i bez większego rozgłosu, zajęli Zagłębie Ruhry, które stracili w wyniku podpisania traktatu wersalskiego. Patrząc na to, zachodni politycy, którzy układali warunki pokojowe, zmarszczyli tylko brwi, uciekając się wyłącznie do środków dyplomatycznych. Nie próbowali zawczasu energicznie i stanowczo przeszkodzić tej wojnie, którą starannie przygotowali zbrodniarze i szaleńcy niemieccy. Zamiast zaraz założyć im kaftan bezpieczeństwa, patrzyli, co będzie dalej.

A dalej po pierwszej udanej aneksji zadowolony Hitler poprowadził spacerkiem swe wojsko na Austrię i zajął ją bez rozlewu krwi pod pretekstem zjednoczenia narodu niemieckiego. Zrzędy już wtedy miny zachodnich mężów stanu i nawet zęby im zgrzytnęły, lecz poza tym nic więcej. No to Hitler już na pewniaka postanowił najechać na Czechosłowację, by jakoby bronić sudeckich Niemców. Na to zachodni mężowie stanu jeszcze szerzej rozwarli gęby ze zdziwienia, lecz niczego konkretnego nie przedsięwzięli przeciwko zachłannej, hitlerowskiej zaborczości.

Czesi, choć w gruncie rzeczy nienawidzili Niemców i nienawiść tę okazywali w pierwszej wojnie światowej poprzez liczne zdrady wojsk austro-niemieckich, teraz, mimo że byli

należycie i nowocześnie uzbrojeni, dla obrony swej niepodległości nie zdobyli się na oddanie choćby jednego strzału. Pokazali oni w całej pełni, że są tchórzami, że bohaterami byli tylko w zdradzie, a nie w obronie swej wolności.

Teraz przyszła kolej na Polskę. Nikt w jej obronie ani palcem nie kiwnął, chociaż miała zawarty sojusz obronny z Anglią i Francją. Oba te kraje wprawdzie wypowiedziały wojnę Niemcom, lecz zaczęły myśleć jedynie o swoim bezpieczeństwie, a nie o udzieleniu Polsce jakiegokolwiek pomocy.

Polska pozostała osamotniona. Hitlerowcy napadli na nią jak zbójce, pobili lub zabili straż graniczną, a ich samoloty rozhulały się nad całym krajem i zbombardowały nasze lotniska. Hitlerowców wszędzie prowadzili i wspomagali polscy Niemcy, którzy przedtem czuli się Polakami i obrażali się, gdy ich ktoś nazwał Niemcami. I oto teraz ci sami Niemcy, którzy się żywili polskim chlebem, wyrosli na tym chlebie i wychowali na nim swoje dzieci, korzystali ze wszelkich swobód, zajmowali nawet wysokie stanowiska, zarobili miliony złotych na handlu i przemyśle, nagle odwrócili się od tej przybranej, ale prawdziwej dla nich matki i wbijali szpilety zdrady w jej łono.

Ich zdradziecka ręka wprowadziła hitlerowskie watahy na polską ziemię, a następnie prowadziła ich po całym kraju. Gdzie tylko chodziło o pomoc dla Niemców, a szkodę dla Polski, tam zawsze wysuwała się zdradziecka niemiecka ręka i działała na korzyść Niemców. Przecież wielu z nich było od lat zasiedziały w Polsce, stąd tak wiele znali różnych szczegółów i mogli przeto wyrządzać nam wiele szkód. Wylączam tu tylko admirała Józefa Unruga, który do końca był polskim bohaterem, bronił do ostatka półwyspu Hel i oparł się wszelkim namowom i obietnicom niemieckim. Został wzięty do niewoli niemieckiej jako prawdziwy, rzetelny Polak. Admirał Unrug, pochodzący z zaboru niemieckiego, mimo że

doskonale znał język niemiecki, gdyż jako oficer niemiecki dowodził w czasie pierwszej wojny światowej okrętem podwodnym i miał ukończoną Akademię Wojskową w Niemczech, to przy rozmowach kapitulacyjnych w 1939 roku zażądał tłumacza, gdyż on może jako polski admirał mówić tylko po polsku. Gdy zaś pewnego razu tłumacz przetłumaczył zdanie Unruga w sposób jakby bardziej w duchu proniemieckim, zażądał natychmiast sprostowania, gdyż honor polskiego żołnierza i marynarza nie może być nigdy narażony nawet na najmniejszy szwank. Chwała mu za to!

Zdrada niemiecka doszła do tego stopnia, że nawet w uzbrojeniu naszej armii wyrządziła nam poważne szkody. Bywało niekiedy, że pociski złożone w zbrojowni były w pewnej części uszkodzone, niewybuchające. To znów broń przeznaczona dla obrońców Gdyni w 1939 roku została zdradziecko skierowana – zamiast przez Kościerzynę – przez Tczew wprost do Gdańska, gdzie została skonfiskowana. Żołnierz dostawał niekiedy nawet nowoczesną broń, lecz nie mógł jej właściwie użyć, bo brakowało jej jakiejś drobnej części. Jak Niemcy dywersanci to robili, tego nikt nie wiedział. Wiadomo jednak, że „przed domowym złodziejem nic się nie ostoi” i to porzekadło da się w całości zastosować do Niemców zasiedziały u nas, w Polsce.

Zważcie więc, moi kochani, że Polska mimo nieprzygotowania do wojny, zbiedzona i przeorana przez pierwszą wojnę światową, mimo tylu zdrad i wyrządzonych przez nie szkód, nie poddała się jak Czechy, bez wystrzału, lecz stanęła osamotniona do nierównej walki, wystawiając swe niedostatecznie uzbrojone piersi. Żołnierze zasłonili swą ojczyznę odwagą i miłością przed kulami najeźdźców. Wobec tego nie należy naśmiewać się z oświadczenia Rydza-Śmigłego, że „nie damy ani jednego guzika”²¹, bo on, pełen odwagi i miłości,

²¹ Fragment przemówienia generała Edwarda Rydza-Śmigłego podczas XII Zjazdu Związku Legionistów Polskich w 1935 roku (przyp. red.).

ufał bezgranicznie swemu narodowi i wierzył w jego odwagę. Naród zaś pokazał, że zna cenę swego honoru i można mu zaufać. To, że uległ przemocy i zdradzie, to nie jest jego hańbą. Historia tę wojnę oceni na pewno bardzo wysoko pod względem determinacji i odwagi wojsk polskich.

Jednym z takich dowodów odważnej obrony Polaków przed najeźdźcą była bitwa pod Kutnem. Nie wiem, jak tę bitwę oceni historia, ja natomiast dobrze pamiętam głosy całej światowej prasy, a były one wprost entuzjastyczne dla wojsk polskich.

Przypominam sobie niektóre wypowiedzi dziennikarza włoskiego: „Takiego szalonego, odważnego i rozpaczliwego natarcia już się w przyszłości chyba nigdy nie zobaczy. Patrzyłem ja i wszyscy inni na tę szarżę konnicy z zapartym tchem. Byliśmy wprost zauroczeni tym niezwykłym, a tak w gruncie rzeczy tragicznym natarciem, boć przecież koniec jego można było z góry przewidzieć. Honor i rozpacz gnały polskich żołnierzy. Niemcy byli również zdumieni i usuwali się pod naporem tego natarcia. Żelazna ściana niemieckiego ognia z dział i czołgów zagrodziła Polakom drogę. Odwrotu nie było – ginęli jeden za drugim. Mur ciał i trupów końskich zagradzał Niemcom drogę do Polski. Nawet Hitler uznał i podziwiał bohaterstwo Polaków. Podobno tak się o nich wyraził: »Gdybym miał takich żołnierzy, przeszedłbym z nimi cały świat«”.

I któż to śmie urągać lub naśmiewać się z obrony Polski? Niech taki spojrzy na małą wysepkę ukrytą w gdańsko-niemieckim morzu, na to sławione w całym świecie Westerplatte, które się stało wzorem bohaterstwa dla innych narodów. Bronili się przez całe siedem dni – nikt się nie poddał. A gmach pocztowy w Gdańsku? Bohaterscy pocztowcy nie wpuścili do gmachu Niemców, aż cały budynek stanął w płomieniach. Gdynia i półwysep Hel broniły się przez kilka tygodni, mimo

zdrad i niemieckiej dywersji. Obrona ta wzbudziła szczerzy podziw zagranicy i uznanie dla admirała Unruga. Popatrzcie też na stolicę – Warszawę – czy ona się ulękła, czy poddała się wrogowi? Nie, broniła się do ostateczności, niemal cztery tygodnie, za co bohaterski burmistrz Stefan Starzyński, obrońca Warszawy, poniósł śmierć z rąk Niemców. Przygotowywano też obronę Lwowa. Niestety nasz zdradziecki przyjaciel, Związek Radziecki, który zawsze w ciężkich chwilach dla Polski podawał skwapliwie rękę swemu wrogowi niemieckiemu, aby zgodnie pognać Polskę, wbił w plecy polskiego wojska zdradziecki nóż i nie było już ratunku. Naoczni świadkowie opowiadali, że kiedy żołnierze zaśpiewali pożegnalną pieśń, ozwał się powszechny płacz z wszystkich piersi ludzi słuchających tej pieśni. Żołnierze rzucali się na ziemię, żegnali ją łzami i pocałunkami – płakali także, kiedy żegnali bohaterskie miasto i pomnik obrońców Lwowa. Płakało całe miasto i wśród tego płaczu generał Kazimierz Sosnkowski wyprowadzał załogę ze Lwowa z bronią w ręku, gdyż inaczej broniłaby się do ostatniej kropli krwi. Niechże inny naród pochwali się taką obroną kraju w jakże trudnych i niesprzyjających warunkach.

Wojsko spod Lwowa udało się przeważnie za granicę, głównie na Węgry, natomiast spod Warszawy na wschód i oddało się pod opiekę naszym przyjacielom radzieckim. Ponieważ w tym wojsku był kwiat polskiej inteligencji, więc Stalin, który Rosję skutecznie oczyścił z carskiej inteligencji, doszedł do wniosku, że łatwiej mu będzie rządzić Polską bez warstwy ludzi wykształconych, więc wydał rozkaz poparty przez Centralne Biuro Komunistyczne ZSRR rozstrzelania wszystkich polskich jeńców w Starobielsku, Ostaszkowie i innych obozach oficerskich. A było w tych obozach w sumie około dwudziestu dwóch tysięcy jeńców – dwanaście tysięcy wojskowych, w tym osiem tysięcy oficerów, reszta to inteligencja

cywilna. Było to najwstrętniejsze morderstwo i ludobójstwo, jakie się zdarzyło w historii cywilizowanego i kulturalnego świata. Na oczach całego świata, zgodnie z prawem radzieckim zamordowano ludzi, którzy się poddali i byli jeńcami wojennymi. Uczyniono to wbrew wszelkim międzynarodowym prawom przyjętym i respektowanym przez wszystkie cywilizowane państwa.

Jeden z oficerów, obrońca Warszawy, profesor Wyższej Szkoły Handlowej, Leon Dyl tak mówił do mnie już po tej rzezi przeprowadzonej w Związku Radzieckim: „Kiedy szedłem ze wszystkimi innymi spod Warszawy na wschód rozmyślałem w drodze: po co ja tam idę? Skończyłem Akademię Handlową we Wiedniu, władam językiem niemieckim jak rodowity Niemiec, więc dam sobie radę z Niemcami, a na pewno przydam się swoim w kraju. Skorzystałem więc ze sposobności i zawróciłem z drogi do Warszawy. Rzeczywiście, przydałem się wielu swoim i niejednego wybroniłem przed Niemcami, a sam uniknąłem pewnej śmierci z rąk bolszewickich oprawców”.

Tak się zakończyła wojna otwarta z bronią w ręku, a rozpoczęła się wojna podziemna, partyzancka. Była to wojna nie mniej bohaterska niż otwarta. Działaczom Polski Podziemnej stale groziła śmierć, a wielu bohaterów tej Polski zginęło na trudnych swych placówkach. Armia Podziemna²² przeprowadzała wiele akcji sabotażowych i wyrządziła Niemcom ogromne szkody. Przeprowadzone akcje, zasadzki obfitowały w nadzwyczajne czyny, często bezprzykładne bohaterstwo. Towarzyszyły im z reguły nadzwyczajne, ale często tragiczne emocje.

Podziemna polska armia dawała znać o sobie także w naszych Gorlicach i tu pociągnęła za sobą ofiary w ludziach szlachetnych i oddanych Polsce. Szczególnie intensywnie wojna

²² Czyli Armia Krajowa (przyp. red.).

podziemna była prowadzona w powiecie tarnowskim, obejmującym swym działaniem teren aż pod Kraków. Komentarzem na tym obszarze był mój kuzyn Stanisław Marek, były kapitan Wojska Polskiego. Książki opisujące wyczyny tej wojny dadzą świadectwo, jak Polacy bronili swej kochanej ojczyzny z pełnym poświęceniem i z wielkiej dla niej miłości. Zakończeniem tej wojny podziemnej było powstanie warszawskie pełne najwspanialszego bohaterstwa, patriotyzmu, poświęcenia i umiłowania wolności.

LOSY OBROŃCÓW POLSKI NIEPODLEGŁEJ

na przykładzie mego syna Adama
i siostrzeńca Józefa Sartoriusa

W pamiętniku z pierwszej wojny światowej, w którym opisałam osobiście przeżytą makabryczną zawieruchę wojenną, nieraz podkreślałam, że spoglądając wówczas na swego małego chłopca, myślałam ze strachem: „Czy i ty, mój synu, rośniesz do takich nieszczęść i do takiej udręki wojennej?”.

I dorósł! W pewnym dniu sierpniowym owego tragicznego roku 1939 otrzymał wezwanie do wojska. Powierzono mu dowództwo Obrony Narodowej w powiecie gorlickim. Od tego czasu ćwiczył codziennie przydzielonych mu chłopców na łąkach pod Gorlicami. Uczył ich nowej sztuki wojskowej, miewał z nimi pogadanki i fachowe wykłady. Przyszła wreszcie chwila, żeśmy go musieli pożegnać. Stały przede mną wszystkie cierpienia żołnierzy, na które patrzyłam w ostatniej wojnie, zatrzęsło się we mnie wszystko ze strachu, bólu i grozy. Przed oczyma przesuwwały mi się wszystkie najstraszniejsze obrazy, na które patrzyłam z przerażeniem, a teraz uświadomiłam sobie, że mój syn wchodzi w tę straszną grozę, w ten koszmar wojenny. Przypomniały mi się rozdzierające, pożegnalne sceny matek z tamtej pierwszej wojny, a ja teraz



Adam Szatko, student, 1928 r.



Zofia Szatko, żona Adama

muszę tak samo żegnać swego jedynaka z tą straszną myślą, że może go już nigdy więcej nie zobaczę. Przypomniałam sobie w tej rozpacznej chwili, w której podczas obchodu Konstytucji 3 maja na rynku tarnowskim, pięknie udekorowanym i oświetlonym, młodzież polska śpiewała pieśni patriotyczne, a ja, dziewczynka z IV klasy szkoły powszechnej, rozrzuwiona i przejęta niezmierną miłością do ojczyzny, uklęknęłam na rynku i wyrecytowałam te słowa: „Wszystko, co będę miała najdroższego w życiu, oddam tobie, Ojczyzno”. I oto nadeszła ta chwila, trzeba było słowa dotrzymać. Pozostała mi tylko modlitwa i gorąca prośba do Boga, by go uchronił od śmierci i kalectwa.

Adam dostał rozkaz obsadzenia granicy czeskiej koło naszej Magury Małastowskiej. Pomyślałam, że to niezbyt daleko i będzie go można jeszcze ujrzeć. I rzeczywiście, zobaczyłam go jeszcze, bo z okopów przyszedł do Gorlic wziąć ślub ze swą narzeczoną. Na ślub ten musiałam mu przywieźć indult od biskupa tarnowskiego. Jest to specjalne pozwolenie wygłoszenia od razu trzech zapowiedzi ślubnych. Na pokonanie króciutkiej odległości do Tarnowa zamiast trzech godzin potrzebowałam aż dwudziestu sześciu – taka już była pod koniec sierpnia gorączka wojenna i utrudnienia w podróży. Ślub był wyznaczony właściwie na Boże Narodzenie, ale w związku z wybuchem wojny syn chciał, by w razie gdyby zginął, żona pobierała po mężu – żołnierzu pensję, takie bowiem wtedy obowiązywało prawo respektowane przez wszystkie państwa. Obecnie prawo to w związku z milionami zabitych nie ma nigdzie zastosowania. Ślub odbył się w Gorlicach – jeśli dobrze pamiętam – dwudziestego ósmego sierpnia, a już wczesnym rankiem Adam pojechał motocyklem na Magurę Małastowską.

Od tego czasu dochodziły do nas, rodziców, co pewien czas różne wiadomości, strzępy epizodów, w których najważniejszą i istotną sprawą było to, że Adam jeszcze żyje, a my możemy mieć nadzieję, że go żywego powitamy po wojnie.

Zaraz w pierwszych tygodniach wojny spotkały mnie w Gorlicach trzy seminarzystki, między nimi Wandzia Gruszczyńska, i rzekły: „Mamy dla państwa pozdrowienia od Adasia. Wracamy z frontu jako pielęgniarzki Czerwonego Krzyża. Maleńko, a byłybyśmy w niewoli niemieckiej. Z opresji wyba-
wił nas Adaś ze swą kompanią. Ma pani syna bohatera!”.

Kiedy żołnierze radzieccy przekroczyli granicę wschodnią Polski, zagrodzili drogę cywilom uciekającym przed Niemcami. Rozpoczął się powrót uciekinierów do ich miejsc zamieszkania. Takiego właśnie powracającego z ucieczki Polaka, pana Karpińskiego, naszego gospodarza, spotkał mój syn i powiedział mu: „Proszę pozdrowić moich ojców i powiedzieć im, że cały i do tego jeszcze z karabinem”.

W kilka dni później inna uciekinierka, moja uczennica, a koleżanka Zosi, Władzia Ziomkówka doniosła mi, że widziała Adasia. „Był zbiedzony, brudny, nieogolony, z podbitym okiem. Zapłakałam na jego widok – co wojna zrobiła z tego elegancika. »Nie płacz – powiedział do mnie – i nie smuć moim wyglądem ojców, lecz powiedz im, że żyję i że im ręce serdecznie całuję. Uściskaj i ucałuj Zosię i smyków, moich siostrzeńców. Żegnaj mi, Władziu kochana, zmów na moją intencję paciorki i wspomnij czasem polskiego żołnierza, który idzie borem, lasem, przymierając z głodu czasem«”. Władzia, mówiąc mi te słowa, zanosila się rzewnym płaczem.

Pewnego razu przystąpił do mnie na ulicy studencik, mówiąc: „Proszę pani, ja mam dla państwa pozdrowienia od pana profesora, syna pani. On był ostatnio komendantem szkolnej kompanii strzelców gorlickich i jasielskich. Kiedy miał przekroczyć granicę węgierską, wezwał nas i powiedział: »Chłopcy, widzicie, że o dalszej obronie nie ma mowy. Składamy broń po stronie węgierskiej, a dalej pomyślimy, co ze sobą zrobić. Jeśli który z was ma ochotę iść dalej ze mną, wezmę go pod swoją opiekę, ale radzę, wróćcie. Polsce się przydadacie i możecie jej służyć w inny sposób jako dobrzy patrioci«. Ja, proszę

pani, mam zamiar wrócić do pana profesora, tylko troszeczkę wypocznę u mamy, bo taki jestem zmęczony i sponiewierany”. Ale nie wrócił, lecz służył swej ojczyźnie w inny sposób.

Po pewnym czasie dostałam od syna kartkę z Węgier. Pisał w niej, co następuje: „Jestem cały, tylko mnie w rękach okrutnie łamie, radzą mi leczyć ręce francuską wódką – a co mi radzicie Wy, ojcowie?”. Odpisałam: „Z bólem serca żegnaj cię synu, ale radzę idź w ślady naszych ojców, bo taki jest los polskiego żołnierza”. I kilka gorzkich łez matki spadło na ten list pożegnalny.

Na ten list odpowiedziano mi z Węgier: „Już pojechał. List pani mu przesłamy”. A mnie ulżyło, gdyż taką odczuwałam udrękę z powodu swej decyzji. Powtarzałam sobie ciągle: „To ty, matka, sama wysłałaś swego jedynego syna na śmierć”. A tymczasem w tej sytuacji podjął decyzję taką, jaką chciałam, ale sam, bez mojej woli i rady, tylko z miłości do ojczyzny.

Parę dni później przyszedł do mnie syn naszych przyjaciół, państwa Augustynów, kierownik szkoły z Glinika Mariampolskiego – medyk z ostatniego roku wydziału lekarskiego. Został on przydzielony jako lekarz do kompanii, którą dowodził mój syn. Otóż ten kolega i przyjaciel Zosi przyszedł nam opowiedzieć przebieg wydarzeń po przekroczeniu granicy węgierskiej. „Nie zdołałam państwu wypowiedzieć dokładnie tego, cośmy czuli przy oddawaniu broni z zaciśniętymi ustami, pełni smutku, bólu i wstydu. Mieliśmy tylko trochę tej pociechy, że nie oddaliśmy jej naszemu wrogowi, lecz wielowiekowemu przyjacielowi. Zbiedzonych, brudnych i przygnębionych zaprowadzili nas Węgrzy do baraku i odeszli. Zostaliśmy sami i dopiero mogliśmy dać wyraz naszej rozpaczki po utracie wolności. Z wszystkich naszych piersi, jak na komendę wybuchnął rozdzierający płacz i jęk rozpaczki. Nie mamy już Polski, więc po co żyć? Niektórzy żołnierze bili głowami o ściany, niektórzy klęli, inni nawet bluźnili Bogu i Królowej Polski, Najświętszej Pannie Marii. Byli i tacy,



Adam Szatko, Indie, 1943 r.



Adam Szatko, Włochy, 1946 r.

co szukali broni, by sobie życie odebrać. W chwili największej rozpaczyny stanął w środku między nimi Adam i rzekł do nich: »Żołnierze, zastanówcie się, co Polsce przyjdzie z naszej śmierci, którą sobie sami zadamy, co za korzyść dla niej z naszego szaleństwa? Pomyślmy raczej o tym, by to życie, które wydaje się nam w tej chwili bez wartości, ofiarować Polsce dla jej pożytku. Wojna dopiero się zaczęła, a na pewno obejmie wiele krajów, boć inne państwa na pewno będą się bronić podobnie jak Polska i nie dopuszczą do panoszenia się Niemców w całej Europie. Za przykładem więc naszych ojców idźmy w świat i ofiarujmy swą pomoc temu narodowi, który będzie walczył z naszym odwiecznym wrogiem, z Niemcami«. Żołnierze słuchali tej mowy w ciszy i skupieniu. Wreszcie odetchnęli pełną piersią i krzyknęli niemal jednym głosem: »Zgoda!«. Adam dla większego odprężenia zaczął sypać jak z rękawa różnymi dowcipami, opowiadać anegdotki i monologi i dokazał tego, że całe towarzystwo zaczęło się serdecznie śmiać. O jakże wszyscy byli mu za to wdzięczni. Wkrótce zaczęły się odbywać różne narady i starania zmierzające do tego, aby jak najspieszej wyjechać z Węgier na Zachód, a zwłaszcza do Francji. Powoli rozpoczęto uciekać z baraków, początkowo po jednym, a potem nawet po kilka osób codziennie. Węgrzy, przyjaciele Polaków, z którymi tak ściśle złączyła nas historia, pomagali w ucieczkach, przeprowadzali przez granice i ekwipowali na drogę». Swe opowiadanie zakończył wreszcie słowami: „Adaś już poszedł, a ja ze wstydem muszę się przyznać, że na rozkaz matki wróciłem”. Warto podkreślić, że matka jego miała czeskie korzenie, stąd być może miłość ojczyzny i poczucie wolności nie były jej najmocniejszą stroną charakteru.

I wstydził się ten młody człowiek nieraz, gdyż dawano mu do zrozumienia, gdzie on powinien obecnie być, gdy jego koledzy walczą z Niemcami. Były nieraz wypadki, że mu niejeden nawet ręki swej nie podał. Nie przeszkadzało mu to

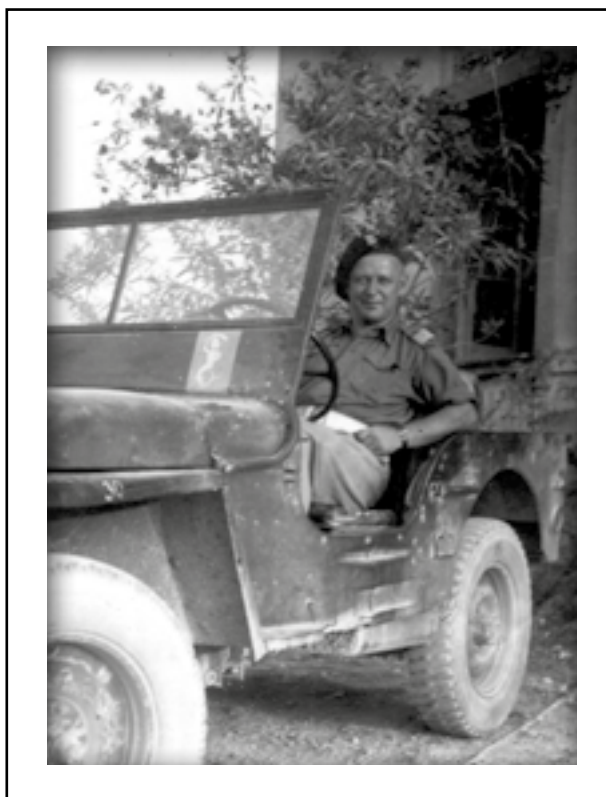
jednak w tym, że dorobił się majątku, postawił willę, podczas gdy tamci jego koledzy krwawili się na wszystkich frontach, tułali po wielu krajach, doznając wielu upokorzeń i nędzy, a wielu z nich do dziś ledwo koniec z końcem wiąże. Nie mógł jednak pozostać w Gorlicach, gdyż na każdym kroku okazywano mu niechęć lub wręcz pogardę. Wyjechał więc daleko i tam powodziło mu się dobrze jako wziętemu lekarzowi.

Dostałam także list z Węgier od mego siostrzeńca, którego od dziecka wychowywałam jako sierotę bez ojca i matki. On też jako żołnierz znalazł się na Węgrzech. Napisał do mnie ten mój Józio Sartorius taki oto list: „Ciociu, wybieram się tam, gdzie poszedł Adaś. Chciałem jednak przed odejściem przeprosić cię, bo dopiero teraz zrozumiałem, jaki byłem dla ciebie niedobry. Wybacz mi łyzy, które wylałaś z mego powodu, bo idę na wojnę, może zginę, jest mi więc potrzebne twoje przebaczenie”. Napisałam natychmiast do niego najserdeczniej, jak potrafiłam: „Niech cię Bóg ma w swej opiece, błogosławię cię jak syna, a przykrości z twego powodu już nie pamiętam i nigdy pamiętać nie będę”.

Upłynęło kilka tygodni. Pewnego dnia otrzymałam list z zagranicy. Pismo poznałam, choć żadnego podpisu czy nazwiska pod treścią nie było. Domyśliłam się, że jest od syna. Czytałam: „Jestem w wielkim mieście, o którym mówi polskie przysłowie, że w nim nie robi się z owsa ryżu”. Zrozumiałam więc, że jest w Paryżu. Pisał dalej, że to, co się zaczęło, nieprędko się skończy. Co narosło latami, latami trzeba będzie kruszyć i burzyć aż do fundamentów. „Nieprędko ja was, kochani, zobaczę, a może nawet nie zobaczę. Całuję ręce, ściskam wszystkich i żegnaj na długo, a może na zawsze”.

Popłakaliśmy się wszyscy nad tym listem.

Po tym nastąpiła dłuższa cisza, brak jakichkolwiek wiadomości. Wśród tej ciszy niespodziewanie przyszedł z Lizbony mały pakiecik, bez żadnego podpisu ani jakiegokolwiek słówka z wyjątkiem pieczętki firmy wysyłkowej z Lizbony.



Adam Szatko, Włochy, 1944 r.

Domyśliliśmy się, że ten pakiecik miał nam powiedzieć, że Adam jeszcze żyje.

Złożyło się tak szczęśliwie, że mąż mój, wypłacając zapomogi wysiedlonym, dowiedział się od jednej pani, że ma męża żołnierza w Anglii, z którym koresponduje poprzez ciotkę mieszkającą w Ameryce. Mąż jej pisze do niej list, adresując go do ciotki, a ta list ten przesyła do Polski. W tym bowiem czasie był jeszcze utrzymany obrót listowy między Ameryką a Niemcami. Mąż mój podał tej pani imię i nazwisko syna z prośbą, że jeśli jej mąż znajdzie go w Anglii, niech do swego listu dołączy od niego karteczkę i prześle razem tą okólną drogą. Nie wiem dokładnie, ile tygodni upłynęło od tej rozmowy, aż tu ta pani przynosi nam karteczkę napisaną własnoręcznie

przez Adama: „Najdrożsi, jestem teraz w szpitalu, ale wszystko u mnie jest w porządku. Jest mi tu dobrze, nie brak mi nawet przysłowiowego ptasiego mleka. Brak mi tylko was, moi ukochani, i ojczyzny i ta tęsknota gnębi mnie niesamowicie, i odbiera wszelką chęć do życia”.

Po tej karteczce nastąpiło długie milczenie, żadnej wiadomości o nim. Po cichu każdy z nas myślał, że pewnie zginął, ale nie mówiło się tego głośno, aby nie budzić żalu u innych. Baliśmy się wymienić nawet jego imię, z serc naszych płynęła tylko do Boga gorąca modlitwa: „Panie, Ty wszystko możesz, przeto uratuj go!”.

Nadszedł czas zażartej wojny na zachodzie. Ruszyły wojska angielskie, amerykańskie i polskie do ataku na Niemcy. Tysiące samolotów bombardowało niemieckie pozycje, tysiące spadochroniarzy lądowało na niemieckiej ziemi, zaś inne wojska na okrętach zbliżały się do brzegów krajów zajętych przez Niemcy. Na brzegach witały ich pociski niemieckie. Wyteżyli tu Niemcy wszystkie swe siły, wystawili na ich przyjęcie najlepszą broń i najlepszych żołnierzy, bo teraz rozchodziło się o niedopuszczenie do klęski, chodziło o prestiż dotąd ich niezwyciężonej armii, która w swym pochodzie podbiła i unieszczęśliwiła tyle narodów. Były to bardzo krwawe walki i kosztowały życie wielu poległych. Zginęło w nich także wielu Polaków. O ich bohaterstwie pisały zagraniczne



Adam Szatko, Anglia (1940–43 r.)



Adam Szatko, Egipt, wiosna 1944 r.

gazety, a w szczególności o bohaterskich polskich lotnikach, którzy walnie przyczynili się do obrony Anglii przed nalo-tami niemieckimi. Przyznał to nawet angielski mąż stanu Churchill, wyrażając swe uznanie w znanych na całym świecie słowach: „Jeszcze nigdy w dziejach ludzkości tak wielu tak nielicznym miało tak wiele do zawdzięczenia”.

Jak podawały angielskie źródła wojskowe Pierwszy Pol-ski Dywizjon 303²³ zestrzelił w ciągu jednego miesiąca wię-ciej niemieckich samolotów niż jakakolwiek inna jednostka brytyjska. Spośród strat zadanych Niemcom przez polskie siły powietrzne liczba zestrzelonych samolotów niemieckich wynosiła: dziewięćset pięćdziesiąt siedem zestrzeleń pew-nych, sto osiemdziesiąt sześć prawdopodobnych i dwieście

²³ Oficjalna nazwa to 303 Dywizjon Myśliwski Warszawski im. Tadeusza Ko-ściuszki (przyp. red.).

osiemdziesiąt uszkodzonych. Wynosiło to ośmiokrotnie więcej niż stan polskiego lotnictwa na Zachodzie²⁴. Ponad dziesięć tysięcy ton bomb zrzucono na Niemcy podczas trzech tysięcy sześciuset osiemdziesięciu czterech lotów przez jeden tylko polski Dywizjon Bombowy 300²⁵. Stanowiło to godziwą zapłatę za krzywdy doznane od bombowców niemieckich we wrześniu 1939 roku w Polsce.

A jednak mimo takiego uznania nie szkodziło temu samemu Churchillowi wyrazić się w swoich pamiętnikach niezbyt chętnie o polskim narodzie, nazywając go narodem nikczemnym. Sądzę, że być może użyty wyraz „nikczemny” nie ma w języku angielskim takiego przykrego znaczenia jak w języku polskim lub też tłumacz użył niewłaściwego wyrażenia. Myślę jednak, a nawet pisałam o tym do syna, że Polonie angielska i amerykańska po tym, jak Polacy walczyli w obronie Anglii, powinny zaprotestować przeciwko użyciu takiego wyrażenia w stosunku do narodu polskiego. Warto przypomnieć, że ten sam Churchill w tymże pamiętniku oświadczył, że naród polski jest narodem bohaterów zdolnym do największych poświęceń w obronie swej ojczyzny. A no tak – trzeba to sobie powiedzieć – kochają nas, jak im potrzeba naszego bohaterstwa. Ratowaliśmy Francję i pomagaliśmy jej, Anglii, Węgrom, Włochom, lecz żaden z tych krajów w ciężkich dla nas chwilach nas nie poratował.

W tych walkach na zachodnim froncie brał także udział – jak się później dowiedziałam – mój siostrzeniec Józiu, który wylądował w polskim czołgu w Normandii i przeszedł z generałem Maczkiem Belgię i Holandię, uwalniając te kraje od Niemców. Dotarł też do polskiego obozu jeńców wojennych, którzy płaczem i na kolanach witali swych wybawców i dziękowali im.

²⁴ Autorka nie podała źródła tych danych (przyp. red.).

²⁵ Mowa o pierwszej eskadrze lotnictwa bombowej Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii – 300 Dywizjone Bombowym „Ziemi Mazowieckiej” (przyp. red.).

Wkrótce po tym, kiedy dowiedziałam się o udziale mego siostrzeńca w walkach na Zachodzie, otrzymałam od niego samego list takiej treści: „Ciociu, jestem okupantem ziemi niemieckiej ze strony amerykańskiej. Stoimy w miejscu i na razie nie mamy zamiaru iść dalej. Korzystam z czasu i piszę do ciebie z lękiem, czy cię odnajdę i czy żyjesz. Jeśli dostaniesz mój list, to napisz, jak żyjesz, może ci ciężko, a może głodujesz? Ja jako okupant mam wszystkiego w bród. Ameryka przysłała wszystko. Mogę więc cioci pomóc. Proszę tylko napisać i podać adres. Czy wiecie coś o Adasiu?”. Odpisałam mu natychmiast: „Wszystkiego nam brak, ale najważniejsze dla mnie to brak wiadomości o Adamie. Może ty stamtąd, gdzie jesteś, prędzej od nas zdobędziesz o nim wiadomość i o to proszę cię nade wszystko”.

Po trzech tygodniach dostałam od niego następujące informacje: „Po otrzymaniu listu od cioci postarałem się od razu o urlop i wyjechałem do Londynu. Mam tam dobrego kolegę, który dobrze zna miasto i z nim chodziłem po wszystkich biurach wojskowych, i szukaliśmy śladów Adasia. Szliśmy po nich aż do tej sławnej szkoły w Cambridge, gdzie Adam studiował nauki wojskowe, a w szczególności broń pancerną. Tu straciliśmy po nim ślad. Powiedziano nam, że prawdopodobnie wyjechał do Afryki lub Azji ćwiczyć tubylców w sztuce wojennej i formować z nich kompanie bojowe, bo takich absolwentów tej uczelni w tym celu wielu wysłano”. I znów zapanowała w rodzinie niepewność co do losów Adama.

Wreszcie wojna zbliżała się do końca. Ostatnim jej jak gdyby akordem była bitwa o Monte Cassino we Włoszech, tak pięknie i dobrze opisana przez Wańkowicza. Monte Cassino to wysokie wzgórze we włoskich Apeninach, na którego szczycie stoi klasztor, zbudowany jako jeden z pierwszych w tym kraju. Na górze tej usadowili się Niemcy i tak ją ufortyfikowali i wyposażyli w żelbetonowe bunkry, iż ta placówka, która zagradzała drogę do wnętrza kraju, zdawała się wprost nie do zdobycia. Próbowali ją zająć wojska różnych narodów: Francuzi, Anglicy, Amerykanie i różne wojska kolorowe. Nikomu

się to nie udało. Wreszcie powierzono przeprowadzenie ataku Polakom pod dowództwem generała Andersa. Była to bitwa bardzo zaciekle i krwawa. W jej rezultacie została zatknięta na najwyższym punkcie klasztoru polska flaga biało-czerwona. Wszystkie armie zaprzyjaźnione z podziwem i szacunkiem patrzyły na nią i na myśl nikomu nie przyszło nawet, aby strącić tę flagę ze szczytu i na jej miejscu umieścić swoją, jak to zrobili Rosjanie w Berlinie, zamieniając polską flagę zatkniętą przez Polaków na Reichstagu jako pierwszych zdobywców centrum Berlina na flagę radziecką. We Włoszech wszyscy uznali pierwszeństwo Polaków i składano serdeczne gratulacje na ręce generała Andersa.

Wojsko Polskie na uczczenie tego zwycięstwa odśpiewało później pieśń *Czerwone maki* – obecnie w Polsce Ludowej zakazaną. Brzmi ona:

*Czy widzisz te gruzy na szczycie?
Tam wróg twój się kryje jak szczur
Musicie, musicie, musicie za kark
go wziąć i strącić z gór
I poszli szaleni, zażarci
I poszli zabijać i mścić
I poszli jak zwykle uparci,
jak zawsze za honor się bić*

*Czerwone maki na Monte Cassino
zamiast rosy piły polską krew
Po tych makach szedł żołnierz i ginął,
bo od śmierci silniejszy był gniew!
Przejdą lata i wieki przeminą
Pozostaną ślady dawnych dni
A wszystkie maki na Monte Cassino
czerwieńsze będą, bo z polskiej wzrosły krwi
Runęli przez ogień stracęcy
Niejeden z nich został i padł
Jak ci z Somosierry szaleńcy*

*Jak ci spod Racławic sprzed lat!
Runęli z impetem szalonym
I doszli, i udał się szturm
A sztandar swój biało-czerwony
zatknęli na gruzach wśród chmur!*

Czerwone maki... (refren)

*Czy widzisz tam rząd białych krzyży?
Tam Polak z honorem brał ślub
Idź naprzód, im dalej, im wyżej
Tym więcej ich znajdziesz u stóp
Te ziemie do Polski należą,
choć Polska daleko jest stąd
Bo wolność krzyżami się mierzy
Historia ten jeden ma błąd!*

Czerwone maki... (refren)

Na wzgórzu Monte Cassino są cmentarze poległych, osobne dla każdej narodowości. Jest też i cmentarz polski, a na nim można odczytać napis na tablicy: „Przechodniu – schyl głowę – tu spoczywają Polacy, którzy wierni swej ojczyźnie ginęli na obcych ziemiach, z miłości do niej walcząc o jej wolność”²⁶.

Kiedy nareszcie słowo „pokój” rozbrzmiało po całym świecie, odetchnęły piersi ludzkie. Skończył się bowiem koszmar udręk, który przygniatał wszystkich. Wojska wracały z frontów do swoich krajów, żołnierze do swych rodzin.

W jednym z takich dni posłaniec z poczty przyniósł nam depeszę. Wziął ją mąż do ręki i trzymał bez ruchu przez

²⁶ Jest to parafraza autorki napisów upamiętniających to wydarzenie. Napis przy wejściu na Polski Cmentarz Wojenny na Monte Cassino brzmi: „Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni w jej służbie”. Na pomniku poświęconym pamięci żołnierzy 3. Dywizji Strzelców Karpackich wyryty jest napis: „Za naszą i waszą wolność my, żołnierze polscy, oddaliśmy Bogu ducha, ciało ziemi włoskiej, a serca Polsce” (przyp.red.).

dłuższy czas. Ręka mu się trzęsła, bał się bowiem otworzyć depeszę w obawie, czy ona nie kryje w sobie smutnej wiadomości o śmierci syna. Cała rodzina skupiła się koło niego i czekała w ciszy. My też baliśmy się tego samego. Wreszcie mąż otworzył depeszę i przeczytał: „Żyję, list w drodze – Adam”. Ojciec rozplakał się, rzucił się posłańcowi na szyję i wetknął mu pieniądze do ręki za przyniesienie tak szczęśliwej depeszy. Z radości płakaliśmy i ściskaliśmy się wszyscy, a z nami płakał także posłaniec. Kiwał głową i mówił: „Wiedziałem, że tak będzie”.

Niedługo potem przyszedł list od Adama. Donosił w nim: „Zwiedziłem niemal wszystkie kraje Europy i biłem się wszędzie jako polski żołnierz. Afrykę przebyłem wszczególnie i wzdłuż, również pustynię Saharę przejechałem, ale nie na wielbłądach, lecz na pancerkach, i tam wjechałem na minę, która mnie z moją pancerką wyrzuciła w powietrze, nie robiąc mi większych szkód oprócz złamania ręki. Zaznajomiłem się i z Azją. W Palestynie, w Jerozolimie brałem udział w rezurekcji polskiego wojska, która wszystkich nas żołnierzy, a nawet obcych cywilów, wzruszyła do łez. Mogę to śmiało powiedzieć, że walczyłem na wielu frontach jako polski żołnierz i nigdzie nie zrobiłem swej ojczyźnie najmniejszego wstydu. Zakończyłem swą peregrynację żołnierską pod Monte Cassino. Tam właśnie pod moją pancerką eksplodował niemiecki granat, który oprócz niewielkich urazów nie uczynił ze mnie kaleki. Wychodziłem z różnych niebezpieczeństw szczęśliwie i wówczas myślałem sobie, że zawdzięczam to szczególnie twoim modłom – Kochana Moja Matuś. Przez wszystkie te lata wojny nigdy nie odstępowałem ode mnie myśl, że twoja modlitwa czuwała nade mną, a opiekę twą odczuwałem nieraz w niezwykle, a często wręcz namacalny sposób. Wojna wprawdzie skończona, lecz ja Was – Moi Kochani – nieprędko jeszcze zobaczę. Zawarłem bowiem z władzami wojskowymi kontrakt na dwa lata, że będę w polskiej szkole wojskowej

prowadził wykłady na temat broni pancernej, którą to wiedzę nabyłem w Anglii w szkole wojskowej w Cambridge. Wykłady prowadzę jako kapitan wojsk pancernych. Kontraktu nie chciałbym zrywać, bo to byłoby nieuczciwe, i wiem, że i Wy byście tego nie pochwaili, boście mnie przecież zawsze uczyli uczciwości. Jeszcze jedną rzecz wam opowiem o sobie, choć nie wiem, czy mnie za to nie zganicie, ale weźcie pod uwagę to, że Polak, który się tyle poświęca za ojczyznę, jest wprost niepoczytalny, gdy ktoś obrazi jego narodowość. A było to tak. Pewien żołnierz angielski, rozmawiając ze mną, robił mi co chwila jakieś przykre i niemiłe uwagi odnośnie do mego wozu pancernego. Ponieważ dobrze się znałem na tej broni, nie zgodziłem się z krytyką Anglika i wtedy użył on wyrazu ubliżającego memu narodowi. Dotknięty w najczulsze miejsce nie byłem panem siebie i dałem mu w twarz, mówiąc: »To masz od Polaka«, a równocześnie zerwałem z piersi wszystkie ordery angielskie i ordery różnych kolonii angielskich, w których ćwiczyłem tubylców, i rzuciłem je wszystkie pod nogi Anglikom przysłuchującym się tej wymianie zdań. Skończyło się tylko na tym, bo Polacy byli jeszcze bardzo potrzebni Anglii. Różne kraje nadawały Polakom wiele orderów, chcąc uczcić ich odwagę i męstwo. Nie mogłem ich nawet pomieścić na piersiach, ale my żołnierze nie dbaliśmy o te dowody, które ich nic nie kosztowały, a nam także w praktyce niczego nie zapewniały”.

Kochany Jacku – gdyby ci wujek, a twój chrzestny ojciec, opisał wszystkie swoje przeżycia wojenne, byłby to arcyciekawy pamiętnik. Niestety wujek napisał do mnie, że nie ma już ani siły, ani zdrowia na pisanie i dlatego też wszystkie te ciekawości pójdą pewnie w niepamięć. Tak mi szkoda tego, że ani ja się tego nie dowiem, ani wy, prawnuki, również nie będziecie znać tych historii, z których wiele by można było się nauczyć, poznając inne kraje, ich ludzi i zwyczaje.

Na zakończenie tych żołnierskich wspomnień wojennych, w których głównym bohaterem był polski żołnierz, spod którego to postaci wyłaniał się stale mój syn Adam, a także siostrzeniec Józio, warto zacytować kilka wzruszających pieśni żołnierskich z pól bitewnych pierwszej i drugiej wojny światowej. Pieśni te były głęboko osadzone w duszy polskich żołnierzy walczących często pod obcymi sztandarami, zawsze jednak w obronie lub o wolność najukochańszej ojczyzny – Polski.

Jedną z takich pieśni jest następująca:

*Rozkwitały pąki białych róż
Wróć z wojenki, wróć, Jasieńku, już
Wróć, ucałuj jak za dawnych lat
Dam ci najpiękniejszy białej róży kwiat!*

Wołało i za tobą, mój synu, czyjeś serce: „Wróć!”, lecz najgoręcej wołało serce matki: „Wróć, mój synu, wróć do matki już, na jej sercu swą zmęczoną głowę złoż. Złóż, jak to czyniłeś za dziecięcych lat, ona da ci najwierniejszej miłości kwiat, miłości matki, najtrwalszej, jakiej nie da żaden świat!”

Czytałam raz w sprawozdaniu polskiego dziennikarza z działań wojennych w Afryce: „Szedłem raz do komendy celem zameldowania się, aż tu w drodze usłyszałem melodię i słowa pieśni żołnierskiej wojsk polskich: »Rozkwitały pąki białych róż«. Stałem na baczność wielce wzruszony i zdumiony. Pomyślałem, że i tę, niegdyś tak trudną do przebycia, pustynię Saharę depcą stopy polskiego żołnierza”. Czy jest jeszcze jakiś zakątek na kuli ziemskiej, gdzieby żołnierz polski nie szukał wolności dla swej ojczyzny? A mogły żołnierskie rozsiane po obcych ziemiach, czyż nie świadczą o wkładzie krwi polskiej przelanej za cudzą wolność, spodziewając się za tę cenę uzyskać wolność i niepodległość dla swej ojczyzny?

Inną pieśnią żołnierską jest wzruszająca: „Legiony to strzelecka nuta, legiony to straceńców los!”. Gdy piszę te słowa, w uszach jeszcze dotąd brzmi mi muzyka tego hymnu, zwłaszcza na początku tej pieśni. Była to melodia piękna, cicha, a przy tym rzewna i smętna, jakby się żaliła nad losem tych straceńców. Piszczałki klarnetów i innych instrumentów muzycznych jakby łkały w tej melodii i biadoliły nad tymi, którzy swe życie złożyli na stos ofiarny dla ojczyzny. I tak było rzeczywiście, bo czego oni mogli się spodziewać za swą ofiarę? Chyba tylko śmierci lub w najlepszym razie więzienia od władz zaborczych. A jednak tyle młodzieży poświęciło tej sprawie swą młodość, zdolności, swą przyszłość i życie. Rzucili wygody domowe, uciechy, radości, ukochane osoby i poszli na głód, nędzę, cierpienia i poniewierkę wszelkiego rodzaju. Nikt ich nie powoływał, nikt nie zmuszał – szli dobrowolnie i ochotnie ze śpiewem na ustach. Należy się im więc za to uznanie i podziw, a także miłość od rodaków.

Tym razem ofiara ich okazała się bardzo przydatna, gdyż przy stole pokojowym wkład bojowy Legionów Piłsudskiego stał się bardzo poważną kartą przetargową w rozgrywce o nowy polityczny kształt Europy. Legiony to duży i heroiczny wycinek polskiej historii i nie można go pominąć, chociaż Polska Ludowa milczy uparcie na ten temat. Nic więc dziwnego, że terażniejsza młodzież w szkole niczego o Legionach Piłsudskiego dowiedzieć się nie może.

Inną pieśnią żołnierską jest następująca:

*O mój rozmarynie, rozwijaj się,
o mój rozmarynie, rozwijaj się!
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej, zapytam się. (bis)
A jak mi odpowie: „Nie kocham cię”,
a jak mi odpowie: „Nie kocham cię”,
ułani wędrują, chłopcy maszerują, zaciągnę się! (bis)*

I mój syn zaciągnął się. Wprawdzie nie pytał o radę dziewczyny, lecz zapytał o to matki. A matka, dobra Polka, z mężką w sercu doradziła: „Idź, synu, śladami dziadów, bo taki jest los Polaka”.

Mijają lata, a minęło ich już dwadzieścia trzy, a matka czeka nadal na jego powrót. Żyje on wprawdzie daleko za morzami, z matką listownie serdecznie rozmawia, pamięta o niej, przysyła paczki, a nawet pracą swych rąk ją obdarza, lecz od zaciągnięcia się jego do polskiego wojska matka go nie widziała i zapewne już nie zobaczy. Życie jej bowiem już prawie się kończy, a tęsknota za synem, która ją ciągle dręczy, przybliży nieubłaganie koniec jej życia.

OKUPACJA HITLEROWSKA W GORLICACH

Teraz muszę się cofnąć do początku wojny. Wyprawiałam na nią syna, a zostało jeszcze z naszej rodziny osiem osób, czyli cztery w Gdyni na czele ze Stasiem, który jako dowódca I batalionu Obrony Narodowej poszedł walczyć z Niemcami, broniąc Gdyni, i cztery w Gorlicach, które musiały tę wojnę przeżyć z Niemcami. Trzeba więc i o nas coś więcej napisać.

UCIEKINIERKA

Kto czytał moje przeżycia z pierwszej wojny światowej, ten na pewno sobie pomyśli: „No, chyba po tylu doświadczeniach Katarzyna nie odważy się opuścić swego domu. Tyle bowiem przykrości doznała ona w cudzych domach, łącznie z koniecznością zamieszkania u obcych, życia z nimi i przebywania w ich towarzystwie”. Nic więc dziwnego, że postanowiłam, iż cokolwiek nas będzie czekać, za nic nie ruszę się z domu.

Przed zbliżaniem się Niemców ludzi ogarnął taki strach, że wpadli w nieuzasadnioną panikę. Niemcy bowiem ślali przed sobą takich prowokatorów, którzy ten strach wywoływali, głosząc: „Ludzie, uciekajcie, zwłaszcza niech uciekają

chłopi, a nawet chłopcy od dwunastu lat, bo będą ich zabierać i wywozić do Niemiec, a nawet mordować”. Mimo tego strachu nie myślałam o ucieczce z Gorlic. Nasi dobrzy koledzy ze Stróżówki namawiali: „Jedźcie!”. „Gdzież ja z tylu osobami pojadę? Nie mam nikogo bliskiego ani znajomego na wschodzie”. Mówili tedy: „Jedźcie z nami!”. Pan Skwara rzekł: „Ja mam nad Zbruczem kolegę proboszcza. Piękna i bogata plebania pomieści nas wszystkich”. Nie dałam się i teraz namówić na wyjazd.

Za dwa dni przybiegli do nas przerażeni państwo Skwarowie. „Musicie czym prędzej wyjechać. Romek, nasz syn, oderwał się na moment od swojej kompanii, przyszedł do nas nocą, aby nas przestrzec, że pod Gorlicami ma być zatrzymanie Niemców. Będzie walka, a więc uciekajcie!”. Wszystkie te strachy – jak później dowiedziono – robili Niemcy, by wyludnić teren przed swym wejściem, a zwłaszcza opróżnić go z mężczyzn, by im nikt nie przeszkadzał w pochodzie. Było to pociągnięcie genialne z ich strony, a bardzo dla nas szkodliwe.

Ja jednak mimo tej wieści, że Gorlice będą się bronić, nie zgodziłam się na wyjazd. Na prośby i nalegania kolegów i przyjaciół odpowiadałam: „Gdzież my się udamy?” i wtedy Zosia ze łzami w oczach zaczęła prosić: „Jedźmy, mamusiu. Ja się tak bardzo boję przeżywać po raz drugi wojnę jak tę w Staszówce. Mamusiu, nie dam rady!”. I tak łzy dziecka przeważyły. Zrobiliśmy to, na co rozum od samego początku się nie zgadzał. Postanowiliśmy uciekać przed Niemcami. Zwróciłam się zatem do przyjaciół, państwa Skwarów, z prośbą, by zamówili nam furmankę w Stróżówce. Przyszli na drugi dzień srodze zmartwieni, oświadczając, że wszystkie furmanki zostały już zamówione. Odetchnęłam z ulgą – w takim razie nie jedziemy! Nieustępliwi jednak koledzy rzekli: „Musicie jechać, zabierzcie się więc z nami na naszej furze – jutro wyjeżdżamy!”.

Zabrałam się do spakowania najpotrzebniejszych rzeczy, a łzy mi same kapały na myśl o tym, że znów trzeba iść na tułaczkę, znów na niewygody, znów wchodzić w obce rodziny

i czuć się wśród nich jak niepotrzebny grat. Pożałowałam w tej chwili, że nie posłuchałam rozumu, lecz go podporządkowałam uczuciu miłości do dziecka i uległam jego łzom, a przez tę uległość naraziłam to ukochane dziecko, kto wie, na co. Na pewno na niewygody, a z niewygód mogą przecież przyjść i choroby.

W dziwnym nastroju smutku i pełni złych przeczuć załadowaliśmy się na wspólną furę. Z przerażeniem popatrzyłam na tę maleńką furkę, na ten chłopski wóz, który był połową tego wielkiego wozu, jakiego nam w pierwszej wojnie światowej dostarczył do ucieczki dwór w Staszkówce. Na tamtym wozie były trzy szerokie siedzenia, a między nimi odstępy tak duże, że można było w nich ulokować pakunki i z tyłu było jeszcze miejsce na duży bagaż. A było nas wówczas dwie dorosłe osoby i troje dzieci. Na tym zaś chłopskim wozie były dwa siedzenia, dosyć wąskie, a między nimi odstęp, że ledwie się mogły nasze nogi zmieścić. Pakunki ładowano pod siedzenia, stąd były one jakieś nierówne i niewygodne. Z tyłu wozu była mała przestrzeń na paszę dla konia i tyle wolnego miejsca, że można tam było położyć jakiś mały pakunek. Większość pakunczków trzymaliśmy w rękach lub leżały na nogach tych, do których należały.

Na pierwszym siedzeniu od koni siedział furman i pan Skwara, a plecami do nich mój mąż. Na drugim siedzeniu siedziało nas w jednym rzędzie trzy osoby: ja, pani Skwarowa, a w środku Zosia. Ja to właściwie siedziałam na ramie wozu, tak zwanej literce, a nie na siedzeniu. Za nami było miejsce dla naszej Marysi i dla Zbyszka – syna państwa Skwarów. Uznał on jednak, że miejsce to jest bardzo niewygodne, dlatego wolał jechać obok wozu na rowerze, zwłaszcza że załadunek roweru na wóz był wręcz niemożliwy.

Wreszcie ruszyliśmy w kierunku Jasła. Była to jazda makabryczna. Wszystkie zsuwałyśmy się z siedzenia, a najwięcej Zosia, bo my przynajmniej mogłyśmy się zaczepiać o literki wozu i w ten sposób mogłyśmy łatwiej utrzymać się na

siedzeniu, chociaż i tak co chwilę zjeżdżałyśmy w dół. Zosia natomiast ustawicznie się zsuwała. Dopiero co była na siedzeniu, a już zjeżdżała z niego i tak bez przerwy, nie siedziała tylko zjeżdżała. Dla Zosi to nie była jazda, lecz mordęga. Wysiłki nasze, by jej pomóc i utrzymać ją na siedzeniu były daremne. Tak się męczyło dziecko całą drogę, a ja w cichości serca płakałam nad nią. Gnębiła mnie też troska o jej zdrowie, bo wiedziałam jak słaba jest jej wytrzymałość fizyczna. To był wyraźny, pierwszy efekt naszej głupoty – naszej zgody na uciekinierkę.

Jechaliśmy pomału z powodu ciężaru tylu ludzi i pakunków. W Gliniku Mariampolskim dostrzegliśmy naszych żołnierzy cofających się i kryjących pod drzewami, których wysledził niemiecki samolot. Naraz zaterkotał karabin maszynowy, rozległ się jęk i jeden z żołnierzy padł. Nie wiadomo było, czy zabity, czy tylko ranny, bo nie można było się zatrzymać, będąc w jednym ciągu furmanek. Pomocy udzielili mu ludzie, którzy masowo uciekali piechotą przed Niemcami. W ten sposób dojechalśmy do miasteczka Biecz. Słońce już zachodziło i nastawał wieczór. Biecz rozsiadł się na wysokim wzgórzu – miasto to niegdyś królewskie, obronne, widoczne było z daleka. Potężna baszta z otaczających go niegdyś murów do dziś mówi turystom o jego wielkim znaczeniu w przeszłości – dzisiaj jest tylko małą mieściną.

W rynku nie pozwolono ani furom, ani autom, ani nawet pieszym na zatrzymanie się z obawy przed nalotami. Stanęliśmy więc niżej w cieniu i osłonie drzew klasztornych, zatrzymując się jako na razie ostatni wóz z całego sznura ciągnącego się wzdłuż drogi.

Z odjazdem czekaliśmy na zmrok, aby nie zwracać uwagi patrolujących samolotów. Warto zauważyć, że wrzesień był niezwykle słoneczny, ciepły i pogodny, tylko noce, podobnie jak na równiku, były bardzo zimne. Siedząc w wozie, obserwowałam cały ruch wojenny, jaki miałam przed oczyma. Przed nami opadała w dół dobra, szeroka szosa. Po prawej jej

stronie szereg chłopskich wozów i innych pojazdów konnych ciągnął się tak daleko, że końca jego nie objęłam wzrokiem, a za naszym wozem, który był do tej pory ostatnim, ustawiały się nowe, ciągle przybywające. Stały one tak blisko siebie, że dotykały siebie tak, iż była obawa, że jeśliby szybciej któryś ruszył, mógłby przebić półkoszek poprzedniego wozu swoim dyszlem. Obracałam się więc co chwilę, krzycząc głośno: „Uwaga, nie najeżdżać, bo w tyle śpi małe dziecko!”. Środkiem szosy ciągnął się taki sam długi sznur aut, jedno za drugim, którego końca nie było widać. Po lewej stronie od fosy zdążał szereg ludzi piechotą. Ci ludzie już na nic nie czekali, tylko spieszenie szli naprzód. Ich widok budził politowanie. Niektórzy z nich nieśli ze sobą zupełnie niepotrzebne rzeczy, które im w drodze mogły tylko przeszkadzać. Jakaś babina ciągnęła za sobą kozę – pewnie cały swój majątek – a na plecach niosła dla niej wiązkę siana. Na wózku dziecięcym wiózł ktoś nie dziecko, lecz kota i wiele innych, nieprzemyślanych rzeczy, które tylko w drodze zawadzały. Ktoś inny na dużym drabiniastym wozie wiózł tylko jedną pierzynę, na której siedziała zapłakana kobieta. To potężny strach nie pozwolił ludziom na zastanowienie się, lecz gnał ich przed siebie z tym, co zdążyli uchwycić do ręki.

Wreszcie ruszyliśmy w takim samym porządku, jak byliśmy ustawieni na szosie. Wszystkie trzy rzędy zaczęły się równocześnie posuwać powolutku z ciągłymi przestankami. Po paru godzinach stanęliśmy na dłużej. Powodem tego było zatrzymanie czoła naszych szeregów przed samym Jasłem. Oświadczono, że Jasło nie wpuści do miasta uciekinierów. Wszystkie urzędy opuściły już miasto, pociągi przestały kursować, a obawa przed nalotami lotniczymi, zwłaszcza przy takiej liczbie pojazdów i ludzi, jest tak duża, że miasto nie wyraża zgody na przejazd. Cóż więc mamy zrobić z sobą, jakie znaleźć wyjście? I znów w mej głowie zabrzęczała mi myśl: „Głupią byłaś, żeś uciekała”.

W tym rozpaczliwym naszym położeniu pan Skwara rzekł: „Ja tu znam drogę do Krosna. Pojedziemy nią, bo za miastem leży moja rodzinna wioska Targowiska, a w niej mam braci na gospodarstwach, to się tam chwilowo zatrzymamy”. Wycofaliśmy się z szeregu wozów, wjechaliśmy w boczną drogę prowadzącą do Krosna. Tu już nie było ścisku, więc swobodnie zdążaliśmy do wyznaczonego celu. Czasem wprowadziliśmy przed samolotami do fosy w obawie, by któryś z nich nie zląkował się na nasz biedny i nic dla nich nieznauczający wóz. Wreszcie stanęliśmy przy pierwszej napotkanej szkole. Od obiadu nic nie jedliśmy, ziąb nam bardzo dokuczał, więc trzeba było wstąpić do tej szkoły i przygotować coś do zjedzenia. Szkoła nas do tego zachęcała, bo przecież nią rządził nauczyciel, kolega, więc mieliśmy większą śmiałość, że to niby swój do swego – zatem pomoc pewniejsza.

Weszliśmy do szkolnego mieszkania, a tam zobaczyliśmy ruch niesamowity. Takich jak my, potrzebujących się zagrzać i posilić, było więcej, a szkoła leżąca przy drodze zachęcała i zapraszała do wstąpienia. Przy kuchni rozpalonej do czerwoności krzątały się panie, smażyły i odgrzewały posiłki. Przy stole niektórzy już jedli posiłek i pili herbatę. Nikt się nikim nie zajmował, każdy myślał o sobie, a gospodarze tego budynku pakowali się, przygotowując do uciekinierki. W tych więc okolicznościach oddali cały budynek, klasy i kuchnię do dyspozycji uciekinierów. W kuchni było istne piekło od gorąca, paliło się w niej bez przerwy. Uzyskałyśmy i my z panią Skwarową przydział miejsca z dostępem do kuchni. Zosia uparła się, że ona zajmie się śniadaniem i wyręczy mnie, matkę, z czego wcale nie byłam zadowolona, bo córka nigdy nie zajmowała się domowymi sprawami i nie miała w tym żadnego doświadczenia i wprawy. Musiałam ustąpić, gdyż wymagał tego honor dorosłej córki. Usmażyła własnoręcznie jajecznicę, podała na stół wraz z herbatą. Przy tym jednak nieludzko się zmachała, zgrzała i spociła. Wyszła w tym stanie na dwór, a poranek był bardzo zimny. Zaczęła się cała

trząść, zęby jej dźwięczały, więc nietrudno było przewidzieć, że nastąpi przeziębienie, a następnie grypa. Przeraziłam się, bo w drodze trudno coś zaradzić przeciw chorobie, a dla Zosi potrzebne było wygodne łóżko, pierzynka i aspiryna. I w taki oto sposób zaczęła się moja tragedia, największa tragedia w moim życiu.

Pojechaliśmy dalej, lecz zgryzota mnie nie opuszczała i znów wracał wyrzut mojej głupoty – zgody na uciekinierkę. „Nie usłuchałaś rozumu, spełniłaś życzenie dziecka i przez tę nierozwagę sprowadzasz na nie chorobę”. Zbliżaliśmy się wreszcie do Krosna. Usłyszeliśmy gwizd lokomotywy. Pociąg pędził, a niemieckie samoloty pikowały w niego, obrzucając go bombami. W końcu zatrzymał się, a z niego wypadli ludzie, oszaleli ze strachu, pozostawiając wszystko w przedziałach, unosząc jeno życie. W pociągu tym, oprócz innych osób, zginął nasz kolega z Gorlic, nauczyciel, pan Kamiński i komisarz podatkowy pan Somer.

Wreszcie wjechaliśmy na przedmieścia Krosna. Wtem usłyszeliśmy szum i warkot wielu samolotów. To cała eskadra leciała na zbombardowanie miasta. Zatrzymaliśmy się przed domkiem ukrytym w sadzie tak, że go nawet nie było widać spośród drzew. Skryliśmy się wraz z innymi wokół jego ścian. Wtem usłyszeliśmy wybuchy bomb, które zapaliły i zburzyły fabrykę gumy i kaloszy w Krośnie. Wkrótce po liściach i gałęziach drzew zaczęły świszczeć i packać kule z karabinów maszynowych, z samolotów niemieckich. Ludzie podnieśli płacz i krzyk, a ja, aby opanować panikę, zaczęłam spokojnie i powoli mówić głośno *Kto się w opiekę*. Z wolna nastała cisza, a głosy przerażonych ludzi zaczęły równo ze mną powtarzać słowa tej pieśni wlewającej w serca otuchę i nadzieję. Kanonada niemiecka ucichła – zebraliśmy się i pojechaliśmy dalej. Po dwukrotnym jeszcze wysiadaniu z wozu w obawie przed samolotami zajechaliśmy wreszcie przed rodzinny dom pana Skwary. Wyszła naprzeciw niego rodzina, witając go i jego najbliższych. Miny mieli wcale nieradosne, można rzec

nawet niezadowolone. A my staliśmy na boku jak niepotrzebne przybłędy. Pan Skwara przedstawił nas i prosił o chwilowe schronienie, byśmy po drodze i przykrych przejściach mogli choć trochę wypocząć i pomyśleć także o jedzeniu.

Zaczęło się lokowanie nas. Jedną izbę oddano nam, czyli obydwu rodzinom. Ich kuzynki z sąsiedniego domu przyjęły Zosię i Marysię. Zosię zaraz ułożyłyśmy w łóżku i rozgrzewałyśmy ją gorącą herbatą. Na drugi dzień wyprawiłam się do pobliskiego Iwonicza i kupiłam tam niektóre lekarstwa, a zwłaszcza aspirynę. Nie chciałam bowiem dopuścić do grypy, lecz nie bardzo to mi się udało. Zawsze jednak na miejscu było masło, mleko i jajka, co pomagało mi w należyтым odżywieniu córki, a poza tym mogła leżeć w cieple i spokoju.

Życie tak się nam ułożyło, że kiedy gospodarze z córką i synem szli do pracy w pole, to Marysia razem z nami gotowała obiad dla wszystkich trzynastu osób. Była to ciężka praca. Gospodarze dawali ziemniaki, kapustę i mleko, ja dawałam cukier, ryż i płaciłam za masło i jajka. Dawałam także w potrzebie piękną, białą mąkę i herbatę. Mężczyźni, mąż i pan Skwara, wychodzili na szosę i zbierali od przechodniów wiadomości. Wiedzieliśmy więc, że Warszawa, Gdynia, Hel i Westerplatte się bronią, a Lwów przygotowuje się do obrony. Gnębiła nas tylko i krępowała konieczność przebywania w jednym, wspólnym pokoju, co wielce odczuwał mój mąż. Czuł się on bowiem niezdrowy, a w chłodne noce trzeba było wychodzić do oddalonej na zewnątrz ubikacji. O nocniku, który miał zawsze u siebie w domu pod łóżkiem, mowy być nie mogło.

Wszyscy zaczęliśmy myśleć o wyjeździe nad Zbrucz. Termin był już wyznaczony, ale ze względu na chorobę Zosi stale go opóźniałam. Wreszcie pakunki zostały spakowane, a wyjazd wyznaczono na następny dzień rano. Aż tu w nocy niedaleko nas wybuchła potężna strzelanina – jakaś potyczka niedaleko Targowisk. Kuzynki, u których była Zosia, pobiegly to zbadać i poczekały aż do zakończenia walk. Trwała ta bitwa kilka godzin. Okazało się, że rozegrała się pod Krościenkiem,

niedaleko Targowisk i Krosna. My wszyscy przyjezdni, ubrani do drogi, czekaliśmy w napięciu na koniec tej bitwy. Wtem wpadły kuzynki do domu i rzekły: „Rozbierajcie się, nigdzie już nie pojedziecie, jesteście bowiem już pod Niemcem”.

Nadeszła też wkrótce wiadomość o niespodziance, jaką nam zgotował nasz dobry i wypróbowany przyjaciel – Związek Radziecki. Zamiast nam pomóc, zabrał Lwów dla siebie, a wojska nasze tę przyjacielską zdradę odczuły na sobie i musiały się ze Lwowa wycofać. O jakże bolesne było pożegnanie wojska pod Lwowem! I tak jeszcze jedna krzywda, której Polak nigdy nie potrafi zapomnieć, oddzieliła nas na dobre od tych odwiecznych naszych wrogów, którzy śmia się nazywać naszymi przyjaciółmi. Ta nazwa „przyjaciel” jest dla Polaków niemal obelgą, tak jak obelgą i hańbą jest teraźniejsze urządzanie w Polsce Ludowej dni przyjaźni polsko-radzieckiej.

Nasi panowie widzieli teraz na szosie powracających do swych domostw uciekinierów. Postanowiliśmy i my czym prędzej wracać. Nie było bowiem żadnego sensu przebywać dłużej na komornem, mając własne mieszkanie, kiedy Niemcy zajęli już nasz kraj aż pod Lwów. Mieliśmy tylko trudności z furmanką, bo nasz gospodarz obawiał się, że mu Niemcy zarekwirują konie w drodze. Mąż więc rzekł: „Zatem idziemy piechotą”. Wówczas gospodarz, choć niechętnie, zdecydował się nas odwieźć do Gorlic. Wróciliśmy szczęśliwie, bez żadnych wypadków, a i furman też dojechał spokojnie i bez przeszkód do Targowisk – jak nas później poinformowano – z czego byliśmy bardzo zadowoleni, że z naszej przyczyny nie poniósł on żadnej szkody.

Chciałabym jeszcze w tym miejscu opowiedzieć bliżej o tej bitwie pod Krościenkiem. Otóż w potyczce tej oddziałem polskim dowodził mój syn Adam. Po wojnie już o tym nam napisał, kiedy mu relacjonowałam nasz pobyt w Targowiskach.

Napisał nam mianowicie, że w napotkanym tam wężu zrobił ze swymi żołnierzami zasadzkę. Było to szaleństwo, boć przecież nie mieli oni potrzebnej do tego broni – jedynie

karabiny i trochę granatów – ale za to dużo chęci, odwagi i zaciętości do bitwy. Jak który żołnierz wystrzelał swoje pociski i granaty, to ciał grube gałęzie i pchał je w koła lekkich niemieckich pancerek, psuł je i unieszkodliwiał.

Niemcy byli tym oporem zupełnie zaskoczeni. Nie wiedzieli, z jaką siłą mają do czynienia, więc zapalili kilka pobliskich domów. Wówczas Adam wycofał bez żadnej szkody swoich chłopców z wąwozu i niedostrzeżeni zniknęli w ciemności. Po dłuższym pochodzie zatrzymali się na odpoczynek, bez palenia ognisk. Żołnierze coś przegryźli, a potem zdrzemnęli się na ziemi. Adam – jak sam pisał – rozstawiwszy warty, położył się w ubraniu w przydrożnej chacie. Zaledwie zasnął, a już wartownik tarmosił go energicznie, mówiąc: „Poruczniku, Niemców słyszać!”. Adam zerwał się, ale, jak to wiecie, po pierwszym przebudzeniu był jeszcze nieprzytomny, więc nie tylko, że nie wybiegł, lecz wszedł z powrotem do łóżka. Wartownik wrócił i zastał go w łóżku, bez butów. Podniósł więc wielki gwałt. Adam zerwał się momentalnie, szybko ubrał, wybiegł i dźwignął rozkazem wszystkich żołnierzy ze snu. „Zaspani – jak pisał Adam – ruszyliśmy dalej. W pochodzie minęliśmy jakiś duży murowany budynek. Pomyślałem, że może w nim mieści się polskie dowództwo. Skręciłem sam w boczną dróżkę, aby złożyć dowódcy meldunek. Na drodze zauważyłem wywrócone auto. Pomyślałem: »To źle, pewnie dostał się do niewoli«. Poszedłem jednak dalej. Budynek robił wrażenie opuszczonego, nie miał warty. Uchyliłem ostrożnie i cichutko drzwi. W środku zobaczyłem pełno Niemców. Gwar i krzątania, więc niepostrzeżony cofnąłem się i uciekłem. Pomyślałem: »Więc to tak – już nas Niemcy zaszli od tyłu, trzeba się więc spieszyć na wschód«. W wielkim pośpiechu doszliśmy do stacji Stryj. Stacja kolejowa była pusta i nieczynna, ale obok niej stało jakieś duże i puste karczmisko. Postanowiłem, że tu sobie odpoczniemy. Rozpaliliśmy ognisko, zagrzaliśmy kawę, przetrąciliśmy coś z jedzenia i poszliśmy spać. Położyłem się i ja, ale, o dziwo, nie mogłem mimo

zmęczenia zasnąć. Czulem jakiś dziwny niepokój, obracałem się na łóżku, wreszcie wstałem i wyszedłem na dwór. Chłopcy spali, więc żał mi było ich budzić, ale dziwny niepokój nagle coraz silniej. Wzięłem gwizdek i poderwałem wszystkich na nogi. Ruszyliśmy. Uszliśmy zaledwie dwa kilometry, a może nawet mniej, a wtem usłyszeliśmy szum samolotów. Eskadra niemieckich bombowców wvaliła w opuszczone karczmiszko wiele bomb, roznosząc je w puch. Zaniemówiliśmy wszyscy! Zapytałem potem siebie, skąd się wziął ten dziwny niepokój? Przypomniałem sobie ciebie, Matusz, i zrozumiałem, że ty z twoją modlitwą czuwałaś wówczas nade mną”.

Wracam teraz do Gorlic, do mojego mieszkania przy ulicy Polnej. Jeszcze go Niemcy nie zajęli, bo dobrzy ludzie im powiedzieli, że my zaraz wracamy, tylko odwiedziliśmy niedalekich krewnych. Niemcy oświadczyli, że o ile do najbliższego poniedziałku nie powrócimy, to zabierają mieszkanie ze wszystkim, co się w nim znajduje. My, dzięki Bogu, wróciliśmy w sobotę – zatem mieszkanie zostało uratowane.

Weszłam do środka ze wzruszeniem. „Moje ty jesteś i tylko my sami będziemy się tu rządzić swobodnie, bez skrzepowania”. Niedługo trwała nasza uciekinierka, bo tylko dziesięć dni, ale tylu doznałam w niej przykrości, że witałam to nasze mieszkanie wprost z czułością. Głaskałam ściany, chciało mi się je całować. Każdy kącik był mi drogi. Ale cóż się dziwić człowiekowi, kiedy i zwierzę przywiązuje się do miejsca, w którym przebywa.

A to moje mieszkanie było wprost przepiękne. Przeniosłam się do niego przed wojną w 1936 roku. Położone było w nowym domu i obejmowało trzy duże pokoje z przedpokojem, który słusznie rościł sobie pretensje, by nazywać się holem – taki był duży i przeszklony. Z holu wchodziło się do największego pokoju – salonu – w którym grupki gości mogły się izolować od siebie, zajmując kącik „pod areukarią” albo „pod palmą” lub wreszcie honorowe miejsce pod obrazem *Bitwa pod Racławicami*. Z holu prowadziły drzwi do

pokoju jadalnego, łazienki i toalety oraz do kuchni. Była to duża kuchnia ze służówką i korytarzykiem prowadzącym na spory ganek, spiżarkę i strych. Po tylu strasznych i prymitywnych mieszkaniach taki luksus zawrócił mi zupełnie w głowie i chyba nic w tym nie było dziwnego.



Gorlice, ul. Polna 23. Mieszkanie na pierwszym piętrze zamieszkałe przez rodzinę Szatków w latach 1936–1945. Mieszkanie suterynowe zamieszkałe przez rodzinę Szatków w latach 1945–1959 r.



Domu na Polnej w Gorlicach już nie ma na jego miejscu stanął taki budynek, 2024 r.

LOSY STARSZEJ CÓRKI I JEJ DZIECI

Katarzyna Szatko

Po przyjeździe do Gorlic gnębiła nas przez długi czas troska o wszystkich, a zwłaszcza o to, co się dzieje z Dziunią, najstarszą córką, i jej dziećmi. Żadnej wiadomości nie mieliśmy o niej, jej mężu i wnukach. Aż tu pewnego jesiennego dnia z okna obserwacyjnego w kuchni dostrzegłam taki oto wypadek. Przed domem stanął wóz chłopski, a z niego wysiadła Dziunia, a potem chłopcy. Dziunia spojrzała w okno, zobaczyła mnie i wpadła do kuchni, obejmując mnie rękoma. „Jesteście – zawołała – a mnie powiedziano w Zagórzanach, żeście wyjechali. Ulitował się nad moją rozpaczą ten pocziwy gospodarz, który przywiózł nas do Gorlic, pocieszając, że w razie, gdy rodziców nie będzie, zabierze mnie do swego domu. Ale już wszystko dobrze! Po tygodniowej ponieważ zasnę spokojnie ze swymi dziećmi pod opieką ojców”.

Bardziej szczegółowo o swym wysiedleniu z Gdyni opowiedział nam później Janusz. A było to tak:

Janusz Zaucha

Po zdobyciu Gdyni Niemcy wylapywali w łapankach ludzi umieszczonych na proskrypcyjnych listach przygotowanych jeszcze przed wojną przez niemieckich szpiegów. Nic więc dziwnego, że co dnia dochodziły nas wieści o stale grożących nam aresztowaniach. Dlatego też nic dziwnego nie dostrzegliśmy w tym, że pewnego razu zjawił się w naszym mieszkaniu niemiecki oficer w czarnym mundurze z gapą hitlerowską na piersi i zwrócił się do Dziuni z następującą kwestią. Dziunia poprosiła mnie, czyli Januszka, do rozmowy, bo najlepiej z całej rodziny znałem język niemiecki. Oficer ów oświadczył, że ma wiadomość, iż nasze mieszkanie jest doskonale wyposażone i umeblowane. Czy on mógłby je osobiście zobaczyć i sprawdzić, czy posiadane informacje są prawdziwe i nieprzesadzone. Dziunia powiedziała, że niech robi, co uważa za stosowne. Wszedł on do gabinetu ojca i starannie oglądał poszczególne meble. Mina jego wyrażała nieklamany zachwyt. Gabinet był wykonany z drzewa hebanowego, zdobiony różą kaukaską. Bogato rzeźbione fotele i kanapa pokryte były czarną skórą, a biurkowa lampa cała była z brązu, inkrustowana dyskretnie jakimś błyszczącymi kamieniami. Następnie poszedł do jadalni – wykonanej w stylu angielskim z palisandru, potem do sypialni ze srebrzystej syberyjskiej brzozy, a może innego drzewa, i wreszcie do dzieciennego pokoju, całego ze złocistego drzewa. Po oglądnięciu mieszkania oświadczył, że on doskonale wie, kim my jesteśmy, a w szczególności, że właściciel tego mieszkania jest wrogiem Niemców i że walczył z nimi z bronią w ręku. Zrozumiałe zatem staje się to, że taka rodzina w niemieckim mieście, jakim jest obecnie Gotenhafen²⁷, mieszkać nie może. Biorąc jednak pod uwagę wysoką kulturę niemiecką i rycerskość tego narodu, zwraca się on do żony tegoż oficera – właściciela mieszkania – z propozycją: „Otrzyma pani bilet na osobowy pociąg dla

²⁷ Gotenhafen – nazwa Gdyni, wprowadzona przez niemieckich okupantów (przyj. red.).

siebie i dzieci do dowolnego miasta w Generalnej Guberni w zamian za wręczenie kluczy od swego mieszkania mieszkającej tutaj służącej i pozostawienie go w stanie nienaruszonym, w takim, jakim go dzisiaj zastałem. Można z niego zabrać tylko tyle drobiazgów i niezbędnych dla siebie rzeczy, ile potrafiacie udźwignąć w rękach. Pozostawiam wam siedem dni na zastanowienie się i podjęcie decyzji”. A Dziunia na to: „To przecież nieludzkie – ja jestem słaba, a i dzieci małe”. Oficer uśmiechnął się i rzekł: „Niech pani pozna wielkoduszność niemiecką. Przygotuję bilet dla czterech osób, więc pani może wziąć kogoś do pomocy”.

Istotnie, propozycja wobec nasilającego się terroru niemieckiego była nie do odrzucenia. Kiedy więc przyszedł żołnierz niemiecki z zapytaniem, czy Dziunia wyrazi zgodę na zaproponowany układ, odrzekła, że sprawę przemyślała i prosi o bilet. Żołnierz wręczył go jej, wpisawszy gotykiem jako miasto docelowe Gorlice. Klucze miał odebrać za dwadzieścia cztery godziny.

W ciągu dnia spakowaliśmy wszyscy z pomocą Zosi Michalak duże dwie walizy, a także dwie mniejsze, a każde z dzieci mogło zabrać oprócz pakunku przygotowanego przez mamę jeszcze jeden z najwartościowszymi rzeczami – ja wziąłem świadectwa szkolne i klaser ze znaczkami pocztowymi, a Boguś piłkę do palanta i strzały do łuku. Rano przyszedł umówiony uprzednio, a polecony przez żonę adiutanta ojca z kampanii Obrony Wybrzeża młody, energiczny człowiek i poszliśmy na stację kolejową. W ten sposób rozpoczął się nasz tygodniowy przejazd do Gorlic z licznymi przygodami, przerwami, postojami i ciągłymi wyjaśnieniami na kolejnych stacjach, na których kazano nam czekać na inne pociągi. Całe szczęście, że ów młody człowiek miał chyba marki niemieckie, gdyż zawsze coś kupił na stacjach lub w pobliskich sklepach, tak że głodni nie byliśmy. Największą przygodą było błędne odczytanie przez jednego z naczelników stacji, gdzieś

już na Śląsku, Görlitz zamiast Gorlice. Kiedy młody, towarzyszący nam człowiek zorientował się, że jedziemy w kierunku zachodnim zamiast wschodnim na Kraków, szybko wysiedliśmy na jakiejś niedużej stacji, na której spędziliśmy niemal dobę, aby w końcu przekonać naczelnika tej stacji, że musimy jechać w odwrotnym kierunku. Wreszcie przejechaliśmy granicę Rzeszy Niemieckiej i poprzez Kraków dojechaliśmy do Tarnowa. Tutaj młody człowiek wpakował nas do pociągu zdążającego do Nowego Sącza i powiedział: „Szczęśliwie udało mi się opuścić Niemcy. Trwało to jednak znacznie dłużej, aniżeli było to planowane. Mnie pilno wracać do Warszawy. Musicie więc sobie państwo dać radę sami – dobrzy ludzie pomogą w przesiadce. Życzę wszystkiego najlepszego, a przede wszystkim pomyślnego zakończenia wojny i powrotu do wolnej Gdyni. Może się już nigdy nie zobaczymy, a jeśli już, to w wolnej Polsce. Niedługo mam pociąg, więc żegnam serdecznie”. I dosłownie zniknął w tłumie na peronie jak kamfora. Nigdy go już więcej nie spotkaliśmy, ani też żadnego śladu po nim nie znaleźliśmy.

Istotnie, ludzie pomogli nam w przesiadce w Stróżach, a w Zagórzanach znaleźliśmy dobrego i życzliwego gospodarza, który przywiózł nas pod sam dom dziadków w Gorlicach.

MIKI

Janusz Zaucha

W tym czasie, kiedy Zosia dobrze się jeszcze czuła, przybył nam w rodzinie nowy członek. Przemiły, rudobrzędy, przypalany na grzbiecie, z białą plamką na głowie i białymi skarpetkami na nóżkach maleński reński ratlerek. Wprawdzie



Janusz i Boguś Zauchowie oraz Miki, Gorlice, 1946 r.

znawcy kiwali nad nim głową, przypuszczając, i zapewne słusznie, że jego mama miała być może niearystokratyczną wpadkę moralną, gdyż – jak sam widziałem – rodzeństwo nie było całkiem identyczne.

A było z tym pieskiem tak. Zosia od dłuższego czasu marzyła, aby mieć stale przy sobie jakiegoś żywego towarzysza. Ostatecznie zdecydowała się na pieska, mimo braku entuzjazmu do tego pomysłu ze strony babusi. Zaczęła się ona wprowadzić jakoby rozglądać za szczeniakiem, lecz czas płynął, a rezultatu było brak, mimo oficjalnej zgody. Zosia zwróciła się do mnie, swego siostrzeńca, abym ja wyszukał coś odpowiedniego. Szybko udało mi się znaleźć jakby rasowego ratlerka reńskiego – pieska niedużego, choć znacznie większego od typowego ratlerka, wiecznie drżącego z zimna. Oświadczyłem więc wszystkim w domu, że jest możliwość

przyniesienia takiego pieska i to natychmiast, gdyż właściciel nie żąda za niego żadnych pieniędzy, a chętnych jest coraz więcej. Babusia kazała mi iść i dobrze obejrzeć matkę tych szczeniąt, aby wiedzieć, jak duży będzie pies dorosły. Poszedłem, zobaczyłem i wszystko dokładnie zrelacjonowałem, jednocześnie informując, że zostały jeszcze tylko dwa najmniejsze szczeniaczki. Zosia prosiła, abym jeszcze tego samego dnia poszedł i przyniósł pieska, bo ona już go kocha. Wobec takiego postawienia sprawy babusia wysłała mnie po pieska, mówiąc jednak przy tym, że ma być to tylko pies, a nie suczka. Kiedy zjawiłem się u właściciela pozostał w koszyku już tylko jeden, maleńki, wielkości dłoni szczeniaczek. Zapytałem, czy to aby nie suczka. Oczywiście tak! Właściciel, uśmiechając się życzliwie, rzekł: „Gdyby jednak starsi nie zgodzili się przyjąć pieska, proszę go natychmiast odnieść”. Kiedy przyniosłem do domu to żywe, ciepłe maleństwo, całkowicie zapchlone i brudne, lecz jakże ufnie i radosne, wszyscy przyjęli je serdecznie. Zosia, dowiedziawszy się o tym, że to suczka, powiedziała mi: „Niech to będzie naszą tajemnicą”. Dlatego na pytanie babusi, czy to nie jest suczka, odrzekłem, że gospodarze sami dobrze nie wiedzą, gdyż szczeniak jest zbyt mały, aby to bezspornie dało się ustalić. O dziwo, babusia uznała to wyjaśnienie za wystarczające. Nic więc dziwnego, że po kilku miesiącach wielce się dziwiła, dlaczego Miki – jak go ochrzciła Zosia – nie podnosi zwyczajem psów nogi przy siusianiu, lecz przysiada okrakiem. Nawet prosiła mnie, który tylu już sztuk nauczył Mikę, aby i tę sztukę opanowała. „Niestety – mówiłem – pomimo wysiłku nie udaje mi się tej pozycji psa nauczyć”. Sprawa wydała się dopiero wtedy, kiedy po dwóch latach Miki zaczęła grubnąć z dnia na dzień i wreszcie powiła siedem dorodnych szczeniąt. Szczęściem wszystkie były podobne do niej i nie było problemu z przekazaniem ich chętnym.

Zosia, wiedząc od razu o tym, że to suczka, a nie pies, o czym była przekonana babusia, wymyśliła dla niej imię Miki pasujące zarówno do panny, jak i pana. I tak już zostało. A Miki w końcu podbiła serca wszystkich. Po śmierci Zosi Miki mnie uznała za swego pana. Była bardzo inteligentna. W lot pojmowała, o co mi chodzi, czego od niej wymagam. Kiedy jednak przy uczeniu się nowej sztuczki zachęta w formie kawałeczka kielbasy się skończyła, Miki przestawała cokolwiek rozumieć. Dopiero parę pasów na grzbiet przekonywało ją, że dalej udawać nie warto, więc od niechcenia, patrząc na mnie z wielką pogardą, wykonywała nową sztuczkę. Ta znajomość wielu sztuk bardzo przydała się jej w życiu. Kiedy bowiem mój braciszek Boguś ostatecznie wyjeżdżał z Gorlic na Wybrzeże w 1948 roku, trzeba było coś z Miką zrobić. Wówczas właśnie gospodarz ze Staszkówki Władysław Szczerba zobaczywszy, co potrafi Miki, jaki z niej mądry piesek, bez wahania wziął ją do siebie do domu. Od tego czasu Miki stale towarzyszyła panu Władysławowi we wszystkich pracach polowych. Towarzyszyła mu od rana do nocy. Kiedy przeżyła szesnaście lat, zakończyła swój urozmaicony życiorys żegnana szczerym żalem, a nawet płaczem wszystkich domowników. Rozmawiając kilka lat po jej śmierci na jej temat z panem Władysławem, nie mogłem wyjść ze zdumienia, jak serdecznie i ze wzruszeniem opowiadał mi o całym życiu tego uroczego pieska w Staszówce.

ZAGROŻENIA OKUPACYJNE

Katarzyna Szatko

Byliśmy całą rodziną u siebie i tu nam wypadło przeżyć drugą wojnę światową. Wprawdzie w tej wojnie nie pękały nam nad głową szrapnele i granaty, nie bzykały kulki koło uszu, ale życiu naszemu zagrażały inne nieszczęścia, żyliśmy więc w ustawicznej trwodze. Do tych nieszczęść należały rewizje, łapanie, wywóz na roboty do Niemiec, gdzie od nalo-tów alianckich groziła ustawiczna śmierć, a wreszcie wywóz do Oświęcimia lub do innych obozów koncentracyjnych na poniewierkę, mękę i niemal pewny koniec. Do wielkich trud-ności życia codziennego należał przede wszystkim brak żywności. Na kartki dostawało się tylko bardzo małe porcje i to najpodlejszej żywności, bo co lepsze, to okupant zabierał dla siebie lub wysyłał do Niemiec. Dokupić nic nie było można, bo policja rewidowała wszystkich wieśniaków zdążających do miasta i konfiskowała im żywność, którą nieśli na sprzedaż. Ileż to sposobów wypróbowywano, aby zdobyć coś do zje-dzenia. Najczęściej wybierały się miejskie gospodynie na wieś w celu handlu wymiennego. Wieś potrzebowała ubrań, bieli-zny, gwoździ i innych rzeczy potrzebnych w gospodarstwie:

garnków, naczyń, szklanek. W zamian za to można było otrzymać masło, jajka, chleb i inną żywność. Ja też poświęciłam wiele najładniejszych sukienek i inną odzież w zamian za produkty żywnościowe. Wysiedleńcy z Poznańskiego często trudnili się handlem. Władali oni dobrze językiem niemieckim, skupywali więc prowianty we wsi, zanosili do miasta i jakoś dawali sobie radę z zaczepiającymi ich Niemcami.

NARASTAJĄCA PAUPERYZACJA I GŁÓD

Codziennie moje życie było pod każdym względem bardzo ciężkie. Dnie schodziły mi na wystawaniu w ogonkach. Każdy chciał być pierwszy, bo chociaż się miało kartki, brakło i na nie żywności. Zimą i latem już o godzinie piątej rano stałam w ogonku po mleko. Spieszyć się trzeba było i do ogonka chlebowego, a wśród dnia odwiedzałam i inne ogonki. Pieńędzy zaś było brak, bo emerytur przez dłuższy czas nie wypłacano. Tylko dobrzy ludzie, jak na przykład pan Probulski, wspomagali tych, co nic nie mieli. Marysia przyrządzała śniadania dla chłopców, którzy na początku okupacji chodzili do szkoły, a następnie zajmowała się domem. Mąż uprawiał z jej pomocą duży ogród przydomowy, który dostarczał nam wielu cennych produktów żywnościowych.

Pewnego dnia, na początku okupacji, byłam raz w sklepie państwa Woźniaków. Nagle wszedł do środka SS-man i zaczął się pilnie i bacznie rozglądać po całym sklepie. Wzrok jego zatrzymywał się nad każdym drobiazgiem. Nagle wszedł za ladę i porwał z radością butelkę. Sądziłam, że z octem, a to był spirytus. Dlaczegoż pani Woźniakowa wystawiła taki trefny towar na widok publiczny, tego pojąć nie mogłam, gdyż

był zakaz sprzedaży spirytusu. SS-man krzyczał, groził karą, a pani Woźniakowa płakała, tłumacząc, że spirytus ten kupiła nie na handel, lecz na lekarstwo dla kogoś. SS-man nic z tego nie rozumiał, więc pani Woźniakowa zwróciła się do mnie z prośbą: „Niech mnie pani ratuje”. Zaczęłam więc tłumaczyć Niemcowi swą kulawą niemczyzną, lecz on wrzasnął na mnie: „*Halt Maul!*” („Stul pysk”) i patrząc na mnie dzikim, nienawistnym wzrokiem, zbliżył się do mnie i syczącym ze złości głosem rzekł: „*Du Polin, du Polin, du verfluchte Polin!*” („Ty Polko, ty Polko, ty przekłeta Polko”), a ja na to położywszy rękę na sercu, powiedziałam z uśmiechem: „*Jarwohl, ich bin Polin, ich bin Polin, ich bin stolz daraus, dass ich Polin bin!*” („Tak jest, jestem Polką, jestem Polką i jestem dumna z tego, że jestem Polką”). W sklepie ludzie zmartwieli, nie wiedzieli, co z tego wyniknie, nastała grobowa cisza. SS-man jeszcze raz popatrzył na mnie, zaklął siarczyście, wziął spirytus i wyszedł. Po jego wyjściu ludzie powiedzieli: „Odważna to pani jest, ale to mogło skończyć się Oświęcimiem”. Pomyślałam sobie, że ugłaskałam go swoją niemczyzną jak dzikiego zwierza, spirytus przepadł, ale kary pani Woźniakowa nie zapłaciła. A to też coś znaczyło.

Dziunia, wysiedlona wraz z chłopcami z Gdyni, znalazła zajęcie w Radzie Głównej Opiekuńczej zrzeszającej wszystkich wysiedlonych, a będącej jakby agendą Czerwonego Krzyża. Sprzedawała tam chude mleko dla wysiedleńców. Zdawać by się mogło, że teraz z mlekiem będzie mi lżej, nie muszę już o piątej godzinie stać przed mleczarnią, marznąć w zimnie i obawiać się pijanego strażnika, który raz wycelował karabin na nasz ogonek, wrzeszcząc: „*Weg, weg, heraus!*” („Bo was wszystkich wystrzelam!”). Rozleciałyśmy się ze strachu, ale już za chwilę ponownie stanęłyśmy w ogonku pod mleczarnią. Byłam bowiem pewna tylko tego, co wystoję w ogonku. Córcie Dziuni należały się wprawdzie dwa litry codziennie. Odmierzała sobie zawsze mleko rano, także za nie

płaciła, ale też nieraz mleka zabrakło, więc zwykle swoje odstępowała jakiejs wysiedlonej biedaczce za darmo, a czasem znów zanosila jakiejs chorej do szpitala. Trudno się było o to na nią gniewać.

Janusz Zaucha

Jednym z najbardziej przykrych okresów w czasie okupacji była wiosna 1942 roku. Do tego bowiem momentu otrzymywaliśmy pomoc żywnościową ze Staszkówki – niezbyt wprawdzie często, lecz miała ona dla nas, a zwłaszcza dla chłopców, duże znaczenie. Pomoc ta była niewielka, gdyż Niemcy, a także współpracujący z nimi policjanci często konfiskowali produkty żywnościowe przynoszone do miasta. W czasie, kiedy miałem rower, moje wyprawy do Staszkówki, odległej o siedemnaście kilometrów od Gorlic, zazwyczaj kończyły się pomyślnie. Nigdy nie straciłem żywności wzięonej na rowerze. Dzięki znajomości języka niemieckiego udawało mi się zazwyczaj wychodzić cało z opresji, tym bardziej że już na wysokości Stróżówki zjeżdżałem z głównej drogi, wybierając ścieżki i dukty leśne. Niestety podczas jednej z takich eskapad Niemcy zarekwirowali mi rower, a mnie, grożąc wywózką do Niemiec, puścili na piechotę do Gorlic odległych jeszcze ponad półtorej mili. Od tego czasu bieda, wręcz nędza, zaglądała coraz częściej do naszego domu. Był taki okres, że mieliśmy do dyspozycji tylko czarny, kartkowy chleb i nieco ziemniaków. Chleb ten był chlebem jedynie z nazwy. Był to bowiem maleńki, lecz bardzo ciężki kluch, w którym buraki i jakieś strąki odgrywały główną rolę. Gdybyś nim trafił kogoś w głowę, mógłbyś go niechybnie zabić. Kromka takiego chleba i kubek ciemnego płynu ugotowanego na chudym mleku z czymś, co nosiło chyba dla szyderstwa nazwę „Kawa Enrilo” – oto było całe śniadanie. Na obiad była albo zupa ziemniaczana, albo ziemniaki w mundurkach.

Obiady te były tak monotonne i niesmaczne, że wprost jeść je było strach. Lecz organizm nawet takie menu musiał przyjmować z szacunkiem.

Pewnego dnia Dziunia przyszła podniecona z pracy, oświadczając, że ona sama ugotuje obiad, na który przygotowuje według specjalnego przepisu zdobytego w ogonku nowe, bardzo smaczne danie – mordonie. Miały to być smakowite kluski w zupie ziemniaczanej, która dzięki nim zmieni swój dotychczasowy, parszywy smak w smak wspaniały, wprost niebiański. Wkrótce podała na stół dymiące, gorące mordonie. Patrzyła z zaciekawieniem, jak to jej głodni synowie rzucą się na ten smakołyk. Zaczęliśmy jeść te kluski najpierw z ogromną werwą, a potem coraz wolniej, aż wreszcie odstawiliśmy je z dezaprobatą i zgodnie oświadczyliśmy: „Takiego paskudztwa wprost nie można jeść. Wolimy »Nanine« ziemniaki niż te obrzydliwe mordonie”. Postanowiliśmy zamoczyć te kluski w większej ilości zupy i postawić je Mice – niech ona je przynajmniej spałaszuje z apetytem. Ku naszemu zdziwieniu pies, popróbowawszy mordoni, zaczął je nosem wyrzucać z miski na zewnątrz, wypijając tylko zupę. Wkrótce wokół całej miski utworzył się szczelny wianuszek mordoni. Kiedy babusia to zauważyła, rzekła: „Chłopcy, wy wprowadzicie zawsze grymasicie, ale tym razem chyba macie rację. Te mordonie trzeba uznać za niezbyt smaczne, skoro nawet Miki nie chciała ich tknąć”.

Miki pewnego razu miała taki oto wypadek. Zdarzyło się to wtedy, kiedy Niemcy, uderzywszy na Związek Radziecki w 1941 roku, zajęli nasz salon na wojskową kwaterę. Mieszkał w nim jakiś oficer. Prosił nas, aby zawsze starannie zamykać na klucz swój pokój, bo nigdy nie chcielibyśmy być o cokolwiek posądzeni. Pewnego razu tenże oficer przyszedł do swego pokoju i zostawił otwarte drzwi wychodząc do łazienki, poczem wracając, dopiero je starannie zamknął. Z kolei ja, gdy wróciłem właśnie ze szkoły, zobaczyłem, że

Miki leży w swoim koszyku, w którym zawsze śpi, i cała drży ze strachu. Podeszedłem do niej, pogłaskałem, a ona zaczęła jeszcze więcej drzeć i nawet jęczeć, jakby ktoś zrobił jej jakąś wielką krzywdę. Podniosłem ją do góry, a pod nią dostrzegłem całe pęto kielbasy. Z początku wręcz zgłupiałem – skąd mógł wziąć się taki rarytas w koszyku Miki? Wkrótce domyśliłem się i biorąc na smycz Mikę, która dosłownie pełzała na brzuchu przy ziemi, zapukałem do Niemca i przepraszając go, a jednocześnie pokazując duże pęto kielbasy, rzekłem, że to pewnie jest jego kielbasa wyniesiona z pokoju przez tego oto pieska. Niemiec, kiedy zobaczył Mikę drżącą i warującą przy ziemi, uśmiechnął się i powiedział: „Moja wina, że nie zamknąłem drzwi, zatem moja strata. Niechaj pies więcej się nie boi i niech mu ta kielbasa wyjdzie na zdrowie. Proszę dać mu ją tylko w porcjach, aby mu nie zaszkodziła. Ja kupię sobie nową”.

Co za szczęście, co za radość! Mieliśmy wszyscy taką wyżerkę, że trudno było tego cudownego smaku kielbasy przez długi jeszcze czas zapomnieć. Kielbasa została sprawiedliwie podzielona według liczby osób, chłopcom dodano specjalnie wydzieloną część, bo rosną, a Mice dodatkowo wszystkie skórki, które zjadła z apetytem do końca.

Innym razem zdarzyło się tak. Babusia codziennie wychodziła przed piątą rano do mlecznego ogonka po dwa litry mleka – głównego rannego pożywienia całej rodziny. Przed wyjściem Miki wylatywała do ogrodu na bardzo krótko, aby zrobić siusiu, i natychmiast przybiegała do swego koszyka, kładąc się grzecznie do snu. Kiedy tylko jednak zamknęły się drzwi za babusią, Miki cichutko wyskakiwała ze swego legowiska w koszyku i wolniutko, jak najdelikatniej, wślizgiwała się do sypialni, do której drzwi często były niedomknięte, gdyż dziadzius albo właśnie musiał wyjść do łazienki, albo, gdy była ładna pogoda, szedł do ogrodu – drugiego głównego źródła naszego utrzymania. Miki przychodziła do mnie

lub do braciszka i trącając mokrym, zimnym noskiem rękę któregoś z nas, prosiła o pozwolenie wejścia pod kołdrę. Babusia bardzo się gniewała o to zarówno na nas, jak i na Miki, gdyż uważała, że pies ma brudne łapy i nie powinien wchodzić do czystej pościeli. My zaś udawaliśmy bardzo śpiących i zawsze Miki znajdowała ciepłe schronienie między nogami któregoś z nas. Do powrotu babci nie było żadnych kłopotów. Lecz gdy babusia zmęczona wróciła do domu i nie ujrzała Miki w jej legowisku, zaczynała się denerwować, początkowo mniemając, że jest ona w ogrodzie. Po dłuższym czasie, podejrzewając najgorsze, wchodziła ze ścierką do sypialni, mówiąc: „Miki wynoś się, jeśli tutaj jesteś”. Równocześnie sprawdzała, czy nie dostrzeże Miki leżącej z którymś z chłopców. Miki natomiast wyciągnięta jak struna leżała przytulona do nóg, udając całkowicie martwą. Czasem udało się jej oszukać babcię i uciec z łóżka dopiero wówczas, kiedy chłopcy wstawali do śniadania. Czasem jednak – i to dosyć często – babcia wykrywała intruza w łóżku i wówczas Miki uciekała co żywo do własnego koszyka, popędzana krzykiem i ręcznikiem, którego w gruncie rzeczy się nie bała, lecz tej formy obcowania z nim zupełnie nie tolerowała. Babcia sporo jeszcze nakrzyczała na nas i na Miki, więc wszyscy zgodnie takich występów nie lubiliśmy, gdyż w gruncie rzeczy uznawaliśmy racje babci za w pełni słuszne. Myślę, że i Miki przyznawała babci rację, chociaż nie na długo, bo już następnego ranka była zdolna ponownie narazić własną reputację na szwank, a swój błyszczący ciemnobrązowy krzyż na kontakt z ręcznikiem babci. Niestety przyjemność sjeisty w nogach u któregoś z chłopców była zbyt duża, by móc stanowić przeciwwagę w następujących po niej udręczeniach.

Można by było napisać jeszcze wiele o Mice, gdyż był to piesek naprawdę wyjątkowy dzięki dużej inteligencji i rozumowi, często wyrażnie kłócącemu się z wrodzonym jej lenistwem, a nawet niechlujstwem. Wszystkie te jednak wady

ginęły bez reszty pogrążone w jej zdolnościach kokieterijnych i rozkosznym oceanie przymilnej kobiecości. Miki była wprost cudownym pieskiem.

Katarzyna Szatko

Chłopcy pomagali w naszym trudnym życiu, jak tylko potrafili. Gdy szkoły dla nich zostały przez Niemców zamknięte, Boguś lepił w RGO²⁸ – Czerwonym Krzyżu – torebki do sklepów. W ten sposób uzyskiwał jakieś tam grosze dla siebie. Chodził też na zbiórki na Czerwony Krzyż – to mu też z tego parę groszy kapło. Januszek zaś zgłosił się do pracy w majątku pana Długosza w Siarach, by go jako bezrobotnego nie wysłano do pracy do Niemiec. Pracował w ogrodnictwie i na tym stanowisku dotrwał do końca wojny. W międzyczasie zorganizowano w Gorlicach naukę w zakresie szkoły średniej w tak zwanym tajnym nauczaniu, w którym zdobył Januszek małą maturę.

Janusz Zaucha

O gorlickim tajnym nauczaniu, w którym brał udział szereg wspaniałych profesorów, pedagogów i patriotów, napisano wiele poważnych rozpraw. Ja również uczestniczyłem w tym polskim programie, mającym na celu obronę polskiej kultury i tożsamości narodowej. W tajnym nauczaniu uczyliśmy się w ten sposób, że poznawaliśmy kolejno poszczególne przedmioty w zakresie czterech klas gimnazjalnych, przedwojennych. Po oświadczeniu, że naukę danego przedmiotu ukończono i materiał opanowano, przystępowało się do komisyjnego egzaminu, po czym rozpoczynano nowy przedmiot. Co pewien czas trzeba było oddawać do oceny przygotowane

²⁸ RGO – Rada Główna Opiekuńcza, polska organizacja charytatywna działająca w latach 1940–45 (przyp. red.).



Kurs Ic w latach 1941–42, godzina rysunków (Mikoszowa), Gorlice

opracowania lub zadania tak, że każdy z uczestników danego kompletu miał swój punkt, w którym otrzymywał niezbędne instrukcje, udzielano mu tam koniecznych wyjaśnień, przeprowadzano konsultacje itp. I ja miałem taki punkt u profesora Zabierowskiego. Od czasu do czasu mama mówiła mi, abym tam poszedł na kontrolę swych postępów naukowych. Niekiedy byłem nawet zdumiony, że kontrole te były tak częste i jakby niekoniecznie potrzebne, tym bardziej że Niemcy łapali uczniów i zdarzały się wypadki ich aresztowania. Mnie na szczęście nigdy nic takiego się nie zdarzyło, chociaż parę razy Niemcy mnie zaczepili, ale zawsze wytłumaczyłem im, że po prostu szukam w okolicy Gorlic jakiejś żywności, bo jestem głodny, co zresztą było prawdą. I tak udało mi się zdać małą maturę, a nawet rozpocząć pierwszą klasę licealną.

Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że byłem przez dłuższy czas wykorzystywany jako goniec przenoszący rozkazy i informacje ruchu oporu, w którym działała moja mama. Otóż w jednym zeszyście, na wewnętrznej stronie okładki była napisana zaszyfrowana wiadomość, którą nieświadomy przenosiłem do punktu kontaktowego, którym był mój punkt konsultacyjny. Z tego punktu otrzymywałem takim samym sposobem przesłaną odpowiedź. Wydaje mi się, że był to dosyć dobry sposób, nie zwracający większej uwagi, gdyż wszystkie moje zeszyty były oprawione w ten sam papier, a ja uczulony na niemiecką policję unikałem jej jak ognia. Kiedy jednak z nią się spotkałem, całe wyjaśnienie udawało mi się sprowadzić do mego głodu, tak że Niemcy z reguły machali na mnie ręką, tym bardziej że byłem mały, skromny, źle ubrany i wyglądający raczej na chłopczyka, a nie na mężczyznę. Kontakt ten został szczęśliwie zakończony po wojnie wraz z pójściem do oficjalnie otwartego gimnazjum i liceum w Gorlicach w 1945 roku do pierwszej klasy o profilu humanistycznym, gdzie uczono nas sporo o kulturze antycznej, filozofii greckiej i gdzie czytaliśmy nie tylko Cezara i Wergiliusza, ale nawet Tacyty w oryginalnym języku.

REWIZJE DOMOWE

Katarzyna Szatko

Do dużych zagrożeń w czasie okupacji należały rewizje domowe – jeden z większych oręży terrorystycznych okupanta. W naszym domu przeprowadzono trzy takie rewizje.

Raz przyszło trzech młodych mężczyzn z oficjalnym wezwaniem, aby ofiarować coś z metalu, zwłaszcza kolorowego,

na broń dla Niemców. Jeden z tych młodzieńców przemawiał czystą polszczyzną. Powiedziałam krótko, że nie mam nic takiego, a gdybym nawet miała, tobym sprzedała, bo nie mam ani ja, ani rodzina pieniędzy na kupno nawet najpotrzebniejszych rzeczy. Młodzi ludzie rzekli: „Jeśli pani nie ma, to może my sami pomożemy coś wyszukać”. Zaczęli więc szukać i znaleźli. Miałam dwa piękne klosze artystycznie wykonane z pocisków artyleryjskich, jeszcze z pierwszej wojny światowej, z których każdy ważył ponad trzy kilogramy. Ten, który znalazł klosz, zawołał: „Oto będzie wspaniała ofiara”. Odpowiedziałam mu, że nie wiem, kim on jest, czy Polakiem, czy polskim Niemcem – ale czy tak, czy owak to bardzo się dziwię, że chce mi zabrać rzecz artystyczną. Powinien wiedzieć, że tego nie dam, chyba że mnie dźgnie, ale w takim razie nie zazna spokoju do końca swego życia, bo przeklnę jego i jego rodzinę, a moja rodzina to przekleństwo do końca utrwali. Na to on odrzekł: „Tak, na polskie wojsko tobyś na pewno dała”. „I chyba się temu nie dziwisz. We właściwym czasie dawaliśmy najdroższe pamiątki, obrączki ze złota i inne cenne rzeczy, gdyż nie ma dla nas, Polaków, takiej ofiary dla ojczyzny, której byśmy nie dali, bo i życie jej dajemy i bogato nim szafujemy”. „Pani się nie boi tak mówić?”. „Každy rozumny człowiek, a nawet wróg tę moją postawę uszanuje, a pan jak zechce, może mnie najwyżej posłać do Oświęcimia – nie pierwsza tam będę i nie ostatnia”. W złości chwycił z biurka ciężki, mosiężny przycisk, pięknie mechanicznie obrobiony z głowy szrapnela, i zawołał: „Ale to już wezmę, czy chcesz, czy nie”. Bałam się przeciągać dalej strunę, liczyłam na jego polskość. Powiedziałam więc tylko: „Nie mów ani nie pisz, że to ofiara Polki – powiedz po prostu: »Wziąłem, bo mi się tak podobało«”. Tak to szczęśliwie zakończyła się pierwsza rewizja w moim mieszkaniu.

Po kilku miesiącach przeżyłam drugą rewizję. Pewnego dnia zauważyłam z mego punktu obserwacyjnego okna

kuchennego, że skręcił do nas pan Orchel – młodszy kolega Zosi. Równocześnie przechodził ulicą pan Krakowiak, człowiek w średnim wieku o takim właśnie nazwisku. Był to pan bez stałego zatrudnienia, który miał za żonę nauczycielkę, nieznaną w naszym powiecie, pochodzącą podobno z Piotrkowa. Dostała ona posadę nauczycielki w Gliniku Mariampolskim. Poza nauką w szkole strzygła ona oczami do wielu mężczyzn, uzyskując w zamian wiele profitów. O jej mężu mówiono, że założył wspaniały interes, gdyż sprzedaje karty wstępu do swej żony. W gruncie rzeczy przesiadywał on całymi dniami w restauracjach, słuchał i donosił Niemcom. Czasem zagrał w karty, o ile się ktoś znalazł, który by z nim zechciał grać. Córka jego była przystojną przedwojenną skautką, a nawet drużynową, lecz później w czasie okupacji została kochanką Niemców. Należy w tym miejscu powiedzieć, że policja niemiecka poszukiwała pana Orchela, człowieka w średnim wieku, kapitana Wojsk Polskich, który się ukrywał i w konspiracji prawdopodobnie kierował gorlicką Armią Krajową. Kiedy więc młody pan Orchel, krewny poszukiwanego, wchodził do naszego mieszkania, na pewno go pan Krakowiak zobaczył i myśląc, że jest to poszukiwany oficer, wstąpił po drodze na pocztę i zatelefonował na gestapo: „Orchel jest w domu z numerem dwudziestym trzecim, na ulicy Polnej, w mieszkaniu Szatków”. Słyszał ten meldunek jeden z pocztowców, ale nie miał on już czasu, by kogokolwiek przestrzec, gdyż motocykle gestapowców już ruszyły całym gazem.

Zaledwie pan Orchel usiadł za stołem, a już motocykle otoczyły nasz budynek z obu stron. Z okna kuchennego zobaczyłam dwóch gestapowców wchodzących do mieszkania – jeden do pokoju, a drugi do kuchni. Następnie weszło ich jeszcze dwóch i rozpoczęli legitymowanie wszystkich. Okazało się, że wszyscy mężczyźni mieli dokumenty w porządku, bo ten nasz młody Orchel był po maturze gimnazjalnej, po której poszedł na nauczyciela, a obecnie był na urlopie

i mieszkał u swoich rodziców w Gliniku Mariampolskim. Koło każdego mężczyzny stanął jeden gestapowiec z bronią w rękę, a jeden eskortował mnie. Musiałam z nim chodzić po całym domu, strychu i innych zakamarkach, na które sama mu zwracałam uwagę, myśląc z ironicznym uśmiechem: „Szukaj, szukaj!”. Byłam bowiem pewna, że nie znajdzie tego, kogo właściwie szukał. Szukali w pokojach, szafach, łóżkach, pod kanapami – no i niczego nie znaleźli. Miny mieli głupie – no bo jakże – wezwani zostali na pewniaka i ośmieszyli się wobec nas. Nawet pana Krakowiaka nie mogli skłąć, bo powiedział im przecież prawdę. Zabrali tedy Bogu ducha winnego młodego Orchela i odjechali. Zabranie od nas młodego człowieka było dla nas bardzo przykre, bo przecież gestapo i niewinnych posyłało do Oświęcimia. Ku naszej pełnej radości po tygodniu zobaczyliśmy go wolnego – właśnie wracał z więzienia do rodziców.

A pan Krakowiak już pod koniec okupacji otrzymał wyrok śmierci od Armii Krajowej i kula skróciła jego szpiegowski żywot. Przyczynił się do tego na pewno kapitan Orchel, który miał być zaaresztowany w wyniku donosu pana Krakowiaka.

Po tej rewizji, w kilka dni później nastąpiła trzecia rewizja. Przyszło na nią dwóch cywilnie ubranych panów. Jeden z nich przedstawił mi się po polsku: „Jestem wysiedlonym z Poznania. Policja przysłała mnie tutaj w związku z ostatnio przeprowadzoną u państwa rewizją z poleceniem, abyśmy przeszukali mieszkanie i zabrali materie na męskie ubrania, które nie uszły uwadze gestapowcom. Materie te pozostawiła na przechowanie pani Litmanowa, żydowska właścicielka jednego z elegantszych sklepów w rynku gorlickim. Została ona, niestety, skierowana wraz z innymi zamożnymi Żydami do Oświęcimia w pierwszym transporcie z Gorlic, mimo zapewnień niemieckiej policji, że za złożony okup zachowają życie”. Spojrzałam na mego rozmówcę wymownie i rzekłam: „I pan, Polak, podjął się takiej misji. Nie, to wprost nie

do wiary – przecież Poznań to najwierniejsze polskie miasto. Czy za to wysiedlenie chce się im pan w ten sposób odwdzięczyć? Nie będę panu w tym pięknym uczynku przeszkadzać. Proszę za mną”. Otworłam szafę i pokazałam mu wszystkie materie, jakie zdobyłam, by okryć nimi córkę, wysiedloną z Gdyni, i jej chłopców. W szczególności był między nimi kupon wełniany, ciemny, na wizytowy garnitur dla starszego chłopca. „Jeśli te materiały pana nie zadawalają, proszę szukać gdzie indziej”. Nie szukał, tylko zabrał wszystkie z szafy, w której były poukładane. Usprawiedliwiał się, mówiąc, że są takie chwile w życiu, które zniewalają człowieka i popychają go do spełniania świństwa. Gdybym jednak znał niedolę pani córki, nigdy bym się nie podjął tej sprawy. Pozostaje mi tylko przedstawić tę sprawę tam, gdzie należy, i prosić, by ją załatwiono po ludzku”. W parę dni później wezwano Janusza do samego Landrata – starosty. Urzędnik ten wysłuchał jego wyjaśnień i polecił krawcowi z kuponu ciemnego uszyć mu ubranie. Widać z tego zdarzenia, że sprawa trafiła w ręce niemieckiego urzędnika, który miał w sobie iskrę człowieczeństwa, a nie pogardę do wszystkiego, co nie było niemieckie.

Rewizje przeprowadzali Niemcy bardzo często. Z reguły kończyły się dla podejrzanych źle, a czasem, i to często, tragicznie. Dlatego ludzie drżeli przed tą formą terroru niemieckiego.

ŁAPANKI

Łapanki organizowane przez Niemców należały do bardzo groźnych form przemocy i terroru w stosunku do bezbronnej ludności cywilnej. Przebiegały one w ten sposób, że albo policja niemiecka wpadała do domów i wywłóczyła

z nich ludzi wprost do więzienia, albo obstawiała jakąś ulicę i zabierała przechodniów niczego się niespodziewających do więzienia. Zgłaszały się później rodziny, błagając z zapłakanymi oczyma o zwolnienie kogoś niezastąpionego w domu, na przykład matki małego dziecka, lecz uwolnienia na takiej podstawie prawie nigdy się nie zdarzały.

Wśród jednej takiej łapanki został zatrzymany mój mąż. Spędzono ludzi na podwórze gimnazjalne, szczelnie je obstawiono i zaczęto szczegółowe legitymowanie wszystkich zatrzymanych.

Na tym miejscu konieczne wydaje się przytoczenie następującego wyjaśnienia. Otóż do Gorlic przybywało coraz więcej transportów wysiedlonych Polaków z terenów włączonych do Rzeszy Niemieckiej. Wysiedleni z Poznańskiego byli często w bardzo ciężkim położeniu. Wypędzano ich niejednokrotnie z ich własnych domów w tym tylko, co mieli na sobie, pieniądze im odbierano, rzadko udawało im się zabrać ze sobą jakieś pakunki czy węzelki. Zależało to od litości tych, którzy ich wysiedlali. Stąd wysiedleni cierpieli bardzo na brak najpotrzebniejszych rzeczy. Dzieliliśmy się z nimi tym, czym mogliśmy. Nawet magistrat jako urząd miejski też pomyślał o pomocy dla nich.

W tym celu przedstawiciel burmistrza zwrócił się do mojego męża z prośbą, by zbierał on datki na rzecz wysiedlonych. Pierwszy datek złożył na jego ręce sam burmistrz. Następnie mój mąż wraz z jednym wysiedlonym chodził do zamożniejszych ludzi, do Żydów też, a potem zebrane pieniądze rozdzielali między wysiedlonych. Właśnie podczas takiej zbiórki zagarnięto go na ulicznej łapance i zapędzono na strzeżone podwórze gimnazjalne. Dopiero w wyniku interwencji samego burmistrza magistratu wypuszczono go na wolność.

W tym czasie, kiedy Niemcy stosunkowo często urządza-
li w Gorlicach łapanki po domach, chcąc uchronić naszych

chłopców przed tym nieszczęściem, urządziliśmy im schowanko w drewnutni. Drewnutnia stała w kącie dużego ogrodu daleko od domu, zasłonięta jaśminową altaną tak, że nie była widoczna z ulicy i z domu. Tam w czasie nasilenia łapanek chłopcy przez dzień przebywali, a nawet zrobili sobie podkop, by w razie czego mogli się nim przedostać do ogrodu sąsiada. Przychodzili tylko na jedzenie i na noc.

Pewnego dnia przechodzili właśnie ogrodem na śniadanie, gdy zobaczyli ich z ulicy SS-mani i zabrali ze sobą. Nic nie wiedziałam o tym, bo jak zwykle wyszłam wcześniej do ogonków. Przechodziłam koło karetki policyjnej stojącej przed posterunkiem, a w okienku samochodowej budy ujrzałam głowę Bogusia. Z przerażenia nogi odmówiły mi posłuszeństwa tak, że całym ciałem osunęłam się na murek. „Co się stało?“, zapytałam. „Wzięli nas z ogrodu“. „Jezus, co mam robić? Czy wiedzą o tym w domu?“. „Wiedzą, a mama poszła do doktora Stojałowskiego“.

Doktor Stojałowski, lekarz wysiedlony z Poznania, był prezesem RGO i Czerwonego Krzyża w Gorlicach, gdzie pracowała Dziunia. Poszła więc po ratunek do niego. Prędko napisał jej zaświadczenie lekarskie i nakazał dyskretnie wręczyć je Bogusiowi. Zaraz za nią poszedł doktor wprost na górę do policji i podniesionym głosem powiedział do nich: „Co wy najlepszego robicie! Wzięliście chłopca, którego ja lecę na czerwonkę, czy chcecie czerwonką zarazić siebie i swoje rodziny w Niemczech?“. A mówił to taką piękną i biegłą niemieczyną jak rodowity Niemiec. Na te słowa naczelnik policji otworzył okno i krzyknął w kierunku karetki: „*Raus, heraus mit diesem Knaben!*“. Natychmiast wyrzucono Bogusia z karetki niemal wprost w nasze ramiona.

A z Januszkiem było tak. Poszło z nim dwóch policjantów do starostwa, gdzie mieścił się urząd pracy. Januszek powiedział im bowiem, że jest pracownikiem pana Długosza, właściciela majątku Siary, z którym żył w przyjaźni kierownik



Profesor Delekta, Gorlice, 1942 r.

urzędu pracy. W drodze, kiedy prowadzili chłopca eskortujący go niemieccy żandarmi, rozpoczął Januszek z nimi rozmowę po niemiecku, co znacznie „ociepliło” atmosferę aresztowania. Januszek zapytał żandarmów, czy respektują oni rozporządzenia samego marszałka Rzeszy Göringa. Odpowiedzieli, że *natürlich*. Wobec tego podał im kartkę, na której było wydrukowane podpisane przez Göringa zarządzenie o następującej treści: „Rodzina polskiego oficera przebywającego w niewoli niemieckiej jest wolna i nie podlega wysiedleniu ani wywozowi na roboty do Niemiec”. Odrzekli: „No dobrze, kawalerze, ale i tak pójdziemy do urzędu pracy, aby sprawdzić wiarygodność tego, co nam mówiłeś”. Kierownik urzędu połączył się telefonicznie z panem Długoszem, który potwierdził przynależność Janusza do swych pracowników, i zaraz go puścili. Gdy wróciłam z Bogusiem, już zastałam drugiego wnuka w domu. Warto w tym miejscu zaznaczyć,

że pan Długosz wielu takich młodych ludzi, którzy uczyli się w tajnym nauczaniu, zatrudniał u siebie właściwie tylko formalnie, broniąc ich przed wywózką do Niemiec. Wydaje mi się, że wcale do tego przyczyniały się jego dobre stosunki z niemieckim kierownikiem urzędu pracy. Wspomnianą kartkę z podpisem Göringa przysłał swoim chłopcom ojciec z niewoli niemieckiej. Miała ona rzekomo ich bronić przed aktami terroru ze strony niemieckiej.

Chłopcy nasi jeszcze raz znaleźli się w podobnym niebezpieczeństwie. Pewnego razu na jesieni 1942 roku – jeśli dobrze pamiętam – policja niemiecka otoczyła budynek gimnazjalny w czasie nauki, zabierając młodzież na wywózkę do Niemiec. Wieść ta prędko rozeszła się po mieście. Matki otoczyły budynek i rozległ się ich rzewny płacz, który poruszył całe miasto.

W szkole był Boguś i mimo że był małym jeszcze chłopcem, a w ławce to się tak skurczył, że go mało co było z niej widać, a i profesor go bronił, że jest mały i słaby, to jednak SS-mani przeznaczyci go na wywóz. Januszek zaziębiony i chory leżał w tym dniu w domu. Zgodnie ze szkolnym katalogiem został wraz z innymi również wyznaczony na roboty do Niemiec.

Najpierw zajęliśmy się Bogusiem. Ja chodziłam za chlebem, aby dać mu jakieś kanapki na drogę, córka szykowała ciepłą bieliznę i sweterki, aż tu nagle chłopiec przybiegł do domu, pełen radości. Niektóre odważne matki wkradły się bowiem do klas, w których przetrzymywane były dzieci, brały najmniejsze za rękę i wyprowadzały, mówiąc, że zwolniony. Niemcy stojący w bramie nie przeszkadzali im w wyprowadzaniu dzieci, gdyż oni sami byli wewnętrznie oburzeni tą akcją i klęli po cichu: *„Doch, das ist Schweinerei”* („Przecież to świństwo”) i w ten sposób jedna pani wyprowadziła Bogusia z tej opresji.

Policja niemiecka zabrała ze szkoły katalogi i według nich mieli zabierać z domów tych, co nie byli w szkole. Dlatego też jeszcze tego samego wieczora poszłam z Januszkiem do szpitala i poprosiłam doktora Rebickiego, dyrektora szpitala, aby przyjął mego wnuka jako chorego. Poczciwy i zacny dyrektor przyjął go i jeszcze kilkoro innych i w ten sposób uchronił ich od wywozu na roboty.

Dzieci, które wywożono, żegnał płacz i przekleństwa. Zasypano je słodyczami, podarkami i jedzeniem. Kiedy wóz ruszał, młodzież zaśpiewała *Nie damy ziemi, skąd nasz ród*. Wówczas czapki mężczyzn poszły w górę, pięści matek zacisnęły się mocno, a usta szeptały największe przekleństwa – po wszystkich twarzach płynęły łzy. Po drodze udało się niektórym uciec z transportu, a w Krakowie starsza młodzież też wyciągała dzieciaki różnymi sposobami, tak że tylko niewiele z nich dojechało do Niemiec.

Pewnego razu przed wieczorem wpadł do naszego domu uczeń drugiej klasy licealnej, niejaki Smaga. Powiedział, że go gonią. Przechowałam go przez dwie noce. Leżał w załamaniu muru na dachu i w ten sposób ocalał.

Pani inżynierowa Gawronowa przez dwa tygodnie ukrywała mojego chłopca.

LUDOBÓJSTWO NIEMIECKIE

Gorlice leżały niedaleko największego obozu śmierci zorganizowanego przez Niemców w Oświęcimiu. Skierowywano tam ludzi na pewną niemal śmierć często tylko dlatego, że zatrzymani byli Polakami, których przestępstwem było to, że skończyli wyższe studia. Z początku zatrzymani w łapankach czy przy innych okazjach ujawniali bez specjalnego

strachu i obawy, że są specjalistami w określonej dziedzinie. To wystarczyło zupełnie, aby niemiecka policja takiego właśnie specjalistę skierowała do obozu śmierci – głównie do Oświęcimia.

Oświęcim, Brzezinka, Dachau i wiele innych to najbardziej znane miejsca mordów ludzi różnych narodowości, w tym też polskiej inteligencji. To miejsca bezprzykładnych znęcań się katów niemieckich nad niewinnymi ludźmi, to miejsca, z których zgrozą powiało na cały świat. Świat sobie bowiem nawet nie wyobrażał, żeby w XX wieku w państwie o tak wysokiej dotąd kulturze mogła pojawić się dzicz, która uchwyciwszy legalnie władzę w swe ręce, potrafiła ujawnić instynkty, do których nie jest zdolne nawet najdziksze zwierzę, i że naród ten lubuje się w najwymyślniejszych mordach, toleruje je i nie przeciwdziała im, wzbudzając w ten sposób do siebie największą odrazę. I to właśnie robili Niemcy, których przecież świat stawiał w rzędzie najwyższych przedstawicieli kultury i sztuki ogólnoludzkiej. Nie może się z tym pogodzić zdrowy rozum. Gdyby bowiem ten naród mścił się za doznane krzywdy, to jeszcze świat mógłby coś z tego zrozumieć, lecz nic podobnego w grę nie wchodziło. Niemcy mordowali przecież narody, które, jak na przykład Żydzi, z nimi bardzo sympatyzowały.

Z naszego miasta też było wielu męczonych w Oświęcimiu. Wymienię tylko tych, z którymi żyliśmy w wielkiej przyjaźni. Należał do nich jako jeden z pierwszych wywiezionych do obozu Jan Dziopek – profesor WF-u w gimnazjum gorlickim. On był w tym szczęśliwym położeniu, że jako syn stolarza nauczył się przy ojcu jego fachu, a ponieważ każdy fachowiec był w obozie potrzebny, dostał więc przydział pracy w stolarni. Profesor Dziopek miał przy tym uzdolnienia artystyczne. Potrafił wykonywać intarsjowane stoły, szafki i inne przedmioty tak, że sekcja stolarska prowadzona przez niego była bardzo wysoko ceniona przez niemiecką służbę

obozową. Kiedy więc zażądał on jakiegoś pomocnika, o którym powiedział, że jest fachowcem, zazwyczaj mu go przydzielano, co było dla takiego więźnia swego rodzaju szczęściem – glejtem zabezpieczającym jego życie w obozie. Nic więc dziwnego, że jako ceniony fachowiec mógł on pomóc kilku znajomym w przeżyciu tej ponurej kaźni obozowej.

Niedługo czekał profesor Dziopka na swoich kolegów z gimnazjum – przywieziono niebawem jego i naszego bardzo serdecznego przyjaciela profesora Wiktora Lewickiego, a dwa miesiące później jego jedyne go syna Jędrka, który niedawno został inżynierem. Ojca – Wiktora – Dziopka uratował od niechybnej śmierci w taki oto sposób. Niemieccy oprawcy urządzali sobie często sportowe strzelanie, aby nie wyjść z wprawy. W tym celu wypuszczano niezależnie od pory roku stu lub nawet dwustu nagich więźniów, każąc im gonić wokół jakiegoś placu, a oni strzelali do goniących. Zabawa ta trwała dotąd, aż ostatni więzień nie poległ, gdyż z tego polowania nikt żywy nie wracał. Właśnie raz, w mroźnym dniu w orszaku śmiertelnym biegł profesor Wiktor Lewicki. Kiedy przebiegał wraz z innymi koło stolarni, Dziopka wciągnął go do siebie, okrył płaszczem i ukrył gdzieś pod wiórami drzewnymi. W ten sposób ocalał on z tego pogromu. Natomiast syn jego zginął w krótkim czasie, ale jaką śmiercią – tego nikt nie wiedział, dlatego biedny ojciec długo się łudził, że go w jakiś niezwykle sposób koledzy potrafili wyrwać z tego piekła.

Przybył do Oświęcimia trzeci kolega profesora Dziopka – profesor Rusinek, a następnie także i jego syn. Tych dwóch udało się Dziopkowi umieścić w kuchni obozowej i ci przetrwali. Profesor Lewicki też doczekał się uwolnienia, ale to był już chodzący wrak. Śmierć syna odebrała mu wszelką inicjatywę i sens życia. Ukochana żona Kazia nie potrafiła spędzić z jego czoła smutku, zadumy i bólu po stracie syna. Kiedy go prosiła: „Powiedz coś do mnie, niech cię nie męczy ta zmora, jesteś przecież pod moją opieką”, odpowiadał jej: „Oj Kaziu,

Kaziu, żebyś ty wiedziała, na co moje oczy patrzyły i co jeszcze teraz mam ciągle przed nimi, tobyś się nie dziwiła, że ani mówić, ani cieszyć się niczym nie mogę. Ten obraz zamknie się wraz ze mną w trumnie, a jeśli jest tam Bóg, to złożę ten obraz u Jego stóp jako skargę na ten naród katów”. Właściwie to się on już nigdy nie ocknął do zwykłego życia – marniał w cichości i zamyśleniu. Wkrótce zakończył ziemską mękę i odszedł skarżyć się samemu Bogu.

Do towarzystwa gorliczan – więźniów w Oświęcimiu – przyszedł nasz kolega nauczyciel pan Chmura. Ten niedługo przebywał w obozie, mimo że był to chłop zdrowy, dobrze odżywiony. Oprawcy niemieccy musieli mu w jakiś sposób pomóc, by się nie męczył długo.

Do naszych kolegów w Stróżówce – państwa Skwarów – na początku okupacji przyjechał siostrzeniec pani Skwarowej, Jacek Delekta. Przed wojną ukończył on dwa fakultety – przyrodę i archeologię. Jako młody badacz uzyskał bardzo dobre notowania w literaturze światowej dzięki swym wykopaliskom w Egipcie. W fachowych pismach polskich i zagranicznych zamieszczano reprodukcje jego wykopalisk. Słynną zwłaszcza była fotografia głowy żony faraona. W jednym nawet czasopiśmie zamieszczono dowcipny podpis pod piękną głową: „Narieczona Jacka Delekty”. Niemcy dobrze znali eksponaty młodego naukowca, więc zajmąwszy Toruń, pierwsze swe kroki skierowali do jego pracowni. Jacek przestrzeżony na czas wyjechał i ukrył się u ciotki w Stróżówce. Gościł z ciotką niejeden raz u nas. Z Zosią prowadzili często długie rozmowy przyrodnicze, zapominając o wojnie i całym świecie. Jacek Delekta powiedział raz do ciotki: „Spotkałem po raz pierwszy w życiu kobietę, która z młodym mężczyzną zapomina o sztuce wabienia i zdobywania go na męża, lecz dzieli się z nim naukowymi poglądami. Bardzo mi się ona spodobała i dowiedz się, czy ma ona narzeczonego i jakie jest jej zdanie o mnie. Jeśli zyskałem jej sympatię, to w twoje

ręce składałam oświadczyńy o jej rękę”. Ciotka odrzekła, że nie można teraz mówić z nią o ślubie, bo ona nosi żałobę po utracie naszej wolności, a także stale martwi się o brata. „Pomyślicie o tym dopiero, kiedy się ta straszna wojna skończy”. Pani Skwarowa złożyła te oświadczyńy w moje ręce z gorącymi życzeniami, aby to się stało ku radości obu naszych rodzin.

I oto pewnego dnia ten młody uczony wybrał się z teczką do miasta, trafił na łapankę i po wylegitymowaniu znalazł się wkrótce w Oświęcimiu. Niemcy go podobno od początku wojny poszukiwali, a kiedy już znaleźli, to nie mógł dłużej żyć. W niedługim czasie otrzymaliśmy od niego wiadomość. W krótkich słowach doniósł, gdzie przebywa, i pożegnał się serdecznie z rodziną. Jakoż niewiele miesięcy upłynęło, a może nawet tygodni, kiedy pewnego dnia niemiecki urzędnik z Oświęcimia przywiózł ojcu do Stróżówki urnę z popiołami syna, każąc sobie za to zapłacić.

Jaką ów Niemiec miał intencję w tym uhonorowaniu ojca, tego nie można dociec do dzisiaj. Jedno jest tylko pewne, że przywiózł mu mękę. Patrzył bowiem ojciec na prochy swego jedynaka i płakał. Wprawdzie w tej urnie nie było pewnie prochów z kości jego syna, ale on patrzył w męcę na to jako na ostatnią pamiątkę po synu. Kiedy córka moja spoczęła w grobowcu, pani Janka Skwarowa powiedziała do mnie: „Kochał Zosię – niech zatem ta urna spoczywa u jej stóp, a ojcu usunie się sprzed oczu. Może prędzej się uciszy jego ból”. I tak się stało. Razem są w jednym grobie i jedna modlitwa im służy.

I u nas w Gorlicach był malutki Oświęcim. W willi zwanej Sklarczykówką mieściło się gestapo, a w piwnicach było więzienie, w którym byli bici i torturowani Polacy i Żydzi. Tu byli także więzieni akowcy, jak na przykład pani Urszula Gruszczyńska, nauczycielka. Na węglach w piwnicy tego domu była ona torturowana i tu miała zakończyć swoje życie, choć rodzina jej utrzymywała, że została wywieziona do Jasła i dopiero tam zginęła. Niektórych więźniów wywożono stąd

za park i tam ich rozstrzelowano. Innych znowu wywożono do Rzepiennika i tam rozstrzelowano. Tam właśnie zginął młody chłopiec, uczeń gimnazjalny, syn pani Melkowej, która później jego zwłoki ekshumowała ze wspólnego grobu i pochowała na cmentarzu gorlickim. Tam też zginął krawiec Piotrowski, dwaj bracia Rubiniaki oraz Mołodecki – restaurator, u którego często bawili się gestapowcy, chwając jego restaurację „Zacisze”. Kiedy został on zaaresztowany, prosił, aby go uwolnili na dwa dni. Chciał się bowiem pożegnać z żoną i dziećmi i rozporządzić swym mieniem. Gestapowcy się zgodzili. Nieszczęsny poszedł do spowiedzi, pożegnał się i wrócił na gestapo, czemu dziwili się nawet sami gestapowcy. Sądził bowiem, że ucieknie. On jednak dał słowo, więc słowa chciał dotrzymać, a może obawiał się, że się będą mścić na żonie i dzieciach.

W piwnicach Sklarczykówki przebywał nawet jakiś czas syn państwa Skwarów Zbyszek, wywieziony następnie do Jasła, skąd uwolnił go specjalny oddział Armii Krajowej, który odbił z tego więzienia wszystkich obecnych tam więźniów. Ukrywał się potem aż do końca wojny i szczęśliwie powrócił do domu.

Z Żydami, których aresztowano i którzy czekali na wywóz, gestapowcy bawili się w polowanie. Sklarczykówka była położona w dużym ogrodzie pełnym drzew i dużych krzewów. Gestapowcy wypuszczali Żydów z piwnic i szczuli swymi psami – biedacy uciekali przed nimi, kryjąc się za drzewami i wśród krzewów. W tym czasie gestapowcy strzelali do nich, aż wszyscy wyginęli. Była to podobna zabawa do tej, którą urządzali oprawcy w Oświęcimiu.

Kiedy z gorlickiego getta wyprowadzano Żydów do buciarni będącej ogromną halą po byłej fabryce butów, to taki temu towarzyszył lament, płacz i jęk, że nie było człowieka, który by nie zapłakał nad ich dołą. Staruszek ksiądz Świeykowski pytał, co się w mieście dzieje. Powiedziano

mu: „Żydów prowadzą na zatracenie”. Wtedy on powiedział: „Przed śmiercią każdy podobno pragnie jak najbardziej zbliżyć się do Boga, dlatego chrzczę ich, odpuszczając im grzechy, i błogosławię ich, czyniąc nad nimi krzyż”.

Ten cały jęczący korowód przechodził koło naszych okien. Znałam ich wielu, bo dzieci ich chodziły do szkoły, więc się z nimi musiałam stykać. Bolałam więc bardzo nad ich losem. W pochodzie koło moich okien widziałam takie oto zdarzenie. Przechodziło znane mi dobrze młode małżeństwo. Ona trzymała na ręce jedno dziecko, a drugie prowadziła za rękę. Mąż, jakiś trochę jakby kulawy, nie mógł za nimi nadążyć, więc eskortujący Niemiec wyjął rewolwer i strzelił mu w głowę. Trup zsunął się do pobliskiego rowu. Dziecko zatrzymało się jakby na chwilę, a mnie się wydawało, że powiedziało: „Mamo, poczekajmy na tatę”. Matka pewnie odrzekła: „Dziecino, już tatuś z nami nie pójdzie”. Jakże boleśnie odczułam ten wypadek ja, matka, nie mogąc pojąć i zrozumieć, że u Niemców życie człowieka nic nie znaczy. Czy w ich duszy i sercu nie ma żadnego ludzkiego uczucia?

Buciarnię tak wkrótce zapchali Żydami, że jeden stał na nogach drugiego, plecy stykały się z plecami drugiej osoby, o siedzeniu lub leżeniu nie było mowy. Stanowiło to istną katorgę dla spędzonych tam ludzi. Głodni i spragnieni wołali o litość i miłosierdzie, o wodę, o kawałek chleba. Zbliżyć się do nich nie było można. Ludzie, chcąc im pomóc, próbowali podawać im żywność na kijach. Wśród spędzonych była pewna Żydówka, którą dobrze znałam. Swego czasu dowiedziała się ona, że nie mieliśmy pieniędzy na ratunek chorej Zosi. Pewnego dnia, kiedy byli jeszcze wolni, przysłała do mnie, uklękła przede mną, objęła moje nogi i prosiła: „Niech pani przyjmie ode mnie pieniądze, nie gardźcie ofiarą Żydówki, a ratujcie panią Zosieńkę!”. Rozplakałam się, dźwignęłam ją z kolan i serdecznie ucałowałam. Teraz chciałam się jej odwdziaczyć. Dziunia wraz z Januszkiem poszli z jedzeniem prosić Niemca,

aby ją zawołał lub pozwolił doręczyć jej pakunek. Odpowiedział: „Pani z synem może tam wejść, ale stamtąd wyjścia już nie ma”. Podała więc jedzenie jakiemuś mężczyźnie z prośbą, by doręczył tej osobie, ale zapewne nie podał jej, bo odszukać jej było bardzo trudno, a sam był bardzo głodny i spragniony. Januszek pobiegł wzdłuż płotu buciarni i przez szparę podał komuś resztę jedzenia, wymieniając nazwisko tej Żydówki, dla której było ono przeznaczone.

Ile ci Żydzi złożyli Niemcom pieniędzy, kupując sobie w ten sposób każdy dzień życia, i ile złożyli im kosztowności. Kiedy prowadzili ich do buciarni, to razem za nimi jechała podobno platforma z kosztownościami. Pilnowali jej Niemcy jak złe duchy skarbów, lecz Żydom w ich ciężkiej niedoli nie ulżyli choćby w najmniejszy sposób. Każdego dnia, wczesnym porankiem wyprowadzali z buciarni po trzystu–czterystu nagich ludzi – musieli bowiem sprawdzić, że wyprowadzani nie ukryli żadnych kosztowności, a zresztą i ubrania ich miały dla nich wartość. Za laskiem kazali im kopać głęboki rów, w który wrzucano rozstrzelanych, często jeszcze żywych tak, że ziemia po przysypaniu ich podobno ruszała się jeszcze, kiedy innym kazali po tej ziemi deptać i tańczyć. Czyż są słowa na wyrażenie tego bestialstwa? Chyba nie ma takich w żadnym ludzkim języku.

Po tygodniu mordowania Żydów w buciarni załadowali pozostałych przy życiu do pociągu. A było ich jeszcze tylu, że stali w wagonach towarowych jeden przy drugim, bez możliwości swobodnego ruchu. Tu żebrzącym ludzie podawali chleb i wodę. Ja także wśród wywożonych szukałam znajomych, by im podać żywność i wodę, bo do pociągu łatwiejszy był dostęp niż uprzednio do buciarni, gdyż Niemcy na tę pomoc przymykali oczy. Wreszcie odjechali, by zasilić piece krematoryjne w Oświęcimiu.

Niemcy nie podarowali też naszym księżom. Aresztowano proboszcza księdza Litwina i dwóch jego wikarych – księdza

Gaika i księdza Heera. Ten ostatni był katechetą w męskiej szkole powszechnej. Aby księży móc w majestacie prawa aresztować, wielokrotnie do konfesjonałów podrzucano trefne papiery. W ochronce była jednak zakonnica, która dziwne rzeczy mówiła, a w jej obecności działy się przeróżne dziwy. Mówiono o niej, że została opętana przez diabła. Faktem było to, że wyczuwała ona niebezpieczeństwa. Często przestrzegała księży, mówiąc, że papiery kompromitujące zostały podrzucone do słuchalnicy ks. Gaika lub innego, wymieniając jego nazwisko, i zawsze się one tam znajdowały.

Kiedy aresztowano księdza prałata Litwina, wikary ksiądz Heer poszedł do Niemców, prosząc o jego wypuszczenie. Policjanci niemieccy rzekli do niego: „Ty Niemiec, a wstawiasz się za Polakiem”. On zaś w najwyższym oburzeniu odpowiedział im: „Może kiedyś byłem Niemcem, lecz dzisiaj, patrząc na postępowanie Niemców, wstydzę się przynależności do tego narodu i publicznie się go wyrzekam. Urodziłem się w Polsce, czuję się Polakiem i cierpię razem z polskim narodem za krzywdy, jakie mu wyrządzacie”. Kiedy go aresztowano, oświadczył, że woli być więźniem, niż służyć Niemcom w czymkolwiek wbrew własnemu sumieniu.

Ksiądz ten był synem niemieckiego kolonisty ze Starego Sącza. Gdy ten się dowiedział o aresztowaniu syna, natychmiast pojechał na gestapo. Nie wiadomo, co sobie powiedzieli, lecz ksiądz Heer powrócił z ojcem do domu rodzinnego. Jak długo w nim był, tego dokładnie nie wiem. Pewne jednak jest to, że po dłuższym czasie znalazł się w Anglii i stamtąd napisał list na plebanię do księży.

Prałata wywieźli do więzienia do Jasła, a nie do Oświęcimia ani do Dachau. Zawdzięcza on to jednemu tajemniczemu Niemcowi. Był bowiem w Gorlicach Niemiec, który codziennie przychodził do kościoła w ciemnym płaszczu, klękał w kącie pod chórem i tak trwał długo na modlitwie. Widziałam na własne oczy, jak się zatapiał w modlitwie, jak

tą modlitewną postawą budził zdziwienie i szacunek u ludzi. Robiło to naprawdę niezwykle wrażenie. Mówiono nawet tak: „Inni jego bracia mordują nas, a on pewnie wyprasza im przebaczenie”.

Widocznie się to Niemcom nie podobało, bo wkrótce zniknął spod chóru. Kościelny powiedział jednak naszej znajomej, że on dalej chodzi do kościoła, tylko osobnym wejściem, którym nikt nie wchodzi. Tam klęczy w przedsionku, którego drzwi są otwarte tak, że może widzieć księdza odprawiającego mszę świętą przed wielkim ołtarzem. Jak się później dowiedziałam, Niemiec ów spowiadał się u księdza Litwina i prowadził z nim długie, ciche rozmowy. Miał on nazwisko polskie, choć dzisiaj nie mogę go sobie przypomnieć, ale było to nazwisko sławne w dawnej Polsce, a zwłaszcza na sejmikach pomorskich.

Po wywiezieniu księdza rzekł, że jest o niego spokojny. Czuwał nad nim, by go w więzieniu nie męczono i nigdzie nie wywieziono. Wreszcie nadeszła taka chwila, że wyjednał mu zwolnienie. Wrócił ksiądz prałat zbiedzony po około trzech miesiącach. Sądzę, że to przeżycie było początkiem jego choroby wieńcowej, na którą zmarł dwa lata temu, w 1961 roku. A przecież był to człowiek niestary jeszcze – zaledwie siedemdziesięciodwuletni.

WYSIEDLENIA LUDNOŚCI POLSKIEJ

Mordowanie Żydów było straszliwym bestialstwem budzącym u ludzi grozę, ale i wysiedlenie to też był kosztmar, który budził odrazę do oprawców, a serdeczną litość do wyrzuconych z mieszkań ludzi skazanych na tułaczkę i poniewierkę. Widziałam nieraz wyrzucone z gniazdka

piskłeta – mimo że ich ogrzewałam ciepłem swych rąk, chuchałam i tuliłam, zwykle ginęły. Żał mi było bardzo ludzi wyrzuconych z ich gniazd domowych, gdzie mieli wszystko potrzebne im do życia, gdzie im było dobrze i swojsko, gdzie częstokroć były pamiątki po ojcach i dziadkach. Aż tu nagle przyszedł obcy tyran i wydał przerażający rozkaz: „Za godzinę masz być gotowy do opuszczenia swego mieszkania razem ze swoją rodziną. My czekamy tylko sześćdziesiąt minut”. Opowiadała mi o tym bliżej jedna z wysiedlonych, która u mnie znalazła chwilowy przytułek. „Mówię pani, że nogi się pode mną trzęsły, ręce mi latały, piersi płacz rozdzierał, a tyran chodził za mną i poganiał: »*Schnell, schnell*« (»Prędko, prędko«), a mnie wszystko z rąk leciało. Pakuję jedno i widzę, że to mniej potrzebne – wyrzucam – pakuję coś innego, a ten zły duch chodził za mną i przyspieszał. Nerwy moje nie wytrzymały. Stanęłam i krzyknęłam niesamowicie: »Odczep się ode mnie, tyranie – nerwy moje mam na wykończeniu – odstęp!«. Złapałam siekierkę i wrzasnęłam: »Zabiję cię, a potem mych chłopców i siebie. Gdzież z nimi pójdę, czym ich wyżywię. Zabiliście mi męża, więc nie chcę dłużej żyć, ale najpierw zabiję chociaż jednego z was, naszych dręczycieli«. Nie wiem, co zobaczył on w mych oczach, ale się cofnął i już nie popędzał, tylko i on zbierał niektóre potrzebne rzeczy i pomagał mi pakować”. Jak się okazało, pani ta należała do ludzi bogatych, mieli dwa duże sklepy. Niemcy najpierw zaaresztowali męża i rozstrzelali, a potem żonę z dziećmi wysiedlili.

W grudniu przybył do Gorlic pierwszy pociąg wysiedlonych. Przygotowaliśmy dla nich żywność i gorącą herbatę. Z pociągu odprowadziliśmy ich do buciarni. Pomagaliśmy im nieść pakunki. Ja chwyciłam dosyć duży pakunek, pod którym ugiął się stary człowiek. Szedł samotnie i ocierał z twarzy łzy. Kiedy chwyciłam jego walizkę, puścił ją, bo ręka zemdląła mu z wysiłku. Weszliśmy do wnętrza buciarni, hali pofabrycznej, a tam nie było nawet na czym usiąść i odpocząć. Tylko trochę

słomy świeżej leżało na ziemi. Zmęczeni i wyczerpani usiedli na niej. Wkrótce rozległ się spazmatyczny płacz wydobywający się z piersi biedaków na widok pałacu, jaki im przeznaczono w zamian za ich wygodne i ciepłe mieszkania.

Kilka osób zemdlało – trzeba było sprowadzić lekarza. Zaczęliśmy częstować ich kanapkami i gorącą herbatą, bo na zewnątrz było już mroźno. Kto mógł dać u siebie jakieś pomieszczenie, to zabierał rodzinę do siebie. Ja wzięłam rodzinę adwokatów. Umyli się, wyczyścili i zjedli z nami skromny obiad. Przez jakiegoś znajomego mieli zapewnioną kwatere u państwa Sendeckich. Po ich odejściu Dziunia poszła, aby na ich miejsce przyprowadzić kogoś innego. Czepiali się jej i błagali, prosząc „Zabierz nas, pani, bo jesteśmy chorzy”. Dziunia wzięła rodzinę zawiadowcy kolei – młode małżeństwo z dwojgiem dzieci. Tuż przed domem wyszła naprzeciw pani Gnatowa i rzekła: „Ja tych ludzi zabiorę do siebie”. „To dobrze – powiedziała Dziunia – ja wrócę po innych”. Córka wzięła tę panią, o której wyżej pisałam, i przyprowadziła ją z dwoma małymi synkami. Po wykąpaniu się, zażyciu aspiryny i zjedzeniu kolacji opowiedziała nam swoje tragiczne przeżycia związane z wysiedleniem.

Po kilku dniach nastąpił przydział wysiedleńców do okolicznych wsi. Nasza pani dostała przydział do sąsiedniego miasteczka Biecha. Wkrótce napisała do nas z Biecha, że natrafiła na dobrych i życzliwych ludzi. Po dłuższym czasie, mniej więcej po dwóch miesiącach, dostałam od niej długi list z Warszawy, gdzie miała siostrę i u niej zamieszkała. Po nieszczęściach, jakie przeszła, uważała za wielkie szczęście, że zamieszkała z tak bliskim członkiem swojej rodziny. Napisała mi, że z mieszkania jej i ze sklepów Niemcy wszystko zabrali i wywieźli. W Warszawie postarała się o pracę, aby wyżywić dzieci, bo przecież trudno być na łasce siostry, która też ma swoją rodzinę. Ponieważ z policji niemieckiej nie otrzymała żadnego wyjaśnienia odnośnie do losu swego męża, zaczęła

go szukać wszędzie, gdzie to tylko było możliwe. Nawet była u jasnowidzki, która nigdzie nie mogła dostrzec jej żywego męża. W końcu dowiedziała się od wiarygodnych ludzi, że gdy policjanci niemieccy wzięli męża i czterdziestu innych niewinnych, lecz bogatych mieszczan, to wyprowadzili wszystkich do pobliskiego lasu i tam ich rozstrzelali, rodziny ich wysiedlili, a mienie skonfiskowali.

Rodzina zawiadowcy stacji kolejowej, którą przygarnęła pani Gnatowa, dostała przydział do wsi Łużna. Dzień, na który wyznaczono wyjazd, był mroźny, padał gęsty śnieg i wiał silny wiatr. Biedni ci ludzie nie mieli się czym okryć. Dałam im więc kocyk, a dla dzieci mój najporządniejszy płaszcz, z myślą, że furman przywiezie mi go z powrotem. Wieczorem, w przeddzień wyjazdu przyszła pani Rzihowa, osoba majątna, która w swym własnym domu miała dużo pomieszczeń. Zabrała wysiedlonych do siebie i żywiła ich nawet na swój koszt. Wysiedleni nie potrzebowali więc ani mojego nowego kocyka, ani płaszcza, bo wszystkie potrzebne rzeczy dostali od pani Rzihowej, lecz mnie moich rzeczy nie oddali. Koc sprzedali, zaś z płaszcza zrobili ubranko, płaszczyk i czapkę dla synka, nie pytając mnie o pozwolenie. Przykro mi się zrobiło, bo tak ciężko było z kupnem czegokolwiek. Pomyślałam jednak: „No trudno, oni stracili wszystko, więc niech ja poniosę tę ofiarę, byleby im ona najlepiej służyła”.

W niedługim czasie wysiedlony zawiadowca stacji pan Gołębiowski zaczął handlować. Wyjeżdżał poza Gorlice, skupował różne produkty, a zwłaszcza żywność, sprzedawał i dobrze mu się zaczęło powodzić. Wreszcie po okupacji wrócił w swoje strony, do swoich krewnych.

Z Poznańskiego przybywało do Gorlic wiele transportów wysiedlonych, tak że miasto było wprost zapchane wysiedleńcami, co bardzo utrudniało nam życie, ale kiedy i niedalekie od nas Jasło też wysiedlili do Gorlic, to zrobiło się u nas bardzo tłoczno i ciężko było żyć. Kiedy zaś Niemcy w odwrocie

zatrzymali się na linii Jasła, zburzyli je i spalili, chociaż tam żadnej bitwy nie było. Zniszczenie miasta oszacowano na około dziewięćdziesiąt procent, czyli więcej nawet niż Warszawy. Opisuając wysiedlenia, przedstawiłam tylko takie, w których bezpośrednio w jakimś stopniu brałam udział. A ileż było jeszcze bardziej ponurych i strasznych wysiedleń w Polsce. Tego zliczyć się nie da. Głośne były przecież pociągi, pełne małych dzieci, kierowane do Krakowa i Warszawy, z których wynoszono trupy zamrożonych, a także ledwo przytomnych, chorych i zgłodniałych. To wszystko robił naród, który miał i nadal ma jeszcze pretensje do najwyższej kultury i humanizmu. Ludzie, patrząc na te zbrodnie, mówili: „Musi być sąd Boży nad nimi, bo wprost niepodobna, by tacy zbrodniarze nie byli ukarani”.

A obecna młodzież niemiecka nie chce o tych sprawach ani wiedzieć, ani słyszeć. „My przecież jesteśmy niewinni. Niczego złego nie zrobiliśmy”. Ja jednak sądzę, że gdyby jeszcze jedną wojnę wzniecili, robiliby to samo, bo ich duszom wrodzone jest tyraństwo i pycha, zbrodnia i buta, panowanie i ucisk innych.

NIEMCY W NASZYM DOMU

Do specyficznych przeżyć okupacyjnych należały bezpośrednie kontakty z Niemcami. Niektóre z nich trwały krótko, inne dłużej. Te dłuższe wynikały stąd, że największy i najładniejszy nasz pokój, czyli salon, Niemcy zajęli jako kwaterę do swej dyspozycji.

Pierwszym gościem niemieckim w naszym domu był nie żołnierz, lecz niemiecki zawiadowca stacji kolejowej w Gorlicach. Znajomość zawarł z Januszem u fryzjera. Życzył sobie czegoś od golarza, a ten nie rozumiał, więc Janusz wyjaśnił właścicielowi zakładu panu Kosibie, czego sobie ten pan życzy. Uradowany Niemiec chwycił Janusza za rękę i rozpoczął z nim pogawędkę. A potem zabrał go ze sobą na stację, pokazał mu znaczki pocztowe i nawet mu kilka dał, a następnie odprowadził go do naszego domu. Od tego czasu wyciągał go na spacer, prosząc Januszka, aby ten pokazał mu okolice Gorlic. Interesował się przebiegiem pierwszej wojny światowej na tym terenie, cmentarzami wojskowymi, a także pozostałościami w tej okolicy dawniejszej sztuki ludowej. Specjalnie interesowała go sztuka produkcji przepięknych kafli używanych do budowy pieców stanowiących wyposażenie każdego pokoju. Niektóre piece były swego rodzaju dziełami sztuki, a kafle w nich były ręcznie wyrabiane w różnych

kolorach. Nawet w naszym mieszkaniu w każdym pokoju był piec innego koloru i każdy z nich miał dwa pasy kafli, na górze i nad drzwiczkami paleniskowymi, specjalnie zdobionych wzorami przypominającymi kwiaty lub figury geometryczne – jakby arabeski.

Po tych spacerach naczelnik stacji przychodził do nas, a wkrótce rozgościł się na dobre u mnie w domu. Tak trudno już było zdobyć coś lepszego do jedzenia, a jak on siedział przy stole, to polska gościnność nakazywała mi wyciągnąć co najlepsze i podać gościowi. Złość mnie brała, że krzywdzę dzieci dla wroga, a on się zachwycał i pytał, skąd to bierzemy, bo przecież tego nie można dostać w sklepach. „Oj, wy, Polacy – powiedział raz przy stole – narzekacie, a macie wszystkiego w bród. U nas, w Niemczech, odczuwamy teraz wiele niedostatków, szczególnie brakuje nam żywności”. Zezłościła mnie ta jego mowa i podczas następnej wizyty położyłam na stole czarny chleb kartkowy i marmoladę, mówiąc: „Przepraszam, że tylko to mogę podać, co wy nam dajecie na kartki, ale to, co mi chcieli dostarczyć przyjaciele ze wsi, skonfiskowała im wasza policja”, co zresztą było rzetelną prawdą. Od tej gościny zaprzestał u nas bywać ku pełnemu naszemu zadowoleniu.

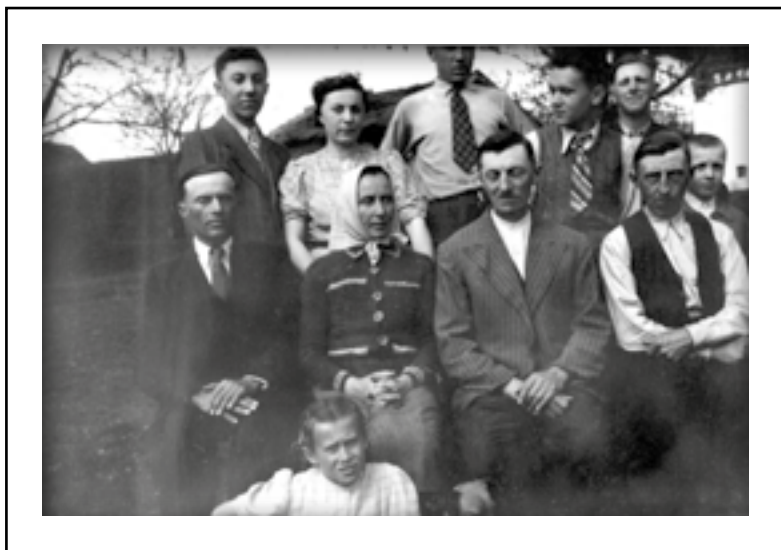
Jak wspomniałam, Niemcy po zakończeniu wojny polsko-niemieckiej zajęli nasz największy pokój jako wojskową kwaterę. Od tego czasu tylko ten mógł zajmować pokój, kto posiadał skierowanie z niemieckiej policji.

Pierwszym lokatorem tego pokoju był podoficer kompanii zajmującej budynek gimnazjalny w Gorlicach. Był to człowiek spokojny i bardzo porządny. Zajął pokój duży, czysty, z jasnymi i błyszczącymi od wosku parkietami. W pokoju było dużo pięknych kwiatów w wazonach rozmieszczonych w kilku oryginalnych kwietnikach. Otworzywszy po raz pierwszy drzwi do pokoju, stanął zdziwiony i zachwycony. A jakże on potem uważał, żeby pokoju nie ubrudzić. Przed drzwiami zdejmował buty i wkładał przygotowane pantofle.

Gdy wchodził do środka, rozkładał gazetę i kładł na niej zabłocone buty, które potem czyścił zawsze na zewnątrz. Kwiaty sam podlewał – papierów i śmieci tam nikt nie zobaczył. To mnie ujęło – byłam przekonana, że kto tak dba o czystość, to i złem się brzydzi.

Ułatwiałam mu życie grzecznością, wspomagałam go w jego potrzebach i czymś nawet ugościłam. Miałam bowiem zawsze na względzie to, że może i syn mój, tam, w obcych krajach, dozna od jakiejś matki życzliwości i pomocy.

Pewnego razu zamówiłam u naszych przyjaciół Szczerbów w Staszówce trochę kielbasy. Początkowo chłopci radzili sobie z ubojem i starali się ludziom w mieście to i owo dostarczyć. W ten sposób dopomagali miastu i sami zarabiali grosze. Niestety za handel żywnością stale groziła im kara i konfiskata. Niósł sobie nasz gospodarz dla nas kielbasę i jeszcze dla kogoś – razem około pięć kilogramów. Niemcy złapali go i zabrali wszystko. Przyszedł do nas strapiiony i kłął na Niemców, ale rady nie było. Przykro i nam było, bo mieliśmy tę



Staszówka 1946 rodzina Szczerbów

kielbasę posłać zięciowi do niewoli, a tak trudno było coś zdobyć do tej paczki, a tu taki specjał przepadł z kretelem.

Pożaliła się córka naszemu Niemcowi. Zaklął on szpetnie i powiedział, że pójdzie z nią na policję. Na policji kpiono z Dziuni, mówiąc: „Gdyby mąż pani zjadł tyle kielbasy, toby się ciężko rozchorował, a zresztą on u nas w oflagu ma doskonały wikt i niczego mu dosyłać nie potrzeba”. Z żołnierzem coś pogadali na uboczu – widać było, że się na niego gniewają. Po powrocie żołnierz kłął i irytował się, stwierdzając, że jest to świństwo, że jemu wstyd za takie nikczemne postęпки swego narodu – był widocznie porządnym człowiekiem. Na drugi dzień zmienili mu kwaterę za karę, że odważył się interweniować w takiej sprawie przeciwko Niemcom.

Odszedł, nie biorąc swoich rzeczy. I przy pożegnaniu powiedział: „Ja tu postaram się wrócić. Proszę więc mówić, gdyby ktoś przyszedł, że pokój jest nadal zajęty”.

Minęły dwa dni. Na trzeci dzień nasz żołnierz nie szedł, lecz wprost pędził, biorąc po dwa schody na raz i wpadł do pokoju, mówiąc: „*Ich bin wieder schon da*” („Jestem tu znów”). Opowiedział nam następnie, że pokój, jaki mu przeznaczono, był brzydki, mały i sąsiadował przez drzwi z pokojem, w którym zbierali się żołnierze ukraińscy, robiąc w nim istny jarmark. Panował tam gwar, krzyk, kłótnie oraz przekleństwa, a nawet bijatyki po pijanemu – ani pracować, ani spać w takim harmiderze nie było podobna. „Sprowadziłem więc dowódcę i prosiłem, by przeżył w tym pokoju choćby jeden dzień i noc. Odparł: »*Unmöglich*« i pozwolił mi tu wrócić”.

Niemcy współpracowali w czasie wojny z Ukraińcami. Dlatego warto przytoczyć opinię naszego Niemca na ten temat. To jest podły naród, który za zdradę i mordowanie swych braci Polaków spodziewa się od Niemców dla siebie wolnej Ukrainy. Ale to się nigdy nie stanie. Niemcy gardzą i brzydzą się nimi. Używają wprawdzie Ukraińców jako swoich pomocników przeciw Polakom, lecz za to nie dadzą im

wolnej Ukrainy, nawet gdyby zajęli całą Rosję. Takie miał zdanie o Ukraińcach prosty żołnierz niemiecki, który z przekonaniem twierdził, że takie same zdanie mieli wszyscy Niemcy i tak też myślał rząd niemiecki. Na darmo więc Ukraińcy mordowali polskich żołnierzy, palili ich w stodołach, które im na spanie oddawali. Nie pozwalali im czerpać wody ze studni, chowali nawet wiadra, jak to zrobili mojemu synowi. Wszystko robili, byleby tylko szkodzić i utrudniać drogę polskiemu wojsku.

Zdarzyło się, że pewna Polka zamieszkała na wschodzie została odesłana wraz z jeńcami rosyjskimi do Polski. Kiedy przybyła do Gorlic, tu, na rynku, znana Ukrainka, żona lekarza Śmigielskiego, segregowała osobno Ukrainki, osobno Polki, te ostatnie wyrzucając z szeregu, by im przypadkiem nie podać kawałka chleba polskiego, którym się ona, jej mąż i syn żywili przez szereg lat. Wtedy właśnie jedna Polka wyrzucona z szeregu przez panią Śmigielską głośno wobec wszystkich zaprotestowała: „Czy i tu, w polskim mieście, chcesz, Ukrainko, urządzić pogrom nas, Polaków, jak to robili Ukraińcy na wschodzie? Patrzyłam własnymi oczyma, jak ta dzicz piłami rżnęła żywych ludzi. Dosyć tego bestialstwa! Kiedy myśli się o tych zbrodniach, to się człowiek musi dziwić i pytać, za co nas, Polaków, tak nienawidzicie. Jakich to krzywd tu doznaliście? Żyliśmy przez długie lata jak bracia w zgodzie i spokoju. Lecz ta zgoda szczególnie nie podobala się Niemcom. Brali więc młodzież ukraińską do swych szkół i uczyli ich nienawiści do Polaków, a młodzież ta po powrocie z Wiednia czy Berlina do Polski siała tę nienawiść między bratnimi narodami. Czy wam lepiej było i jest teraz w Związku Radzieckim? Przecież wiadomo, że nie. Po cóż więc urządziliście te straszliwe rzezie bezbronnych braci Polaków, które was i wasze syny okryły wielką hańbą po wsze czasy, a historia nigdy wam jej nie wybaczy?”.

Powrócę jednak do naszego Niemca. Rozgościł się na nowo nasz lokator. Czasem mówił nawet sam do siebie: „Czym ja się odwdzięczę, że mi u was tak dobrze i spokojnie?”. Kiedy mnie raz wyraźnie o to zapytał, odpowiedziałam mu, że za moją grzeczność i zrozumienie sytuacji zapłaci tym samym być może ktoś mojemu synowi, który przebywa hen daleko od ojczystego kraju.

Pewnego razu zauważyłam u niego drobne kawałki mydła. Zapytałam go, czy są mu one potrzebne, bo jeśli nie, to ja je spożytkuję do prania. Załamiał ręce z żalu. „Nawet taką drobnostką nie mogę się pani odwdzięczyć, bo ja te kawałeczki zbieram i posyłam żonie. Oni tam cierpią nie tylko z powodu braku żywności, ale i wszystkiego najpotrzebniejszego do życia, dlatego co mogę zdobyć, to posyłam do rodziny”. Naturalnie przeprosiłam go, wyjaśniając, że ta drobnostka jest dla mnie bez znaczenia, chociaż brak mydła dawał się nam początkowo bardzo we znaki. Później kobiety nauczyły się z łoju i innych odpadkowych tłuszczów robić wcale dobre mydło, które zaspakajało ogólne potrzeby, a jednocześnie zapewniało zarobek tym, którzy się tym wyrobem zajęli.

Jednego dnia wpadł Niemiec do domu wielce uradowany i już z daleka zawołał: „Jadę do domu na urlop”. Zaczął więc skupować na wsi prowianty: masło, mąkę, sery, chleb, w końcu kupił nawet kurę i prosił Marysi, by mu ją zabiła, oczyściła z piór i wnętrzności. Latał uradowany, śpiewał, gwizdał i przygotowywał się do drogi. Opowiadał, że od początku wojny nie był na urlopie i nie zna jeszcze dziecka, które przyszło na świat po jego odejściu. Otrzymał rozkaz wyjazdu na określony dzień, aż tu nagle, w przeddzień wyjazdu został wezwany do dowództwa, gdzie go powiadomiono, że urlop jego został wstrzymany. Zamiast niego wyjechał ktoś inny.

Chłop po prostu oszalał. Bił zrozpaczoną głową o ścianę. Wkrótce jednak zamknął się w sobie, przestał mówić i widać było po nim, że coś przetrawia w środku. W tym czasie

żołnierzy niemieckich stacjonujących w Gorlicach zaczęło ogarniać niezadowolenie i zniechęcenie. W kompanii, w której on służył, rozpoczął się nawet bunt. W tym czasie żołnierz ów przytulił do siebie psa – przybłędę. Kąpał go, czesał i pieścił tę swoją Arę, a ona go na krok nie odstępowała.

W pewnym dniu, przed południem, stojąc na ganku, zobaczyłam, że na placu przed stacją kolejową zgromadziło się wojsko. Były tam mowy, jakieś komendy, zwroty, nawet bęben się odezwał, aż wreszcie odprawę zakończył gromki okrzyk wojska. Odwróciłam się. Za mną stał mój żołnierz i przysłuchiwał się wszystkiemu, a Ara położyła głowę na jego nogach, tuliła się do nich i smutno patrzyła na swego pana. Żołnierz odezwał się do mnie: „Niech pani popatrzy, to moja kompania, za karę odchodzi na front”. „A pan?”, zapytałam. „A ja odejdę wraz z nią, lecz pewnie na front niebieski. Ara to przeczuwa, proszę na nią popatrzeć”. Wieczorem powiedział do mnie, że idzie do restauracji. „Gdyby się kto o mnie pytał – dodał – proszę powiedzieć, że przyjdę o dziewiątej”.

Przed ósmą przyszedł żołnierz z polowej policji, pytał o niego, więc powiedziałam, jak mi przykazał. Wypytywał mnie, jak się przed odejściem zachowywał, co wziął ze sobą. Zbadał jego rzeczy, a następnie siadł w przedpokoju i czekał. Parę minut po dziewiątej nasz lokator przyszedł nieco chwiejnym krokiem. Porozmawiali obaj w pokoju, policjant zszedł na dół, a po pewnym czasie wyszedł i nasz żołnierz, ubrany w swój mundur, bez jakichkolwiek odznak wojskowych. Pożegnał się ze mną w przedpokoju, dziękując mi za moją dobroć, i życzył, aby syn mój wrócił z wojny i abyśmy odzyskali wolną ojczyznę. Słowa te kończył ze łzami i łamiącym się głosem. „A co z panem?”, zapytałam. „Pewnie już nie zobaczę ani żony, ani syna. Ara idzie ze mną. Jeśli wróci, bądźcie dla niej miłośnierni”. Ucałował mi ręce i powiedział: „Żegnaj dobra rodzinio!”. Nakreśliłam na jego piersiach znak krzyża: „Niech cię ten znak broni, niech Bóg będzie dla ciebie miłosierny”.

Żegnając go, miałam ciągle przed oczyma mojego syna! Ara już nigdy nie wróciła.

Po pewnym czasie zgłosił się do mnie z niemieckim skierowaniem na mieszkanie mężczyzna w cywilnym ubraniu. Przyjęłam go bez namysłu, bo prosił o to piękną polszczyznę. Ten cywil był człowiekiem postawnym, przystojnym i bardzo inteligentnym. Widywałam go już przedtem, prawie codziennie w kościele, nim się na mieszkanie zgłosił.

Po kilku zwykłych, lokatorskich z nim rozmowach, mniej więcej w tydzień po zamieszkaniu poprosił mnie, czybym nie mogła dawać mu obiadów. „Ależ kochany panie – powiedziałam – cóż ja bym mogła panu dać na obiad? Przecież sam pan wie, jak trudno jest wystarać się o coś do zjedzenia”. „Dla mnie to jest obojętne, co zjem, bylebym nie potrzebował chodzić do restauracji. Zapewne to panią zdziwi, dlaczego tak unikam gwaru restauracyjnego, ale boję się powiedzieć o tym jasno, bo to tajemnica, w której chodzi o moje życie. Poznałem jednak panią na tyle, że zaufam jej uczciwości i zdradzę moją tajemnicę. Jestem księdzem z Poznańskiego. Wysiedlono mnie z całą moją parafią. Przez cały październik byliśmy w obozie przejściowym, gdzie odprawiałem nabożeństwo październikowe. Wszyscy w obozie wychodzili na plac, klękali i śpiewali. Śpiewali tak, że zdawało się, iż te korne i błagalne głosy przebiją niebiosą. Niemcy słuchali z odkrytymi głowami, a z pobliskich wsi schodzili się ludzie na te nabożeństwa, otaczali ten obóz dookoła, stojąc poza drutami, i śpiewali razem z nami. To nabożeństwo ocierało łzy moim parafianom po stracie całego mienia, dźwigało na duszy i chroniło od rozpacz. Pewnego dnia przyjechali do obozu niemieccy oficerzy, między którymi było dwóch moich kolegów. Poznali mnie i po koleżeńsku się ze mną przywitali. Długo trwały nasze koleżeńskie rozmowy. Zaproponowali mi nawet posadę dobrą, a przy tym taką, abym nie był narażony na bicie i mordowanie razem z braćmi Polakami. Nie chciałem jednak

opuścić swych parafian. Ażeby mnie pani mogła dobrze zrozumieć, muszę dodać następujące wyjaśnienie. Jako poznaniakowi i dobremu uczniowi przyznano mi stypendium do renomowanego gimnazjum w Berlinie, a po maturze chlubnie ukończonej jako najlepszy uczeń otrzymałem w nagrodę bilet bezpłatny na podróż po całej Europie. Nikt z Niemców nie myślał, że ja po odbytej podróży wrócę do swoich, do Poznania, ale rodzina twardo oświadczyła: »Dość tej niemieczyny, teraz poświęć swoją służbę Polsce – twojej prawdziwej ojczyźnie«. Zapisalem się do seminarium duchownego i jako ksiądz objąłem parafię. Niemcy w Berlinie, dowiedziawszy się o moim postępowaniu, podobno zgrzytali ze złości zębami. Stołując się w restauracji, zwracam uwagę swoją błędną niemieczną i mają mnie za Niemca, inni za tłumacza. Chociaż kryję się w kącie przy stoliku, boję się, by znów jaki kolega Niemiec nie odkrył mnie i dlatego proszę pani, bym tu samotny mógł zjeść jakikolwiek choćby najskromniejszy posiłek”. Naturalnie się zgodziłam. Wzięłam od niego niemieckie kartki żywnościowe, które były cośkolwiek wydajniejsze niż polskie, i jadał u mnie na śniadanie z wielkim apetytem żur owsiany, na kolację paciarkę lub zacierki z razowej mąki pszenicznej, którą dostarczała nam Staszkówka. Na obiad było to, co Bóg dał, a ja w ogonkach wystalam. Było to skromne, śmiało mogę rzec, że nawet bardzo skromne, natomiast mój żur i paciarkę z radością i smakiem wspominał podobno do samej śmierci.

Wypada mi jeszcze powiedzieć, skąd się wziął nasz lokator w Gorlicach i jak je później opuścił.

Otóż po tej wizycie jego kolegów w obozie szybko obóz zwinięto, bo zrobiła się szeroka wrzawa wokół niego, wystawiając niemiłe świadectwo dla Niemców. Porozdzielano wszystkich wysiedlonych, skierowując ich w różne rejony Generalnej Guberni. Jego parafianie dostali przydział na Podhale. Ksiądz, dzięki przyjaznej dłoni kogoś nieznanego, dostał się

do Warszawy i zamieszkał u kogoś z krewnych. Krewni ci oddali go pod opiekę arcybiskupa warszawskiego, przy którym spełniał obowiązki kapłana. Nie mogło to jednak trwać długo, więc wystarano mu się o posadę w szwedzkim truście zapalczanym. Przedsiębiorstwo to było przez Niemców uznawane i honorowane, gdyż Niemcy utrzymywali dobre stosunki z neutralną Szwecją. Przedsiębiorstwo to wysłało księdza pod zmienionym nazwiskiem do Gorlic, aby robił zakupy drzewa w lasach karpackich i odsyłał je do tartaków należących do tego trustu. Tym też zajmował się w czasie pobytu u nas.

Po pewnym czasie, kiedy odważył mi się zwierzyć zupełnie ze swego położenia, zapytał, czy zgodzę się na to, by w moim pokoju odprawiał mszę świętą. Zgodziłam się, bo nie obawiałam się zdrady ze strony mojej rodziny. Pierwszą mszę świętą odprawił w intencji chorej już bardzo Zosi. Do mszy tej służył mu Januszek, który jako wieloletni ministrant był dobrze obznajomiony z liturgią.

Po jakimś czasie nasz lokator otrzymał z trustu zapalczanego polecenie, by zbadał, pod jakimi warunkami można by kupować drzewo w lasach koło Szczawnicy. Pojechał tam, pozawierał odpowiednie kontrakty, wyszukał ludzi do tej pracy, a później od czasu do czasu wyjeżdżał do Szczawnicy na kontrole. Tam właśnie niespodziewanie spotkał się ze swymi parafianami. Radość była obopólna, która kazała im zapomnieć o grożącym stale niebezpieczeństwie. Jeździł więc do nich w sekrecie, chrzcił im dzieci, dawał śluby, spowiadał i odprawiał msze święte. Wkrótce zdradzono go i nastąpił koniec tej sielanki. Ksiądz został aresztowany i wywieziony do Oświęcimia. Trust próbował wykupić go za grube pieniądze, lecz na nic to się zdało. Bliski jednak koniec wojny pozwolił mu doczekać się wolności. Wrócił w dawne swoje strony, objął swoje dawne probostwo w Poznańskim. Niestety niedługo się nim cieszył. Sterany przejściami okupacyjnymi i Oświęcimiem

zmarł wkrótce żegnany powszechnym płaczem przez swoich parafian.

Spośród wielu moich niemieckich lokatorów, którzy stosunkowo krótko u mnie mieszkali, wspomnę jednego, który w mojej obecności używał polskich powiedzonek i przysłów, czym mnie bardzo intrygował. Zapytałam więc: „Czy pan jest Polakiem, czy nie?”. Odrzekł, że nie, ale ma żonę Polkę, która prawie nie używa języka niemieckiego i uważa za największą obrazę, gdyby ją kto nazwał Niemką. „Szanuję ją bardzo i lubię. Właśnie w tej chwili piszę do niej list. O, jakżeby się ona ucieszyła, gdyby z Polski otrzymała list pisany po polsku. Proszę bardzo zrobić jej tę przyjemność i napisać do niej parę słów po polsku”. Nie dałam się dwa razy prosić – zaraz siadłam i napisałam. Niemiec ów raz tak do mnie powiedział: „My Niemcy to tylko w masie jesteśmy świni, ale pojedynczy człowiek ma serce na właściwym miejscu”.

Inny mój lokator, młody chłopiec, często wyśpiewywał: „*Breslau, Breslau über alles!*”. Chłopiec ten miał taką prawdziwie polską mordulę, że raz nie mogłam się powstrzymać i rzekłam do niego: „Taką ma pan polską gębę, że muszę zapytać, jakie ma pan imię”. Odpowiedział zarumieniony: „Staś, a nazwisko Jankowski”. „Ach, ty drańciu jeden, gęba cię zdradziła”. Pogroziłam mu palcem koło nosa. „Powiedz mi, dlaczego śpiewasz *Breslau*, a nie Wrocław. Czy nie umiesz nic powiedzieć po polsku?”. Odrzekł: „Kein Wort”. „Czy nie wstyd ci, dzieciaku, że Polski się zaparłeś, Polaków się wstydzisz, zamiast być dumny ze swej narodowości?”. Pochylił się do mych rąk, mówiąc: „Nie gniewaj się, mama. Ojciec jeszcze mówi po polsku, ale my, dzieci, już nie. Gdy szukasz Polki do zabawy, to mądra popatrzy na ciebie z góry i nie chce cię nawet znać – chyba tylko jakaś szumowina obdarzy cię uśmiechem”. Rzekłam mu: „Powiedz ojcu, że to on jest temu winien, że nie znasz pięknej polskiej mowy. On słusznie nie jest godzien nazwy Polaka. A ty przypomnij mu, jak to na Śląsku chłopci bronili

swej mowy, a żadne z polskich dzieci nie chciało mówić pa-cierza po niemiecku”.

Przez pewien czas urządzili Niemcy w moim pokoju biuro, w którym pracowało pięciu urzędników. Codziennie wchodziło do tego biura około stu żołnierzy. Nieraz byli obłoceni i ośnieżeni tak, że w krótkim czasie z pięknego pokoju, a zwłaszcza z jego jasnej, błyszczącej podłogi zrobił się istny chlewik. Kiedy żołnierze czyścili ten pokój, to najpierw łopatami zbierali błoto, a potem lali wodę na podłogę i miotłami ją ścierali, ochlapując przy tym ściany. Do tych urzędujących Niemców odzywałam się niewiele. Jeden z nich próbował się z nami zaprzyjaźnić, ale nie miałam zupełnie na to ochoty. Uważałam ich za Niemców-wrogów.

Ostatnim, można powiedzieć, niemieckim lokatorem był *Stabsarzt* – lekarz wojskowy, bo ci inni, co po nim mieszkali, to były takie jakby ostatki, które posuwały się za armią, nie chcąc mieć z nią nic do czynienia.

Otóż ten pan *Stabsarzt* był człowiekiem wysokim, dobrze zbudowanym, lecz przy tym niezmiernie dumnym, zarozumiałym i butnym Niemcem. Nie dostrzegał nikogo i przed nikim nie schylał głowy. Porozumiewał się z nami przez swego ordynansa, który nienawidził go całym sercem i duszą. Widziałam sama, jak za wychodzącym panem wygrażał pięściami. Był on w cywilu jakimś niższym urzędnikiem, dzieciatym. Tłumaczył nam, że musi się swego pana trzymać, bo zawsze dalej jest on od frontu, pracując w zaopatrzeniu wojska, więc łatwiej jest przy nim zachować życie dla całej rodziny.

Pewnego dnia czerwcowego zerwałam w naszym ogrodzie sporo truskawek. Stały one na talerzach na stole. Ordynans patrzył na nie łakomym wzrokiem, aż w końcu zapytał, czyby nie można było je kupić. Dałam mu ich sporo na talerzu, a na salaterce kazałam porcję tych owoców zanieść temu butnemu Niemcowi. Pogroził mu pięścią i powiedział, że ten pies tego nie wart, ale zaniósł. „Powiedz mu – rzekłam

– że nie zatrute”. Wrócił i trzymając się za głowę, powiedział: „O, jak on się dziwił”. Chciał zaraz płacić, ale nie przyjął pieniędzy.

W pokoju, który zajmował *Stabsarzt*, były porządne stołki, kanapa i stół. Aż tu pewnego dnia żołnierze wnieśli dwa duże fotele obite czarną skórą, pięknie rzeźbione. Dziunia zaczęła się im bacznie przyglądać i szukać jakiś wiadomych sobie szczegółów i znaków. Wreszcie rzekła: „Rany boskie, toż to są moje meble” i oczy zaszkliły się jej łzami. Obecny przy tym ordynans powiedział, że jest to niemożliwe, gdyż meble te przysły wprost z Niemiec. Dziunia opowiedziała mu, co jej napisały sąsiadki. „Kiedy pani z dziećmi wyjechała, pod dom podjechały wozy niemieckie i załadowano na nie meble z wszystkich czterech pokoi, pozostawiając w mieszkaniu gołe ściany. My szliśmy za wozami z płaczem, żegnając to wasze mienie jakby żywego człowieka, tę waszą pracę całego życia”.

Dziunia straciła dosłownie wszystko. Przed rozpoczęciem bowiem wojny wysłała w sierpniu do Gorlic dziewięć dużych paczek, a w nich najdroższe dla niej rzeczy, jak srebro, piękną miśniejską porcelanę oraz rzeczy pamiątkowe, do których była szalenie przywiązana – rodzinne albumy oprawne w skórę i oryginalne obrazy niektórych mistrzów polskich. Straciła wszystko, bo paczki te nie doszły do Gorlic zatrzymane chwilowo na jakiejś stacji kolejowej, a później prawdopodobnie przejęte przez Niemców jako zdobycz wojenna. I ona, i chłopcy zostali niemal w tym, co mieli na sobie. Ani pościeli, ani bielizny stołowej, którą dała na przechowanie do znajomych Kaszubów, też nie odzyskała. Zapasy zaś jakie porobiła na wypadek wojny – a były one dość pokaźne – rozdała przed wysiedleniem między biednych ludzi, ciesząc się, że przynajmniej Niemcy się tym nie pożywili.

Jeszcze dość daleko byli Niemcy na wschodzie w odwrocie i Rosji, gdy pewnej nocy zaalarmowano naszego Niemca,

że niedaleko od Gorlic biją się Niemcy z akowcami. Bardzo się przeraził nasz odważny Niemiec i zaczął się pakować. Miał on wiele do pakowania, gdyż zarządzał magazynami pełnymi mundurów, koców, lekarstw, żywności, węgla, benzyny itp. Wtedy kazał się nas zapytać, czy mamy dosyć opału, bo on ma do sprzedania węgiel. Powiedziałam, że chętnie kupię. Kazał więc przysłać dwie fury węgla i powiedział, że jest to zapłata za kwaterę, a służący dał chłopcom na pamiątkę scyzoryki i ładne koce. Prusak, żegnając się z nami, szczerze nas żałował, że dostaniemy się w ręce bolszewików. Mówił: „Będziecie za nami płakać i żałować nas jako kulturalnych ludzi. Pocieszcie się jednak, bo niedługo tu wrócimy, gdyż już jest na ukończeniu nasza nowa, najwspanialsza broń V2, a wtedy już cały świat będzie do nas należał”.

Moje kontakty z Niemcami zakończę charakterystycznym epizodem, mającym jednak dłuższą historię sięgającą czasów przedwojennych. Kiedy mieszkaliśmy jeszcze w latach trzydziestych w kamienicy inżyniera Muszyńskiego na parterze, po drugiej stronie klatki schodowej zamieszkała wdowa pani Czarnowska z córką Relą. Zaraz na wstępie po wprowadzeniu się jako sąsiadka przedstawiła nam w charakterze dowodu swoją metrykę ślubną, z której wynikało, że jest żoną barona Czarnowskiego z którym miała córkę Aurelię. O pani tej dowiedziałam się, że jest siostrą Kosiby, ubogiego gospodarza ze Stróżówki. Baronową została jako służąca, która miała dziecko z panem baronem, a ten jako wdowiec przed śmiercią mimo sprzeciwu swej rodziny wziął z nią ślub, by dziecku dać nazwisko.

Obie te panie były jednak bardzo biedne, ponieważ baron, umierając, prócz nazwiska nic im nie zostawił. Matka coś nie coś zarabiała szyciem. Córka chodziła do szkoły i marzyła tylko o tym, jakby zabłysnąć przed światem i okazać mu swe baronostwo. Ponieważ matka jej szyła ubranka dla moich wnuków, więc im czasem pomagałam. Raz na przykład dałam

w prezencie Reli biały, elegancki sweter sportowy. Wówczas ona postanowiła zaimponować wszystkim swoim starszala-checkim pochodzeniem jako miłośniczka sportu konnego. Wypożyczyła buławego konia u pana Wrońskiego i w tym sweterku jeździła na koniu po mieście. Śmiali się i pokpiwali z niej ludzie, co wcale nie zmniejszało jej tęsknoty do pańskiego życia, do lepszego statusu społecznego. W urzędowym życiu jej marzeń pomogli Niemcy. Pokumała się z nimi szybko. Słuchała u nich radia, otrzymywała różne biuletyny wojskowe i odwiedzając znajomych, przekazywała im najnowsze wiadomości i nowiny. Przychodziła i do nas, racząc nas najświeższymi wiadomościami, często pochodzącymi jakby z nielegalnych źródeł. My, nie posądzając ją o nic złego, informowaliśmy swoich znajomych o nowinach przez nią przynoszonych, a jednocześnie, nie kryjąc się przed nią z niczym, opowiadaliśmy jej, cośmy ciekawego i osobliwego widzieli. A właśnie nastąpił bunt w kompanii niemieckiej, która koszarowała w gorlickim gimnazjum, a jej najstarszy podoficer zajmował u nas kwaterę.

Pewnego dnia przyszła do nas Rela i rzekła: „Proszę państwa, przyjdzie tu do was jeden Niemiec, człowiek zacny, przyjaciel Polaków, nie obawiajcie się go i odpowiadajcie na jego pytania śmiało i szczerze, tak jak i mnie mówiliście o tym niemieckim buncie, gdyż może macie na ten temat więcej wiadomości od waszego lokatora”. Zaniemówiłam ze zgrozy – a więc to tak, za nasze dobre serca wpękała nas w nie-szczęście. Postanowiłyśmy, że rozmowę z nim przeprowadzi Dziunia, gdyż ja w takich sprawach jestem zbyt porywcza i nie panuję nad sobą, a córka jako wysiedlona będzie miała większe względy, a do tego kartka z rozporządzeniem Göringa o ochronie rodzin jeńców wojennych może ją w ostatniej chwili uratować z opresji. Dla pewności zrobiła sobie węzełek z najpotrzebniejszymi rzeczami.

Niedługo zabrzmiał dzwonek. Wysłałam i wpuściłam tego samego SS-mana, który mnie w sklepie państwa Woźniaków zwymyślał od przeklętych Polek. Pomyślałam sobie: „To niedobrze”. Zaprosiłam go do pokoju, w którym mieszkał niemiecki żołnierz, nie chciał bowiem mieć on żadnego świadka przy tej rozmowie. Pytań skierowanych do Dziuni było kilka, a najważniejsze: „Skąd wy wiecie i kto rozgłasza takie rzeczy, że się u nas buntuje wojsko?”. Dziunia odrzekła, że nikt o tym nie mówi, tylko wszyscy widzą. „Ale co widzicie?”. „Widzimy, że żołnierze chodzą samopas, plątają się bez celu, są często pijani, sprzedają koce i mnie też na kupno koca namawiali. Na murach i parkanach wiszą napisy: »SS-mani na front!«. Niech pan sam popatrzy. Ot na tym pobliskim parkanie jest też to napisane. Czemu tych napisów nie usuwacie i pozwalacie nam je czytać?”. „Ach wy przeklęte Polaczki! Na wszystko zwracacie uwagę i cieszycie się!”. „A pan by się nie cieszył, gdyby był w naszym położeniu?”.

Tę rozmowę prowadziła z Niemcem moja córka przez długi czas sam na sam. Nie znam więc szczegółów, wiem tylko, że zakazał rozszerzać takie wiadomości, postraszył Oświęcimiem i w końcu wyszedł. Odetchnęliśmy z wielką ulgą.

Po tym zdarzeniu przestrzegaliśmy wszystkich znajomych przed tą przedwojenną skautką Relą, w tym przede wszystkim doktora Stojalowskiego, którego Rela zasypywała wiadomościami z radia słuchanego u tego Niemca może i pod jego nieobecność. Doktor podziękował za przestrożę i rzekł: „Byłem uważny, a teraz będę jeszcze ostrożniejszy”.

A panna baronówna wzdychała, donosiła, ale nikt poważniejszy nie dał się nabrać na jej sztuczki. Powtarzała często: „Och, być taką Kosibianką, to byłoby prawdziwe szczęście!”. A Kosibianka była kochanką niemieckiego starosty jasielskiego. Jeździła z nim wszędzie i rządziła, jak jej pozwolono. Była bardzo ładna, a Rela, niestety, była brzydka i nadrabiała to makijażem i sztuką wabienia.

Po odejściu Niemców ofiarowała swe usługi bolszewikom. W początkach ich rządów była raz u mnie po matkę, która do mnie wpadła. Powiedziała, że wybiera się pilnie do Warszawy, więc nie może pomóc matce w przeprowadzce. Jedzie na bardzo ważne zebranie dostojników rządu, na które jest umówiona z „Bolkiem”, więc musi być na oznaczoną godzinę. Akcentując specjalnie słowo „Bolek”, dawała jednoznacznie do zrozumienia, że jest to Bierut. Rzekłam więc: „A cóż to, że wy jesteście już tak po kumotersku?”. „O tak – odrzekła – żyjemy tam wszyscy jak w jednej rodzinie”.

Dowiedziałam się, że Reli ukończyła potem jakieś kursy polityczne, a jej mama została szefową jakieś ważnej instytucji rządowej. Tak oto spełniły się marzenia obu pań, by być kimś ważnym i znacznym. Matka Reli próbowała nas jeszcze z Warszawy nachodzić, pukała i do Dziuni w Gdyni, ale dałyśmy jej do zrozumienia, że nie możemy żyć bliżej z osobami tak wysoko postawionymi.

KONIEC NIEMIECKIEJ OKUPACJI W GORLICACH

Janusz Zaucha

Chociaż okupacja niemiecka nieuchronnie zbliżała się do końca, to jednak wszystkie służby państwowe oraz wojskowe działały sprawnie do końca tak, jakby nadchodząca klęska ich nie dotyczyła. W sierpniu 1944 roku policja niemiecka zarządziła w ramach tak zwanej *Baudienst* – organizacji na wskroś militarnej – pobór wszystkich młodych mężczyzn do robót przyfrontowych. Żadne tłumaczenia kandydata powołanego przez policję niemiecką od tej służby nie mogły zwolnić. I ja pewnego dnia, idąc do pracy w majątku Siary, zostałem zatrzymany przez policję ukraińską i doprowadzony do komendy niemieckiej, w której udało mi się tylko tyle osiągnąć, że przydzielono mnie do robienia umocnień wojskowych w rejonie Gorlic, a nie w pobliżu frontu.

Od tego czasu codziennie rano musiałem z własnym szpadlem zgłaszać się na rynku lub w punkcie ustalonym poprzedniego dnia do pracy. Ponieważ używano mnie jako tłumacza, przeto otrzymywałem zawsze nieco mniejszy front robót. A jeśli strażnik niemiecki rozpoczął ze mną dyskusję,

bywały dni, że nawet tej wyznaczonej roboty do końca nie wykonałem. A były to wcale nie lekkie prace. Kopało się bowiem rowy strzeleckie głębokie na ponad metr, natomiast zapory przeciwczołgowe miały czasem kilka metrów wysokości. W tych jednak przypadkach korzystało się zazwyczaj z naturalnych ukształtowań terenu, brzegów strumyków, które trzeba było tylko zamienić kilofami i łopatami w strome, pionowe ściany. Roboty te trwały przez całą jesień i wcale nie zostały przerwane przez nadchodzącą zimę. Utrudnienia w tych pracach polegały nie tylko na konieczności uporania się często ze skalistym podłożem lub z bagnistym terenem, na którym stało się w lodowatej wodzie przez kilka godzin, ale także na tym, że zwiadowcze samoloty radzieckie, od czasu do czasu kontrolujące teren, strzelały z karabinów maszynowych do pracujących. Osobiście tylko jeden raz byłem w poważnym niebezpieczeństwie z tego powodu.

Na początku stycznia 1945 roku Niemcy chyba po raz pierwszy przywieźli do Gorlic baterię przeciwlotniczą składającą się z dwóch platform ze „zwiellingami” i jednej z „vierlingami”, czyli karabinami maszynowymi przystosowanymi specjalnie do zwalczania samolotów wroga na nieboskłonie. Niemcy naszą grupę „baudienstową” przeznaczyli do obkopywania i umocnienia wspomnianej baterii przeciwlotniczej. Stacjonowała ona na zboczu góry, na której był usytuowany niemiecki cmentarz wojskowy. Ziemia była twarda, przemarznięta, więc praca kilofami szła bardzo niesporo. Dzień był pogodny, a słońce, chociaż nisko nad horyzontem, jasno świeciło wprost na naszą baterię. Wtem usłyszeliśmy coraz bardziej narastający szum, a potem warkot. Zrozumieliśmy w lot, że to nadlatują samoloty radzieckie jakby zza słońca, ukryte wśród jego złotych promieni. Rzuciliśmy sprzęt i wpadliśmy instynktownie pod platformę działa przeciwlotniczego. Tuż za mną zwałił się ktoś drugi i przytulił się tak mocno do mnie, że ledwo mogłem złapać dech. Wtem rozpoczął się

jazgot karabinów maszynowych. Wydawało się, że kule biją wprost w nas. Za chwilę warkot ucichł nieco, lecz niebawem znów zaczął narastać. Otworzyłem oczy i wówczas ujrzałem, jak nieco już dalej od naszego działą przeszła ognista droga kul z karabinu maszynowego. Leżeliśmy jeszcze parę minut, aż warkot samolotów ustał zupełnie. Wówczas zaczęliśmy wypełzać spod platformy. Okazało się, że tym, z kim leżałem ściśnięty w braterskim objęciu, był strażnik niemiecki, wybladły i zestrachany nie mniej niż ja. Kiedy dobrze się obejrzeliśmy, okazało się, że jedna śmiertelna droga kul z karabinu maszynowego przeszła dosłownie dwadzieścia, a może trzydzieści centymetrów od naszej platformy. Gęstość padania pocisków była tak duża, że porzucony przez niemieckiego strażnika karabin został zupełnie strzaskany. Niemiec, spostrzegłszy to, powiedział do mnie: „Już dawno prosiłem o nową broń, teraz na pewno ją otrzymam”.

O kontynuowaniu pracy w tym dniu nie było już mowy. Wróciłem szczęśliwy do domu. Zrozumiałem, ile ja i inni mieliśmy szczęścia – wystarczyłoby, by droga pocisków przesunęła się o pół metra bliżej nas, a wszyscy skryci pod platformą rozmawialiby już ze świętym Piotrem o dalszych swych losach w niebie.

Katarzyna Szatko

Ostatnim mocnym akordem, choć bolesnym i tragicznym, kończącej się okupacji niemieckiej było powstanie warszawskie. Warszawiacy wiedzieli, jaki los czeka stolicę, bo im to nieraz powtarzali Niemcy, że przed swym odejściem zniszczą miasto, spalą je i zostawią tylko okopcone rumowiska. Chcieli więc temu przeszkodzić miłujący swe miasto mieszkańcy, patrioci. Czas nagiął, gdyż Niemcom na wschodzie wiodło się coraz gorzej i byli w totalnym odwrocie.

Na terenie Polski, jak wiadomo, działało jedyne na okupowanych przez Niemców ziemiach podziemne państwo dysponujące rządem na uchodźstwie z armią zbrojną i administracją na dużym obszarze. Wódz tego podziemnego państwa polskiego, chcąc stolicę uchronić przed zniszczeniem, postanowił uwolnić Warszawę od najeźdźcy poprzez zbrojne powstanie. Sądził on, być może, że podjęty wysiłek zbrojny może spotkać się nawet ze swego rodzaju poparciem ze strony wojsk radzieckich, które właśnie docierały do Wisły. Liczono się także i z tym, że decyzja ta nie będzie mile widziana przez stronę radziecką, ale przypuszczano, że wspólna walka z tym samym wrogiem będzie czymś ważniejszym niż różnice polityczne. Tak też rozumował generał Zygmunt Berling, dowódca wojska polskiego utworzonego na ziemi radzieckiej i dlatego przyszedłszy pod Warszawę, poprosił marszałka radzieckiego o pozwolenie pospieszenia powstańcom z pomocą. Niestety inicjatywa ta spotkała się z szybką ripostą sztabu radzieckiego, który natychmiast odwołał generała Berlinga, powierzając funkcję wodza polskiej armii oddanemu politykowi prosowieckiemu, który z polskością miał tylko tyle wspólnego, że jego nazwisko brzmiało po polsku.

W takich to okolicznościach nastąpił wybuch zbrojnego powstania i rozpoczęły się w mieście walki z Niemcami. Myślano, że powstanie to będzie miało taki sam przebieg jak powstanie Francuzów w Paryżu w 1944 roku.

Nie będę pisać – mój kochany prawnuku Jacku, o tej walce, bo nie brałam w niej udziału i nie patrzyłam na nią własnymi oczyma. Zrobili to doskonale uczestnicy tych walk i opisali je dokładnie, i ja o ich przebiegu dowiedziałam się z tych opisów. Ty, kochany Jacku, kiedy dorośniesz, będziesz czytał te opisy jak cudowną bajkę, bajkę o bohaterach – mężczyznach, kobietach i dzieciach – bajkę o miłości do swej stolicy, a więc i do swej ziemi ojczystej, bajkę, chociaż w rzeczywistości była to prawda, która wydawać by się mogła wprost

niewiarygodna – tyle w niej było niezwykłego poświęcenia, brawury i bohaterstwa. Tę bohaterską historię będą kiedyś czytali nasi następcy i będą z niej czerpać wiadomości o swych przodkach – Polakach – i uczyć się od nich miłości do ojczyzny: patriotyzmu i poświęcenia. Będą czytać tak, jak my dzisiaj czytamy o bohaterach greckich. Choć to nie nasi bohaterowie, to jednak uczyli nas przez tyle wieków i tyle pokoleń bezgranicznej miłości do swej własnej ojczyzny. Przykład bowiem ich czynów bohaterskich budził ochotę do ich naśladowania.

Powstanie warszawskie nie osiągnęło wyznaczonego celu, bo tuż pod stolicą stał ten nasz wypróbowany przyjaciel radziecki, który we Lwowie wbił nam nóż w plecy, a teraz z aprobatą patrzył, jak Niemcy wbijają swój bagnet w Warszawę i jej obrońców. Batiuszka Stalin, morderca inteligencji rosyjskiej i polskiej, chciał, by Niemcy wymordowali polską inteligencję w Warszawie, a jej resztę wywieźli do siebie, do obozów, spodziewając się, że tam zginie ona do końca. A potem satrapa ten wszedł do pustej już, wypalonej i zgruzowanej Warszawy i wziął ruiny w swoje posiadanie, głosząc odtąd beczelnie, że to on ją wyzwolił.

O tym, że nie pozwolono polskiemu wojsku stojącemu pod Warszawą iść na jej obronę, dowiedziałam się bezpośrednio od jednego z tych żołnierzy, którzy w owym czasie stali w polskim wojsku nad Wisłą i widzieli, jak ginie ich miasto, a wraz z nim ich rodziny. Płakali nad jego zgubą i zatrutą, lecz nie mogli mu pospieszyć z pomocą. Ten żołnierz, który mi o tym wszystkim opowiadał, był dzieckiem Warszawy i stracił w powstaniu matkę i innych członków swej rodziny.

Opuszczenie Gorlic przez Niemców nie było zbyt bolesne. Przez dwa dni poprzedzające zajęcie miasta przez Armię Czerwoną trwały ustawiczne naloty i bombardowania. W dzień samoloty zrzucały bomby większe, nawet kilkusetkilogramowe, a w noc nadlatywały kukuruźniki i postawiwszy

flary, czyli jasne i długo palące się świece, obrzucały cały teren małymi, kilkukilogramowymi bombami. Koło naszego domu naliczyliśmy po nocy szesnaście dołów od bomb i granatów. Niektóre z nich padały bardzo blisko budynku, ale szczęśliwie go ominęły. Jedna bomba przebiła wprawdzie dach i dwa grube drewniane legary na strychu, ale stropu nie uszkodziła, ponieważ sama nie wybuchła. W śródmieściu Gorlic szkody były nieznaczne. Zginęła od wybuchu bomby żona profesora Daneckiego, zaś żona profesora Ginalskiego została ciężko ranna w głowę i musiała przejść trepanację czaszki, ale szczęśliwie wyzdrowiała.

Ja straciłam moje piękne kwiaty, palmy, araukarię i inne egzotyczne iglaki. Kiedy bowiem wysadzano przed nadejściem czerwonej armii mosty na Ropie, wybuch wyszklił mi jedno okno. Bojąc się o inne okna – o szkło było bardzo trudno w tym czasie – pozostawiłam je nieco niedomknięte, by zmniejszyć ewentualny napór powietrza. I oto siła wybuchu wielu bomb padających koło naszego domu otworzyła je wszystkie, a mróz styczniowy zmroził moje piękne kwiaty w jedną noc.

TRAGICZNY BILANS NASZEJ RODZINY

Zbliżając się do końca opowieści o okupacji niemieckiej Gorlic, muszę przystąpić do najtragiczniejszej straty, jaka mnie w tej wojnie spotkała, a mianowicie do śmierci mej córki Zosi. Jak to już wspomniałam na początku, podczas naszej uciekinierki Zosia się zaziębiła, dostała grypy, a grypa nawet w najlepszych warunkach może pozostawić po sobie groźne ślady dla organizmu. W tym wypadku warunki przebiegu choroby były bardzo ciężkie. Brak wygody, brak żywności, trudności w uzyskaniu potrzebnych lekarstw, ciągły lęk przed tym, co przyniesie następny dzień, ból po stracie ojczyzny, wolności, troska o brata na wojnie – to wszystko nie służyło zdrowiu i utrudniało leczenie.

A trzeba także powiedzieć, że Zosia nigdy do silnych i zdrowych nie należała. Miała kłopoty z płucami już od dziecięcych lat.

Nauka w gimnazjum bardzo niekorzystnie odbiła się na jej zdrowiu. Zaatakowała ją gruźlica, która to choroba w ówczesnych czasach ani nie była dobrze poznana, ani właściwie leczona. Najskuteczniejszym lekiem były wyjazdy do Zakopanego. Górskie powietrze i inny klimat niż na Pogórzu Karpackim powodował jakby przerwanie choroby i zwapnienie kawern płucnych. Dlatego też Zosia każde wakacje, czyli czas wolny od studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim, spędzała

w Zakopanem, a właściwie w wyższych partiach Zielonych Tatr²⁹. Co pewien czas robiła sobie zdjęcia płuc w Krakowie, wiedząc o tym, że w Gorlicach szpital nie dysponuje aparatem Roentgena. Zresztą gruźlica uchodziła w pewnym stopniu za chorobę jakby wstydliwą, więc nawet Zosia cieszyła się, że z jej stanu zdrowia nikt, nawet z najbliższych w rodzinie, nie zdaje sobie dobrze sprawy.

Zaraz po powrocie z uciekinierki oddałam ją pod opiekę doktorowi Otęskiemu. Leczył ją i zapewniał mnie, że stan jej jest wcale dobry, że to tylko z mej strony są matczyne pieśczoty. Mnie jednak niepokoiło to, że kaszel nie ustawał, był coraz intensywniejszy. Wezwałam więc lekarza wysiedlonego z Poznania, doktora Stojałowskiego, który się specjalizował w chorobach płucnych, gdyż sam stracił matkę na tę chorobę. Po zbadaniu Zosi zażądał bezwzględnie prześwietlenia płuc i bardzo ubolewał nad tym, że w Gorlicach aparatu do przeprowadzenia takich badań nie było. Pokiwał smutnie głową nad Zosią, lecz robił pewną nadzieję. Wezwał na konsylium drugiego lekarza, wysiedlonego z Gdyni. Obaj zbadali szczegółowo pacjentkę i orzekli, że stan jej jest być może lepszy, niż początkowo przypuszczali, ale prześwietlenie jest konieczne. Lekarze ci tak długo Zosię badali, że się ona przy tym zaziębiła i dostała zapalenia migdałków, a może i grypy. Sądziłam początkowo, że choroba ta ją wykończy, ale ratunek lekarzy był wielki i stan jej znacznie się wkrótce poprawił.

Janusz Zaucha

Późną jesienią Zosia pod opieką swej siostry Dziuni pojechała razem z panem Skwarą taksówką do Krakowa na prześwietlenie: Zosia – płuc, a pan Skwara – żołądka. Wyjazd ten doszedł do skutku dzięki usilnym staraniom babusi, a także wielu przyjaciół i znajomych, dzięki różnym znajomościom,

²⁹ Autorka użyła określenia „Zielone Tatry”, ale bez zaznaczenia, do której części Tatr się ono odwołuje (przyp. red.).

a także wreszcie dzięki łańcuchowi ze złota wążącemu około pół kilograma, którym trzeba było opłacić samochód i benzynę.

Katarzyna Szatko

Dziunia opowiedziała później swemu synowi, już po śmierci cioci, przebieg przeprowadzonego badania. Po prześwietleniu płuc do lekarza udała się sama tylko Dziunia. Lekarz ów oświadczył zaraz na wstępie: „Po co przywiozła mi pani prawie nieboszczkę, której śmierć nastąpi najdalej za trzy lub cztery tygodnie? Niech pani spojrzy na klisze. Oba niemal płuca są w kawernach. Trzy czwarte płuc nie pracuje. Pacjentka wkrótce nie będzie miała czym oddychać. Tutaj żadnego ratunku już nie ma”. Dziunia na to rzekła: „Panie doktorze, niech pan coś wymyśli, co jej należy powiedzieć, że to nie jest gruźlica, lecz inna choroba. Ona musi sama koniecznie obejrzyć zdjęcie płuc z zajętymi szczytami, bo ona wiele razy swoje zdjęcia oglądała i na tym się dobrze zna. Ona jest absolwentką Uniwersytetu Jagiellońskiego”. „O mój Boże – zastanowił się lekarz – dla absolwentki tej samej uczelni muszę coś wymyślić”. „A panie doktorze, co z tym panem?” „Rak żołądka. W sześciu tygodniach będzie pogrzeb”. Co się zresztą ściśle sprawdziło.

Na drugi dzień Zosia i Dziunia poszły do lekarza, który podał Zosi zdjęcie jakoby jej płuc i pokazując jej pewne białe plamy w szczytach, tłumaczył, że musiała już długo chorować na lekką formę gruźlicy, lecz silny organizm stale ją zwalczał. „I obecnie też sobie na pewno z jej śladami poradzi, jeśli pani mu sama w tym pomoże. Pani jest w stanie to zrobić, choć z dużymi trudnościami. Istotną bowiem chorobą pani jest anemia i do tego złośliwa. Tutaj dostanie pani ode mnie leki, lecz przede wszystkim trzeba jeść, choćby nie było apetytu. Oczywiście i na płuca trzeba uważać, i słuchać lekarzy. Małe spaceru, leżakowanie, dużo odpoczynku, a polepszenie



*Zofia Szatkówna, studentka Uniwersyte-
tu Jagiellońskiego w latach 1933–39*

nastąpi wkrótce. Zresztą wszystko w ręku Boga”. Rzecz zdumiewająca. Zosia we wszystko uwierzyła. Po powrocie do domu zaczęła nawet cokolwiek jeść, chociaż jej wszystko rosło w buzi. Nawet zabrała się żywiej do nauki swego starszego siostrzeńca, któremu chemia organiczna tak się spodobała, że zakres przekazany mu przez ciocię wystarczył mu na parę dobrych jeszcze lat.

Ku zdumieniu Dziuni choroba Zosi – guźlica – jakby jakimś cudem zatrzymała się na całe dziewięć miesięcy. Doktor Stojałowski do końca się nią opiekował, dając jej zastrzyki z wapna. Niestety pod koniec tego okresu Zosia stawała się coraz słabsza, a jej myśli coraz smutniejsze i bardziej melancholijne. Zrezygnowała zupełnie z nauki swego siostrzeńca. Wreszcie na początku lipca 1941 roku dostała dużego krwotoku z ust. Wówczas podniosła się z łóżka i powiedziała: „Oszukaliście mnie. Jestem chora na gruźlicę, a nie na anemię”. Od

tego dnia minęło ściśle cztery tygodnie, jak to przewidywał lekarz, i nastąpił jej zgon w sierpniu 1941 roku.

O bólu matki po jej stracie mówić nie będę, bo nie ma słów w ludzkim języku na wyrażenie go. Ból ten wypowiadałam w wierszach i on mi stale towarzyszył w pisaniu. Były to treny żałosne po jej odejściu, a łzy, jakie towarzyszyły temu pisaniu, łagodziły przejmujący ból. Pisałam też pamiętnik żałobny, w którym przechodziłam krok po kroku wszystkie przeżyte z nią lata, a więc obcowałam z nią przy tym pisaniu jak z żywą. Choć tyle lat upłynęło od jej śmierci, nie mogę się zagłębiać w rozmyślaniu o niej, bo mi serce zaraz wypowiada posłuszeństwo i taki je ból zaciska, że niemal tracę przytomność. Nie ma jednak dnia, żebym o niej nie myślała i nie polecała ją Bogu w gorących modłach o jej wieczną szczęśliwość.

Co do syna mogę jeszcze dodać tyle, że po rozwiązaniu wojsk polskich pozostał nadal w Anglii. Jego dyplom magisterski nic mu jako obcokrajowcowi nie dawał, a obywatelstwa angielskiego nie chciał przyjąć, chociażby mu ono wiele pomogło w uzyskaniu lepszych warunków pracy. Zaczął więc ciężko pracować w fabryce włókienniczej, a każdą wolną chwilę od pracy poświęcał na nauczanie polskich dzieci, by nie zapomniały ojczystego języka. Zorganizował szkołkę niedzielną, organizował poranki i przedstawienia w rocznice polskich świąt narodowych, na których występowały dzieci w polskich strojach regionalnych. Dla starszej młodzieży organizował odczyty i pogadanki o Polsce, na które przyjeżdżali nawet naukowcy z Londynu, jak na przykład profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Kukiel³⁰, u którego Adam zdawał magisterium. Szczególnie dużo pracy włożył wraz ze swoją żoną w bardzo szeroko prowadzoną w Anglii działalność związaną z tysiącletnią rocznicą chrztu Polski. Adam przygotowywał uroczystości od strony historyczno-naukowej, a Zosia artystycznej. Za

³⁰ Marian Włodzimierz Kukiel – historyk wojskowości, generał, polityk (przyp. red.).



Adam Szatko w Anglii, wykład dla polskich środowisk



Zofia Szatko z polskimi dziećmi w Anglii, amatorskie przedstawienie, 1966 r.

ten swój ogromny wysiłek otrzymał on piękny dyplom honorowy podpisany przez samego kardynała Rubina – delegata prymasa Polski dla duszpasterstwa emigracji. Adam pracował dla Polski zupełnie bezinteresownie, chociaż życie jego było ciężkie, bez radości, pełne tęsknoty za krajem, nie wolne od chorób, a zwłaszcza serca jako pozostałości po ciężkich zmaganiach wojennych. Do Polski nie wrócił, bo ci, co wrócili, nie cieszyli się sympatią ani rządu, ani tych nowych ludzi, którzy bojąc się o utratę swych posad, patrzyli na powracających niechętnie, a często i wrogo. Często posuwali się do tego, że aby się ich pozbyć, oskarżali ich przed partią robotniczą, że działają przeciwko niej. Dlatego wiele z osób, które powróciły z Zachodu, znalazło się niewinnie posądzonych w areszcie, a następnie po sfingowanym procesie skazanych na szereg lat więzienia.

Zważywszy więc to wszystko, nie starałam się go moimi prośbami ściągnąć do kraju. Siedzi więc sobie nadal w Anglii, dalej ciężko pracuje i tęskni za matką, rodziną i ojczyzną. Boleję nad tym, że on, jedyny syn, nie może skutecznie pomóc starej matce – emerytce. Stara się mi wprowadzić pomagać, jak może, za ciężko zarobione pieniądze przesyła mi paczki żywnościowe na Boże Narodzenie, Wielkanoc, na moje imieniny i na rocznice śmierci ojca i siostry Zosi. Drogo tam kupuje różne potrzebne mi smakołyki, a gdy do mnie przyjdzie taka paczka, to Polska Ludowa, nie zważając ani na jego zasługi wojskowe, ani na moją czterdziestoletnią pracę nauczycielską i mój zaawansowany wiek, każe mi płacić wysokie cło. Nie zawsze pomagają prośby i odwołania – muszę płacić od małej, kilkukilogramowej paczki od dwustu do dwustu pięćdziesięciu złotych, czyli połowę mojej miesięcznej emerytury wynoszącej pięćset złotych. W ten to sposób on płaci tam funtami, a ja tu złotówkami. Ta niewyrozumiałość dla polskiego żołnierza i dla jego matki bardzo boli i budzi niezyczliwość dla tych, co rządzą, bo oni mają wszystko, co chcą, używają wszelakich dobrodziejstw i pieniędzy państwowych na swoje

rozrywki i wygody, lecz dla tych, co się rzeczywiście zasłużyli dla ojczyzny, nie mają ani uznania, ani nawet litości.

Kiedy porównuję te dwie wojny światowe ze sobą, muszę powiedzieć, że obie były dla mnie straszne i groźne. Ta pierwsza jednak, mimo ciężkich chwil przeżytych na froncie, straty całego umeblowania i wielu innych, potrzebnych rzeczy, pozwoliła nam wszystkim wyjść z życiem i na nowo odbudować dobrobyt. Ta druga wojna zabrała życie ukochanemu dziecku, a z synem jedynakiem rozdzieliła mnie potężnym, nie do przebycia morzem tak, że nie mamy już żadnej nadziei, byśmy mogli się kiedykolwiek jeszcze zobaczyć i spotkać – czyli zabrała mi niejako i syna. Żyjemy tylko słowami listów i tęsknotą za sobą, a więc ta druga wojna zabrała mi całe szczęście, pozostawiając smutek i cierpienie.

Wojna ta obeszła się również srogo i bezwzględnie z moją starszą córką. Straciła ona dosłownie całe swoje mienie. Lecz nie dość tego. Po powrocie do Gdyni osadzono w jej mieszkaniu obcych ludzi, lokatorów, którzy życie jej uprzykrzają na każdym kroku. Musi liczyć się z każdym słowem i we trójkę przebywać w jednej, wspólnej kuchni i używać wspólnie jedną kuchenkę gazową. To wszystko staje się tak przykre i uciążliwe, że się w takich warunkach wprost żyć nie chce.

Jedynym jaśniejszym promykiem oświetlającym moje obecne życie są wakacje, na które mój starszy wnuk przyjeżdża corocznie do mnie i stara się naprawić wszystko w domu, co w międzyczasie się zepsuło, i chociaż dzieli mnie od niego szmat drogi liczącej kilkaset kilometrów, czuję jego bliską opiekę, tym większą, że jego żona okazała się dla mnie najlepszą i najczulszą wnuczką. Dlatego co roku oczekuję ich przyjazdu z niecierpliwością. A nie zdarzyło się do tego czasu, aby opuścili choć jedne wakacje, żeby do mnie nie przyjechali, a jeden nawet urlop prawie w całości poświęcili na gruntowne wyremontowanie i wymalowanie mieszkania, które wreszcie w 1959 roku mogłam zająć z Marysią i w którym do tego czasu mieszkam.

PIERWSZE DNI W WYZWOLONYCH PRZEZ KRASNOARMIEŃCÓW GORLICACH

Siedemnastego stycznia 1945 roku pojawili się pierwsi Rosjanie na swoich czołgach w Gorlicach – mieście, o którym dobrze wiedzieli, że jest to polskie miasto, a nie niemieckie. Parę dni potem, stojąc na gorlickim rynku fatalnie zrytym gąsienicami czołgów, które przy zwrotach wyrzywały bruk i płyty z chodników, zauważyłam wkraczający na rynek oddział wojsk radzieckich. Wjeżdżali skuleni na czołgach, wszyscy na biało ubrani. Zobaczywszy ludzi w rynku, podjęli jakąś głośną i wesołą pieśń. Twarze mieli rozradowane, spodziewając się entuzjastycznego przyjęcia przez mieszkańców – przecież oni byli wyzwolicielami, oni przynosili wolność, niepodległość. Tymczasem nikt nie kwapił się, by ich powitać, nikt nie podrzucał czapek w górę z radości. Wchodzili jakby do obcego kraju, witani bez jakiejkolwiek radości. Z wielu oczu gorliczan odczytać mogli, że są traktowani nieżyczliwie, a nawet wrogo. Oczywiście nie rozumieli oni, ci młodzi ludzie, szafujący w obronie reżimu komunistycznego swoim życiem, że na ich rękach Polacy dostrzegają nie tylko historyczne krzywdy dawnych lat, lecz przede wszystkim

najświeższe, ludobójcze zbrodnie – zgładzenie tysięcy niewinnych Polaków tylko dlatego, że byli Polakami, że kochali swoją ojczyznę. Oni nie zdawali sobie sprawy ani nie wiedzieli, że ich bracia Sowieci z zimną krwią zastrzelili tysiące polskich oficerów, jeńców wojennych, na wyraźne polecenie Centralnego Komitetu Rosyjskiej Partii Komunistycznej, że wielokrotnie więcej, bo ponad milion ludzi, wysiedlili na bezkresne połacie Syberii, zmuszając ich do nieludzkiej pracy w ekstremalnie trudnych warunkach klimatycznych. Lecz o tym wszystkim prymitywny młody Kałmuk, Tatar czy inny Kirgiz absolutnie nic nie wiedział – propagandysta w oddziale mówił mu, że jest wyzwolicielem Polaków spod okupacji niemieckiej i rodzimych kapitalistycznych obszarów.

Zaraz pierwszego czy drugiego dnia po zajęciu Gorlic żołnierze radzieccy odwiedzali poszczególne polskie rodziny, powtarzając: „Cieszcie się i radujcie. Jesteście już wolni i germaniec nic już wam złego nie robi”. I do naszego domu weszło dwóch takich młodych żołnierzy. Byli uśmiechnięci i radosni. Wiele mówili językiem zupełnie niezrozumiałym. Przeszli szybko przez pokój, podając radośnie wszystkim ręce. Zaraz wyszli. Bacznie rozejrzeliśmy się po pokoju. Przecież gościli zaledwie parę chwil, a jednak budzik francuski stojący na biurku zniknął bez śladu. Kiedy? Zastanawialiśmy się, lecz nigdy na to rzetelnej odpowiedzi nie znaleźliśmy. I jeszcze raz mieliśmy podobną wizytę. Obserwowaliśmy każdy ruch trzech młodych żołnierzy. Chodzili szybko, mówili dużo – w tym przypadku po rosyjsku, więc wiele dało się zrozumieć – jedno jednak pozostało do końca tajemnicze i niewyjaśnione. Z kredensu zniknęła figurka z saskiej porcelany i błyszcząca kula szklana w środku z zatopioną złotą rybką, stanowiąca przycisk do papierów. Absolutnie nikt z nas nie dostrzegł, w jaki sposób przedmioty te zmieniły dotychczasowego właściciela.

W Gorlicach wojsko radzieckie zachowywało się na ogół poprawnie. Opowiadano wprawdzie o pewnym incydencie, jaki zdarzył się dwóm dziewczynom na Zawodziu. Otóż dziewczęta te zostały zaczepione przez trzech czy czterech mołojców, nieco podchmielonych. Wdały się one jakoby w sprzeczkę, która skończyła się gwałtem na tych dziewczętach. Ponieważ podniosły one krzyk, zjawił się radziecki patrol, który całe towarzystwo zaprowadził do koszar rosyjskich. Tam podobno odbył się następnego dnia krótki sąd polowy. Dziewczęta miały pokazać, który z żołnierzy dopuścił się na nich gwałtu. Jeśli będą miały pewność, to żołnierz ten zostanie natychmiast w ich obecności rozstrzelany. Dziewczęta długo wybierały, długo się wahały, w końcu zawyrokować jednoznacznie nie mogły. Oficer skazał więc wszystkich czterech żołnierzy na ścisły areszt o chlebie i wodzie na cały miesiąc, aby żadnemu z nich nie chciało się napadać po raz drugi na bezbronne, uczciwe dziewczęta.

Do innego gwałtu doszło w Gliniku Mariampolskim. Tamże dwie polskie dziewczyny poszły pod kwaterę, gdzie stali Rosjanie, prosić o sprzedanie im kilograma cukru i mąki, bo tych produktów od wielu dni nigdzie nie mogły nabyć. Żołnierze zaprosili je do środka i wręczyli im torebkę cukru i mąkę, żądając zapłaty. Kiedy dziewczęta ofiarowały im nic niewarte polskie okupacyjne złotówki, żołnierze postanowili pobrać zapłatę w naturze, co natychmiast wyegzekwowali. Dziewczęta podniosły krzyk i lament. Wezwany oficer wraz z drugim, tak zwanym politycznym, po zbadaniu sprawy orzekli, że w tym przypadku nie może być mowy o gwałcie, lecz o zwykłej transakcji handlowej. Żołnierze dali przecież żądany towar, a dziewczęta zapłaciły taką walutą, jaką posiadały. Właściwie to dziewczęta chciały wyłudzić od żołnierzy cukier i mąkę, gdyż dobrze wiedziały, że rubli nie mają, a więc nie mają czym zapłacić. Wobec tego jednak, że mogły być głodne i dawno ani cukru, ani mąki nie widziały, zatem

należy im przebaczyć to, że chciały żołnierzy oszukać. Na tym sprawę zakończono ku chwale armii radzieckiej.

Po kilku dniach przyszła do nas policja rosyjska i jak zwykle pokój mój zajęto na kwaterę dla wojskowych. Zamieszkał w nim doktor bolszewicki wraz z dwoma pielęgniarkami. Nie był to jednak mądry i kulturalny lekarz jak wracz z pierwszej wojny światowej, o którym pisałam w moich wspomnieniach z tamtego czasu. Ten był człowiekiem młodym, dobrze zbudowanym, lecz mało inteligentnym, wyglądającym raczej na felczera niż na doktora. Będąc chirurgiem, nie leczył, lecz rezał swoich pacjentów. Odcinał rannym nogi i ręce bez żadnych prób ich leczenia, a następnie części ludzkiego ciała wynoszono w koszu i zakopywano w ziemi na podwórzu. Operacje odbywały się w dużej sali starostwa powiatowego przystosowanej do tego rodzaju prac. Tam też przyrządzano lekarzom obiad, aby nie musieli nigdzie wychodzić i tracić czasu – tylu było rannych. U mnie lokatorzy przyrządzali sobie śniadanie i kolacje. Zauważyłam wtedy, że wszystko, co mieli do jedzenia, pochodziło z Ameryki, podobnie jak i narzędzia lekarskie oraz uzbrojenie żołnierskie. Wielu jednak prostych żołnierzy nosiło marne uzbrojenie, często na zwykłych sznurkach.

O umiejętnościach lekarskich tego doktora miałam sposobność przekonać się już wkrótce. Dziunia bowiem zachorowała na zapalenie ucha. Zapytany o poradę powiedział, że to nie jego dziedzina, lecz przyprowadzi „specjalista” od ucha. Specjalista przyszedł, popatrzył i przyniósł lekarstwo, które pomogło dopiero po paru dniach. A może by ta choroba po tak długim czasie sama minęła? W każdym razie słoik miodu otrzymany tamtego roku ze Staszkówki stanowił dobrą zapłatę za lekarstwo i poradę.

Kiedy rosyjski lekarz przyszedł do mnie na kwaterę z pielęgniarkami, wszyscy troje przybyli z węzełkami tak niestannie spakowanymi, że to aż raziło. Przebywając u mnie na

kwaterze, lekarz zauważył na szafie w przedpokoju kilka walizek. Były tam moje, syna i córek. Wśród nich Dziunia miała jedną, dużą walizę z pięknej skóry starannie okutą i wyposażoną w mocne, duże, błyszczące zamki. Była to waliza Stasiowa przywieziona z Gdyni podczas wysiedlenia. Otóż mój lokator często stawał przed szafą i wpatrywał się z zachwytem w walizy, aż raz zdobył się na odwagę i poprosił, abym mu jedną sprzedała. Miałam swoją jedną, nowiuteńką, więc ją postawiłam przed nim. A on na to: „*Nie nada* – chciałbym tę” i wskazał na Stasiową. „To nie moja – rzekłam – to mojego zięcia”. Zwrócił się więc do Dziuni: „Pani jest żonką, to może mężowską rzecz sprzedać”. Dziunia zrobiła niezdecydowaną minę. Na to lekarz rzekł: „Waliza ta jako bardzo duża nie ma dla pani, ani nikogo z waszej rodziny, żadnej wartości, gdyż nikt z was po jej spakowaniu nie ma siły, by ją dźwigać. Panie jesteście za słabe, mąż za stary, a dzieci za młode. Ja natomiast jestem silny i młody, więc dla mnie jest ona w pełni wartościowa. Jak pani była chora, to jej postarałem się o lekarstwo i ono było dla pani w pełni wartościowe, a dla mnie zdrowego – bezwartościowe. Ale u was podobno wszystko można kupić i sprzedać, więc proponuję pieniądze”. Dziunia w jednej chwili poznała, że on zupełnie inaczej rozumuje, aniżeli my możemy to pojąć, i dlatego rzekła bez wahania: „Chyba ma pan rację. Niech pan bierze tę dużą moją walizę. Ona jest dla mnie bezwartościowa, więc nie żądam za nią żadnych pieniędzy”. Uśmiechnął się szczerze i powiedział: „Mówiono mi, że Polki są inteligentne, ale żeby aż tak, to nie przypuszczałem”. Waliza w jednej chwili zniknęła w jego pokoju.

Lokatorzy przychodzili się myć do kuchni. Marysia nalewała do miednicy wody, lecz pan doktor jej nie używał, brał wodę do ust z garnuszka, a następnie tą wodą z ust mył twarz i ręce. Widocznie taki jest sposób bolszewickiego mycia.

Obie pielęgniarki były młode i przystojne. Jedna była blondynką i z twarzy wyglądała mi na Polkę. Druga była brunetką,

zdawała się być Gruzinką. Raz zapytałam blondynki, jakie ma imię. „Jadzia – odpowiedziała – a nazwisko Skórska”. „No to pani jest Polką”. „Moi rodzice byli rzeczywiście Polakami z Białorusi, ale mnie wzięto od nich jako dziecko i wychowano w zakładzie państwowym na Rosjankę. Nie jestem katoliczką, nie umiem ani słowa po polsku i niczego nie wiem o rodzicach, nawet tego, czy żyją”. Brunetka wydawała mi się niesympatyczna, patrzyła na mnie zezem, więc się jej o nic nie pytałam. Zauważyłam, że ta moja Polka była od kilku dni coraz smutniejsza, a nawet czasem zapłakana. Widziałam, że doktor zajmuje się przede wszystkim brunetką, a więc pomyślałam, że jest zazdrosna jako opuszczona. Pewnego dnia zobaczyłam przy łóżku blondynki jakiegoś mężczyznę, a potem wyniesiono na miednicy dużo krwi do klozetu. Domyśliłam się, że przeprowadzono operację usunięcia płodu.

Na drugi dzień doktor pożegnał się ze mną i wyjechał z brunetką. Przedtem zapytałam go: „A co z Jadzią?”. Powiedział, że jest chora i musi poleżeć. Zostawił ją nie tylko chorą, lecz także samotną i tonącą we łzach. Żał mi było dziewczęcia, więc zaopiekowałam się nią jak matka. Po kilku dniach wstała bledziuchna i powiedziała, że musi się zgłosić na komendę, a oni poślą ją dalej. Kochanek odszedł jako ten pies, nie troszcząc się o nią, choć ona widziała w nim wszystko. Żegnaliśmy się ze mną, płacząc: „Nie wiem, gdzie mnie przydzielą, a tak przykro przyzwyczajać się do nowych ludzi, do nowych panów”.

Podziękowała mi serdecznie za opiekę i rzekła: „Nie mam czym pani zapłacić, bo on nie zostawił mi ani grosza, ale mam termometr. To jest moja własność. Więc proszę go przyjąć ode mnie”. Nie chciałam, ale zostawiła. „Dzięki pani – ciągnęła dalej – poznałam, jak dobrymi są Polacy, więc i moi rodzice na pewno musieli być dobrzy i może do dzisiejszego dnia płaczą za mną. Już teraz nigdy nie będę się wstydzić, żem Polką”.

Po doktorze zajął mój pokój major z ichniejszego UB³¹ ze swoim *dinszczykiem* – ordynansem. Tego lokatora rzadko widywałam. Przez dzień był nieobecny, a wieczorem, kiedy przychodził na noc, tośmy zwykle już spali.

W kilka dni po zamieszkaniu u mnie zbudził nas wszystkich w nocy dziwny hałas. Trudno się nam było mieszać w sprawy ubowca i uważaliśmy to nawet za niebezpieczne, ale te niezwykle głosy i krzyki, a nawet jakby jęki nie dawały mi spokoju. Wstałam i naprzód stanęłam w przedpokoju pod jego drzwiami. Słuchałam, jęki i jakby charkot wcale nie ustawały, lecz nadal trwały. Pomyślałam, że może trzeba go czymś poratować, więc zapukałam do drzwi jeden raz, drugi i trzeci, aż wreszcie głośno zawołałam: „Co się tam u was dzieje?”. Drzwi się wreszcie otworzyły, stanął w nich dinszczyk i rzekł: „*Niczewo*”. *Niczewo* i nic więcej nie chciał powiedzieć. Zapytałam go w dniu następnym, czy coś się złego nie stało. Dowiedziałam się tylko tyle, że to tajemnica.

Dinszczyk ciągle się szwendał po naszym mieszkaniu, wszędzie zaglądał, wszystkiego był ciekawy. Nie dowierzaliśmy mu, wystrzegaliśmy się jego, boć to sługa ubowca. Raz mi powiedział, że jego pan chciałby urządzić u mnie przyjęcie. Czy pozwolę na to? Odrzekłam, że owszem – naczynia kuchenne są do waszej dyspozycji, a stołowe też wam użyczę. Zaczął się jąkać, mówić jakby trochę od rzeczy, aż wreszcie powiedział: „Ja chciałbym, żeby pani to zrobiła”. Odrzekłam: „Człowieku, tyś chyba zwariował, a z czego ja zrobię przyjęcie, przecież nie mam ani mięsa, ani żadnych innych środków żywności”. „To ja pani przyniosę mięsa i co pani każe”. Przyniósł może kilogram mięsa i kawałeczek wędliny. Jak tu z tego można było zrobić ucztę? Wszystkiego było mało. Dołożyłam, co miałam, i z wędliny zrobiłam kanapki, a z mięsa bite zrazy, do tego ziemniaczki i kapusta. Na to skromne jedzenie przyszło pięciu chłopów jak smoków. Jeden z nich

31 UB – Urząd Bezpieczeństwa (przyp. red.).

mógłby wszystko zjeść. Wobec tego tylko my oboje siedliśmy do stołu, wódki nie piliśmy, a z jedzenia tylko mąż skosztował, aby nie myśleli, że zatrute. Zakończyli przyjęcie chlebem z masłem przy herbacie. Dopiero później zrozumiałam, że to oni sądzili, że ja im powinnam zrobić bal. Przy stole miałam sposobność przekonać się, jak bardzo to byli ludzie ograniczeni pod względem kulturalnym. Kiedy zobaczyli u mnie na ścianie fotografie i portrety, ze zdumieniem pokazywali je sobie, mówiąc: „Hm, to kulturny dom, na ścianach fotki, czas ścienny i czas do budzenia”, nawet naczynia stołowe wprawiały ich w zdumienie i zachwyty. Podobnie i żołnierze zdumiewali się, kiedy pytając się w domach na wsiach, czyje to ubranie, w którym chodzicie, czyj dom, czyje krowy, usłyszeli w odpowiedzi: „To nasze, to moje”. Dziwili się: „U nas nic nie nasze, nic nie moje – wsio państwowe. Nam mówili, że wyście biedni, że jesteście w niewoli u kapitalistów, że musimy was wyzwolić z niej. A to wy właściwie powinniście nas wyzwolić z niewoli państwowej. U was w bród wszystkiego, u nas bieda, wy pany, my nędzarze”. Po wojnie najmowali się niektórzy na parobków, bo nie chcieli wracać do swego kraju, gdyż tu lepiej i z żywnością, i ubraniem.

Ubowiec rosyjski wyprowadził się od nas, kiedy Staś powrócił z niewoli niemieckiej.

SPOSOBY NA ZACHĘTĘ LOKATORÓW DO OPUSZCZENIA MIESZKAŃ W PRL

Janusz Zaucha

Babusia nieraz w swych wspomnieniach i opowiadaniach powracała do przeżytego – jeśli dobrze pamiętam w roku 1953 – szoku związanego z próbą uniemożliwienia jej życia w dotychczasowym mieszkaniu. Babusia dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że popełniona została w tym przypadku próba targnięcia się wręcz na jej życie, na całą jej egzystencję. Nigdy nie potrafiła zrozumieć tak do końca, jak mogło do tego dojść w jakoby praworządnym państwie, nawet takim jak PRL, i dlatego sądziła, że tylko opiece boskiej zawdzięcza, że wyszła z tego obronną ręką.

Aby dokładniej naświetlić ten przypadek – zresztą wcale nierzadko zdarzający się w PRL, w której prawa ludzi starszych były często lekceważone, a nawet łamane na rzecz ludzi młodych, budujących nowy, socjalistyczny i jakoby sprawiedliwy ład – muszę cofnąć się do poprzednich lat, by nawiązać do zdarzeń, które poprzedziły ten swego rodzaju zamach na



*Katarzyna i Wojciech Szatko, Janusz Zaucha
i Maria S., Gorlice, 1945 r.*

– śmiał powiedzieć – życie babusi zorganizowany pseudo-legalnie przez właściciela domku, w którym od szeregu lat mieszkała babcia.

Dziadziusiowie od 1936 roku po przeprowadzce na ul. Polną 23 mieli w niej bardzo dobre warunki mieszkaniowe. Niestety uległy one znacznemu pogorszeniu w 1945 roku, gdyż w wyniku zarządzenia nowych władz komunistycznych właściciele domków jednorodzinnych tracili dotychczasowe mieszkania służbowe, przyfabryczne i musieli przeprowadzić się do swych własnych domów. Przyjęto to zarządzenie z dużą niechęcią, acz ze zrozumieniem, gdyż właściciel powinien mieszkać we własnym domu. Przekazanie jednak właścicielowi jego mieszkania, do tego czasu odnajmowanego od niego przez lokatora, łączyło się z reguły w warunkach powojennych z przejściem na dużo gorsze lokum – stąd powstawało wiele niezadowolenia wokół tej sprawy. Tak też było i z dziadziusiami. Musieli oni przejść na mieszkanie w tym samym wprowadzie domu, lecz na mniejsze, położone niemal na linii powierzchni ziemi, co kwalifikowało to mieszkanie jako suterynowe.

Pierwsza tragedia związana z tym mieszkaniem rozegrała się w roku 1948, kiedy to dziadziusiowie otrzymali przydział na nieco lepszy lokal, lecz przydział ten został w ostatniej chwili anulowany tylko dlatego, że tak zarządził młody urzędnik, wyjaśniając, iż prawo dla człowieka młodego, produkcyjnego musi być o wiele łaskawsze niż dla emeryta, który już niczego twórczego w nową rzeczywistość wnieść nie może. Dziadzius takiej interpretacji prawa nie mógł przeżyć i dlatego sprawa zakończyła się zawalem serca i śmiercią dziadziusia.

Właściciel domu pragnął w następnych latach za wszelką cenę pozbyć się lokatorów. Wszelkimi sposobami starał się utrudnić im codzienne życie, nawet kosztem własnych wygod. Najpierw odebrał babusi pralnię, następnie wyłączył wodę tak, że Marysia musiała ją nosić w wiadrach od sąsiada z odległości



Wojciech i Katarzyna Szatko, Gorlice, Wigilia 1945 r.

ponad stu metrów. To prawda, że i właściciel nie miał wody, lecz liczyło się tylko to, aby jak najdotkliwiej utrudnić i obrzydzić życie lokatorom, którzy jako „nieprodukcyjni” nie mieli szansy, aby otrzymać od władz miejskich przydział na nowe mieszkanie.

Kiedy po jakimś czasie władze PRL przyznały właścicielom prawo do dysponowania całym domem dla siebie, jeśli nawet znajduje się w nim drugie mieszkanie sute-

rynowe, właściciel natychmiast zwołał komisję techniczno-mieszkaniową, która zakwalifikowała dolne mieszkanie babusi jako suterynowe. Jeśli zatem udałoby się usunąć z niego babusię z Marysią, cały dom mógłby stać się własnością prywatną, nie podlegającą urzędowi kwaterunkowemu. Ale jak usunąć lokatorów – trzeba przecież zapewnić im mieszkanie zastępcze, a na to nie było w ówczesnych warunkach żadnej szansy. Trzeba zatem utrudnić życie lokatorom do niemożliwości. Ale jak?

W każdym domu, a więc i w przedwojennych, dochodziło do osiadania ścian, co powodowało powstawanie charakterystycznych rys na sufitach. Szczególnie wyraźnie rysowały się stropy Akermana, natomiast lane stropy żelbetowe nie powinny się wcale rysować, gdyż pracują one w strukturze klatkowej całego domu. Dlatego takie stropy jako najmocniejsze i najtańsze w ostatnich czasach zyskały powszechne zastosowanie.



Maria Bogacz, Nana, Gorlice 1946 r.

Właściciel, kiedy zauważył, że na sufitach u niego i u babusi są wyraźne rysy, wpadł na pomysł, ażeby zgłosić architektowi miejskiemu obawę odnośnie do katastrofy budowlanej i prosić go o zezwolenie na podstemplowanie wszystkich stropów. Architekt zapytał go, czy ten dom jest nowy. Otrzymał pozytywną odpowiedź. „Czy rysy są głębokie?”, odpowiedź była potwierdzająca. „Czy mogę więc podstemplować?”, zapytał właściciel. Na to odrzekł architekt: „Chyba jednak warto na tę okoliczność powołać specjalną komisję, gdyż obecne nowe sufity żelbetowe nie powinny się absolutnie rysować, chyba że robotnicy przy budowie ukradli część cementu i strop wymaga rzeczywiście podstemplowania”.

Właściciel, wykorzystując tę do końca niewyjaśnioną sytuację, najął trzech chłopów, którzy niemal z krzykiem wpadli do mieszkania babci, wołając, że dom się wali i że muszą podstemplować wszystkie pomieszczenia. Przerażona babusia i Marysia błagały ze łzami w oczach, aby poczekać na przyjazd jej wnuka. Żadne prośby nie pomogły. Założono we wszystkich pokojach i kuchni babusinego mieszkania cały las stempli tak, że trudno było między nimi przechodzić.

Ledwo można było dostać się do łóżek lub do kuchni, aby coś ugotować! W każdym pokoju było kilkanaście stempli między sufitem a podłogą. A ponieważ na podłodze leżały jeszcze grube deski, na których stemple stawiano, przejście z miejsca na miejsce stałe groziło wywróceniem.

Babusia wysłała do swego wnuka do Gdyni błagalną kartkę: „Wnuku, ratunku – tak żyć nie możemy”. Szczęściem, że nie miałem w tamtym czasie jakichś specjalnych prac, więc szef, widząc błagalną kartkę, udzielił mi okolicznościowego urlopu. Wstąpiłem jeszcze do katedry budownictwa przemysłowego lekkiego na politechnice, gdzie przypomniano mi o podstawowych konstrukcjach lekkich, w tym i o stropach, o czym zresztą sporo było powiedziane na wykładach.

Na trzeci dzień przyjechałem do babci i to, co zastałem, przeszło moje największe wyobrażenie. Mieszkanie robiło

wrażenie ponurej kopalni, w której przeciskanie i obchodzenie słupów było prawdziwą sztuką. Zapytałem na wstępie, czy babusia zna tego, kto ten dom budował. Okazało się, że on jeszcze żyje. Złożyłem mu natychmiast wizytę. Starszy już pan stwierdził, że w domu tym są stropy typu Akermana, że one rysują się, ale po kilkurazowych pomalowaniach tynk coraz rzadziej pęka, aż sufit w końcu staje się zupełnie gładki. O katastrofie budowlanej nawet mowy być nie może. Wróciłem do domu i poprosiłem właściciela, aby pokazał mi nakaz podstemplowania mieszkania. Właściciel oświadczył, że wprawdzie takiego nakazu nie ma, ale zgłosił możliwość zawalenia się stropu u miejskiego architekta. „Jeśli nie ma pan nakazu urzędowego – rzekłem – to już jutro nie będzie w tym domu ani jednego stemplu”. Jeszcze tego samego dnia wynająłem tych samych trzech chłopów, którzy zgodzili się szybko usunąć wszystkie stemple. Kiedy rano właściciel zobaczył uwijających się żwawo chłopów wynoszących stemple i deski, poszedł do architekta z prośbą o interwencję. Architekt zapytał, kto nakazał usunąć stemple. „Przyjechał wnuk pani Szatkowej i to jego decyzja”. „A kim on jest?”, pytał dalej architekt. „Inżynierem”. „Wie pan, najlepiej będzie, jeśli ten pan przyjdzie tutaj, to sprawę omówimy i wyjaśnimy”. „Ależ oni usuną w międzyczasie wszystkie stemple”, zawołał gospodarz. „To nic nie szkodzi. Sprawa wcale nie jest taka prosta, jak mi się to jeszcze do dzisiaj wydawało”. Właściciel przyszedł i oświadczył, że natychmiast mam stawić się w urzędzie. Odpowiedziałem, że zrobię to wówczas, kiedy robotnicy wyniosą ostatni stempel. I rzeczywiście wtedy udałem się do architekta miejskiego. Gdy się dowiedział, że jestem świeżo upieczonym magistrem inżynierem, przystąpił do rzeczowej rozmowy, z której wynikało, że posiadane przez niego informacje były niepełne, że dom wcale nie jest nowy, a gdy mu oświadczyłem, że byłem u mistrza, który ten dom budował szesnaście lat temu i który dobrze pamięta, że tam nie było stropów wylewanych, lecz Akermana, przyznał mi

pełną rację. Dla pewności jednak zapytał, czy wyrażę zgodę na założenie szklanej plomby. „Naturalnie, lecz pod warunkiem, że właściciel tę plombę zakupi i na jego koszt będzie założona, a po jej zdjęciu sufit będzie również na jego koszt wymalowany”.

Kiedy dowiedział się o tym wszystkim właściciel oświadczył, że odwoła się do wyższej instancji. Powiedziałem mu, że się z tego bardzo cieszę, gdyż wówczas wyjdą na jaw wszystkie jego bezprawne działania w stosunku do bezbronných lokatorów.

Właściciel nigdzie się nie odwoływał, a babcię od tego czasu traktował jak powietrze. Przestał się jej nawet kłaniać. Trzeba jednak przyznać, że już więcej na podobne kroki się nie odważył. Wkrótce zachorował i zmarł. Babusia w roku 1959 nareszcie mogła po tylu latach udręki przeprowadzić się na inne, nieco lepsze mieszkanie, mimo że początkowo miała w nim sublokatorkę, z którą jednak stosunki układały się na ogół poprawnie.



*Katarzyna
Szatko,
Gorlice
1951 r.*

MÓJ POWSZEDNI TYDZIEŃ JESIENNY W ROKU 1961

Katarzyna Szatko

W odpowiedzi na apel zamieszczony w „Tygodniku Powszechnym” postanowiłam opisać, jak przeżywam obecnie swój powszedni tydzień.

Janusz Zaucha

Na wstępie warto, zanim autorka opowie o wybranym tygodniu swego życia, przytoczyć znaną konstatację starorzymską: *Tempora mutantur et nos mutamur in illis*. Wynika z niej, że już dawno temu ludzie rozumieli, że czasy się zmieniają, a wraz z nimi i ludzie. Aby więc zrozumieć babusine przeżywanie w kościele każdego dnia tygodnia jakby w naturalnej łączności z Bogiem, trzeba uświadomić sobie, że w latach sześćdziesiątych obowiązywał w Kościele katolickim porządek trydencki, który został zmieniony w sposób dosyć wyraźny przez drugi sobór watykański (1962–1965) nie w sensie duchowym, lecz czysto zewnętrznym. Do soboru msze święte były odprawiane w kościele każdego dnia, po jednej mszy



*Ślub Zofii z domu Dobek
i Bogusława Zauchów,
1952 r.*



*Ślub Janusza i Haliny
Zauchów (Halina z domu
Karwacka), Gdynia 1951 r.*

przez każdego księdza. W dniu powszednim była to zazwyczaj tak zwana msza cicha. Kapłan w niej odmawiał modlitwy cicho po łacinie, podnosząc tylko na tyle głos w pewnych momentach, aby końcówkę danej modlitwy mógł usłyszeć ministrant, który tę modlitwę kończył zgodnie z wymaganiami liturgii łacińskiej lub odpowiadał na wezwania kapłana także po łacinie. Wierzący katolik w czasie takich mszy był jakby pociągany ku niebu, w górę przez kapłana, który stał zwykle wyżej, przed ołtarzem, zwrócony plecami do modlących się, a przodem do tabernakulum. Msze ciche często były odprawiane równolegle przy różnych ołtarzach. Największym poważaniem w kościele gorlickim cieszył się ołtarz główny z obrazem Najświętszej Panny Marii i ołtarz-kaplica, obecnie zlikwidowana, z Chrystusem Ubiczowanym. Każdy, kto zamawiał mszę świętą, wiedział, że to jest wyłącznie jego msza, że może duchowo połączyć się wraz z kapłanem w danej intencji całkowicie i że najświętsza ofiara ołtarza stanowi swego rodzaju jasną latarnię oświetlającą drogę tej intencji do stóp samego Pana Boga. Ciche msze święte, nawet kiedy było ich równocześnie kilka, wytwarzały swego rodzaju modlitewną ciszę w kościele, wykorzystywaną do indywidualnej rozmowy z Bogiem.

Zupełnie inny charakter, zbliżony do mszy świętej w nowym rycie, miały msze święte śpiewane, odprawiane zazwyczaj w niedziele. Wówczas były one przerywane odczytaniem ewangelii także po polsku i wygłoszeniem kazania z ambony. Osobiście nieraz słuchałem z dużą satysfakcją i wielką przyjemnością kazań księdza Litwina, którego głos dochodził do każdego miejsca w kościele, był wyraźny i zrozumiały. Treści zaś tych kazań, pełnych odniesień do kultury antycznej, powoływań się na przekazy historyczne, były nader ciekawe, nawet dla tych, którzy szukali w nich jakichś nowych i interesujących skojarzeń, porównań czy wreszcie metafor. Kazania te skierowane do inteligencji zawsze były starannie

przemyślane i dlatego do dnia dzisiejszego pozostawiły wspomnienie i żal, że dzisiaj takich się nie słyszy. Jako uczestnik obu rytów liturgicznych pozwolę sobie wyrazić pogląd, że warto by było zastanowić się nad tym, aby jak najwięcej dobrego i pozytywnego z tamtych czasów przenieść do naszych, niczego jednak nie roniąc z obecnych, pozytywnych zmian, jakie wniósł w liturgię drugi sobór watykański.

Katarzyna Szatko

Ludzie starsi przeżywają tygodnie swego życia często inaczej aniżeli młodzi. Młodzi bowiem, żyjący w erze atomu i kosmosu, przeżywają swoje życie bardzo szybko – wydaje się, że zbyt szybko i dlatego nie mają na nic czasu. Cisza, skupienie i refleksja nad tym, co było i przeminęło, lecz co pozostawiło trwały ślad w duszy do głębszego przemyślenia i wyciągnięcia wniosków – tego wszystkiego obecnie młodym brak. Dlatego wydaje mi się, że celowe jest, aby ktoś starszy napisał, jak on obecnie przeżywa swoje dni, jak je spędza, o czym nie zapomina. W wyniku przeprowadzonej analizy łatwo będzie można dostrzec różnice między oboma sposobami na życie – ludzi młodych i starszych. Dlatego ja, jako osoba już starsza, postanowiłam opisać, jak przeżyłam konkretny tydzień mojego życia, jeden z wielu podobnych.

PONIEDZIAŁEK

Wstaję jak zwykle o godzinie wpół do szóstej, klękam i odmawiam swoją zwykłą modlitwę poranną. Mimo odpoczynku nocnego nie czuję tej rzeźkości, jaką się zwykle czuje w młodym wieku, więc by oddalić od siebie niedołęzną starość, zaczynam zwykłą swą poranną gimnastykę. W czasie

niej powołuję niejako do życia wszystkie członki ciała i zaraz czuję się żywszą i energiczniejszą. Żwawo więc zabieram się do mycia, czesania i ubierania. Po ukończeniu porannej toalety ubieram się i wychodzę na przechadzkę, prowadzona



Siedzą od lewej: Maria Bogacz (Nana) Katarzyna Szatko z prawnukiem Jackiem, Weronika Karwacka (mama Siuchenki), stoją od lewej: Siuchenka, Janusz, Jadwiga Zaucha, Gorlice 1960 r.

pod rękę przez swą wnuczkę Siuchenkę. Podczas tej przechadzki wstępuję do kościoła, by polecić Bogu członków swej rodziny tak żywych, jak i zmarłych. Pierwszy dzień tygodnia przeznaczam pamięci mego męża. Nie znaczy to, żebym tylko się za niego modliła, za wszystkich moich się modlę, ale jedną mszę świętą i komunię przeznaczam specjalnie na jego intencję. Zagłębiam się w tym czasie we wspominkach o nim i o jego życiu. A jest o czym wspominać, bośmy przeżyli razem czterdzieści pięć lat i obeszło się bez rozvodu. W dzisiejszych czasach aż trudno sobie wprost wyobrazić, aby tyle lat przeżyć w zgodzie, miłości i poszanowaniu swej godności. Przypominam go sobie zwłaszcza w ostatnich latach jego pracy szkolnej jako dyrektora szkoły powszechnej, jako dyrektora kasy szkolnej, którą sam założył i następnie nią kierował, jako dyrektora Księgarni Nauczycielskiej, w której prowadził kasę i księgowość. W miasteczku naszym znano jego zamiłowanie do prowadzenia finansów, więc wybrali go na dyrektora Kasy Zaliczkowej – jedynej tego rodzaju w Goricach. Wszystkie stowarzyszenia społeczne chciały go mieć jako swego skarbnika, bo ze wszystkich operacji kasowych wychodził na czysto, bez żadnych mank. Dla wszystkich był zawsze grzeczny i uprzejmy, służył ludziom radą i pomocą. Robiąc obrachunki jego życia, proszę Boga, by mu za jego życie uczciwe i bogobojne okazał sprawiedliwość i zadośćuczynienie. Z kościoła idziemy na cmentarz i składam na jego grobie skromną wiązanek kwiatów.

Po powrocie do domu jem śniadanie, które składa się z herbaty i bułki z masłem. Przygotowuje mi je i podaje wnuczka, która bawi u mnie w tym czasie na wakacjach ze swym mężem, a moim ukochanym wnukiem, i małym prawnuczkiem Jacusiem. Po uprzątnięciu moich rzeczy staram się wnuczce Siuchence dopomóc w przygotowaniu obiadu. Do obiadu potrzebna jest kasza hreczana, lecz jest ona zanieczyszczona niezłuszczoneymi ziarnkami hreczki i innymi



*Janusz Zaucha, Halina Zaucha
i Katarzyna Szatko, Gorlice 1951–1952 r.*

niepotrzebnymi ziarnkami. Przebieram ją starannie, co zajmuje mi dosyć dużo czasu. Przygotowuję też Siuchence do obiadu cukier mączkę, którą się kupuje w sklepie w postaci zlepionych kawałków. Przeto tłukę ją w moździerzu na mączkę, czyniąc ją zdatną do użytku. Okazuje się, że i pianę trzeba ubić do leguminy. Zabierają mi te czynności chwilę czasu – ot i już podają mi obiad.

Po obiedzie przychodzi czas na gazetę – „Tygodnik Powszechny” – przy którego czytaniu nieco się zdrzemnęłam. Nie dlatego, by mnie jego treść nie zajmowała, lecz pomoc przy obiedzie troszkę mnie zmęczyła, a człowiekowi starszemu odpoczynek i drzemka południowa jest potrzebna do

wzmocnienia swych sił. Po drzemce dopiero zabieram się do czytania gazety, przy której zastaje mnie wieczór. Szarówkę przeznaczam zwykle na słuchanie radia. Godzina przy radiu byłaby niezmiernie miła, gdyby można było słuchać głosów Polaków z zagranicy. W tej przyjemności przeszkadza nam głośnienie, które bardzo psuje nerwy i wywołuje złość przeciwko władzy. A tak by się chciało wiedzieć, co ci Polacy tam robią, co o nas mówią w świecie. Często zamiast się rozerwać, gaszę z irytacją radio i po herbatce – zwykłej mojej kolacji – zabieram się do spania. Przy modlitwie wieczornej dokonuję starannego przeglądu przeżytego dnia, robię sumienny obrachunek i cieszę się, że jeszcze jestem w stanie swoją pracą włączyć się w codzienne życie, że jestem pomocą, a nie zawadą dla swych bliskich, słowem nie muszę czuć się jeszcze osobą wycofaną zupełnie z nurtu życiowego.

WTOREK

Poranek jest zawsze u mnie jednakowy: modlitwa, gimnastyka, mycie, czesanie, wybieranie się na poranny spacer i wstąpienie do kościoła. I tym razem towarzyszy mi wnuczka. Śniadanie jem dopiero po powrocie ze spaceru. Dopiero wówczas mam apetyt.

W kościele odmawiam modlitwy najpierw za wszystkich moich ukochanych, a resztę czasu, zwłaszcza msze ciche odprawiane przy różnych ołtarzach przez różnych księży, poświęcam córce Zosi, młodej dziewczynie, studentce, która ukończyła przyrodę, ogrodnictwo, studium pedagogiczne, Instytut Piękności, zaś w trakcie zdawania magisterium z botaniki na Uniwersytecie Jagiellońskim wybuchła wojna. Tę właśnie wojnę obciążam głównie za jej odejście w zaświaty.

Wśród wspominków o niej nie obejdzie się bez łez. Podczas mszy świętej, której słucham na jej intencję, nawiązuję zwykle tragiczną rozmowę z Bogiem jako osierocona matka: „Dlaczego mi ją wzięłeś, Panie Boże? Komu szkodziło jej życie tu, na świecie, a na co i dla kogo było ono potrzebne tam, gdzie ją umieściłeś? Czy jej tam dobrze, czy jej tam potrzebne są modlitwy matki? A czemu mnie, matkę, napoiłeś takim bólem?”. I takie pytania: czemu, komu i dlaczego powtarzają się na zmianę w mojej rozmowie z Bogiem, aż wreszcie kończę ją



*Katarzyna Szatko przy grobie rodzinnym na cmentarzu parafialnym
w Gorlicach w dzień Wszystkich Świętych 1960 r.*

słowa: „Twoją była, o Boże, więc ją wzięłeś jako swoją własność, a ja się z Twą wolą muszę zgodzić, jeno Cię pokornie proszę, daj jej tam szczęście wiekuiste”. Po tej modlitwie zanoszę jej na cmentarz powitanie, do jakiego była za życia przyzwyczajona: „Dzień dobry ci, dziecino!”. To powitanie zanosiałam jej codziennie przez całe lata. Nie wstrzymywały mnie od tego ani deszcze i zawieje, ani śnieżyce i zasy, aż się raz grabarz na mnie gniewał, mówiąc: „Cóż to Pani myśli, że ja będę dla niej zasy przekopywał?”. A mnie przy jej grobie było dobrze. Myśl moja łączyła się z nią całkowicie, a w głowie mojej wspartej o kamień jej grobowca snuły się treny, nie tak piękne jak Kochanowskiego, ale takie zwyczajne żale osieroczonej matki. Po wizycie u grobu wracam smutna i zgnębiona. Nieraz w takich chwilach rozmyślam, czy nie lżej by mi było połączyć się już z nią teraz, lecz odpędzam tę myśl, boć przecież ja tu mam jeszcze bardzo ukochane dzieci, którym jestem potrzebna, bo mnie kochają i chcą się cieszyć moją osobą i moją dla nich miłością.

Śniadanie podaje mi w domu moja ukochana wnuczka, a po śniadaniu oddaje mi pod opiekę swego synka Jacusia, by im nie przeszkadzał w pakowaniu się do drogi. Zbliżył się do końca ich urlop i muszą już w tym dniu odjechać do siebie, do Gdyni.

Ponieważ wtorek jest u nas dniem targowym, zastaję w domu kobietę, Marysię z Bystrej, która przez niemal czterdzieści lat zaopatruje nas w nabiał. Częstouję ją herbatą, a następnie robię z nią obrachunek. Martwię się, bo wszystkie produkty mleczne znacznie podrożały, a ja mam ciągle emeryturę w tej samej wysokości pięciuset złotych. Zbliżyła się zima, więc trzeba zaopatrzyć się w opał, ziemniaki, jarzynę, a tu w kasie emeryckiej coraz większe świecą pustki.

Wnuczki z Jacusiem przyjechali cztery tygodnie temu do mnie, by rozweselić samotność starej babuni. Obecnie wnuk pakuje swoje rzeczy, żona jego gotuje obiad, a ja zabawiam

prawnuczka, by im nie przeszkadzał w pracy. Bawię się z nim z wielką przyjemnością. Mała dziecina nie ukończyła jeszcze dwóch lat, ale szczebiocze bez przerwy swym małym zasobem słów. Jacuś pokazuje różne obrazki, wskazuje paluszkami na to, co zwraca jego większą uwagę, i ciągle pyta: „A cio to, po cio, ecie laj” i tak nam miło i wesoło schodzi czas przy tej zabawie, że zapominamy o wszystkim, co się dzieje wokół nas. A tymczasem jego mama prosi wszystkich na obiad. Nie jest to wesoły obiad. Ja czuję łzy pod powiekami, a im też jest ciężko i smutno pozostawić mnie samą. Po obiedzie następuje smutny odjazd. Każde z nas myśli to samo, a mianowicie, że wobec moich lat wizyta ta może być ostatnią w naszym życiu. Wreszcie następuje pożegnanie z zamglonymi od łez oczyma, znak krzyża nad głowami odjeżdżających i cisza, i łzy, na które sobie teraz dopiero pozwalam.

Po odjeździe tych moich ukochanych w mieszkaniu nastaje przeraźliwa cisza, pustka i jakaś dziwna niemożność zajęcia się czymkolwiek. Po dłuższej takiej niemocy biorę do ręki jeden tom „Trylogii” Sienkiewicza i przy czytaniu tej tak dobrze mi znanej lektury znajduję spokój i ukojenie.

Przed spaniem w wieczornej modlitwie polecam Bogu moich podróźnych, a następnie zażywam środek nasenny, by móc szybciej usnąć, i układam się do spania.

ŚRODA

Noc miałam spokojną. Chłodny, pogodny ranek wpływa na lepsze moje samopoczucie, więc zabieram się do zwykłych moich porannych obrządków, a wreszcie znajduję się w kościele. Lubię tam przebywać, zwłaszcza w dniu powszednim, kiedy w środku jest mało ludzi, kiedy tylko pod filarem

klęczy samotny człowiek, jakiś smutny, zatroskany i opowiada Bogu o swych bolączkach lub kiedy ktoś inny zrozpaczony leży z rozłożonymi rękami przed krzyżem i błaga Cierpiącego o zmiłowanie nad sobą lub nad kimś umiłowanym. Te wyraziste obrazy cierpiących ludzi, dziwnie nastrajając i podnosząc człowieka na sercu, każą szukać Tego, który wszystko może i od którego jesteśmy zupełnie zależni. Tu, wśród świętych obrazów, ołtarzy i ubiczowanego Jezusa odczuwam w pełni nastrój dziwnej powagi, w którym myśl ludzka łatwo wznosi się do samego tronu Bożego. Myśląc o Bogu, wyczuwam Jego moc i zarazem Jego dobroć i miłosierdzie dla ludzi. W tym rozmyślaniu zapominam o tym, gdzie się znajduję, a jednocześnie jakim bardzo małym jestem pyłkiem wobec



*Park w Gorlicach, Katarzyna Szatko
i Siuchenka oraz Maciej i Jacek
Zauchowie, 1964 r.*

Boga, i mam głębokie przekonanie, że On jako kochany Ojciec pochyła się nade mną z wielką dobrocią i wyrozumiałością i słucha moich skarg, żalów i prośb, więc je wypowiadam przed Nim – mówię Mu o moich kochanych i zanoszę prośby za nimi i w ich imieniu.

W środę mówię Mu przede wszystkim o moim synu. Mówię Mu, że ten syn mój jedyny pożegnał mnie w 1939 roku, a dotąd jeszcze nie wrócił do ojczyzny. Brał udział

w wielu bitwach na wszystkich frontach i skończył kampanię wojenną pod Monte Cassino. Nie wrócił zaraz, bo go zatrzymały obowiązki wojskowe, a powrót po dwóch latach dopiero nie był dobrze widziany, stawał się wręcz podejrzany. Podjęcie obowiązków profesora historii w szkole wobec zakłamanych przekazów i fałszów rosyjskich byłoby dla niego bardzo trudne, prawie niemożliwe. Za to w Anglii uczy polskie dzieci języka ojczystego i polskiej historii, by nie zapomniały swej narodowości. Sam zaś, chociaż ma bardzo ciężką pracę, nie zmienił swej narodowości i nie przyjął obywatelstwa angielskiego.

I za tym synem proszę Boga podczas mszy świętej, której słucham na jego intencję, by mu udzielił siły do pracy, dał mu zdrowie i pozwolił mu wrócić jeszcze do ojczyzny.



*Most wiszący do parku w Gorlicach,
prababcia i prawnuk Jacek, 1962 r.,*

W tych prośbach wzywam do pomocy Matkę Najświętszą jako Matkę, która poświęciła swego Syna za ludzkość, by się wstawiła za mną, matką, która swego jedynaka poświęciła ojczyźnie, i żeby wypraszała mu siłę do pracy i powrotu do kraju ojczystego. Proszę Ją jako Królową Polski, by tam na obczyźnie miała opiekę nad swym żołnierzykiem.



*Most wiszący nad Ropą, prowadzący do parku w Gorlicach,
Katarzyna Szatko, Siuchenka (Halina) Zaucha,
Jacek i Maciuś w wózku, 1964 r.*

Po powrocie do domu jem śniadanie, porządkuję pokój i piszę do syna list. Listy moje bowiem podnoszą go na duchu i uciszają jego tęsknotę za ojczyzną, rozpraszają pesymizm i budzą nadzieję powrotu. Dzień ten, poza zwyczajnym wypełnieniem takich obowiązków domowych jak pomoc Marysi w przygotowaniu obiadu i kolacji, przeznaczam na czytanie listów od syna. Wzruszam się troską w nich o mnie, a przy czytaniu ich niejedna łza tkliwości i miłości matki pokropi je w wielu miejscach. W modlitwie wieczornej wiele westchnień tęsknych kieruję do niego i kończę je słowami: „Czy ja cię, mój synu, jeszcze zobaczę, nim nadejdzie dla mnie ostatnie wezwanie?”.

CZWARTEK

Budzę się niewyspana, ponieważ przerwano mi pierwszy sen, najważniejszy dla organizmu, sen przed północą. Powód ku temu był głupi i taki prosty, a jednak wszystkich naszych lokatorów zerwał ze snu. Było to pukanie do jednej i do drugiej bramy i chodzenie, dreptanie wokół domu, które każdy z lokatorów tłumaczył sobie w różny sposób. Był nawet jeden, co szykował nabity rewolwer na bandytów. Tymczasem powodem ogólnego zamieszania był taki sobie niewinny rozrywkowy towarzysz, który nieco zamroczony zgubił dom ze swoim mieszkaniem i chciał się koniecznie do niego dostać, biorąc nasz dom za swój własny. Potrafiono mu jednak omyłkę wyjaśnić grzecznie, tak że wszystko skończyło się na przeproszeniu i pożegnaniu: „Dobranoc drogiemu państwu”. Długo jednak potem nie mogłam zasnąć. Zdrzemnęłam się dopiero nad ranem i wskutek czego spóźniłam się na zwykłą porę mego wstawania, z czego jestem bardzo niezadowolona, bo we wszystkim lubię być punktualną. Wszystkie więc moje



*Janusz i Jadwiga Zaucha oraz Katarzyna Szatko,
Gdynia 1952 r.*

*Katarzyna Szatko
i komandor Stanisław
Zaucha na moło przed
rejsiem statkiem Jaś do
Gdyni, Sopot 1954 r.*



czynności poranne odbywają się w szybszym tempie i są cośkolwiek skrócone, dzięki czemu nie spóźniam się na swą codzienną mszę świętą, którą zwykle wysłuchuję w intencji swoich ukochanych, by im wyprasać u Boga dobrodziejstwa, na których im najwięcej zależy. Czwartek przeznaczam dla mej starszej córki, która mi pozostała z potopu klęsk wojennych, jakie spadły na mnie i na nią. Z trojga moich dzieci ona mi tylko pozostała w Polsce. I chociaż Gdynia daleko jest od Gorlic, to, choć rzadko, mogę się z nią zobaczyć.

Ona też potrzebuje dużo pomocy i opieki Bożej. Jako żona oficera, obrońcy Gdyni, straciła wszystko, co należało do jej męża, nawet jego orderzy nie uszły uwadze Niemcom.

Straciła umeblowanie, obrazy i drogie dywany i została wysiedlona ze swoich czterech pokoi. Wyszła z domu z dwoma synami i tym, co mogli sami udźwignąć w rękach. Po siedmiu dniach płaczk i wyrzucania z pociągów przy pomocy dobrych ludzi dostała się do nas. Potem nastąpiła ciężka praca w RGO – Czerwonym Krzyżu, aż do uwolnienia męża z niewoli. Po powrocie do Gdyni zaczęło się jej ciężkie życie i dźwiganie się z biedy, bo nawet pościeli i bielizny stołowej danej do znajomych na przechowanie nigdy jej nie zwróceno. Krach rodzinny nastąpił, kiedy zdawało się, że najgorsze już minęło. Mąż jej został wysłany na emeryturę, a jako były oficer sztabowy w polsce sanacyjnej poddano go różnym szykanom. Rozesłano poufny okólnik, tak że w żadnej państwowej instytucji nie mógł być zatrudniony. Znalazł w końcu pracę w sklepie prywatnym jako ekspedient. Do mieszkania trzypokojowego dokwaterowano dwóch lokatorów, tak że na wspólnej kuchni gospodarzyły z Dziunią dwie inne panie. Czyż tu trzeba coś jeszcze więcej dodawać? Proszę więc Boga o moc i siłę do przetrwania w takim piekielku, by się nie załamała, by nie wpadła w ciężką chorobę nerwową, by nie dopuściła się jakiegoś desperackiego czynu, takiego jak na przykład oblanie benzyną i spalenie siebie i dręczycieli. Stan jej przejmuje mnie wielką troską o jej zdrowie sterane tyloma stratami i cierpieniami.

Po wyjściu z kościoła listonosz wręcza mi list właśnie od córki, w którym się żali na swą udrękę i pisze, że zbliżają się jej imieniny – Jadwigi – a tu coś upiec lub przyrządzić na wspólnej kuchni nie może. Żal mi się dziecka zrobiło, więc postanawiam jej pomóc. Proszę do pomocy swą współlokatorkę – a jakże, ja też mam wspólną kuchnię – i przy obiedzie razem z Marysią pieczemy tort, kruche ciastka, a już wieczorem paczka z nimi idzie do Gdyni.

Z zadowoleniem siadam potem do czytania książki Kosak-Szczuckiej *Krzyżowcy*, a następnie redaguję epizod, który

zamieszczam w pisanym obecnie pamiętniku z pierwszej wojny światowej. Po modlitwie, w której polecam córkę Bożej opiece, układam się do snu i po niedobrze przespanej poprzedniej nocy zasypiam natychmiast.

PIĄTEK

Mam jeszcze jedno dziecko, bardzo ukochane, na wspomnienie którego same ręce składają się do modlitwy, a usta

szepczą: „Błogosław mu, Panie”. Tym umiłowanym dzieckiem jest mój wnuk Janusz oraz droga mi nad życie jego żona i ich synek Jacuś. Na ich intencję przeznaczam specjalną piętkową modlitwę.

Kiedy po zwykłych moich porannych czynnościach znajdę się w kościele, oddaję w modlitwie najpierw to, co się każdemu należy z członków mojej rodziny. Polecam ich opiece i miłosierdziu Bożemu, prosząc ogólnie o szczęśliwy dla nich dzień.



*Katarzyna Szatko i Maria Bogacz (Nana)
na ul. Orzeszkowej, gdzie mieszkali Januszowie.
Stoją przed kościołem Franciszkanów, Gdynia, 1959 r.*

Ostatnią mszę świętą przeznaczam na szczegółowe modły i prośby za wnuka i jego rodzinę. Przedstawiam go Bogu w tej modlitwie, jaki jest on dobry, jak mnie szanuje i z jaką czcią się do mnie odnosi, dba o moje potrzeby, troszczy się o moje zdrowie, wspomaga materialnie w ciężkim życiu emerytki o pięćsetzłotowej rencie. Kiedy ludzie znajomi, a nawet nieznajomi patrzą na tę troskliwość o mnie, to często powiadają, że to jest dziecko nie z tego świata. W tym bowiem świecie ludzie nie szanują nawet najbliższych sobie osób, na przykład rodziców. Tymczasem on dobrał sobie taką żonę, która zamiast mu odradzać i przeszkadzać w pomocy i trosce o babusię, sama stara się go przewyższyć i przelicytować w dobrych uczynkach i w miłości do mnie. Zaś ich dziecina Jacuś jest szczęściem dla mnie i ostatnią radością mego życia. Myślę nieraz, że za zabranie mi córki, oddzielenie mnie morzem od syna dał mi Bóg tych troje na opiekę i otarcie łez osieroconej matki. W modlitwie za nich przedstawiam Bogu to wszystko dobro, jakie mi dają, a które już ono samo przez się doprasza się o nagrodę. Nie można mi się więc dziwić, że w ten poranek piątkowy, nie mówiąc o wszystkich innych dniach tygodnia, ślę gorące modły o szczęście dla nich. Błogosławieństwo potwierdził i umocnił. Wierzę, że uczyni to na pewno, bo przyrzekł to w czwartym przykazaniu: czcij ojca i matkę swoją, abyś długo żył i dobrze ci się powodziło. A ja mam matkę, bo go chowałam przez kilka dobrych lat. Gdyby nie to dziecko, ciężka i smutna byłaby moja starość. Polecam też Bogu i drugiego wnuka, który żyje z dala ode mnie, bo tak się ułożyło jego życie, ale przecież też jest mi bardzo drogi.

W powrocie do domu wybieram najdłuższą drogę, by użyć przechadzki i rozruszać swoje stawy, które stają się coraz mniej sprawne. W domu po uprzątnięciu i ułożeniu moich szpargałów kończę po śniadaniu czytać powieść *Krzyżowcy* i piszę rozdział w pamiętniku z pierwszej wojny światowej.

Patrzę na zegar – na nim już dziesiąta godzina. Trzeba więc pomyśleć o obiedzie. Zbieram jeszcze pozostawione po odejździe moich dzieci szmatki i pieluszki, przepieram je i wieszam. A teraz spieszę z pomocą Marysi do obiadu, na który będą knedle ze śliwkami. O, jakie w tym roku są dorodne śliwki i jak jest ich dużo, a przy tym takie tanie. Ponieważ dostałam w prezencie od swej uczennicy koszyczek pięknych śliwek, postanawiam zrobić z nich kompoty na zimę i marynowane śliwki. Proszę więc do współpracy moją lokatorkę. Dzielę się z nią śliwkami i przy obiedzie robimy razem z Marysią po dwa słoiki kompotu zimowego.

Uprasowane pieluszki dziecka pakuję i razem z listem i czekoladą dla Jacusia wysyłam paczką tego samego popołudnia do Gdyni. Czytam jeszcze troszkę, przygotowuję punkty, według których będę dalej pisać pamiętnik, a tu już nadchodzi czas do spania. Dzień kończę modlitwą i prośbą o zdrowie i błogosławieństwo dla dzieci, wnuków i małego prawnuczusia Jacusia.

SOBOTA

Sobota jest ukoronowaniem całego tygodnia, albowiem oprócz zwyczajnych prac, jakie się wykonuje w każdym dniu tygodnia, czyli przyrządzania śniadania, obiadu, kolacji, trzeba pomyśleć o tym, by przygotować wszystko na niedzielę, aby ten dzień był naprawdę dniem świątecznym i wypoczynkowym.

Mimo tego, że czekało na mnie wiele zajęć, nie opuściłam nigdy godziny modlitewnej w kościele, przeznaczonej dla Polski i dla tych, którzy w jej obronie położyli swe młode życie – czy to z bronią w ręku, czy w Oświęcimiu-Brzezince, czy też w innych obozach zagłady – i dla tych, którzy niewinnie, bestialsko zamordowani zginęli w Katyniu. Nie mam

czym uczcić tych bohaterów, wśród których mam sześciu siostrzeńców – trzech zginęło w Oświęcimiu, a trzech w Katyniu. Czczę ich więc modlitwą, łzą żalu za ich mękę i ofiarę młodego życia, łzą dumy za ich bohaterstwo, czczę ich miłość do ojczyzny i ten wspaniały przykład, jaki pozostawili po sobie dla następnych pokoleń. Polecając Polskę miłosierdziu Bożemu, żalę się Bogu, dlaczego zażądał od nas tylu ofiar, tak jakby tylko my moglibyśmy być odkupieniem narodów, jak o tym pisał Mickiewicz. Włożyłeś w serce człowieka uczucie miłości do ojczyzny, więc nagródź tych Polaków, którzy wierni temu uczuciu ofiarowali jej swoje życie i za wierną dla niej służbę daj im niebieską ojczyznę.

W domu pospieszam się ze śniadaniem, potem dokładnie sprzątam i oczyszczam pokój z kurzu, a następnie przygotowuję bieliznę swoją i pościelową. Uwijam się z tym szybko i zabieram do większej roboty, jaką sobie na dziś wyznaczyłam. Ze śliwek, które mi jeszcze zostały, postanawiam wraz z Marysią usmażyć powidło i zabieramy się do tego z pomocą mojej lokatorki. Wspólnymi siłami robimy także sałatę z zielonych pomidorów na zimę i przecier z czerwonych, przydatny bardzo w zimie do zup. Z obiadem się nie zabawiam, aby zaoszczędzić na czasie – więc jest tylko herbatka i chleb. Ale za to na niedzielę pieczemy placek ze śliwkami – mówię wam, pycha! Trzeba jeszcze uprać pończochy, a po wyschnięciu zacerować je. Ponieważ sobota to dla mnie dzień porządków, więc i o swoją czystość trzeba zadbać. Wprawdzie łazienki biedna emerytka nie ma, ale wanna jest, więc w niej można porządnie się w całości wymyć. Kuchnię sprząta moja lokatorka, bo to jest jej dzień. Pracowity ten dzień kończę krótką modlitwą i westchnieniem do Boga za dusze polskich żołnierzy i męczenników.

NIEDZIELA

Niedziela to dzień bardzo miły dla mnie, taki jakiś inny, weselszy, prawdziwy dzień wypoczynkowy. Jedynie poranek niedzielny jest podobny do poranków innych dni tygodnia. W kościele wyczuwa się też inną atmosferę niż w zwykłe dni tygodniowe. Nie ma bowiem tej ciszy, która każe zapomnieć o wszystkim i włącza naszą myśl w majestat Boży, a jednocześnie przypomina prośby i żale, jakie Mu mamy przedłożyć.

W niedzielę gra na organach, śpiewy ludzi rozpraszają nastrój modlitewny dni powszednich, zawsze jednak potrafię skupić się na tyle, by gorąco Bogu podziękować od siebie i od dzieci za miniony szczęśliwy tydzień i również gorąco prosić o nie mniej szczęśliwy przyszły tydzień dla całej rodziny. Śpiewać to już nie śpiewam, bo po czterdziestoletnim gadaniu w klasie głos mój chrypliwy nie przyniósłby Bogu radości, a pieśni wdzięku. Wczuwam się jednak w słowa pieśni, w jej znaczenie i uczestniczę w niej myślą i w ten sposób chwałę i uwielbiam Boga.

Po nabożeństwie udaję się na cmentarz. Taki jest tu, u nas w Gorlicach, zwyczaj, że po każdej mszy świętej ludzie idą odwiedzić groby swoich kochanych, zanosząc im niejako świętość nabożeństwa i część uzyskanych w nim łask, a i *Ojciec nasz* odmówiony nad ich grobem staje się jakby świętszy i ważniejszy. A jakże piękny jest ten nasz cmentarz! Modrzewie, smreki, kasztany, akacje i tuje – toż to istny park spacerowy. A ileż tam kwiatów rosnących na grobach i zdobiących je w wazach, które umieściła tam ręka kochającej osoby – matki, żony, córki!

Zbliżam się do grobu moich najdroższych. Położony jest on w alejce wysadzonej z obu stron tujami. Tuje zdobią też grobowiec w czterech jego rogach. Z przodu kwitną bratki, a po bokach salwie i floksy pełne kwiatów aż do zaduszek. W końcach grządek rosną paprocie, a po grobowcu wije się

pachnące kaprifolium, zaś od tyłu, w samym środku stoi brzózka w białej szatce, jak panna młoda z rozpuszczonymi warkoczami, taka rosła i gibka, że każde spojrzenie na nią przypomina mi moją Zosię. Siadam przy grobie na ławeczce i w myśli rozmawiam z duchami męża i córki. Ale już zbliżają się do mnie znajomi. Po oddaniu czci prochom moich najbliższych rozpoczynają się powitania, rozmowy, spacer po ścieżkach i odwiedzanie grobów naszych znajomych.

Wracam do domu. Śniadanie przygotowuje mi moja lokatorka. Proponuje mi, że przy swoim obiedzie ugotuje też coś dla mnie, a więc mam zupełnie wolną niedzielę, można się zatem poświęcić rozrywce. Czytam więc gazetę, oczywiście „Tygodnik Powszechny”, od deski do deski, a także

*Katarzyna Szatko
z przyjaciółmi.
Od lewej stoją: Tosia
Farlik, Józia Farlik,
Katarzyna Szatko
i Helena Chołoniewska,
siedzą: Siuchenka
(Halina Zaucha)
i Bronia Mugler,
Gorlice 1952 r.*



jeszcze i inne gazety. Potem słucham muzykę z radia. Specjalnie lubię orkiestrę Dzierżanowskiego, śpiewy Mazowsza i Śląska, a już nadchodzi czas na obiad. Posiłki niedzielne powinny być lepsze i staram się o to zawsze. Po obiedzie chwila drzemki i pisanie pamiętnika. Około godziny czwartej spożywam się gości. To moje koleżanki, nauczycielki z pracy: panie Józia i Tosia Farlikówny i czasem pani Kochańska, takie jak i ja emerytki. Pani Józia nigdy nie opuści odwiedzin u mnie w niedzielę. Czasem przyjdą i inne koleżanki. Zasiadamy więc do niedzielnej herbatki i domowych ciasteczek. Prowadzimy poważne rozmowy o polityce – co nowego w świecie. Wspominamy dawne czasy i jak to zwykle bywa u starych ludzi, uważamy je za lepsze, a na nowe narzekamy. Trochę plotkujemy, bo plotki to już tradycyjnie sprawa kobiet. Radia trzeba też posłuchać, więc łapiemy Wolną Europę – niestety zwykle na nic to się nie zdaje. I tym razem nie usłyszymy tamtejszego podwieczorku przy mikrofonie, bo w radiu szumi, gwizdże i huczy, więc musimy poprzestać na *Matysiakach* i zakończyć na warszawskim podwieczorku *Cie choroba!*, po czym się zegnamy i rozstajemy.

Przy wieczornej modlitwie dziękuję Bogu za miły dzień, robię z niego rachunek sumienia, czy aby w plotkowaniu nie zaszkodziłam czyjejs opinii, lecz uspokojona co do tego zabieram się do snu.

Po przejrzeniu mego „powszedniego tygodnia” doszłam do wniosku, że oddałam w nim to, co się należało Bogu, i to, co należało się rodzinie i życiu. Zdaje mi się, że z tak przeżytego tygodnia młodzi ludzie mogą się uczyć, jak szanować starszych, a starsi – jak trzeba żyć, by nie być zmorą i straszką dla swoich najbliższych i obcych.



*Od lewej stoją: H. Chołoniewska, Katarzyna Szatko,
Józia Farlik, Janusz, siedzą: Bronia Mugler (później Sartorius),
Maria Pawlak, Tosia Farlik, Siuchenka, Gorlice 1952 r.*



Nana, Katarzyna Szatko i Bronisław Sartorius, przyjęcie po ślubie Bronisławy i Józefa Sartoriusów, Gorlice 1959 r.



Szklarczykówka w której na pierwszym piętrze mieszkała Katarzyna Szatko, Gorlice 1961 r.

EPILOG RODZINY SZATKÓW

Janusz Zaucha

Ostatnia przeprowadzka domowa babci Katarzyny nastąpiła pod koniec kwietnia 1959 roku. W tym to roku właścicielka willi pani Bronisława Muglerowa wyszła za mąż za siostrzeńca babci Józefa Sartoriusa, który przyjechał z Ameryki na urlop do Polski z zamiarem poszukania sobie żony, gdyż stan kawalerski bardzo mu już ciążył. Dotychczasowa znajomość korespondencyjna z Bronią, kiedy się osobiście poznali, wydała się obojgu na tyle atrakcyjna, że postanowili się pobrać i wyjechać na dziesięć lat do Stanów Zjednoczonych, gdzie Józiu pracował w zakładach Forda na taśmie montażowej jako mistrz polskiej zmiany. Bronia zaś po dziesięciu latach przebywania w USA nabywała pełnych praw obywatelki amerykańskiej. Zwolnione mieszkanie przez Bronię oddano babci Kasi i Marysi po to, aby móc je po przyjeździe zająć dla siebie.

Na przeprowadzkę przyjechałem wraz z żoną po to, aby zorganizować przeniesienie wszystkich mebli z willi państwa Karpińskich do nowego mieszkania, dwupokojowego z używalnością kuchni, położonego na pierwszym piętrze w willi Sklarczykówka przy ulicy Stalingradzkiej – obecnie Legionów.

Najcenniejsze rzeczy przenieśliśmy wraz z żoną ręcznie. W tym także zegar, mimo że był on stosunkowo ciężki, jako duży zegar ścienny, ulubiony zegar dziadziusia, nakręcany osobiście przez niego co sobotę. Otóż w czasie niesienia tego zegara nagle moja małżonka zatrzymała mnie, skarżąc się na silny ból w pachwinie. Przesunąłem więc ciężar zegara ku sobie i zanieśliśmy go już bez przygód do nowego mieszkania. Wspominam o tym jako o czymś symbolicznym – jakby opatrnościowym. Lekarze bowiem krakali, że wobec przebytej gruźlicy Siuchenki na pewno nie będziemy mieli dzieci. A babusia wbrew wszystkiemu stale modliła się o wnuka, a i my też w każdym nowo odwiedzanym kościele prosiłiśmy Boga o dziecko. Myślę, że właśnie wówczas, w same imieniny Katarzyny przy przenoszeniu zegara stał się cud – nasze małżeństwo zostało obdarowane największym z możliwych skarbów – żywym, zdrowym, najwspanialszym na świecie dzieckiem, Jacusiem.

Jak wspomniałem, każde z wakacji spędzaliśmy w Gorlicach, dzieląc czas między tym, co należało zrobić w mieszkaniu babusi, aby mogło ono funkcjonować przez cały następny rok, a wycieczkami turystycznymi w góry z plecakiem i mapą w ręku.

Pilnie obserwowaliśmy, jak się nam wówczas zdawało, samopoczucie babci i mojej piastunki Marysi. Dostrzegaliśmy, że z latami ubywają im siły, więc z każdą z nich byliśmy nie raz u lekarzy. Po zbadaniu babci lekarze wypowiadali zgodną opinię, że jak na te lata, to stan jej jest znakomity, a to że strzyka w kościach, boli w stawach, to jest normalnością ósmej dziesiątki lat życia. Dzisiaj wprost nie mogę zrozumieć tego, że lekarze wówczas nie żądali ani nie zwracali uwagi na to, że nie było zrobionych żadnych badań ani prześwietlenia, ani morfologii, ani nawet nie badano ciśnienia – jedynie słuchano stetoskopem, słuchano i robiąc mądrą minę, mówiono: „Na pewno z setki nie popuści”. Tak samo było z Marysią. Tutaj wprawdzie lekarz, doktor Gajewski, stwierdził jakieś

szmery w sercu, lecz uspakajając nas, oświadczył, że wypisuje bardzo skuteczny lek, po którym wszystko minie jak amen w pacierzu. Kelikardina – to cudowny, uniwersalny lek, który miał zabezpieczyć serce przed dalszym pogorszeniem.

Lata mijały. Dom babci ożywiały coraz to liczniejsze głosy. W 1960 roku przyjechał na jesieni po raz pierwszy prawnuczek Jacuś, a w trzy lata później Maciuś. Być może zapatrzeni wszyscy w maleńkie dzieciątka nie dostrzegaliśmy stale pogarszającego się stanu zdrowia obu niewiast. Jeszcze w roku 1964, kiedy byliśmy na wakacjach w Gorlicach, zarówno babcia, jak i Marysia były u różnych wprawdzie lekarzy, ale obaj oni nie zgłosili żadnych obaw odnośnie do wyraźnego pogorszenia zdrowia którejkolwiek z nich. Krople nasercowe dla nich obu były podstawowymi lekami, nie licząc naparów z różnych ziółek pitych przez nie już od wielu lat.

Wczesną wiosną 1965 roku pani Kochańska napisała do nas, że stan Marysi znacznie się pogorszył, nic się jej nie chce robić, wszystko jej wydaje się zbyt ciężkie, tak że obie żyją tylko gotowanymi ziemniakami – trzeba zorganizować im obu jakąś stałą pomoc. W tych okolicznościach poprosiliśmy Dziunię, aby pojechała do Gorlic i tam na miejscu podjęła jakąś decyzję, gdyż my związani pracą na razie przyjechać nie mogliśmy.

Po paru miesiącach Dziunia, późną wiosną, nareszcie wybrała się do Gorlic. Wezwała lekarza, który Marysię natychmiast skierował do szpitala, a babusi przepisał dietę witaminową oraz polecił przyjmowanie regularnych lekkich i zdrowych posiłków. Dziunia zajęła się przede wszystkim chorą Marysią, leżącą na oddziale szpitalnym, dosyć daleko położonym na Zawodziu, tak że odwiedziny i jedzenie domowe przynoszone co drugi dzień pochłaniało jej całą uwagę i energię. Nie zauważyła nawet nagłego pogorszenia zdrowia babci, która pewnego dnia popadła w stan śpiączki. Sprowadzony lekarz, kiedy wszedł do domu, od razu stwierdził: „Tu wyraźnie pachnie acetonem – daleko zaawansowana

cukrzyca. Natychmiast do szpitala”. I tak obie nasze kochane osoby znalazły się w tym samym szpitalu, choć na różnych oddziałach. Babusia była pod opieką doktora Płatka. Do tej pory nie mogę zrozumieć, jak mógł on dopuścić do ciągłych huśtawek cukrowych we krwi, dlaczego nie pilnował konieczności wykonywania codziennych czy nawet częstszych analiz poziomu cukru. Już przecież wówczas wiadano, że oprowadzanie tak zwanej starczej cukrzycy nie stanowi wielkiej sztuki lekarskiej, lecz wymaga sporej staranności. Tłumaczenie, że laboratorium analityczne jest odległe od oddziału o dwa kilometry, nie stanowi przecież żadnego wyjaśnienia. Dlatego kiedy wreszcie przyjechaliśmy do Gorlic na urlop, zastaliśmy obie nasze kochane osoby leżące w szpitalu. Stan Marysi został oceniony jednoznacznie – tutaj medycyna знаła tylko jeden finał i to w krótkim czasie – finał cmentarny. W przypadku babci sprawa przedstawiała się inaczej. Ordynator, który właśnie wrócił z urlopu do pracy, przejrzał starannie historię jej choroby dzień po dniu i stwierdził, że niestety zaniedbań zrobiono sporo i pacjentka wiele wycierpiała. Oświadczył jednak, że od tej pory będzie poddana szczegółowemu prowadzeniu zgodnie z dobrą sztuką lekarską, a trudności komunikacyjne nie będą wchodzić w grę. I rzeczywiście, od tego czasu analizy były robione początkowo dwa razy dziennie, a potem zgodnie z potrzebami. Huśtawki cukrowe się skończyły i po dwóch tygodniach stan babci polepszył się na tyle, że zadowolony ordynator rzekł do mnie: „Proszę nie pamiętać o tym, co było złego i niewłaściwego, bo obecnie stan jest naprawdę dobry. Niestety serce jest słabe, bardzo słabe, tusza duża, tak że stała opieka będzie w domu bezwzględnie potrzebna. Po dwóch dniach zrobimy wypis ze szpitala”.

Dziunia, kiedy o wszystkim się dowiedziała, oświadczyła, że ona przygotowuje matkę, aby móc ją przywieźć, my zaś mamy przygotować wszystko w domu, czyli świeżą pościel, czysty pokój itp. Dziunia zaczęła kąpać babcię rano i myła ją przez kilka godzin, gdyż wiedziała, że takich warunków

kąpieli w domu nie ma. Babcia tak się zmęczyła tym myciem, że w końcu zemdląła i trzeba było ją natychmiast ratować. Przeniesiono ją na łóżko szpitalne i lekarze rozpoczęli dosłownie walkę o jej życie. Wreszcie ordynator po kilku godzinach ze smutkiem oświadczył: „Proszę pożegnać pacjentkę, bo w tym przypadku medycyna jest bezradna. Serce jest już tak słabe, że nie sędzę, aby mogło ono jeszcze długo bić. Najdalej za kilka godzin nastąpi zgon”. Kolejno dyżurowaliśmy przy babci aż do samego końca. Musieliśmy się zmieniać, gdyż w domu zostały małe dzieci. Babusia odchodziła z tego świata z pełną świadomością, pogodzona z losem i jakby bez jakiegokolwiek lęku i żalu. Miała świadomość, że dobrze i godnie przeżyła swoje długie życie. Jako kobieta poświęciła się w pełni przede wszystkim swoim dzieciom, a potem jako nauczycielka innym dzieciom. Osiągnęła w życiu pełną satysfakcję, gdyż syn i siostrzeńiec w czasie największej próby życiowej okazali się dobrymi Polakami i obywatelami. Dzieci szkolne uwielbiały swoją panią, zaś pan wizytator zapraszał nauczycielki z innych klas młodszych na pokazowe lekcje babci jako lekcje wzorowe.

Babcia w ostatnich swych godzinach, rozmawiając z poszczególnymi członkami rodziny, skarżyła się na coraz to większy ucisk klatki piersiowej – jakby ktoś nakładał na nią coraz to większe kamienie. Na żadne inne bóle się nie skarżyła. Do każdego miała inną, stosowną mowę. Jej pragnienia streszczały się w jednym tylko życzeniu, aby między poszczególnymi członkami rodziny zapanowała miłość, serdeczność i pełne zrozumienie. Mówiła, że właśnie dlatego może tak bez żalu opuszczać ten świat, bo widzi, że młodzi, czyli Janusz i Siuchenka, naprawdę szczerze się miłują i że miłość ta pełnym strumieniem spływa na ich wspaniałe dzieci. Ich starszy synek, jak sama to widziała, już umie tę miłość docenić i z niej pełnym sercem korzystać. Prosiła także, aby nigdy nie zapominać o zmarłych, zwłaszcza tych najbliższych, bo oni wcale nie są umarli, lecz żyją dotąd, dopóki się o nich

pamięta i z nimi rozmawia. „Ja do tego czasu stale żyłam z Zosią i z mężem tak, jak gdyby byli obok mnie, a jutro, a może jeszcze dzisiaj ja będę obok nich rzeczywiście i znowu będę z nimi rozmawiać jak dawniej. O mnie się nie martwicie, bo ja na pewno będę czuwać nad wami i pomagać wam, ile tylko sił będę miała”. Mnie osobiście przyrzekła, że będzie mnie we wszystkim wspierać tak, jak ja ją wspierałem w ostatnich latach jej życia, chociaż dobrze wiedziałem, że było to wsparcie bezinteresowne, czysto rodzinne – słowem płynące prosto z serca do serca. „Bóg wynagrodzi tobie i twym najbliższym w tym przede wszystkim, co będzie rzeczywiście dla was ważne i konieczne”.

Ostatnim członkiem rodziny, który towarzyszył babci do końca, była jej rodzona córka. O czym one rozmawiały, tego nigdy się nie dowiemy. W każdym razie po śmierci babci, która zmarła dwudziestego trzeciego września 1965 roku, Dziunia przez wiele jeszcze dni potem nie mogła znaleźć w sobie spokoju, spacerując po nocach i głośno wyrzucając sobie, że przez jej przesadną czystość doprowadziła do przesilenia serca zniszczonego huśtawkami cukrowymi. Marysia nie powiedzieliśmy z początku o śmierci jej pani, aby nie doprowadzić do pogorszenia jej stanu zdrowia, balansującego na krawędzi życia.

Pogrzeb babcia miała wspaniały. Były mowy księży i przyjaciół. Spoczęła w swoim grobowcu na cmentarzu gorlickim.

Marysia w czasie, kiedy Babcia leżała jeszcze w szpitalu, była stale odwiedzana przez nas, gdyż wystarczyło zmienić tylko piętro i salę, aby się z nią spotkać. Siuchenka zaczęła jej gotować zupki, galaretki i inne frykaski, które tak jej smakowały, że zaczęła jeść je z apetytem. Po pewnym czasie ordynator wezwał mnie i rzekł: „Proszę państwa, jeśli tak dalej pójdzie, to pacjentka – chyba pierwsza od lat – opuści tę salę nie w trumnie, lecz żywa pojedzie do swego domu. Wszystko jest możliwe, choć wręcz nieprawdopodobne w tym stanie tak wyniszczonego serca”.

Urlop nasz minął i *volens nolens* musieliśmy powrócić do pracy, do Gdyni. Marysia pozostała pod opieką Dziuni. Po pewnym czasie napisała do nas, że Marysia traci apetyt, staje się coraz słabsza. Jeden raz tylko żywiej zareagowała, gdy czytała list od nas, w którym rysowaliśmy jej dalsze życie w Gdyni, w naszym nowym mieszkaniu, w małym pokoiku, w którym będzie miała swój własny tapczanik. Byliśmy bowiem zdecydowani wziąć ją do siebie, jeśli jej stan zdrowia na to pozwoli. Niestety inaczej potoczyła się historia. Pewnego dnia lekarze postanowili poprawić stan jej zdrowia przez zastosowanie nowoczesnych kroplówek. Rzeczywiście kilka z nich dało bardzo dobry rezultat. Marysia ożywiła się i wówczas pokazała Dziuni nasz list z Gdyni, pytając jej, czy długo będzie musiała jechać do nas. Dziunia przyrzekła jej, że pojedzie wraz z nią, a więc podróż dłużyć się nie będzie. Marysia wesółła i uspokojona poszła do spania. Nie wiadomo dokładnie kiedy, lecz bez jakichkolwiek objawów przy śniadaniu jakby lekko zakrztusiła się. Inna współchora powiedziała, że tylko westchnęła. Dość, że w jednej chwili jej czysta i jasna dusza po długim i pełnym dramatycznych chwil życiu uszła spokojnie do stóp samego Pana Boga. Zgon nastąpił dwudziestego trzeciego listopada 1965 roku.

I tak to w jednym roku, w ciągu trzech miesięcy pożegnaliśmy dwie nam najbliższe osoby ze starszego pokolenia, osoby, które swą czystą bezinteresownością, które swą miłością operliły nam życie w stopniu znacznie większym, niż uczynić to mogłby swymi błyskami najpiękniejszy brylant korony angielskiej Koh-i-noor.

Pogrzeb Marysi odbył się trzy dni później. Z najbliższej rodziny była Dziunia i ja. Pamiętam, że największą trudnością w tamtym czasie było kupno trumny. Żadnej nie można było dostać. Wreszcie udało mi się kupić jedną jedyną, długą na dwa i pół metra. Marysia leżała w niej jak maleńka laleczka na wielkim, białym, koronkowym kobiercu. Taką ją mam w oczach do tej pory, z tym jakże miłym, ujmującym i wdzięcznym uśmiechem na twarzy.

Na cmentarzu było bardzo zimno, wietrznie i deszczowo. Wszystkie siły przyrody sprzysięgły się, żeby jak najbardziej utrudnić sam pogrzeb. Ceremonia już się dawno skończyła, ksiądz odszedł, nieliczni ludzie także się rozeszli, a tu tymczasem grabarze nie mogli dać sobie rady z trumną, która w grobowcu na długość się nie mieściła. A my cierpliwie czekaliśmy do końca, a może czekała razem z nami dusza Marysi, która żegnała się z nami przyjaźnie, niemal radośnie, gdyż sama widziała, że spocznie jako członek rodziny, dla której oddała całe swe życie. Żegnało ją ostatnie dziecko, które wybawiła i wypieściła na swych rękach. Żegnaj, kochana Nanusi! Niebawem i my podążymy za Tobą, by tam razem ze wszystkimi znaleźć satysfakcjonujący wypoczynek.



Jacek i Maria Bogacz (Nana) przed Szklarczykówką, tj. domem w którym mieszkały Nana i Katarzyna Szatko, Gorlice, 1962 r.

ANEKS DO DZIEJÓW RODZINY SZATKÓW

Janusz Zaucha

Wieść o śmierci matki i piastunki Marysi przyjęli Adamowie Szatkowie mieszkający w Borrowash w pobliżu Derby w Anglii z wielkim bólem, gdyż rozumieli, że śmierć ta przecina główną więź Adasia i Zosi z Polską. Wprawdzie my utrzymywaliśmy z nimi stały kontakt listowy, lecz coraz trudniejsze warunki pracy i piętrzące się po drodze trudności więź tę znacznie utrudniały. Z kolei szybko postępująca choroba serca Adama – niedomykanie się zastawek – bardzo osłabiała jego siły i odbierała mu chęci do jakichkolwiek kontaktów, nawet rodzinnych. Wreszcie zagrożenie życia z powodu tej choroby spowodowało, że mimo ogromnego ryzyka Adam i Zosia zdecydowali się na przeprowadzenie operacji na otwartym sercu i wszczepienie nowych zastawek sercowych. Operację wyznaczono na czerwiec 1969 roku. Zosia przysłała do nas jeszcze w maju list pełen obaw i lęków, wynikających z nieukrywanego przez lekarzy dużego ryzyka niepodjęcia przez serce pracy po operacji mimo elektrowstrząsów. Lecz cóż było robić, skoro bez operacji Adasiowi groziła i tak pewna śmierć.



*Adam Szatko
w trzydziestych
latach swego życia
(między 1936
a 1939 r.)*



*Zofia Szatko,
żona Adama,
w trzydziestych
latach swego życia,
Gorlice 15.12.1945 r.*



*Halina Zaucha nad grobem Zofi
i Adama Szatków, Derby 1996 r.*

Operację przeprowadzono dwunastego czerwca 1969 roku. Lekarze oświadczyli po niej, że wszystko z punktu widzenia techniczno-kardiologicznego przebiegło prawidłowo, tylko serce było tak słabe, że mimo kilka razy powtarzanego wstrząsu elektrycznego, coraz to intensywniejszego, serce i tak nie podjęło pracy. Operacja się więc udała, tylko pacjent zmarł. Został on pochowany z honorami wojskowymi w Derby na tamtejszym cmentarzu komunalnym. Nad grobem wygłoszono wzruszające mowy pożegnalne, a w „Biuletynie Koła Wojskowego”, do którego Adam należał, umieszczono dosyć obszerny nekrolog obrazujący jego drogę „wojskową”. Niemal w całości udało mi się ten nekrolog otrzymać. Sam początek przekazała mi Zosia, a brzmiał on następująco:



„Niedawno pożegnaliśmy naszego aktywnego członka Koła śp. kapitana wojsk pancernych mgr Adama Szatkę urodzonego trzydziestego maja 1906 roku w Staszówce koło Gorlic w województwie krakowskim. Gimnazjum ukończył w Gorlicach, otrzymując świadectwo dojrzałości w 1926 roku. Studiował na uniwersytetach w Poznaniu, we Lwowie i w Krakowie. W 1939 roku obronił pracę magisterską na Uniwersytecie Jagiellońskim z historii Polski, uzyskując dyplom magistra filozofii. W roku 1935 kończył kurs przeciwpancerny i stąd datuje się jego zainteresowanie i praca z bronią pancerną.

Powołany w czasie mobilizacji 1939 roku do 2. Pułku Strzelców Podhalańskich, z którym wyrusza na front. W jednej z bitew zostaje kontuzjowany, lecz mimo to przedostaje się za granicę i dostaje się do Francji, aby walczyć dalej.

W roku 1940 we Francji kończy kurs przeciwpancerny oraz ciągników motorowych. Po upadku Francji przedostaje się do Anglii, gdzie w 1941 roku kończy kurs motorowy w Centrum Wyszukolenia Wojsk Technicznych oraz kurs carriersów w Angielskim Ośrodku Motorowym. W roku 1943 przeniesiony na Środkowy Wschód, do 2. Korpusu, gdzie kończy kursy: załoganta czołgu, radiooperatora, dowódcy czołgu i kurs dowódcy plutonu. Zdobyte tam wiadomości przekazuje kolegom, tak oficerom, jak i szeregowym. Jest następnie nie tylko instruktorem, lecz i wykładowcą w Centrum Wyszukolenia Wojsk Pancernych. Umiejętnością podejścia do żołnierza zjednał sobie przyjaźń i szacunek, a pogoda ducha i humor z jego rubasznością dawały mu to, że każdy uważał go za starego i doświadczonego oficera zawodowego, chociaż był on rezerwistą.



Wojnę kończy jako oficer techniczny Centrum Wyszko-
lenia Wojsk Pancernych we Włoszech. Po przyjeździe do Anglii
przechodzi ten sam los, co każdy z nas. W roku 1947 przyjeżdża
z kraju jego małżonka, pani Zofia. Osiedlają się w Derby.

Świętej pamięci kapitan A. Szatko pracuje nie tylko zarob-
kowo, lecz udziela się również społecznie. W roku 1949 zapi-
suje się na członka Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, aby
potem jako prezes Koła Nr 435 w Weston on Trent przewodzić
organizacji byłych żołnierzy. Oprócz tego uczy w szkołach so-
botnich wraz z Małżonką – w Weston on Trent i Derby. Ży-
wotny, pełen energii i pomysłów organizuje obchody, prowa-
dzi cykl wykładów z historii polskiej dla harcerstwa, jak też dla
Wiedzy Wojskowej w Derby. Bierze czynny udział w polskich
uroczystościach – wygłaszając często szereg przemówień. Daje
również odczyty dla rozmaitych miejscowych polskich organi-
zacji społecznych. W ramach Millenium w Derby opracowuje
komentarze do obrazów historycznych. Choć pracuje ciężko
w fabryce, aby utrzymać rodzinę, mimo to daje swoją wiedzę
i fachowość do zagadnień ogólnych innym. Nie szczędzi też
swego grosza, stając się płatnikiem na rzecz Skarbu Narodo-
wego. Pracuje do ostatniego dnia, nie skarżąc się na dolegliwo-
ści, które osłabiają jego siły. Za pracę swoją zostaje odznaczony
Złotą Odznaką Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Był też
od samego początku powstania naszego Koła Centrum Wy-
szkolenia Wojsk Pancernych – jego czynnym członkiem. Przez
nas zawsze lubiany i szanowany – pozostanie w naszych sercach
i pamięci – jako serdeczny Przyjaciel i Kolega.

Polska straciła dobrego i wiernego syna, a Koło nasze nie-
odżałowanego Członka.

Cześć Jego pamięci”.

Jego żona Zofia urodzona osiemnastego marca 1913 roku nadal mieszkała w Borrowash, aż do swej śmierci. Zmarła na zawał serca podczas snu dziewiątego marca 1980 roku i spoczęła razem ze swym mężem na cmentarzu w Derby. Zostali moim i Jacka staraniem ekshumowani i pochowani w grobowcu rodzinnym w Gorlicach drugiego czerwca 2011 roku.



*Przy grobie rodziny Szatków: Janusz Zaucha, Siuchenka,
Mateusz Zaucha – praprawnuk, Renata Zaucha – żona Maćka,
Maciej Zaucha – prawnuk Katarzyny Szatko*



Grób rodziny Szatków



*Płacząca brzoźka po pięćdziesięciu
latach nad grobowcem, 2002 r.*



Pogrzeb Adama i Zofii Szatków w Gorlicach, 2 czerwca 2011 r.



Pan Szczepanik na pogrzebie Adama Szatko

POSŁOWIE

Katarzyna Szatko

Na zakończenie pragnęłabym oświadczyć, że we wspomnieniach tych przedstawiłam wiernie, chociaż w skrócie, wszystkie moje ważniejsze przeżycia. Wiele pominęłam, boć przecież życie na froncie obfitowało w różne wydarzenia. Niemal każdy dzień wnosił w życie coś nowego, a często i tragicznego, co dotyczyło wielu ludzi, w tym także i nas.

Przeżycia te spisałam dla mego prawnuka Jacka z tą myślą, by – kiedy już dorośnie – poznał, jakie nieszczęście niesie ze sobą wojna, i oby robił wszystko, żeby wojna znikła na zawsze ze słownika światowego.

WIZYTA JANUSZA ZAUCHY W GORLICACH

sierpień 2024



*Janusz Zaucha na rynku w Ciężkowicach koło
Staszówki, 3 sierpnia 2024 r.*



*Janusz Zaucha na cmentarzu w Łużnej odwiedza
grób rodziny Sartoriusów, 3 sierpnia 2024 r.*



*98 urodziny Janusza Zauchy,
 Gościniec Dworski w Ropie,
 4 sierpnia 2024 r.
 Od lewej: Stanisława Woźniak,
 Halina Łaś, Janusz Zaucha,
 Jacek Zaucha, Bronisława
 i Wacław Borcz
 oraz Iza Maksymowicz*

*Janusz Zaucha
 na miejscu dawnej
 kamienicy przy ul. Polnej,
 3 sierpnia 2024 r.*





*Janusz Zaucha, park
w Gorlicach,
4 sierpnia 2024 r.*



*Janusz Zaucha,
rynek w Bieczu,
5 sierpnia 2024 r.*

INDEKS WAŻNIEJSZYCH KRAIN, MIEJSCOWOŚCI, ORGANIZACJI, ZDARZEŃ

- AMERYKA, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej 261–263, 293, 297, 390, 431
- ARMIA POLSKA PODZIEMNA, partyzancka organizacja bojowa 283, 284, 376
- „BAUDIENST”, przyfrontowa organizacja powołana przez Niemców 373, 374
- BETLEJEM, miasteczko, w którym urodził się Chrystus 56, 58, 60
- BIECZ, pierwsze miasto na trasie ucieczki autorki na wschód 308, 353
- BOCHNIA, miasto powiatowe na trasie Kraków–Tarnów 74, 75, 82, 103, 116, 175
- BYSTRA, wieś w pobliżu Gorlic, druga posada nauczycielska Weroniki Sartorius 133, 412
- CENTRALNY OKRĘG PRZEMYSŁOWY, nowoczesne zakłady przemysłowe zlokalizowane w widłach Wisły i Sanu 268, 269
- CUD NAD WISŁĄ, zwycięstwo polskie nad hordami bolszewickimi w 1920 r. 266
- CZARNA, rzeczka przepływająca przez Lisią Górę 8
- CZUDEK, miasto koło Strzyżowa w dawnym województwie małopolskim 139
- DĘBICA, miasto w dawnym powiecie tarnowskim 73
- DUNAJEC, duży prawobrzeżny dopływ Wisły przepływający na zachód od Lisiej Góry 10, 74, 75
- FRANCJA, jeden z krajów zwycięskich w I wojnie światowej 261, 263, 273, 279, 291, 296, 442
- GAWŁUSZOWICE, parafia i pierwsza posada nauczycielska Weroniki Sartorius 133
- GDAŃSK, Wolne Miasto Gdańsk 67, 262, 266, 268, 280, 281
- GDYNIA – OBRONA, obrona Gdyni we wrześniu 1939 r. 280, 281, 312
- GDYNIA – PORT 268
- GORLICE, miasto powiatowe położone u stóp Beskidu Niskiego, z kościołem parafialnym, gimnazjum i wieloma zakładami rzemieślniczymi i przemysłowymi 11, 25, 28, 31, 82, 85, 101, 103, 104, 116, 117, 148, 149, 152–155, 160, 165, 166, 171, 184, 223, 232, 234, 236, 237, 239, 240, 249, 252, 269, 277, 283, 285, 287, 288, 292, 305, 306, 311, 313, 315, 317, 319, 320, 323, 327, 331–333, 336, 338, 339, 342, 346, 350, 352, 354, 356, 357, 360, 362, 364, 368, 373, 374, 377–380, 387–389, 408, 419, 426, 432–434, 442, 444
- GRYBÓW, mała miejscowość niedaleko Nowego Sącza 118, 120
- JAROSŁAW, miasto w dawnym województwie lwowskim 88, 104
- JASŁO, miasto powiatowe ok. 30 km od Gorlic, na trasie ucieczki autorki 307, 309, 346, 347, 350, 354
- KATYŃ, miejsce kaźni polskich oficerów w ZSRR 73, 265, 424, 425
- KAUKAZ, góry graniczne między Europą i Azją 116
- KORPUS OCHRONY POGRANICZA, straż graniczna na wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej 269
- KRAKÓW, największe, a po Lwowie najważniejsze miasto w Galicji, w zaborze austriackim, ośrodek nauki i kultury 8, 55, 57, 69, 79, 81–83, 85, 87, 93, 94, 97, 98, 103, 104, 109–111, 113, 151, 171, 183, 213, 215, 235, 246, 252, 253, 275, 284, 320, 342, 355, 380, 442
- KRAŚNIK, miejscowość, w której Austriacy stoczyli bitwę z Moskalami w I wojnie światowej 116, 175
- KROŚCIENKO, wieś pod którą stoczono potyczkę z Niemcami w 1939 r. 312, 313
- KRZYŻ, większa wieś, odległa o ok. 6 km od Tarnowa 20, 102, 106
- LISIA GÓRA, duża wieś, odległa o 7 km od Tarnowa, z kościołem parafialnym i cmentarzem 8, 20, 21, 60, 69, 79, 80, 82, 93, 120, 125, 148
- LWÓW – OBRONA, w 1939 r., miasto polskie na wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej 312
- LWÓW, przed 1918 r. polskie miasto, stolica Galicji, prowincji monarchii austro-węgierskiej, ośrodek polskiej nauki, sztuki, kultury oraz myśli niepodległościowej 103, 313
- MONTE CASSINO, klasztor, niemiecki, umocniony punkt oporu w Apeninach 297–300, 415
- MORDONIE, kluski, o nieustalonym bliżej składzie, nie bardzo jadalne 328

- MORSZYN, uzdrowisko w dawnej południowo-wschodniej Polsce, znane z wody leczniczej „Naftusia”, popularne przed II wojną światową 25, 26, 28, 31, 32
- NOWY SĄCZ, podkarpackie miasto powiatowe ze szkołą średnią 73, 82, 84–87, 94, 95, 97, 103, 133, 148, 177, 246, 320
- ODPORYSZÓW, miejscowość odpustowa w pobliżu Lisiej Góry 61
- PAWĘŻÓW, wieś należąca do parafii Lisia Góra, odległa o 6 km od Tarnowa 10, 11, 21, 67, 148, 165
- POKÓJ BRZESKI lub PRUSKI, pokój zawarty między Niemcami i Sowietami, bardzo niekorzystny dla Polski 263
- POLSKA, niepodległe państwo powstałe w 1918 r. 73, 159, 173, 174, 186, 187, 201, 250, 261–263, 265–273, 275–277, 279–283, 288, 289, 291, 293, 299, 302, 303, 360, 366, 376, 383, 385, 416, 424, 431, 439, 442
- POWSTANIE WARSZAWSKIE, powstanie antyniemieckie w stolicy w 1944 r. 264, 284, 375–377
- PRUSZKÓW, miasteczko pod Warszawą 100
- PRZEMYŚL, miasto nad Sanem z klasztorem Bernardynek 132
- RUTKI NAD DUNAJCEM, wieś 74, 76
- SITNICA, duża wieś pod Gorlicami 85
- „SKLARCZYKÓWKA”, willa p. Muglerowej w Gorlicach, siedziba Gestapo w czasie okupacji, a po wojnie dom mieszkalny 346, 347, 431
- STARY SĄCZ, miasteczko obok Nowego Sącza, z klasztorem Klarysek 88, 94, 97, 98, 100, 106, 109, 178, 180, 350
- STASZKÓWKA, wieś pod Gorlicami 67, 70, 82, 83, 96, 103, 116, 143, 144, 147, 148, 154–156, 158, 159, 160, 165, 166, 168, 175, 176, 178, 182–184, 195, 201, 206, 210, 211, 217, 227, 228, 230, 232, 234–241, 263, 306, 307, 323, 327, 358, 364, 390, 442
- STRYJ, miasto na wschodzie przedwojennej Polski, ze stacją kolejową i karczmą 314
- ŚMIGNO, wieś w parafii Lisia Góra 67, 72, 77, 87
- TAJNE NAUCZANIE, organizacja kształcenia w zakresie szkoły średniej na terenie Generalnej Guberni 331, 341
- TARGOWISKA, wieś za Krosnem, etap na trasie ucieczki autorki na wschód 7, 310, 312, 313
- TARNÓW, miasto powiatowe na linii kolejowej Kraków – Lwów, z gimnazjum i innymi szkołami 10, 11, 16, 20, 43, 53, 61, 63, 69, 72–74, 76, 80, 82, 102, 106, 108, 118–120, 125, 126, 129–132, 135, 139, 148, 159, 182, 213, 224, 234, 235, 237, 238, 269, 287, 320
- TRUSKAWIEC, uzdrowisko położone na rozpośnośnych, bogatych terenach w przedwojennej południowo-wschodniej Polsce 26, 28
- TYGODNIK POWSZECHNY, ulubione czasopismo autorki 403, 409, 427
- WARSZAWA – OBRONA, walki z Niemcami o stolicę w 1939 r. 266, 282, 283, 312, 377
- WARSZAWA, stolica byłego Królestwa Polskiego pod berłem rosyjskich carów; od 1863 r. – prowincjonalne miasto Imperium Rosyjskiego – ośrodek rusyfikacyjny 57, 73, 100, 183, 266–268, 275, 320, 353, 355, 365, 376, 377
- WERSAL, miejscowość pod Paryżem, w której odbywały się rokowania pokojowe 261, 262, 278
- WESTERPLATTE, polska placówka wojskowa w Wolnym Mieście Gdańsku 281, 312
- WIEDŃ, stolica monarchii austro-węgierskiej 53, 86, 132, 158, 177, 232, 261, 283, 360
- WILNO, miasto o silnych polskich tradycjach kulturalnych i patriotycznych, zajęte dla Polski w 1920 r. przez gen. Żeligowskiego 264, 265
- WISŁA, królowa polskich rzek 67, 266, 268, 376, 377
- WOLA ŁUŻAŃSKA, wieś ze stacją kolejową na linii Stróże–Jasło 84, 133, 137, 140
- WOLNA EUROPA, stacja radiowa nadająca audycje krzepiące Polaków, w nadziei na uzyskanie prawdziwej wolności 428
- WYPOCZYNEK LEGIONISTÓW, fragment z dziejów Legionów Piłsudskiego 274
- ŻABNICA, mała rzeczka w Pawężowie 123
- ŻABNO, nieduże miasteczko na horyzoncie wsi Pawężów 124

INDEKS WAŻNIEJSZYCH OSÓB

A

- AGATA Z FLISÓW, córka dziadków Flisów,
ur. ok. 1840 69, 74, 81
- ARTWIŃSKI, dzierżawca folwarku Lisia Góra 93
- AUGUSTYN, medyk, syn przyjaciół autorki,
nauczycieli z Glinika Mariampolskie-
go, 289
- AUGUSTYNOWIE, małżeństwo nauczyciel-
skie ze szkoły powszechnej w Gliniku
Mariampolskim pod Gorlicami, przy-
jaciele państwa Szatków 28, 172, 289

B

- BABULKA, komornica w gospodarstwie Tekli
Kocołowej, matki Katarzyny Szatko
18, 23, 24, 34, 45, 47, 61
- BANEK, nauczyciel, kierownik szkoły po-
wszechnej w Lisiej Górze 21
- BARANIEWSKI JAN, ksiądz proboszcz stasz-
kowski 176, 200
- BATAGLIA BEATRICZE, baronówna włoska,
koleżanka szkolna Kasi Kocoł 129, 130
- BERLING ZYGMUNT, generał, dowódca Woj-
ska Polskiego w ZSRR 376
- BIERUT BOLESŁAW, prezydent w Polsce Lu-
dowej 267, 372
- BOGACZ AGATA, starsza siostra Jędrzeja Bo-
gacza, niezamężna 113–115
- BOGACZ HANUSIA, siostra Jędrzeja Bogacza,
zakonnica 113, 114
- BOGACZ HELENA Z MARKÓW (Hela Mar-
kówna), żona Wawra 117
- BOGACZ JĘDRZEJ, mąż Marii z Kocołów 112,
115, 118–120
- BOGACZ JÓZEF, syn Marii z Kocołów i Ję-
drzeja 118
- BOGACZ MARIA, Nana, piastunka i pomoc do-
mowa w rodzinie Szatków, przyjaciół-
ka rodziny Szatków, ur. 1887, zm. 1965
83, 103, 153, 160, 166, 171, 191, 194, 198,
203, 207, 208, 210, 230, 238–241
- BOGACZ MARIA Z KOCOŁÓW, córka Józefa
Kocoła z pierwszego małżeństwa 112,
113, 114, 115, 118, 119, 120
- BOGACZ WAWER, syn Marii z Kocołów i Ję-
drzeja, nauczyciel 39, 79, 115–117, 176, 187

BOGACZ WOJCIECH, syn Marii z Kocołów
i Jędrzeja 118

BORÓWKA, ukochana krówka Nany – Marii
Bogacz 239, 240

C

- CHMURA, nauczyciel w szkole powszechnej,
więzień Oświęcimia 345
- CHURCHILL WINSTON, premier Wielkiej
Brytanii 295, 296
- CÓRKA STRÓŻA SZKOLNEGO, dziesięcio-
letnia dziewczynka żegnająca śmier-
telnie ranną matkę 185
- „CZARNA MAŃKA”, żona Antoniego Lisiagór-
skiego 111
- CZARNOWSKIE, baronowe, matka i córka
Aurelia (Rela) 369
- CZERWONOARMIEJCY, zachowania krasno-
armiejców 199

D

- DANECKA, żona profesora Daneckiego, ofiara
nalotu 378
- DELEKTA JACEK, archeolog z Torunia, wię-
zień Oświęcimia 345
- DŁUGOSZ, właściciel majątku w Siarach 331,
339–341
- DYL LEON, profesor, Obrońca Warszawy 67,
283
- DZIERŻYŃSKI, twórca Czerezwyczejki
w ZSSR 265
- DZIOPEK JAN, profesor WF, więzień Oświę-
cimia 343
- DZIUNIA, patrz Zaucha Jadwiga

F

- FARLIKÓWNY, Józia i Tosia, nauczycielki 428
- FAŃROWICZ STANISŁAW, mąż Zofii z Lisia-
górskich 98
- FAŃROWICZ WITOLD, syn Stanisława i Zofii
z Lisiagórskich 91, 95, 101
- FAŃROWICZ ZOFIA Z LISIAGÓRSKICH,
córka Wojciecha i Gabrieli (Eli), ko-
niec XIX w. 95–101
- FLIS DZIUNIA, córka Stanisława Flisa, profe-
sorka, koniec XIX w. 82

FLIS EUGENIUSZ, czwarty syn wujka Józefa, profesor gimnazjalny, koniec XIX w. 88

FLIS JAN, syn Michała, druga połowa XIX w. 71, 73–75, 78, 79

FLIS JÓZEF, najmłodszy syn dziadków Flisów, profesor gimnazjalny, ur. ok. 1845 69, 74, 80, 82–85, 87–89, 91

FLIS JULIAN, syn Katarzyny i Jana 67

FLIS KATARZYNA, żona Jana Flisa 78

FLIS KAZIMIERZ, syn Józefa, lekarz, druga połowa XIX w. 67, 85, 88, 109

FLIS MACIEJ, drugi syn dziadków Flisów, ur. ok. 1840 25, 69, 80, 81

FLIS MICHAŁ, najstarszy syn dziadków Flisów, ur. ok. 1835 69, 71–74, 79, 91, 92

FLIS PAWEŁ, syn Katarzyny i Jana 78

FLIS STANISŁAW, syn Józefa Flisa, adwokat, druga połowa XIX w. 85, 86, 87

FLIS TADEUSZ, trzeci syn wujka Józefa, nauczelnik sądu, koniec XIX w. 87, 88

FLISIONKA, patrz Tekla z Flisów

FLISOWA EWKA, żona Michała Flisa 71–73, 79

FLISOWA Z MAŁECKICH (Małęcka, szlachcianka), żona Józefa Flisa 67, 82, 88, 91

FLISOWIE, dziadkowie, pierwsza połowa XIX w. 67, 69

FRANCISZEK JÓZEF, cesarz monarchii austro-węgierskiej 53, 174, 175, 277

G

GESTAPO 336

GESTAPOWCY, terror w Gorlicach 335, 346, 347, 350

GINALSKA, żona profesora gimnazjalnego 378

GNAT 354

GNATOWIE, przyjęcie wysiedlonej rodziny 169, 353

GÓRNICKI TEOFIL, ksiądz, katecheta gimnazjalny w Gorlicach 28

GRABCZYŃSKI JAN, uczeń gimnazjalny w Tarnowie, muzykant 22

GRUSZCZYŃSKA WANDA, uczestniczka Ruchu Podziemnego 288

GRZYB, znachor staszkowski 167, 168

H

HEER, ksiądz, wikary w Gorlicach 350

HEROD, król żydowski, negatywna postać w szopce bożonarodzeniowej 55, 56

HIERONIM, stróż w szkole staszkowskiej 181

HITLER ADOLF, twórca nazizmu niemieckiego 277–279, 281

J

JACEK, Jacuś, patrz Zaucha Jacek

JAHN ADELA, wychowawczyni klasy Katarzyny Kocoł w Szkole Wydziałowej im. Cesarza Franciszka Józefa I w Tarnowie 128, 131

JANKOWSCY, małżeństwo nauczycielskie w żeńskiej szkole powszechnej w Gorlicach 28

JĘDRUSIAKOWIE, małżeństwo nauczycielskie w szkole w Turzy 197, 198, 200, 205, 206, 208, 233, 234, 238

JÓZEFA Z KARCZÓW, córka Katarzyny Karczowej z Flisów 67, 73

JUNKA, córka drugiego męża Teofili z jego pierwszego małżeństwa, profesorka gimnazjalna, ur. pocz. XX w. 103, 104

K

KALISZ, lekarz w Woli Łużańskiej, potem w Tarnowie 137, 138, 139

KAMYKOWIE, gospodarze, którzy udzielili rodzinie Szatków schronienia podczas wojny 202, 203, 205–209, 211, 216, 218, 223, 227, 231

KANKOFER, nauczycielka w żeńskiej szkole „na Bankowej” w Gorlicach w latach 30. XX w. 104

KARAŚ ZYGMUNT, pierwszy adorator nieletniej Kasi Kocoł, koniec XIX w. 125

KARCZ JÓZEF, rotmistrz, syn Katarzyny Karczowej z Flisów 72

KARCZ, mąż Katarzyny z Flisów 71–73

KARCZOWA KATARZYNA Z FLISÓW, córka Michała Flisa, ur. ok. drugiej połowy XIX w. 71

KAROL, cesarz Austro-Węgier w latach 1916–1918 174

KARPIŃSCY, właściciele willi przy ulicy Polnej w Gorlicach, w której od 1936 r. mieszkała rodzina Szatków 169, 288, 431

KARPIŃSKI FRANCISZEK, poeta polski 45

KAWOWIE, gospodarze w obejściu położonym w uroczym zagajniku w Turzy 221, 222

KĘDRA, ksiądz kanonik, proboszcz w Łuźnie 176

KIJAK, rządcą we dworze staszkowskim 192

KOCHAŃSKA STEFANIA, nauczycielka 428, 433

KOCOŁ JÓZEF, mąż Tekli z Flisów, ur. w połowie XIX w., starosta weselny 91, 92, 112, 132
 KOCOŁ KATARZYNA, patrz Szatko Katarzyna
 KOCOŁ TEKLA, patrz Tekla z Flisów
 KOPYCIŃSKI, ksiądz, poseł w Radzie Państwa monarchii austro-węgierskiej, proboszcz w Gawłuszowicach 132
 KOZAK, konny żołnierz rosyjski w charakterystycznej dużej czapie na głowie 181, 183, 201, 209, 212
 KRAKOWIAK, donosiciel niemiecki 335, 336
 KRÜGER, generalny sekretarz poczty i telegrafów w Berlinie, ojciec poległego żołnierza niemieckiego 210, 211, 229
 KSIĄDZ, wysiedleniec, lokator autorki 363, 364
 KWATERMISTRZ, oficer rosyjski, pułkownik, odpowiedzialny za zaopatrzenie podległego mu odcinka frontu w żywność i zaspokajanie wszelkich potrzeb 196–199, 203, 204, 208, 212, 213, 216, 222, 224
 KWIATKOWSKI EUGENIUSZ, minister, budowniczy Gdyni i COP 268

L

LEKARZ POLAK, dowódca wojskowego ambulansu rosyjskiego 183, 184
 LEKARZ RADZIECKI, lokator autorki 390, 391
 LEKARZ ROSYJSKI, wracz, lekarz w rosyjskim szpitalu polowym 189, 190, 208, 212, 213, 222, 390
 LEKARZ WOJSKOWY NIEMIECKI, Stabsarzt, lokator autorki 367, 368
 LEWICKA KAZIMIERA, Kazia, żona prof. Wiktora Lewickiego, nauczycielka w żeńskiej szkole powszechnej w Gorlicach, przyjaciółka Katarzyny Szatko 28, 31, 344, 345
 LEWICKI WIKTOR, profesor gimnazjalny, więzień Oświęcimia 344
 LISIAGÓRSKA ANIELA, córka Tekli i Andrzeja, przyrodnia siostra Katarzyny Szatko 12, 104, 105
 LISIAGÓRSKA GABRIELA MARIA, Ela, żona Wojciecha, ur. w drugiej połowie XIX w. 94
 LISIAGÓRSKA TEKLA, patrz Tekla z Flisów
 LISIAGÓRSKA TEOFILA, drugie dziecko Tekli i Andrzeja, przyrodnia siostra Katarzyny Szatko 12, 101–105, 175
 LISIAGÓRSKI ANDRZEJ, mąż Tekli z Flisów, ur. ok. połowy XIX w. 91–93, 101, 104, 105

LISIAGÓRSKI ANTONI, najmłodszy syn Tekli i Andrzeja 91, 105–108, 110, 111
 LISIAGÓRSKI KAROL (Lolek), syn Wojciecha i Gabrieli (Eli), ur. pod koniec XIX w. 95, 96, 99
 LISIAGÓRSKI MACIEJ, adorator Tekli Lisia-górskiej, brat Andrzeja 92, 107
 LISIAGÓRSKI WOJCIECH, syn Tekli i Andrzeja, ur. ok. 1870, kolejarz, przyrodni brat Katarzyny Szatkowej zamieszkały w Nowym Sączu 86, 91, 93–96, 104, 109, 110, 113, 177
 LITMANOWIE, kupcy żydowscy, właściciele dużego sklepu galanterijnego w Gorlicach 151, 152, 153, 336
 LITWIN, ksiądz proboszcz gorlicki 349–351, 405
 LOKATORKA, kwaterująca w tym samym mieszkaniu co autorka 420, 424, 425, 427
 LOKATOR NIEMIECKI, podoficer kompanii zajmującej budynek gimnazjalny w Gorlicach 357, 361, 362, 363
 LOKATOR NIEMIECKI, Staś Jankowski 366
 LOKATOR NIEMIECKI WOJSKOWY, mający za żonę Polkę 366
 LOKATOR NIEMIECKI, zawiadowca stacji kolejowej w Gorlicach 356
 LUBA, rosyjska znajoma Katarzyny Szatko w Gorlicach 212

M

MAJEWICZ, ksiądz proboszcz w Turzy, przyjaciel rodziny Szatków 198, 204, 228
 MAJOR ROSYJSKI, lokator, ubowiec rosyjski 393, 394
 MAŁCUŻYŃSKI, autor artykułu o strajku ZNP 270
 MAŁĘCKA, patrz Flisowa z Małęckich
 MAREK JÓZEF, brat szwagra ożenionego z Marylą Flis 134
 MAREK MARYLA Z FLISÓW, córka Michała 71, 134, 135
 MAREK STANISŁAW, syn Maryli z Flisów, oficer Armii Podziemnej w powiecie tarnowskim 80, 284
 MAREK ZOFIA, córka Maryli 80
 MARYSIA, patrz Bogacz Maria
 MARYSIA Z BYSTREJ, kobieta przynosząca nabiął 412
 MELKO, syn fotografa, rozstrzelany 347
 MICHALAK ZOFIA, służąca w rodzinie Zau-chów 319

MICHALSKI, lekarz w Gorlicach 171
 MIKI, piesek Zosi 320–323, 328–331
 MOŁODECKI, restaurator gorlicki 347
 MOŚCICKI IGNACY, profesor, prezydent II RP 268
 MUSZYŃSCY, nowi właściciele, spadkobiercy kamienicy, w której mieszkała rodzina Szatków 169, 242, 369

N

NANA, patrz Bogacz Maria
 NOWICKI, wizytator szkolny 126

O

OLSZEWSKY, rodzina spokrewniona z Flisami, dwie córki wszyły za Flisów 85, 88, 89
 ORCHEL, nauczyciel w szkole powszechnej, 335, 336
 OTĘSKI LEONARD, lekarz chorób wewnętrznych w Gorlicach 171, 380

P

PACHULSKI, nauczyciel z ukończonym SN, późniejszy dyrektor męskiej szkoły powszechnej w Gorlicach 155
 PADEREWSKI IGNACY, kompozytor, działacz niepodległościowy w latach I wojny świat 262
 PALUCHOWSKA ANTONINA Z DOMU BOGACZ, córka Marii i Jędrzeja 112, 119
 PAWELEK 79
 PAWLAK MARIA (Rysia) Z SARTORIUSÓW, córka Weroniki 73, 85, 91
 PIEŁĘGNIARKI ROSYJSKIE, lokatorki autorki 390, 391
 PIŁSUDSKI JÓZEF, najwybitniejszy mąż stanu II RP 263–267, 273, 275
 PISZ, właściciel księgarni i drukarni w Tarnowie 108, 109
 POLSCY NIEMCY, zachowanie niemieckich prowokatorów w 1939 r. 279
 POTOCZEK, rotmistrz, adorator Zofii Lisia-górskiej 98–101
 PROBULSKI LEOPOLD, właściciel zakładu odlewniczego w Gorlicach 325
 PUŁKOWNIK ROSYJSKI, komendant odcinka frontowego ze szkołą staszowską łącznie 184, 186, 189–191, 195, 197, 199, 213, 222, 223

R

REBICKI, dyrektor szpitala 342
 RUMIŃSKIE, właścicielki mieszkania, w którym pokój odnajmował początkowo Wojciech, a potem cała rodzina Szatków 237, 241, 242
 RUSINEK, profesor gimnazjalny z synem, więźniowie Oświęcimia 344
 RUSZCZYŃSKI, profesor i dyrektor Szkoły Wydziałowej w Tarnowie w czasie nauki w niej Katarzyny Kocoł 128, 129, 131
 RZIHOWA, wspierająca wysiedlonych 354

S

SANGUSZKO KSIĄŻĘ, magnat małopolski 68, 91, 102
 SARTORIUS BRONISŁAWA, żona Józefa 431
 SARTORIUS JÓZEF, Józio, syn Weroniki z Kocołów, ur. 1912, zm. 1989 91, 139, 241, 242, 246, 285, 292, 296, 302, 431
 SARTORIUS, mąż Weroniki z Kocołów 139
 SARTORIUS WERONIKA Z KOCOŁÓW, nauczycielka, siostra Katarzyny Szatko, zmarła w Woli Łużańskiej 85, 91, 121, 132, 133, 139
 SATALECKI, właściciel paru sklepów masarskich w Krakowie 93, 109
 SCHWARZOWIE, właściciele dworu w Staszówce 176
 SEWERYNEK, wojskowy, adorator Zosi Lisia-górskiej 97
 SIUCHENKA, żona Janusza, ukochana wnuczka autorki 408, 432, 435, 436
 SKWARA JAKUB, nauczyciel w Stróżówce 8, 306, 307, 310, 311, 312, 380
 SKWARA ZBYSZEK, syn Janiny i Jakuba, uczeń gimnazjalny 307, 347
 SKWAROWIE, Jakub i Janina, nauczyciele ze wsi Stróżówka pod Gorlicami, przyjaciele państwa Szatków 7, 28, 306, 307, 310, 345, 346
 SMAGA, uczeń liceum 342
 STALIN JÓZEF, radziecki dyktator, ludobójca 226, 267, 282, 377
 STANISŁAW (STAŚ), pierwszy adorator Antosi Paluchowskiej 119, 120
 STANISŁAWA, córka Teofli z Lisiągórskich, przełom XIX i XX w. 91
 STANISŁAWA Z BOGACZÓW, córka Marii i Jędrzeja 118

STANISŁAWA Z FLISÓW, córka Stanisława Flisa, adwokat, koniec XIX w. 87, 95

STOJAŁOWSKI, lekarz, wysiedleniec, kierownik RGO, Czerwony Krzyż 339, 380

SZATKO ADAM, syn Wojciecha i Katarzyny Szatków, podporucznik, a potem kapitan Wojsk Pancernych na Zachodzie, ur. 1906, zm. 1969 w Anglii, ekshumowany w 2011 i pochowany w grobie rodzinnym w Gorlicach 100, 103, 148, 159, 160, 165, 166, 237, 244, 245, 246

SZATKO FRANCISZEK, ksiądz, katecheta w żeńskiej szkole powszechnej w Gorlicach 28

SZATKO KATARZYNA Z KOCOŁÓW, córka Tekli i Józefa, żona Wojciecha Szatko, ur. 1880, zm. 1965, autorka niniejszej publikacji 121, 131, 143, 144, 147–149, 156, 164, 305, 431

SZATKO WOJCIECH, mąż Katarzyny z Kocołów, syn Antoniego i Reginy z Urbańskich (dziadkowie Józef Szatko i Franciszka z Wardzałów oraz Andrzej Urbański i Katarzyna z Łuszczów), ur. 1877, zm. 1948, kierownik szkoły powszechnej w Staszówce w latach 1902–1920, a następnie męskiej szkoły powszechnej w Gorlicach 91, 143, 144, 147–149, 156, 159, 162, 164, 165

SZATKO ZOFIA Z KOWALSKICH, żona Adama Szatko 439–441, 443, 444, 447

SZATKÓWNA ZOFIA, Zosia, córka Wojciecha i Katarzyny Szatków, ur. 1912, zm. 1941 148, 149, 151, 153, 165, 176, 181, 185, 189–193, 200, 207, 208, 211, 212, 225, 237, 238, 240, 242, 244, 246, 251–253, 288, 289, 306, 307, 310–312, 320, 321–323, 335, 345, 346, 348, 365, 379, 380, 381–383, 385, 410, 427, 436

SZCZEPAN, były żołnierz cesarza Franciszka Józefa w Austro-Węgrzech 53

SZCZERBA WŁADYSŁAW, gospodarz w Staszówce 323

SZCZERBOWIE, gospodarze w Staszówce używający jeszcze w latach 40. oryginalnego kieratu zakupionego przez Wojciecha Szatko przed I wojną światową 67, 155, 358

Ś

ŚMIGIELSKA, Ukrainka, żona lekarza Śmigielskiego 360

ŚWIEYKOWSKI, ksiądz proboszcz, zasłużony Gorliczanin 347

T

TADEUSZ, syn Teofili z domu Lisiagórskiej z pierwszym mężem, koniec XIX w. 103

TEKLA Z FLISÓW, najmłodsze dziecko dziadków Flisów, primo voto Lisiagórska, secundo voto Kocoł, ur. ok. 1845, matka Katarzyny Szatko 11, 12, 17, 21, 25, 41, 70, 74, 83, 91, 93, 101, 104–106, 109, 132

TĘCZAR, proboszcz w Staszówce na początku XX w. 82

U

UNRUG JÓZEF, admirał w II RP 279

W

WALCZYŃSKI, lekarz domowy rodziny Kocołów 122

WASILEWSKA WANDA, pisarka, kolaborantka sowiecka 269, 271, 272

WĘDROWNY RYMARZ, rzemieślnik wędrujący od wsi do wsi, tzw. „złota rączka” i „kronika świata” 53

WIKTOREK, siostrzeniec proboszcza ze Staszówki, księdza Baraniewskiego 200, 201, 210, 216

WIKTORIA Z BOGACZÓW, córka Marii i Jędrzeja 112, 120

WILCZYŃSKI KAZIMIERZ, Kazio, muzykant podwórzowy 22

WILHELM II, ostatni król Prus i cesarz niemiecki, przedstawiciel dynastii Hohenzollernów 175, 229, 261

WILSON, prezydent USA w czasie I wojny światowej 262

WOJCIECH, syn Teofili z Lisiagórskich, ur. pod koniec XIX w., zginął na wojnie w 1914 r. 91, 103, 175

WOŹNIAKOWIE, właściciele sklepu kolonialnego w Gorlicach 325, 326, 371

WYGRZYWAŁSKI, właściciel kamienicy przy ul. Zamkowej w Gorlicach, w której na pierwszym piętrze zamieszkała rodzina Szatków 242

Z

ZABIEROWSKI STANISŁAW, profesor gimnazjalny 332

ZAUCHA BOGUSŁAW, Boguś, brat Janusza, ur. 1928, zm. 1982, młodszy wnuk Katarzyny Szatko 91, 244, 246, 247, 248, 251, 319, 323, 331, 339–341

- ZAUCHA JACEK, prawnuk Katarzyny Szatko-
wej, ur. 1960 5, 9, 12, 14, 41, 276, 301,
408, 412, 422, 423, 424, 432, 433, 447
- ZAUCHA JADWIGA, Szatkówna Jadwiga, Dziu-
nia, pierwsza córka Katarzyny i Woj-
ciecha Szatków, ur. 1903, zm. 1985 70,
80, 86, 91, 96, 103, 119, 137, 148, 159,
160, 165, 182, 192–194, 199–201, 234,
237, 242, 244, 251, 418, 420
- ZAUCHA JANUSZ, starszy wnuk autorki 166,
317, 318, 331, 337, 339, 340–342, 348,
349, 356, 365, 422, 435
- ZAUCHA STANISŁAW, mąż Jadwigi z Szat-
ków, ur. 1894, zm. 1964 80
- ZIOMKÓWNA WŁADZIA, sanitariuszka pol-
ska w 1939 r. 288
- ZOFIA Z KARCZÓW, córka Katarzyny Kar-
czowej z Flisów 73
- Z MAZIARSKICH, żona dziedzica Staszkówki
82

Spis treści

MOJE GNIAZDKO RODZINNE

Wspomnienia z lat osiemdziesiątych XIX wieku. 5

Wstęp 7

Dnie letnie 43

Dnie zimowe 50

MOJE DZIEWIĘTNASTOWIECZNE

DRZEWO GENEALOGICZNE 65

Dziadkowie Flisowie 67

Wuj Michał Flis i jego dzieci 71

Katarzyna Karczowa, z domu Flis 71

Jan Flis 73

Maryla Marek 79

Wuj Maciej Flis i jego dzieci 80

Ciocia Agata z Flisów 81

Wuj Józef Flis i jego dzieci 82

Kazimierz Flis 85

Stanisław Flis 85

Tadeusz Flis 87

Eugeniusz Flis 88

Tekla primo voto Lisiagórska,
secundo voto Kocoł, z domu Flis. 91

Wojciech Lisiagórski 93

Karol Lisiagórski 95

Zofia Fąfrowiczowa, z domu Lisiagórska 96

Teofila, z domu Lisiagórska 101

Aniela, z domu Lisiagórska 104

Antoni Lisiagórski 105

Maria Bogacz, z domu Kocoł 112

Wawer Bogacz 115

Józef Bogacz 118

Wojciech Bogacz 118

Stanisława z domu Bogacz 118

Antonina Paluchowska z domu Bogacz 119

Wiktoria, z domu Bogacz 120

Weronika i Katarzyna, z domu Kocoł 121

Weronika Sartorius, z domu Kocoł 132

STASZKÓWKA
W PIERWSZYCH LATACH XX WIEKU 141

Wstęp do pierwszego wydania tomu <i>Staszkówka</i> wydanego w setną rocznicę założenia szkoły w tej miejscowości.	143
Wprowadzenie.	147
Nasz staszkowski nauczyciel – Wojciech Szatko	149
Pierwsza wojna światowa w Staszkówce.	173
W Staszkówce.	181
W Turzy.	196
W rodzinie u Kamyków.	203
Wielkanoc.	217
W Staszkówce.	231
W Gorlicach	237

REFLEKSJE NAD WOLNĄ POLSKĄ, OKUPACJA
GORLIC W CZASIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ
I ŻYCIE EMERYTKI W POLSCE LUDOWEJ 257

Kilka słów na wstępie	259
Refleksje nad drugą Rzeczpospolitą Polską 1918–1939	261
Wojna polsko-niemiecka w 1939 roku	277
Losy obrońców Polski Niepodległej na przykładzie mego syna Adama i siostrzeńca Józefa Sartoriusa.	285
Okupacja hitlerowska w Gorlicach	305
Uciekinierka	305
Losy starszej córki i jej dzieci.	317
Miki	320
Zagrożenia okupacyjne	324
Narastająca pauperyzacja i głód.	325
Rewizje domowe	333
Łapanki	337
Ludobójstwo niemieckie	342
Wysiedlenia ludności polskiej	351
Niemcy w naszym domu.	356
Koniec niemieckiej okupacji w Gorlicach	373
Tragiczny bilans naszej rodziny.	379
Pierwsze dni w wyzwolonych przez krasnoarmieńców Gorlicach	387
Sposoby na zachętę lokatorów do opuszczenia mieszkań w PRL	395
Mój powszedni tydzień jesienny w roku 1961.	403

Poniedziałek	406
Wtorek	410
Środa	413
Czwartek	417
Piątek	421
Sobota	424
Niedziela	426
Epilog rodziny szatków	431
Aneks do dziejów rodziny szatków	439
Posłowie	447
Wizyta Janusza Zauchy w Gorlicach	448
Indeks ważniejszych krain, miejscowości, organizacji, zdarzeń	451

